

James W Huston

List kaperski

TLUMACZYŁ KRZYSZTOF SOKOŁOWSKI

WYDAWNICTWO ADAMSKI I BIELIŃSKI

WARSZAWA 1999

Podziękowania

W przygotowaniu tej książki pomogło mi bardzo wiele osób. Pragnę skorzystać z tej okazji i podziękować im za pomoc, wsparcie i za to, że dodawali mi odwagi. Przede wszystkim dziękuję grupie lojalnych czytelników, którzy od lat uważnie czytali to, co napisałem i wspierali mnie w wysiłkach: Donowi Chartrandowi, Natalie Venezia, Markowi Hamerowi i Danowi Wienowi. Specjalne podziękowania należą się Robin Ellis, która przepisywała tę książkę.

Informacjami technicznymi podzieliło się ze mną wielu ludzi, których wiedza okazała się bezcenna: Mike Johnson, Marynarka USA, kolega z ławy szkolnej z West Lafayette i były zastępca doradcy Białego Domu, W. Neil Egglestone, Kristen Holladay, dyrektor prawny Newt Gingrich, oraz komandor Steven Litwiller z Marynarki USA.

Specjalne podziękowania należą się memu agentowi i przyjacielowi, Davidowi Gernetowi, gotowemu zaryzykować i wspomóc początkującego autora. Dziękuję także jego asystentom, Mattowi Williamsowi i Amy Williams.

Dziękuję Paulowi Brenickowi, redaktorowi, który wykazał entuzjazm i wielką cierpliwość podczas przygotowywania tej książki do druku. Mam również dług wdzięczności w stosunku do Paula Fedorko, wydawcy z Williama Morrowa, który wspierał mnie z entuzjazmem przekraczającym wszystko to, czego można się spodziewać po wydawcy.

Nie sposób wręcz oddać słowami wdzięczności, jaką odczuwam wobec mojej żony, Dianny, która wspomagała mnie i dodawała mi odwagi w ciągu długich bezsennych nocy. Dziękuję dzieciom za wsparcie i za to, iż rezygnując z czasu, który pragnęły spędzić ze mną, umożliwiły mi ukończenie tej książki.

Dziękuję ojcu, Jamesowi A. Hustonowi, pisarzowi, nauczycielowi, źródłu natchnienia.

A przede wszystkim dziękuję Wszechmogącemu Bogu, ostatecznemu stwórcy wszystkiego.

Kongres dysponuje władzą [...] wypowiedzenia wojny, wystawiania listów kaperskich oraz ustanawiania zasad przechwytywania jednostek na lądzie i morzu.

Konstytucja Stanów Zjednoczonych, Artykuł 1, Paragraf 8

1.

Najszybszy statek świata przybił do nabrzeża portu w Dzakarcie tuż przed wschodem słońca. Sześć odrzutowych silników ucichło po raz pierwszy od momentu, gdy przed dziesięcioma dniami opuścił on San Diego. Kapitan Clay Bonham przechylił się przez reling mostku i tylko z niedowierzaniem pokręcił głową widząc, jak robotnicy portowi, oddaleni od niego o siedem pięter, leniwie zakładają na pacholki cumy. Jego statek ustanowił właśnie rekord przepłynięcia Pacyfiku, a nikt nawet nie pofatygował się go powitać.

Inaczej witano Lindbergha w Paryżu, to pewne.

Kapitan, zajęty rozważaniem swego miejsca w historii, nie zauważył ciemnoniebieskiego autobusu, parkującego przy nabrzeżu, w odległości jakiś dwustu metrów. Wrócił na kryty mostek „Pacific Flyera”. Indonezyjski pilot schodził właśnie po sterburcie na holownik.

- Dobra robota, Bacon - powiedział zgryźliwie do sternika. - Może nawet cię nie wyrzucę?

- Przyjechali ludzie z Forda. Dość wcześnie - zwrócił mu uwagę John Franklin, pierwszy mechanik, patrząc z góry na podjeżdżający autobus, na którym mógł już odczytać słowo „Ford”.

Grube okulary powiększały mu oczy, które sprawiały przez to wrażenie stale zdziwionych.

- Pewnie potrzebny im autobus mechaników, żeby w ogóle uruchomić te graty. - Kapitan uśmiechnął się kpiąco. - Widziałeś je przy załadunku? Wyglądają na zaprojektowane przez komisję. - Napił się kawy. - Bo pewnie tak właśnie było. - Zamieszał ją łyżeczką. - Jak się nazywają? - Spojrzał na inżyniera. - Zapomniałem...

- Ascenda.

- Otóż to właśnie. Co to za nazwa? - Bonham spojrział na podjeżdżający do statku autobus. - Lepiej zjeżdż na dół i pomóż im - polecił, przenosząc wzrok na gasnące światła miasta.

Świt w Dzakarcie. Statki, łodzie, tłumy ludzi, wszechogarniający, ogłupiający upał, lecz nie na „Flyerze” - kapitan Bonham utrzymywał we wnętrzu statku stałą temperaturę dwudziestu dwóch stopni. Obejrzał się teraz na Franklina, by sprawdzić, czy zareagował na rozkaz. Tolerował faceta, bo był niezłym mechanikiem, ale prywatnie uważał go za ofiarę. W szkole przewodził pewnie klubowi krótkofalowców.

- Kogo powinniśmy się spodziewać? - spytał Franklin.

- Przewodniczącego zarządu Forda, ale to dopiero za parę godzin. Ministra handlu razem z bandą... - odchrząknął, jakby to słowo nie chciało mu przejść przez gardło - ...polityków. Powiedzmy z dziesięciu. Nowy samochód do nowego salonu, wielka ceremonia, cięcie wstęg, normalna strata czasu i pieniędzy podatników. - Widział, jak dźwig przesuwają trap w stronę statku. Autobus zatrzymał się obok nich. - Zejźdź na dół i pomóż chłopcom z Forda - polecił.

Franklin skinął głową i zszedł z mostku. Szybko poruszał się po drabinkach w sposób świadczący o wielkim doświadczeniu, przeszedł po pokładzie i doszedł do głównego luku, do którego właśnie mocowano trap.

- Wszystko w porządku? - spytał Phillipsa, potężnie zbudowanego marynarza, który uczestniczył już z nim i Bonhamem w kilku rejsach.

Phillips palił papierosa, obserwując dźwig próbujący ustawić długi metalowy trap.

- Raczej tak - odparł spokojnie. - Operator dźwigu jest pewnie zalany, ale i tak nieźle mu idzie.

Franklin spojrzał na chwiejący się w powietrzu trap. Na nabrzeżu stało dwóch mężczyzn. Autobus Forda zaparkował jakieś trzy metry dalej. Wreszcie trap trafił na miejsce, Phillips złapał go, zabezpieczył, przeszedł w pół drogi i odczepił szkle, trzymające cztery liny wiążące trap z dźwigiem. Dwaj celnicy na nabrzeżu krzyknęli coś po hiszpańsku; w odpowiedzi gestem zaprosił ich na pokład. Franklin stał u szczytu trapu, czekając na nich. Celnicy weszli i na powitanie podali mu ręce.

- Dzień dobry - przywitał ich. - Mówicie po angielsku?

- Tak, trochę - odparł jeden z mężczyzn. - Pan oficer?

- Jestem pierwszym mechanikiem.

- Ma pan papiery?

- Jasne. Zapraszam do biura. - Franklin ruszył przed siebie korytarzem.

Przystanął na chwilę. - Hej, Phillips.

- Tak?

Phillips oderwał się od rozmowy z innym marynarzem.

- Pomożesz chłopakom?

Phillips zmarszczył brwi, niezbyt rozumiejąc, o co chodzi. Spojrzał przez ramię na autobus, zobaczył wysiadających z niego mężczyzn w niebieskich kombinezonach, podniósł oczy do nieba i skinął Franklinowi głową.

Na trap weszło trzydziestu mechaników Forda, każdy z wielką torbą w ręku. Phillips ustąpił im z drogi. Przy luku, na pokładzie, zmieściło się tylko dwudziestu, reszta czekała na nabrzeżu, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. Ciężkie mają te torby, pomyślał marynarz. Zachichotał, wyobrażając sobie, że każdy z nich niesie pewnie nowy rozrusznik do nowiutkich amerykańskich samochodów, które ich zdaniem po podróży nie mają prawa zapalić. Ich szef podszedł do niego. Phillips wyciągnął rękę.

- Dzień dobry - przywitał go uprzejmie.

- Dzień dobry - odburknął mechanik, nie ujmując wyciągniętej dłoni.

Phillips spojrzał mu w oczy i nie znalazł tego błysku dumy, który - o ile traktować poważnie reklamy - jest cechą charakterystyczną każdego mechanika Forda.

- Przyszliście przygotować samochody?

- Gdzie kapitan? - odparł pytaniem mechanik.

Miał smagłą cerę, czarne oczy i cienkie brwi. Był niższy od Phillipsa, mierzącego metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważącego dobrze ponad sto dziesięć kilogramów, ważył pięćdziesiąt kilo, może pięćdziesiąt pięć.

Mógłbym go zgnieść jak pchłę, pomyślał Phillips, nieświadomie wciągając pokaźny brzuch.

- Po co wam kapitan? - spytał, zaczynając się lekko denerwować - Mogę zobaczyć wasze dokumenty?

- Gdzie jest kapitan? - powtórzył spokojnie mechanik, stojąc nieruchomo; wielki Amerykanin najwyraźniej go nie przerażał.

- Zapewne na mostku, ale nim zrobimy następny krok, muszę zobaczyć wasze papiery.

Mężczyzna przykucnął na pokładzie, kładąc obok siebie torbę. Otworzył zamek błyskawiczny do połowy i szybkim gestem wyciągnął z niej chiński pistolet maszynowy wzór 64 zaopatrzony w długi tłumik. Kiedy wstał, lufa broni oparła się o podbródek Phillipsa.

- Gdzie kapitan?

- Co do diabła...?

Phillips poczuł, jak robi mu się sucho w ustach.

- Zamknij się.

Mężczyzna nie podnosił głosu.

Marynarz posłusznie skinął głową.

- Masz nas zabrać do kapitana. Natychmiast.

Ucisk lufy osłabł nieco. Phillips przełknął ślinę. Serce biło mu mocno. Przyszło mu do głowy, że mógłby ich oszukać, zaprowadzić do jakiegoś pomieszczenia i zamknąć, ale myślał zdecydowanie za wolno.

- Natychmiast - powtórzył mężczyzna.

Phillips ruszył korytarzem, którym przedtem oddalił się Franklin. Zatrzymał się przy pierwszej z serii prowadzących na górę drabin. Stopa obsunęła mu się z pierwszego szczebla. Głośno tupnął o pokład. Przywódca ludzi w kombinezonach Forda przysunął się do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

- Jeszcze hałas, zastrzelę - obiecał, przykładając mu lufę do pleców. - Zrozumiał?

Phillips skinął głową. Wspiął się na górę bardzo ostrożnie. Kiedy wystawił głowę na korytarz wyższego pokładu dostrzegł jednego z marynarzy, czekającego, by zejść drabinką.

- Wynoś się! - szepnął rozpaczliwie, patrząc na niego z przerażeniem w oczach.

- A niby czemu? - zdumiał się jak zwykle wesoły Bart Jenkins.

- Już!

Phillips szeptał, choć miał ochotę wrzeszczeć.

Mężczyzna z bronią zorientował się, że marynarz przystanął.

- Co robi? - syknął, przeciskając się przez właz ze zdumiewającą siłą.

Phillips upadł na podłogę korytarza. Przywódca wystawił głowę, dostrzegł co się dzieje, uniósł broń. Jenkins zamarł w zdumieniu.

Padły strzały. Jenkins upadł na kolana, dwie kule świsnęły mu nad głową. To mu przywróciło zdolność ruchu. Uciekł na czworakach i znikł za rogiem.

Przywódca wyszedł przed Phillipsa. Pojawili się też dwaj jego ludzie, obaj z Kałasznikowami w dłoniach, obaj uważnie rozglądający się dookoła. Wskazali w kierunku, w którym uciekł Jenkins. Przywódca pokręcił głową, najwyraźniej go to nie niepokoiło.

Phillips wstał. Przywódca napastników spojrzał mu w oczy.

- Kto to? - spytał.

- Bart Jenkins.

- Co robi?

Phillips omal bezmyślnie nie powiedział mu prawdy, omal nie zdradził, że Jenkins jest łącznościowcem.

- To mechanik - skłamał w ostatniej chwili.

Uzbrojony mężczyzna jeszcze przez chwilę patrzył mu w oczy, a potem powiedział:

- Na mostek!

Wspięli się na kolejny pokład i na następny: wielki marynarz z przodu, a za nim gęsiego rządek facetów w kombinezonach Forda. Marynarze, którzy ich po drodze widzieli zakładali, że mają do czynienia z oczekiwanymi mechanikami.

Zatrzymali się. Phillips wskazał im właz.

- Mostek - powiedział.

Przywódca rozejrzał się dookoła i odłożył torbę. Pięciu innych „mechaników” wyjęło ze swych toreb Kałasznikowy. Rozmawiali między sobą krótkimi zdaniami w nieznanym języku, który Phillips trafnie uznał za azjatycki. Następnie szybko przeszli przez drzwi i rozeszli się, kryjąc każde wejście. Bonham porwał się z fotela na równe nogi - najwyraźniej nie miał pojęcia, co się właściwie dzieje. Tommy Bacon gapił się na intruzów z otwartymi ustami. Przywódca podszedł do kapitana i wymierzył w niego broń.

- Ty kapitan? - spytał.

- Tak. A kim wy, do cholery, jesteście?

Bonham z wysiłkiem powstrzymywał wybuch wściekłości.

- Zamknij się. - Przywódca machnął pistoletem, wskazując innych członków swej grupy. - Oni robią co mówię. Rozumiesz?

Bonham usilnie starał się przeniknąć jego intencje.

- Czego chcecie? - spytał w końcu.

- Statku.

Kapitan z trudem powstrzymał okrzyk zdumienia.

- Nie dostaniecie go - powiedział cicho.

- Już mamy - stwierdził krótko przywódca napastników.

- Za cholere! Mnie możesz zrobić co chcesz. Reszta załogi nie wykona twoich poleceń.

- Wykona. Broń na pokładzie?

- Nie mamy.

- Macie. Szafka na broń krótką na drugim pokładzie. - Przywódca napastników tylko pokręcił głową. - Pan myśli, że my nie sprawdzili wcześniej, kapitanie Bonham?

- Skąd wiecie, jak się nazywam?

- Skłamałeś - przywódca poważnie spojrzał na kapitana. Skinął na jednego ze swoich ludzi, który wyciągnął Phillipsa na środek mostku. - Ukaranie.

Inny „mechanik” położył dłoń Phillipsa na mosiężnej poręczy otaczającej ster i uderzył ręką pistoletu, miażdżąc mu palec wskazujący lewej ręki. Wyraźnie słyhać było trzask pękającej kości. Phillips padł na kolana, skrecając się z bólu.

- Ty sukinsynu! - wrzasnął Bonham, podtrzymując marynarza za ramię.

Phillips klęczał. Twarz miał czerwoną, na czoło wystąpił mu pot. Podtrzymywał lewą ręką prawą, walczył z bólem i robił wszystko, by nie krzyżeć.

- Małe ostrzeżenie - powiedział dowódca. - Następnym razem poważniejsze.

Rozumiesz?

Kapitan nie pofatygował się, by mu odpowiedzieć.

- Macie broń?

- Tylko krótką na drugim pokładzie - syknął przez zaciśnięte zęby. Patrzył na Phillipsa, który sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał się rozpłakać albo zwymiotować. - Kim jesteście?

- Nie ma zabezpieczenia ceremonii?

- Mieli się do nas zgłosić. Jak się nazywasz?

Tym razem dowódca napastników wykrzywił wargi w lekkim uśmiechu.

- Jerzy Waszyngton - odparł. - Walczę o wolność mojego kraju. Dokładnie tak jak on. Która godzina?

- Która godzina co?

- Zabezpieczenie ceremonii.

- Ósma.

Waszyngton spojrzał na zegarek.

- Gdzie radio?

Bonham nic nie odpowiedział, więc znów gestem wydał polecenie jednemu ze swych ludzi, który położył na barierce prawą dłoń Phillipsa i zmiażdżył mu prawy palec. Tym razem marynarz krzyknął głośno z bólu i kolana znów się pod nim ugięły.

- Gdzie radio?

Pytanie zadane zostało z większym naciskiem.

- Za mostkiem - odparł Bonham.

Waszyngton wydał dwóm swoim ludziom milczące polecenie.

- Zgadza się. Odbijamy.

- Co?

Kapitan nie wierzył własnym uszom.

- Wydadź polecenie. Odbijamy.

- Ale dlaczego?

- Ja tak rozkazał. Pięć minut.

Waszyngton rozejrzał się po mostku, by sprawdzić, czy nie dzieje się bez jego rozkazu.

- Pięć minut nie wystarczy do rozgrzania kotłów.

Dowódca napastników podniósł głos.

- Nie ma kotłów! Silniki odrzutowe. Włącz je. Wydadź rozkazy!

Bonham odwrócił się i podniósł słuchawkę telefonu przy desce rozdzielczej.

- Oddać cumy! - rozkazał. - Nie, nie żartuj! Oddać cumy... nie, nie musisz wiedzieć dlaczego. Wykonać rozkaz!

Cisnął słuchawkę na widełki. Ruszył przed siebie.

- Dokąd idzie? - spytał go Waszyngton.

- Na skrzydło mostka. Muszę zobaczyć, kiedy oddadzą cumy.

Waszyngton skinął głową i poszedł za nim. Kapitan wyszedł na galerijkę, nie wierząc, że to wszystko dzieje się naprawdę. W myślach cały czas szukał jakiegoś wyjścia z tej sytuacji. Widział, jak ogłupieli pracownicy portowi zdejmują liny z pachołków. Wzrokiem poszukał dźwigu, który mógłby usunąć trap, ale nie dostrzegł go. Wrócił na mostek. Podeszedł do opartego na konsolę radaru Phillipsa.

- Nic ci nie jest? - wyszeptał mu do ucha.

Phillips nie odpowiedział.

- Wydadź rozkaz. Płyniemy - polecił Waszyngton.

- Nie mogę. Musimy poczekać na dźwig, który usunie trap.

- Nie. - Dowódca napastników podeszedł i spojrzał mu w oczy. - Trap nie obchodzi.

Rozkaz.

Bonham podeszedł do telegrafu łączącego go z maszynownią. Zadzwoił, ustawił rączkę trzeciego silnika na CAŁA WSTECZ i przemówił do znajdującego się obok głośnika:

- Cała wstecz na trzecim!

- Żartuje pan, kapitanie? - przysłała odpowiedź z maszynowni. - Właśnie go wyłączamy.

- Przecież wiem. Cała wstecz na trzecim!

Licznik obrotów przebudził się do życia. Przy sterze nie było nikogo. Miał to w nosie, niech się statek kręci.

- Kto steruje? - spytał Waszyngton.

- Co?

- Kto steruje statkiem?

- To zależy.

Waszyngton spojrzał na Bacona.

- Ty sterujesz?

Baconowi krew odpłynęła z twarzy. Dzielnie skinął głową.

- To steruj.

Marynarz z wahaniem zastosował się do jego polecenia.

- Lewo dziesięć - podyktował mu napastnik.

Kiedy kapitan skinieniem głowy potwierdził polecenie, położył ster dziesięć stopni w lewo. Statek powoli zaczął oddalać się od nabrzeża.

Waszyngton wyszedł na galeryjkę po lewej i spojrzał za burtę. Pracownicy portowi stali z zadartymi głowami. Zdumieni, rozmawiali ze sobą z ożywieniem, widząc jak trap ślizga się po nabrzeżu, nadal umocowany do statku. Ślizgał się tak dobre dziesięć metrów nim trafił w pachołek, urwał się i runął do wody.

„Pacific Flyer” opuścił gościnne wybrzeża Indonezji. Przywódca napastników wrócił na mostek.

- Ster prosto - rozkazał.

Przerażony i kompletnie ogłupiały sternik znów spojrzał na kapitana. Próbował oddychać przez nos, ale nie bardzo mu to wychodziło.

- Ster prosto - potwierdził rozkaz Bonham.

Bacon wykonał polecenie. Oddalali się zarówno od nabrzeża, jak i od innych statków.

- Ster lewo na burt - padł kolejny rozkaz dowódcy napastników. - Cała naprzód, kapitanie.

Bacon obrócił niewielkie mosiężne koło w lewo.

- Cała naprzód - powtórzył z rezygnacją Bonham.

- Załoga ma przejść na przód statku. Tam na dół, gdzie będziemy ich widzieć. - Waszyngton wskazał na pokład dziobowy, a kiedy dostrzegł wahanie na twarzy kapitana dodał: - Teraz!

Bonham włączył mikrofon systemu komunikacji wewnętrznej.

- Wszystkie ręce na pokład dziobowy! - rozkazał. - Wszystkie ręce na pokład dziobowy!

- Ile ludzi na statku?

- Dwudziestu pięciu.

- Manifest mówi o dwudziestu sześciu.

Dowódcy „mechaników” nie spodobała się usłyszana odpowiedź.

- Ze mną jest ich dwudziestu sześciu.

Prowadzące na mostek drzwi otworzyły się nagle i dwaj z napastników, którzy zeszli z niego przed chwilą, wrócili ciągnąc za sobą Brada Jenkinsa. Trzymając mu lufę przy głowie porozumieli się szybko z dowódcą, który wysłuchał ich i polecił kapitanowi powtórzyć komendę do załogi.

- Wszyscy naprzód. Już!

Oszołomieni marynarze zaczęli wychodzić na pokład dziobowy. Zadzwoił telefon z maszynowni.

- Tak, wszystkie ręce oznacza wszystkie ręce! - krzyknął w słuchawkę Bonham. - Silniki możecie na razie zostawić bez obsługi. Wszyscy mają zameldować się na dziobie.

Waszyngton pojawił się przed nim. Zmierzył go swymi zimnymi brązowymi oczami.

- Marynarz nadawał przez radio - powiedział. - Błąd. - Policzył obecnych na dziobie. - Dwadzieścia cztery - stwierdził. - Powinno być dwadzieścia dwa, cztery tutaj. Dlaczego?

- Nie mam pojęcia - odparł kapitan, choć wiedział, że na pokładzie znajduje się także dwóch indonezyjskich celników.

Rozpaczliwie czepiał się słomki, wszystkiego, co mogłoby zmieszać lub zaniepokoić terrorystów.

Waszyngton porozumiał się ze swoimi ludźmi. Czterech terrorystów pozostało na mostku, pozostali zeszedli z nim i z kapitanem na dziób. Bart Jenkins i Phillips szli za kapitanem, każdy eskortowany przez osobistych strażników.

Załoga ze zdumieniem przyjęła widok kapitana otoczonego przez uzbrojonych mężczyzn w kombinezonach mechaników Forda.

Terrorysty stanęli naprzeciw nich. Połowa obeszła grupę i zajęła pozycję za jej plecami.

- Nie rozmawiać - powiedział Waszyngton charakterystycznym dla niego spokojnym, rozkazującym głosem. - Nie ruszać się. Teraz statek mój. Wypływamy w morze. Robicie, co mówię. - Wydał krótki rozkaz w swoim ojczystym języku i ci terrorysty, którzy stanęli za plecami marynarzy, zaczęli ich teraz rewidować, uważnie, jednego za drugim. Słońce wstało już, znajdowało się teraz za jego plecami i oślepiło na tyle, że nie dało się rozpoznać rysów jego twarzy. - Jeden z was podjął złą decyzję - mówił dalej, patrząc na Barta Jenkinsa. - Nadawał przez radio. - Obejrzał się w lewo, na dwóch towarzyszy strzegących Jenkinsa. Spojrzał na załogę „Pacific Flyera” - przerażonych, wpatrujących się w niego ludzi. Wskazał na Franklina. Dwaj mężczyźni pilnujący Jenkinsa puścili go i złapali wskazanego im Amerykanina. Oczy Franklina, ukryte za grubymi okularami, zrobiły się jeszcze większe i jeszcze bardziej zdumione. Waszyngton znów zmierzył wzrokiem załogę, a następnie gestem kazał Franklinowi wystąpić przed front załogi. Spojrzał mu w oczy.

- Ma coś do powiedzenia? - spytał.

- O czym? - spytał zrozpaczony Franklin, nagle i bardzo dobitnie świadomy ciętego dziobem statku oceanu i wiatru, wiejącego mu w plecy. - Nic nie zrobiłem. Czego ode mnie chcecie?

Obrócił wzrok na swojego kapitana.

- Na kolana! - rozkazał mu Waszyngton.

Pierwszy mechanik spojrzał na niego przez okulary, nie wierząc własnym uszom. Nie poruszył się. Waszyngton skierował długi tłumik pistoletu maszynowego wprost w jego czoło. Amerykanin powoli opadł na kolana.

Waszyngton zwrócił się z kolei do Jenkinsa.

- Ty wysłał informacje ze statku? - spytał.

Bart Jenkins spocił się; widział przerażenie na twarzy kolegi.

- Jeśli coś zrobiłem - powiedział, zawahał się i przełknął ślinę - powinniście rozmawiać ze mną i...

- Nie! - krzyknął Waszyngton. - Ukarzę jego zamiast ciebie. - Twarz skrzywiła mu się w grymasie wściekłości. - Nadałeś przez radio?

Jenkins próbował przełknąć ślinę, co ledwie mu się udało. Nie wiedział, co jeszcze może się zdarzyć i jakiej odpowiedzi winien udzielać na pytania, by uniknąć nieszczęścia. Gapił się na Waszyngtona, szukając jednocześnie w myśli jakiegoś ratunku. Mógłby wprawdzie wyskoczyć za burtę, ale wówczas znalazłby się pośrodku oceanu, skazany na pewną śmierć. Może niepotrzebnie się boi? Zerknął na kapitana, który odpowiedział mu niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy. Spojrzał na Waszyngtona

Waszyngton przyłożył lufę pistoletu do głowy Franklina i pociągnął za spust.

- Oglądał pan wiadomości? - spytał Jim Dillon, wbiegając do biura przewodniczącego Izby Reprezentantów.

John Stanbridge zrezygnował z podziwiania nocnego widoku oświetlonego pomnika Waszyngtona, odwrócił się i dojrzał pracownika swego biura.

- Nie znoszę, kiedy ludzie zadają głupie pytania - powiedział. - Jakie wiadomości?

- Porwanie. - Dillon obszedł biurko przewodniczącego i włączył mały telewizor, który Stanbridge trzymał na biurku na wszelki wypadek. - Mówią o tym właśnie na CNN.

Rzeczywiście, z telewizora przemawiał prezenter wiadomości:

- ...wygląda na to, że duży amerykański kontenerowiec...

- To nie kontenerowiec! - wtrącił Dillon.

- ...został zaatakowany i przejęty w Dżakarcie, w Indonezji, wcześniej rano czasu miejscowego. Przed kilkoma minutami dowiedzieliśmy się, że „Pacific Flyer”, który wypłynął z San Diego, przewoził nowe samochody Forda do Indonezji na uroczyste otwarcie salonu tej firmy. W Dżakarcie uroczystości uświetnić mieli: członek rady nadzorczej Forda i minister handlu Indonezji. Statek dobił do nabrzeża portu w Dżakarcie o czasie, i tam porwany został przez dużą grupę niezidentyfikowanych terrorystów. Informację tę uzyskaliśmy od Departamentu Obrony. Marynarka Stanów Zjednoczonych, której grupa bojowa operuje w pobliżu, odebrała sygnał alarmowy z opanowanego przez terrorystów „Pacific Flyera”. Nasze źródła potwierdzają, że marynarz nadający tę informację znajdował się najwyraźniej w stanie stresu. Pierwsza informacja była też ostatnią. Prezydent zwołał konferencję prasową, która ma się rozpocząć za pół godziny. „Pacific Flyer” to pierwszy z nowej klasy statków budowanych w San Diego, najszybsza na świecie jednostka handlowa typu FastShip, napędzana silnikami odrzutowymi...

Głos w telewizorze mówił nadal. Stanbridge wrzasnął:

- Robin!

Sekretarka pojawiła się przed biurkiem.

- Tak, proszę pana?

- Chcę rozmawiać z prezydentem, natychmiast! - przerwał widząc, że dziewczyna nie ma pojęcia, o co chodzi. - Powiedz mu, że muszę z nim porozmawiać, nim pojawi się w telewizji - wyjaśnił. - Już! - machnął ręką i spojrzał na Dillona. - Nie ufam mu - wyznał. - Powie coś, czego nie powinien mówić, wyśle terrorystom nieodpowiedni sygnał. Wiem, że nie obchodzi go, co myślę, ale w takiej sytuacji powinno go obchodzić... nie był nawet w wojsku. - Pokręcił głową z obrzydzeniem. - Naczelnny dowódca sił zbrojnych! - warknął. - Tylko w Ameryce...

Zadzwoił telefon. Stanbridge usłyszał głos przewodniczącego większości senackiej, Pete'a Petersona, republikanina jak on i jednego z jego najbliższych przyjaciół.

- Tak, słyszałem - powiedział Stanbridge. - Nie wiem, co miał na myśli. Nie konsultuje się... wiem... - skinął głową.

Dillon nastawił uszu; pragnął usłyszeć komentarz telewizji.

- Wiem - mówił dalej Stanbridge. - Powinienem zadzwonić do niego teraz, zaraz. Jak mi zlejesz z telefonu, spróbuję natychmiast... nie, nie musisz brać udziału w rozmowie... nie ma sprawy. Dzięki, Pete. Natychmiast do ciebie oddzwonię.

Przerwał połączenie.

- Prezydent na pierwszej linii, panie przewodniczący - zawiadomiła go Robin, odsuwając się od centralki.

- Dobry wieczór, panie prezydencie. - Stanbridge wyjrzał przez okno, poszukując wzrokiem Białego Domu, choć z tej odległości nie mógł go zobaczyć. - Ciekaw jestem, czy wie pan o sprawie więcej niż podano w telewizji. Jeśli tak, chciałbym przyjść i wysłuchać pana osobiście... och... w ogóle nic? - Spojrzał na przysłuchującego się uważnie rozmowie Dillona. - Co pan planuje? Tak, chyba ma pan rację... dobrze, zgadzam się. Dziękuję za telefon. - Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Dillona.

- Nie ma zamiaru powiedzieć nic - wyjaśnił. - Tyle że potępia akt terroryzmu, że jest oburzony, że ma do czynienia z tchórzami, że nie negocjuje się z terrorystami... to, co zawsze.

Dillon zmarszczył brwi.

- A co właściwie powinien powiedzieć?

Stanbridge znów wyjrzał przez okno.

- Robin! Wezwij cały zespół, niech stawia się tu jak najszybciej. To robota dla wszystkich.

Zwrócił się do Dillona.

- Sam właściwie nie wiem, co powinien powiedzieć - wyznał. - Za to z całą pewnością wiem, że on się do takich rzeczy nie nadaje. Nie umie wyrazić gniewu. Jak to powiedzieć, facet po prostu nie ma jaj. Trudno to inaczej opisać. Nie ma... ducha. - Przerwał, pokręcił głową. - W tej chwili powinniśmy być otwarci na wszystkie możliwości. Nie wiemy, co się stało, nie mamy pojęcia, co powinniśmy zrobić.

Dillon pracował dla przewodniczącego od roku. Przez ten rok nie zdarzył się żaden międzynarodowy kryzys, nie uczestniczył w nie kończących się sesjach, w dramatycznych poszukiwaniach odpowiedzi na pytanie „co robimy?”, których oczekiwał z nadzieją. Większość czasu zajmowały im problemy, z którymi Kongres zmagał się od lat: jak zmniejszyć deficyt budżetowy i skąd wziąć na to pieniądze. Powoli uświadamiał sobie, że w tej pracy (i w żadnej innej pracy w Waszyngtonie) nie będzie mu dana szansa poprawienia świata. Próbował jednak opierać się nieodpartej pokusie zmiany ideałów na ambicję. Przewodniczący nie odróżniał jednego od drugiego i przez to bardzo utrudniał mu pracę.

W miarę, jak pojawiali się kolejni pracownicy, rosło w nim podniecenie. Zawsze próbował odróżnić się od typowego biurokraty w granatowym garniturze, o krótko przystrzyżonych włosach. Włosy opadały mu na czoło, zawsze nieco zmierzwiłone, co nadawało mu ulubiony wygląd typowego, niedbałego Amerykanina. Mierzył metr dziewięćdziesiąt, a jego budowa wskazywała raczej na siłę niż zręczność. Uśmiechem mógłby rozświetlić pokój, nie zawsze jednak uśmiechał się kiedy spodziewano się po nim uśmiechu. W związku z tym ludzie obserwowali go częściej niż można było oczekiwać, zupełnie jakby szukali u niego aprobaty.

Przybyli zajmowali miejsca na fotelach i kanapach, wielu wołało stać. Rozmawiano wyłącznie o porwaniu. Dwudziestka inteligentnych młodych ludzi, każdy na swój sposób próbujących zbawić świat. Tyle samo mężczyzn co kobiet. Zaledwie kilkoro przekroczyło czterdziestkę i było zawodowymi pracownikami polityków - znaleźli swe miejsce w świecie władzy, nigdy nie ubiegając się o żaden urząd. Lubili być adiutantami generałów, ale nie generałami. Uwielbiali cię potęgą padający na nich jako pracowników przewodniczącego Izby Reprezentantów, drugiej pod względem potęgi wybieralnej osoby na całym świecie. Stanbridge był po prostu kongresmanem wybieranym ze swego okręgu co dwa lata, jak wszyscy inni, pozycja przewodniczącego świadczyła jedynie o jego politycznej długowieczności, odporności i zdolnościach przywódczych. Jego ludzie dzielili z nim władzę, nie płacąc za nią latami bankietów, potrząsania dłońmi i uśmiechania się do obcych ludzi.

Przy tym doskonale znali swego pracodawcę. Wiedzieli, że nie jest człowiekiem wyjątkowym. Oczywiście, był inteligentny i zdolny, ale oni wszyscy, włączając w to

samego Dillona, uważali się za inteligentniejszych i w głębi serca lepszych od niego. Wiedzieli także, że Stanbridge jest bezgranicznie ambitny i że marzy o jednym: by zostać prezydentem.

Wstał teraz i przemówił do zebranych:

- Słuchajcie - powiedział i przerwał czekając, aż ucichnie gwar rozmów. - To może być trudna sprawa - oznajmił.

Stanbridge miał już niemal sześćdziesiątkę. Był niewysoki, ciemnokasztanowate sztywne włosy sprawiały wrażenie nieuczestnych. Poprawił sobie koszulę niczym oficer przed paradą. Służył w Wietnamie, na patrolowych łodziach rzecznych, czyli w jedynym miejscu, gdzie do oficerów Marynarki rzeczywiście strzelano.

- Nie wiemy, kim są ci terroryści i nie wiemy, o co im chodzi - kontynuował. - Porwali jeden z naszych statków i wypłynęli nim na morze. Są gdzieś na północ od Dżakarty. - Jego ludzie chłonęli każde słowo. Bardzo mu się to podobało. - Za pół godziny - zerknął na zegarek - a właściwie za dwadzieścia minut prezydent wystąpi na konferencji prasowej. Chcę się przygotować na wypadek, gdybym mógł coś pomóc. Jak wszyscy wiecie, to prezydent działa, w końcu taką ma robotę. Naszym zadaniem jest mu pomóc.

Uśmiechnął się. Jego ludzie odpowiedzieli mu uśmiechami.

- Rhonda - zwrócił się do jednej z siedzących z tyłu kobiet, mającej doktorat z historii Stanów Zjednoczonych, obroniony w Stanford. - Przygotuj wyciąg ze wszystkich dotyczących nas spraw, podczas których terroryści wzięli zakładników, z ostatnich dwudziestu lat. Chcę wiedzieć, jak wyglądało to niegdyś i jak reagowaliśmy.

Rhonda skinęła głową. Już zaczęła zbierać informacje na ten temat. Poprawiła kwadratowe okulary w stalowych oprawkach, gratulując sobie w myślach zdolności przewidywania. Stanbridge zawsze żądał tego samego: informacji o tym, jak Stany Zjednoczone poradziły sobie niegdyś w podobnych przypadkach, a także tego, jak postępowała druga strona. Jego zdaniem spójność polityki była czynnikiem najważniejszym i pomagała przewidzieć wyniki działań. Nie wierzył jednak w ślepe kopiowanie wzorów.

- Chuck - zwrócił się do byłego oficera Sił Powietrznych. - Skontaktuj się z Pentagonem. Chcę wiedzieć wszystko o wojskach, którymi dysponujemy w pobliżu. Chcę wiedzieć, do czego jesteśmy zdolni.

- Tak jest!

- Wszyscy macie uważnie słuchać co się mówi, a jeśli sądzicie, że powinienem się czegoś dowiedzieć, że czegoś nie wziąłem pod uwagę, macie powiedzieć mi o tym natychmiast. To nie zawody kto lepiej wypadnie. - Westchnął. - Pytania?

Nie było żadnych pytań.

- No to do roboty. Bądźcie z powrotem na konferencję prasową. Robin! - wrzasnął ponad ich głowami. - Dzwon do przewodniczących Komisji Obrony Narodowej Wywiadu. Chcę, żeby też się w to włączyli. - Spojrzał na Dillona. - A ty masz wszystko koordynować. - Patrzył mu w oczy, zastanawiając się, czy podjął właściwą decyzję. - Dasz radę?

Dillon odpowiedział zdecydowanym spojrzeniem, wściekły na ucisk, który poczuł nagle w żołądku.

Prezydent Edward Manchester wszedł na mównicę. Milczał czekając, aż uciszy się szmer rozmów. Spojrzał w dół, na tłumek podnieconych waszyngtońskich dziennikarzy. Pełnił urząd prezydenta od dwóch lat i przyzwyczajony był do konferencji prasowych, ale dziś po raz pierwszy miał wypowiedzieć się w sprawie aktu terroryzmu. Jak wielu innych żył to tej pory w przekonaniu, że międzynarodowy terroryzm dożył swych dni i w zasadzie miał rację. Z wyjątkiem kilku prób

przeprowadzonych przez tę lub ową frakcję Palestyńczyków, pragnących zerwać traktat między Organizacją Wyzwolenia Palestyny i Izraelem, od dwóch lat nie zdarzył się na świecie żaden przypadek terroryzmu, terroryzm nie zagrażał także, jak się do tej pory wydawało, Stanom Zjednoczonym.

Ubrał twarz w bardzo odpowiedni wyraz oburzenia podszytego współczuciem. Był mężczyzną wysokim o dużych, czystych, zaskakująco łagodnych oczach.

Spojrzał w kamery i na reporterów.

- Dzień dobry - powiedział stanowczym, poważnym głosem. - Otrzymaliśmy informację, że „Pacific Flyer”, pierwszy z bardzo obiecującej serii amerykańskich statków handlowych typu FastShips, przewożący ładunek nowych samochodów Forda o nazwie Ascenda, podczas postoju w porcie w Dżakarcie opanowany został przez terrorystów. Nie będę podawał wam informacji, które znacie równie dobrze jak ja, pragnę jednak powiedzieć, że... - zmarszczył brwi - ...nie będziemy tolerować aktów terroryzmu. - Oczy błysnęły mu groźnie. - Amerykanie mają zostać zwolnieni natychmiast, ukradziona własność zaś zwrócona prawowitym właścicielom. Nie wiemy, co w tej chwili dzieje się ze statkiem. Nie otrzymaliśmy żadnych informacji, wyjąwszy pierwsze wezwanie na pomoc. Zrobimy co w naszej mocy, by prawidłowo ocenić sytuację, a następnie podejmiemy właściwe kroki. Tyle mogę powiedzieć w tej chwili. A teraz, jeśli są jakieś pytania...

Kilku dziennikarzy skoczyło na równe nogi i zaczęło coś wykrzykiwać. Prezydent wywoływał ich po kolei.

- Bill? - powiedział, wskazując jednego z nich, siedzącego w pierwszym rzędzie.

- Panie prezydencie, czy były ofiary śmiertelne? Czy ktoś został ranny?

- Nie wiemy. Obecni na nabrzeżu w trakcie porwania twierdzą, że nie widzieli oznak przemocy. Najwyraźniej terroryści, przebrani - jeśli wolno mi dodać - za pracowników Forda, całkowicie zaskoczyli załogę. - Rozejrzał się po sali. - Sally?

- Panie prezydencie, czy nie sądzi pan, że przedwczesnym posunięciem było prośenie Forda o otwarcie salonu w Dżakarcie, w kraju nieco niestabilnym od czasu śmierci Suharto i wprowadzenia stanu wojennego? Czy porwanie statku jest skutkiem pana polityki „dyplomacji przez handel”?

Prezydent Manchester z napięciem patrzył na dziennikarkę.

- Podczas mojej kampanii wyborczej obiecywałem, że Ameryka pozostanie przywódcą świata, przeniesie jednak nacisk z przywództwa militarnego na przywództwo handlowe, że staniemy się ekonomicznymi przywódcami świata. W gruncie rzeczy jesteście nimi w tej chwili, od dłuższego czasu dysponujemy największą światową gospodarką. Chciałem jednak położyć na ten fakt większy nacisk, stworzyć nowy wizerunek, jeśli podoba się wam to słowo. Pragnąłem dotrzeć do serc innych krajów poprzez ekonomię. Obiecałem, że będziemy handlować, nie podbijać, że będziemy płacić dobre ceny i spodziewamy się, że i nam je zapłacą. Na tym skorzystałby każdy. - Pochylił się i oparł dłonie o mównicę. - Aż do dziś polityka ta sprawdzała się doskonale. Wraz z prawem ułatwiającym statkom budowanym w naszych stocznicach dostarczanie dóbr z i do Stanów Zjednoczonych, wszystko szło gładko. Przekonaliśmy się jednak, że zawsze istnieje ktoś chętny, by zburzyć to, co budowaliśmy do tej pory. - Zgarbił się i powoli pokręcił głową, jakby planował ten aktorski efekt, mający wzmocnić wagę jego słów. - Nie możemy jednak pozwolić terrorystom, by zniszczyli nasz plan usprawnienia ekonomii państw całego świata. - Przerwał na chwilę. - Być może chciałem osiągnąć zbyt wiele zbyt szybko. Uważam jednak, że im szybciej skłonimy państwa świata, by ze sobą handlowały, tym więcej skorzystamy na tym wszyscy. Nie sądzę, by porwanie „Pacific Flyera” mogło zmienić ten cel, choć z pewnością jest bezpośrednim wyzwaniem rzuconym mojej dyplomacji przez handel.

- Wyklucza pan akcję militarną?

Manchester pokręcił głową.

- W tej chwili nie wykluczamy niczego. Elisabeth?

Wskazał Elisabeth Duke, dziennikarkę „Chicago Tribune”. Trzasnęły migawki aparatów, podczas gdy dziennikarka szukała w notesie pytania.

- Panie prezydencie, czy mamy na miejscu oddziały wojskowe będące w stanie zaatakować terrorystów?

- Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć, Elisabeth.

Manchester odwrócił wzrok od dziennikarki.

- Jeszcze jedno pytanie, dobrze? - poprosiła go.

- Oczywiście - zgodził się niechętnie.

- Czy wojsko jest w stanie odpowiedzieć na tego rodzaju sytuację? Czy ma odpowiednie możliwości, niezależnie od tego, gdzie w tej chwili znajdują się jakie jednostki?

- Na to pytanie także nie odpowiem. David?

Prezydent wskazał korespondenta CBS akredytowanego przy Białym Domu.

- Panie prezydencie, czy konsultował się pan z Kongresem?

Edward Manchester skinął głową.

- Rozmawiałem z przewodniczącym Izby. W tej chwili zgadzamy się co do tego, co powinniśmy robić.

Szef personelu Białego Domu ustalonym wcześniej znakiem dał mu sygnał „koniec”. Prezydent zszedł z mównicy.

- To na razie wszystko - oznajmił. - Powiem wam więcej, kiedy sam będę coś wiedział.

Odwrócił się i wyszedł z sali, nie zważając na krzyki dziennikarzy. Wraz z szefem personelu, Arlanem Boschem, przeszedł do Gabinetu Owального, gdzie jego pracownicy oglądali konferencję w telewizji. Usiadł ciężko na fotelu.

- I co myślisz? - spytał Boscha.

- Doskonale pan sobie poradził, panie prezydencie. Niewiele miał pan do powiedzenia, więc niewiele mogło pójść źle.

- Dzięki za ten dowód zaufania.

Manchester zdjął marynarkę.

- Nie chciałem, żeby tak to zabrzmiało. W każdym razie było dobrze. Teraz musimy podjąć decyzję, co robimy.

- Mamy jakieś nowe informacje?

- Żadnych, panie prezydencie. Przesunęliśmy grupę bojową lotniskowca „Constitution” w kierunku, w którym powinien znajdować się „Pacific Flyer”. Będą go szukali.

- Nic więcej nie możemy zrobić - stwierdził zrezygnowany Manchester. Spojrzał na szefa personelu. - Czy nasi ludzie z wywiadu nie mieli pojęcia, na co się zanosi?

Bosch pokręcił głową i spojrzał na Cary'ego Warnera, dyrektora CIA.

- Cary? - powiedział, dając mu szansę zabrania głosu.

Warner powoli pokręcił głową. Usiadł prosto, trzymając cienkie nóżki jedną przy drugiej.

- Nie, panie prezydencie, nie mieliśmy żadnych informacji. Ci ludzie są najwyraźniej dobrze zorganizowani i bardzo dyskretni. Gdyby to była któraś ze znanych organizacji, coś byśmy wiedzieli.

Manchester przeszył go nieruchomym spojrzeniem, dając wyraz swemu niezadowoleniu. Obecni poruszyli się niespokojnie, a jemu bardzo się to spodobało.

- A jak myślisz, dlaczego przewodniczący uznał za wskazane do mnie zadzwonić? Dlaczego sądzi, że jest w stanie pomóc? - zwrócił się do Boscha.

- To przecież jasne. Gdy tylko uzna, że może się pan potknąć, zajmuje dobrą pozycję, by pana popchnąć...

Przerwał mu wejście Richarda Benisona, prawnika prezydenta, oraz dziewczyny tak ślicznej, że zagapili się na nią wszyscy obecni w pokoju mężczyźni.

Benison uniósł ręce w bezradnym geście.

- Przepraszam za spóźnienie, panie prezydencie.

- Nie ma sprawy, Richard - powiedział.

- Szef personelu powiedział, że chciałby pan włączyć w tę sprawę kogoś z mojego biura. Pomyślałem sobie, że Molly będzie idealną kandydatką. Pozwolę sobie przedstawić Molly Vaughan.

Prezydent ciepło uśmiechnął się do dziewczyny, która spojrzała mu prosto w oczy i odpowiedziała uśmiechem. Miała mniej więcej metr siedemdziesiąt. Była szczupłą, ciemnokasztanowate włosy czesała z przedziałkiem z boku; zaczesane za uszy spadały jej na plecy. Ubrana była w elegancki ciemnogrnatowy kostium i kremową jedwabną bluzkę.

- Dziękuję pani za pomoc - powiedział. - Być może przesadzam, sprawie będzie przyglądać się wielu prawników, zarówno z Departamentu Stanu jak i z Waszyngtonu, ale powiedziałem Richardowi, że chcę mieć kogoś z moich ludzi z biura prawnego, by pilnował wszystkiego w interesie prezydentury.

- Oczywiście - odparła Molly.

Po to właśnie istniało biuro prawne prezydenta. Rozbawiło ją z lekka, iż Manchester uznał za konieczne usprawiedliwienie się.

- Chcę, by przyjrzała się pani wszelkim możliwym implikacjom problemu. Zasady prowadzenia wojny, prawo międzynarodowe... i przerwał nie wiedząc, jakie jeszcze mogą być te implikacje, i ...wszystkiemu, co przyjdzie pani do głowy - dokończył. - Po prostu niech pani pilnuje moich interesów, dobrze?

- Cała przyjemność po mojej stronie, panie prezydencie.

Prezydent z wyraźną przyjemnością przyglądał się jej przez chwilę, a potem zwrócił się do reszty obecnych.

- Macie być pod ręką. Gdy tylko dostaniemy nowe informacje chcę wiedzieć, jakie mamy możliwości. Arlan, sprowadź tu admirała Harta. Życzę sobie, by członkowie Kolegium Szefów Sztabów zajęli się tą sprawą od początku, na wypadek, gdybyśmy mieli przeprowadzić operację uwalniania zakładników lub coś podobnego.

- Tak jest, panie prezydencie.

Komandor Mike Caskey, siedzący w fotelu w sali odpraw, z trudem stłumił ziewanie. USS „Constitution”, najnowszy i najnowocześniejszy z atomowych lotniskowców klasy Nimitz, przebywał na morzu nieprzerwanie od trzydziestu dni. San Diego opuścili pięć miesięcy temu.

Od czasu, gdy został pilotem Marynarki, Caskey brał udział w wielu rejsach. Kilkakrotnie przebywał na morzu miesiąc lub nawet dłużej, ale nigdy się do tego nie przyzwyczaił. Zawsze było to dla niego wyzwanie. Rozparł się w fotelu i wyciągnął nogi. Mierzył metr dziewięćdziesiąt wzrostu i był w znakomitej kondycji fizycznej, którą utrzymywał przede wszystkim podciągając się na stalowej szynie, biegnącej przez całą długość jego kabiny. Jasne włosy strzygł tak krótko, że niemal już nie zasługiwały na tę nazwę. Na morzu od czasu do czasu kazał je przycinać fryzjerowi, tym razem jednak się nie ostrzygł.

- Cześć, szefie - przywitał go podporucznik Bill Schmidt, któremu po przybyciu do jednostki oczywiście nadano przydomek „Messer”. Świeżo po Akademii Marynarki, Messer latał z Caskeyem jako RIO¹. Ich dywizjon, VF-143, w opinii pilotów uchodził za najlepszy w lotnictwie Marynarki. Nazywano ich Rzygającymi Psami z powodu symbolu: gryfa namalowanego z przygiętym grzbietem, by lepiej uwidocznić skrzydła. Przed dziesiątkami lat, namalowany niewprawną ręką po raz pierwszy na maszynie VF-143, rzeczywiście przypominał rzygającego psa. Pilotom nazwa ta niezmiernie się podobała. Używali jej aż do początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy szarże uznały ją za niezbyt odpowiednią i nakazały zmianę. Gdy Caskey objął dowództwo przywrócił ją i jak na razie nikt nie zmusił go do odwołania tej decyzji.

- Gotowy do lotu, Messer? - spytał.

Ich dywizjon miał właśnie wziąć udział w manewrach.

- Jasne - odparł spokojnie chłopak. - Niski przelot nad Bali? Banał. Nie wierzę, że chcą nam za to płacić.

Uśmiechnął się; miał zaraźliwy uśmiech. Uważano go powszechnie za bardzo kompetentnego oficera, zwłaszcza jak na pierwszą turę. Mimo iż był tylko podporucznikiem dorównywał każdemu porucznikowi. Wszyscy go lubili, on zaś wręcz uwielbiał Caskeya. Uważał możliwość latania z dowódcą dywizjonu za zaszczyt. Ponościł też, oczywiście, szaloną odpowiedzialność, przecież mógł spieprzyć sprawę przed człowiekiem, który miał pisać mu opinię o przydatności. Messer nosił jasne, kręcone włosy tak długie, jak tylko możliwe to było w myśl regulaminów Marynarki, w odróżnieniu od chyba wszystkich oficerów. Tylko z tego powodu zdarzało mu się popaść w konflikt z Caskeyem.

- Sprawdziłeś trasę?

- Jasne, że sprawdziłem trasę - spojrzał na Caskeya, zirytowany tym, że zwątpiono w jego umiejętności.

- Którą maszynę bierzemy?

Messer zerknął na tablicę ogłoszeń.

- Jeszcze nam żadnej nie przydzielili - powiedział.

Pojawiła się druga załoga, pozostająca w tej chwili w stanie podwyższonej gotowości; komandor Lary Landretti i Bill Warber, jego RIO, zajęła miejsce obok nich. Warto było na nich popatrzeć: Landretti, łysy i mierzący niespełna metr sześćdziesiąt był najniższym oficerem dywizjonu, Warber, niemal dwumeterowy i uparcie walczący, by utrzymać wagę poniżej stu dwudziestu kilogramów, najwyższy. Z powodów oczywistych nazywano go „Bykiem”.

¹ Radar Intercept Officer - członek załogi obsługujący radar i zajmujący się nawigacją [przyp. red.].

Odprawa miała być rutynowa: pogoda, zabronione kierunki lotu, zabronione manewry, naprawdę zabronione manewry oraz inne drobne i na ogół nieważne szczegóły.

Nagle ożył system nagłaśniający okrętu.

- Dowódcy dywizjonów wzywani są do Centrum Wywiadu Lotniskowca - rozległ się komunikat.

Caskey uniósł brwi i spojrzał ze zdziwieniem na kolegów. Odpowiedzieli mu podobnymi spojrzeniami. Wzruszył ramionami i wstał, obciągając rękawy oliwkowego kombinezonu lotniczego z niebieskimi naszywkami Rzygających Psów.

- Nie wiem o co chodzi - przyznał - ale mam zamiar się dowiedzieć.

Korytarzem po sterburcie przeszli do CVIC². Caskey wszedł do środka ostatni.

Po chwili w centrum pojawił się komandor Zeke Bradford, dowódca 7. Skrzydła Lotniczego, przystojny Murzyn o głębokim głosie. Uwielbiany przez oficerów i żołnierzy skrzydła, cieszył się reputacją doskonałego pilota i dżentelmena, nie wybaczącego jednak głupstw. Niegdyś latał na A-6, potem na F/A-18.

- Nie uwierzycie w to - powiedział. - Po prostu w to nie uwierzycie. - Pokręcił głową. - Słyszeliście o tej umowie z Fordem, na podstawie której mieliśmy otworzyć salon w Dżakarcie? Joint venture, współwłasność z Indonezyjczykami czy coś takiego. „Dyplomacja przez handel” i takie tam. - Pokazał im kawałek papieru. - Dostałem właśnie kopię sygnału Mayday wysłanego w eter przez „Pacific Flyera”. - Spojrzał w nic nie pojmujące oczy swych pilotów. - Tak się nazywał statek, który wiozł te Fordy do Dżakarty. Pływa pod banderą amerykańską. Ktoś go porwał.

Dowódcy dywizjonów spoglądali na siebie w zdumieniu.

- Jak oni to zrobili? - spytał Caskey.

- Weszli na pokład.

- Jak to „weszli na pokład”?

- Przeczytam wam - Spojrzał na trzymaną w dłoni kartkę. - „Mayday, Mayday. Nadaje „Pacific Flyer” z portu w Dżakarcie. Gdy tylko przybiliśmy do nabrzeża, na pokład weszła grupa terrorystów w niebieskich kombinezonach mechaników Forda. Mieli ze sobą torby. W torbach była broń. Właśnie opanowują statek. Zostaliśmy porwani. Nie wiemy, jakie mają zamiary. Czekaćcie chwilę”. - Bradford przerwał lekturę i spojrzał na swych ludzi. Potem czytał dalej: - „Słyszę uruchomione silniki. Odbijamy od nabrzeża. Terrorystów jest co najmniej dwudziestu, być może nawet trzydziestu. Nie mam pojęcia co się dzieje, ale potrzebujemy pomocy. Naty...” - I tym kończy się transmisja.

Caskey pokręcił głową.

- Kim są ci ludzie w kombinezonach? - spytał.

- Nie mamy pojęcia.

- Jaki mamy plan?

- Nie mamy żadnego - przyznał Bradford. - Czekamy na instrukcje od Narodowego Ośrodka Dowodzenia, ale możecie się założyć, że wkrótce wejdziemy do akcji. Na razie idziemy na zachód z prędkością bojową.

Dowódcy dywizjonów znów wymienili spojrzenia. I znów Caskey zabrał głos.

- Nasze skrzydło powietrzne niewiele może zdziałać. Przecież ich nie zbombardujemy. Wygląda mi to raczej na robotę dla SEAL³.

Bradford skinął głową.

² Carrier Vessel Intelligence Center - Centrum Wywiadu Lotniskowca [przyp. red.].

³ od Sea Air Land - nazwa elitarnego oddziału komandosów Marynarki USA [przyp. red.].

- Jestem dokładnie tego samego zdania. Uznałem jednak, że możemy trochę sobie polatać, pokazać im, że jesteśmy w okolicy. Niech wiedzą, że jeśli ruszą choćby paluszkami, wpadną w cholerne gówno.

- Ale przy okazji dowiedzą się, że mają na ogonie grupę bojową, która może spróbować różnych sztuczek - zauważył Dave Driver, który w związku ze swoim nazwiskiem nosił, oczywiście, przydomek „Pijany”⁴, dowódca VFA-136, jednego z dwóch dywizjonów F/A-18C

Dowódca skrzydła wzruszył ramionami.

- Zapewne tak - przyznał. - Ale ja wolę oznajmić im, że tu jesteśmy i możemy dać im w tyłek, gdyby popełnili jakąś głupotę.

Z takim podejściem do sprawy wszyscy się zgodzili.

- Kto może dotrzeć do nich pierwszy?

Caskey uniósł dłoń.

- F-14 dotrze do nich równie szybko jak F-18... lecz także zdoła powrócić - stwierdził, podkpiwając ze słabego punktu F-18, monstrualnego zużycia paliwa.

- Przy właściwym wykorzystaniu tankowców... - próbował protestować „Pijany” Driver, lecz Bradford przerwał mu w pół słowa.

- Nie, rzeczywiście, to robota dla F-14 - przyznał. - Chcę mieć w górze TARPS⁵ i jakieś dobre zdjęcia - dodał. - Oni mogą mieć ręczne wyrzutnie przeciwlotnicze, a my nie chcemy przecież stracić maszyny. Więc dokonajcie przelotu z prędkością naddźwiękową. Niech wiedzą, że nie żartujemy.

Caskey tylko pokręcił głową.

- Nie możemy zrobić jednocześnie jednego i drugiego. TARPS czy prędkość naddźwiękowa?

- A możecie zabrać ręczny aparat fotograficzny?

- Jasne. Messer jest dobry w te klocki. Zawsze wygrywa konkurs na zdjęcie tygodnia.

- W porządku. Przelot naddźwiękowy.

- Zgoda, przelot naddźwiękowy - potwierdził Caskey. - Czekamy na zgodę nim zaczniemy?

- Oczywiście. Na razie odwołaliśmy wszystkie loty. „Constitution” idzie na zachód z szybkością bojową wraz z tymi jednostkami grupy, które są w stanie za nami nadążyć. Wystartujecie kiedy tylko znajdziemy się wystarczająco blisko i kiedy dostaniemy zgodę. Na razie przygotowują się SEAL z „Wasp”, piechotę morską także postawiono w stan gotowości. Nie wiemy, jak potoczą się sprawy, więc bądźcie w gotowości. - Spojrzał na Caskeya. - MC, chcę, żebyś poleciał osobiście. Nikt nie może spieprzyć tej sprawy.

- Nie ma sprawy. - Caskey poczuł nagle podniecenie. - Kiedy mamy wystartować?

- Nie jestem pewien. - Obrócił się i spojrzał na PIAT⁶. Monitory zainstalowane w każdej sali odpraw pilotów oraz w centrum CMC podawały stale długość i szerokość geograficzną, na których znajdował się okręt. Zapamiętał dane i podszedł do wielkiej mapy ściennej. Lotniskowiec był na północ od Bali. Płynął na zachód z prędkością ponad trzydziestu węzłów. - Powiedziałbym, że wystartujecie za jakieś dwie godziny. Na razie chcę, żeby wystartowały wszystkie nasze S-3 i zaczęły szukać zaginionego statku. - S-3B Viking z VS-31, był ciężkim dwusilnikowym samolotem do walki z okrętami podwodnymi. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że to najlepsza na

⁴ Driver - kierowca [przyp. red.].

⁵ Tactical Air Reconnaissance Pod System - system czujników taktycznego rozpoznania powietrznego [przyp. red.].

⁶ Pilot Landing Assistance Television - system telewizyjny wspomagający pilota przy lądowaniu [przyp. red.].

lotniskowcu maszyna do przeszukiwania powierzchni morza ze względu na doskonały radar i możliwości wykonywania bardzo długich lotów. - Nie mamy pojęcia, dokąd popłynął po opuszczeniu Dżakarty.

Caskey też zerknął na mapę, po czym skinął głową.

- Będę gotowy - potwierdził. - Lecą dwie maszyny?

- Tak. Druga będzie cię osłaniać na wypadek, gdyby stało się coś nieoczekiwanego. Będziemy mieć też w powietrzu E-2, który pokryje radarem cały teren poszukiwań oraz klucz F/A-18, gdyby pojawili się nieoczekiwani goście. W tym porwaniu mogą uczestniczyć jednostki nawodne. Próbuje się połączyć z „Pacific Flyerem” od czasu gdy odebraliśmy wezwanie o pomoc, ale bez powodzenia. Nie wiemy, czy mają uszkodzone radio, czy też faceci nie chcą po prostu z nami gadać.

- Jakie mają radary? - zainteresował się Caskey. - Do poszukiwań w powietrzu też?

- Nie sądzimy, ale sprawdzamy właśnie u właścicieli statku. To naprawdę ładna, nowoczesna zabaweczka. Właściciele cholernie się wkurzyli. Naszym zdaniem mają tylko radar horyzontalny, coś z powietrza wyłapie, ale służy głównie namierzaniu innych statków i nawigacji.

- Więc pewnie nie zorientują się, że nadlatujemy.

Bradford pokręcił głową.

- Pewnie nie - zgodził się, ale w jego głosie zabrzmiała ostrzegawcza nutka.

- Admirał wie?

Bradford zmarszczył brwi.

- Nie, MC. Pomyślałem, że sam pokieruję grupą. Odwołam wszystkie loty, skieruję okręt na zachód, zarządzę loty rozpoznawcze...

- Przepraszam.

Caskey poczuł się głupio. W końcu doskonale znał admirała Raya Billingsa. Był jego dowódcą na „Nimitzu”.

- Tak przy okazji, właśnie wybieram się do admirała. Macie jeszcze jakieś głupie pytania?

Dowódca skrzydła ostatni raz obrzucił ich wzrokiem, odwrócił się i wyszedł.

- Ciekawe czego chcą? - zastanowił się Wayne Berry, dowódca VF-11, drugiego dywizjonu F-14.

- Widowni. Zawsze chodzi o to samo. Nadać rozgłos jakiejś sprawie, która wydaje im się ważna - odparł Pijany. Nagle oczy mu błysnęły. - A w ogóle kto zdecydował, że być terrorystą to w porządku? Że to coś jak być żołnierzem?

- Nikt nigdy tego nie powiedział - zaprotestował Caskey.

- Zastanówcie się. Nikt z nas nie jest zły, nikt się nie wkurzył jak cholera. -

Spojrzał na milczących kolegów i mówił dalej, nie przejmując się tym, że nikt go nie popiera. - Zachowujemy się tak, jakbyśmy zaakceptowali terrorizm jako coś normalnego, oczywistego. Terrorizm nas nie złości.

- Nie sądzę, żeby to co mówisz było w porządku - zaprotestował Caskey. - Po prostu tyle go mamy wokół siebie, że się przyzwyczailiśmy.

- Właśnie o to mi chodzi. Nie wolno nam go akceptować.

Driver poderwał się z fotela i wyszedł z CVIC

Dwaj mężczyźni w kombinezonach Forda wzięli ciało Franklina za ramiona i powlekli je po pokładzie. Krew zalewała twarz i szyję pierwszego mechanika. Bonham z trudem opanowywał gniew, zarówno na siebie, jak i na terrorystów. On był za wszystko odpowiedzialny. Nie zabezpieczył swego statku w wystarczającym stopniu. W ogóle go nie zabezpieczył i nie zrobił nic, by powstrzymać atakujących. Jeśli ktoś powinien zginąć, to raczej on niż Franklin.

Waszyngton obrócił się w stronę załogi i wskazał Jenkinsa.

- Niemądre używać radio - powiedział. W oczach miał zimny błysk. - Rozumiecie?

Załoga z rozpaczą przyglądała się, jak terroryści przerzucają ciało Franklina przez reling. Waszyngton kontynuował przemowę.

- Wszyscy wracać na stanowiska - rozkazał. Wydał swym ludziom jakiś rozkaz. - Mój człowiek idzie z każdym z was. Zrobicie głupio, zastrzeli. Rozejść się! Żadnych rozmów. Już.

Nie było wątpliwości, że nie żartuje.

Załoga rozeszła się, powoli, niepewnie; każdy bał się popełnić błąd. Za każdym jej członkiem szedł terrorysta z gotową do strzału bronią i dużą torbą.

Dwa F-14B Tomcat mknęły na zachód. S-3 patrołowały teren od godziny, nie udało im się jednak namierzyć „Pacific Flyera” wśród dziesiątek pływających po tym akwenie statków. Messer zaznaczył jego ostatnią znaną pozycję i wykreślił wokół niej krąg oznaczający maksymalny dystans jaki statek mógł do tej chwili pokonać. Poszukiwania rozpoczęli po obwodzie koła. S-3 poinformował, że południowo-wschodni kwadrant jest czysty.

- Widzisz coś? - spytał go Caskey przez interkom.

- Widzę całą kupę statków. Doprawdy nie wiem, jak mielibyśmy znaleźć ten.

- Podobno jest duży, a raczej względnie duży - przypomniał mu pilot.

- Na ekranie radaru wszystkie wyglądają mniej więcej tak samo.

- Wybierz jeden do sprawdzenia.

- Przyjąłem. Skręć w lewo na 280. Jest tam jeden, odległość... trzydzieści siedem kilometrów.

Caskey wykonał łagodny skręt o pięć stopni. Zaczęli z pułapu tysiąca pięciuset metrów, wystarczająco wysoko, by mieć przyzwoity horyzont radarowy, wystarczająco nisko, by móc szybko zejść i sprawdzić jakiś statek.

- Odległość? - spytał.

- Trzydzieści jeden kilometrów.

Caskey zmrużył oczy, próbując dostrzec statek, widział jednak wyłącznie pusty niebieski ocean. Na radarze okolice Jawy wydawały się wręcz usiane statkami. Leciał w stronę celu z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę, uważnie obserwując stan paliwa i odległość od lotniskowca.

- Osiemnaście kilometrów - zameldował Messer.

- Widzę cel - powiedział Caskey, dostrzegłszy na horyzoncie biały statek. Na razie stwierdził jedynie, że to duży statek handlowy. Obniżył nos maszyny.

- Dziewięć kilometrów! - krzyknął Messer.

- Wezmę go od sterburty. Płynie na południe, to niedobry znak.

- Nie sądzę, żeby wracali do portu.

Wyrównali na stu pięćdziesięciu metrach i zbliżyli się do statku od sterburty, mając go po swojej prawej. Niemal od razu zorientowali się, że to nie „Pacific Flyer”. Biały kolor się zgadzał, ale kształt był zupełnie inny.

Następnie Caskey stopniowo ściągnął na siebie drążek, podnosząc nos Tomcata, aż wzniosł się pionowo w niebo. Gdy weszli na pułap tysiąca dwustu metrów obrócił maszynę na plecy i skierował na południe, a na tysiącu pięciuset metrach wyrównał lot

- Następny - poleciał.

- Trzydzieści w prawo, odległość dwadzieścia osiem kilometrów - odparł natychmiast Messer.

- Mam cel - stwierdził pilot. - Większy niż ten poprzedni.

Do drugiego statku zbliżyli się od strony dziobu. Płynął wprost na nich, ale niezbyt szybko, odkosy dziobowe były niewielkie.

Caskey odetchnął głęboko.

- Chyba go mamy, Messer. Nastaw aparat. Idę w lewo, potem w prawo. Podejść od sterburty.

- Dobra - zgodził się Messer, sprawdzając ustawienia kamery.

- No to lecimy.

W locie opadającym skręcił ostro w lewo, a potem ostro w prawo. Przelecieli nad statkiem z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę, na wysokości stu pięćdziesięciu metrów, w odległości mniej więcej czterystu metrów. Na pokładzie nie dostrzegli nikogo. Messer pstrykał kolejne zdjęcia trzydziestopięciomilimetrowym aparatem i teleobiektywem, szukając wyrzutni rakietowych. Błyskawicznie minęli statek. Skrętili ostro w prawo, przyspieszenie wcisnęło ich w siedzenia. Na czerwonym kadłubie Caskey dostrzegł wypisaną wielkimi białymi literami nazwę „Pacific Flyer”. Pilot wyrwał w górę, by oddalić się od statku, nie przelatując nad nim. Włączył dopalanie, Tomcat wspinał się w niebo pod kątem czterdziestu pięciu stopni.

Na trzech tysiącach metrów Caskey przewrócił samolot na plecy i ściągnął drążek. Przeciążenie wzrastało, nos maszyny zszedł poniżej linii horyzontu i Tomcat runął w kierunku oceanu. Pilot podniósł głowę - przez wiatrochron widział ocean, niemal natychmiast dostrzegł też „Pacific Flyera”, jaskrawobiałego na niebieskim tle. Caskey ściągał drążek na siebie. Przy siedmiu G nos znów wyszedł nad horyzont; samolot wykonał niemal pełną pętlę. Mając nos wycelowany w „Pacific Flyera”, Caskey oddał drążek i dał pełne dopalanie.

- Szybkość?

- Tysiąc kilometrów i wzrasta, pułap dwa tysiące metrów.

Przeciążenie znikło, nos Tomcata mierzył w cel. Jego załoga znalazła się teraz w stanie nieważkości. Ciąg samolotu zrównoważył jego masę. Silniki żarły paliwo i pluły niebieskim płomieniem. Ich maszyna mogła przyspieszać idąc pionowo w górę, ale przy zerowej grawitacji, z nosem w dół, mogła naprawdę przyspieszać.

- Naddźwiękowa - powiedział spokojnie Messer, gdy przekroczyli barierę dźwięku.

- Przyjąłem.

Pikowali z nosem wymierzonym w cel.

- Prędkość 1,2 macha.

- Przygotować się do ustalenia pozycji.

- Gotów.

Messer pochylił się i uważnie obserwował statek. Zbliżali się do niego od rufy, z prędkością wynoszącą 1,2 szybkości dźwięku. Mieli się z nim zrównać za trzy sekundy.

Przemknęli nad „Pacific Flyerem” od sterburty.

- Pozycja - rzucił Caskey.

Messer natychmiast wcisnął przycisk zaznaczający ich dokładną pozycję na komputerowym systemie nawigacyjnym. Pilot ściągnął następnie drążek i skrzydła Tomcata wygięły się pod naporem powietrza. Wilgotne powietrze kondensowało się za nimi, przed falą dźwiękową powstała jasna smuga pary wodnej.

- Unik w lewo! - krzyknął Messer.

Zauważył mknącą w ich kierunku rakietę. Caskey natychmiast położył maszynę na skrzydło i skręcił w stronę „Pacific Flyera” z przeciążeniem 7 G. Skrzydła miał złożone, bowiem nadal lecieli z prędkością naddźwiękową.

- Wyłącz dopalanie! - krzyknął Messer.

Caskey wpadł na ten pomysł niemal w tej samej chwili i przesunął dźwignię ciągu. Samolot zwolnił gwałtownie, jakby trafił w ścianę. Rzuciło ich w przód.

- Skąd się wzięła ta rakieta? - warknął pilot.
- Otwarty właz tuż za mostkiem - odparł Messer, obserwujący niewielki pocisk.
- Już po wszystkim, wypaliła paliwo.

Rakieta zawisła w powietrzu, po czym zaczęła spadać w stronę oceanu.

Caskey zawrócił i zaczął oddalać się od statku. Zszedł tuż nad powierzchnię oceanu, co zabezpieczało go przed innymi niespodziankami ze strony nowej załogi „Pacific Flyera”.

- Nie było to miłe - zauważył, sprawdzając stan paliwa i zegar.
- Nadejdzie dzień, kiedy może dostaniemy pozwolenie na pokazanie im, jak wygląda prawdziwa rakieta - warknął Messer, wściekły na pot, ściekający mu po plecach i suche usta.

Z mostku „Pacific Flyera” mężczyzna, który sam siebie nazywał Waszyngtonem, obserwował znikające za horyzontem F-14.

- Nie zaatakował nas - stwierdził, odzyskując równowagę po tym, jak dwa okna na mostku rozleciały się od huku, z którym amerykański myśliwiec przekroczył barierę dźwięku.

- Wróci - powiedział z nadzieją Bonham.

Waszyngton zmarszczył brwi. Nagle sprawiał wrażenie wściekłego.

- Nie! Nie chcą was zranić - powiedział, patrząc przez wybite szyby w ślad za Tomcatem.

- Prawdopodobnie czekają, żebyś się z nimi skontaktował - podpowiedział mu Bonham. - Powinieneś skorzystać z radia.

Terrorysta przełożył broń do drugiej ręki.

- Radio zniszczone - stwierdził krótko.

Kapitan spojrzał na niego, nagle zaniepokojony.

- Dlaczego?

- Niepotrzebne.

- To jak chcesz porozumieć się ze światem?

- Nic do powiedzenia.

- Nie masz żądań?

- Nie, jeszcze nie mam.

Bonham poczuł, jak zimny pot spływa mu po kręgosłupie.

- A czego właściwie chcecie?

- Zobaczysz. Niedługo.

- Nie. Powiedz mi teraz! - Bonham powiedział te słowa głośniejszym głosem niż zamierzał. - Powiedz mi, czego chcesz. Może jakoś ci pomogę.

Aż się dławiał na samą myśl o udzieleniu pomocy terrorystom.

Waszyngton stał naprzeciw niego. Rozejrzał się, szukając na horyzoncie innych statków.

- To dopiero początek, kapitanie - uprzedził. - Już wkrótce czwarte pod względem wielkości państwo świata uzyska pozycję, na którą zasługuje.

- O co ci chodzi? Pracujecie dla Japończyków?

Waszyngton odwrócił się do niego plecami i przeszedł na drugi koniec mostku.

- Wy, Amerykanie, jesteście tacy głupi. Tacy aroganccy - syknął z nienawiścią. - Nauczyć was czegoś można tylko siłą.

Porucznik Jody Armstrong z niedowierzaniem wpatrywał się w Buda Coopera, dowódcę USS „Wasp”.

- W środku dnia? - spytał.

Cooper skinął głową i wyprostował się, próbując przybrać jeszcze bardziej władczy wygląd. Nie był jednak tak pewny rozkazów, które musiał wydać.

- Nie wiemy, co robią. Nie możemy czekać do zmierzchu - powiedział.

„Wasp” stanowił jądro desantowej grupy bojowej „Constitution”. Na pokładzie stacjonowali żołnierze piechoty morskiej, komandosi SEAL oraz helikoptery. Był to najnowszej generacji okręt desantowy. Na jego pokładzie lądować mogły samoloty pionowego startu Harrier oraz helikoptery CH-53 i CH-46. Na rufie znajdowała się ładownia, dzięki której mógł on wysyłać i przyjmować poduszki i łodzie desantowe. W razie konieczności ładownię po prostu zalewano i łodzie ruszały, niosąc na miejsce przeznaczenia oddziały marines, ciężarówki, czasem nawet czołgi. Pluton komandosów SEAL Armstronga operował jako wsparcie grupy.

- My? - zdziwił się Armstrong.

Na lewej piersi munduru khaki nosił błyszczącą odznakę SEAL nazywaną „Budweiserem”, bowiem przypominała logo zdobiące każdą puszkę tego piwa. Mundur miał nieskazitelny, opalenizna podkreślała zdecydowane rysy jego twarzy. Przerwano mu właśnie inspekcję, był więc w kiepskim humorze.

Jako oficer dowodzący plutonem SEAL na „Wasp” spodziewał się oczywiście problemów, ale przecież nie takich problemów! Na zaplanowanie operacji mieli na ogół kilka dni, a teraz kazano im wyruszyć za pół godziny.

- Właśnie dostaliśmy pozycję statku - tłumaczył Cooper. - Znalazł go F-14. Tu macie długość i szerokość. - Podeszedł do mapy zachodniego Morza Jawajskiego, umieszczonej na ściennej tablicy. Wskazał punkt odległy o sto dziesięć kilometrów na północ od Dżakarty. - Nadal płyną na północ, wydaje się jednak, że zwolnili.

- A gdzie my jesteśmy?

- Dokładnie w tym miejscu. Tuż na północ od Bawean.

- Pięćset pięćdziesiąt kilometrów.

Armstrong pogładził się po wystrzyżonym ciemieniu.

- Owszem.

Porucznik z namysłem przyglądał się mapie. Rozważył warunki przeprowadzenia operacji i zamyślił się jeszcze bardziej. Wreszcie zwrócił się do oficera wywiadu okrętu, komandora porucznika Tylera Lawsons.

- Wiemy, ilu ich jest? - spytał.

SEAL niezwykle poważali Lawsons, wywodzącego się z ich formacji i nadal noszącego na piersi Budweisera. Trzy lata temu nadwreżył kręgosłup podczas skoku ze spadochronem i z tego powodu nie kwalifikował się już na komandosa. Złożył podanie o zmianę specjalizacji na wywiad. Pracował teraz jako oficer wywiadu, specjalizujący się w użyciu SEAL w operacjach desantowych, operacjach specjalnych i konfliktach lokalnych.

- Wiemy tylko tyle, że terrorystów jest dwudziestu, być może trzydziestu - powiedział powoli Lawson. Spojrzał na Armstronga. - Mamy tylko tę wiadomość od radiooperatora. Dostaliśmy przeskanowane zdjęcie z F-14 na „Constitution”, ale widać na nim tylko kilku ludzi na mostku. - Przykleił je na ścianie obok mapy. Z rękami na biodrach przyjrzał mu się, a potem samej mapie. Patrzył na zaznaczoną szpilką pozycję statku. Znał jego kierunek i szybkość. - Dokąd, do cholery, płyną? - spytał, nie adresując pytania do nikogo w szczególności. - Dlaczego kierują się na otwarte morze, a nie do brzegu? - Pokręcił głową, nie znajdując odpowiedzi na to

pytanie. - Przecież mieliby łatwiejszą sytuację i o wiele więcej możliwości, gdyby pozostali przy nabrzeżu w Dżakarcie. Nic nie rozumiem. Chyba że mają spotkać się z jakimś innym statkiem? Ale jakim? Okrętem jakiejś marynarki? Dokładnie wiemy, gdzie kto jest na Pacyfiku i wiemy, że nikt nie może im pomóc... a w każdym razie nie bez naszej wiedzy.

Armstrong także wpatrywał się w mapę.

- Jeśli mamy ruszać już, to możemy załatwić to wyłącznie w jeden sposób. -

Spojrzał na Lawsona. - Wiatraki gotowe?

Kapitan skinął głową.

- Muszę zabrać wszystkich. Nie wezmę jednego oddziału na statek opanowany przez dwudziestu lub trzydziestu terrorystów i... ilu marynarzy ma „Pacific Flyer”?

- Dwudziestu sześciu.

- Trzydziestu terrorystów i dwudziestu sześciu zakładników? - Armstrong tylko pokręcił głową. - Cholera, komu zależy, żebyśmy weszli do akcji tak wcześnie! Nie dajemy im nawet okazji, żeby rozegrali swe karty. - Przerwał na chwilę. - To robota dla DEVGROU - stwierdził, mając na myśli Naval Special Warfare Development Group, niegdyś Zespół Szósty SEAL, specjalizujący się w działaniach antyterrorystycznych. - To ich operacja!

Lawson zawahał się.

- Moim zdaniem Waszyngton wie coś, czego my nie wiemy - powiedział w końcu.

- Na przykład?

- Nie jestem pewien. Próbuję wyczytać coś z tego, co dostałem. Może przechwycili jakieś dodatkowe informacje? Coś, co skłoniło ich do przyjęcia założenia - zresztą może nawet wiedzą o tym z całą pewnością - że ci ludzie nie mają zamiaru pozostać na widoku zbyt długo. Na przykład, może nie jest to zwykłe porwanie i próba wykorzystania zakładników? Może terroryści mają na myśli coś innego?

- Na przykład co?

- Nie mam pojęcia. Wiem tyle, że powinniśmy ruszać, oni tak twierdzą.

- Kto tak twierdzi?

- Naczelný Ośrodek Dowodzenia.

- No i dobra. - Armstrong nie miał problemu z rozpoznaniem ściany, która przed nim wyrosła. - A jakie dokładnie dostaliśmy rozkazy?

- Odbicie zakładników. Żadnych strat.

- Wskocz do wody, tylko się nie zamocz. - Andersen znów pogрузił się w myślach.

Rozważał plan misji, nieświadomie napinając mięśnie ramion, widoczne pod obcisłymi rękawami munduru. - Musimy po prostu ich zaatakować - stwierdził w końcu. - Z całą pewnością nie mogę obiecać, że nie będzie ofiar. To zależy od nich. -

Spojrzał na Lawsona i Coopera. - Zgadza się?

Obaj niemal jednocześnie skinęli głowami.

Armstrong wyprostował się. Pokręcił głową.

- Przecież to nigdy nie dzieje się w ten sposób. Nie wejdziemy na statek, żeby uciąć sobie pogawędkę, lecz po to, by uwolnić Amerykanów. Jeśli terroryści nie zechcą ich zwolnić, musimy ich rozwalić. To proste. Czy wolno mi działać w ten sposób, czy nie?

- Nie wiem - odparł sfrustrowany Cooper. - Nie mogę udzielić ci żadnych wskazówek.

- Może powinniśmy zażądać wyjaśnień...

- Nie ma czasu - przerwał Cooper, patrząc na zegarek. - Musicie ruszać już!

- Czyli wcinamy głównie z uśmiechniętą gębą?

- Zróbcie co możecie.

Armstrong przyglądał mu się chłodno. Nie wściekał się na Coopera, lecz na rozkazy, które otrzymał.

- Złożę się, że komandor porucznik Becker sprzeciwiłby się wykonaniu tych rozkazów - dodał.

Becker był dowódcą Navy Special Warfare Task Unit - oddziału Marynarki do zadań specjalnych, odpowiedzialnym nie tylko za pluton SEAL, lecz także oddział desantowy. Tydzień temu udał się do Tajlandii na ćwiczenia.

- Być może. Ale jego tu nie ma. Odpowiedzialność spada na ciebie.

Waszyngton włączył mikrofon na mostku „Pacific Flyera”. Czekał na jakiś dźwięk, a potem dmuchnął i, usłyszawszy swój oddech w głośnikach statku, w rodzimym języku zaczął wydawać rozkazy swym ludziom. Mówił przez trzydzieści sekund, po czym odłożył mikrofon.

- Podejź - rozkazał kapitanowi.

Bonham spojrzał na niego wyzywająco i nie poruszył się.

- Podejź - powtórzył terrorysta z większym naciskiem.

- Dlaczego? Co teraz będzie? Boicie się, że Marynarka Stanów Zjednoczonych zaatakuje statek i zdobędzie go? Bo go zdobędzie. Tylko popatrz, co spotkało facetów z „Achille Lauro”.

Waszyngton lekceważąco machnął ręką.

- Masz tu podejść, już! - powtórzył.

Bonham podszedł do Waszyngtona i stanął naprzeciw niego.

- I co teraz?

- Wciągnij ręce.

Waszyngton pochylił się i wyjął z torby kajdanki.

- A ciebie co, tchórz obleciał? Boisz się, że cię zaatakuję albo co?

- Zamknij się.

- Zastrzeleś jednego z moich ludzi jak psa. Jesteś nędznym mordercą.

Oczy Bonhama płonęły.

- Ty nie mówić! - krzyknął Waszyngton, brutalnie zaciskając kajdanki na skutych za plecami rękach kapitana.

- Dlaczego to robisz?

- Nic nie mówić - syknął terrorysta, przysuwając twarz do twarzy Bonhama i unosząc lufę pistoletu.

- Doskonale, zastrzel mnie - warknął kapitan.

Waszyngton wyjął z torby rolkę taśmy, uwał kawałek i zakleił mu usta, nie zważając na pogardę w oczach ofiary. Następnie wydał polecenie jednemu ze swych ludzi, który przykuł Bacona do steru. Kolejny wyjął z torby jakieś ciężkie urządzenie w kształcie płaskiego walca. Bonham nie widział nigdy niczego podobnego. Jeden z terrorystów wyniósł je na skrzydło mostka po sterburcie i tam je zostawił. Pozostali terroryści otworzyli torby i wyjęli z nich identyczne urządzenia o średnicy mniej więcej czterdziestu pięciu centymetrów i grubości dwunastu centymetrów, wyglądem przypominające latające spodki. Waszyngton sięgnął pod spód swojego i przestawił przełącznik. Kiedy postawił je na pokładzie przywarło do niego mocniej, niż mogłoby to wynikać z jego ciężaru.

Bonhamowi, obserwującemu te przygotowania, pot ściekał z czoła. Waszyngton zerknął na zegarek i zaczął się poruszać odrobinę szybciej.

Armstrong polecił swemu zastępcy przeprowadzić inspekcję wyposażenia żołnierzy. Wszyscy oni byli doskonale wyszkoleni i gotowi do działania, dzisiejsza ich misja wydawała się jednak spieprzona od samego początku. Brakowało im czasu na

przygotowanie, plan działania był w najlepszym razie ogólny, a celów za wiele. To się może skończyć spektakularną katastrofą, pomyślał. Być może czeka nas sława tych SEAL, którzy utonęli po skoku spadochronowym podczas inwazji na Grenadę. Rozkazano im jednak działać w ten sposób, więc będą działać w ten sposób.

- Wszystko gotowe, panie poruczniku - zameldował starszy mat Lee.

- Dziękuję - odparł Armstrong.

Komandosi siedzieli na przymocowanych do burty składanych krzeselkach w Sikorsky CH-53E, gigantycznym trzysilnikowym helikopterze. Reszta plutonu znajdowała się w drugim CH-35E, lecącym równie szybko co pierwszy i równoległe do niego, sto pięćdziesiąt metrów z boku. Sikorsky miał większy udźwig i zasięg niż jakikolwiek inny helikopter na stanie Marynarki i piechoty morskiej, mógł także tankować podczas lotu. Mknął nad błękitnym oceanem na wysokości trzydziestu metrów. Armstrong czuł zapach paliwa lotniczego w wilgotnym powietrzu, wpadającym do wnętrza przez otwarty luk.

Piloci dostrzegli duży statek i natychmiast wychylili się w fotelach, by sprawdzić, czy to ich cel. Dostali całkiem przyzwoity namiar na jego pozycję z GPS przekazany z F14, ale nie mogli być przecież pewni wszystkiego.

Helikoptery zwolniły i zeszły niżej. Przez boczne okno Armstrong obserwował ocean zbliżający się tak szybko, że mogło się wręcz wydawać, iż helikopter lada chwila zderzy się z jego powierzchnią. Nie potrafił ocenić, jak wysoko lecą. Jedynym punktem odniesienia był horyzont, a on już dawno nauczył się, że ocean wygląda tak samo z pułapu tysiąca pięciuset metrów jak i z trzydziestu. Pilot podał mu informację: jeszcze sześć minut.

- Sprawdzić wyposażenie! - rozkazał swym ludziom. Dwa ciemne helikoptery zbliżały się do celu na pułapie trzech metrów. - Dwie minuty! - krzyknął szef personelu pokładowego, opuszczając rampę znajdującą się z tyłu helikoptera. Czekał, póki nie opuści się całkowicie. Spojrzał na porucznika Armstronga, który odpowiedział mu skinieniem głowy.

Marines, którzy uczyli się pilotować swe Sea Stallony w każdych warunkach, nadali im teraz maksymalną prędkość. Lecieli tuż nad wodą z szybkością trzystu kilometrów na godzinę. Helikoptery przedzierały się przez wilgotne powietrze, każda z sześciu masywnych łopat uginała się pod ich ciężarem.

Z helikoptera, którym leciał Armstrong widać już było jego kadłub. Na szczęście „Pacific Flyer” miał bardzo charakterystyczną sylwetkę, ułatwiającą jego identyfikację wzrokową.

- To on! - krzyknął pilot, starając się określić kurs statku.

Zamierzał podlecieć do niego od rufy.

Helikopter wzniósł się, by uniknąć uderzenia łopatami w wodę i skręcił w lewo, wytracając prędkość. Na razie podlatywali do „Pacific Flyera” od dziobu. Okrążyli statek lecąc nisko, na horyzoncie. Nadal oddaleni byli od niego o przeszło pięć kilometrów i dostrzec mógł ich wyłącznie bardzo uważny obserwator, który w dodatku musiałby wiedzieć, czego szuka. Pilot zauważył, że statek wydaje się nieruchomy... dziwna sprawa. Najszybszy statek handlowy świata stoi w wodzie? Rozejrzał się, szukając wzrokiem innych statków lub samolotów. Nic. Zbliżał się więc do „Flyera”, dając jednocześnie znak komandosom, by się przygotowali. Szef załogi krzyknął:

- Minuta!

Armstrong gestem nakazał swym ludziom stanąć w szeregu. Czterech pierwszych przyczepiło do uchwytów kadłuba specjalnie plecione, trzydziestometrowe liny, zwinięte tak, by wystarczyło je kopnąć, by rozwinęły się swobodnie, spadając na pokład statku.

Helikopter leciał z równą prędkością tak nisko nad powierzchnia morza, jak to tylko było możliwe ze względów bezpieczeństwa, Sześćset metrów przed celem pilot gwałtownie uniósł nos maszyny, używając wirników nośnych jako wielkiego hamulca. Helikopter wyhamował i powoli zbliżał się do rufy. Wiszący nad pokładem rufowym Sea Stallon przypominał wielkiego owada. Dwaj snajperzy SEAL zawisli w otwartych drzwiach i wymierzili swoje M14 w pokład, szukając śladu jakiegokolwiek ruchu.

Helikopter zatrzymał się w odległości dwustu metrów od rufy, nieco po jej lewej stronie tak gwałtownie, że Armstrong upadłby, gdyby się czegoś nie przytrzymał. Snajperzy nadal obserwowali statek przez celowniki. Jeden z nich uniósł w górę kciuk, sygnalizując dowódcy, że nie widzi niebezpieczeństwa. Wiadomość tę przekazano przez radio do drugiego helikoptera, który podleciał szybko i zatrzymał się dokładnie nad rufą Super Stalliona. Komandosi zrzucili liny i zjechali po nich na pokład. Pusty helikopter poderwał się i odleciał. Jego miejsce zajęła maszyna Armstronga.

Porucznik Armstrong zjechał na pokład „Pacific Flyera” jako pierwszy z drugiego Sea Stalliona. Wylądował i natychmiast podbiegł do lewej grodzi przy szerokim przejściu otaczającym statek i prowadzącym na mostek. Trzymając w ręku pistolet maszynowy obserwował swych ludzi, którzy zjechali po linie za nim, w ciągu niespełna dziesięciu sekund. Szef załogi wyrzucił za nimi dwie ciężkie torby, które spadły na pokład z głośnym łomotem. Helikopter poderwał się, skręcił ostro w lewo, oddalił o czterysta metrów i zatrzymał w zawisie. Snajperzy nadal mierzyli z niego w statek.

Nagle zrobiło się bardzo cicho. Komandosi rozstawili się po pokładzie i słuchali.

Następnie rozproszyli się, okrążając pokład, odwróceniem do siebie plecami. Poszukiwali jakiegokolwiek śladu życia... lub niebezpieczeństwa. Każdy z żołnierzy wyposażony był w aktywowany głosowo mały krtaniowy nadajnik Motoroli, w czarne hełmy wbudowane mieli słuchawki. Armstrong zarządził sprawdzenie łączności. Odpowiedzieli zgodnie z ustaloną wcześniej kolejnością, według starszeństwa, od pierwszego do czternastego, plus dwaj saperzy, piętnasty i szesnasty. Cała procedura zabrała im nie więcej niż dziesięć sekund.

Armstrong przyjrzał się swym ludziom, czekając na sygnał „wszystko w porządku”. Podbiegł do Lee, stojącego po lewej stronie przejścia na mostek.

- Co tu mamy? - spytał klękając obok niego.

- Nic nie mamy. Żadnych dźwięków, żadnego ruchu, silniki milczą, nic się nie dzieje. Powiedziałbym, że statek został opuszczony.

Porucznik pokręcił głową.

- Nie robiliby sobie takich kłopotów, by opuścić statek - stwierdził. - Sądzę, że na nas czekają. - Sprawdził swego H&K, ofensywną broń ręczną kalibru 0,45 cala, zaprojektowaną z myślą o Siłach Specjalnych. Wyposażona była w groźnie wyglądający tłumik, na osłonie spustu znajdował się zaś moduł celownika laserowego. Strzelało się z niej tęponosą amunicją o zwiększonej skuteczności rażenia, minimalizującą jednocześnie niebezpieczeństwo postrzelenia ukrytego za terrorystą zakładnika. - Plan Alfa - rozkazał. - Dowództwo i łączność zostają na rufie, cała reszta oddziału na mostek.

- Tak jest, panie poruczniku - potwierdził Lee i rozejrzał się, by sprawdzić, czy rozkaz Armstronga dotarł do wszystkich.

Żołnierze potwierdzili jego przyjęcie podnosząc w górę kciuki. Lee służył pod Armstrongiem trzy lata i wiedział, że jest to prawdziwy przywódca o niesłychanie wyostrzonym instynkcie, dzięki któremu wie, kiedy atakować natychmiast, a kiedy przez dwa dni tkwić w błocie. Sprawdził, czy jego wyposażony w tłumik pistolet maszynowy jest zabezpieczony, po czym wymierzył palec w dwóch matów, którzy według planu mieli pozostać na rufie. Obaj potwierdzili przyjęcie rozkazu i rozstawili

się tak, by jak najlepiej kryć teren. Pozostała czternastka stanęła po bakburcie i sterburcie z bronią gotową do strzału. Armstrong odczekał trzy sekundy, po czym gestem polecił pierwszemu w szeregu, by poprowadził zespół. Pobiegli w stronę dziobu. Nikt nie wyłamał się z szyku, każdy pilnował przyznanego mu wcześniej pola opia w strefach bezpieczeństwa.

Prowadzący przykucnął, by stanowić jak najmniejszy cel. Ćwiczone go poruszania się tak, jakby wróg zawsze w niego mierzył, jakby przez cały czas, bez przerwy, trzymał na nim skrzyżowane nitki celownika. Zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi najwyraźniej na mostek. Były zamknięte, lecz nie zaryglowane. Oddychał szybko, równo, rozważając dostępne mu w tej chwili opcje. Jeśli drzwi zostały zaminowane, będzie to ostatnia chwila w jego życiu.

Zasygnalizował ludziom, by przyłgnęli do ściany po obu jego stronach, po czym położył dłoń na rączce. Nie odczuł wibracji ani nieoczekiwanego oporu. Podniósł ją powoli, w każdej chwili spodziewając się eksplozji. Dźwignia bez oporu przesunęła się jednak aż do samej góry i drzwi otworzyły się. Cofnął się i czekał. Nic. Wsadził głowę do środka, rozejrzał się i szybko ją cofnął. Czuł powiew zimnego powietrza, uciekającego z klimatyzowanego pomieszczenia. Błyskawicznie ocenił to, co widział.

- Teren czysty - zameldował. - Dwóch niezidentyfikowanych zabitych. Żadnej broni.

Armstrong wysłuchał meldunku. Kiedy otrzymał z mostku meldunek „teren czysty” podszedł do stalowych drzwi prowadzących do kabiny radiooperatora i delikatnie obrócił dźwignię. Poczul opór, a potem dźwignia poddała się nagle. Odskoczył, czekając na wybuch. Nic się nie stało, a drzwi zamknęły się same. Spróbował jeszcze raz, lecz tym razem dźwignia przesunęła się lekko.

- Wchodzę - powiedział cicho do mikrofonu. - Lee, idziesz za mną. Ja pójdę w lewo, ty skoczysz w prawo. Nilsen, Davidson - spojrzal na wymienionych żołnierzy. - Wchodźcie za nami. Trójka w lewo, czwórka w prawo. Gotowi?

Komandosi skinęli głowami. Ćwiczyli ten manewr wielokrotnie. Armstrong starał się nie zwracać uwagi na bicie serca. Wskoczył do środka, omiatając je jednym spojrzeniem, w czasie niespełna sekundy. Klęknął, trzymając przed sobą broń. Nie dostrzegł nikogo. - Zostać na miejscach! - krzyknął. Obrócił się. - Wychodzę! i powiedział zaraz potem i pośpieszył na mostek.

Do koła sterowego przykute było ciało, drugie leżało obok niego na pokładzie, przykute do stołu nawigacyjnego. Obaj marynarze zabici zostali strzałami w głowę. Opuścił broń. Jego ludzie weszli na mostek i zobaczyli to, co on zobaczył.

- Gdzie terroryści? - zastanowił się Armstrong, patrząc na tę część statku, która była widoczna z mostku. Wskazał na podejrzenie wyglądające urządzenie stojące na pokładzie. - Co to jest? - spytał Pragera, który dołączył do jego plutonu.

Prager przyklęknął, by bliżej się mu przyjrzeć. Był zarówno komandosem SEAL jak i saperem. Ustawił na pokładzie laptopa i zaczął przeszukiwać bibliotekę danych, szukając czegoś podobnego. Płynnie przeskakiwał przez kolejne zdjęcia, ukazujące najprzeróżniejsze miny.

Podniósł twarz, na której widać było zdumienie.

- Nigdy nie widziałem czegoś podobnego - przyznał. - Ale może uda się to coś rozbroić. - Obejrzał urządzenie. - Nie ma żadnego widocznego zegara, nie ma widocznego dostępu do środka, nie sposób powiedzieć, co tam jest. - Obmacał je delikatnie. - Uzbraja się od dołu - stwierdził. - Ostateczna aktywacja musi być magnetyczna. Jeśli wewnątrz jest C4, jedno takie cudo wysadzi w powietrze cały mostek.

Armstrong skinął głową. Zerknął na zegarek. Zaczynało im brakować czasu, a to ograniczało wybór możliwości.

- Zdołasz je rozbroić czy nie?
- Nie powinienem bawić się w to w warunkach polowych. Ale decyzja należy do pana, poruczniku.
- Więc rozbrój. Uwaga, wszyscy opuszczają zagrożony teren.
- Będę musiał wywiercić otwór i skorzystać z sondy. - Saper wzruszył ramionami.
- Liczy się przede wszystkim mechanizm uzbrajający. A tych nie istnieje tak znowu wiele. - Spojrzał na Armstronga, a potem na ekran laptopa. Na CD-ROM-ie miał informacje o wszystkich znanych mechanizmach uzbrajających. - Dobra, spróbuję.
- Tylko bez wygłupów - ostrzegł go Armstrong. - Nie potrzeba nam bohaterów.
- Tu nie ma żadnych bohaterów - potwierdził saper, wyciągając małą elektryczną wiertarkę nie większą od dentystycznej.

Wiedział, że za jej pomocą najszybciej rozbiera się bomby, choć w przypadku pomyłki był to także najszybszy sposób jej zdetonowania.

Armstrong zszedł z mostku i znalazł Lee.

- Musimy przeczesać statek - powiedział. - Ilu członków załogi szukamy?
- Dwudziestu sześciu. I prawdopodobnie dwóch Indonezyjczyków.
- Użyj systemu nagłaśniającego. Ogłoś, że na statku pojawił się oddział Marynarki Stanów Zjednoczonych i ma zamiar wkrótce go opuścić. Powiedz, że szukamy załogi i jeśli może nam pomóc na przykład krzycząc lub w jakikolwiek inny sposób, niech zacznie teraz. - Wzrokiem odszukał Nilsena. - Opuśćcie łodzie ratunkowe, możemy ich potrzebować. - Spojrzał na swoich ludzi. - Skontaktujcie się z Golf November - polecił - i powiedzcie im, że jesteśmy na pokładzie statku i że jest on zaminowany. Zaczynamy poszukiwania załogi, potem zejdziemy z pokładu. Za... - spojrział na zegarek, przypomniał sobie o ładunkach wybuchowych i nagle zaczęło mu się śpieszyć - ...dziesięć minut.

- Tak jest, panie poruczniku.

- Podajcie im też pozycje z GPS - dodał, mając na myśli ręczny odbiornik nawigacji satelitarnej, wskazujący dokładną długość i szerokość geograficzną.

- Tak jest - powtórzył żołnierz.

- Szukamy załogi. - Armstrong zwrócił się do reszty swych ludzi. - Uważajcie, mogą się zdarzyć różne niespodzianki. Być może zostawili na pokładzie kamikadze. Jeśli chcą popełnić samobójstwo, możecie im to ułatwić. Jeśli nie stanie się nic nieoczekiwanego, zejdziemy z pokładu nim wybuchnie ten mały prezent, który po sobie pozostawili. - Znowu spojrział na zegarek. - Nie wiemy, ile mamy czasu - mówił dalej. - Być może kilka sekund, być może kilka godzin. Daję wam dziesięć minut. Po dziesięciu minutach wszyscy mają być za burtą. Powtarzam: za burtą. Jeśli nie zmieścicie się w limicie czasu, skaczcie i płońcie jak najdalej od statku. - Spojrzał na Lee. - Uruchomcie silniki łodzi ratunkowych - rozkazał. - Gdy tylko się w nich znajdziemy, musimy odpłynąć na sto metrów. Nie chcę czekać, aż ten statek wyleci w powietrze.

Kolejnemu komandosowi polecił obejść zabezpieczenia przeciwpożarowe, tak by grodzie nie zamykały się i żaden z jego ludzi nie znalazł się w pułapce. Potem zamilkł, zastanawiając się, czy o czymś nie zapomniał. Żołnierze milczeli.

- No to do roboty - powiedział i pierwszy ruszył w kierunku drzwi.

Przy jego boku pojawił się nagle łącznościowiec.

- Panie poruczniku - zameldował - mam wiadomość ze śmigłowców. Zauważyli trzy szybkie motorówki, kierujące się na zachód. Odległość około pięćdziesiąt kilometrów. Pytają, czy mają je sprawdzić.

Armstrong bez wahania pokręcił głową.

- Nie. Niech krążą w pobliżu statku, żeby móc nas podebrać w każdej chwili. Powiedz im, żeby przekazali pozycję E-2. Może ich poszukać S-3.

Łącznościowiec skinął głową i natychmiast przekazał wiadomość.

Armstrong poprowadził swych ludzi w głąb statku. Panowała w nim całkowita cisza, nikt ich nie wołał, nikt nie krzychał. Przebiegł korytarzem, sprawdzając wszystkie luki. Znalazł kolejne ciało przykute kajdankami do uchwyty rury, z dziurą od pojedynczego wystrzału w skroni; pod jego nogami umieszczono urządzenie podobne do znalezionego na mostku. Aż zaczerwienił się ze wściekłości. Sprawdził, czy nie podłączono do ciała ładunku wybuchowego, lecz nic nie znalazł.

Komandosi zbiegali po drabinkach, ostrożnie zaglądając za każdy zakręt korytarza. Znaleźli kolejne, przykute kajdankami do grodzi, ciało marynarza, zabitego jak wszyscy poprzedni strzałem w głowę. U jego stóp także znajdowała się mina.

Poruszali się coraz szybciej, badali miejsce po miejscu; Armstrong pragnął odszukać załogę bez konieczności powracania po kogoś, kogo mogli przeoczyć Kolejny trup. I następny.

- Wynośmy się stąd! - Porucznik nagle zdał sobie sprawę z tego, że ciała rozmieszczono w ten sposób zapewne po to, by wciągnąć ich w głąb statku i uniemożliwić ucieczkę przed wybuchem min. - Wszyscy na rufę!

Obrócił się i pobiegł w tym kierunku. Nagle pokład uciekł spod stóp; wstrząsnęła nim potężna eksplozja. Najpierw usłyszał głębokie stęknienie, a potem trzask. Fala dźwiękowa dotarła do nich z jedną dziesiątą sekundy opóźnienia.

- Lee! - krzyknął. Mikrofon krtaniowy odebrał drgania i przekazał je do odbiornika. - Co się, do cholery, stało?

- To Prager - zameldował Lee nerwowo, jego głos z trudem docierał do nich przez trzaski zakłóceń. - Prager musiał uruchomić zapalnik.

- Próbował przeciąć przewód?

Armstrong biegł patrząc pod nogi, szukając wzrokiem kolejnych min.

- Nie wiem, panie poruczniku.

Armstrongowi przyszła nagle do głowy straszna myśl.

- Skąd wiemy, że to on się pomylił? - krzyknął. - Skąd wiemy, że ta mina nie miała wybuchnąć jako pierwsza?

- Nie wiemy, panie poruczniku.

Lee natychmiast zrozumiał, o co chodzi.

- Ewakuacja! - krzyknął Armstrong. - Zbiórka na rufie. Nilsen, połącz się ze śmigłowcami!

Biegł, trzymając w dłoni do niczego już nieprzydatną broń. Starał się myśleć jak najszybciej.

- Davidson, na rufę. Przygotuj wyciągarkę. Nilsen, powiedz 53, że będziemy się ewakuować. Słuchajcie - powiedział, wspinając się na otwarty pokład. Usiłował mówić jak najspokojniej. - Wszyscy macie się podpiąć do liny wyciągarki w trzydzieści sekund. Macie przerwać cokolwiek robicie w tej chwili i natychmiast stawić się na rufie.

Komandosi błyskawicznie zastosowali się do jego rozkazu.

Oba helikoptery pomknęły w kierunku „Pacific Flyera”. Czternastu komandosów i saper znaleźli się już na rufie. Żołnierze rozglądali się, szukając wzrokiem nieobecnych.

Jako ostami pojawił się na miejscu Armstrong. Obserwował Super Stalliona, znajdującego się w tej chwili nieco ponad pół kilometra od nich. Wszyscy oprócz niego podczepili się już do zbiorczej upręży ewakuacyjnej.

- Prager nie żyje? - rzucił w powietrze.

- Tak jest, panie poruczniku. - Lee wypiął się z upręży i podbiegł do dowódcy. - Niech pan na to spojrzy.

Armstrong rozejrzał się oceniając sytuację, sprawdzając jak daleko jest helikopter, po czym wziął podane mu zdjęcie.

- A to co? - zdziwił się.

- Wygląda na zdjęcie zrobione na mostku. Leżało na podstawie kompasu, zabrałem je, nim mostek wyleciał w powietrze. Chyba chcieli, żebyśmy je znaleźli.

Armstrong w milczeniu przyglądał się zdjęciu marynarza z tłumikiem pistoletu wciśniętym w ucho. Na zdjęcie naniesiona była data i czas - sprzed godziny.

- Co to za broń? - spytał, marszcząc brwi.

- Nie jestem pewien, ale wygląda na chiński wzór 64. Mogę się założyć, że ten facet to kapitan. Chyba zabrali go ze sobą.

Armstrong przyjrzał mu się z namysłem. Lee wrócił na miejsce i przez kółko na piersi przypiął się do wspólnej upręży. Porucznik zrobił to samo. W tym momencie „Pacific Flyerem” wstrząsnęła kolejna eksplozja. Mina wybuchła trzy pokłady niżej, niszcząc maszynownię.

- Trzymajcie się!

Helikopter już wisiał nad rufą. Szef pokładu helikoptera wyrzucił linę. Lee podczepił ją do upręży. W momencie gdy pokazywał pilotowi uniesiony kciuk, rozległ się huk kolejnego wybuchu. Natychmiast zaczęto wciągać linę. Połowa plutonu SEAL błyskawicznie znalazła się w powietrzu. Drugi Sea Stallion natychmiast zajął miejsce pierwszego. Jego szef pokładu równie szybko wyrzucił linę, którą podpiął Davidson. Wszyscy komandosi opuścili pokład, wisząc pod CH-53E niczym dojrzałe grona. Helikoptery oddalały się od statku.

Armstrong pomyślał o Pragerze i wreszcie pozwolił sobie na gniew. Ktokolwiek porwał „Pacific Flyera” i wymordował jego załogę, zastawił także pułapkę na tych, którzy pragnęli przyjść jej z pomocą. Statek małał w miarę, jak się od niego oddalali. Wstrząsały nim kolejne eksplozje.

5.

Przyszła kolej Dillona i to on miał dziś zaprosić Molly oraz Bobby'ego na mecz koszykówki. Zastanawiali się, czy - w związku z porwaniem - nie powinni odwołać spotkania, od konferencji prasowej prezydenta minęło jednak parę godzin, uznali więc, że mogą się wymknąć przynajmniej na połowę meczu.

Dillon pomógł Molly zdjąć płaszcz. Uwielbiał przyglądać się jej za plecami, gdy nie mogła śledzić jego zainteresowania. Poczul zapach perfum i pomyślał, że jest to być może dobry znak, ponieważ dziewczyna praktycznie nie używała perfum.

Poznali się dawno temu, oni dwoje i Bobby Nichols, który pojawił się w kilka minut po Molly. Razem studiowali prawo na uniwersytecie stanowym w Wirginii, byli nawet w jednej grupie, powszechnie znanej jako grupa Dillona.

On i Bobby byli bliskimi przyjaciółmi. Zwierzali się sobie z obaw i nadziei, przez ostatnie dwa lata studiów razem chodzili na wykłady i grali w koszykówkę. W ich przyjaźni nie było żadnych dwuznaczności, nie zdarzały się im konflikty. Kiedy Dillon przeniósł się do Waszyngtonu, trzy czwarte ich grupy (czwarty, Erin, wyjechał do Nowego Jorku) znów zaczęło się spotykać. Często odwiedzał leżący po przeciwnej stronie ulicy budynek Sądu Najwyższego, gdzie Bobby pracował w kancelarii przewodniczącego Sądu Najwyższego. Grali też w koszykówkę w sali gimnastycznej sądu.

Z Molly było jednak inaczej. Z nią konkurował pod względem intelektualnym, politycznym i akademickim. Byli sobie bliscy, owszem, łączyło ich uczucie, które

właściwie trudno było określić, ale o uczuciach nie rozmawiali. Kilka razy spotkali się prywatnie i okazało się, że Molly jest nie tylko oszałamiająco piękna, lecz także wyjątkowo inteligentna. Była kobietą jego marzeń. A jednak z powodów, których nie potrafił nazwać - może było to coś w rodzaju braku pewności siebie - nie pozwalał jej zbliżyć się do siebie. Po trzech pełnych frustracji i nie wyrażonych pragnień latach rozeszli się wreszcie w pełni świadomi tego, że mogliby zostać kimś więcej niż przyjaciółmi, gdyby któreś zdecydowało się na zrobienie pierwszego kroku. Minął kolejny rok i oto znaleźli się w Waszyngtonie po przeciwnych stronach barykady.

- Nie będzie wam chyba przeszkadzać, jeśli złapiemy drugą połowę gry? - spytał Bobby, rzucając marynarkę w róg pokoju. - Masz coś do jedzenia?

Włączył telewizor i zmienił kanał. Pokój wypełniły krzyki kibiców.

- Umieram z głodu - wyznał, siadając na kanapie obok Molly i Dillona. - Jest tu coś do picia?

Dillon przyjrzał mu się z niesmakiem.

- Miło że spytałeś. Tak, u mnie wszystko w porządku - powiedział. - Mam coś do picia. Poczęstuj się sam.

Bobby uśmiechnął się entuzjastycznie. Wstał. Idąc do kuchni rzucił przez ramię:

- Hej, a co z tą Indonezją? o co tam chodzi?

- Mam kiepskie przecucia w związku z tą sprawą - stwierdził Dillon, przyciszając telewizor. - Nie wygląda mi na typową akcję terrorystyczną.

- W Białym Domu też mocno się denerwują - dodała Molly. - Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co ci faceci chcą osiągnąć porywając amerykański statek.

- Pewnie sławę. Mamy tylko nadzieję, że nasi wyciągną załogę nim komuś coś się stanie. Jak myślisz, jak to się skończy?

- A skąd mam wiedzieć? Nie wiem nawet za dobrze co się właściwie stało.

- Co słychać w Białym Domu? - spytał Bobby, który wrócił z kuchni i usiadł na fotelu obok kanapy.

Przed każdym z nich postawił piwo.

Przewodniczący Sądu Najwyższego, dla którego pracował, mianowany był oczywiście przez prezydenta Manchastera i przez to samo musiał uchodzić za lewicującego liberała, Bobby jednak nie był nim z całą pewnością.

Dla Molly poglądy polityczne były ważne, ale nie decydujące. W jej oczach najważniejsza była stałość i osobista uczciwość.

- W porządku - odparła. - Jak tam w sądach?

- Nieźle.

- Świetnie. Mamy to z głowy.

Obserwowali третią ćwiartkę meczu między uniwersytetami w Wirginii i Północnej Karoliny. Usilnie próbowali nie myśleć o porwaniu, o którym myśleli oczywiście przez cały czas, zastanawiając się, jaki wpływ wywrze na życie każdego z nich.

Dillon poszedł do kuchni przygotować coś do jedzenia.

- Spotykasz się z kimś? - spytała Bobby'ego Molly.

- Z nikim. Można by pomyśleć, że w Waszyngtonie, stolicy kraju i światowej stolicy wykształconych, eleganckich Murzynek powinienem znaleźć sobie choćby jedną, ale nie, nic z tych rzeczy. Nie jestem wystarczająco przystojny.

- Racja.

- Bo o co innego mogłoby im chodzić? - zmartwił się Bobby.

- Molly! - zawołał Dillon - Mogłabyś mi pomóc?

- W czym?

Dziewczyna wstała i poszła w stronę kuchni.

- Weź tę tacę, dobrze?

Wręczył jej tacę z sosami i ciętymi warzywami, sam zabrał drugą, z chipsami i precelkami.

Pokój wypełnił głos Johnny'ego Hinesa, komentatora koszykarskiej ligi uniwersyteckiej. Kibice w Charlottesville wrzeszczeli tak głośno, że Johnny musiał przyciskać słuchawki do uszu, by słyszeć własne słowa. Molly postawił na stoliku tacę z warzywami oraz guacamole⁷. Dillon zdjął z miski owijając ją folię.

- Od kiedy stosujesz folie? - zakpił Bobby.

- Nie dopuszcza powietrza. Powietrze sprawia, że guacamole brązowieje.

- Co? Taki z ciebie ekspert?

- Jasne. Kiedy dorastałem w ogródku naszego domu rosły drzewka avocado.

- Jakim cudem znalazłeś avocado w lutym? - zdumiała się Molly.

- W Waszyngtonie, nawet w lutym, kupisz czego dusza zapagnie pod warunkiem, że jesteś skłonny za to zapłacić.

Dillon nałożył sobie sosu na wielkiego chipsa. Zapatrzył się w telewizor. Obrońca Wirginii rzucił właśnie za trzy punkty, co spotkało się z głośną aprobatą na widowni.

Zadzwoił telefon. Dillon, nie oglądając się, sięgnął po słuchawkę, nacisnął guzik i chrząknął:

- Tak? - Nagle poderwał się na nogi i przeplukał usta wielkim łykiem piwa. - Tak jest, proszę pana - powiedział. - Właśnie jadłem. Nie, proszę pana, oglądam koszykówkę.

Przykrył dłonią słuchawkę i szeptem poinformował gości: „Przewodniczący”.

Molly i Bobby wymienili zdziwione spojrzenia.

- Tak, proszę pana. Czy mamy w pobliżu jakieś oddziały wojskowe?... Tak, co...? - Słuchał. Twarz mu spoważniała, pojawił się na niej wyraz gniewu. - Tak, proszę pana. Nie wiem, proszę pana. Jak pan sobie życzy. Chce pan, żebym przyjechał... w porządku. Do zobaczenia.

Spojrzał na słuchawkę, wcisnął przycisk kończący rozmowę. Wstał i wyłączył telewizor. Zapadła cisza, w jakiś sposób podkreślająca widoczną na jego twarzy powagę.

- Co się stało? - nie wytrzymała Molly.

- Wiecie o tym porwanym statku? - spytał z widoczną niechęcią.

Oboje skinęli głowami.

- No więc Marynarka miała w pobliżu całą grupę bojową, w tym okręty desantowe, SEAL, piechotę morską, w ogóle wszystko. SEAL próbowali odzyskać statek. Podłożono na nim ładunki wybuchowe. Załoga nie żyje, zamordowano ich strzałami w głowę.

- O, cholera! - stęknął Bobby.

- SEAL próbowali rozbroić miny, nie za bardzo wiedzieli jednak, no i nie mieli czasu, żeby się zorientować. Jeden z nich zginął, reszcie udało się wydostać. Ładunki wybuchły i statek zatonął.

- I co mamy zamiar z tym zrobić? - spytała oszołomiona Molly.

- Bo ja wiem? - Dillon odetchnął głęboko. - Jestem pewien, że musimy coś zrobić. Pewnie coś drastycznego. Zwłaszcza, że mamy w okolicy potężne siły.

- Kim są porywacze? - spytał Bobby.

Dillon pokręcił głową.

- Nie wiemy. Jeszcze jedna sprawa. - Dopiero teraz sobie o tym przypomniał. - Zatrzymali kapitana jako zakładnika. - Westchnął i wziął się pod boki. - Jeśli chcecie

⁷ Meksykański sos z owoców avocado, soku cytrynowego lub liraony, najczęściej z dodatkiem pomidorów i cebuli [przyp. tłum.].

możecie zostać, ale ja jadę na Wzgórze. Przewodniczący chce mieć nas wszystkich, żeby przeanalizować sytuację.

Molly wstała.

- W Białym Domu też pewnie się zagotuje - stwierdziła. - Chyba powinnam już iść. Zostawiłam prezydentowi trochę materiałów dotyczących prawa międzynarodowego, ale to co mu dałam teraz nie wystarczy. - Zatrzymała się w korytarzu. Twarz miała chmurną. - Dlaczego ludzie w ogóle to robią? Przecież nikt nigdy niczego w ten sposób nie osiągnął.

- Jak to nie? - odparł gorzko Dillon. - Terroryzm bardzo się opłaca. Spójrzcie tylko na Organizację Wyzwolenia Palestyny. Organizowali zamachy na całym świecie, zabijali niewinne dzieci, no i mają dzięki temu własne państwo dokładnie tam, gdzie chcieli je mieć - Przerwał na chwilę. - Terrorysty bawią się w terroryzm, bo dzięki niemu wygrywają. Bawią się w terroryzm, bo aż za często zdarza się, że my nic nie robimy.

- To takie straszne tchórzostwo! - Oczy dziewczyny płonęły. Zawahała się na chwilę. - I jednak na ogół coś robimy - dodała.

- Tak naprawdę wcale przecież nie wiemy, że to terrorysty - zauważył Bobby.

Dillon spojrzał na niego zdumiony.

- A ty co myślisz? Że ktoś próbuje nam wypowiedzieć wojnę, atakując bezbronny statek handlowy?

- Nie wiem. Twierdzą tylko, że nie opłaca się zakładać, że coś się wie, kiedy w rzeczywistości nic nie wiadomo.

- Z tym mogę się zgodzić - stwierdził Dillon. - No, muszę lecieć.

Bob sięgnął po pilota.

- Wątpię, czy ta sprawa interesuje Sąd Najwyższy - powiedział - więc mam zamiar obejrzeć mecz. Nie martw się, wychodząc zamknę drzwi.

Dillon nie odpowiedział. Wyszedł. Molly szła tuż za nim.

- Co właściwie wiemy, admirałe Hart? - spytał prezydent Manchester, ogarniając wzrokiem zgromadzonych w Sali Sytuacyjnej, znajdującej się w podziemiach Białego Domu.

Obecni siedzieli przy stole przypominającym pod każdym względem zwykły stół konferencyjny, ściany pokryte były jednak mapami i monitorami. Najbliższą ścianę dzieliły od stołu co najmniej trzy metry, ekrany sięgały niemal do podłogi.

Admirał podszedł do ściennej mapy przedstawiającej rejon Południowo-Zachodniego Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego. Przez chwilę stał, milcząc i zbierając myśli. Miał pięćdziesiąt parę lat, był średniego wzrostu i budowy, brązowe włosy pokrywały się już siwizną. Znany z zapału i wyjątkowej inteligencji, dyplomy zdobywał w Annapolis i na uniwersytecie Penn State, zrobił karierę w lotnictwie Marynarki, był dowódcą lotniskowca i grupy bojowej lotniskowca, a wreszcie awansował na CINCPAC-a - naczelnego dowódcę wszystkich sił Pacyfiku. W tej chwili pełnił funkcję przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów.

- Wiemy, że na pokładzie „Pacific Flyera” było dwudziestu do trzydziestu terrorystów, że opanowali statek zacumowany przy nabrzeżu portu w Dżakarcie udając pracowników Forda, że są doskonale zorganizowali, znali jednostkę, i wyprowadzili ją w morze.

Obrócił się tyłem do prezydenta i reszty obecnych, wśród których byli wiceprezydent, szef personelu Białego Domu, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, sekretarz obrony, dyrektor CIA i sekretarz stanu. Wszyscy słuchali go bardzo uważnie.

- Wyprowadzili statek w morze, zaminowali go ładunkami wybuchowymi, zarówno na zewnątrz, jak i od środka. Z tego rodzaju minami nigdy jeszcze się nie spotkaliśmy. Zamordowali także całą załogę z wyjątkiem kapitana. Następnie opuścili statek, korzystając z pomocy szybkich łodzi papierosowych. Ich miny zabiły jednego z SEAL - dokończył ponuro.

- Co to takiego te „łódzie papierosowe”? - spytał prezydent.

- Bardzo szybkie pełnomorskie łódzie motorowe, zdolne osiągnąć prędkość do siedemdziesięciu węzłów⁸. Używane są powszechnie przez przemytników, kroku mogą im dotrzymać w zasadzie wyłącznie samoloty. Po raz pierwszy użyto ich do przemytu papierosów.

- Dokąd popłynęły te łódzie?

- Nie wiemy, panie prezydencie. - Admirał zerknął znacząco na Carry'ego Warnera, dyrektora CIA. - Dostrzeżono je z helikoptera, ale E-2 nie trafiły na ich ślad.

- Nie mieliśmy na miejscu satelity, żeby uzyskać zdjęcia. - Warner zrozumiał zachętę do włączenia się do rozmowy. - Nie jest to region, który uznajemy za zapalny...

Manchester wstał i spojrzał na grupę swych współzawodników.

- Jak mogło do tego dojść?! Nie dostaliśmy żadnego sygnału o zagrożeniu?

Warner pokręcił głową. Przesunął niezapaloną fajkę z jednego kącika ust w drugi.

- Nie, panie prezydencie. Wygląda na to, że przyłapali nas z portkami na kostkach - przyznał.

- A więc nie wiemy kto. Może ktoś z was zechce zaryzykować opinię dlaczego?

- Ja widzę w tym bezpośrednio wyzwanie dla pańskiej nowej polityki zagranicznej, panie prezydencie - odpowiedział Nathaniel Corder, sekretarz stanu wyglądający na profesora.

Był wykładowcą na wydziale spraw międzynarodowych w Yale, a następnie ambasadorem w Hiszpanii. Nadal nie czuł się zbyt pewnie w nowej roli, na stanowisko sekretarza stanu powołany został zaledwie pół roku wcześniej.

Manchester nie dał mu dokończyć wypowiedzi

- Arlen i zwrócił się do szefa personelu - ściągnij mi tu jak najszybciej panią Vaughan, dobrze? Chcę, żeby od tej pory uczestniczyła w każdym spotkaniu. Ktoś musi kryć mi plecy.

- My wszyscy dbamy wyłącznie o pańskie interesy, panie prezydencie - wtrącił Bosch

- No to jedna więcej osoba nie powinna wam w tym przeszkodzić, prawda? Chciałeś coś jeszcze powiedzieć, Nathaniel? - spojrzał na lśniące od potu czoło Cordera.

- Pański plan osiągnięcia pokoju, plan dyplomacji przez handel, zakładał poważne ograniczenie roli wojska oraz zwiększenie amerykańskiej floty handlowej na morzach świata. By odnowić nasz przemysł stoczniowy zaproponował pan prawo stanowiące, że do 2010 roku potowa wszystkich dóbr transportowanych do amerykańskich portów musi być przewożona przez statki pływające pod banderą amerykańską, a potowa z nich musi być zbudowana w amerykańskich stoczniach.

- No i co z tego?

Manchester zaczął się niecierpliwić.

- Panie prezydencie, moim zdaniem była to prawidłowa strategia. Ale przecież ktoś, gdzieś, mógł przestraszyć się, że Ameryka rozszerzy swe wpływy na świecie przez monopol na transport i eksport amerykańskich towarów. Mógł przestraszyć się powstania Imperium Amerykańskiego, zbudowanego na fundamencie

⁸ 70 węzłów = ok. 130 km/h.

proponowanych przez nas ułatwień w handlu. Bylibyśmy jak Anglia w XIX wieku - tyle że bez kolonii, bez przymusu, bez użycia siły. Mówiąc najprościej, panie prezydencie, ktoś może życzyć sobie, żeby się nam nie udało.

- Ale kto? - spytał niecierpliwie Bosch.

- Pozwól mi skończyć. Jaki statek zatopiono? „Pacific Flyera”, prototyp najnowszego statku handlowego zbudowany przez konsorcjum stoczniowe NASSCO w San Diego, pływający pod banderą amerykańską, wiozący amerykańskie produkty do zagranicznego portu. Symbolika tego gestu jest chyba zrozumiała, zwłaszcza że „Pacific Flyer” transportował nie jakieś tam towary, lecz nowy produkt Forda, Ascendę, mającą podbić zagraniczne rynki. Wzbudziło to wielkie zainteresowanie prasy. Nowa era w amerykańskim biznesie. Nowy sposób robienia biznesu!

- Ale kto? - powtórzył Bosch.

Corder wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Próbuję tylko odkryć przypuszczalny motyw. Odkrycie motywu może pomóc nam w zidentyfikowaniu napastników.

- Jeśli wolno, panie prezydencie - wtrącił Warner. - Naszego statku nie porwali ludzie, którzy pragną pozostać anonimowi. Prędzej czy później skontaktują się z nami.

Jego niski głos nie zdradzał żadnych emocji.

Prezydent skinął głową.

- Admirale - zwrócił się do Harta - jakie mamy opcje?

Hart spojrzał najpierw na niego, a potem na mapę. Wpatrywał się w tysiące indonezyjskich wysepek, w wody wielkiego oceanu.

- Szczerze mówiąc, możemy tylko czekać - przyznał. - Nie wiemy, kim są terroryści, nie wiemy, jakie kierowały nimi motywy i nie wiemy, gdzie się ukryli. Z całą pewnością będziemy szukali ich łodzi, w tej chwili szukają ich już wszystkie nasze samoloty wyposażone w detektory podczerwieni i radary z syntetyczną aperturą, znalezienie ich będzie jednak wyjątkowo trudne. SAR⁹ dają ostry obraz, można dzięki nim odróżnić jeden statek od drugiego, ale mają do przeszukania ładny kawałek oceanu oraz niezliczoną wręcz ilość wysp i wysepek. - Admirał ciężko oddychał przez nos. - A póki nie powiedzą nam, kim są, jakakolwiek reakcja z naszej strony jest praktycznie niemożliwa.

- Czy na miejscu, w Dżakarcie, mamy kogoś, kto mógłby nam powiedzieć, co się dzieje?

W tym momencie drzwi otworzyły się cicho, do sali weszła Molly i bez słowa zajęła miejsce. Przywitały ją ciekawe spojrzenia, zebrani czekali jednak na odpowiedź Warnera.

- Nasze zasoby osobowe w Indonezji są bardzo ograniczone. Nie odebraliśmy żadnego ostrzeżenia o możliwości wystąpienia problemów w tym regionie. Nie jestem optymistą, jeśli chodzi o zebranie informacji po fakcie, nasi ludzie zostali już jednak odpowiednio poinstruowani.

Manchester zacisnął pięści.

- Wyszliśmy na idiotów. Jesteśmy największą siłą militarną na świecie, mamy w regionie grupę bojową lotniskowca, dysponujemy najlepszym wywiadem. Jesteśmy ostatnim pozostałym na arenie supermocarstwem i co? Jakieś gnojki porywają nam statek, mordują marynarzy... a my nic nie możemy zrobić?

- Mnie też się tak wydaje - przytaknął Dick Roland, niewysoki, nerwowy sekretarz obrony i natychmiast spróbował naprawić kiepskie wrażenie, jakie niewątpliwie wywołał. - Ale to tylko dlatego, że mamy za mało informacji. Jutro będziemy wiedzieli

⁹ Synthetic Aperture Radar - radar o syntetycznej aperturze (rozwartości wiązki) [przyyp. red.].

więcej. W bliskiej współpracy z Departamentem Stanu i CIA pracujemy w tej chwili nad identyfikacją wszystkich grup terrorystycznych i oddziałów partyzanckich w basenie Południowego Pacyfiku. Spodziewam się, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin terroryści sami się z nami skontaktują. Zechcą powiadomić świat, kim są i dlaczego zrobili to, co zrobili.

- I co, tylko tyle? Siedzimy i czekamy do jutra rana?

- Panie prezydencie, my siedzimy, ale nasze samoloty prowadzą poszukiwania, a grupa bojowa płynie pełną parą na miejsce zatonięcia „Pacific Flyera”. Dopadniemy tych ludzi!

- Macie mnie o wszystkim informować - rozkazał prezydent. - O siódmej rano mam konferencję prasową, żeby zdażyć na poranne wiadomości. Powiem na niej, że amerykańscy marynarze zostali zamordowani, a statek zatopiony. Nie chcę, by ta wiadomość przeciekła do prasy wcześniej. Za to przed konferencją muszę wiedzieć, kto to zrobił. Zrozumiano?

Zebrani przytaknęli i wstali, szykując się do wyjścia.

- Proszę zostać, pani Vaughan - polecił prezydent.

Molly sprawiała wrażenie zawstydzonej. Nie wiedziała, dlaczego prezydent ją wezwał i dlaczego polecił jej, aby została po spotkaniu. Czuli się niezręcznie, nie na miejscu. Czekala, co powie prezydent.

- Dziękuję pani za to, że mogła pani pozostać.

- Oczywiście, panie prezydencie - odparła sztywno. - Co mogę dla pana zrobić?

- A więc wiemy tylko tyle? - powiedział przewodniczący do swych ludzi, zgromadzonych w dużej sali konferencyjnej przylegającej do jego gabinetu. - Zaczyna się robić nieprzyjemnie. Zakazano nam kontaktów z prasą do porannej konferencji prasowej prezydenta, która ma się odbyć o siódmej. Dobrze mnie rozumiecie? Jeśli ktoś z was zacznie gadać, rzuci cień na mnie i straci pracę. Jasne? - Jego ludzie tylko pokiwali głowami. - Zrobiło się późno. - Przewodniczący spojrział na zegarek. - Jeśli musicie, idźcie do domu i prześpijcie się trochę. Ale macie tu być rano.

Kiedy wychodzili, młody asystent, Frank Grazio, trącił Dillona w ramię.

- Co o tym myślisz? - spytał.

- O czym?

- O porwaniu. Jak myślisz, co teraz będzie?

- A skąd mam wiedzieć? - zirytował się Dillon.

- Głupio się wyrwałem? - spytał niepewnie Grazio.

- Nie. Tylko nie wiem, co właściwie powiedzieć. Nie wiemy, kto to zrobił, więc trudno powiedzieć, jak powinniśmy zareagować.

- Ależ skąd. Wiemy, jak powinniśmy zareagować - zaprotestował chłopak. - Powinniśmy nakopać im po tyłkach. Problem w tym, że nie wiemy komu nakopać.

Dillon mszył korytarzem w stronę swego pokoju.

- Dokąd idziesz?

- Do siebie. Mam zamiar dowiedzieć się o Indonezji wszystkiego, co o niej wiadomo. Naprawdę nie wiem o niej nic z wyjątkiem tego, co widziałem w filmie z Melem Gibsonem. „Rok...”? Coś takiego, nie pamiętam.

- No cóż. - Grazio zwolnił roku. - To ja chyba zadzwonię do kumpla w Pentagonie i dowiem się, jakimi siłami dysponujemy.

Dillon spojrział na niego z zainteresowaniem.

- Skontaktuj się z Chuckiem - poradził. - On już pewnie nad tym pracuje. Nie sądzę, żebyśmy mieli do czynienia z Indonezją jako taką, ale nie zaszkodzi wiedzieć, czym dysponują.

Grazio skinął głową i odszedł.

Dillon usiadł przy biurku w swoim pokoju i spróbował uporządkować myśli. Gromadził już przedtem materiały na różne tematy, nigdy jednak w sprawie tej wagi. I dziś po raz pierwszy powodował nim gniew.

6.

- Nie sądzę, żebyście byli w stanie coś pomóc. - Komandor Zeke Bradford w pełni doceniał entuzjazm dwóch swoich najlepszych dowódców dywizjonów. Oni zawsze byli pierwsi, zawsze gotowi do akcji, niezależnie od tego, jaka miałyby to być akcja. Tym razem jednak mogło to tylko przeszkodzić. - Łodziom papierosowym udało się uniknąć wykrycia przez S-3, na ich poszukiwanie wyślemy jednak samoloty szturmowe.

- Możemy pomóc i nie ustępował Caskey. - Możemy sprawdzać statki na naszym radarze i w podczerwieni. Być może będziemy w stanie je zidentyfikować.

Bradford przyjrzał się im z wahaniem.

- Zrobiono je z włókna szklanego i są cholernie szybkie - powiedział. - Poza tym strzelili do was, kiedy lecieliście nad statkiem. Pewnie nadal mają ręczne rakiety ziemia-powietrze i to może być prawdziwy problem. - Pokręcił głową. - Nie, raczej nie - zakończył.

- Niech pan da sobie spokój, panie komandorze! Będziemy latać tak czy tak. Niech pan pozwoli nam przynajmniej spróbować - zaprotestował Caskey. - Jeśli nic nie znajdziemy, nikomu nie stanie się krzywda.

- Chyba że któryś z młodszych oficerków za daleko wysunie pazurki i spadnie do wody...

Bradford zmarszczył brwi.

- Nie ma takiej możliwości. - Caskey nastawiony był bojowo i zbijał wszelkie argumenty. - Osobiście dopilnuję, by załogi były po drugim locie bojowym i wyżej.

Opór Bradforda wyraźnie słabł.

- A ty co sądzisz, Pijany? - spytał komandora Dave'a Drivera, który odpowiedział mu niemal niewidocznym skinieniem głowy.

- Z całą pewnością możemy pomóc - stwierdził krótko. - Zastanawiam się tylko, czy powinniśmy przydzielić sobie kwadranty czy koncentryczne kręgi, żebyśmy nie wpadali jeden na drugiego.

Bradford skinął głową.

- Już to załatwiłem, możemy jednak zmniejszyć obszary patrolowe, jeśli tylko wystartuje więcej samolotów.

Driver spojrział na dowódcę skrzydła.

- A co powinniśmy zrobić, jeśli ich znajdziemy? Mamy strzelać? - spytał niemalże retorycznie, podciągając rękawy lotniczego kombinezonu. - To co dla jednego pilota wygląda na szybką motorówkę pędzącą z prędkością sześćdziesięciu węzłów, dla innego będzie łodzią dla narciarzy wodnych, wyciągającą zaledwie trzydziestkę.

- W tym właśnie tkwi problem. Nie chodzi o to, żeby do nich strzelać, chodzi o to, żeby ich znaleźć. Będziemy ich potem obserwowali i zrobimy to, co powinniśmy zrobić

- A myśli pan, że pozwolą się tak po prostu śledzić? - spytał Pijany. - Jeśli mają choć odrobinę rozsądku, spędzili w tych swoich łodziach najwyżej minutę - ot, by tylko zniknąć za horyzontem. Na pewno przenieśli się na jakiś statek, wyglądający na typową jednostkę handlową z tych, których są na tym akwenie tysiące. To chyba najbardziej zatłoczone miejsce na świecie.

Caskey skinął głową.

- Zgadza się, CAG - powiedział. Tytułu Commander of the Air Group (dowódca grupy powietrznej) nadal często używano w Marynarce, mimo iż grupy powietrzne przestały istnieć w latach pięćdziesiątych. - Ale szukać musimy. Jedna rzecz jest pewna: jeśli nie będziemy szukać, niczego nie znajdziemy.

- Masz niezwykły talent do mówienia rzeczy oczywistych. - Bradford wyprostował się nieświadomie. - Dobra, wysyłamy w powietrze was wszystkich tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

- Świetnie! - ucieszył się Caskey. - Idę przepisać grafik lotów. Startujemy wszyscy, czy ma to być operacja cykliczna?

- Startują wszyscy, oba dywizjony jednocześnie. Utrzymamy was wszystkich w powietrzu cztery do pięciu godzin, a potem, jeśli ich nie znajdziemy, przejdziemy na operację cykliczną. Jeśli nie dorwiemy ich do zachodu słońca, kończymy loty. Będziemy musieli poinformować Waszyngton o nieudanej operacji i poprosić o instrukcje. Zapewne każą nam wracać i odejść do cywila.

Caskey i Pijany szybko wyszli z sali, by przygotować swe dywizjony do lotu. Caskey wszedł do sali odpraw dywizjonu.

- Messer, Mario i Byk, startujemy pierwsi - oznajmił. - Oficer operacyjny, znajdź trzy załogi gotowe do startu za kilka godzin. Będziemy szukali motorówek przez cztery godziny, a jeśli ich nie znajdziemy, przejdziemy na operację cykliczną. - Spojrzał na porucznika Barry'ego Thackera, oficera dyżurnego dywizjonu. - Zaznaczyłeś na mapie pozycję okrętu?

- Nie.

Porucznik poderwał się na równe nogi.

- Dlaczego? - Caskey spojrzał na niego gniewnie. - Po prostu nie zrobiłem tego, przepraszam.

- „Przepraszam” nie załatwia sprawy. Do roboty, Barry.

- Tak jest. - Thacker spisał długość i szerokość geograficzną i podszedł do mapy, zawieszanej na ściąganej korkowej tablicy. - Jesteśmy dokładnie tu - powiedział, wciskając szpilkę w morze na północ od Jawy.

- Jak daleko od miejsca, w którym zatonął „Pacific Flyer”?

Thacker wymierzył odległość długopisem.

- Jakies trzysta siedemdziesiąt kilometrów.

- Żaden problem. - MC spojrzał na zegarek. - Odprawa w CVIC za pięć minut - zwrócił się do Messera. - Powiedzą nam, które akweny mamy przeszukiwać. Dolecimy nad miejsce, w którym zatonął „Pacific Flyer” i zaczniemy poszukiwania od środka. Najpierw sprawdzimy wszystko, co porusza się szybko, a potem zaczniemy sprawdzać wszystko. Musimy tylko uważać, by nie naruszyć przestrzeni powietrznej. Tam pełno jest małych wysepek, należących do Indonezji. Nie chcemy przecież, żeby się wściekli, że latamy nad ich krajem bez pozwolenia, uzbrojonymi maszynami. Zrozumiano?

Wszyscy, oczywiście, zrozumieli go doskonale. Rozumieli także, że ich poszukiwania muszą okazać się bezowocne.

- Mam mnóstwo statków i łodzi, MC - zameldował Messer, wpatrzony w monitor radaru. Ich F-14B, lecący na wysokości półtora kilometra, skręcił na południowy zachód. Widzieli inne maszyny z „Constitution”, lecące na różnych wysokościach. Prawdopodobnie ich załogi powtarzały sobie we wszystkich możliwych wersjach słowa wygłoszone właśnie przez Messera.

- No dobrze, zaczynamy szukać.

- Potwierdzam. Pierwszy kontakt: pięć stopni w lewo, dziesięć minut.

Caskey delikatnie skręcił w lewo i skierował Tomcata w stronę pierwszego widocznego na radarze celu. Pierwszego z kilku setek. Podchodzili do niego ostrożnie, mając w pamięci ostrzeżenie CAG - terroryści mogli dysponować ręcznymi wyrzutniami rakiet przeciwlotniczych. Podlecieli do niego z boku, na wysokości trzystu metrów i dokładnie mu się przyjrzeni. Z całą pewnością nie był szybką motorówką, przewyższał ją rozmiarami stukrotnie. Zwykły, parowy towarowy tramp.

Następny statek był frachtowcem. Badali kolejne cele za każdym razem z mniejszym entuzjazmem; żaden z nich nie był przemytniczą motorówką.

Raz za razem badali przydzieloną im przestrzeń, sprawdzili każdy statek w sektorze. I zawsze powtarzała się ta sama historia: za duży, za wolny, za coś tam.

- No, Messer, zaliczyliśmy fiasko - powiedział, zwracając na okręt. Za ich plecami, za Malezją i Singapurem, zachodziło słońce. Podniósł przyciemnianą osłonę na hełmie, by lepiej widzieć rozciągające się pod nimi ciemne morze.

- Fiasko to za mało powiedziane. - Messer był najwyraźniej wściekły. - Od początku nie mieliśmy żadnych szans na znalezienie tych facetów.

Na równiku rozpoczął się kolejny piękny dzień, równie upalny i równie wilgotny jak poprzedni, równie nieznośny z powodu gorąca i równie przyjemny w klimatyzowanym wnętrzu największego okrętu wojennego na świecie. Przynajmniej przyjemny pod względem temperatury, lecz nie pod względem nastrojów wśród załogi. Billings gotował się wręcz myśląc o terrorystach i starając się dojść, dlaczego porwali „Pacific Flyera”. Niewątpliwie wierzyli w jakąś „sprawę”, wierzyli, że usprawiedliwia ona dokonanie morderstwa.

Wezwał dowódcę skrzydła i dowódców dywizjonów. Zajęli miejsce za stołem i przyjęli oferowaną im kawę.

- I to wszystko? - spytał, nie bawiąc się we wstępy. - Zakończyliśmy poszukiwania?

- Nie wszystko - odparł charakterystycznym basem komandor Bradford. - Nie skończyliśmy, nadal będziemy kontynuować poszukiwania. Tyle że ci goście w ciągu - zerknął na zegarek - dwudziestu trzech godzin z pewnością znacznie się oddalili. Mogli mieć statek-bazę, który przyjął ich na pokład, mogli nabrać paliwa po drodze, mogli zatopić łódzie i wejść na pokład handlowego parowca, mogli ukryć się gdzieś, czekając aż wszystko się uspokoi. Trudno cokolwiek powiedzieć.

- Zła odpowiedź. - Billings rozsiadł się w fotelu. - Co mam powiedzieć sekretarzowi obrony i Kolegium Szefów Sztabów? Że się nam nie udało? Że najsilniejsza grupa bojowa od czasu II wojny światowej, a być może najsilniejsza w historii, nie może znaleźć kilku głównianych motorówek?

Zmarszczył brwi, patrząc gniewnie przed siebie.

- Ale przecież to szukanie igły w stogu siana, panie admirale - zauważył Pijany. - I to w ich stogu siana. Oni mogą być wszędzie.

Billings pokręcił głową i nieśpiesznie przyjrzał się swym oficerom, jednemu po drugim.

- Macie może jakieś pomysły? - spytał. - Na dziś mam dość opowieści o tym, jak strasznie jest to trudne. Chcę na odmianę usłyszeć, jak ich znaleźć.

Głos zabrał dowódca VAW-121, dywizjonu E-2C.

- Moim zdaniem powinniśmy włączyć radary przeszukiwania powierzchni na stałe. Pokryć cały teren - powiedział. - Z pewnością wiedzą, że ich szukamy, ale chyba nie zdają sobie sprawy z tego, jak łatwo możemy ich wyłapać, jeśli będą poruszali się za szybko. Uważam, że będą polegać raczej na szybkości, zamiast próbować się ukrywać. A jeśli się ukrywają poczekamy, aż zrobią jakiś ruch.

- Wszyscy się z tym zgadzają?

Bradford skinął głową. Podniósł palec.

- Zmieniam całodzienny plan lotów. Prowadzimy poszukiwania na powierzchni, więc każda maszyna nadal poświęcać będzie każdą sekundę lotu na poszukiwanie tych łodzi. Tylko tyle możemy zrobić, chyba że wszyscy chcecie lecieć, wtedy wyślemy wszystkie maszyny na raz i utrzymamy je w powietrzu tak długo jak to tylko możliwe.

- Zawahał się. - Ale w ten sposób wytrzymamy zaledwie dzień, a potem będziemy mieli przerwę.

Billings pokręcił głową.

Nie warto narażać ludzi na śmierć, pomyślał, a głośno powiedział:

- Jest jeszcze coś?

- Admirale, mimo że nie wiemy, gdzie ukryli się ci ludzie, moim zdaniem należałoby przygotować plany rezerwowe - powiedział komandor Black, szef sztabu grupy lotniskowca.

Admirał spojrział na niego i energicznie skinął głową.

- Zgoda. Przygotujcie wiadomość dla grupy desantowej, niech wiedzą, co planujemy, Marines mają przygotować się do lądowania na każdej plaży w promieniu tysiąca kilometrów. Nie, powiedzmy: tysiąca pięciuset. Sądząc z mapy, plaż tu nie brakuje. Powiedz, żeby sprawdzili, o których mają jakieś informacje i niech zaczną pracować nad resztą. Nie obchodzi mnie, nawet gdyby było ich dziesięć tysięcy. Mają zacząć od pierwszej i nie przerywać, póki nie każę im przerwać.

Rozglądał się, póki nie dostrzeż swego oficera wywiadu, komandor Beth Gnffith.

- Wyciągnijcie z szuflady wszystkie mapy regionu. Ma się z nimi zapoznać każdy oficer wywiadu, aż do najmłodszego podporucznika. Rozwieście te mapy po całym CVIC. Piloci mają studiować je tak pilnie, jakby zależało od tego ich życie. Szukajcie miejsca, w którym sami ukrylibyście niewielkie motorówki, gdyby polowała na was Marynarka Stanów Zjednoczonych. Musimy poznać ten teren jak własne podwórko. Każdą wyspę!

Wstał czując, jak krew żywiej krąży mu w żyłach.

- Beth, masz skontaktować się z każdym, kto może ci w czymś pomóc. Podpiszę ci wszystko. Proś o materiały na temat każdej podejrzonej wysepki, zatoczki, jaskini i portu w promieniu tysiąca pięciuset kilometrów. Wyślemy tam Tomcaty z TARPS, ale być może będziemy musieli poczekać na pozwolenie Indonezji.

- Tak jest! - Griffith zapisała rozkazy.

Teraz przyszła kolej na oficera operacyjnego.

- Poproś odpowiednie władze Indonezji o zgodę na operowanie nad jej terytorium celem złapania tych morderców.

Oficer operacyjny tylko skinął głową.

- Słuchajcie. - Billings przewal czekając, aż uciszą się rozmowy i uwaga obecnych skupi się na nim. - Nie wiadomo, czy polowanie będziemy mogli zacząć za godzinę czy za trzy dni. Musimy być gotowi na wszystko. Należy przejrzeć i sprawdzić uzbrojenie. Wszystko ma być przygotowane na piątkę, od Tomcatów po bomby rozpryskowe. Sprawdzicie też bomby naprowadzane laserem, być może przyjdzie nam zaatakować nimi wnętrze jakiejś jaskini. Zaalarmujcie SEAL, zapewne będą potrzebni.

- Tak jest. - Oficer operacyjny notował wszystko w małym zielonym notesiku.

- Jeszcze coś? - Admirał rozejrzał się dookoła. - Nie? No to do roboty.

Zawiadomię was, jeśli dowiem się czegoś nowego. Rozejść się.

Oficerowie pośpieszyli do swych kabin. „Constitution” parł przed siebie, orząc dziobem fale. Spieszył na zachód, na miejsce nad leżącym na dnie, rozszarpanym wybuchami kadłubem „Pacific Flyera”, grobem dwudziestu sześciu Amerykanów i dwóch Indonezjczyków. Billings nie mógł zapomnieć o ofiarach. Potrafił wyobrazić sobie ich rodziny, domy, normalne życie...

Spojrzał na zegarek, a następnie kazał oficerowi łączności przygotować szkic meldunku, o którego wysłaniu myślał z niechęcią, bowiem miał w nim zawiadomić Waszyngton, że nie udało mu się znaleźć morderców amerykańskich marynarzy i saperów SEAL.

7.

Prezydent wstąpił na podwyższenie, mając przy boku sekretarza obrony Dicka Rolanda i przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów. Wszystko odbywało się dokładnie tak, jak poprzedniego dnia wieczorem. Jak zawsze patrzył na do znudzenia te same twarze dziennikarzy, zawsze gotowych obszczezać go i zrobić z niego durnia. Westchnął głęboko.

Roland, którego zadaniem było poprowadzenie tej szczególnej konferencji prasowej, wyjął z kieszeni marynarki kartkę, na której zapisane miał oświadczenie. Wspiął się na palce; bardzo pragnął wydać się dziennikarzom wyższym niż w rzeczywistości.

- Od grupy bojowej, operującej na Pacyfiku w pobliżu miejsca, w którym porwano wczoraj „Pacific Flyera”, otrzymaliśmy informację, że statek został wyprowadzony na morze. Następnie terroryści zamordowali załogę, na statku zaś rozmieścili ładunki wybuchowe.

Prezydent podniósł wzrok na grupę dziennikarzy, która na te słowa zareagowała zbiorowym, wyraźnie słyszalnym westchnieniem.

- Marynarka zlokalizowała jednostkę - czytał dalej Roland - jednak nim ją opanowała zginęli wszyscy członkowie załogi z wyjątkiem kapitana, którego uciekający terroryści zabrali ze sobą jako zakładnika. Ładunki wybuchowe saperzy uznali za zbyt niebezpieczne, by można je było rozbroić na pokładzie. Zarządzono natychmiastową ewakuację, część ładunków wybuchła jednak przed jej zakończeniem. Zginął jeden saper Marynarki. Wkrótce potem, gdy naszych żołnierzy nie było już na statku, „Pacific Flyer” zatonął. Zginęło dwudziestu pięciu marynarzy floty handlowej - wszyscy byli Amerykanami - oraz dwóch indonezyjskich celników. Straciliśmy statek z całym ładunkiem. - Roland podniósł wzrok na dziennikarzy. - Są jakieś pytania?

- Panie sekretarzu - jako pierwsza zareagowała dziennikarka z „Washington Post” - czy z pokładu zabrano ciała zamordowanych?

- Nie. Zostały one przykute kajdankami do elementów konstrukcji. Nie było czasu na ich uwolnienie.

- Zatonęły ze statkiem?

Dziennikarze wyraźnie się ożywili. Szykowało się im wielka, choć makabryczna gratka. Wyprostowali się w krzesłach i nastawili uszu.

- Tak

- Panie sekretarzu - spytał popularny felietonista z Nowego Jorku - powiedział pan, że kapitan jest zakładnikiem terrorystów. Gdzie się teraz znajduje? Czy jest ranny?

- Wiemy tylko, że nie było go na statku.

- To skąd wiecie, że żołnierze po prostu go nie przegapili?

Roland wahał się przez chwilę.

- Terroryści pozostawili po sobie fotografię, przedstawiającą go z lufą pistoletu maszynowego przystawioną do skroni. Zidentyfikowaliśmy go na podstawie zdjęcia.

Na zakończenie konferencji wszyscy otrzymacie odpowiednie materiały, w tym także nazwiska oraz krótkie życiorysy kapitana i ofiar.

- Czy terroryści pozostawili po sobie coś, po czym można byłoby zorientować się, kim są i jakie mają zamiary?

- Nie, nic.

- Czy zgłosili jakieś żądania? Czy wiemy, kto dokonał porwania?

- Jak informowaliśmy wczoraj wieczorem, było ich od dwudziestu do trzydziestu, przebranych w kombinezony mechaników Forda. Weszli na statek, gdy był on przycumowany do nabrzeża w Dżakarcie. Nie mamy żadnych nowych wiadomości.

- Panie sekretarzu? - krzyknęła kobieta, siedząca w jednym z tylnych rzędów.

- Tak?

- Co planujecie w związku z tą zbrodnią?

- To proste: próbujemy dowiedzieć się, kto ją popełnił i dlaczego. Wszystkimi dostępnymi nam środkami próbujemy odnaleźć sprawców. Kiedy ich znajdziemy, zareagujemy odpowiednio. W tej chwili nie wykluczamy żadnej ewentualności.

- Czy podejmiemy akcję militarną?

- Powiedziałem, że nie wykluczamy żadnej ewentualności. Na razie to wszystko. Jeśli otrzymamy jakieś nowe informacje, natychmiast się nimi podzielimy.

Roland, prezydent i admirał Hart zeszli z podwyższenia. Idąc korytarzem do Gabinetu Ovalnego słyszeli wykrzykiwane przez dziennikarzy pytania.

Prezydent Manchester ciężko usiadł w fotelu. Naokoło stołu i na kanapie stali i siedzieli jego doradcy oraz współpracownicy, a wśród nich Molly. Manchester potarł czoło.

- Wielkie Stany Zjednoczone nie potrafią odszukać trzech motorówek - powiedział. - To tak się bawimy na szerokim świecie?

Sekretarz obrony tylko wzruszył ramionami. Sam nigdy nie przejmował się szczególnie opinią światową. Postępował według zasady rób swoje, a świat niech szlag trafi z jego opiniami.

- Macie ich znaleźć!

Manchester wstał, sygnalizując w ten sposób dobitnie, że czas rozmów się skończył. Jego ludzie wstali także, oni jednak byli w pełni świadomi tego, że wiele jeszcze pozostało do powiedzenia. Jak zabrać się do tego, co należy zrobić? I co w ogóle należy zrobić?

- Jeśli mogę, panie prezydencie - odezwał się Nathaniel Corder, sekretarz stanu. - Co z prośbą admirała Billingsa o kontakt z Indonezyjczykami i uzyskanie pozwolenia na loty w ich przestrzeni powietrznej?

- Wykonać, to oczywiście. Naprawdę musieli zwracać się do nas z taką duperelą? - Ton głosu prezydenta zdradzał wyraźnie jego bezradność i zdenerwowanie. - Proszę natychmiast przekazać ich prośbę. - Manchester rozejrzał się dookoła. - Jest jeszcze coś, co musimy załatwić natychmiast? Prawie nie spałem tej nocy. Jestem zmęczony.

Ludzie prezydenta mieli jeszcze sporo pytań, lecz ich nie zadawali.

- Nie? To doskonale. Gdybym czegoś potrzebował, skontaktuję się z wami. Dajcie znać, jeśli się czegoś dowiecie albo wpadniecie na jakieś wspaniałe pomysły. Aha, panno Vaughan - przypomniał sobie, kiedy jego ludzie już wychodzili,

- Tak? - Dziewczyna nie była pewna czy ma wyjść, czy zostać.

- Jak wygląda ta sprawa z notatką na temat prawa wojennego?

- Wszystko w porządku. Wkrótce powinnam już coś mieć. - Molly uśmiechnęła się nieśmiało. - Problem nie polega na zdobyciu informacji, lecz na przedstawieniu ich na jednej stronie. Ma pan jakieś warunki dotyczące rozmiaru czcionki? - pozwoliła sobie na lekką kpinę.

Manchester odpowiedział jej uśmiechem.

- Muszę przeczytać ją bez okularów. Czternastka powinna wystarczyć.
Molly przytrzymała drzwi, które już miały się za nią zamknąć.
- Dostanie ją pan po południu - obiecała.
Manchester tylko skinął głową. Myślał już o czymś innym.

- Co sądzisz o konferencji prasowej? - spytał Grazio, siedzący w pokoju Dillona.
Obaj opracowywali terminarze na bieżący dzień. Dillon zauważył kpiący błysk w jego oku.

- Moim zdaniem wypadła kiepsko. Prezydent powinien poprowadzić ją sam, a nie zwać wszystko na sekretarza. Wyglądało zupełnie tak, jakby nie był całkiem pewien co się właściwie dzieje.

- Odpowiedzieli na najważniejsze pytania.

- Ale niczego nie powiedzieli. „Nie wykluczamy żadnej ewentualności”. Pewnie rzeczywiście nie sposób w tej chwili powiedzieć więcej, ale ja wołałbym usłyszeć, że będziemy tropić tych facetów aż na skraj świata! Że przed niczym się nie cofniemy, niezależnie od tego, z kim mamy do czynienia. Dlaczego musimy czekać, aż dowiemy się, kto właściwie zawinił, żeby zdecydować, jak zareagujemy? - Dillon wstał, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, jaki jest podniecony. - To zupełnie jak z policjantem mówiącym: dobra, wiemy że było morderstwo, więc gdy tylko dowiemy się, kto to zrobił, to go aresztujemy. Co to za różnica, kto? Dlaczego trzeba dzielić włos na czworo, skoro zginęli obywatele USA, przepadła cenna własność?

Grazio skinął głową i uśmiechał się.

- Święta prawda. - Wymierzył palec w Dillona. - I to cię właśnie różni od polityka. Dla polityka wszystko jest względne, a przed podjęciem decyzji każdej sprawie trzeba się przyjrzeć ze wszystkich możliwych punktów widzenia. Moim zdaniem naprawdę dobry polityk wie też, kiedy trzeba mówić zdecydowanie, ale ten instynkt mają tylko najbardziej rozwinięte polityczne zwierzęta. Obawiam się, że nasz prezydent z konkurencyjnej partii nie zdał tego testu.

- Aha, a ty doskonale wiesz, kiedy użyć odpowiedzi instynktownej, zamiast tej dokładnie przemyślanej, politycznej.

- Ja tylko oceniałem zachowanie prezydenta. Nie wiedziałem, że kogokolwiek może interesować moje. Więc dowiedziałeś się czegoś o Indonezji?

Grazio uznał, że dobrze będzie zmienić temat.

- Całkiem sporo - odparł Dillon. - Przyznaję, że do dziś nie wiedziałem o tym kraju niemal nic. Jasne, potrafiłbym wskazać go na mapie, ale nie miałem pojęcia, że zajmuje czwarte miejsce na świecie pod względem populacji.

- Naprawdę?

- I owszem. Przeszło dwieście milionów ludności. To więcej niż ma Rosja i Japonia.

- Chyba niewiele się o tym mówi.

- Już nie. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych mieli spore kłopoty z komunistami, doszło do przewrotu wojskowego, Sukarno i tak dalej. Mówi się, że w 1965 roku, kiedy komuniści chcieli się dostać do władzy, zamordowano tam milion ludzi. - Dillon pochylił się i położył na biurku kartkę. - Skserowałem stronę z atlasu. Zakreśliłem Indonezję.

- Kawał kraju - przyznał Grazio. - Ile jest tych wysp?

Dillon spojrział na kartkę.

- Setki - powiedział. - Może tysiące, jeśli dziesięć kilometrów kwadratowych na morzu ktoś zechce nazwać wyspą. Same zatoki i zatoczki. Różne języki, różne kultury. Każda mogła to zrobić, by zyskać dominację w Indonezji.

Grazio skinął głową.

- Jaka jest ich główna religia? - spytał po chwili namysłu.
Dillon spojrział na niego z zainteresowaniem.

- Zgadnij - zaproponował.
- Buddyzm?
- Nie.
- Taoizm?
- Nie.
- Hinduizm? - nie ustępował Grazio,
- Nie. - Dillon pochylił się w jego kierunku. - A teraz zgadnij, który kraj jest największym muzułmańskim krajem na świecie?
- Nie mam pojęcia i co to w ogóle ma wspólnego...
- Indonezja.

Grazio zamarł, zdumiony.

- Kpisz sobie ze mnie, czy co?
- Osiemdziesiąt pięć procent ludności Indonezji to muzułmanie.
- Ciekawe, czy ma to jakiś związek z tym, co się stało.
- Nie mam zielonego pojęcia. Dowiedziałeś się czegoś od swego kumpla z Waszyngtonu?

Grazio tylko wzruszył ramionami.

- Nic. Powiedział, że nie wie tyle, ile wiadomości CNN.
- Wygląda na to, że wszyscy dopiero nabieramy rozpędu. Słuchaj, kiedy wygrzebie coś więcej, zadzwonię. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia.
- Rozumiem aluzję.

Grazio wstał.

Wychodząc z pokoju trzasnął drzwiami, jak to miał w zwyczaju.

Dillon spojrział na biurko, zastawione książkami i magazynami dotyczącymi Indonezji. Otworzył „National Geographic” i zabrał się za lekturę artykułu dotyczącego różnych grup i tradycji religijnych, urozmaiconego zwyczajowymi fotografiami nagich kobiecych piersi. Odwrócił stronę i na widok jednego ze zdjęć nagle zmarszczył czoło. Przedstawiało ono tubylców z Irian Jaya, prowincji we wschodniej Indonezji, zajmującej połowę Nowej Gwinei. Pochylił się i przyjrzał fotografii niemal dotykając jej nosem.

Przedstawiała ona mężczyzn plemienia z tykwami na penisach, podtrzymywanych przez zawiązane w pasie liany. Wyglądali dzięki nim jakby mieli permanentną erekcję. Wręcz nie sposób było powstrzymać się od śmiechu. Pokręcił głową, nie odrywając wzroku od zdjęcia, wyobrażając sobie, jaki status zajmuje w hierarchii plemienia facet z największą tykwą. I co się dzieje, kiedy jakiś młody byczek założy sobie tykwę większą niż wódz. Jego uwagę zwrócił jeden z widocznych na zdjęciu mężczyzn. Czymś różnił się od pozostałych, ale czym? Dopiero po dłuższej chwili Dillon zorientował się, że jego tykwa miała inny kształt. Jakby znajomy...

- Nie, to niemożliwe - szepnęła cicho. Ten gość nałożył sobie na członek... różową nogę plastikowej lalki. Sterczała z ciała pod kątem prostym, z palcami małej nóżki dumnie skierowanymi w niebo. Jej właściciel wyglądał na niesłychanie zadowolonego z siebie.

Ciekawe, pomyślał, skąd wziął nóżkę lalki i co go skłoniło, żeby założyć ją sobie właśnie tam. Przez chwilę zastanawiał się też, co powiedziałyby Molly, gdyby pojawił się, by zabrać ją do kina z lalczyną nóżką sterzącą z rozporoka.

Rozległo się pukanie do drzwi i w jego pokoju pojawił się Grazio.

- Tak właśnie myślałem, że tu cię znajdę.
- Gratuluję przenikliwości. To mój pokój i przed chwilą z niego wyszedłeś.

Dillon pokazał gościowi zdjęcie, które tak go zdumiało.

- A to co? - Grazio wpatrywał się w stronę „National Geographic” z ustami rozdziawionymi ze zdumienia.

- Noga lalki.

- Na fiucie?

- No pewnie. A na co innego możesz założyć nogę lalki?

- I właśnie to noszą muzułmanie pod tymi swoimi szatami i w ogóle. Tykwy? Nogi lalek?

- Żałosny z ciebie ignorant. Nie mógłbyś odzwyczaić się od myśli, że Arabowie to jedyni muzułmanie na świecie?

Grazio zignorował tę uwagę.

- Słuchaj, właśnie zadzwonił mój kumpel z Pentagonu - oznajmił.

- Świetnie. - Dillon obrócił krzesło w jego stronę. - No i czego się od niego dowiedziałeś?

- Indonezja ma więcej niż sądziłem. Wiesz, że dysponuje F-16 i F-5?

- Jasne. W Kongresie była niezła chryja, kiedy zgodzono się na sprzedaż F-16.

Potem dokupili sobie od Ruskich Migi-29.

- Ich armia liczy dwieście tysięcy żołnierzy.

Tym razem Dillon był autentycznie zdumiony.

- Nie miałem pojęcia - przyznał. - A dobrzy są?

- Początkowo ćwiczyli ich i zaopatrywali Holendrzy. Wówczas Indonezja była ich Indiami Wschodnimi. Od czasu odzyskania niepodległości w 1949 roku pozostawili ich samym sobie, a Indonezyjczycy bili się wyłącznie między sobą. Nie sposób powiedzieć, czy są dobrzy.

- Jest na tym terenie ktoś, kto mógłby rzucić im wyzwanie? Ktoś, kogo się boją?

- Japończycy. Od II wojny światowej. Może Indie lub Australia? Chiny? Ale nawet trzydzieści miliardów Chińczyków nie robi im krzywdy, jeśli nie nauczą się chodzić po wodzie. Indonezja to same wyspy. Jest bezpieczna, chyba że znajdzie się w konflikcie z państwem posiadającym naprawdę silną marynarkę. Na przykład z nami.

Jim Dillon rozparł się w krzesle, zakładając ręce za głowę. Sprężyny skrzypnęły pod jego ciężarem.

- Nic z tego nie rozumiem - wyznał. - Więc kto mógł cokolwiek wygrać na mordowaniu tych marynarzy i zatopieniu statku?

- Wygląda na to, że chcą dać coś do zrozumienia. Tylko komu? Wątpię, czy za akcją stoi dealer Toyoty, obawiający się konkurencji. Dla mnie to policzek wymierzony Stanom Zjednoczonym - przerwał, by podkreślić efekt następnych słów - a zwłaszcza prezydentowi - dokończył. - Ludzie zdają się sądzić, że zrobiono to by pokazać, że jego „dyplomacja przez handel” to jedna wielka bzdura, ale kto aż tak nienawidzi handlu? W końcu Indonezyjczycy niemal błagali nas, byśmy zaczęli od nich. To oni w ogóle wpadli na ten pomysł, oni zwrócili się do Forda, by otworzył u nich salon.

- No, nie wiem. - Dillon zdał sobie nagle sprawę z tego, że jest zmęczony. Dreptali w miejscu. - Daj mi znać, jak dowiesz się czegoś więcej.

- Jasne. Idę do Biblioteki Kongresu. Mam zająć się historią polityczną Indonezji. Rozkaz przewodniczącego.

- Baw się dobrze.

Caskey spojrział najpierw na zegarek, a potem na rozkład lotów. Dziesięć minut do kolejnej odprawy. Nie wystarczy, by choćby przyjrzeć się tablicy ogłoszeń. Oparł więc głowę na podglówku obciążonego skórą fotela w sali odpraw i przymknął oczy, natychmiast jednak zorientował się, że tego akurat nie powinien był robić. Poczł senność, ciężką i odbierającą siły. Walczył z nią, a jednocześnie ulegał jej z rozkoszą. Bardzo chciał spać, poddać się, nie walczyć. Jednocześnie świadom był, że nie jest to odpowiednia pora na sen. Nie wolno przecież dopuścić do tego, by podwładni widzieli dowódcę śpiącego podczas dyżuru.

Dźwięk włączonego w sali telewizora zmusił go do otwarcia oczu. Dostrzegł znajomą twarz oficera wywiadu skrzydła, komandora porucznika Carrolla Cousinsa, lub - jak sam go nazywał - Pinkiego; mógł sobie na to pozwolić, bowiem Pinkie¹⁰ był jednocześnie chorążym w dywizjonie VF-84, którym Caskey dowodził. Caskey zerknął na zegarek. Osiem minut do odprawy. Coś się stało.

- Dzień dobry - powiedział Pinkie. - Nie, nie zgubiłem zegarka i, wiem, że za wcześnie zaczynamy odprawę, ale właśnie otrzymaliśmy informację o tym, że CNN ma za minutę pokazać program przygotowany na żywo w Dżakarcie, mający podobno rzucić nowe światło na wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin. Mamy dobre połączenie przez satelitę, nie powinno więc być kłopotu z jakością odbioru i...

- Dyżurny! - wrzasnął Caskey. - Ogłoś gotowość, upewnij się, że ten program będą oglądali wszyscy na okręcie.

- Tak jest!

- No to zaczynamy - oznajmił Pinkie.

Telewizję przełączono tak, że program CNN odbierany był na całym statku.

Na ekranie pojawiła się prezenterka, pokazując twarz wyjątkowo poważną w odróżnieniu od zwykłego dla CNN, figlarnego wyrazu twarzy prezenterów, co miało oczywiście oznaczać, że za chwilę przekaże złe wieści, a nie jak zwykle błahe miśki.

- Dobry wieczór - powiedziała. Rzeczywiście, w Waszyngtonie był wieczór w odróżnieniu od Morza Jawajskiego, gdzie ranek jeszcze się nie skończył. - CNN otrzymało na wyłączność pierwszą wiadomość od ludzi, którzy twierdzą, że to oni porwali i zatopili „Pacific Flyera”. Dziś wcześnie rano czasu Dżakarty mężczyzna na motorowerze zostawił tę kasetę w naszym biurze w tym mieście, po czym natychmiast odjechał. Na grzbiecie kasety znajduje się napis w języku angielskim: „Od FII - tych, którzy powali «Pacific Flyera»„. Otrzymaliśmy wyłącznie kasetę, której pochodzenia nie jesteśmy w stanie prześledzić. Technicy CNN z Dżakarty obejrzel ją i są skłonni uznać nagranie za autentyczne. Za chwilę pokażemy państwu zawartość tej taśmy bez żadnych skrótów. Oto wyłączny materiał CNN.

Prezenterka odwróciła się bokiem i spojrzała w monitor.

Pojawił się zamazany obraz, stopniowo coraz ostrzejszy, skupiony na białym mężczyźnie w wieku pięćdziesięciu kilku lat, siedzącym sztywno w nędznym pokoiku, trzymającym dłonie nienaturalnie płasko na blacie drewnianego stołu. Mężczyzna patrzył wprost w kamerę, najwyraźniej wypełniając polecenie. Oczy miał podpuchnięte, włosy nieuczesane. Głos dobiegał spoza kadru, mówiący posługiwał się mocno akcentowaną angielszczyzną i najwyraźniej czytał przygotowane wcześniej wystąpienie.

- Wy, Amerykanie - mówił - oczywiście wierzycie, że jak długo karmicie świat swą zachodnią trucizną, świat będzie coraz lepszy. Mylicie się. Świat ma dość waszej dominacji, waszego egoizmu wynikającego z przekonania, że co dobre dla was, dobre

¹⁰ Postać niezbyt rozbudowanej myszki z animowanego serialu dla dzieci „Pinkie i Mózg” [przyp. red.].

dla świata, zwłaszcza jeśli możecie przy okazji nieźle zarobić. Obywatele świata nie mają zamiaru dłużej giąć kolan przed amerykańskim imperializmem. Jestem bojownikiem o wolność, takim jakim był Jerzy Waszyngton. Reprezentuję przyszłość Indonezji i świata. Jesteśmy Frontem Islamskiej Indonezji. Dzięki nam nasz kraj osiągnie prawdziwą wielkość, oraz przez Koran i przestrzeganie jego zasad w muzułmańskim państwie. Dzięki nam Indonezja pozbędzie się dyktatury wojskowej, poparcia Ameryki i samej Ameryki. Porwaliśmy „Pacific Flyera” chcąc dać lekcję wam, Amerykanom. Nie skontrolujecie nas i nie kupicie nas waszą „demokracją przez handel”. Nie chcemy waszego handlu i nie chcemy waszej demokracji. Wraz z Ameryką pojawia się zepsucie, prostytutka, pornografia, bluźnierstwo, morderstwo i zniewolenie.

Mówca przerwał. Przez chwilę mogło się nawet wydawać, że skończył, po chwili jednak mówił dalej.

- Tego zaś nie mamy zamiaru znosić. Po pierwsze, wymagamy obietnicy, że Ameryka zerwie wszystkie handlowe stosunki z Indonezją na dziesięć najbliższych lat. Po drugie, amerykańska Marynarka ma się nie pojawiać na naszych wodach przez najbliższe lat dwadzieścia. Po trzecie, musicie odwołać waszych misjonarzy i zaprzestać prób nawracania naszych ludzi. Jesteśmy krajem muzułmańskim i na zawsze nim pozostaniemy. Jeśli nie dostosujecie się do naszych żądań, nikt nie będzie w stanie zagwarantować bezpieczeństwa żadnemu Amerykaninowi ani w naszym kraju, ani gdziekolwiek na świecie.

Caskey siedział nieruchomo, zszokowany zarówno treścią przemowy, jak i beznamytnym sposobem jej wygłoszenia. Terrorysta mówił tymczasem dalej.

- Na wypadek gdybyście uznali, że blefuję, przedstawiam wam kapitana „Pacific Flyera”. - W prawym dolnym rogu kadru pojawiła się lewa ręka. Pośrodku mignęła prawa ręka, uderzając siedzącego mężczyznę w tył głowy. Kapitan poderwał się machinalnie, uniósł ręce. Ręka uderzyła go po raz wtóry. Opadł na krzesło i zmarł. - Mogę z nim zrobić cokolwiek mi się spodoba. Jeśli nie dostosujecie się do naszych żądań, zostanie zabity tak, jak wszyscy członkowie jego załogi.

Caskey poczuł, jak żołądek zaciska mu się w ślepej furii. Co za bezczelność: zamordować niewinnych ludzi, a potem pojawić się w światowej sieci telewizyjnej, by postawić warunki Stanom Zjednoczonym i ich Marynarce. Niewiarygodne!

Terrorysta kończył już swe wystąpienie.

- Wysłuchałeś nas, prezydencie Manchester, a teraz zrobisz to, czego się domagamy. Wy, Amerykanie, bez przerwy powtarzacie „prawa, prawa, prawa...”, ale macie na myśli wyłącznie prawa, które przysługują wam. My tymczasem chcemy tylko, byście przyznali nam prawo, które uważacie za najoczywistsze: prawo do bycia pozostawionym w spokoju.

Prezydent Manchester spojrzał na dyrektora CIA.

- Słyszałeś kiedyś o takiej grupie? - spytał opanowanym głosem.

- Nie, panie prezydencie, nie słyszałem - przyznał Cary Warner. - Co nie oznacza, że nie słyszał o niej nikt w Firmie. Natychmiast zdobędę wszystkie potrzebne informacje. Zalecam też, panie prezydencie, by udzielił pan zgody na kontakt z moim odpowiednikiem w Indonezji. Sądzę, że informacja od terrorystów zaniepokoiła go tak samo jak nas.

- Skąd to przekonanie? - spytał Bosch.

- Ich mowa skierowana była nie tylko do nas, lecz w co najmniej równym stopniu także do Indonezyjczyków. Zatopienie tego statku rzuciło cień przede wszystkim na nich z tego prostego powodu, że atak przeprowadzony został z ich terytorium.

Terrorystyci sugerują, że mają zamiar przejąć władzę w Indonezji, nie w Stanach Zjednoczonych. Od nas wymagają tylko, żebyśmy trzymali łapy przy sobie.

- Co to za bzdury? - nie wytrzymał szef personelu Białego Domu. - To zwykłe osiłki, próbujące zyskać sławę. Co zamierzamy zrobić, panie prezydencie?

- Nie wiem. - Manchester bezradnie przesunął dłońmi po twarzy. - Tak naprawdę wcale nie wiemy więcej, niż wiedzieliśmy do tej pory. Przecież wiedzieliśmy, że to niewielka grupka terrorystów, a nie żaden obcy rząd ani dobrze znana organizacja, że to terrorystyci, którzy czegoś od nas chcą. - Obszedł biurko i stanął przy oknie Gabinetu Owального. - Muszę porozmawiać z prezydentem Indonezji, dowiedzieć się, co oni mają zamiar zrobić w tej sprawie.

- A Marynarka? Powinna chyba podjąć odpowiednie kroki? - szef personelu specjalnie sformułował pytanie tak, by sugerowało odpowiedź.

- Jakie kroki? - odpowiedział pytaniem wyraźnie wyprowadzony z równowagi prezydent.

- Powinniśmy przynajmniej polecić im, by kontynuowali poszukiwania, a kiedy znajdą tych facetów, muszą przygotować się do ich zaatakowania.

- Czasami odnoszę wrażenie, Arlan, że naoglądałeś się za dużo filmów. Będziemy siedzieć na tyłku, czekać na rozwój sytuacji, a kiedy dostaniemy odpowiednie informacje, na ich podstawie podejmiemy decyzję, co zrobić.

- Może przynajmniej kontynuowaliby poszukiwania?

- Przecież to oczywiste, że mają kontynuować poszukiwania! Musimy znaleźć tych terrorystów, niezależnie od tego, co zdecydujemy się z nimi zrobić.

Szef personelu skinął głową. Na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi, co dodatkowo zdenerwowało prezydenta.

- No cóż - wtrącił się do rozmowy Cary Warner - muszę pogadać z paroma osobami. Zbiorę dodatkowe informacje - dodał, wstając.

- Cary! - powstrzymał go prezydent.

- Tak, panie prezydencie?

- Twój najlepszy człowiek ma przedstawić mi informacje o Indonezji tak szybko, jak tylko będzie to możliwe.

- Oczywiście, wyślę kogoś do pana, ale od czasu śmierci Suharto nie było tam większych problemów. Nadal funkcjonuje prawo stanu wojennego, życie nie różni się zbyt od tego, jakie prowadzili za jego rządów.

Prezydent Manchester spojrzał na niego; usta zaciśnięte miał w cienką linię. Coś chodziło mu po głowie, nie miał jednak zamiaru wtajemniczyć w swe myśli nikogo: ani Rady Bezpieczeństwa Narodowego, ani swego szefa personelu.

- Telefony się urywają, panie przewodniczący - oznajmił Dillon plecami Stanbridge'a, przebiegającego przez sekretariat i rzucającego marynarkę na wieszak przed wejściem do gabinetu.

- Nie do wiary! - krzyknął Stanbridge. - Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni ktoś rzucił Stanom Zjednoczonym tak bezpośrednie wyzwanie. Jasne, różne rzeczy się zdarzały, tu i tam wplątywaliśmy się w jakieś konflikty, ale nie pamiętam, by ktokolwiek przedtem próbował utrzcć nam nosa w ten sposób! Od kogo te telefony? - spytał Dillona.

- Głównie wyborcy, którzy uważają, że powinniśmy podjąć natychmiastową akcję. Kilku sugerowało nawet użycie broni jądrowej.

Przewodniczący w ostatniej chwili stłumił wybuch śmiechu.

- Ktoś zasugerował nawet, że powinniśmy dokonać natychmiastowej inwazji na Indonezję. Panuje powszechne przekonanie, że terrorystów popiera naród i że rząd

im płaci, by zerwali z nami umowy handlowe, bo nie ośmielił się uczynić tego samodzielnie.

- Coś jeszcze?

- Nie, to mniej więcej wszystko.

- Właśnie rozmawiałem z Pete'em Petersonem. Postanowiliśmy, że spotkamy się z prezydentem. Powinniśmy ściśle współpracować, upewnić się, że nadajemy na tej samej fali. Nie chcę osłabiać pozycji prezydenta, ale muszę mieć pewność, że planuje jakąś akcję. Że wysyła zdecydowane sygnały. A wiesz - powiedział, zwracając się bezpośrednio do Dillona - co mnie najbardziej martwi?

Dillon tylko pokręcił głową.

- Nie ufam jego instynktom. No, bo tylko pomyśl. W latach sześćdziesiątych facet uczestniczył w ruchu antywojennym. Kiedy ja walczyłem w Wietnamie, nadstawiając tyłka, on w Waszyngtonie demonstrował sobie spokojnie przeciwko tej wojnie. Nigdy nie znalazł się w sytuacji zmuszającej go do współdziałania z wojskiem i nigdy nie dowiódł, że jest do tego zdolny.

Dillon nie był pewien, czy przewodniczący spodziewa się odpowiedzi.

- Nie wiem, czy można mówić o jakichś bezpośrednich związkach jego udziału w akcjach pacyfistycznych z obecną sytuacją.

Przewodniczący skinął głową.

- Masz rację - przyznał. - Ale nadal mu nie ufam.

Dillon spojrzał na blok, w którym wcześniej przygotowywał notatki.

- Oczywiście, proszę pana. Czy ma pan dla mnie jakieś zadanie?

- Owszem. Masz zostać ekspertem od Indonezji. Muszę mieć wszystkie możliwe informacje, nim usiądę do rozmów z prezydentem.

- Oczywiście.

Przewodniczący zabrał się za przerzucanie czekających na niego na biurku papierów. Dillon poszedł do swojego pokoju, położonego piętro wyżej. Czekają tam na niego mnóstwo periodyków, wydruków komputerowych, zdjęć oraz książek. W tej chwili, pomyślał, ktoś inny przeprowadza identyczne badania. Podniósł słuchawkę i wystukał doskonale zapamiętany numer.

Na pierwszym piętrze Zachodniego Skrzydła Białego Domu zadzwonił telefon.

- Tak? - powiedziała Molly, podnosząc słuchawkę.

- Tu Jim.

- A cześć. Co za cholerni faceci. Skąd u nich taka bezczelność?

- Nie mam pojęcia. Moim zdaniem jednak, kiedy to się już skończy, nie będą już tacy pewni siebie.

- Pewnie masz rację. Co się stało, że dzwonisz?

- Może wiesz, czym właściwie jest ten FII? Pracujesz nad tym?

- Oczekujemy nowych informacji. - Molly zawahała się na chwilę. - Współpracuję z prezydentem, ale jeszcze nie wiem, co zamierza. Dzwoniłeś tylko po to, żeby zadać mi to pytanie?

- Pomyślałem po prostu, że moglibyśmy wymienić się informacjami.

- Przecież wiesz, Jim, że to wcale nie działa w ten sposób. Ludzie z tego miasta zawsze będą próbowali zdobyć przewagę polityczną dzięki cemukolwiek, choćby masowej zbrodni.

- Molly, może spotkamy się dziś na kolacji? Będzie okazja do rozmowy.

- Od czasu do czasu muszę coś zjeść, jak każdy. Mam wrażenie, że mało kto w Waszyngtonie pójdzie dziś wcześniej spać, ale nie jestem pewna...

- Czego?

- Nie, niczego. Do zobaczenia około wpół do ósmej.

- Może być siódma?

- Niech będzie.
Molly odwiesiła słuchawkę.

- Nie ma jak twój sos do hamburgerów, Jim - stwierdziła kpiąco dziewczyna, marszcząc nos.

- Następnym razem ty gotujesz.

Dillon zjadał ze smakiem, ona zaś odłożyła pełny jeszcze talerz na szafkę kuchenną i włączyła ekspres do kawy.

- Jak myślisz, o co im chodzi? - spytała. Zastanawiała się nad tym problem cały dzień, teraz miała wreszcie komu zadać pytanie. - Zamordowali amerykańskich marynarzy, by zyskać piętnaście minut sławy?

- Wygląda na to, że ostatnio tak właśnie załatwia się podobne sprawy. Potrzeba tylko paru wariatów z bronią i bombami. Duże wojny i wielkie zniszczenia... te czasy odeszły w przeszłość. Świat powoli wykrwawia się na śmierć. - Pochylił się i przeniósł naczynia z szafki do zlewu. - Jak twoim zdaniem powinniśmy zareagować?

Molly zastanawiała się przez chwilę. Odgarnęła włosy z twarzy.

- Właściwie to nie wiem - przyznała. - Izrael zachowywał się twardo i nic mu z tego nie przyszło. Palestyńczycy mają swój kraj, tuż na ich progu. Zupełnie jakby obojętne było, co właściwie zrobisz.

- Myślisz, że gdyby byli łagodniejsi dla terrorystów mieliby mniej zamachów? - zdumiał się Dillon.

- Tego nigdy się nie dowiemy. - Dziewczyna nalała wody do ekspresu i włączyła go. - Sądzę tylko, że powinniśmy częściej stosować pokojowe podejście.

- Nawet wobec FII, kimkolwiek są ci ludzie?

- Tego nie jestem już taka pewna - odparła, wzruszając ramionami.

Dillon powoli pokręcił głową.

- A czego tu trzeba być pewnym? Dlaczego, kiedy już ich znajdziemy, nie mielibyśmy zaatakować?

- Potrafię wyobrazić sobie wiele powodów. Przede wszystkim potrzebujemy więcej informacji.

- A co prezydent zamierza zrobić w związku z tą sprawą? - spytał Dillon i dostrzegł ten szczególny wyraz jej twarzy - przekroczył niewidzialną linię.

Nie zachwycił jej tym pytaniem.

- Wiesz, że nie wolno mi dyskutować o jego planach. Nie wierzę, że w ogóle mogłeś o to zapytać.

- Dlaczego? - Wręczył jej kubek w słoneczniki, który kupił specjalnie dla niej. Uwielbiała słoneczniki. - Po prostu chcę wiedzieć.

- To niewłaściwe i dobrze o tym wiesz - usłyszał chłodną odpowiedź.

- Po prostu chcę usłyszeć odpowiedź. - Oparł się o szafkę obok niej. - Przecież to sprawa prezydenta, a ty pracujesz dla niego. Prezydent jest naczelnym dowódcą, prawda? Jeśli ktoś w ogóle ma coś zrobić, tym kimś musi być on.

- Przecież to nic nowego. Tak było zawsze.

- Więc co ma zamiar zrobić?

Molly milczała.

- Przykro mi - powiedziała tylko.

- W porządku. W takim razie powiedz mi, co twoim zdaniem powinien teraz zrobić.

- Mówiłam już, że nie wiem!

- Dlaczego jesteś taka rozdrażniona? - spytał Jim, zaskoczony. - O co ci chodzi? Co cię denerwuje?

Molly spojrzała w górę. Zamknęła oczy. W końcu opuściła głowę.

- Gdybym chciała być całkiem uczciwa, musiałabym ci chyba powiedzieć, że osobiście martwi mnie, iż jesteś taki krwiożerczy, że sam najchętniej od razu zaatakowałbyś tych Indonezyjczyków...

- A co, nie powinienem? I co to ma wspólnego z...?

- Pozwól mi skończyć. Nigdy nie straciłam nadziei, że... że pewnego dnia będziemy razem. Ale dzieli nas więcej niż polityka. Ja nie jestem taka krwiożercza. Ten kraj musi nauczyć się, że pewne sprawy warto przemyśleć, a nie działać nim zrozumie się wszystko do końca. A nawet wówczas czasami warto zaniechać działania, jeśli akurat to może okazać się przydatne.

- A dlaczego zaniechanie ma się okazać przydatne? Powiedz mi, pod jakimi warunkami? - Uśmiechnął się nieznacznie. - Ciekawe, że wspomniałaś o tym, że moglibyśmy się zejść. Sam dużo o tym myślałem. - Przysunął się, spojrzał jej w oczy, włożył ręce do kieszeni. - I ta sprawa nie powinna nas rozdzielić.

Molly odpowiedziała mu spojrzeniem

- Już rozdzieliła - powiedziała.

Jak zawsze rano prezydent Manchester otrzymał nowe informacje, jak zawsze też przeczytał gazety, a właściwie skróty materiałów z niezliczonych gazet krajowych, i teraz zastanawiał się, co powinien zrobić. Cały świat czekał na to, jak zareaguje na atak na amerykański statek. Czy wda się w bójkę, jak dziecko na podwórku? Spróbuje wyważonego podejścia dyplomatycznego, preferowanego podobno przez dojrzałych polityków i prawie zawsze przez nich wybieranego, bowiem dzięki niemu łatwo zyskać na czasie? Odpowie jak Izraelczycy odpowiadali - przynajmniej do pewnego momentu: „nigdy nie negocjujemy z terrorystami”?

Właściwie co miały z nimi negocjować?

Zdawał sobie sprawę z tego, że wszyscy będą wiedzieli lepiej i wszyscy będą go krytykować. Ci, którzy się z nim nie zgadzali, zawsze wiedzieli lepiej. Nawet jeśli zgadzali się z nim w głębi serca, lecz dzięki krytyce mogli coś zyskać, krytykowali. W tej profesji tak się postępowało.

Powoli otworzyły się drzwi.

- Sekretarka pozwoliła mi wejść - powiedziała Molly.

Miała na sobie czarny kostium i szpilki na wysokich obcasach.

Prezydent wstał.

- Ależ proszę wejść - powiedział. - Niech pani siada.

- Dziękuję, panie prezydencie.

- Miło mi panią widzieć. - Manchester powrócił na miejsce za biurkiem. -

Dziękuję, że przyszła pani tak wcześnie. Wprawdzie mamy spotkanie przy śniadaniu, ale chciałem się od pani dowiedzieć jak pani ocenia sytuację, zanim wszyscy zaczną się popisywać.

- Na razie nie widzę żadnego problemu, panie prezydencie. Oczywiście z różnych stron naciskają na pana, oczekując jakiejś reakcji, ale tego należało się spodziewać od początku.

- Ma pani na myśli akcję wojskową?

- No cóż, wygląda na to, że wszyscy by jej chcieli.

- A jaka jest pani opinia?

- Akcja wojskowa z całą pewnością jest jakąś opcją. Ale ma pan przecież i inne.

- Na przykład?

- Cóż... z całą pewnością myślał pan o negocjacjach, o wykorzystaniu rządu indonezyjskiego do załatwienia tej sprawy, o powstrzymaniu się od reakcji siłowych celem okazania dobrej woli...

- Owszem, zastanawiałem się nad tymi możliwościami, ale chciałem usłyszeć pani indywidualną opinię, ponieważ nie jest pani stałym członkiem mojego personelu i w związku z tym nie nabrała pani zwyczaju mówienia mi tego, co chcę usłyszeć.

- A może nabrałam już tego zwyczaju, tylko pan nic jeszcze o tym nie wie? - Molly uśmiechnęła się.

- Czy mogę panią o coś zapytać, pani Vaughan?

- Oczywiście, panie prezydencie.

- Które wyjście uważa pani za odważniejsze: atak w gniewie, czy powstrzymanie się od ataku z miłosierdzia?

Brwi dziewczyny uniosły się wysoko.

- No cóż, mam wrażenie, że zależałoby to od okoliczności. Jeśli ma pan na myśli te okoliczności, argumentować można za wyborem każdej z tych dróg.

Manchester skinął głową. Czuł, że jego ludzie, nawet najbliżsi doradcy, coraz bardziej się od niego oddalają. Dowodów nie miał, ale też ich nie potrzebował. Jego ludzie wycofywali się, by móc lepiej obserwować sytuację. Czekali, aż sam zdecyduje. Gdyby jego decyzja okazała się błędna, zawsze mogliby twierdzić, że jej nie popierali, gdyby zaś okazała się słuszna, natychmiast oznajmiliby, że należą do wewnętrznego kręgu ludzi zaufanych, i że we wszystkim się z nim zgadzali. Nie było w tym nic dziwnego, tak wygląda polityka.

A on nienawidził polityki. I nienawidził nienawidzić polityki. Zajął się polityką ze względu na zasady, chciał zrobić coś dobrego, chciał uczynić Amerykę i świat... miejscem, w którym żyłoby się lepiej. Jak wszyscy poprzedni prezydenci szybko odkrył jednak, że musi targować się z ludźmi, z którymi trudno się targować, że musi zawierać kompromisy kosztem zasad.

Teraz jednak musiał wreszcie podjąć decyzję, samodzielnie i tylko dlatego, że uzna ją za słuszną, a nie dlatego, że wynika ona z badań opinii publicznej. Wstał, podszedł do okna i wyrztał na Południowy Trawnik, brązowy po zimie. Złościł się na siebie za myśli, które bezustannie przebiegały mu przez głowę. Podlegał naciskom Kongresu, prasy, armatora, któremu zatopiono statek, ambasadora Indonezji, personelu, żony... oni wszyscy bezustannie na niego naciskali.

Wszyscy mieli jakąś opinię o tym kryzysie, pierwszym prawdziwym kryzysie z jakim zetknęła się jego administracja. Po raz pierwszy za jego rządów świat wstrzymał oddech i z niecierpliwością czekał na każde jego słowo. Oczekiwał przywództwa.

Prezydent podszedł do interkomu.

- Dajcie mi do telefonu Arlana, dobrze? - powiedział.

- Tak jest, panie prezydencie - padła natychmiastowa odpowiedź. - Czy mam mu powiedzieć, o co chodzi?

- Powiedzcie mu, że zdecydowałem, co powinniśmy zrobić - oznajmił Manchester, dostrzegając wyraz zdumienia na twarzy Molly.

Dillon rzucił na biurko „The Washington Post” i „The Washington Times”, po czym powiesił marynarkę na haczyku, umieszczonym po wewnętrznej stronie drzwi. W tym momencie drzwi się otworzyły i do jego pokoju wszedł Grazio.

- Przewodniczący chce cię widzieć - oznajmił bez wstępów.

Dillon spojrział na niego i odetchnął głęboko.

- Nie miałem czasu na śniadanie - powiedział. - Nie miałem czasu nawet napić się kawy. - Wychodząc na korytarz, dodał: - Co się dzieje?

- Nie wiem. Ale widziałem w jego oku ten błysk, wiesz?

Jim Dillon wspiął się po schodach i wkroczył do sekretariatu przewodniczącego.

- Cześć, Robin - pozdrowił sekretarkę. - Jest u siebie?

Robin skinęła głową.

Nie zwalniając kroku, wszedł do gabinetu przewodniczącego.

- Dzień dobry - powiedział.

Stanbridge wyprostował się w fotelu i spojrzał na niego ostro.

- Kiedy po raz ostatni zajmowałeś się Ustawą o Prowadzeniu Wojny?

- Parę miesięcy temu - odparł, naciągając nieco prawdę. - O ile pamiętam, prezydent ma prawo wysłać żołnierzy na tereny objęte wojną bez zawiadamiania Kongresu, musi jednak uzyskać jego pozwolenie na prowadzenie działań dłuższych niż trzydzieści dni...

Przewodniczący skinął głową.

- To przez Nucona i Wietnam - powiedział, wstając i kręcąc głową. - Kryje się za tym groteskowa historia. To Kongres wciągnął Stany Zjednoczone w wojnę wietnamską rezolucją odnośnie incydentu w Zatoce Tonkijskiej. Kongres finansował tę wojnę przez kilkanaście lat, a kiedy okazało się, że to nic nie daje, zwałił winę na prezydenta, oskarżając go, że wysłał żołnierzy bez pozwolenia. Niewiarygodne. A kongresmani sądzą, że finansują co? Strzelanie do tarczy? Niewiarygodna hipokryzja. - Przeciągnął dłonią po kasztanowatych włosach. - W każdym razie przepis istnieje i uniemożliwia prezydentowi długotrwale zaangażowanie wojsk bez wsparcia Kongresu.

Dillon skinął głową.

- Ma pan rację. Czy mam przygotować skróconą analizę, jak to się ma do obecnej sytuacji w Indonezji?

Przewodniczący wyjrzał przez okno i skinął głową.

- Słyszałem, że Manchester ma wkrótce wygłosić oświadczenie. Przypuszczam, że wykona jakiś zdecydowany ruch, próbując zanegować swój, skądinąd najzupełniej prawdziwy, obraz militarnego chucherka.

- Oczywiście, proszę pana.

Przewodniczący spojrzał na niego z zastanowieniem, jakby coś właśnie przyszło mu do głowy.

- Byłeś w wojsku?

- Nie.

- Dlaczego?

- Właściwie to bez powodu. Po prostu nie byłem w wojsku. Kiedy zacząłem studia, nie trzeba już było nawet rejestrować się do poboru i do głowy mi nie przyszło, żeby coś w tej sprawie zrobić.

- A powinieneś. Wojsko wzmacnia charakter. W każdym razie daj mi znać co znalazłeś w Ustawie o Prowadzeniu Wojny jeszcze przed lunchem. Wolałbym nie dać się złapać na jakimś drobiazgu. Powiniennem z głowy recytować podstawowe przepisy.

- Oczywiście, proszę pana. Zaraz się za to wezmę. Chce pan, żebym przygotował notatkę?

- Jedna strona. Najważniejsze fakty. Co prezydent może, a czego nie może zrobić

- Przygotuję ją osobiście. Czy mogę korzystać z pomocy osób trzecich?

- Możesz korzystać z każdej dostępnej pomocy. Pracuj tylko nad tym, zostaw wszystko inne.

Słońce zaszło już nad promieniującym upałem Morzem Jawajskim. Jego powierzchnia była spokojna niczym jezioro, po którym przebiegają zmarszczki fal. Silniki trzech motorówek szumiały cicho, gdy powoli wpływały one do przepięknej laguny. Kapitan Clay Bonham, z rękami związanymi na plecach, stał za niskim mężczyzną kierującym jedną z łodzi. Inny, równie niewysoki mężczyzna, przyłożył mu do karku ostrze noża.

Bonham starał się zapamiętać każdy szczegół okolicy na wypadek, gdyby udało mu się wyrwać prześladowcom i gdyby musiał opisać to, co teraz widzi, Marynarce Stanów Zjednoczonych. Wyteżył wzrok, próbując odczytać długość i szerokość geograficzną z ekranu nawigacji satelitarnej GPS. Oczywiście, nie mam nawet najmniejszej szansy na to, by się uwolnić, pomyślał. Jestem trupem. Wspomniał swoich marynarzy. F-14 wprawdzie odnalazły „Pacific Flyera”, jednak Marynarce nie udało się dotrzeć do statku na czas i Waszyngton wymordował jego załogę. Bonham zacisnął zęby.

Trzy łodzie przybiły do mola, najwyraźniej postawionego bardzo niedawno. Jeden z terrorystów wyskoczył z pierwszej łodzi, tej na której znajdował się Bonham i Waszyngton, i przycumował ją. Gdy tylko przywiązano tylną cumę, terroryści zeskoczyli z łodzi i wtopili się w otaczającą molo dżunglę. Mężczyzna z nożem pociągnął za linę przywiązaną do ramienia Bonhama, wywołując przeszywający ból. Kapitan zdołał jednak stłumić krzyk. Zszedł z łodzi na brzeg i ruszył przed siebie, zgodnie z poleceniami terrorysty z nożem. Dostrzegł namioty i szałas - część bez wątpienia tymczasowego obozowiska.

Załogę się, że macie ich w okolicy najmarniej kilkanaście, pomyślał. Przyzwoite molo, tymczasowy obóz, szybkie łodzie i statek-baza, transportujący was gdzie tylko się wam zamarzy. Pokręcił głową. Marynarka nigdy go nie znajdzie.

Wpatrzony w mapę admirał Billings wściekał się jak nigdy przedtem. Sam pomysł by grupa bojowa lotniskowca szukała trzech motorówek na gigantycznym Morzu Jawajskim wydawał mu się śmieszny, a on nienawidził jednego: śmieszności. Indonezja składała się z siedemnastu tysięcy wysp, jemu zaś nakazano odnalezienie trzech motorówek. I mimo iż sprawę uznano za krytyczną dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych, odmówiono przesunięcia satelitów na inne orbity tak, by wspomogły poszukiwania. Satelity byłyby w stanie odnaleźć i zidentyfikować łodzie przy nabrzeżu, inne zadania uznano jednak najwyraźniej za znacznie ważniejsze, choć oczywiście nikt nie pofatygował się powiedzieć mu, o jakież to inne zadania chodzi.

Objął wzrokiem otaczających go ludzi, starających się przede wszystkim odczytać, jego nastrój. Byli dobrze wyćwiczeni, nikt się nie wychylił, nie zabrał głosu jako pierwszy.

Admirał wskazał mapę.

- Widzicie, ile tu jest tych wysepek? - spytał. - W tej chwili ich łodzie mogą już być przy każdej z nich... albo przy żadnej. - Zerknął na oficera wywiadu, który w odpowiedzi tylko skinął głową. - Chętnie wysłucham propozycji. Na razie kręcimy się w kółko jak idioci, marnując paliwo atomowe, paliwo do samolotów i czas przeznaczony na sen.

- Admirale, sądzę, że powinniśmy zacząć wykonywać krótkie loty zwiadowcze nad plażami mniej zamieszkałych wysp - powiedział CAG. - Na otwartym morzu nigdy ich nie znajdziemy. Nie mogą być aż tak głupi.

- Co jeszcze? - spytał Billings.

Szef sztabu rozejrzał się dookoła.

- Uważam, że powinniśmy działać we współpracy z Indonezją i otrzymać pozwolenie na loty nad ich terytorium. Powinniśmy nacisnąć ich w tej sprawie.

Admirał usiadł. Machnął ręką.

- Przecież czytałeś odpowiedź z Waszyngtonu. Poprosiliśmy Indonezję o prawo lotów, a Indonezja odpowiedziała „nie”. Nie pytaj mnie dlaczego, ale tak właśnie odpowiedziała. Pewnie nie chcą wyjść na mięczaków, pozwalających bandzie Amerykanów latać gdzie im się żywnie podoba. Ja wiem, jak załatwia się tego rodzaju

sprawy. Chcą, żebyśmy włączyli się w poszukiwania, ale nie chcą się przyznać, że chcą, żebyśmy włączyli się w poszukiwania.

- No cóż, w takim razie powinniśmy ich przycisnąć, wymusić zgodę na nasz udział w operacji albo nic się nigdy nie zdarzy.

- Nie możemy. Jeszcze coś?

Tym razem odpowiedziała mu cisza,

- A więc, póki coś się nie zmieni, wszystkie maszyny mają przeszukiwać powierzchnię morza i wyspy. Znajdźcie tych sukinsynów. Jeśli uda się wam zajrzeć do portów, przebadajcie je radarami. Jednocześnie macie też pozostać nad wodami międzynarodowymi. - Spojrzał na oficera operacyjnego. - Czy SEAL i piechota morska są gotowi do akcji, kiedy znajdziemy tych gnojków i dostaniemy pozwolenie od prezydenta?

- Są gotowi, panie admirale.

Admirał skinął głową.

- Mam co godzinę otrzymywać raporty o tym, dokąd poleciały nasze maszyny i o tym, czy znalazły coś podejrzanego. - Beth Griffith skinęła głową. - A póki ich nie znajdziemy, siedzimy na tyłkach. Dowiedzieliśmy się czegoś o tych minach, które SEAL znaleźli na pokładzie „Pacific Flyera”?

- Nie, panie admirale. Najwyraźniej ani Marynarka, ani nasi ludzie z wywiadu nie widzieli czegoś podobnego nigdy przedtem. Nie oni jedni zresztą. Nikt nigdy nie widział niczego podobnego.

Admirał rozparł się w fotelu i założył ręce na głowę.

- Może ci goście są mądrzejsi, niż jesteśmy skłonni przyznać? - powiedział.

- Pewnie kupili je w Chinach albo Iraku - odpowiedziała mu komandor Beth Griffith. - Trudno powiedzieć, gdzie. Jednego możemy być pewni: sami ich nie zrobili. Zabezpieczenia i zapalniki okazały się całkiem skomplikowane. Grupa terrorystyczna nie byłaby w stanie wykonać ich sama.

- Skoro mieli dostęp do tych ładunków, mogą ukrywać jeszcze jakieś inne asy w rękawach. Należy zachować maksymalną ostrożność.

- Oczywiście, panie admirale, zgadzam się i...

Drzwi kabiny otworzyły się i do środka wszedł mat.

- Bardzo przepraszam, panie admirale - powiedział, czując się wyjątkowo nie na miejscu w przybrudzonej kabinie. - Właśnie dostaliśmy tę wiadomość i dyżurny oficer wywiadu sądzi, że komandor Griffith powinna zapoznać się z nią jak najszybciej.

Admirał tylko machnął ręką. Mat podszedł do Beth Griffith i wręczył jej teczkę. Wszyscy obecni wpatrywali się w dziewczynę, kiedy otwierała ją i zapoznawała się z jej zawartością. Na widok zdjęcia zmarszczyła brwi. Nie była to typowa fotografia, lecz obraz przekazany przez satelitę. Satelitę radarowego, lecz przecież Amerykanie nie dysponowali satelitami radarowymi nad tym terenem. Gestem nakazała matowi podejść bliżej. Szepnęła mu coś do ucha, mat skinął głową i wskazał jej legendę wydrukowaną na odwrotnej stronie zdjęcia. Po czym wycofał się, Beth zaś spojrzała na admirała.

- I co? - spytał gniewnie Billings.

- Admirale, zdaje się, że ich mamy.

Beth Griffith nie potrafiła ukryć podniecenia. Oddychała szybko, mimo iż bardzo starała się opanować.

- Tak? Jakim cudem? - spytał wyraźnie ożywiony admirał, pochylając się w fotelu.

- Satelita radarowy. - Beth z wysiłkiem przełknęła ślinę. - Wprawdzie te łodzie mają kadłuby z włókna szklanego, ale silnika nie da się ukryć tak łatwo. Na radarze

widać bardzo wyraźny kształt sylwetki. Mamy wzór, włoską łódź przemysłową na Morzu Śródziemnym.

- Co tam masz?

- Fotografię radarową zrobioną - spojrzała na górną część zdjęcia - dwie godziny temu. Widać na niej trzy motorówki ukryte w lagunie jednej z wysp.

Admirał uśmiechnął się, nie kryjąc zadowolenia.

- A więc skłoniłaś ich do skierowania satelitów na nowe orbity. Dobra robota!

Beth Griffith spojrzała na niego.

- To nie całkiem tak, admirał - wyznała. - Ten obraz nie pochodzi z naszych satelitów.

- A z czyich?!

- Z rosyjskich.

Admirał bezskutecznie próbował ukryć obrzydzenie.

- Jakim cudem je dostaliśmy?

- Zadzwonili i spytali, czy się nam przydadzą.

- Ale dlaczego, do diabła?

Beth wzruszyła ramionami.

- Być może przez te islamskie kawalki. Oni zawsze traktowali fundamentalistów jako zagrożenie. Wielu z nich nadal obwinia ich za rozpad Związku Radzieckiego. Kazachstan, Uzbekistan, Turkmenia, Tadżyki...

- Mogli sfalszować to zdjęcie? - przerwał jej admirał.

- Jasne. Nasi specjaliści je sprawdzą. Ale jestem pewna, że to nie fałszerstwo.

- No więc gdzie są?

Beth Griffith pochyliła się nad mapą. Studiowała ją przez parę chwil, jeszcze raz sprawdziła długość i szerokość geograficzną podaną na radarowym zdjęciu trzech niewielkich motorówek. Potem położyła palec na małej wyspie leżącej na południowy wschód od Sumatry, dwieście mil na południowy zachód od miejsca, gdzie znajdowała się grupa bojowa „Constitution”.

- Tutaj - oznajmiła.

Kiedy Dillon wszedł do swego pokoju, właśnie dzwonił telefon. Trzasnął drzwiami i podniósł słuchawkę.

- Cześć - usłyszał głos Molly. - Jak leci?

- W porządku - odpowiedział z wahaniem, co nie uszło uwagi dziewczyny.

- Co się dzieje?

- Mnóstwo różnych rzeczy. To porwanie... wszyscy tu żyją w cholernym napięciu.

- Jakbym nie wiedziała. Słuchaj, wiem, że zamierzasz dziś pracować do późna, ale czy mimo wszystko nie moglibyśmy się spotkać? Wczoraj wieczorem byłam zmęczona, strasznie na ciebie naskoczyłam...

- No, nie wiem... Skończyły mi się hamburgery, ale mam kilka puszek tuńczyka, więc jeśli przyniesiesz widelec...

- Moja kolej. Przygotuję coś zdrowego.

- Brzmi niezbyt kusząco.

- Nie martw się. Mam na myśli spaghetti.

- Rzeczywiście, zdrowe jak cholera.

Jim Dillon spojrzał na piętrzącą się na biurku górę papierów, próbując ocenić, ile czasu zajmie mu uporanie się z nimi.

- Mężczyzna musi dobrze zjeść, zawsze to powtarzałeś.

- Niestety, nie dam rady. Bardzo bym chciał, ale zwyczajnie nie mam czasu. Ale to miłe, że o mnie nie zapomniałaś.

- Dobrze, doskonale. - Molly zrezygnowała, nim mógłby zacząć podejrzewać, że się narzuca. - Zdzwonimy się...

- Słuchaj, skoro już rozmawiamy... Właśnie się dowiedziałem, że prezydent ma wkrótce wygłosić oświadczenie. To prawda?

- Nic o tym nie wiem, ale przecież nie muszę o wszystkim wiedzieć.

- Co dla niego robisz?

- Och, takie tam wyszukiwanie danych.

- Na jaki temat?

- O to nie powinieneś mnie pytać.

- Daj spokój, dziewczyno.

- Chodzi o Ustawę o Prowadzeniu Wojny, wiesz, jak zwykle gdy trafi się jakiś kryzys.

- Robię to samo, tylko z innego punktu widzenia. Powinniśmy porównać notatki.

- Nie powinniśmy.

- Tak, masz rację - odparł machinalnie, myśląc już o czymś innym. - Nie powinniśmy.

- Do zobaczenia.

- Na razie.

Odłożył słuchawkę i pograżył się w lekturze prawniczej analizy Ustawy o Prowadzeniu Wojny.

Komandor Mike Caskey spojrział na monitor przekazujący dane nawigacyjne. Od punktu, w którym mieli rozpocząć przelot umożliwiający TARPS sfotografowanie zatoki gdzie, zgodnie z danymi rosyjskiego satelity, ukryte zostały motorówki terrorystów, dzieliło go dziesięć mil. Siedzący w tylnym fotelu Messer ustawiał właśnie kamerę telewizyjną tak, by dane okolicy nagrane zostały na taśmie magnetowidowej, uzupełniając fotografie TARPS, umieszczonego pod kadłubem ich maszyny.

Zwiększył szybkość do sześciuset kilometrów na godzinę. Sprawdził stan paliwa.

- Widzisz coś?

- Nie, tylko dżunglę. Dziesięć stopni w lewo i przygotuj się do przelotu.

Caskey przesunął drążek lekko w prawo i obniżył wysokość. Błękitna powierzchnia morza zbliżyła się wyraźnie. Punkt do którego się zbliżali, czyli małą porośniętą palmami wysepkę między Jawą a Sumatrą, uważano do tej pory za niezamieszkaną, a przynajmniej tak twierdził Pinkie, oficer wywiadu. Tyle że powiedział im to w sposób do tego stopnia nieprzekonywający, że aż przesadnie ujawniający jego ignorancję.

- A mają pociski przeciwlotnicze?

- Gdzie mogliby zdobyć pociski przeciwlotnicze, żebyśmy nic o tym nie wiedzieli?

- zapytał Pinkie. - Nie ma mowy.

Caskey głęboko odetchnął czystym tlenem z maski i westchnął.

- Pinkie jest zdania, że raczej nie.

- Bardzo mnie uspokoiłeś. Jesteśmy nad punktem - oznajmił Messer, sięgnął dłonią za lewe kolano i włączył kamery.

Komandor porucznik „Pinkie” Cousins, oficer wywiadu skrzydła, pochylił się nad zdjęciami, wykonanymi z maszyny Caskeya. Ich jakość była wręcz doskonała, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że Tomcata nie projektowano do lotów zwiadowczych z podczepionym pod kadłubem zestawem kamer. Analizował je jedno po drugim. Fotografie wykonane pod kątem, ujawniały szczegóły niewidoczne na wykonanych bezpośrednio z góry zdjęciach satelitarnych. Na przykład ta. Trzy wyraźnie widoczne szybkie motorówki, stojące na kotwicy w doskonale zamaskowanej zatoczce wyspy... jaka to wyspa? Spojrzał na rozpostartą obok mapę. Wyspa nie miała nawet nazwy, była na to za mała.

Może i nie ma nazwy, pomyślał, ale jedno jest pewne - nie ucieknie. Podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do oficera wywiadu admirała. Ten numer znał na pamięć. Po raz chyba setny zdumiał się, jakim cudem oficer Marynarki może być w dodatku tak piękny. Kochał się w Beth Griffith od czasu, gdy był jeszcze chorążym, ona zaś instruktorem na jednym z kursów dla oficerów wywiadu. Zresztą kochał się w niej każdy oficer wywiadu płci męskiej... a wszyscy bez wzajemności.

- Cześć, komandorze - powiedział do słuchawki.

- Dzień dobry, Pinkie. Masz coś?

- Znaleźliśmy ich, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Dane z TARPS potwierdzają to, co przekazał rosyjski satelita radarowy. Chyba że ktoś prowadzi wyprzedzając łodzi motorowych po pięćset tysięcy dolarów sztuka albo że wokół Jawy rozmnożyły się one same z siebie i kryją się teraz po zatoczkach, osłonięte sieciami maskującymi. Ale jeśli nie, to mamy naszych ludzi.

Poprawił się w krześle i jeszcze raz spojrzął na zdjęcia.

- No to powiedzmy o tym admirałowi - zdecydowała Beth bez chwili wahania. - Zabierz ze sobą zdjęcia.

- Oczywiście.

Pinkie zgarnął fotografie i schował je do teczki. Przeszedł do centrum wywiadu i wystukał kod na panelu zamku, jego palce poruszały się po klawiszach bezbłędnie, z szybkością świadcząca o tym, że korzystał z nich od dłuższego czasu. Rozległ się trzask zamka. Popchnął stalowe drzwi i wszedł do niewielkiego, mrocznego pokoju o ścianach niemal całkowicie zasłoniętych mapami, zastawionego szumiącymi i brzęczącymi urządzeniami elektronicznymi. W niespełną minutę później do pokoju wszedł admirał.

Pinkie polubił admirała, gdy był on jeszcze dowódcą 48. Dywizjonu Myśliwskiego na „Nimitzu”, jako zagubiony w rzeczywistości chorąży, odbywający pierwszy rejs w charakterze oficera wywiadu, przydzielonego do Jolly Rogersów”.

- Co masz, Pinkie?

Admirał, jak zwykle, nie zwracał sobie głowy formalnościami. Spojrzał na Beth Griffith, której ufał bez reszty, nie tylko jako oficerowi wywiadu, lecz także jako bliskiemu doradcy.

- Zdjęcia z rekonesansu F-14 wyposażonego w TARPS, którym leciał MC. - Admirał z uwagą wpatrywał się w otrzymaną odbitkę. - Proszę przyjrzeć się bliżej cieniowi na lewo od środka zdjęcia. To trzy łodzie zaparkowane...

- Przycumowane - poprawił go odruchowo admirał.

- ...przycumowane, o tu, pod siatkami maskującymi. Zdjęcia te ogląda właśnie pilot marines, który leciał z SEAL CH-53 i widział podobne łodzie odbijające od „Pacific Flyera”. Bez wątplenia potwierdzi, że były to właśnie one.

Billings zmarszczył brwi.

- Czy nasze dane zgadzają się z tymi, które otrzymaliśmy od Ruskich?

- Tak jest, panie admirale. - Pinkie podszedł do mapy i wskazał na niej maleńki punkt. - To właśnie tu. Na południowy wschód od Sumatry i na zachód od Jawy.

- Co jest na tej wyspie?

- Nie mam pojęcia, panie admirale. Na mapie nie ma ona nawet nazwy. Indonezja składa się z tysięcy wysp, z których większość nie jest nawet zamieszkana, choć przecież mogłoby się wydawać, że dwieście milionów ludzi powinno zasiedlić każdą wysepkę. - Admirał z powagą studiował fotografię. - W każdym razie próbuję dowiedzieć się wszystkiego o tej wysepce, choć na razie wiem jedno: cała porośnięta jest dżunglą.

- Macie pojęcie, ilu może być tam ludzi?

- Nie, panie admirale. Dżungla jest zbyt gęsta, by zwiad powietrzny mógł dać jakieś sensowne informacje. Nie mamy możliwości uzyskania odpowiednich informacji.

Admirał spojrział na niego, marszcząc brwi.

- Co to znaczy, że „nie macie możliwości uzyskania odpowiednich informacji?”

- Nie możemy wykonać dobrych zdjęć wnętrza wyspy, tylko otaczających ją wód.

Admirał rozsiadł się w skórzanym fotelu. Spojrział najpierw na Pinkiego, a potem na Beth, stojącą po jego lewej stronie.

- No to mam wrażenie, że powinniśmy tam kogoś wysłać.

Pinkie też zerknął na Beth, a potem skinął głową.

- Co? - krzyknął przewodniczący, zrywając się z krzesła. - Co ma zamiar powiedzieć? - Wysłuchał informacji szefa personelu Białego Domu, który właśnie powiedział mu, że dziś wieczorem prezydent zwróci się z orędziem do narodu. - To nie wystarczy. Chcę wiedzieć, co ma zamiar... owszem, rozumiem. Jestem przewodniczącym Izby Reprezentantów. Tak - mówił dalej, powoli i dobitnie - przypomnijcie mu tylko Ustawę o Prowadzeniu Wojny, jeśli uważa, że my nie... nic mnie to nie obchodzi! - Podniósł głos. Wstał i oparł rękę na biodrze. Rozmawiając patrzył w oczy Dillionowi i Grazio. Brwi miał zmarszczone. - Powtórz mu tylko, co powiedziałem. Doskonale.

Odłożył słuchawkę i spojrział na Dillona.

- Wiesz co? - powiedział. - Jeśli wyśle tam żołnierzy, nie konsultując się z nami, zrobię tu piekło. Będzie musiał za to odpowiedzieć, niech nie myśli, że mu się upiecze. - Ogarnął wzrokiem pozostałych członków zespołu, którzy zebrali się w jego gabinecie na spotkaniu poświęconym Ustawie o Prowadzeniu Wojny, jej zasady właśnie przedstawił Dillon. - Dziś wieczorem, o dziewiątej, wystąpi w telewizji, oznajmiając jaką podjął decyzję.

- To dobrze, że od razu skupiliśmy się na tej ustawie - Dillon nie omieszkiał wykorzystać sytuacji. - Czy mamy przefaksować mu najważniejsze punkty?

Przewodniczący, pogrążony w myślach, tylko pokręcił głową.

- Jest w tym wszystkim coś dziwnego - powiedział. Zamyślony, spacerował wzdłuż okna. - Mam takie przeczucie... zrobi to inaczej.

- Na przykład? - spytał Dillon.

- Nie wiem. Ale nie konsultowałem się z Kongresem. - Potarł podbródek i wyjrzał za okno. - Nie wygląda na to, żeby wykorzystywał sytuację, by podważyć Ustawę o Prowadzeniu Wojny. Może w ogóle nie ma zamiaru użyć wojska? - Obrócił się. - Ale jeśli nie ma zamiaru użyć wojska, to co ma zamiar zrobić?

Jego personel wymienił między sobą spojrzenia, ale nikt się nie odezwał.

- Ja też nie wiem - ciągnął przewodniczący. - Macie tu wrócić o ósmej trzydzieści. Jeśli cokolwiek zdarzy się przedtem, natychmiast mnie informujcie.

Dokładnie o dziewiętej dwie prezydent przerwał zwykły dla prezydentów wiadomości bełkot i poważnie spojrzął w kamerę.

- Panie i panowie, prezydent Stanów Zjednoczonych - oznajmił.

Manchester siedział za biurkiem w Gabinetcie Ovalnym, w zwykłej pozycji występujących w telewizji prezydentów. Miał na sobie zwykły prezydencki granatowy garnitur, uzupełniony o zwykły prezydencki, nie rzucający się w oczy krawat. W milczeniu spojrzął w kamerę. Prezydent został obdarzony talentem dramatycznym, którego większości jego poprzedników brakowało. Używał telepromptera, ale przygotowywał tylko szkic tekstu, a nie kompletną przemowę. Jego ludzie przy każdym wystąpieniu dostawali palpacji serca, tak strasznie bali się, że powie coś, co nie przeszło przez nieskończoną liczbę ich filtrów. Publiczność za to właśnie go kochała.

Prezydent zerknął na notatki i powrócił spojrzeniem do kamery.

- Dobry wieczór - powiedział. Nigdy nie zaczynał orędzia od zwykłego prezydenckiego: „Amerykanie. Rodacy”. Uważał ten zwrot za zużyty, a poza tym ilekroć go wypowiadał, oczami wyobraźni widział Lyndona Johnsona. - Jak wszyscy doskonale wiecie - mówił dalej - dwa dni temu indonezyjscy terroryści zaatakowali amerykański statek handlowy, „Pacific Flyer”. Wyprowadzili go w morze, zabili dwudziestu pięciu marynarzy oraz jednego żołnierza Marynarki, a następnie zatopili statek wraz z ładunkiem, zatrzymując jako zakładnika jego kapitana. Ich akcja bez najmniejszych wątpliwości wymierzona była w Stany Zjednoczone, miała także za zadanie zagrozić obywatelom Ameryki, naszej reputacji i naszym wpływom handlowym, zwłaszcza wśród wschodzących silnych gospodarek Pacyfiku. Była przejawem zwykłego tchórzostwa, którego ofiarą stali się bezbronni i nie spodziewający się niczego cywile. Nie potrafię wyrazić, jak bardzo potępiam ten barbarzyński akt, nie mam też zamiaru uszanować lub uznać zasadność działania terrorystów przez powtórzenie w telewizji ich żądań, które wysunęli po ataku. Jako prezydent mam obowiązek zajmować się wydarzeniami o zasięgu narodowym, gdziekolwiek się zdarzą. - Opuścił wzrok na notatki i odetchnął głęboko. - Nie znaczy to jednak, że nie powinno się podejmować trudnych decyzji. Wy musicie je podejmować i ja także. Tym razem Ameryka zareaguje w sposób inny niż dotychczas. Tym razem Ameryka wzniesie się ponad terrorystów, ponad ludzi na całym świecie wierzących, że to, iż są źli, czyni złymi nas samych, że samo natężenie zła uczyni nas głuchymi na prawdę i na to, co jest słuszne. Coś takiego nigdy się nie powtórzy! Terroryzm istnieje na świecie od dawna, jest jednak szczególnym przekleństwem mojego pokolenia. Byłem bardzo młodym człowiekiem, gdy terroryści zabijali ludzi celem złożenia oświadczenia politycznego. Ich ataki doprowadzają ludzi do wściekłości, więc poszczególne państwa kontratakują. Gina ludzie. Powstaje krąg przemocy; społeczeństwa twierdzą, że rozpoczęli go terroryści, terroryści zaś są zdania, że rozpoczął je ucisk lub polityczna sytuacja, w jakiej się znaleźli.

Przeprowadzają więc kolejne ataki, za które spotyka ich zemsta. Gdy powstanie krąg przemocy, nikt nie jest zdolny go przerwać. Ameryka nigdy już nie odbierze nogi za oko, a nawet oka za oko. Nigdy już nasze zachowanie, nasza reakcja, nie będą nam narzucane przez kogoś z zewnątrz. Nie zamierzamy brać udziału w kręgu przemocy.

Prezydent znów zerknął w notatki, a potem podniósł wzrok.

- Jak państwo wiecie, Marynarka przez cały czas szukała terrorystów i bazy, z której mogli operować. Najnowsze informacje pozwalają nam wierzyć, że ich znaleźliśmy. Mam dane wskazujące, iż nadal przebywają na indonezyjskiej ziemi. Przekażemy terrorystów władzom Indonezji, które postawią winnych przed sądem i ukarzą według swojego prawa. Będziemy z nimi współpracować. Wspomożemy je danymi wywiadowczymi w zakresie wymaganym, by mogły zastosować zasady

sprawiedliwości na swej własnej ziemi. Nie wymierzimy jednak terrorystom natychmiastowej sprawiedliwości, niczym rozgniewane dziecko. Wiem, że niektórzy z was poczują się głęboko rozczarowani tą decyzją. Wiem, że wielu z was spodziewało się, że użyjemy siły. Dzielę z wami gniew wobec tych, którzy tak nisko cenią ludzkie życie. Odpowiedzenie tą samą monetą potwierdza jednak tylko ich przekonanie, że ludzkie życie należy nisko cenić. W naszym kraju uważa się jednak, że ludzkie życie jest skarbem. Zemsta nie jest sposobem walki z kimś, kto je komuś odebrał. Sposobem takiej walki jest sprawiedliwość. Sprawiedliwość zaś opiera się na ocenie faktów, a nie natychmiastowym działaniu pod wpływem gniewu. Musimy zastosować ten chłodny rachunek także w sprawach międzynarodowych. Rozwiązywać problemy spokojnie i obiektywnie, mimo iż nasze umysły i serca przepełnia gniew. Wymaga tego od nas cywilizacja, wymaga tego od nas postęp. Bowiem postęp mierzony jest właśnie naszą zdolnością do wzniesienia się ponad instynkt, emocje i egoistyczne wymagania, które zastąpione zostają sprawiedliwością, prawdą i dobrem. Nadszedł czas, by je zastosować i taki właśnie sygnał pragniemy przesłać światu. Ameryka jest inna! Nasze decyzje opieramy na sprawiedliwości i ideałach, nie na emocjach.

Manchester zacisnął wargi. Wpatrywał się w kamerę łagodnym spojrzeniem wielkich niebieskich oczu.

- Dziękuję wam za to, że poświęciliście mi swój czas. Jeśli znajdziecie wolną chwilę, pomyślcie o rodzinach zamordowanych marynarzy. Dobranoc.

Obraz ściemniał.

Prezenter wiadomości siedział nieruchomy. Najwyraźniej odjęło mu mowę.

W odróżnieniu od przewodniczącego.

- Robin, podstaw samochód - powiedział cicho. - Jadę do Białego Domu teraz, w tej chwili. On się wreszcie potknął. Takiego gówna nie słyszałem jak żyję. - Spojrzał na swoich pracowników. - Czy ta przemowa komuś wydała się sensowna?

Po dłuższej chwili milczenia odpowiedziała mu Rhonda, historyk, spoglądając przez kwadratowe okulary w metalowej oprawce.

- Wcale nie była niespójna. Uznałabym ją nawet za dobrą, jeśli zgodzić się... - dostrzegła wyraz gniewu na twarzy przewodniczącego i zamilkła.

Grazio rozpaczliwie próbował ją uratować

- Rozumiem, co chciał powiedzieć ale wydaje mi się nieprawdopodobne, że to właśnie powiedział. I kto tu mówi o zachęcaniu terrorystów do działania? Jak załatwisz kilkudziesięciu Amerykanów możesz liczyć na to, że Indonezyjczycy postawią cię przed sądem? Ci faceci poprzewracali się chyba ze śmiechu, gdziekolwiek są...

- Dokładnie wiemy, gdzie są - przerwał mu przewodniczący. - Znaleźli ich trzy godziny temu.

- Żartuje pan? - zdziwił się Dillon.

- A myślicie, że Manchester wygłosiłby tę swoją mowę nie mając najnowszych informacji? A teraz wie nie tylko on, lecz cały świat, przecież właśnie powiedział światu, co wiemy. Osobiście sabotuje wszelkie wysiłki zmierzające do złapania bandytów.

Przewodniczący podszedł do drzwi i zerwał marynarkę z wieszaka. Następnie włożył ciężki, wełniany granatowy płaszcz. Zatrzymał się na progu. Sześciu jego najbliższych współpracowników wpatrywało się w niego zdumionych. Nigdy nie widzieli go tak zdeterminowanego.

- Muszę znaleźć jakieś rozwiązanie tej sprawy i powiedział. - Muszę znaleźć jakiś sposób na obejście prezydenta. To wasze zadanie.

Z tymi słowami wyszedł.

Dillon przetarł twarz i przeczesał dłonią włosy, nie szkodząc jednak tym gestem starannie niedbałej fryzurze. W gabinecie zapanowało milczenie, które przerwał wreszcie Grazio.

- Nie widziałem jeszcze przewodniczącego tak okropnie wkurzonego - powiedział.

- Moim zdaniem prezydent przegrał - oznajmiła Rhonda.

Dillon wstał i przyjrzał się im uważnie.

- Nie chodzi o przewodniczącego, nie chodzi o prezydenta, chodzi o system!

Pomyślcie - jedna osoba decyduje o tym, czy robimy coś w jakiejś sprawie, czy nie robimy. Jeśli akurat mamy prezydenta, który nie uznaje za stosowne zrobić cokolwiek, stajemy się pośmiewiskiem świata. Jeśli prezydent chce coś zrobić, Kongres atakuje go za to, że chciał, i nadal jesteśmy pośmiewiskiem świata. - Zwrócił się bezpośrednio do kolegów, rzucając im wyzwanie. - Nie brzydź mi to, jak tu, w Waszyngtonie, jedni drugiemu przekazują piłeczkę? Czy kiedykolwiek zrobimy cokolwiek, co ma jakieś znaczenie? - Czekał na odpowiedź, lecz nikt nawet nie ośmielił się spojrzeć mu w oczy. - Jeśli nie uda mi się doprowadzić tej sprawy do właściwego końca, rezygnuję! Znajdę jakiś sposób, by dorwać tych morderców, niezależnie od tego, ile mnie to będzie kosztowało.

Złapał wiszącą na oparciu krzesła marynarkę i narzucił ją na ramiona gwałtownym gestem. Krawat miał przekrzywiony, ale najwyraźniej go to nie obchodziło. Ruszył w kierunku drzwi.

- Jaki sposób? - spytała Rhonda.

- Nie mam pojęcia, ale lepiej dla was, żebyście też zaczęli go szukać. Jeśli nie zrobimy czegoś... twórczego, tym gościom się uda! Tego możecie być pewni. Jeśli będziemy czekać, aż Indonezyjczycy wszystko za nas załatwią, to doprawdy zasługujemy na to, co nas spotkało.

Wyszedł, trzaskając drzwiami.

- Przyjechałem, by zobaczyć się z prezydentem - oznajmił Stanbridge szefowi personelu Białego Domu.

- Jestem pewien, że będzie mógł spotkać się z panem jutro, panie przewodniczący. Nie ma pana w dzisiejszym grafiku.

- Jasne, że nie ma mnie w dzisiejszym grafiku. W żadnym grafiku nie ma mojej reakcji na to jego idiotyczne orędzie. W żadnym grafiku nie uwzględniono też, że przekaże publicznie tajne informacje, a przynajmniej taką mam nadzieję. - Stanbridge przeszył Boscha chłodnym spojrzeniem. - Gdybym wiedział, co powie, zaplanowałbym moją reakcję tak, by pasowała do prezydenckiego kalendarza. - Wzruszył ramionami.

- Muszę się z nim zobaczyć teraz, już. Zaraz zaczniecie przyjmować rozmowy wściekłych ludzi, a ja chcę zobaczyć się z nim natychmiast. Tylko z nim. Nie z tobą i nie z sześcioma innymi egocentrycznymi klakierami. Tylko on i ja.

- Nie podoba mi się...

- Cicho bądź. Gównu mnie obchodzi, co ci się nie podoba. Powiesz mu, czy ja mam to załatwić?

- Powiem mu, że pan tu jest.

- Jeśli jeszcze nie wie, że tu jestem, ktoś u was spieprzył robotę. Przywołaj go! Bosch zdał sobie sprawę z tego, że przegrał z przewodniczącym Izby.

Stanbridge przez dobre piętnaście minut chodził po korytarzu, nie zdejmując płaszcza. Wściekał się coraz bardziej, nie mógł się wręcz opanować. Wreszcie wrócił szef personelu.

- Prezydent spotka się z panem w Gabinetce Ovalnym - oznajmił.

- Och, a więc będzie to formalne spotkanie.

Stanbridge spojrział na zegarek i, nie troszcząc się o formalności, wszedł do gabinetu. Manchester siedział za biurkiem pogrążony w lekturze, okulary zsunięte miał na czubek nosa. Podniósł wzrok na wchodzącego gościa.

- Witaj, John - powiedział. - Co za nieoczekiwana przyjemność.

- Dajmy sobie spokój z tymi bzdurami, panie prezydencie. - Stanbridge stanął naprzeciw biurka. - Chcę, żeby powiedział mi pan prosto w oczy, o czym pan myślał wygłaszając tę mowę. Udało się panu, być może, wykoleić zagraniczną politykę Stanów Zjednoczonych na lata. Chcę usłyszeć wyjaśnienie od pana, a nie od pańskich ludzi albo CNN.

Manchester zwrócił się do swojego szefa personelu.

- Dziękuję ci, Arlan. Do zobaczenia rano.

- Dobranoc, panie prezydencie.

Bosch lekko unióśł brwi, dając prezydentowi ostatnią szansę skorzystania z jego usług. Manchester niemal niezauważalnie pokręcił głową.

- Skąd ta opinia? - spytał, kiedy zostali sami.

Stanbridge odetchnął głęboko i usiadł na kanapie.

- Wydał pan właśnie terrorystom licencję na zabijanie Amerykanów za granicą - oznajmił. - Najgorsze, co ich spotka kiedy zabiją Amerykanina, to pościg policji jakiegoś kraiku Trzeciego Świata.

- Indonezja nie jest kraikiem Trzeciego Świata.

- Ależ jest, oczywiście. Kogo pan próbuje oszukać?

- Mają wspaniałą gospodarkę, to jeden z azjatyckich tygrysów.

- Niech pan da spokój z tą reklamową gadką. Jeśli rzeczywiście uważa pan, że ich policja ma jakieś szanse na złapanie tych morderców i postawienie ich przed sądem, to cholernie się pan myli.

Manchester uśmiechnął się, choć w jego uśmiechu nie było wesołości.

- Sądzę, że jest to bardzo prawdopodobne. Udzielimy im wszelkiego wsparcia wywiadowczego... bo wiemy już, gdzie znajdują się terroryści.

- Ja też wiem. Znajdują się na jakiejś wysepce. Dzięki pańskiej mowie oni też wiedzą, że my wiemy, gdzie są.

Manchester zmarszczył brwi, nie sprawiał jednak wrażenia niezwykle zaskoczonego.

- Owszem. Są na indonezyjskiej wyspie i podlegają indonezyjskiemu prawu.

- Oczywiście. - Stanbridge wstał, Chodził po gabinecie, poły płaszcz powiewał za nim, na jego czole pojawiły się krople potu. - Dlaczego nie wysłał pan za nimi piechoty morskiej, którzy przecież są na miejscu? Wiemy, gdzie szukać terrorystów, więc czemu nie mamy ich znaleźć i załatwić?

Manchester wstał.

- Co właściwie powinniśmy zrobić? - spytał. - Zabić ich? Zamordować? Uczynimy z nich męczenników, tysiące ustawią się w kolejce, by zająć ich miejsce. Tak właśnie tworzy się krąg przemocy.

Stanbridge nigdy nie lubił Manchestera. Prezydent był zbyt cwany, zbyt chętny do znajdowania skomplikowanych rozwiązań bardzo prostych problemów, tylko po to, by udowodnić, że ma rację.

- A skąd właściwie wzięła się sama... idea... tego kręgu przemocy?

- Mam wrażenie, że pojęcie to doskonale opisuje rzeczywistość.

Manchesterowi nagle zrobiło się ciepło. Podwinął rękawy flanelowej koszuli.

- Doprawdy? - zdumiał się Stanbridge. - To jedyny powód, by je zastosować?

- W zasadzie tak.

- I polityka nie grała tu żadnej roli?

Manchester pokręcił głową.

- Nie. Polityka nakazywałaby raczej podjąć przeciwną decyzję. Wiem, że prawie wszyscy się ze mną nie zgodzą, w tym także wyborcy. Ale przecież muszę robić to, co uważam za słuszne.

Coś takiego, pomyślał Stanbridge. Nie był w stanie dłużej tego znosić.

- Jakim cudem mordowanie Amerykanów wolno uznać za słuszne? - spytał.

- Nikomu nie pozwalamy mordować Amerykanów. Indonezja zajmie się tą sprawą w ramach własnego systemu prawnego.

Stanbridge tylko pokręcił głową.

- Nie uniknie pan tego oskarżenia. Na oczach świata pozwalamy mordować Amerykanów. Z tego, co pan powiedział, nie da się wyciągnąć innego wniosku.

- Zmęczyła mnie ta rozmowa. Ma pan coś jeszcze do powiedzenia?

- Panie prezydencie, pan się boi, prawda?

Manchester zamknął oczy.

- Panie przewodniczący, w tej chwili robię wszystko, by się opanować. Wcale nie muszę siedzieć tu i wysłuchiwać pańskich obelg.

- Czyichś obelg powinien pan jednak wysłuchać, panie prezydencie. Musi pan zrozumieć, jak poważna jest sytuacja. Tymczasem odnoszę wrażenie, że traktuje ją pan bardzo lekko. Moim zdaniem dlatego, że w głębi serca jest pan tchórzem.

- Panie przewodniczący, bardzo wątpię, czy posługujemy się tą samą definicją odwagi. Pańska wynika zdaje się z jednej, instynktownej i z gruntu konserwatywnej reakcji na wszystko. Szczerze mówiąc, bardzo mnie to męczy. Nasz kraj potrzebuje nowych, świeżych odpowiedzi na stare pytania, i te mam zamiar mu dać.

- Nie daje pan naszemu krajowi nic. W rzeczywistości troszczy się pan o siebie, próbuje usilnie stać się wielkim historycznym bohaterem.

- Czy to już wszystko?

- Chciałbym zadać panu jeszcze jedno pytanie.

Stanbridge podszedł do biurka, pochylił się, oparł rękę na jego blacie.

- Jakie?

- Czy dostanę na nie szczerą odpowiedź?

- Jakie to pytanie?

- Dostanę na nie szczerą odpowiedź czy nie?

Manchester zacisnął wargi.

- Niech pan powie, co ma pan do powiedzenia.

Stanbridge patrzył na niego, mrużąc oczy. Wymierzył palec w jego pierś.

- W głębi serca, tej najgłębszej głębi, tam gdzie nie zdoła dotrzeć nikt postronny... czy jest pan pacyfistą?

- Co to za pytanie? - zaprotestował Manchester głośno.

- Proste. Bezpośrednie. Czeka na odpowiedź.

- Nie zgadzam się na to, by o jedenastej wieczorem poddawał mnie pan krzyżowemu ogniowi pytań. Mam ważniejsze sprawy do załatwienia. - Na policzkach Manchestera pojawiły się rumieńce. - Jeśli zechce pan poruszyć te tematy w późniejszym czasie, zgoda. Ale jeśli chodzi panu tylko o to, by wykazać swą wyższość nade mną, by mnie obrazić... mam ważniejsze rzeczy do zrobienia.

- A co z odpowiedzią? - spytał cicho przewodniczący.

- A więc o to chodzi? Przyszedł pan tu po to?

- Nie. Przyszedłem po to, by dowiedzieć się, dlaczego prezydent Stanów Zjednoczonych, który przysięgał bronić obywateli swego kraju, zdecydował się ich nie bronić. Chcę się dowiedzieć dlaczego naczelny dowódca nie gromadzi sił koniecznych do wytropienia i zaatakowania morderców amerykańskich marynarzy, terrorystów, którzy zaatakowali i zatopili amerykański statek...

- Wiem, co się stało. Nie musi mi pan przy...

- Doprawdy? Wie pan, że tych marynarzy mordowano jednego po drugim, strzalami w głowę, jak psy? Czy wie pan, że zaminowano statek, a zapalniki min nastawiono tak, by wybuchły, kiedy nasi SEAL znajdą się na pokładzie? Czy zdaje pan sobie sprawę, że kopnęli pana w tyłek, a pan po prostu poszedł sobie dalej?

- Nie wierzę, by na przemoc należało odpowiadać przemocą. Niczego się w ten sposób nie osiągnie.

- Niczego nie osiąga się prowadząc wojnę? Niczego nie osiągnęliśmy podczas II wojny światowej?

- To zupełnie inna...

- Twierdzi pan, że zabijając przeciwników swojego kraju niczego się nie osiąga?

- Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że w tym wypadku niczego się nie osiągnie.

Stanbridge spojrział na niego przeciągle. Stał obok kanapy, poprawiając płaszcz.

- Tracę tylko czas - stwierdził. - To już koniec, prawda? Jest pan absolutnie zdecydowany?

Manchester westchnął ciężko.

- Powiedziałem już wszystko, co chciałem powiedzieć. A teraz, proszę mi wybaczyć..

- To jeszcze nie koniec, panie prezydencie. Mam zamiar wyjść z tą sprawą do ludzi. - Rozejrzał się po Gabinetcie Ovalnym, niczym dekorator wnętrza mierzący ściany pod obrazy. - Gorszego błędu nie popełnił pan w okresie swojej prezydentury. Kto wie, czy nie okaże się fatalny w skutkach.

- Sprawy zagraniczne i wojskowe pozostają wyłącznie w gestii prezydenta i jego administracji. Co ma pan zamiar zrobić? Zastosować Ustawę o Prowadzeniu Wojny na odwrót? Stwierdzić, że jeśli Kongres zdecyduje o wysłaniu żołnierzy, prezydent ma obowiązek ich wysłać? - Uśmiechnął się nieznacznie. - Przykro mi, ale to nie działa w ten sposób. Mogę się założyć o wszystko, że pańscy ludzie studiowali odpowiednie przepisy, by oskarżyć mnie o bezprawne postępowanie, gdybym wysłał żołnierzy nie konsultując się z Kongresem. Mam rację?

- Z całą pewnością będziemy pilnować, by stosował się pan do Ustawy o Prowadzeniu Wojny, informując nas o swoich decyzjach. Mieliśmy jednak głęboką nadzieję, że odpowie pan na bezpośredni atak na nasz kraj.

- Przykro mi, że pana rozczarowałem, panie przewodniczący.

Stanbridge ruszył w stronę drzwi do Gabinetu Ovalnego. Przystanął, obrócony tyłem do prezydenta. Nie obrócił się jednak i nie powiedział ani słowa. Otworzył drzwi i wyszedł.

Prasa i wtajemniczeni dowiedzieli się, oczywiście, że zaraz po orędziu przewodniczący Kongresu udał się do Białego Domu. Wiedzieli też, że spotkanie przewodniczącego z prezydentem trwało godzinę, i że Stanbridge po jego zakończeniu pojechał na Kapitol, nie do domu. Natychmiast też rozpoczęły się spekulacje. Konflikt. Walka o wpływy, o przewagę polityczną. W takiej sytuacji korespondenci „The Washington Post” śnią o sławie. Prasa wyczuwała co się dzieje. Dziennikarze opisywali sytuację w miarę, jak dostawali nowe informacje. Nieporozumienie między przewodniczącym Izby a prezydentem. Czy grozi nam kryzys?

Wszyscy chcieli rozmawiać z kongresmanem Johnem Stanbridge'em z Kalifornii. Ale on nie rozmawiał z nikim.

- Robin! - krzyknął Stanbridge, wchodząc do sekretariatu swego biura. - Kogo tu jeszcze mamy?

- Pana Dillona, pana Grazio i kilku innych.

- Zbierz wszystkich naszych ludzi.

- Proszę pana... - sekretarka zawahała się. - Już prawie północ. Wszyscy wrócili do domu.

Przewodniczący zatrzymał się w drzwiach i po raz pierwszy od tygodnia spojrzął na swoją sekretarkę.

- Dlaczego zostałeś?

- Bo mnie pan o to prosił.

Stanbridge odwieszał marynarkę. Nie odwracając się, spytał:

- Doprawdy?

- Tak, proszę pana.

- Przykro mi, ale na pewne rzeczy nic nie da się poradzić. - Spojrzął na zegarek i myślał przez chwilę. - Wezwij natychmiast wszystkich, Robin - zdecydował. - Mają tu przyjechać w ciągu pół godziny. Jeśli są w domu i śpią, każ im poderwać tyłki, i zamów bardzo dużo pizzy, tyle żeby wystarczyło dla wszystkich i nikt nie był głodny.

Większość jego ludzi rzeczywiście pojawiła się w ciągu pół godziny, choć nie sprawiali wrażenia szczególnie szczęśliwych. Kręcili się po sekretariacie szukając kawy, której nikt nie zaparzył, wściekli na tego, kto ich zdaniem powinien ją zaparzyć. Rhonda założyła, że spędzą tu całą noc, ubrała się więc w czarny kostium. Mokre włosy pozostawiły ciemną plamę na zakiecie. Inni uznali, że spotkanie będzie krótkie, ubrali się więc w dżinsy i bluzy. Siedzieli teraz na fotelach, zgarbieni, w pozach licealistów, doskonale pasujących do ich strojów. Prowadzone ścisłym głosem rozmowy ograniczały się do narzekań na tak nagłe wezwanie. Nie otrzymali przecież żadnych nowych, ważnych informacji na temat kryzysu, nie zdarzyło się nic, co nie mogłoby poczekać do rana.

Stanbridge stanął za biurkiem i przyjrzał się wszystkim bardzo uważnie.

- Przykro mi, że musiałem wezwać was z powrotem - powiedział. - Wiem, jak bardzo jest to dokuczliwe. Uznałem jednak, że powinienem wam opowiedzieć o rozmowie z prezydentem.

Wywołało to znaczące poruszenie. Jezu, jęknęli w duchu członkowie personelu Stanbridge'a. Przewodniczący znów opowie nam, jaki to jest bystry, jak każdego jest w stanie pokonać w dyskusji.

- Wszyscy słyszeliśmy, jak prezydent powiedział, że nie ma zamiaru zrobić nic w sprawie ataku na „Pacific Flyera”. Muszę przyznać, że mnie tym zaskoczył. Założyłem, że powinniśmy pilnować, by działał w zgodzie z Ustawą o Prowadzeniu Wojny. Nie sądziłem, by na tym tle powstały jakiegokolwiek problemy, z pewnością poparliśmy jego działania, tylko musielibyśmy widzieć, że działa zgodnie z prawem...

Jego współpracownicy ukradkiem wymienili rozbawione spojrzenia. No tak, oczywiście...

- Teraz jednak wszystko wygląda inaczej. Prezydent nie ma zamiaru bronić Amerykanów. A to wydaje mi się... - Stanbridge przerwał, potarł zmęczone oczy - ...wydaje mi się niezwykle i trochę przerażające. - Spojrzął na swoich współpracowników. - Moim zdaniem prezydent jest pacyfistą. Nie politycznym gołębiem, ale zdecydowanym pacyfistą. - Cekał, by jego słowa wywarły odpowiednie wrażenie. Jego ludzie wymienili spojrzenia, a potem spojrzeli na niego sceptycznie. - Spytałem go o to wprost, ale nie chciał udzielić mi odpowiedzi.

- Przepraszam pana - spytała Rhonda - ale dlaczego ma to być takie ważne?

- Dlaczego ma być ważne? - Stanbridge spojrział na nią, jakby wyrosło jej trzecie oko na czole. - Rhonda, czy słyszałaś kiedyś, że nie istnieje nic takiego jak głupie pytanie?

- Tak, proszę pana.

- No więc zadałaś jedno z najgłupszych pytań, jakie w życiu słyszałem. Sądziś, że nie ma najmniejszego znaczenia, czy prezydent jest pacyfistą, czy nie? Naczelny dowódca największej armii na świecie, niezależnie od okoliczności niechętny, by użyć ją w celu, do którego została powołana i wyćwiczona? Nie widzisz problemu?

Ruth skinęła głową, modląc się, by przewodniczący zwrócił uwagę na kogoś innego.

- No więc - mówił dalej Stanbridge - zebrałem was tu, ponieważ muszę wiedzieć, jak poradzić sobie z tą sytuacją. Prezydent nie chce działać. Czy to wszystko? Czy na tym koniec? Czy wszystkie amerykańskie statki mają być narażone na ataki morderców i zatopienie? Czy takie przesłanie zamierzamy wysłać światu? Potrzebne nam jakieś wyjście i to szybko. Nie chcę, żeby sprawa się przedawniła i...

Dillon wstał nagle i podszedł do szefa. Zachował się tak nieoczekiwanie, tak nieodpowiednio, że Stanbridge umilkł i wpatrywał się w niego w milczeniu.

- Zdaje się, że znalazłem wyjście, panie przewodniczący - powiedział spokojnie.

- Co?

- Alternatywę. Wiem, co możemy zrobić.

- O czym ty mówisz?!

- Kiedy pojechał pan na spotkanie z prezydentem, zabrałem się za to, za co polecił mi się pan zabrać. Jeśli prezydent nie ma zamiaru działać, powstaje pytanie, czy ktoś inny może go zastąpić?

Dillon włożył ręce do kieszeni i spojrział na kolegów, zdumionych jego bezczelnością.

- No i co? - spytał przewodniczący. - Podziel się z nami wynikami swoich dociekań.

- Chodzi o to, że jeśli prezydent nie ma zamiaru działać, my powinniśmy działać bez niego.

- O czym ty mówisz?! Przejdź do rzeczy.

Szef szukał w twarzy Jima dowodu na to, że to tylko żarty. Ale go nie znalazł. Dillon tylko skinął głową.

- Dlaczego nie mamy wystawić listu kaperskiego?

Stanbridge zmarszczył brwi. Inni też sprawiali wrażenie zaskoczonych.

- Artykuł pierwszy, paragraf ósmy konstytucji, panie przewodniczący. Leży to w wyłącznych kompetencjach Kongresu. Wypowiadanie wojny, wystawianie listów kaperskich, czyli zawarcie umowy z uzbrojonym statkiem handlowym, zezwalającej mu na atakowanie wrogich statków. Takie zalegalizowane piractwo. - Jego niebieskie oczy płonęły. - W gruncie rzeczy chodzi o to, że Kongres ma prawo prowadzić własną, prywatną ograniczoną wojnę.

Przewodniczący patrzył na niego zdumiony, lecz już zaczynał rozumieć.

- Zadałeś sobie trud, by sprawdzić, na ile jest to dziś możliwe? - spytał.

Dillon z wahaniem skinął głową.

- Nie skończyłem jeszcze, ale na razie nie znalazłem niczego, co uniemożliwiłoby nam taką interpretację.

Przewodniczący założył ręce na głowę, jakby obawiał się, że może mu ona pęknąć. Milczał przez chwilę, a potem powiedział szybko:

- Spodziewam się, że przeprowadzisz badania tak wnikliwe, jak jeszcze nigdy. Znajdź każdy precedens, w którym przepis ten był wymieniany, każdy tekst i każdą historyczną książkę, w której się o nim wspomina, dyskusje o tym przepisie podczas

debat w Kongresie. Wszystko. Rhonda! Masz znaleźć wszystkie historyczne przypadki związane z zastosowaniem listu kaperskiego. - Stanbridge poczuł nagły przypływ energii. Chodził wzdłuż ściany gabinetu. - W ciągu najbliższych dwunastu godzin masz stać się ekspertem w tej dziedzinie. - Spojrzał w twarze swych ludzi, niektóre już pojmujące implikacje stwierdzenia Dillona, niektóre jeszcze otępiełe od snu. - Przydziel zadania, w ciągu dwunastu godzin mam dowiedzieć się wszystkiego, co wiadomo o tej sprawie. Jeśli wygląda to tak jak podejrzewam, że wygląda, Izba obradować będzie cały jutrzejszy wieczór. - Zerknął na zegarek. Była pierwsza nad ranem. - No, właściwie cały dzisiejszy wieczór - poprawił się. - Do roboty.

Ludzie zaczęli wstawać. Grazio zmarszczył brwi.

- Panie przewodniczący, być może zadam drugie głupie pytanie tego spotkania, ale gdzie, do cholery, znajdziemy uzbrojony statek handlowy zdolny zaatakować tych terrorystów?

Przewodniczący skinął głową.

- Jest to jeden z problemów, które musimy rozwiązać. Ale, panie Grazio, mogę powiedzieć panu jedno: jeśli Dillon ma rację, mamy szansę! - Odetchnął, z napięciem wpatrując się w Grazio. - I prezydent nie zdoła nas powstrzymać. - Obrócił wzrok na Dillona. - Myślałeś może, komu moglibyśmy wystawić taki list?

- Tak, owszem, zastanawiałem się nad tym przez cały czas. - Dillon podrapał się po głowie. - Najpierw myślałem, żeby wziąć uzbrojony statek handlowy od CIA albo coś w tym rodzaju. Ale potem wpadła mi do głowy pewna myśl. - Poczuli się nagle tak, jakby wrócił na seminarium z prawa konstytucyjnego na waszyngtońskim uniwersytecie, które tak bardzo lubił. Siedział wówczas naprzeciw Molly i cieszył się zarówno jej obecnością, jak i tym, że nie zgadzali się ze sobą pod niemal każdym względem. Molly chciała widzieć konstytucję żywą, dla niej był to dokument, który powinien zmieniać się z upływem czasu i dostosowywać się do realiów współczesności. On sam argumentował w dyskusjach za interpretacją tradycyjną, zgodną z intencją autorów dokumentu. Bał się, że gdyby raz przyjęto za jej obowiązującą wykładnię interpretację, choćby i Sądu Najwyższego, każda interpretacja byłaby uprawniona. No cóż, teraz jemu przyszło interpretować jej brzmienie. - Zdałem sobie sprawę, że we współczesnym świecie nie ma uzbrojonych statków handlowych, tak jak określenie to rozumiano w czasie wojny 1812 roku. Konstytucja musi więc zmienić się zgodnie z duchem naszych czasów. Musi być dokumentem żywym. W tej chwili jedynymi uzbrojonymi statkami są jednostki Marynarki.

Przewodniczący gapił się na niego szeroko otwartymi oczami. W sali słychać było ściszone rozmowy - znaczenie tego, co zostało przed chwilą powiedziane, powoli stawało się jasne dla wszystkich.

- List kaperski powinniśmy wystawić grupie bojowej lotniskowca „Constitution”, znajdującej się w tej chwili na Morzu Jawajskim. Jeśli prezydent nie chce jej użyć, zrobimy to my!

W sali wyraźnie czuć było napięcie. Znaczenie tego, co powiedział Dillon było wielkie... i w pełni satysfakcjonujące. Stanbridge wręcz oniemiał.

Pierwsza zabrała głos Rhonda.

- Czy kiedykolwiek w historii zdarzyło się, by list kaperski wystawiono jednostce Marynarki? - spytała.

- Nic o tym nie wiem - odparł Dillon.

- No cóż, zawsze jest pierwszy raz - stwierdził podekscytowany Stanbridge.

Dillon wpatrywał się w monitor komputera, na którym pojawiały się powoli wykresy związane z badanymi przez niego zagadnieniami prawnymi. Przed

wyjaśnieniem swego pomysłu przewodniczącemu i personelowi jego biura miał czas na zebranie podstawowych informacji. Nie miał wątpliwości co do możliwości wystawienia listu kaperskiego, ponieważ odpowiedni zapis znajdował się w konstytucji, a nikt nie śmie gwałcić konstytucji. Ani prawo, ani zwyczaj, ani państwo, ani traktat nie mogą jej zmienić. Oficjalnie konstytucję zmienić mogą wyłącznie poprawki. Wykładnia może czasami nie do poznania zmienić znaczenie poszczególnych zapisów, ale nie w tym przypadku. Sąd Najwyższy nie poświęcił temu zapisowi chyba nawet chwili zastanowienia. No, ale co do tego trzeba się było upewnić.

Był pewien, że znalazł oto broń, której Kongres może użyć według swego widzimisie, zarówno w sposób, w jaki była używana w historii, oraz według nowoczesnych metod; w końcu sam Sąd Najwyższy uelastyczył konstytucję wyrokując, że jest ona żywym dokumentem.

Niewykluczone jednak że gdzieś istnieje coś, co może uniemożliwić użycie zapisu o liście kaperskim tak, jak pragnął go użyć. Jeśli tak, trzeba było to odnaleźć. Stukał w klawiaturę, czytając opisy spraw, ekspertyzy prawnicze, artykuły w pismach fachowych i w ogóle wszystko, gdzie cytowany był interesujący go zapis. Parł przed siebie, lecz coraz częściej zdarzało mu się naciskać nie te klawisze. Pocił się, co było u niego niezwykle. Uważano go za człowieka zimnego, spokojnego, a tymczasem teraz, co chwila zerkając na zegarek, denerwował się jak jeszcze nigdy w życiu. Tej nocy w polityce zagranicznej USA dokona się być może największa w ostatnim stuleciu zmiana. O ile się nie mylił. A jeśli się pomylił, sprawa nie skończy się tylko na przygotowaniu zawstydzającej notatki. Tego rodzaju pomyłki niejednemu złamały karierę. Legnie w gruzach przyszłość nie tylko jego, lecz samego przewodniczącego Izby Reprezentantów Kongresu i wszystkich, którzy podpiszą list kaperski.

Pinkie usiadł przy stole w dziobowej mesie na pokładzie o3 „Constitution”, gdzie jadalni lotnicy, i zdjął talerze z tacy. Rozpiął skórzaną kurtkę lotniczą udekorowaną oznaczeniami dywizjonów, w których służył i okrętów, na których pełnił funkcję oficera wywiadu. A przecież nigdy nie leciał samolotem Marynarki innym niż transportowy DNO (Dostawy Na Okręt), potwornym brzydactwem transportującym ludzi i części zamienne między okrętem a brzegiem. Wykazał się wielką pomysłowością, załatwiając sobie kurtkę, której nie miał prawa nosić.

Na lunch podano to co zwykle podawano na lunch. Lazania, kukurydza, chleb, mleko: skrobia, węglowodany, tłuszcz. Gdyby w ciągu ostatnich dziesięciu dni byli w porcie, w menu pojawiłoby się coś co przypominałoby sałatkę, świeże owoce i warzywa, o nich jednak mogli tylko marzyć. Na morzu byli już od miesiąca, na powrót do portu nie mieli na razie żadnej szansy. Najpierw musiałby skończyć się obecny kryzys. Na razie, zgodnie z najnowszymi rozkazami, wielki amerykański lotniskowiec pływał w kółko i przerabiał paliwo lotnicze na hałas.

Jako oficer wywiadu skrzydła Pinkie wiedział to, czego załoga okrętu na ogół nie wiedziała. Terrorystów znaleziono na jednej z wysepek i SEAL mieli na niej wylądować, by określić ich siłę, wartość bojową i uzbrojenie. Problem w tym, że mieli desantować się na terytorium indonezyjskim, tymczasem rząd Indonezji wydał bardzo wyraźne polecenie zabraniające amerykańskim samolotom naruszania przestrzeni powietrznej jego kraju. Zachichotał cicho, zabierając się za lazanie. Fakt, Indonezyjczycy nie zabronili przecież nikomu chodzenia po swej ziemi, a tylko latania nad nią.

Po pierwszym kontakcie admirał zmodyfikował plany. Zdał sobie sprawę z tego, że potrzebuje dokładnych, sprawdzonych informacji, a jedynym sposobem ich uzyskania są loty zwiadowcze. Jednak okazały się one niewystarczające. Stwierdził

wówczas, że trzeba „polegać na oczach”. Poprosił Waszyngton o pozwolenie i, ku swemu zdumieniu, pozwolenie takie uzyskał.

Przemówienie prezydenta Pinkie, admirał, jego sztab oraz wszyscy którzy je słyszeli przyjęli z niedowierzaniem. Myślał, że może zrobione było pod publiczność, jak przemówienie Eisenhowera, kiedy Francis Gary Powers zestrzelony został w swym U-2 nad terytorium Związku Radzieckiego. Pierwsza reakcja: zaprzeczyć. „Constitution” nie został odwołany. Admirał miał zamiar być gotowy na wszystko, nawet jeśli oznaczało to naciągnięcie zasad tu i tam.

Przysiedli się do niego Caskey i Messer.

- Latacie te specjalne misje z TARPS? - spytał ich Pinkie.

- Owszem. Miałem dziś wykonać kolejne trudne przechwycenie w powietrzu, ale okazało się, że są rzeczy ważniejsze ode mnie. - Caskey spojrzał na Pinkiego. - Co sądzisz o orędziu prezydenta?

- Nie wiem, co o tym myśleć. - Piegi na twarzy oficera wywiadu stały się naraz wyraźniejsze. - Jeśli mówił serio, to jest naiwniejszy niż mi się wydawało. Jeśli nie mówił serio, a my rzeczywiście dobierzemy się im do tyłka, to fajnie, bo ich zaskoczymy, ale z drugiej strony wszyscy zaraz oskarżą go o łgarstwo, a to już niefajnie.

- Mam dokładnie to samo wrażenie. Kompletnie nic nie pojmuję. Terrorysty atakują amerykański statek, mordują załogę, zabijają nam komandosa, jednostkę topią, a my pozwalamy, by zajął się tym indonezyjski system sprawiedliwości? Założę się, że Indonezyjczycy nie byliby nawet w stanie zdjąć ich z tej wyspy... - Wziął kęs jedzenia i dalej mówił z pełnymi ustami. - Założę się, że jeśli prezydent mówił serio, ci bandyci za rok wciąż będą tam, gdzie są teraz.

Pinkie pochylił się w krześle.

- Wieczorem wysyłamy na brzeg SEAL - wyszeptał.

Caskey przestał jeść. Rozejrzał się dookoła. Nikt ich nie słuchał.

- Żartujesz? - wykrztusił. - Na czyj rozkaz?

- Admirala.

- A admirał słyszał przemówienie prezydenta?

- Owszem. Wszyscy słyszeli.

- I mimo to wysłał na ląd SEAL? Nie odebrali mu pozwolenia na tę zabawę?

- Nie. Przynajmniej na razie. I z całą pewnością nie nakazali mu, żeby się wycofał. Admirał uznał, że orędzie prezydenta jest pod publiczność.

- Co będzie, jeśli wyjdzie na to, że się pomylił?

- Tego to się dopiero dowiemy. Jeśli SEAL zostaną złapani na brzegu, może się zrobić nieprzyjemnie. - Pinkie dopił resztkę kawy. - Ale jeśli nikt ich nie dorwie, jutro zakończymy robotę.

Dillon przetarł zmęczone oczy. Na jego biurku piętrzył się stos orzeczeń sądowych, artykułów i recenzji. Niemal już skończył badania nad problemem listu kaperskiego. Ilekroć o tym pomyślał, ożywał się wyraźnie. Dzięki niemu przewodniczący dostanie czysty materiał, będzie mógł podjąć na jego podstawie jednoznaczne działania i na głowie postawi politykę kraju oraz całego świata. To przekraczało już granice polityki, oznaczało działanie.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak ożywiony.

Kongres mógł wystawić list kaperski, temu nikt nie zaprzeczy. Przepis, nie używany przez dwieście lat, nadal zapisany był w konstytucji, wybronił się przed atakiem kolejnych poprawek. Kongres miał prawo wszcząć swą własną, ograniczoną wojnę i nikt nie był w stanie temu zapobiec.

Dillon przyjrzał się swemu odbiciu w dużym stojącym na biurku zdjęciu. Było to zdjęcie przedstawiające jego grupę w szkole prawniczej, najlepszych przyjaciół, jakich miał kiedykolwiek. Stali we czwórce, obejmując się ramionami na trawniku uniwersytetu stanu Wirginia, w dzień ukończenia studiów. On, Molly, Bobby i Erin. Najszczęśliwszy dzień w życiu. Dzięki ocenom wymieniono ich w „Law Review”, co oznaczało, że dostaną pracę w najbardziej prestiżowych firmach w kraju. Mogli robić wszystko: pracować z sędziami, dla organizacji broniących drzew lub wielorybów, bronić kryminalistów.

Świat stał przed nimi otworem.

Dillon znalazł się na szczycie tego świata, na szczycie Wzgórza Kapitońskiego, przyjmując pracę u przewodniczącego Izby. Właśnie odkrył w konstytucji zapis, zdolny zmienić sposób operowania rządu, dać Kongresowi do ręki broń, o której dawno zdążył on zapomnieć. Czuł się wspaniale, czuł się wielki, ale w głębi serca bał się także, że coś pominął.

Robin serdecznie tego nienawidziła - nienawidziła, kiedy jej szef wykonywał jakiś kontrowersyjny nich, co oczywiście powodowało dziesięciokrotnie, a czasami i dwudziestokrotnie większe zainteresowanie prasy. Miał wprawdzie sekretarza prasowego i prywatnego konsultanta do spraw kontaktów ze społeczeństwem - o czym zresztą nie wszyscy wiedzieli - lecz to ona odbierała telefony. Jej numer mieli wszyscy dziennikarze i wszyscy komentatorzy telewizyjni. A teraz nie była nawet w stanie odpowiedzieć na telefony. Nauczyła się już radzić sobie z różnymi kryzysami, ale czegoś takiego jeszcze nie widziała. W ogóle przestała odkładać słuchawkę, po prostu wciskała przycisk i rozpoczynała kolejną rozmowę. Wszyscy dzwoniący pragnęli rozmawiać z przewodniczącym, dowiedzieć się, dlaczego sesja trwa w piątek wieczorem; wiedzieli, że oznacza to pracę przez całą noc. Prasa wyczuła sprawę, nim niektórzy członkowie Izby zorientowali się, że dzieje się coś dziwnego. Przewodniczący tymczasem nie przyjmował żadnych rozmów.

- Nie przyjmuje żadnych rozmów - tłumaczyła - aż do końca spotkania z personelem, aż do konferencji prasowej wyznaczonej na... - spojrzała na zegarek - za godzinę.

O dziesiątej trzydzięci czasu wschodniego, w sam raz by wiadomości Zachodniego Wybrzeża mogły wykorzystać ją na żywo, na samym początku programów.

Siedzący w swym gabinecie kongresman Stanbridge z pięćdziesiątego okręgu wyborczego w San Diego pogrążył się w zachwyceniu. Napięcie w jego gabinecie sięgnęło zenitu. Składały się nań sprężona ludzka energia, podniecenie i strach, zachwycenie i instynktowne pragnienie ucieczki jak najdalej... albo zmiany nazwiska.

- Robin! - krzyknął przez zamknięte drzwi.

Sekretarka włączyła muzykę, nie sprawdzając nawet, kto dzwoni i prawie pobiegła do gabinetu szefa.

- Tak, proszę pana?

- Zmień miejsce konferencji prasowej. Ma odbyć się na Kapitolu, w samym jądrze historii Kongresu.

Uśmiechnął się na myśl o tym, jak bardzo odpowiednie wybrał miejsce.

- Ależ nigdy pan tam nie występował - zauważyła, zaskoczona.

- Przecież wiem, Robin.

- Prasa nigdy się tam nie zbiera.

- No to całą historię usłyszą tylko ci, którzy zdecydują się jednak przyjść.

- Mam im przekazać jakieś dodatkowe informacje? - spytała z nadzieją, że dla kolejnych dzwoniących będzie miała jakiś smakowity kąsek i nie będzie musiała

powtarzać, iż o dziesiątej trzydzieści przewodniczący poinformuje prasę o „ważnym wydarzeniu”.

- Nie. Niech sami się domyślą, jeśli chcą. Dzwonił może Pete Peterson?

Stanbridge miał nadzieję, że przewodniczący większości jest nadal po jego stronie. Petersonowi na początku cała ta sprawa niezbyt się podobała, obiecał jednak, że dokładnie ją rozważy, istniała więc nadzieja, iż skłoni demokratów do przyjęcia takiego porządku obrad, który pozwoli na przedyskutowanie zagadnienia jeszcze dzisiaj. Powiedział, że demokraci uważają, iż dziś mają największe szanse na odrzucenie wniosku, ponieważ dla wszystkich był on jeszcze nowy i niezbyt zrozumiały.

Stanbridge spojrział na swoich ludzi, którzy znów zebrali się w jego gabinecie. Pracowali całą noc i po wszystkich było to widać. Dillon stał obok niego, sugerując tym, że jest ich szefem, choć nikt go o to nie prosił. Przewodniczący jednak nie zaprotestował.

- Czy ktoś ma coś do powiedzenia, nim poproszę pana Dillona o przedstawienie wyników jego badań?

Nikt się nie odezwał.

- Zaczynaj, Jim.

Dillon spojrział na wpatrzone weń twarze i przełknął z wysiłkiem ślinę.

- W prawie amerykańskim, prawie konstytucyjnym, sprawach sądowych i tekstach prawniczych nie ma nic, co sugerowałoby choćby, że nie możemy tego zrobić. Paragrafu o prawie kaperskim niemal nie dyskutowano, bowiem praktycznie wszyscy o nim zapomnieli.

Przewodniczący spojrział najpierw w sufit, a potem na zegarek, sprawdzając, ile jeszcze musi upłynąć czasu, nim oznajmi całemu światu to, co właśnie usłyszał. W tej sprawie nie wolno mu było popełnić najmniejszego nawet błędu.

- Rozumiecie konsekwencje tego czynu? - spytał swych ludzi.

- Tak.

- To może oznaczać moją polityczną śmierć. - Obrócił się w stronę Dillona. - Zdajesz sobie z tego sprawę?

- Tak, zdaję sobie z tego sprawę.

- Nie wolno nam się pomylić. Jesteś gotów podjąć takie ryzyko?

- Panie przewodniczący, atak na „Pacific Flyera” już zaowocował śmiercią dwudziestu sześciu Amerykanów. Nie śmiercią polityczną, lecz najzupełniej rzeczywistą. Dla nich właśnie chcę dokonać czegoś wyjątkowego.

- A więc najprościej mówiąc, panie Dillon, nie ma niczego co zabraniałoby nam zrobienia tego, co mamy zamiar zrobić?

- Nie, nie ma niczego takiego.

Jim Dillon powoli pokręcił głową.

Stanbridge pochylił się.

- To może oznaczać nie tylko nową erę w historii Kongresu - powiedział ściszym głosem - ale także koniec prezydenta.

Stanbridge wszedł do okrągłej sali, znajdującej się bezpośrednio pod kopułą gmachu Kongresu. Tu znajdowało się waszyngtońskie centrum władzy, a przynajmniej to waszyngtońskie centrum władzy, które nie znajdowało się w Białym Domu. Kamery telewizyjne szumiały, filmując go wchodzącego na zbite w pośpiechu drewniane podium, umieszczone na wprost wielkiego portretu Jerzego Waszyngtona. Reporterzy wręcz ciskali w niego pytaniami. Byli wściekli, bowiem do tej pory nie udało się im dowiedzieć niczego. Przepychał się wśród gąszczy mikrofonów i tłumów ludzi, mocno pracując w milczeniu łokciami. Twarz ubrał w wyraz powagi i

zdecydowania. Lekko wzniesione podium sprawiało, że wydawał się wyższy. Mikrofon trzymał nie przy ustach, lecz na wysokości piersi, tak by nie przesłaniał go na żadnym ze zdjęć. Milczał czekając, aż ucichnie szmer najcichszych nawet rozmów. CNN i wszystkie większe sieci telewizyjne transmitowały jego konferencję na żywo.

Stanbridge podszedł do mikrofonu i uniósł dłoń.

- Dzień dobry - powiedział. - Nim zacznę odpowiadać na wasze pytania, powinienem chyba wyjaśnić, co się właściwie dzieje. Bez tego nie wiedzielibyście chyba, jakie pytania zadawać.

Jego wypowiedź skwitował ściszony śmiech, świadczący wyłącznie o tym, że nikt nie uznał jej za zabawną.

- Jak słyszeliście wszyscy, prezydent postanowił nie ścigać terrorystów, którzy zabili niewinnych Amerykanów będących załogą amerykańskiego statku, transportującego amerykański towar do kraju, który jest naszym partnerem handlowym. - Spojrzał wprost w kamery zimnym wzrokiem. - Nie mam zamiaru pozostawić tak tej sprawy. Wraz z moimi ludźmi pracowałem całą noc, badając dostępne nam możliwości działania. Wezwę Izbę - od mojego odpowiednika w Senacie dowiedziałem się, że postąpi podobnie - by doprowadziła do interwencji. - Zrobił krótką przerwę. - Zrobimy to, czego boi się zrobić prezydent. - Teraz musiał przerwać, czekając aż ucichnie szum. - Będę prosił Izbę i senat o podjęcie zdecydowanej akcji przez wystawienie listu kaperskiego. Jak z pewnością wszyscy wiecie, konstytucja Stanów Zjednoczonych daje Kongresowi możliwość wystawienia takiego właśnie listu. Jestem także pewien, że wasza wiedza nie jest zbyt głęboka i nic dziwnego, ponieważ z tego paragrafu konstytucji nie korzystano od 1812 roku aż do dziś...

Próbował mówić dalej, ale krzyki poruszonych reporterów skutecznie mu to uniemożliwiły. Czekał aż umilknie wszczęty przez nich hałas i w końcu się doczekał.

- Ponieważ prezydent nie robi tego, co trzeba zrobić, by obronić obywateli naszego kraju i ich majątek, my musimy go w tym zastąpić. - Wyciągnął rękę, dziennikarze znów próbowali zadać mu pytania. - We właściwym czasie - powiedział spokojnie. - We właściwym czasie. Szczerze mówiąc, mieliśmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. Oczekiwaliśmy, że prezydent podejmie właściwe kroki, zwłaszcza, że w okolicy znajduje się grupa bojowa amerykańskiego lotniskowca. Myliliśmy się jednak. Kongres będzie więc obradował, póki sprawa ta nie zostanie załatwiona. Spodziewam się, że zajmie nam to całą noc, ale jesteśmy na to przygotowani. Jestem pewien, że kongresmani będą mieli pytania, przeprowadziliśmy jednak wszelkie badania umożliwiające natychmiastową na nie odpowiedź. A teraz, jeśli chcecie o coś...

Dziennikarze przerwali mu, nim zdołał skończyć zdanie.

- Czy to legalne? - spytał przedstawiciel „Newsweeka”.

- Całkowicie.

Po pierwszym pojawiło się mnóstwo innych pytań. Przewodniczący spodziewał się wielkiego zainteresowania, jednak to, co się działo, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Dziennikarze rozmawiali przez telefony komórkowe, kamery pracowały praktycznie bez przerwy, sieci telewizyjne nie wykazywały najmniejszej ochoty do powrotu do zapowiedzianych pozycji programu. Ktoś wreszcie spytał o konstytucję i to, że skoro wystawienie listu kaperskiego jest legalne, dlaczego nikt go współcześnie nie wystawił. Stanbridge odpowiedział szczerze, że nikt go nie wystawił, ponieważ nikt o tym nie pomyślał.

Wiadomości błyskawicznie rozprzestrzeniły się na Izbę, na Senat i wreszcie na cały Waszyngton. Siedząca w biurze doradców prezydenta Molly Vaughan z niedowierzaniem wpatrywała się w telewizor. Przewodniczący oszalał, pomyślała. To uzurpacja, to zdrada... polityk nie liczący się z niczym i z nikim. Pomyślała o Jimie

Dillonie, pracującym nad czymś, o czym nic nie chciał nikomu powiedzieć i poczuła gniew tak wielki, że aż mdlący.

Jim Dillon tymczasem wpatrywał się w mały bateryjny telewizorek, który trzymał w górnej szufladzie biurka. Stanbridge'owi udało się zaskoczyć dziennikarzy, a to nieczęsto się zdarzało. Dziennikarze wiedzieli na ogół, co ma się zdarzyć, dzisiejszy dzień okazał się jednak wyjątkowy. Nawet jeśli usłyszeli jakieś plotki, nie domyślili się nawet, czego w rzeczywistości dotyczą. Nikt się tego nie domyślił. Kiedy on sam zaczął omawiać sprawę z kolegami, nie znalazł nikogo kto wiedziałby, czym jest list kaperski, nie wspominając już o tym, by wiedzieli, że Kongres nadal ma prawo go wystawić. Był tak zdenerwowany, że aż trzęsły mu się ręce. Przewodniczący przyjął wyniki jego badań. Zawiadomił Kongres, że - jeśli okaże się to konieczne - obrady i głosowanie dotyczące wystawienia listu kaperskiego jako broni przeciw terrorystom będą trwały całą noc. Stanbridge bardzo starał się wprawdzie zlekceważyć tę kwestię, wszyscy zainteresowani jednak dostrzegli, że sprawa toczy się o poświadczenie faktu, iż Kongres ma prawo prowadzić wojnę, nie tylko bez zgody prezydenta, lecz wręcz mimo jego sprzeciwu. Większość wątpiła też, by konstytucja umożliwiała takie wyjście, nikt jednak nie wiedział na ten temat wystarczając wiele, by powiedzieć po prostu, że na to nie zezwala.

Nawet profesorowie prawa konstytucyjnego, do których dziennikarze uwielbiali się zwracać, i którzy uwielbiali wypowiadać się w ich programach, wypowiadając swe mądrości cichym, spokojnym, wyważonym tonem, tym razem okazali się ignorantami. Niektórzy próbowali blefować, większość oznajmiła jednak szczerze, że są zaskoczeni, nie znają historii tego zapisu i będą musieli „dokładniej przyjrzeć się zagadnieniu”.

Dillon wyłączył telewizor i zamknął szufladę. Wycierając spocone dłonie o spodnie czekał na telefon od kogoś, kto poinformuje go o jakimś precedensie, jakimś traktacie czy czymkolwiek, co pominął, a co udowodni, że wyniki jego badań są błędne. Nikt jednak nie zadzwonił.

Spojrzał na zegarek. Jedenasta rano. Odetchnął głęboko i przyjrzał się kopii listu kaperskiego z 1812 roku, który znalazł w Bibliotece Kongresu i którą położył teraz obok notatnika. Starając się naśladować archaiczny język - i nieświadomie go uwspółcześniając - pisał „Do wszystkich, którzy będą to czytać, pozdrowienia. Niech będzie im wiadomo, że zgodnie z uchwałą Kongresu przegłosowaną...” Stanbridge polecił mu przygotowanie na popołudnie szkicu listu kaperskiego, który można byłoby rozdać kongresmanom.

I nagle poczuł, jak serce zamiera mu w piersiach. Spojrzał na dół kartki, na której wypisany był list. Jak mógł nie zauważyć tego wcześniej? Jak mógł pograć się w papierach tak głęboko, by nie zastanowić się, w jaki sposób list kaperski rzeczywiście działa? A ten list podpisał... James Madison. Odetchnął głęboko, próbując natychmiast znaleźć jakieś rozwiązanie tego problemu; Manchester przecież w życiu nie podpisze takiego dokumentu i to jest najważniejsze. Podniósł wzrok na sufit, zamknął oczy. Czy prezydent musi podpisać list kaperski, czy też to tylko taki ozdobnik? Serce ciężko waliło mu w piersi, jego bicie czuł wręcz w czubkach palców. Już wyobrażał sobie następną konferencję prasową, do której zwołania zmuszony został Stanbridge. „Panie i panowie, w sprawie tego listu kaperskiego... to był przecież tylko taki żart. Okazuje się, że musi go podpisać prezydent, a my przecież wiemy, że nie jest skłonny go podpisać, no więc spotkamy się nieco później w tym tygodniu, by przedyskutować możliwości wspomżenia Indonezji w prowadzonym przez nią śledztwie...”

Jim Dillon odetchnął najgłębiej, jak tylko potrafił. Bał się, że lada chwila zemdleje.

- Nie sądziłem, że przyjdiesz - przywitał Molly, przestępując próg jego mieszkania.

- A dlaczego miałabym nie przyjść? - odpowiedziała pytaniem.

- Z powodu konferencji prasowej przewodniczącego i debaty w Kongresie.

Pochylił się, by ją pocałować, lecz natychmiast wyczuł wahanie.

- Osiągnął tyle, że kongresmani zrobią z siebie idiotów - stwierdziła, rzucając płaszcz na fotel.

Miał ochotę odpowiedzieć jej ostro, powstrzymał się jednak w ostatniej chwili. Przyglądał się jej uważnie. Dlaczego teraz? - pomyślał. Dlaczego musiało się to zdarzyć właśnie teraz, kiedy wyraźnie się do niego zbliżyła, kiedy jej stosunek do niego tak bardzo się zmienił?

- To był twój pomysł? - spytała.

- Sądzisz, że powinniśmy o tym rozmawiać? Pracujesz przecież w Białym...

- Może uda mi się przemówić ci do resztek rozsądku, może uda ci się skończyć z tym szaleństwem, nim popełnisz zawodowe samobójstwo.

Policzki Molly zaczerwieniły się lekko.

Dillon postanowił zmienić temat.

- Pomyślałem, że przyrządzę jedno z naszych ulubionych studenckich dań, spaghetti carbonara. Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie uda ci się uniknąć tej rozmowy! Daj spokój, Jim. Doprowadziłeś do kryzysu konstytucyjnego, a martwisz się carbonarą? Nad czym pracowałeś przez cały dzień? Sprawdzałeś, na czym tak naprawdę polega istota tego kretyńskiego listu kaperskiego i czy można go w dzisiejszych czasach wystawić?

- Słuchaj, muszę wrócić na Wzgórze za jakąś godzinę. Może po prostu zjedlibyśmy w spokoju kolację?

Molly odprężyła się lekko.

- Ja też muszę wracać do pracy - przyznała. - By naprawić te błędy, które możesz jeszcze popełnić.

Bez słowa obserwowała, jak przygotowuje carbonarę. Nakrył mały stolik w kuchni. Tak się śpieszył, że napełniając jej szklankę zalał go wodą.

Kolacja została wreszcie przygotowana. Zasiadli do niej bez słowa.

- Nie uda ci się, wiesz?

Dziewczyna pierwsza przerwała milczenie.

Dillon nakręcił spaghetti na widelec, pomagając sobie łyżką. Usilnie próbował zachować obojętny wyraz twarzy.

- Dlaczego ma mi się nie udać?

- Ponieważ nie stosujemy już tej praktyki.

- Co nie znaczy przecież, że nie możemy jej zastosować, prawda?

- Istnieje jednak powód, dla którego rzeczywiście nie możemy.

W tonie głosu Molly pobrzmiwało wyraźne zadowolenie. Dillon znów poczuł, jak zaciska mu się żołądek.

- Jaki to powód?

- Ponieważ jest to prawo, które istniało niegdyś, a dziś już nie istnieje. To byłoby prawo.

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Jim, przecież to fakt powszechnie znany. - Dziewczyna rozejrzała się po pokoju.

- Masz może słownik prawniczy?

- Mam, ale nie tu.

- Sprawdź hasło „List kaperski”. W słowniku wyraźnie powiedziane jest „prawo niegdyś stosowane”. Zgodziliśmy się, by go nie stosować. W Traktacie Paryskim.

Jim Dillon odłożył widelec.

- Sprawdziłaś to?

- Tylko ogólnie. Traktat Paryski podpisany został w 1856 roku. Wszystkie ówczesne potęgi postanowiły zrezygnować z tego przywileju. Nie możemy tego zrobić, Jim.

Molly wypila łyk kawy, obserwując go uważnie. Nie okazywał żadnych uczuć, co bardzo ją rozczarowało. Po to przecież zgodziła się przyjąć jego zaproszenie: by powiedzieć mu to, co właśnie powiedziała i obserwować wyraz jego twarzy. Spodziewała się, że lepiej jej to wyjdzie. Z jednej strony chciała powstrzymać go przed popełnieniem politycznego samobójstwa, z drugiej pragnęła się popisać, bowiem bardzo lubiła z nim współzawodniczyć. Nie miała wątpliwości, że go zaskoczyła, spodziewała się jednak bardziej nerwowej reakcji.

- I to wszystko? - spytał po chwili milczenia.

- Jak to „wszystko”?

- Czy to jedyny powód, dla którego nie możemy wystawić tego listu?

- Są jeszcze inne, ale ten wydaje mi się najzupełniej wystarczający. Obiecaliśmy całemu światu, że czegoś nie zrobimy. Głupio byłoby robić teraz coś, czego obiecaliśmy nie robić.

Jim Dillon wstał, otworzył lodówkę, wyjął z niej karton mleka i napełnił szklanekę. Odetchnął głęboko, patrząc jej prosto w oczy.

- Nie podpisaliśmy Traktatu Paryskiego - oznajmił.

- Jak to, „nie podpisaliśmy”?

- Po prostu nie podpisaliśmy. Nie mam pojęcia, jak to inaczej powiedzieć.

- Przecież słownik prawniczy...

- Słownik prawniczy się myli. Wiem, bo sam sprawdzałem. Omal nie dostałem ataku serca, bo siedziałem już wówczas nad robotą dłużej czas. Rzeczywiście, wygląda na to, że dobrowolnie zrezygnowaliśmy z części naszych przywilejów. Ale znalazłem też tekst Traktatu Paryskiego - i wówczas dowiedziałem się, że go nie podpisaliśmy, właśnie z tego i kilku innych powodów. Najśmieszniejsze jednak - przysunął się do niej, może po to, by okazać się bardziej przekonującym - że kiedy wybuchła wojna secesyjna, Europejczycy nagle uznali, że być może powinni zgodzić się na warunki, które narzucaliśmy listom kaperskim. No więc powiedzieliśmy „w porządku, ale wyłączamy wojnę domową”. Nie chcieli się na to zgodzić... - Rozłożył ręce, krytykując tym gestem polityczne dyskusje sprzed przeszło wieku. - No więc doszło w końcu do tego, że nie podpisaliśmy Traktatu Paryskiego.

- Jak to możliwe?

Molly sprawiała wrażenie oszołomionej.

- To proste. Nie wyraziliśmy zgody na postanowienia traktatu. Ale nawet gdybyśmy się zgodzili, nie sądzę, by miało to jakieś znaczenie. Przecież znasz prawo konstytucyjne. Traktaty międzynarodowe nie mogą naruszać postanowień konstytucji. Nie podpiszemy z Francją traktatu zawieszającego działanie Pierwszej Poprawki.

Dziewczyna pochyliła się i cichym głosem, jakby próbowała wyjaśnić coś kompletnemu ignorantowi, spytała:

- Więc twoim zdaniem Kongres rzeczywiście ma takie prawo?

Jim skinął głową i oczyścił talerz z makaronu. Molly wykorzystała chwilę ciszy, by uporządkować argumenty.

- Nawet jeśli nie podpisaliśmy traktatu, to mówimy o historii starożytnej. Nie ma już na świecie uzbrojonych statków handlowych.

- Zrobimy to inaczej.

- Jak?

Zastanawiał się przez chwilę, czy może jej powiedzieć. Zdecydował, że tak.

- List wystawiony zostanie grupie bojowej lotniskowca „Constitution”, a nie prywatnemu statkowi.

Molly zamarała z lekko otwartymi w zdumieniu ustami, nie wierząc własnym uszom. Przecież to niemożliwe. Od biedy można przyjąć, że Kongres jest w stanie skorzystać z usług statku handlowego, ale żeby miał wysłać list kaperski lotniskowcowi Marynarki Stanów Zjednoczonych?

- To niemożliwe - powiedziała głośno.

- Owszem, możliwe.

- Jakim cudem? W konstytucji nie znajdziesz nic, co w jakimkolwiek stopniu sugerowałoby, że Kongres dysponuje taką władzą. - Wstała i zaczęła chodzić do kuchni. Oddychała ciężko, wściekła, rozważając możliwości jakie stwarzała sytuacja, w której wyłącznie Kongres kontroluje grupę bojową lotniskowca. - To... to byłoby niekonstytucyjne.

- Kto tak powiedział?

Dillon uniósł lekko głos.

- Wystarczy przeczytać konstytucję, żeby natychmiast się w tym zorientować. Nie ma innej możliwości.

- Ależ oczywiście, że jest. Istnieje precedens. List kaperski został kiedyś wystawiony siłom rządowym.

- Kiedy?

- Dowiesz się we właściwym czasie.

Molly usiadła, nadal jednak była bardzo poruszona.

- Dla ciebie to coś w rodzaju gry, prawda? Znalazłeś prawny kruczek umożliwiający ci sterowanie prezydentem, zmuszenie go, by postępował według twego widzimisię?

- Nie, to nie gra. - Niebieskie oczy Dillona płonęły - Prezydent dokonał wyboru, postanowił co zrobi - a raczej czego nie robi - i teraz musi żyć z konsekwencjami swego czynu. Nie chodzi o wymyślenie cwane go scenariusza, by zmusić prezydenta do działania, chodzi tylko o to, że Kongres może działać legalnie w przypadku jego bierności.

- Przecież tego nie da się wyczytać z konstytucji! Tego w niej po prostu nie ma!

- Owszem, jest. Ale chodzi też o coś innego. - Dillon również był już zdenerwowany. - Przecież zawsze podziwiałaś liberalnych naukowców i sędziów, tych którzy bez przerwy odnajdują w konstytucji nowe prawa, prawda?

- O czym ty mówisz?!

- Kochasz prawo konstytucyjne, kiedy potwierdza twoje przekonania, kiedy Earl Warren i William o. Douglas ustanawiają nowe prawa, o których w konstytucji nie ma ani jednego słowa, a wszystko w imię prawa do prywatności i praw człowieka. Posłałaś sobie łóżko, to teraz w nim śpij. To oni powtarzali przecież zawsze „żywy dokument”. Zmienia się i przystosowuje do nowych czasów. Tak? No i świetnie. Żywy dokument to żywy dokument, musi przystosować się do naszych czasów i właśnie dowiedziałaś się w jaki sposób. Nie ma już na świecie „uzbrojonych statków handlowych”.

Wystawienie listu kaperskiego na nieuzbrojony statek handlowy mijaloby się z celem. Najwyraźniej jedynym dziś statkiem, na który można sensownie wystawić taki list, jest okręt wojenny, a jedynymi okrętami wojennymi, którymi dysponujemy, są okręty naszej Marynarki.

Dziewczyna patrzyła na niego, jakby dziś zobaczyła go po raz pierwszy w życiu.

- Jakoś do tej pory do głowy mi nie przyszło, że możesz być nieuczciwy - powiedziała. - Nawet w najgorszych koszmarach nie przewidywałam, że nadejdzie dzień kiedy ty, ze wszystkich ludzi na świecie właśnie ty, zaczniesz głosić poglądy tak ewidentnie nieuczciwe, że wkrótce nie będziesz już w stanie spojrzeć w lustro przy goleniu. - W jej głosie brzmiała gorycz. Oddychała ciężko. - Prezes Prawniczego Stowarzyszenia Studentów Chrześcijańskich, głoszący uczciwość, etykę, siłę charakteru... przecież to ty twierdziłeś zawsze, że trzeba postępować słusznie i godzić się z konsekwencjami, niezależnie od tego, jakie by były. - Uśmiechnęła się. - Między innymi dlatego właśnie cię polubiłam. Uważałam cię za człowieka wiernego własnym przekonaniom. Nie zawsze się z tobą zgadzałam, ale wiedziałam, że zawsze szukałeś prawdy i zawsze zależało ci na tym, by poprawić świat. Sprawiałeś, że życie wydawało się takie podniecające. Ostatnio było kilka chwil, kiedy myślałam, że to się powtórzy. - Spojrzała na niego smutno. - Niestety, rozczarowałam się. To ty przecież nazywałeś Sąd Najwyższy nieuczciwym, bo zawsze miał pod ręką jakąś interpretację, twoim zdaniem bezsensowną i śmieszną. Polityka, mówiłeś. Tak mówiłeś, prawda? Tak...

- Do czego zmierzasz, Molly? Przecież brałaś udział w tych spotkaniach. Wierzyłaś w to samo co ja. I założę się, że nadal wierzysz. Twierdziłaś, że nie pójdziesz pracować do wielkiej firmy, ponieważ nie masz wątpliwości, że tam w którymś momencie zmuszą cię do kompromisu, nie zachowasz... - przez chwilę szukał właściwego słowa - ...prawości. A na czym się skończyło? Pracujesz dla prezydenta, który jest królem kompromisu, który nie ma żadnych zasad...

- Jak możesz tak mówić? Jak można nazywać „brakiem zasad” niechęć do wkroczenia w krąg przemocy...

- Daj sobie spokój z tym kręgiem przemocy. Nie robi nic, bo siedzi w kieszeni u indonezyjskich Chińczyków, którzy wykupili bank w jego rodzinnym mieście w Connecticut. - Dostrzegł zdumienie na jej twarzy. - Wiedziałaś o tym? Nie, nie wiedziałaś, prawda?

- Nie wiedziałam.

- Jak możesz bronić prawości tego człowieka i nie dopuszczać do siebie myśli, że mógł zostać kupiony?

- Przewodniczący próbuje doprowadzić do jakiejś kretyńskiej interwencji, ponieważ stocznia, w której zbudowano statek, znajduje się w San Diego, a jej właściciel wspierał jego...

- Co za bzdura! Chciał przerwać przepychanki, wystąpił z pokojową ofertą, ale nie została ona przyjęta. Prezydent ma obowiązek obrony obywateli Stanów Zjednoczonych i ich majątku. On jest naczelnym dowódcą, do niego należy...

- Masz rację. Jest naczelnym dowódcą. Nie przewodniczący, nie Senat, nie Kongres jako całość. Oni nie mają władzy wykonawczej. Jeśli spróbują po nią sięgnąć, to będzie... to będzie... przewrót!

Dillon ze zdumieniem stwierdził naraz, że oddycha równie ciężko jak po porannym biegu. Nagle uświadomił sobie, że oboje krzyczą. Serce waliło mu w piersi. Popatrzył najpierw na Molly, potem na zimne jedzenie na jej talerzu, a wreszcie przymknął oczy. Ostrożnie dobierał słowa.

- Molly, poruszamy się w granicach prawa. Niczego nie wymyśliliśmy! Wierzymy, że...

- Przekroczycie granice prawa. Dokonałście politycznego ruchu i to z naruszeniem konstytucji. Jeśli przewodniczący wystawi list kaperski, poniesie konsekwencje.

- Jakże? - Jim Dillon natychmiast wyprostował się w krześle. - Co prezydent ma zamiar zrobić?

- Dowiesz się, i to wkrótce.

Dziewczyna wstała i rozejrzała się za płaszczem.

- I to wszystko? Tak się rozstaniemy? - spytał, odprowadzając ją do drzwi.

Molly, która właśnie wkładała płaszcz, obróciła się w jego kierunku.

- Mam tylko nadzieję, że przewodniczący odzyska rozsądek, nim posunie się za daleko - powiedziała. - Bo jeśli nie, wywoła największy kryzys konstytucyjny w historii tego kraju. - Pochyliła się ku Jimowi i cicho dodała: - To ci mogę obiecać.

Dillon przyglądał się jej bez słowa. Widział jej zaciętą twarz. Patrzył jej w oczy, jak dzieciak podczas próby „kto pierwszy mrugnie”. Mrugnął dopiero gdy wyszła, zamykając za sobą drzwi. Wówczas wrócił do kuchni i zabrał się za sprzątanie. Kubek do kawy w słoneczniki wrzucił do kosza na śmieci.

Wiszący na niebie jasny księżyc oświetlał swym blaskiem dwie czarne łodzie mknące w kierunku niewielkiej wysepki. Ich sternicy doskonale dawali sobie radę na otwartym morzu i przy pełnej szybkości. Z wprawą prawdziwych ekspertów operowali manetkami gazu tak, by ich łodzie nie zostały wyrzucone ponad fale. Pędzili przed siebie z prędkością trzydziestu pięciu węzłów, o wiele niższą od maksymalnej, do której zdolne były ich Rigid Hull Inflatable Boats (Sztynokadłubowe Łodzie Nadmuchiwane). RHIB były bardzo szybkimi łodziami wypadowymi SEAL o dnie z włókna szklanego i nadmuchiwanym burtach.

Sternik pierwszej łodzi sprawdził pozycję na monitorze GPS. Zbliżali się do punktu rozdzielenia. Zerknął przez ramię na porucznika Jody'ego Armstronga.

- Dwie minuty - powiedział głośno, przekrzykując huk, z jakim fale rozbijały się o dno z włókna szklanego.

Armstrong nie odpowiedział. Zajęty był obserwacją horyzontu, a wyczulony w szczególności na mogące pojawić się w każdej chwili szybkie motorówki terrorystów.

Sternik zredukował szybkość do pięciu węzłów, a potem do dwóch; byli już prawie w miejscu rozdzielenia. Porucznik Armstrong i trzech jego ludzi, podzieleni na dwie pary, przeszli szybko do pontonów Zodiac, znajdujących się na rufie obu RHIB. W świetle księżyca bez problemu widzieli drugi czteroosobowy zespół, robiący dokładnie to, co oni.

- No, to jedziemy - powiedział Armstrong, spychając Zodiac na wodę i wchodząc do środka.

Sternik zapalił pięćdziesięciopięciokonny silnik. Oba pontony skierowały się ku wyspie. Prowadzący sprawdzali pozycje na przenośnym odbiornikach GPS, kierując się do wyznaczonych z góry punktów znajdujących się o dwa kilometry od plaży, na której wylądować mieli komandosi. Mieli oni na sobie mundury i buty do poruszania się po dżungli z przymocowanymi do nich płetwami, przyczernili twarze, na głowy zaś założyli kominiarki. Pod mundurami każdy założył kombinezon nurka zrobiony z cienkiego, elastycznego tworzywa sztucznego, chroniący przed chłodem, lecz przede wszystkim broniący nurków przed meduzami, pasożytami, węzami morskimi i pchłami piaskowymi. Maski wisały im na szyjach.

W momencie, gdy Zodiac przekraczał wyznaczony przez satelitę punkt, Armstrong dał sygnał. Czterej SEAL cicho zsunęli się z pontonu, nałożyli maski, sprawdzili zabezpieczenie broni i ruszyli w stronę odległego o dwa kilometry brzegu. Ponad powierzchnię morza wynurzali wyłącznie głowy. Woda tu była ciepła nawet w środku nocy. Zbliżyli się do plaży przy małej, nie stanowiącej żadnego zagrożenia fali.

Porucznik Armstrong poczuł piasek pod palcami. Dryfował powoli do brzegu, poddając się uderzeniom fali. Unosił się bezwładnie w półmetrowej głębokości wodzie, czekając, patrząc i słuchając. Obrócił głowę. Przed sobą miał czarną bryłę oświetlonej blaskiem księżyca wyspy. Najmniejszego źródła światła. Widział trzy inne zaledwie wystające z wody głowy. Jego partner, bosman Lee, również go dostrzegł i

pokazał mu uniesiony w górę kciuk. Następnie z kieszeni na prawym udzie wyjął zasilane bateryjnie gogle noktowizyjne, zdjął maskę i nasunął je na oczy. Kiedy je włączył, lewym okiem obserwował świat w odcieniach zieleni. Obejrzał plażę i dżunglę, obracając głowę najpierw w prawo, a potem w lewo. Następnie spojrzał na czekającego na sygnał Armstronga

Armstrong również zdjął maskę i założył gogle. Podobnie postąpili pozostali dwaj komandosi. Przez następne pełne trzy minuty leżeli w wodzie, wystawiając nad jej powierzchnię wyłącznie głowy, szukając wzrokiem czegokolwiek niezwykłego, w tym psów i ptaków, które mogłyby ostrzec nieprzyjaciela. Gdy upewnili się, że są bezpieczni, Armstrong powoli wypełził na plażę. Pozostali, poruszając się na ugiętych nogach, ruszyli tuż za nim w kierunku ściany dżungli. Porucznik obserwował ją uważnie, próbował także złowić odbiegający od normy dźwięk. Obawiał się przede wszystkim wartownika wyposażonego w detektor podczerwieni. Potem wszyscy czterej ruszyli przed siebie. Płetwy zawieszono mieli na lewych przedramionach, a lufy ich ociekających wodą MP-5 kryły całą plażę.

Idąc plażą w kierunku dżungli cały czas dokładnie obserwowali teren. Armstrong osobiście wybrał tę lagunę jako miejsce odpowiednie do zejścia na brzeg, odległe o pięć kilometrów od małej zatoczki, w której stały przycumowane łodzie terrorystów, od której oddzielała ją gęsta ściana dżungli. Nieprawdopodobne wydawało się, by wystawili posterunki tak daleko od bazy... jeśli mieli tu bazę.

Mimo to musieli zachowywać szczególną ostrożność, bowiem dysponowali bardzo ograniczonymi informacjami dotyczącymi zarówno samej wyspy, jak i znajdujących się na niej ludzi. Być może za chwilę poruszą gniazdo szerszeni. Gęsta tropikalna dżungla skutecznie ukrywała swe wnętrza.

Armstrong wyciągnął z kieszeni na ramieniu laser sygnałowy i wycelował nim w morze. Trzykrotnie obiegł nim horyzont, wzywając czterech SEAL z drugiego Zodiaca. W kilka minut później ponton ukryty został pod zasłoną drzew, a grupa była w komplecie. Następnie wraz ze zwiadowcą przez minutę studiowali mapę oświetloną podczerwonym światłem.

- Idziemy - rozkazał wreszcie.

Zwiadowca prowadził ich przez dziesięć minut w głąb dżungli, a potem skrzył na wschód tak, że szli teraz równolegle do brzegu. Ziemia była śliska od gnijących na niej roślin. Duszne powietrze także pachniało zgnilizną. Naturalne dla tropikalnego lasu nocą dźwięki wydawały się cichsze od oddechów żołnierzy. Uważnie śledzili okolicę w poszukiwaniu oznak życia. Mimo iż groziło im prawdziwe niebezpieczeństwo, traktowali akcję jak ćwiczenia, których przechodzili wiele. Każdy z nich zaliczył szkołę przetrwania na Filipinach, spał samotnie w dżungli, przemierzał ją nocą uzbrojony, dysząc ze zmęczenia tak ciężko, że nie słyszał własnych kroków. Teraz czuli się niczym na spacerku po parku.

Admirał Billings przyłożył właśnie nóż do czubka ugotowanego na miękko jajka, gdy nagle znieruchomiał. Zamarli także trzej goście, którzy często jedli z nim śniadanie w jego prywatnej mesie, o godzinie szóstej rano. CNN właśnie rozpoczęło powtórkę najważniejszej informacji z Waszyngtonu. Tylko o tym teraz mówiono, o liście kaperskim. Prezenterzy ciągle jeszcze potykali się na tych dwóch prostych słowach.

Zaledwie kilku historyków wojskowości, zdolnych w miarę inteligentnie wypowiedzieć się na ten temat, wręcz nie odchodziło od telefonów. Nawet specjaliści od prawa konstytucyjnego sprawiali wrażenie zagubionych.

W odróżnieniu od większości ludzi, usiłujących z mniejszym lub z większym powodzeniem wypowiedzieć się na ten temat, admirał Billings studiował historię

Marynarki. Uważał, że dobry oficer winien wiedzieć, co działo się kiedyś, jak wygrywano i jak przegrywano bitwy, czego nowa Marynarka może nauczyć się od starej Marynarki. Cieszyła go świadomość, że być może wystarczająco wiele nauczył się od admirała Nelsona, Johna Paula Jonesa i Davida Farraguta, by samemu zostać admirałem.

Jego szef sztabu jak zawsze zjadł śniadanie w trzy minuty: sucha grzanka i filiżanka herbaty. Oficer operacyjny przeglądał wiadomości na tablicy i nie przejmował się telewizorem; w ciągu ostatnich dwóch godzin wysłuchiwał tych samych wiadomości w trzydziestominutowych odstępach. Beth, oficer wywiadu, siedziała jednak wpatrzona w telewizor, machinalnie przeżuując kawałek boczku.

Dziennikarze telewizyjni niewiele wiedzieli, więc bez przerwy powtarzali to samo - przewodniczący Izby Reprezentantów zarządził całonocne obrady, przewodniczący większości senackiej zrobił to samo. Kongres będzie obradował aż do momentu wystawienia listu kaperskiego, umożliwiającego atak na indonezyjskich terrorystów.

Na ekranie pojawił się kolejny ekspert.

- No i co o tym sądzisz? - spytał admirał.

Goście spojrzeli na niego i zorientowali się, że zadał to pytanie Beth.

- Nigdy nie słyszałam o niczym podobnym, panie admirale. Doprawdy nie wiem, skąd wzięli ten pomysł i...

- Wzięli go wprost z konstytucji - przerwał jej admirał. - Przynajmniej tak twierdzi przewodniczący Izby Reprezentantów. Występował już w telewizji. Przeczytał odpowiedni paragraf, nie pamiętam który, ale brzmiało to nieźle.

Beth pokręciła głową.

- O niczym takim w życiu nie słyszałam. I mam wrażenie, że coś jest nie tak...

- A właściwie dlaczego nie? - zdziwił się admirał, dojadając uważnie resztkę jajka, by przypadkiem nie naruszyć skorupki. - Czy w konstytucji może być coś nie tak? Jednego tylko nie rozumiem. O jaki statek im chodzi? Listy kaperskie wystawiano niegdyś uzbrojonym statkom handlowym. Dziś statki handlowe mają na pokładzie kilka karabinów albo jakąś dubeltówkę, ale poza tym chyba nic. Co ten Kongres planuje? Wysłać paru silnych marynarzy z kontenerowca, by zaatakowali terrorystów i...

Admirał przerwał. Do kabiny wszedł radiooperator, przynosząc informację dla szefa sztabu. Szef sztabu przeczytał ją i bez uśmiechu spojrzął na Billingsa.

- Mamy raport od SEAL na lądzie - powiedział.

- No i co znaleźli?

- Nic.

Admirał zmrużył oczy, jakby podrażnił je dym.

- Co jeszcze powiedzieli?

- Terrorysty z pewnością tam byli. Sieci maskujące wciąż okrywają zatokę, jak na zdjęciu. Tylko że pod nimi nie ma nic. - Przerwał, jeszcze raz przeczytał meldunek. - To znaczy, znaleźli duży dźwig, ale łodzie terrorystów odpłynęły. Znikły bez śladu. Wokół pełno śladów - resztki jedzenia, kartony, amunicja - ale ludzi nie ma. Wygląda na to, że uciekli w nocy. Komandosi wracają do bazy.

Admirał spojrzął na siedzących przy stole gości.

- No cóż - powiedział cicho - wygląda na to, że nie są tacy głupi. - Zaciśnął wargi. - Mamy coś z „Los Angeles”?

- Nie - odparła Beth i spojrzała na zegarek. - Nawiązują łączność co osiem godzin. Następny meldunek o ósmej.

Billings skinął głową.

- Mam nadzieję, że nie spieprzą sprawy. Jeśli nie dorwiemy tych błaznów, nie mamy po co wracać do domu. - Podniósł do ust kubek kawy i zagłębił się w lekturze

kolumny sportowej gazety lotnikowca „Daily Constitution”. Jego goście jak na komendę wstali i udali się na stanowiska.

Admirał wszedł na mostek jego adiutant jak zwykle rozkazał „Baczność!”, sam admirał jak zwykle rozkazał „Spocznij!” po czym wszyscy wrócili do swoich zajęć. Billings usiadł na skórzanym kapitańskim fotelu umocowanym do pokładu. Jak co rano przyjął od adiutanta kubek kawy oraz najnowsze meldunki. Miał swój ulubiony kubek biały, porcelanowy, z symbolem ostatniego dywizjonu, którym dowodził: flaga Jolly Rogers, czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami, a pod spodem YF-84. Jest coś niezwykłego w dowodzeniu dywizjonem myśliwskim. Nie sposób o tym zapomnieć: wrażenie przynależności, poczucie misji.

Ma mostku było chłodno, mimo iż na zewnątrz temperatura przekroczyła 25 stopni. Billings naciągnął czapkę niżej na czoło i spojrział na jaśniejące niebo. Wzburzone morze było ciemnoniebieskie, niemal fioletowe i sprawiało wrażenie jakby próbowało wyrwać się na wolność spod warstwy pokrywającego je oleju. Chmurki gromadziły siły do walki z bezlitosnym słońcem z nadzieją, że pod wieczór osiągną wiek dorosłych chmur.

Sześć pięter niżej F/A-1 8S uruchomił silniki. Pierwszy start wyznaczony był na siódmą. Kolejny zwykły dzień na USS „Constitution”. Na największym, najszybszym i najpotężniejszym w historii okręcie wojennym.

Porucznik Rick Reynolds, adiutant admirała, właśnie odłożył słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu.

- Panie admirale, dzwonił szef sztabu. Pytał, czy pan admirał ma włączony telewizor.

Billings tylko na niego popatrzył.

- Twierdzi, że gdyby pan admirał zechciał obejrzeć CNN, znalazłby pan tam coś bardzo interesującego.

- No więc włącz go!

- Tak jest, panie admirale.

Reynolds włączył mały odbiornik telewizyjny.

Na mostek weszła Beth. Admirał spojrział na nią i natychmiast powrócił do oglądania telewizji. CNN pojawiło się w pełnym kolorze, dzięki satelitom komunikacyjnym mogli oglądać program na całym świecie. Nie pokazywało jednak zwykłej scenki z Izby Reprezentantów: posła wygłaszającego ognistą przemowę przed niemal pustą salą. Na ekranie widać było tłum potarganych, zaczerwienionych mężczyzn.

- O co chodzi, admirale? - spytała Beth.

- Nie wiem. Dzwonił szef sztabu, powiedział że warto włączyć telewizor. Więc włączyłem.

- Moim zdaniem powinien pan zobaczyć przede wszystkim to - powiedziała, wręczając mu formularz meldunku radiowego.

Admirał przeczytał go natychmiast, kątem oka śledząc, co dzieje się w telewizji. Kiedy oddawał meldunek oficer wywiadu, twarz miała rozjaśnioną.

- Wiemy, gdzie to jest?

- Oczywiście, panie admirale. Przyniosę mapę.

Położyła ją na stole, stojącym przy admirałskim fotelu i wygładziła zagięcia. Sprawdziła podane w meldunku długość i szerokość geograficzną. Admirał zaglądał jej przez ramię.

- Zero stopni trzydzieści minut szerokości północnej i... - chrząknęła, przyglądając się mapie. - Sto czwarty stopień... - narysowała dwie linie, przecinające się na małej wysepce.

- Bunaya? - zdumiał się admirał. - Co tam, do cholery, jest?
- Nic, panie admirale. Wyspa jest niezamieszкана. Jak wiele wysp w Indonezji. Mają ich w sumie siedemnaście tysięcy, a zasiedlili z sześć tysięcy.

Admirał podniósł leżący na stole formularz depešy.

- Dobry pomysł, okręt podwodny zaczajony przy brzegu.

- To chyba to - oznajmił porucznik Reynolds, patrząc w telewizor. - Zaraz się zacznie.

Billings i Beth również skupili swą uwagę na telewizji. Reynolds wzmocnił głos. Na ekranie dziennikarz CNN ścigał przewodniczącego Izby Reprezentantów, którego uwagę, oprócz niego, próbowało zwrócić na siebie ze trzydziestu innych dziennikarzy. Przewodniczący opędał się od nich, nie zwalniając kroku. Kiedy jednak zbliżył się do drzwi swego gabinetu, natychmiast dostrzegł, że dziennikarze zaczęli się także tutaj, i że ma odciętą drogę odwrotu.

- Niech pan nam coś powie! - krzyknęła jakaś dziennikarka wysokim, przenikliwym głosem.

Stanbridge obrócił się i podniósł dłonie w geście poddania.

- Dobrze - powiedział, zerknąwszy na zegarek - możecie zadawać mi pytania przez dziesięć minut. Mamy piętnastominutową przerwę, podczas której muszę załatwić kilka spraw. Zgodzę się jednak pod warunkiem... - przerwał czekając, aż ucichnie hałas - obiecacie, że dacie mi spokój aż do zakończenia obrad, zgoda? - Dziennikarze kiwali głowami, ani przez moment nie zamierzając wywiązać się z tej obietnicy. -

Doskonale. Pierwsze pytanie?

Zadał je stojący najbliżej dziennikarz z telewizji.

- Czy to prawda, że jeśli uda się panu przeprowadzić procedurę w Kongresie, wystawi pan list kaperski grupie lotniskowca „Constitution”, która już znajduje się w regionie?

- Tak właśnie mam zamiar postąpić.

- Czy dysponuje pan wystarczającą liczbą głosów, by zrealizować swój plan?

- Owszem. Kongresmani są gotowi umożliwić Marynarce obronę amerykańskich obywateli, skoro nie chce tego zrobić prezydent

- Czy nie uzurpuje pan sobie władzy prezydenta?

Przewodniczący pokręcił głową i uśmiechał się.

- Nie. Mamy przecież konstytucję, a w niej zapis: „Kongres ma prawo wypowiedzenia wojny oraz wystawiania listów kaperskich”. Ma prawo prowadzenia samodzielnie ograniczonej wojny. Można wręcz powiedzieć, że to prezydenci przez lata uzurpowali sobie prerogatywy Kongresu, na przykład w Panamie, na Grenadzie, w sprawie popierania Contras przeciw sandinistom. Ustawa o Prowadzeniu Wojny powstała z zamiarem uniemożliwienia prezydentowi samodzielnego prowadzenia wojny lub działań zbrojnych. Dysponujemy odpowiednimi możliwościami i mamy zamiar ich użyć. A teraz przepraszam państwa...

- Jak zareaguje na to prezydent?

- Nie wiem. O to musicie zapytać prezydenta.

- O czym rozmawialiście podczas ostatniego...?

- To była prywatna rozmowa. - Stanbridge przerwał, rozejrzał się i zdecydował dokończyć myśl. - Jedno mogę wam powiedzieć, nie rozmawialiśmy o liście kaperskim.

- Nie wspomniał pan o nim prezydentowi? Nie zasięgnął pan jego opinii?

- Zgadza się. - Spojrzał na zegarek. - Prezydent prawdopodobnie właśnie w tej chwili dowiedział się o całej sprawie.

Otworzył drzwi gabinetu i znikł z pola widzenia. Dziennikarze wykonali w tył zwrot, ustawili się przed kamerami i zaczęli własnymi słowami opowiadać o tym, co ludzie przed chwilą widzieli na własne oczy.

Admirał Billings ściszył fonię i spojrzał na Beth.

- Zdumiewające - powiedział. - Chyba nikt nie spodziewał się czegoś podobnego. Jeśli gość miał zamiar mocno potrząsnąć prezydentem, trzeba przyznać, że zabrał się do tego z właściwej strony.

Pierwszy F/A-18 wyrzucony został z pokładu startowego przez katapultę na bakburcie, przechylił się i wykonał skręt oddalający go od statku. Wyrównał na stu pięćdziesięciu metrach. Zegar na mostku wskazywał siódmą zero jeden.

- Rick - powiedział admirał - zorganizuj spotkanie sztabu na ósmą. Powinniśmy porozmawiać o tym liście kaperskim. Poproś, by byli na nim obecni kapitan okrętu i CAG.

- Tak jest!

Reynolds sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Upewnij się, czy komandor porucznik Falls będzie wolny.

Reynolds zabrał się do obdzwaniania kolejnych oficerów sztabowych.

Admirał Billings odetchnął głęboko. Miał wrażenie, że otaczająca go rzeczywistość stała się bardziej rzeczywista i bardziej dotykalna, jak zwykle kiedy podjął ważną decyzję z rodzaju tych, które odróżniają porucznika od admirała.

- Dobrze zrobiliśmy lokując okręt podwodny w zasięgu tych ich motorówek - stwierdził, myśląc już o bezpośrednich problemach taktycznych.

- Tak jest, panie admirale. Świetny pomysł.

- Przecież było to najzupełniej oczywiste. Skoro ukryli łodzie to mieli zamiar użyć ich ponownie. W innym wypadku zatopiliby je, albo ukryli na pokładzie statku-bazy, co z pewnością zrobili teraz. - Podniósł głowę. - Jak się nazywa ta wanna, która przyjęła je na pokład?

Beth sprawdziła w notesie.

- „Sumatran Star” - odparła. - Pływa pod banderą indonezyjską.

- Dokąd popłynęła?

- Bunaya.

- A tak, słusznie, Bunaya.

Admirał wypił łyk zimnej kawy, wzdrygnął się i odstawił kubek. Obserwował startujące w trzydziestosekundowych odstępach samoloty. Słońce stało już nad horyzontem, paląc swymi promieniami wszystkie napotkane po drodze przeszkody.

Admirał podszedł do mapy.

- Nasza obecna pozycja? - rzucił w przestrzeń.

Jego adiutant spojrzał na ekran, wyświetlana była na nim długość i szerokość geograficzna, na której znajdował się okręt.

- Cztery stopnie dziesięć minut szerokości północnej, jeden zero osiem stopni trzydzięci cztery minuty długości wschodniej - podał głośno.

Billings przez chwilę stał nad mapą, nieruchomy. Potem podniósł słuchawkę ciężkiego czerwonego telefonu. Przeczekał rozbieg F-14, startującego na dopalaczach z katapulty numer 1. A gdy usłyszał głos kapitana, powiedział serdecznie:

- Dzień dobry, panie kapitanie. Proszę wziąć kurs na Bunaya.

- Bobby, co tam u ciebie? - Dillon podtrzymał słuchawkę ramieniem przy uchu, niezmordowanie stukając w klawisze komputera.

- Dillon? - spytał Bobby, siedzący przy biurku w trzewiach gmachu Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych.

- A kto?

- Wiesz, zaraz wszystko tu wyleci w powietrze. Na wszystkich kanałach widać twojego szefa albo dyskusję w Kongresie, albo kogoś stojącego gdzieś na Kapitolu i omawiającego tę sprawę. Nie do wiary!

- Ba, dziennikarze nagle zauważyli nawet mnie! Próbują rozmawiać z każdym, kto ich zdaniem wie cokolwiek.

- Więc o co chodzi?

- Chciałem się dowiedzieć, czy dziś wieczorem będziesz u Molly.

Bobby zamilkł na chwilę.

- U Molly? - zdziwił się.

- Na meczu, kretynie! Zapomniałeś, jak się umawialiśmy? Mecze w dni czerwone oglądamy u mnie, w niebieskie u niej, a w zielone u ciebie. Mamy niebieski dzień.

- Rozmawiałeś z nią na ten temat?

- Dlaczego miałbym rozmawiać?

Bobby zawahał się wyraźnie.

- Nie sądzę, żeby ostatnio bardzo cię lubiła - powiedział w końcu. - Chodzi o ten list kaperski. Uważa, że to wszystko przez ciebie.

- Przeze mnie, jasne. I przez tych gości, którzy napisali konstytucję.

- Moim zdaniem to sprawa osobista - mówił dalej Bobby. - Chodzi o wierność własnym przekonaniom. Sądzi chyba, że ty zrezygnowałeś z niej dla polityki.

- Co za bzdura! - Dillon nagle wyprostował się w fotelu. - Od kiedy to się u niej zaczęło?

- Od listu.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, co to właściwie jest. Nigdy przedtem nie słyszałem o liście kaperskim. Przyjrzałem mu się z bliska i... jakby to powiedzieć... sprawy potoczyły się własnym torem.

- W każdym razie ona uważa, że to był twój pomysł.

- Bracie - westchnął Dillon - jedno ci powiem, nie mam zamiaru rezygnować z meczu. Idziesz do niej czy nie?

Bobby westchnął.

- Dasz radę się wyrwać? - spytał.

- Jasne - Dillon wzruszył ramionami, co nie było osiągnięciem błahym, jako że prawym przyciskał do ucha słuchawkę. - Zrobiłem już, co musiałem zrobić. Wyrwę się stąd, przynajmniej na parę godzin. I tak wrócę pracować do rana.

- O której zaczyna się mecz?

- Wpół do ósmej. Pojadę metrem, na miejscu będę jakieś dziesięć po.

- Dobra, niech będzie. Do zobaczenia.

Czekali na progu mieszkania Molly w nadziei, że jednak im otworzy, choć okna były ciemne, a zaparkowany zazwyczaj pod domem samochód znikł.

Bobby spojrział na Dillona.

- Zadzwońeś do niej, nim wybraliśmy się w tę cholerną podróż?

- Nawet nie pomyślałem, że wystawi nas do wiatru. W każdym razie mogę zostać tylko połowę meczu. Potem muszę wracać na Wzgórze.

W panujących wokół egipskich ciemnościach odczytał godzinę z zegarka kwarcowego.

Bobby przestępował z nogi na nogę, próbując się jakoś ogrzać.

- Mam wrażenie, że Sąd Najwyższy to jedyny organ rządowy, który ostatnio nie pracuje po nocach. Miła odmiana.

- To się może zmienić.

- O co ci chodzi?

- Po prostu mam takie przeczucie.

Bobby uderzył pięścią w drzwi, po czym zerknął w okna sprawdzając, czy w którymś nie pojawiło się światło. Nie pojawiło się.

- Nie ma jej - powiedział po chwili wystarczającej, by Molly zareagowała jakoś, gdyby w ogóle była w domu. - Potwierdza pan moją opinię, mecenasie?

- Potwierdzam pańską opinię.

- Po cholere mnie tu ciągnąłeś, skoro nie pofatygowałeś się nawet do niej zadzwonić?

Bobby był autentycznie wściekły. Dillon rozejrzał się dookoła.

- Dlaczego nie mielibyśmy wskoczyć do „Niedźwiedzia”? - przerwał zale przyjaciela.

- Do pubu? A po co?

- Pokazują każdy mecz ligi uniwersyteckiej. Chodzą tam absolwenci z uczelni, których reprezentacje akurat grają. Zabawimy się trochę. Co ty na to?

- Jesteś pewien, że nie musisz być gdzie indziej? Na przykład sprawdzać jakiś przepis o Marynarce, który ułatwi twojemu szefowi zrobienie następnego kroku?

- Idziesz czy nie?

- Jasne, idę.

Obrócili się i zeszli z ganku.

Pub był mroczny i ciepły. Główną salę ogrzewał wesoło trzaskający w kominku ogień. Klienci skupili całą swą uwagę na wiszącym u sufitu w najdalszym od wejścia kącie telewizorze i przekazywanym przez telewizję meczu. Dillon wybrał stolik przy kominku, ale z dobrym widokiem na telewizor.

Dillon uśmiechnął się.

- Nad czym pracujesz?

- Nad kilkoma naprawdę fascynującymi sprawami. Jurysdykcja *in personam* wobec firmy zagranicznej poprzez należącej do niej w całości oddział amerykański, no i czy Indianie mogą uprawiać hazard w rezerwacie, mimo iż władze stanowe sobie tego nie życzą.

- Bawi cię to?

Dillon skinął na kelnerkę.

- Przeważnie tak. Może uderzyć do głowy: pisanie opinii, które po podpisaniu przez sędziego stają się najwyższym prawem kraju. Czasami sędziowie zmieniają prawie wszystko, czasami nie zmieniają ani przecinka. Trochę jest to wszystko przerażające.

- Dwa ciemne Bass - zamówił Dillon.

- Jest dokładnie tak jak zawsze powtarzałem - tłumaczył mu dalej Bobby. - Ameryką rządzą ludzie poniżej trzydziestki. My odwalamy całą robotę, a starszki sobie przypisują wszystkie zasługi.

Dillon uśmiechnął się.

- Jesteśmy tego żywym dowodem - przyznał. - Ty dyktujesz prezesowi Sądu Najwyższego co ma zrobić, ja dyktuję, co ma zrobić przewodniczący Izby Reprezentantów, a Molly dyktuje postępowanie prezydentowi. - Przerwał i spojrzał na przyjaciela. - Rzeczywiście, lekko to przerażające.

Kelnerka przyniosła im ciemne piwo. Jim Dillon zapłacił jej i nie wziął reszty. Sędzia wyrzucił piłkę, rozpoczynając mecz Wirginii z Clemenson.

- Więc twoim zdaniem Molly rzeczywiście jest na mnie wściekła? - spytał.

- Można to tak określić. Moim zdaniem sam ją sprowokowałeś. Pewnie w tej właśnie chwili pracuje nad tym, jak ci zaszkodzić. Założę się, że właśnie dlatego nie było jej w domu. To zupełnie jak na uniwerku, kiedy po pierwszym semestrze miałeś oceny lepsze od nas. Pamiętasz?

Jim skinął głową i skrzywił się.

- Popatrzyła wtedy na ciebie tym swoim spojrzeniem i powiedziała: „To się zdarzyło po raz ostatni”. Potem w każdym kolejnym semestrze próbowała zrównać cię z ziemią. Mówiła, że to taka przyjacielska konkurencja. - Bobby roześmiał się. - Dziewczyna ma motywację, nie zapomnij o tym.

Dillon postanowił zmienić temat.

- Jak myślisz, co będzie kiedy ten list trafi przed oblicze Sądu Najwyższego? - spytał pociągając łyk piwa i udając bez troskę.

Bobby, całkowicie zaabsorbowany meczem, rzucił mu zdumione spojrzenie, a jego zazwyczaj pogodna twarz wyraźnie spochmurniała.

- Dlaczego mnie o to pytasz?

- Po prostu jestem ciekawy.

- Lepiej nie...

Bobby niespokojnie poruszył się w krześle.

- A dlaczego nie? - spytał Dillon, nie patrząc mu jednak w oczy. - Nie zajmujesz się tą sprawą i pewnie nawet nie będziesz zajmował. Interesuje mnie, czy w ogóle o niej myślałeś?

Bobby nie odpowiedział, ale atmosfera między nimi nagle się ochłodziła. Nie odrywając oczu od telewizora odpowiedział w końcu:

- Nie sędzę, by chodziło ci wyłącznie o to. Moim zdaniem chciałeś dowiedzieć się co myślę i jaką opinię przedstawię moim szefom, jeśli w ogóle dojdzie do przedstawiania opinii. - Spojrzał Jimowi wprost w oczy. - Powiedziałeś, że masz w tej sprawie jakieś „przecucia”. Tak naprawdę nie spodziewałeś się, że Molly będzie w domu, prawda?

- Ależ skąd! Myślisz, że jechałbym do niej przez całe miasto, gdybym nie spodziewał się jej zastać?

Dillon czuł na sobie palące spojrzenie przyjaciela. W końcu spojrzał mu w oczy, ale Bobby milczał.

- O co ci chodzi? - spytał.

- Przecież wiesz. Ty tylko udawałeś. Zadzwońeś do mnie, ale nie do niej. Dlaczego? Spotkaliśmy się na jej progu, tylko we dwóch, więc zaproponowałeś, żebyśmy pojechali do tego miłego pubu, w którym podają angielskie piwo, a teraz wypytujesz mnie, co Sąd Najwyższy ma zamiar zrobić w być może najważniejszej od pięćdziesięciu lat sprawie...

- Nie ma żadnej sprawy! Myślałem, że już to zrozumiałeś. Jak możesz oskarżać mnie o to, że cię wystawiłem. - Jim Dillon tylko pokręcił głową. - Cholerna sprawa, ludzie przez nią szaleją. Przecież mnie znasz. Przecież wiesz, że gdybym chciał wyrzucić na ciebie jakiś wpływ, powiedziałbym ci o tym od razu. Nie zapraszałbym cię w tym celu do pubu, nie poił piwem, nie ciągnął za język. O rany, Bob!

Bobby zmiękł. Nie był pewien, czy nie wyciągnął zbyt pochopnych wniosków z rozmowy.

- Racja, przepraszam. Cholernie to wszystkich zdenerwowało. To nie kolejna polityczna debata, lecz coś, co może zmienić system rządów. - Rozejrzał się dookoła. - Nawet świat - dodał.

Dillon skinął głową.

- Ja tylko próbuję dobrze wykonać swoją robotę - powiedział. - Badalem wszystkie możliwości, aż ledwie trzymam się na nogach, ale praktycznie nic za tym nie stoi. Myślałem, że może... jeśli przyjrzałeś się problemowi... jeśli wiesz, że istnieje jakaś srebrna kula, którą można nas ustrzelić, coś, co dowodzi, że popełniliśmy jakiś poważny błąd, to miło byłoby dowiedzieć się o tym teraz. By zapobiec możliwym konsekwencjom jeśli Kongres - zerknął na zegarek - przegłosuje sprawę listu jeszcze dziś. No więc powiedz mi, czy wiesz o czymś, co dowodziłoby, że się mylimy? Że nie powinniśmy nawet dyskutować o tej sprawie?

Bobby zakręcił resztką piwa w wysokiej szklance. Niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w telewizor. Wypił piwo i odstawił szklankę. Wreszcie zmusił się, by spojrzeć w twarz Jima Dillona, starego przyjaciela, przywódcę ich grupy w szkole prawniczej, człowieka do pewnego stopnia odpowiedzialnego za to, że jego własne oceny doprowadziły do opublikowania jego nazwiska w „Virginia Law Review”, a to otworzyło mu drogę do kariery i umożliwiło zajęcie stanowiska, które zajmował teraz. Przyglądał mu się, doskonale wiedząc, że ich przyjaźń przechodzi w tej chwili prawdziwą próbę i mając nadzieję, że więcej tych prób nie będzie. Spojrzał mu w oczy i powoli pokręcił głową, głęboko rozczarowany. Nie wypowiadając ani słowa wstał, rzucił na stół banknot i ruszył w stronę wyjścia z pubu. Zatrzymał się jednak natychmiast, gdy zamiast meczu koszykówki na ekranie telewizora pojawiła się zapowiedź wiadomości. Prezenter wyglądał wyjątkowo poważnie. Bobby nie słyszał jego głosu, podobnie jak reszta gości.

- Dajcie głośniej! - krzyknął ktoś.

Bobby wrócił do stolika, przy którym siedział Dillon. Razem obserwowali amatorski film, nakręcony z całą pewnością gdzieś, w tropikalnej dżungli. Widzieli zbliżenie kamery na twarz kapitana Claya Bonhama, zawieszzonego za łokcie na bambusowym pręcie tak, że nogi zwisały mu tuż nad ziemią. Na jego twarzy, spuchniętej od bicia, pokrytej sińcami i strupami, bardzo wyraźnie malował się ból.

- Wy, Amerykanie, nic się nie uczycie - powiedział głos zza kadru. - Myślicie my głupi. Próbowaliście zejść na ląd, złapać nas na wyspie. Wasze samoloty latały nad wyspą. Marynarka nie odpłynęła z Morza Jawajskiego. Nie spełniliście naszych żądań.

Bonham jęknął.

- Marynarka ma odpłynąć! Już! - rozkazał głos.

Na ekranie pojawił się mężczyzna i uderzył Bonhama w głowę bambusowym prętem. Na tym film się skończył.

- Widziałeś, co te skurwysyny...? - spytał Dillona Bobby.

- Nie wierzę własnym oczom!

Dillon poderwał się na równe nogi.

- Ja w każdym razie wychodzę. Odezwę się później.

Dillon obserwował przyjaciela wychodzącego z pubu. Potem próbował jeszcze oglądać mecz, ale po kilku minutach zorientował się że nie wie nawet, kto prowadzi. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia

Admirał Billings pozostał na mostku przez cały dzień. Samoloty startowały i lądowały, wykonując rutynowe misje: obserwacje oceanu, wojna elektroniczna, ćwiczenia w bombardowaniu, ataki celów naziemnych. Ćwiczenia te miały jeden cel: utrzymanie zdolności grupy bojowej do znalezienia i zniszczenia wszystkiego, co znajdzie się w zasięgu.

Dosłownie wszystkiego.

Przez ostatnie kilka lat Billings, jak wszyscy chyba admirałowie, miał wrażenie, że jest piłą mechaniczną w zawodach w rzeźbieniu w drewnie. Narzędzie skuteczne, ale chyba nie w tej sytuacji. Nie w tym rzecz, by grupy bojowe lotniskowców nie miały już żadnej roli do odegrania, wręcz przeciwnie, stawały się one coraz bardziej przydatne. Tyle że politycy nie bardzo chyba wiedzieli, co z nimi zrobić.

Bunaya zapowiadała się jednak zupełnie inaczej. Billings z wysiłkiem powstrzymał uśmiech. Samotna wysepka, a na niej źli faceci nie mający dokąd uciec. Dysponując samolotami z lotniskowca oraz marines i SEAL na amfibiach, mógł poradzić sobie z każdym zagrożeniem. Dosłownie każdym, z wyjątkiem może ukrytej w dżungli dywizji pancerniej, a i z tą pewnie dałby sobie radę, gdyby tylko miał nieco więcej czasu.

Dziób płynącego na zachód lotniskowca ciął ciemne fale morza. Słońce świeciło wprost w twarz Billingsa, pilnie śledzącego postępy okrętu. Wiatr wiał z prędkością zaledwie pięciu węzłów, lotniskowiec musiał więc płynąć z szybkością dwudziestu pięciu węzłów, umożliwiającą bezpiecznie lądowanie samolotom, co nie było dla niego większym problemem jako że USS „Constitution” należał do najszybszych okrętów Marynarki. Być może był nawet najszybszym teraz, gdy „Pacific Flyer” spoczywał na dnie Morza Jawajskiego. Admirał spojrzął na północ, na krążownik atomowy i na południe, na dieslowski niszczyciel. Oba bez problemu dotrzymywały kroku jego jednostce. Uwielbiał rejsy i widok szarych statków unoszących się na falach oceanu.

Rozsiadł się w fotelu. Daszek baseballowej czapki nasunął na oczy, chroniąc je przed promieniami słońca.

Na mostek wbiegła komandor Beth Griffith.

- Mamy kilka interesujących wiadomości - oznajmiła, zdyszana.

- Jakich?

Beth zerknęła na formularz depezy, który trzymała w ręku.

- Naszym kanałem informacyjnym - oznajmiła, rozglądając się dookoła - powiadomiono nas, że być może ci indonezyjscy terroryści nie są tymi, za kogo się podają.

Billings zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem. Prosiłbym o wyjaśnienia po angielsku.

- Twierdzą, że reprezentują Islamski Front Indonezji - Beth założyła za ucho kosmyk włosów i ale nikt nigdy nie słyszał o tej grupie, nawet Indonezyjczycy, a to dziwne, bo chyba powinni znać przynajmniej tych, którzy sprawiają im kłopoty. No i, jak się okazuje znają, tyle że nasi chłopcy do nich nie należą. Pierwszy otrzymany przez nas meldunek wywiadu sugerował związki z Iranem. Iran miał ich szkolić i dozbrajać, w imię islamskiego braterstwa, przybliżenia światowej rewolucji oraz w imię islamskiej solidarności. Teoria niezła, tyle że nie trzyma się kupy. Iran obserwujemy niczym jastrzębie i to od dłuższego czasu. Wiemy, gdzie próbuje zamieszać. Mają kontakty z niektórymi fundamentalistami w Dżakarcie, ale terroryści, którzy napadli na „Pacific Flyera”, najwyraźniej do nich nie należą. Indonezyjczycy sami to potwierdzili.

Billings wstał i rozpoczął swój zwyczajowy spacer po mostku. Na dziób, zwrot, i na rufę. Zatrzymał się nagle.

- A więc nie są to islamscy fundamentaliści? - upewnił się.

- Naszym zdaniem nie.

Beth pokręciła głową.

- No to dlaczego się za nich podają?

- Nie wiem... - Beth zawiesiła głos.

- Ilekroć tak znacząco milkniesz, zawsze masz coś do powiedzenia. No to mów!

- Nie chcę snuć przypuszczeń...

- Ależ przypuszczaj, przypuszczaj. To doskonały trening w myśleniu. No, dalej!

- Moim zdaniem - Beth nadal nie była całkiem pewna, czy powinna mówić szczerze - oni używają tej islamskiej zasłony, żeby nas postraszyć. Wiedzą, jak gwałtownie reagujemy na określenie „islamski fundamentalizm”. Jesteśmy przygotowani do działań przeciw islamskim fundamentalistom, niejako automatycznie im przede wszystkim przypisujemy akty terroru. - To jak... - myślała przez chwilę - ...jak domyślna opcja w programach komputerowych. Jeśli tylko nie wiemy na pewno, co kto zrobił, natychmiast zakładamy, że winni są islamscy fundamentaliści. Jesteśmy skłonni przypisać im dosłownie wszystko. To stereotyp.

- Więc?

- No więc skoro nasi terroryści przyznali się do islamskiego fundamentalizmu, natychmiast im uwierzyliśmy. Nikt nie przyzna się przecież do islamskiego fundamentalizmu dla żartu, tak jak nikt nie przyzna się dla żartu, że jest trędowaty...

- I?

- I nie szuka się dalej.

Billings spojrzał jej w oczy, próbując odczytać na ile pewna jest tego, co mówi.

- No więc kim naprawdę są? - spytał po chwili milczenia.

- Nie wiem. Stwierdzam tylko, że nie są fundamentalistami.

- No cóż, niewiele nam to pomoże.

- Tak jest, panie admirale. Ja tylko chciałam uzupełnić ją o własne wnioski, niezależnie od tego, ile są warte.

- Obawiam się, że niewiele albo jeszcze mniej. Gdybym był złośliwy, powiedziałbym, że nic,

- Tak jest, panie admirale. Przepraszam.

- Dowiedz się, kim rzeczywiście są i czego, do jasnej cholery, chcą naprawdę. Zamordowali ludzi i zełgali motyw. Coś w tym musi być.

- Tak jest.

Beth obróciła się do wyjścia.

- Chcę mieć nad Bunaya wszystko, co mogą mi dać. Zdjęcia i obraz komputerowy z satelity. Musimy wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

- Tak jest, panie admirale... ale przecież prezydent powiedział, że mamy ich nie zaczepiać.

- Owszem, do kamery. Poczekaj, a zobaczysz. - Admirał sprawiał wrażenie bardzo pewnego siebie. - Założę się, że rozpoczniemy akcję w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. Ty i oficer operacyjny macie przygotować listę wszystkiego, czym dysponujemy na tym terenie: Siły Powietrzne, Marynarka, w ogóle wszystko.

- Tak jest, panie admirale. Nie zaszkodzi być przygotowanym na każdą ewentualność.

Billings tymczasem wybiegał myślą w przód, planował przyszłe posunięcia; w końcu za to mu płacono.

- Przygotujcie także analizy taktyczne plaży, wytypujcie lądowiska dla helikopterów, tego rodzaju rzeczy. - Na moment oderwał wzrok od pokładu startowego. - Co wywiad wie o tej wyspie?

- Szczerze mówiąc, panie admirale, bardzo niewiele. Nie spodziewam się rewelacji, w końcu ta wyspa leży na uboczu, a w dodatku jest niezamieszkała, więc po co ją fotografować? I tak mieliśmy sporo do roboty...

- Coś jeszcze? - przerwał jej Billings.

- Na razie nie, panie admirale. Sprawdź, co jeszcze wiemy.

- To mi nie wystarczy - stwierdził zirytowany admirał. - Połącz się przez sieć z wszystkimi jajogłowymi z wywiadu. W Waszyngtonie, czy gdziekolwiek indziej. Z pracownikami ambasady w Dżakarcie, kimkolwiek kto może wiedzieć cokolwiek. Liczą się fakty, nagie fakty, a nie interpretacje i omówienia. Musimy wiedzieć, z kim mamy do czynienia. - W tym momencie na mostku pojawił się komandor Black. - Wiecie coś nowego?

- Owszem, panie admirale - odparł Black. - Właśnie dostaliśmy raport z jednego z naszych EA-6B. Przelecieli blisko Bunaya i złapali namiar radaru kontroli ognia. - Oznaczało to, że jeden z samolotów obserwacyjnych wyposażonych w superczułe urządzenia elektroniczne złapał sygnał radaru mającego jedno zadanie: kierowanie pociskiem raketowym lub wspomaganie artylerii przeciwlotniczej.

Komandor Beth Griffith zaczerwieniła się ze wstydu. Ta jakże istotna informacja dotarła do dowódcy bez pośrednictwa wywiadu, bez dokonanej przezeń analizy, bez sprawdzenia.

- Radar znajdował się na wyspie?

Na pomarszczonej twarzy admirała pojawił się wyraz z troskaniem.

- Nie są tego stuprocentowo pewni. Tam jest mnóstwo wysp. Trudno powiedzieć coś na pewno, ale ich zdaniem był właśnie tam.

- Jaki rodzaj kontroli ognia?

- I tu mamy problem. Nie byli w stanie określić typu. Zakres częstotliwości charakterystyczny dla kontroli ognia, ale nic więcej nie wiadomo.

- Co o tym sądzisz, Beth?

Komandor pogrążyła się w myślach.

- Naprawdę nie wiem, co o tym wszystkim sądzić, panie admirale - przyznała. - Czyżby ci terroryści, kimkolwiek są, mieli rakiety ziemia-powietrze lub baterie dział przeciwlotniczych? Trudno to sobie wyobrazić.

Billings spojrział w morze, a potem obrócił wzrok na swoich ludzi.

- Jakimi rodzajami rakiet przeciwlotniczych dysponuje Indonezja?

Griffith zaczerwieniła się, uświadamiając sobie nagle i boleśnie, że powinna przewidzieć to pytanie.

- Nie wiem, panie admirale - przyznała słabym głosem - zaraz sprawdzę.

Billings spojrział na nią z dezaprobatą.

- Powinnaś znać na wrywki stan sił wojskowych wszystkich krajów w promieniu tysiąca pięciuset kilometrów.

- Wiem, panie admirale. Skupiłam się na krajach potencjalnie wrogich... - umilkła, widząc wyraz twarzy dowódcy.

Admirał odwrócił się plecami do nich, patrząc przez szyby mostku.

- Lepiej niech wszyscy pilnie odrabiają pracę domową - powiedział, nie odwracając się. - Być może w ciągu dwudziestu czterech godzin wysadzimy desant na brzeg. Chcę wiedzieć, do cholery, kogo mamy przeciwko sobie i kto pomaga terrorystom... jeśli ktoś im w ogóle pomaga. - Obrócił się i spojrział im prosto w oczy. - Czy nie wymagam od was za wiele?

- Nie, panie admirale - odpowiedzieli jednocześnie Griffith i Black.

- Oboje zrobiliście sobie wakacje, ponieważ usłyszeliście prezydenta, który stwierdził, że nie mamy zamiaru reagować. Mówię wam, że to było tylko takie gadanie pod publiczność. Moim zdaniem już wkrótce ruszymy za tymi facetami. Nie sądzę, byśmy mieli dopuścić do tego, aby się oddalili. - Uśmiechnął się, co pogłębiło zmarszczki w kącikach jego oczu. - Albo zadziała podpucha prezydenta albo, jeśli nie była do podpucha, Kongres zmusi go do działania.

Milczał przez chwilę.

- Bill, wyślij wiadomość do reszty grupy bojowej. Do piętnastej zero zero chcę mieć plan misji rekonesansowej, a do zachodu słońca plan ataku. Być może będziemy musieli się śpieszyć, żeby nam znowu nie uciekli. Mieliśmy szczęście, że odszukaliśmy ich tak szybko. Następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia.

- Tak jest, panie admirale. Jak wielką siłę zamierza pan posłać na ląd? - spytał Black

Billings spojrzał na niego zirytowany. Poprawił czapkę, nasuwając ją na głowę, jakby zakładał hełm

- Na twoim miejscu zapowiedziałbym marines, by wszyscy byli gotowi do ataku. Całe półtora tysiąca.

- Tak jest, panie admirale.

- Bunaya? - spytał zdumiony porucznik Jody Armstrong, patrząc na Tylera Lawsona. - Gdzie to jest, do jasnej cholery?

- Nie mam zielonego pojęcia - odparł Lawson. - Tu mam długość i szerokość geograficzną - dodał, wskazując na leżącą przed nim mapę. - Podobno to gdzieś niedaleko Singapuru.

- Jak sądzisz, o co tym gościom chodzi?

Pochylili się nad mapą, samotni w sali planowania operacji USS „Wasp”, płynącego na zachód wraz z resztą grupy bojowej. Obaj nigdy przedtem nie słyszeli o tej wyspie i nic dziwnego, przed rejssem na Południowy Pacyfik nie poświęcili nawet jednej myśli Indonezji. Ani Armstrong, ani Lawson nie pasjonowali się polityką lub religią krajów, w których portach cumował ich okręt. Dawno temu zrezygnowali z zadawania pytań dowódcom wojskowym, którzy wyznaczali im misje i przywódcom politycznym, którzy wyznaczali cele. Na takie pytania nie dostawało się na ogół odpowiedzi, a wątpliwości jedynie wydłużały czas reakcji. Teraz robili to, co kazano im robić.

Armstronga nie przestało irytować fiasko dwóch poprzednich misji. Najpierw utracił „Pacific Flyera”, a potem jak głupi włóczył się po niezamieszkanym wyspie na próżno szukając terrorystów. Pochylił się i wpatrzył w mapę. Bunaya przedstawiona była na niej w najdrobniejszych szczegółach, łącznie z poziomem terenu i gęstością dżungli. Wydawała się przeciętna dla tego regionu, płaska, pozbawiona wzniesień powyżej stu pięćdziesięciu metrów, gęsto zarośnięta. Podczas służby w Marynarce widział ich wiele, suchych i upalnych na plaży, wilgotnych i upalnych w środku. Ta nie miała właściwie plaży, ale nie było to przecież nic wyjątkowego.

- Nie wydaje się szczególnie duża - zauważył.

Lawson zajrzał mu przez ramię, a potem spojrzał w oczy.

- Zła wiadomość brzmi, że nie wiemy nic o jej brzegu. Nie znaleźliśmy nikogo, kto by kiedyś postawił na niej nogę, nie mamy zdjęć i obrazów z satelity.

- Więc jak mamy to zrobić?

- Z marszu.

- Niech zgadnę... misja nocna?

Armstrong kpiąco uniósł brwi. Lawson uśmiechnął się do niego znacząco.

- Tylko jeśli będziemy mieli szczęście.

- Naprawdę myślisz, że admirał Billings wyśle tam nocą nas biedaków, nie mających pojęcia, jak wygląda linia brzegowa?

- Jasne, że tak.

- Chyba na moment zgłupiałem. - Armstrong wyprostował się i przeciągnął. Potężne mięśnie napięły cienki materiał koszuli. - Rzeczywiście, nie powinniśmy mieć żadnych problemów. Ilu było tych terrorystów na pokładzie „Pacific Flyera”? Zaledwie trzydziestu czy coś koło tego?

Lawson zmarszczył brwi.

- Owszem, coś koło tego, ale nie wiemy przecież, czy po wejściu na pokład macierzystej jednostki nie spotkali się z przyjaciółmi.

- Słusznie. Powiedzmy, że będzie ich trzydziestu do czterdziestu. Poradzimy sobie nawet jednym oddziałem, jeśli zaatakujemy z zaskoczenia.

Lawson lekko się zaniepokoił.

- Niczego nie zakładaj z góry - poradził. - Faceci mogą być bardzo dobrze wyszkoleni. Przecież doskonale wiesz, jak to jest: nie zakładaj, że jesteś taki dobry jak ci się wydaje i nie zakładaj, że przeciwnik jest taki zły jak ci się wydaje.

- Niczego nie zakładam. Twierdzę, że powinniśmy sobie z tym poradzić bez większych kłopotów.

- Gdybyśmy tylko wiedzieli z jakim „tym” mamy do czynienia - westchnął Lawson.

Admirał Billings siedział za biurkiem w swej kabinie niedaleko mostku. Każdego dnia czytał w niej Szekspira. Nikt z załogi nie znał jego hobby. Ludzie wiedzieli tylko, że codziennie po południu spędza w samotności pół godziny. Chodziły plotki, że jest fanatykiem religijnym i pogrąża się w lekturze Biblii, jednak ukrywa to przed wszystkimi. Ale przecież kłął; co nie bardzo pasowało do wizerunku bogobojnego męża. Być może był jednym ze zwariowanych fanatyków religijnych jak Patton, który Biblię czytał codziennie, a kłął jak marynarz.

Admirałowi takie opinie nie przeszkadzały. Był zdania, że lepiej by ludzie domyślali się, iż czyta Biblię, niż dowiedzieli się, że czyta Szekspira. Tego nie byliby już w stanie pojąć. O co by go wówczas oskarżyli i o szekspirowski fundamentalizm?

Sz szczególnie ukochał sonety. Wracał do nich codziennie: minimum trzy i fragment którejś ze sztuk. Te ostatnie zdarzało mu się czytać głośno. Zmieniał wówczas głos dla każdej postaci i wywoływał kolejną falę plotek wśród załogi. Twierdzono, że rozmawia sam ze sobą, ale nikt nie wiedział, na jaki temat.

W jego domu, na półce, stały szeregiem oprawne w czarną skórę wydania Szekspira, na morze zabierał jednak jednotomowe wydanie jego dzieł zebranych, mocno zniszczone, o kartkach tak przesiąkniętych morskim powietrzem, że wydawały się wilgotne w dotyku. Tę książkę miał zawsze przy sobie od czasu, gdy jako komandor porucznik dywizjonu zabrał się za Szekspira, by uciec przed dowódcą, wściekłym, wrzaskliwym, wiecznie zapienionym szaleńcem. Wszyscy oficerowie dywizjonu unikali go, każdy na swój sposób. Niektórzy oglądali każdy dostępny na statku film po dziesięć razy. Inni pracowali ciężiej, lepiej przy tym poznając żołnierzy, którymi przyszło im dowodzić. Billings pracował bardzo ciężko, a jednak zdołał wyrobić sobie także zamiłowanie do Szekspira, bez którego dziś nie potrafił się już obejść.

Siedział zgarbiony za biurkiem. Na nosie miał okulary, których nienawidził, a jednak znosił je, bo ułatwiały mu kontakt z pięknym językiem i głęboką mądrością ukochanego dramaturga. Dziś pogrążył się w lekturze „Henryka IV”, swej ulubionej tragedii. Czytając poruszał ustami, formując kolejne słowa i rozkoszując się nimi, ale nie wypowiadając ich głośno. Nagle obudził się wewnętrzny system komunikacyjny

statku, umieszczony w kącie kabiny. Po zmianie tonacji elektronicznego sygnału poznał, że włączono go na mostku. Odczekał zwyczajowe dwie sekundy, po których bosman wachtowy ośmiokrotnie uderzył dzwonek małym młoteczką. Popołudniowa zmiana wachty. Osiem szklanek, cztery razy po dwie. W tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

Billings westchnął, zdjął okulary, włożył zakładkę między kartki książki, samą zaś książkę schował do szuflady.

- Wejść - powiedział.

W jego głosie zabrzmiał wyraźny ton irytacji. Do kabiny weszła Beth Griffith.

- Przepraszam, panie admirale i powiedziała - ale czy włączył pan telewizor?

Rozejrzała się z nadzieją, że odkryje tajemnicę dowódcy, lecz on tylko siedział za biurkiem, na którego blacie nie było nic.

- Nie.

- Zaraz to zrobią.

Billings wstał i założył kurtkę lotniczą. Na zewnątrz panował nieznośny upał, pokłady jednak skutecznie chłodziła klimatyzacja.

- Kto robi i co?

- Izba Reprezentantów i Senat będą zaraz głosować w sprawie listu kaperskiego. Panuje przekonanie, że uchwała przejdzie.

Podczas długiej nocnej debaty ci, którzy sprzeciwiali się wystawieniu listu kaperskiego, powoli tracili panowanie nad sobą. Oskarżali przewodniczącego o przeróżne zbrodnie: zdradę, zawłaszczenie władzy prezydenckiej, nieuczciwość, działanie niezgodne z konstytucją i w ogóle bezprawne. Zwolennicy wystawienia listu skorzystali z kolei z okazji, by zarzucić prezydentowi tchórzostwo, zachęcanie terrorystów do podejmowania kolejnych akcji oraz generalną niemożność podjęcia decyzji.

Stanbridge nikogo o nic nie oskarżał. Powtarzał tylko raz za razem, że coś przecież trzeba zrobić, i że wystawienie listu kaperskiego to dobre wyjście z sytuacji. Podkreślał, że sprawa jest w gruncie rzeczy bardzo prosta. Kongres miał tę władzę zagwarantowaną konstytucją, korzystał z niej w przeszłości i może skorzystać współcześnie. Nic nie przemawiało za tym, że nie może, a wiele, że z niej skorzysta. Jedyną kwestią, z jego punktu widzenia wątpliwą, było wystawienie listu kaperskiego okrętowi Marynarki, a nie jednostce prywatnej i chociaż historia umożliwiała taką interpretację przepisu, on sam przyznawał, że jest to interpretacja mocno naciągana. Jego zdaniem nie było w tym jednak nic nagannego. Przez całą swą polityczną karierę obserwował opozycję zniekształcającą i degradującą konstytucję, aż sam dokument i zawarte w nim twierdzenia przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie, służąc wyłącznie za podstawę do manifestacji wyznawanej przez sędziów polityki. Dziewięciu mianowanych urzędników miało nad konstytucją władzę absolutną. Nadszedł wreszcie czas, by zinterpretować ją tak, jak to się podoba jemu samemu.

Nocne obrady potoczyły się lepiej i sprawniej niż oczekiwał. Mowa prezydenta dodała energii zdeklarowanym zwolennikom Stanbridge'a i sprawiła, że wystąpienia przeciwników akcji wojskowej brzmiały żałośnie nieprzekonywająco. Nie dysponowali oni żadnymi argumentami, powtarzali tylko, że należy przerwać „krąg przemocy”. Po kilku zaledwie powtórzeniach sformułowanie to wytarto się do cna i zaczęło brzmieć niczym nieudolne usprawiedliwienie. Nikt albo prawie nikt nie brał go sobie do serca.

W miarę, jak sesja trwała i robiło się coraz później, prasa przestawała powoli fascynować się sprawą, a tempo obrad osłabło. Ludzie Stanbridge'a zbierali informacje o tym, kto i jak zamierza głosować. O trzeciej nad ranem, podczas gdy członkowie Izby spali na swoich miejscach, a kilku nawet w przejściach między

rzędami, stało się jasne, że uchwała o wystawieniu listu kaperskiego powinna przejść bez problemu. Pete Peterson przekazał podobną informację z obrad Senatu. Nadszedł czas na głosowanie.

John Stanbridge wstał z fotela przewodniczącego, odbierając głos ostatniemu z przemawiających republikanów; wystarczyło jedno groźne spojrzenie, by spokojnie wrócił on na swoje miejsce. Następnie przyjrzał się członkom Izby Reprezentantów, dostrzegając w ich twarzach gniew, podniecenie, zmęczenie, niepewność i nawet strach. Uderzył młotkiem w kawałek drewna gestem, który był mu znajomy od dawna. W panującej w Izbie ciszy trzask zabrzmiał niczym strzał.

- Nadszedł czas głosowania nad wnioskiem - powiedział donośnym głosem. - Nadszedł czas, by każdy z nas wstał i pokazał swym wyborcom, jaką podejmuje decyzję. Zarządzam niniejszym głosowanie imienne z listy tak, by było wiadomo, kto podjął jaką decyzję. Sekretarza Izby proszę o podawanie nazwisk.

Sekretarz rozpoczął odczytywanie nazwisk; każdy wywołany przez niego członek izby głosował elektronicznie. Nikt się nie poruszył, nikt nie przerwał ciszy. Po pierwszej setce było już jasne, że uchwała przejdzie przewagą trzy do dwóch. Po drugiej setce przewaga wynosiła siedem do trzech. Ostatecznie okazało się, że na czterystu trzydziestu pięciu członków Izby Reprezentantów trzystu dwóch głosował za wystawieniem listu kaperskiego grupie bojowej USS „Constitution”. W Senacie proporcje były niemal identyczne. Stanbridge uniósł wzrok. Siedzący na balkonie dziennikarze wybiegali na korytarz, gdzie mogli użyć telefonów komórkowych. Zadzwoił też telefon na stole prezydyjnym: Pete Peterson potwierdził wynik głosowania senackiego. Ponieważ brzmienie przegłosowanego w obu przypadkach dokumentu było identyczne, problem uzgodnienia tekstu uchwał nie istniał.

- Panie i panowie, członkowie Izby, mam zaszczyt poinformować was, że Izba Reprezentantów i Senat Stanów Zjednoczonych przytłaczającą większością głosów powzięły decyzję o wystawieniu listu kaperskiego na mocy artykułu pierwszego, paragraf ósmy, konstytucji Stanów Zjednoczonych. - Przerwał czekając, by fakt ten dotarł do świadomości obecnych. - Obiecuję - mówił dalej - że list zostanie wystawiony i podpisany najszybciej jak to będzie możliwe, a następnie doręczony kurierem grupie bojowej znajdującej się na Morzu Jawajskim. Pragnę też by świat uświadomił sobie, że Kongres Stanów Zjednoczonych nie będzie stał z boku, bezczynnie obserwując jak odbiera się życie Amerykanom i niszczy amerykańską własność, i że pociągnie do odpowiedzialności winnych tej zbrodni. - Wyprostował się mimowolnie, nie było wątpliwości, że duma rozsadza mu pierś. Oszalała go rola, którą od dziś przyszło mu grać, rola męża stanu, przywódcy o międzynarodowym autorytecie.

- Osobiście poinformuję prezydenta o wynikach podjętych przez Kongres działań. Spodziewam się, że podpisze list kaperski natychmiast, tak by jak najszybciej można było dostarczyć go na „Constitution”.

- Czy mogę prosić o głos, panie przewodniczący? - spytał przywódca mniejszości. Stanbridge skinął głową. Przywódca mniejszości wstał i powoli rozejrzał się dookoła.

- Panie przewodniczący - powiedział - nie musi pan udawać się na spotkanie z prezydentem.

Stanbridge patrzył na niego, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Tak, to chyba słuszne - powiedział po chwili. - Ponieważ wystawienie listu kaperskiego należy wyłącznie do kompetencji Kongresu, uznaję argument, że prezydent nie musi go podpisywać, a być może nawet, że nie wolno mu tego zrobić. Udzielenie mu prawa podpisu mogłoby być nawet zrozumiane jako konieczność otrzymania jego zgody...

- Panie przewodniczący, zostałem opacznie zrozumiany. Nie musi pan udawać się na spotkanie z prezydentem, ponieważ prezydent właśnie przybył na Kapitol.

W tym momencie prezydent Stanów Zjednoczonych wszedł na salę i ruszył przejściem między rzędami w stronę stołu prezydialnego. Stanbridge stał nieruchomo, wpatrując się w niego, jakby dostrzegł ducha.

Manchester zatrzymał się przed mównicą.

- Panie przewodniczący, proszę o udzielenie mi głosu - powiedział.

Stanbridge rozpaczliwie próbował odzyskać pewność siebie, która uleciała z niego nagle, jakby jej nigdy nie było.

- Dzień dobry, panie prezydencie. Co skłoniło pana do pojawienia się w Izbie Reprezentantów o tak wczesnej godzinie?

- Doskonale pan wie, co skłoniło mnie do przyjazdu do Izby Reprezentantów, panie przewodniczący - przemówił Manchester powoli, wyraźnie i bardzo chłodno. Członkowie izby wpatrywali się w niego w milczeniu. - Doprowadził pan do bezpośredniego, umyślnego pogwałcenia konstytucji Stanów Zjednoczonych. Jestem tu, by panu w tym przeszkodzić.

W godzinę później Stanbridge siedział rozparty w wielkim fotelu za biurkiem w swym gabinecie z rękami założonymi na głowę, przyglądając się członkom swego personelu, wśród których byli Dillon, Chuck i Rhonda.

- Udało nam się! - powiedział z uśmiechem. - Udało nam się. - Pokręcił głową. Przekrwione ze zmęczenia oczy płonęły mu blaskiem zwycięstwa. - Muszę jednak przyznać - mówił dalej - że prezydent wykazał się sporym opanowaniem przybywając i natychmiast wetując uchwałę. Gdyby odczekał, aż mu ją przedstawimy, być może niektórzy z nas nie byłiby już tak pewni swego. On jednak myślał, że przybywając tak wcześnie, wykonując wielki dramatyczny gest, wystraszy tylu kongresmanów, że nie damy rady obalić jego weta. No i przeliczył się! - Stanbridge wybuchnął śmiechem. - Przeliczył się jak cholera!

Wstał i obszedł biurko.

- Panie Dillon, chciałem panu osobiście podziękować za doskonale wykonaną pracę. List kaperski to pańskie dziecko, udało się panu przeprowadzić tę sprawę... aż do zwycięskiego końca.

- Dziękuję, panie przewodniczący.

Dillon również czuł, jak rozpiera go radość. Przyjrzał się kolegom, którzy patrzyli na niego z mieszaniną uwielbienia i zazdrości. To też bardzo mu się podobało.

- Chuck - przewodniczący spojrział na byłego pilota Sił Powietrznych, który nadal strzygł się na jeża - jak dostarczymy list na lotniskowiec? Kto go tam zabierze?

Chuck drgnął, zaskoczony.

- Panie przewodniczący, szczerze mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym. Założyłem, że zwrócimy się do Pentagonu, który przekaże go dalej swoimi kanałami.

- Do Pentagonu? Przecież nie możemy im ufać! Jak myślisz, dla kogo oni pracują?

- No cóż... zakładam, że dla tej samej osoby, dla której pracuje grupa bojowa „Constitution”. To znaczy, bezpośrednio dla prezydenta.

Przewodniczący przyglądał mu się uważnie.

- A jak myślisz, czy Departament Obrony przyjmie od nas list kaperski, powie: „jasne, chętnie wam pomożemy” i dostarczy go na „Constitution”?

- Nie wiem.

Chuck rozejrzał się dookoła błagając wzrokiem, by ktoś mu pomógł. Stanbridge pograżył się w myślach; oto pojawiła się nowa przeszkoda do pokonania. I znów Dillon przyszedł mu z pomocą. Podniósł rękę.

- Panie przewodniczący, ja zawiozę list - zaproponował.

- O czym ty mówisz?

- Jest tak, jak pan powiedział. Ode mnie się wszystko zaczęło i chciałbym doprowadzić sprawę do końca. Zawiozę list na miejsce i osobiście wręcę go admirałowi. Jeśli będzie miał jakieś pytania, to mu na nie odpowiem. Wygląda na to, że to jedyny sposób.

- Jak się dostaniesz na miejsce?

- Normalnie, polecę samolotem pasażerskim. Musi być jakiś sposób, by dostać się na okręt z Singapuru albo Dżakarty.

Przewodniczący rozejrzał się. Jego ludzie nie wyrażali sprzeciwu, on sam też widział w tej propozycji same plusy.

- Chyba tak będzie rzeczywiście najlepiej - powiedział. - Admirał może mieć jakieś wątpliwości, a ty najlepiej wszystko mu wyjaśnisz. Wiesz o sprawie więcej niż ktokolwiek.

- Jadę do domu. Spakuję się i wyjadę najwcześniej jak to tylko możliwe.

Stanbridge podszedł do biurka. Otworzył dużą ciemnoczerwoną teczkę i położył list kaperski na biurku tak, by wszyscy mogli obejrzeć go sobie; wypisany ozdobnymi literami, zaopatrzony w odpowiednie pieczęcie i podpisy.

- Ty zacząłeś tę sprawę i ty ją zakończysz - powiedział do Dillona.

Prezydent Manchester rzucił marynarkę na oparcie kanapy. Spojrzał na Molly Vaughan, stojącą pod przeciwległą ścianą gabinetu. Arlan Bosch siedział na drugiej kanapie. Głowę położył na oparciu, oczy miał zamknięte.

- No cóż, panno Vaughan - powiedział - jeśli mam być szczerzy, nie jestem w tej chwili w nastroju odpowiednim do narad. W ogóle nie spałem, byłem w Kongresie, obserwowałem bardzo nieprzyjemny ciąg działań politycznych, których w końcu padłem ofiarą. Co to za pilna sprawa, z którą pani przyszła?

Arlan Bosch wyprostował się i oparł dłonie na kolanach.

- Panie prezydencie, usiłowałem zapobiec temu spotkaniu - powiedział. - Próbowałem zadzwonić się do doradcy prawnego Białego Domu, jednak nie zdołałem go złapać. Pani Vaughan po prostu nie przyjmowała odmowy do wiadomości. Twierdziła, że ma pilną i ważną sprawę. Twierdziła, że musi porozmawiać z panem osobiście...

- Doskonale i przerwał mu zirytowany Manchester. - O co chodzi?

Wchodząc do Gabinetu Owalnego Molly zapomniała włożyć marynarkę zakietu i bardzo tego żałowała. Też miała za sobą nieprzespaną noc, jej jedwabna bluzka była przepocona pod pachami.

- Panie prezydencie, mam wrażenie iż nikt z nas nie przypuszczał, że Kongres rzeczywiście przegłosuje list kaperski. W każdym razie byliśmy pewni, że zabraknie mu głosów, by odrzucić weto. A im udało się i jedno, i drugie.

- Ja o tym doskonale wiem - stwierdził bardzo chłodno Manchester. - Bardzo proszę niech pani powie mi coś, co mnie zainteresuje.

Molly skinęła głową.

- W biurze prawnym próbowaliśmy znaleźć jakiś sposób, by powstrzymać ten proces, wsypać piach w koła kongresowej maszyny, jeśli list kaperski zostanie przegłosowany. Ja również kontaktowałam się z prokuratorem stanowym i biurem prokuratora generalnego. Mam wrażenie, że znalazłam rozwiązanie problemu.

Prezydent natychmiast się ożywił.

- Jaki to sposób? - spytał.

Bosch spojrział na dziewczynę z zainteresowaniem.

- Za każdym razem gdy prezydent zrobił coś, co nie podobało się Kongresowi, indywidualny członek Kongresu lub grupa członków niemal rutynowo wszczyniała

przeciw niemu sprawę sądową. Kongres oskarżył prezydenta Busha po Pustynnej Burzy za pogwałcenie Ustawy o Prowadzeniu Wojny, rozpoczęcie wojny bez jej oficjalnego wypowiedzenia przez Kongres... - Przerwała, lecz prezydent skinął głową z miną mędrca, więc mówiła dalej. - Prezydent Reagan oskarżony został za wysłanie wojsk na Grenadę. Prezydent Ford za operację ratunkową w Mayaquez, co bardzo przypomina obecną sytuację, prezydent...

- Rozumiem już, o co pani chodzi. Ale ja przecież nic nie zrobiłem.

- Wiem. I w tym rzecz, panie prezydencie. Kongres oddawał sprawę do sądu, gdy było już za późno, by zapobiec przebiegowi wypadków. Po prostu dla zasady. My jednak mamy szansę na przeprowadzenie skutecznej akcji, nim rozpocznie on praktyczne działania w oparciu o list kaperski. Panie prezydencie, moim zdaniem powinien pan skierować do sądu pozew w imieniu swoim jako osoby prywatnej i jako prezydent Stanów Zjednoczonych przeciwko Kongresowi, za podjęcie działań niekonstytucyjnych i uzurpację pańskiej władzy naczelnego dowódcy sił zbrojnych.

- Mówi pani poważnie?

- Tak, panie prezydencie, bardzo poważnie.

- Czy przedyskutowała to pani ze swym szefem?

- Tak, panie prezydencie, przedyskutowałam. Konsultowaliśmy się z legislaturą stanową i prokuratorem generalnym. Wszyscy zgodzili się, że to dobry pomysł.

- Gdzie jest Benison? On powinien się tym zająć.

- Owszem, panie prezydencie, ale jak pan zapewne wie, jego żona rodzi.

- A tak, oczywiście. Czy on zna sprawę?

- Tak, panie prezydencie, zna. Przez całą noc analizowaliśmy ją z każdego możliwego punktu widzenia.

- Proszę wyjaśnić mi dlaczego wniesienie sprawy do sądu miałoby cokolwiek powstrzymać.

- Ponieważ wniesie pan o czasowy zakaz postępowania, uniemożliwiający Kongresowi praktycznie wykorzystanie listu.

Manchester spojrział na Boscha, sprawiającego wrażenie bardzo zadowolonego z siebie.

- Warto spróbować - stwierdził Bosch.

Prezydent spojrział w oczy Molly.

- Jak długo potrwa przygotowanie pozwu?

- Już jest przygotowany. Mam go przy sobie. Z samego rana wniesiemy sprawę.

W piętnaście minut po tym, jak Molly wróciła do swego gabinetu, na jej biurku zadzwonił telefon.

- Słucham - powiedziała do słuchawki.

- Molly?

Natychmiast rozpoznała głos Dillona, ale nie od razu mu odpowiedziała.

- Czego chcesz? - spytała w końcu.

- Dzwoniłem do ciebie do domu, ale potem uświadomiłem sobie, że pewnie przepracowałaś całą noc, jak ja. Chciałem zapytać, czy moglibyśmy się spotkać.

Od razu przeszedł do rzeczy. Cóż, o subtelność nie sposób go było oskarżyć.

- Po co?

- Zjedlibyśmy razem śniadanie.

- Mam sporo roboty.

- Słuchaj, jest dopiero wpół do ósmej. Oboje nie przespaliśmy nocy. I oboje mamy z pewnością ochotę na jakieś śniadanie.

- Ja mam ochotę tylko na jedno, żeby przewodniczący Izby Reprezentantów przestał zachowywać się jak szaleniec. Bardzo ułatwiłoby mi to życie.

- Proponowałbym, żebyśmy nie rozmawiali o tej sprawie, dobrze?
- Jak mogę nie rozmawiać o tej sprawie? - W głosie Molly brzmiał wyraźny gniew.
- To chyba najważniejsza rzecz, jaka przydarzyła się temu rządowi od dziesięciu lat! - Westchnęła ciężko. - Jim, zachowujesz się tak, jakby to było zwykłe, rutynowe wydarzenie. A nie jest. Rozdzieracie ten kraj. Już pojawiają się pęknięcia w rządowej machinie. Zrobię co będzie w mojej mocy, by ci przeszkodzić. Na razie nie mam czasu na głupstwa.
- Dobrze. Przecież tylko pytałem. Przepraszam, że zabrałem ci czas. - Jim Dillon przetarł zmęczone oczy. - Przed wyjazdem na lotnisko zdążę jeszcze wpaść do „Westside Cafe”.
- Lecisz gdzieś? - spytała dziewczyna z nagłym zainteresowaniem. - Dokąd?
- Wiozę list kaperski na USS „Constitution”.
- Żartujesz? - spytała zmienionym głosem. - O której masz samolot?
- O dziesiątej. Z National.
- Dokąd?
- Do Singapuru.
- Kiedy wrócisz? - spytała po chwili wahania.
- Nie jestem pewien.
- Nie mogłeś jakoś się z tego wyplątać?
- Pewnie bym mógł, ale zgłosiłem się na ochotnika. To moja sprawa i chcę ją doprowadzić do końca - powiedział z wyraźną dumą.
- Chyba powinniśmy się zobaczyć przed odlotem. Spróbuję być w „Westside” za dwadzieścia minut.
- Świetnie. - W głosie Dillona słychać było wyraźne zdziwienie. - No to do zobaczenia.

13.

Jim Dillon pił kawę z białej porcelanowej filiżanki. Rozlała mu się, więc zebrał ją ze spodeczka serwetką i drgnął, gdy drzwi kawiarni otworzyły się, po raz czwarty w ciągu pięciu minut. Niestety, to nie była Molly. Miał wrażenie, że zmęczony umysł zaczyna płać mu figle. Nieprzespana noc sprawiła, że zaczynał gubić się w procesie myślenia. Na chwilę zamknął oczy. Soczewki kontaktowe sprawiały wrażenie przyklejonych do nich na stałe.

Potał policzki, wyczuwając na nich jednodniowy zarost. Skrzywił się. Powinien użyć elektrycznej maszyny, którą trzymał w biurku. Tak naprawdę nie miał czasu na to śniadanie.

Szklane drzwi otworzyły się i do kawiarni weszła Molly. Rozejrzała się po niewielkiej kawiarence z jej odgrodzonymi od siebie i gwarantującymi minimum prywatności stolikami, i ruszyła w jego kierunku. Czekał, aż zdejmie płaszcz i usiądzie naprzeciw niego.

- Przecież mnie znasz - powiedział. - Zawsze mówię prosto z mostu. Co się dzieje? Kiedy do ciebie zadzwoniłem byłaś, by ująć to najłagodniej, chłodna. A jednak zdecydowałaś się przyjść i w dodatku sprawiasz wrażenie tak wesołej.

Molly pokręciła głową.

- Właściwie nie potrafię tego wyjaśnić. Myślałam, jak to wszystko może się rozegrać i w końcu doszłam do wniosku, że to kongresmani zrobią z siebie idiotów, a nie prezydent.

- Opowiedz mi, jak to kongresmani mają zrobić z siebie idiotów. Nie mogę się doczekać.

Dillon wypił łyk kawy.

- Żaden dowódca grupy bojowej nie zastosuje się do jakiegoś tam listu kaperskiego, nie mającego żadnego historycznego precedensu. Z całą pewnością zaś wysłucha rozkazu swego naczelnego dowódcy. - Wzruszyła ramionami jakby to, co powiedziała, rozumiało się samo przez się. - I na tym skończy się cała ta śmieszna sprawa. Przewodniczący zostanie z listem w ręku, jak głupi.

- I to poprawiło ci samopoczucie na tyle, żeby zdecydować się na śniadanie ze mną? Naprawdę uważasz, że ze sobą konkurujemy?

Molly już miała odpowiedzieć, kiedy przy ich stoliku pojawiła się kelnerka. Ubrana była w nienagannie odprasowaną czarną sukienkę ze sztywno wykrochmalonym białym kołnierzykiem.

- Dzień dobry - powiedziała z uśmiechem. - Nasza specjalność to jajka Benedict i świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy.

- Poproszę pół grejpfruta i angielską grzanekę bez masła - zamówiła Molly.

- Wafel z cukrem pudrem i duży sok pomarańczowy - powiedział Dillon.

Kelnerka skinęła głową, już miała odejść, lecz zatrzymała się wpół kroku.

- Kawy? - spytała. Molly skinęła głową i kelnerka napełniła jej filiżankę.

Dziewczyna opuściła wzrok na stół, założyła kosmyk włosów za ucho, a potem spojrzała w oczy Dillonowi.

- Od bardzo dawna, od szkoły prawniczej, zawsze ze sobą konkurowaliśmy, prawda? - powiedziała.

Jim Dillon uśmiechnął się, wspominając dawne dobre czasy.

- No tak, masz rację - przyznał. - Ciekawe, dlaczego?

- Dlatego, że w pierwszym semestrze pracowałeś tak ciężko, by uzyskać najlepsze oceny, że wręcz musieliśmy uznać to za wyzwanie. Więc próbowaliśmy cię pokonać. Niektórym z nas prawie się udało - dodała z dumą. - Miałam nadzieję, że już się to skończyło.

Dillon skinął głową. Odpowiedział jej, ostrożnie dobierając słowa:

- Wiesz, Molly, ja też oczekiwałem, że zrezygnujemy z rywalizacji. Myślałem nawet, że zaczniemy się spotykać i w ogóle...

- Ja również...

- Ale ta sprawa z listem kaperskim rozjątrzyła cię silniej, niż cokolwiek innego. Uważasz mnie za winnego. Nie wiem, czy możemy o niej zapomnieć lub choćby odłożyć ją na później.

- Wdałeś się w wielką politykę - Molly bawiła się filiżanką kawy. - Pływasz w politycznym oceanie. - Spojrzała mu w oczy. - Wygląda na to, że tracisz zdolność trzeźwej oceny sytuacji.

- To nie w porządku - odparł Jim, starając się bardzo, by nie ujawnić goryczy, którą czuł. - Czy naprawdę nie ma sposobu, by w jakiś sposób przezwyciężyć ten kryzys?

- Nie wiem - odpowiedziała dziewczyna z odrobiną żalu. - Chyba musimy poczekać, aż to wszystko się skończy. Zwłaszcza, że wyjeżdżasz...

- Więc mamy zostawić sprawy tak jak są? Nie dowiem się niczego, póki nie wrócę?

Molly spojrzała mu w oczy.

- Zadzwoń, kiedy już z powrotem pojawisz się w Waszyngtonie, ale pamiętaj, aż do tej chwili będę stała po przeciwnej stronie barykady. Nie ma w tym nic osobistego, nie bawię się w rywalkę, w konkurentkę. Po prostu wykonuję swoją robotę.

Kelnerka przyniosła im jedzenie. Dillon przyjrzał się z powątpiewaniem wafłowi. Molly z wprawą kroїła grapefruita. Skupiła się na śniadaniu i podniosła na niego wzrok dopiero gdy dokończyła grzanke.

- Muszę cię o coś zapytać - powiedziała z wyraźnym wahaniem.
- O co? - spytał zauważywszy, jak bardzo jest zmieszana.
- Przyjmiesz wezwanie do sądu?
- Co?

- Jeszcze dziś, gdy tylko zbierze się sąd, prezydent złoży pozew przeciw Izbie Reprezentantów i jej przewodniczącemu o uznanie listu kaperskiego za niekonstytucyjny oraz o wydanie wstępnej decyzji o wstrzymaniu jego ważności. - Spojrzała Jimowi Mionowi w oczy, a potem odwróciła wzrok. - Czy przyjmiesz wezwanie w imieniu Kongresu i przewodniczącego Izby? Czy mogę powiedzieć, żeby doręczyli je bezpośrednio tobie?

Dillon odłożył widelec i odsunął talerz. Bezskutecznie spróbował uchwycić wzrok dziewczyny.

- Molly, spójrz na mnie - powiedział.
- Oczy dziewczyny błyszczały. Od łez?
- Co się dzieje? - zdumiał się, zapominając na chwilę o jej słowach.
- Słyszałeś, co powiedziałam.
- Kto cię do tego namówił?

Molly energicznie potrząsnęła głową.

- Muszę iść - powiedziała, próbując wstać.

Dillon złapał ją za rękę.

- Kto cię do tego namówił?!

Molly spojrzała na przytrzymującą ją dłoń.

- Ja naprawdę muszę iść - powtórzyła.
- Powiedz!
- Pozew to mój pomysł.

Jim zamarł na moment, rozważając skutki dostarczenia pozwu. Podważenie zasadności listu kaperskiego mogło w jednej chwili zatrzymać proces, który rozpoczął się od jego pomysłu.

- I to ty wymyśliłaś, by umówić się ze mną śniadanie pod fałszywymi pozorami, a potem spytać, czy nie przyjmę wezwania?

Molly powoli cofnęła ramię.

- Nie było żadnych fałszywych pozorów. Naprawdę chciałam się z tobą zobaczyć.
- Kto cię do tego namówił?
- Szef personelu prosił, żebym zapytała cię, czy przyjmiesz wezwanie. Ja tylko chciałam...

Dillon uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- To by się zgadzało. Ta glista...
- On tylko wykonuje swoją robotę!
- Wykonuje swoją robotę, co? - Jim Dillon również wstał, zdjął płaszcz z wieszaka, rzucił na stolik garść drobnych - No, to możesz przekazać mu moją odpowiedź. Powiedz, żeby się pieprzył.

Dillon spakował się, wykapał i ubrał, po czym powrócił na Wzgórze. Szybko udał się do swojego pokoju. Rzucił torbę na ziemię. Grazio pojawił się niemal natychmiast.

- To ty wiesz list kaperski Marynarce, co? - powiedział.
- Tak, ja.
- Dlaczego Pentagon nie miałby go dostarczyć?

- Gdybyś był przewodniczącym, czy przekazałbyś list Pentagonowi, kontrolowanemu przez prezydenta? Znalazłbyś tam choćby jednego człowieka, który nie uznałby dokopania Izbie za kwestię honoru? Na razie przewodniczący nie ufa władzom wykonawczym. - Jim usiadł i zaczął odłączać kable, prowadzące z jego laptopa do dużego monitora i klawiatury. - Uważa, że prezydent zacznie teraz wydawać polecenia, które mogłyby uniemożliwić nam działanie w oparciu o list. Mógłby on na przykład „zagać” w Pentagonie i nigdy nie zostać doręczony. No i gdzie byśmy się wówczas znaleźli?

- Więc musisz lecieć na miejsce i dostarczyć go własnoręcznie?

- Owszem. - Jim zerknął na zegarek. - Czy ktoś jest teraz u przewodniczącego?

- Nie mam zielonego pojęcia. Byłem u niego przed jakąś godziną. Powiadam ci, czułem się zupełnie jak w mrowisku, które próbuje zaatakować inna grupa mrówek. Wszędzie pełno prasy, telefony się urywają, dzwonią ludzie z zagranicy, po prostu szpital wariatów. - Grazio przerwał na chwilę. - Właściwie to nawet zabawne - dokończył.

Dillon zostawił go samemu sobie i pobiegł do szefa. Robin nawet się nie zdziwiła na jego widok, tylko skinęła głową, pozwalając mu wejść do jego gabinetu.

Rzeczywiście, każdą odrobinę miejsca pod ścianami na korytarzu i wszystkie krzesła w sekretariacie zajmowali dziennikarze, nie tylko prasowi, lecz także radiowi z gotowymi do użycia magnetofonami i telewizyjni z kamerzystami dźwigającymi wyłączone kamery. Kiedy zamykał drzwi do gabinetu Stanbridge'a, usłyszał, jak poderwali się na równe nogi, zakładając, że ma on wkrótce opuścić swe sanktuarium.

- Gdzieś się, do cholery, podziewał? - usłyszał na powitanie.

- Musiałem wpaść do siebie i spakować się przed drogą.

- Spotkałeś się z kimś z biura prezydenta.

Dillon nie odpowiedział, ale nic mu to nie dało.

- No więc z kim?

- Mam wrażenie, że pan wie, panie przewodniczący. Mam przyjaciółkę, Molly Vaughan. Pracuje w biurze doradców prawnych prezydenta.

- Nie, nic o tym nie wiem. Oczywiście powiedziałeś mi, że masz przyjaciółkę, ale zapomniałeś chyba wspomnieć, że pracuje dla Białego Domu.

- Jestem pewien, że o tym mówiłem, panie przewodniczący. Być może uznał pan, że nie jest to takie ważne...

- Dlaczego miałbym uznać za „nie taki ważny” fakt, że masz przyjaciółkę w obozie przeciwnika?

- Znamy się od bardzo dawna, panie przewodniczący. No i nie uważałem prezydenta za przeciwnika.

- Od dziś nim jest. Wiesz, kto siedzi tam, w sekretariacie?

- Czeka tam na pana milion dziennikarzy.

Stanbridge wstał zza biurka i rozpoczął swój spacer po gabinecie.

- Czeka tam na mnie szeryf federalny.

Dillon poczuł, jak oblewa go zimny pot. Milczał.

- A wiesz, po co tu przyszedł?

- Nie wiem.

- Ma doręczyć mi wezwanie do sądu. Do rąk własnych.

- Co? - Dillon przekonywująco udał zdumienie. - Od kogo?

- Nie wiesz od kogo?

Przewodniczący znieruchomiał, przeszywając go spojrzeniem. Za jego plecami widać było wyraźnie pomnik Waszyngtona.

Dillon znów nie odpowiedział. Przewodniczący lubił sam odpowiadać na swoje pytania.

- Od prezydenta. Prezydent pozywa mnie, przewodniczącego Izby Reprezentantów i Kongres Stanów Zjednoczonych. Jako przewodniczący władzy wykonawczej rządu Stanów Zjednoczonych i jako obywatel, zwykły obywatel, wnoszę przeciw mnie sprawę do sądu!

- Widział pan pozew?

- Nie. Robin go widziała i powiedziała mi, o co chodzi. Nie zgodziła się wpuścić do mnie tego faceta.

- A on... co ma zamiar robić?

- Powiedział, że nie odejdzie, póki nie wyjdę z gabinetu i wtedy wręczy mi pozew do rąk własnych.

Przewodniczący nie próbował nawet ukrywać zdenerwowania.

- Nie jestem pewien, panie przewodniczący, czy unikanie przyjęcia pozwu ma sens.

- Nie unikam przyjęcia pozwu. Mam nadzieję, że rozumiesz konsekwencje tego, co się dzieje?

- Nie jestem pewien...

- To może załatwić list kaperski raz na zawsze! Proces dotyczy jego czasowego wstrzymania oraz zaniechania działań, dopóki sąd nie ustali, czy nasz list kaperski nie jest niezgodny z konstytucją, a zatem czy można wprowadzić go w życie. Skąd oni wiedzieli, że będziemy działali tak szybko? Skąd mogli wiedzieć, że jeszcze dziś odlatujesz, by dostarczyć go admirałowi Billingsowi... przy okazji, tak właśnie nazywa się nasz człowiek, jemu masz doręczyć list.

Dillon zaczerwienił się mocno.

- Dziś rano Molly i ja zjedliśmy wspólnie śniadanie. Powiedziałem jej, że wyjeżdżam.

Przewodniczący znieruchomiał na bardzo długą chwilę.

- Coś ty zrobił? Jadłeś śniadanie z kimś z biura doradców prawnych prezydenta i powiedziałeś temu komuś, że dziś rano wylatujesz, by dostarczyć list kaperski dowódcy grupy lotniskowca na Południowym Pacyfiku?

- No, prawdę mówiąc... tak, w zasadzie tak...

- Do czegoś ty chciał, cholera, doprowadzić!

- Ależ ja nie chciałem doprowadzić do niczego - bronił się Dillon. - To moja przyjaciółka. Powiedziałem jej, gdzie się wybieram. Telewizja trąbi o całej tej sprawie od półtora dnia, dziennikarze wiedzą, że mamy dostarczyć list Marynarce. Do głowy mi nie przyszło, że to jakaś tajemnica.

Przewodniczący tylko machnął ręką z wyraźnym obrzydzeniem.

- Bo to żadna tajemnica - przyznał. - Tylko nie lubię, jak ktoś wystawia mnie do wiatru. - Zacisnął zęby, położył głowę na oparciu fotela, przymknął oczy. - Więc co powinniśmy zrobić w sprawie tego pozwu?

Dillon odetchnął głęboko. Spojrzał na zegarek.

- Panie przewodniczący, mój samolot odlatuje za niespełną godzinę. Uda mi się chyba dotrzeć na lotnisko i odlecieć nim wręczą panu ten pozew.

- No to leć! - Stanbridge podał mu skórzaną teczkę w kolorze burgunda, imponująco ciężką i elegancką, świadczącą o wadze zawartości. - To jest właśnie list kaperski, Dillon. Oryginał masz dostarczyć admirałowi Rayowi Billingsowi osobiście, do rąk własnych. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Oczywiście.

- Doskonale. A teraz powiedz, co powinienem zrobić w sprawie tego kretyńskiego procesu, który próbuje wytoczyć mi prezydent. Wolno mu to zrobić?

- Doprawdy nie wiem, panie przewodniczący - przyznał zmieszany Dillon. -

Wiem, że przed laty Kongres wytoczył proces przeciwko prezydentowi Reaganowi za

wysłanie wojsk na Grenadę, więc sądzę, że w drugą stronę też można. Oskarżono też prezydenta Busha za Pustynną...

- Co się teraz stanie? Jak to w ogóle działa?
- No więc tak, poprosili o czasowe wstrzymanie, tak?
- Owszem.
- Wyznaczono datę przesłuchania?

Przewodniczący podszedł do biurka, na którym leżała przygotowana przez Robin notatka.

- Owszem, na jutro rano.
- Więc jutro rano ktoś musi pojawić się w pana imieniu w sądzie i wyłożyć sprawę przed wyznaczonym sędzią.
- A gdybyśmy tak zignorowali całą sprawę, powiedzieli, że to nie rzecz sądów?
- Oczywiście, że to możliwe, ale sąd może zaocznie wydać wyrok na naszą niekorzyść i zakazać użycia listu.

Przewodniczący zgniótł notatkę Robin w kulkę i cisnął nią przez cały gabinet.

- Wynoś się stąd - warknął. - Dam ci znać, co się dzieje.
- Już idę, panie przewodniczący. Będę w kontakcie.
- Dillon... jest jeszcze jedno. Komu powierzyć tę sprawę? Radcy prawnemu Izby?
- Nie, panie przewodniczący. Na pana miejscu zatrudniłbym najlepszego prawnika w Waszyngtonie.

- Znam odpowiedniego gościa. - Stanbridge drgnął nagle. - Czy ten szeryf federalny wie, kim jesteś? - spytał.

- Bardzo w to wątpię.
- Więc masz się wynosić z budynku, nim przyjmę pozew. Idź do siebie, zabierz co masz zabrać i jedź prosto na lotnisko. Nie pozwól, by ktokolwiek cię zatrzymał. Rozumiesz?

- Oczywiście.

Dillon otworzył drzwi i szybkim krokiem wyszedł z gabinetu. Ze swojego pokoju zabrał laptopa, teczkę i torbę.

14.

Grupa bojowa lotniskowca „Constitution” płynęła na zachód z prędkością dwudziestu pięciu węzłów, w kierunku odległej o trzysta pięćdziesiąt kilometrów wysepki Bunaya. Ostatni lot zwiadowczy F-14 potwierdził, że tam właśnie, zamaskowany w zatoczce, stoi statek-baza terrorystów. Zdjęcia w podczerwieni dowiodły, że na tej oficjalnie niezamieszkannej wysepce mieszka co najmniej dwieście osób. Nie to jednak wydawało się najgorsze. Zwiad potwierdził istnienie na wyspie budowli ze zbrojonego betonu, a radar o syntetycznej aperturze S-3 wskazał zarysy ciężarówek transportujących coś, co mogło być przenośnymi systemami uzbrojenia.

Te wieści bardzo szybko dotarły do stacjonującego na „Constitution” skrzydła lotniczego. I wzbudziły entuzjazm: oto miało się zacząć prawdziwe latanie, a nie strzelanie do kaczek. Piloci dywizjonów myśliwskich byli mocno rozczarowani, bo na razie nie pojawiło się jakoś niczyje lotnictwo czwartej generacji, by bronić wysepki... no, ale zawsze przecież można mieć nadzieję.

Caskey przeciągnął się. Siedział w CVIC, centralnym ośrodku nerwowym skrzydła lotniczego na „Constitution”. Zgromadzili się tu dowódcy dywizjonów oraz komandor Zeke Bradford. Wszyscy byli podekscytowani, jak to zwykle w oczekiwaniu na akcję. Nikt nie wiedział dokładnie, czego się spodziewać, mieli jednak pewność, że

cokolwiek nastąpi, będą latać szybko i dużo strzelać, a jednym i drugim zajmowali się z największym upodobaniem.

Zeke Bradford, dowódca skrzydła, wskazał na wielką mapę wyspy przyklejoną do ściany. Wyspa znajdowała się ponad sto pięćdziesiąt kilometrów od Singapuru i jakies sto kilometrów od cieśniny Malakka. Przez chwilę szukał wskaźnika, znalazł go i postukał jego gumowym czubkiem w środek wysepki.

- Dobry wieczór, panowie - powiedział. - Oni - jeszcze raz postukał wskaźnikiem w mapę - są właśnie tu. Jak z pewnością wszyscy wiecie, najnowsze dane wywiadu świadczą, że na wyspie znajduje się około dwustu osób, być może więcej. Zakładamy, że wszyscy związani są w jakiś sposób z terrorystami, którzy zaatakowali „Pacific Flyera”. Słyszeliśmy też plotki, że to wcale nie muszą być zwykli terroryści starej daty. Nie jesteśmy pewni, kim są...

- Ilu z nich to po prostu zwykli mieszkańcy starej daty? - spytał Caskey.

- Najpewniej nikt. Do bardzo niedawna wyspa ta w ogóle nie była zamieszkana. Z Waszyngtonu dowiedzieliśmy się, że zdaniem Indonezyjczyków nigdy nie była zamieszkana na stałe, od czasu do czasu pojawiali się na niej najwyżej wędrowni rybacy. - Bradford rozejrzał się po zgromadzonych. - Na użytek co głupszych z nas pozwolę sobie dodać, że wędrowni rybacy nadzwyczaj rzadko budują swe szałaszy ze zbrojonego betonu.

Rozległy się stłumione śmiechy.

- Jaki jest plan? - spytał „Pijany” Driver, dowódca dywizjonu F-18.

- Czekamy, by prezydent wydał nam rozkaz wejścia do akcji, ale prezydent albo bardzo dobrze udaje, albo też nie ma zamiaru wydać nam takiego rozkazu. W takim razie pozostaje oczywiście pytanie, jakie znaczenie ma dla nas ten list kaperski, czy też cokolwiek innego, co wymyślił Kongres. O tym zdecyduje, oczywiście, admirał. Nie mam na ten temat własnego zdania i po każdym z was spodziewam się, że też nie będzie miał na ten temat żadnego zdania. Jeśli admirał każe nam działać, działamy. Nie zgubiłem przypadkiem kogoś po drodze? A może któryś z was ma zamiar podpowiadać mu, co powinien robić bo uważa, że ma do czynienia z głupcem?

Przejrzał się po kolei dowódcom dywizjonów. Nikt nie powiedział słowa.

- Bardzo dobrze, panowie - mówił dalej. - A teraz powiem wam, jak to moim zdaniem będzie wyglądało. Wyspa ta jest możliwie najtrudniejszym celem ataku lotniczego. Budynki, które zidentyfikowaliśmy, przynajmniej te zrobione ze zbrojonego betonu, wpuszczone są w ziemię z wyjątkiem sześćdziesięciu centymetrów do metra dachu. Nie nakręcicie hollywoodzkich filmów o naprowadzanych laserowo bombach wstrzeliwanych ludziom do kominów - zażartował, czyniąc aluzję do bomb unieśmiertelnionych podczas operacji Pustynna Burza. - Tam nie ma kominów. Żeby zaszkodzić tym bunkrom, musimy użyć czegoś naprawdę solidnego. Nigdzie nie jest też powiedziane, że nie stoją one sobie puste, ludzie zaś i broń ukryci są w trzcinowych szałasach zupełnie gdzie indziej. Taki żart, powiedzmy. Zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby ich wykurzyć, zakładam jednak, że na razie zajmujemy się bunkrami. Odebraliśmy też emisje elektroniczne w paśmie radarów kontroli ognia - jakiego typu na razie nie wiemy - być może więc czekają na nas raketowe pociski przeciwlotnicze lub artyleria przeciwlotnicza. Nadal próbujemy się dowiedzieć, skąd mogą pochodzić. Na razie wygląda na to, że ci faceci to nie banda klaunów. Przypuszczam, że w ciągu następnych dwóch dni przeprowadzimy uderzenie z powietrza skoordynowane z atakiem amfibii na ląd.

Bradford odetchnął głęboko i prychnął.

- Broń mogą sobie mieć jaką chcą, ale z całą pewnością nie ciężką. Trudno im będzie odeprzeć atak marines. Najogólniej mówiąc, my będziemy ich wspomagać.

Zniszczenie stanowisk obrony przeciwlotniczej, jeśli jakieś mają, uderzenia na budynki, wsparcie piechoty morskiej z niskiej wysokości. Pytania?

Nikt nie miał pytań.

- W porządku. Dzisiejsze misje znajdziecie w planie lotów. Sama rutyna. Aha, jeszcze jedno, być może spróbujemy przelotów naddźwiękowych z nadzieją, że włączą radary baterii przeciwlotniczych lub pocisków przeciwlotniczych, by nas namierzyć. Kto zgłasza się do tego na ochotnika?

Caskey i dowódcy dywizjonów F-18 jednocześnie podnieśli ręce. Bradford uśmiechnął się, białe, równe zęby zaśmiały na tle ciemnej skóry.

- Co za duch, panowie! - zażartował. - Dam wam znać, jeśli się na to zdecydujemy. Na razie wykonujemy plan lotów.

Dowódca SEAL, porucznik Jody Armstrong i oficer wywiadu komandosów, komandor porucznik Tyler Lawson studiowali identyczną mapę. USS „Wasp” huczał niczym gniazdo os; to marines szykowali się do spodziewanej akcji. Jednostka ekspedycyjna marines i pluton SEAL niemal jednym skokiem przeszły od oczekiwania na zwykłe, nudne manewry w Tajlandii do przygotowań do prawdziwej akcji bojowej. Jedno od drugiego różniło się jak dzień od nocy. Zapowiedziano im, że mają przygotować się do akcji, która nastąpi w ciągu dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin. Armstrongowi powiedziano, że znajdzie się na brzegu jako pierwszy. Jego zadaniem miało być wykonanie pierwszego rekonesansu i wyeliminowanie znajdujących się prawdopodobnie na wyspie wyrzutni rakiet; reszta miała pójść za nim, by wystrzelać przeciwników. Porucznikowi wcale się to nie podobało. Mieli wystąpić przeciwko nieznanemu przeciwnikowi o nieznanym liczebności i uzbrojeniu, stacjonującemu na nieznanym wyspie, praktycznie pozbawieni danych wywiadowczych. Witamy w Marynarce.

Armstrong spojrzał na Lawsona.

- Ta mapa jest do luftu - prychnął. - Nie mamy lepszej?

- Nie.

- No więc nasza Służba Kartograficzna robi bardzo kiepską robotę.

- Nie omieszkam zwrócić im na to uwagi przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- Och, zamknij się. - Armstrong nadal sprawiał wrażenie zatroskanego. - Wiesz, ja zawsze jestem pierwszym idiotą na brzegu. Może kiedyś zwróciłeś na to uwagę, Tyler - zawsze jesteśmy pierwszymi idiotami na brzegu.

- Oczywiście, że zwróciłem na to uwagę. Taką mamy pracę.

- Wiem, że taką mamy pracę. Ale jest ryzykowna.

- Zdaje się, że cecha ta bywa nawet podkreślana. Na przykład „płacimy wam za wykonywanie ryzykownej pracy”.

Oczy Lawsona błyszczały humorem.

Armstrong popatrzył na niego z udawaną pogardą.

- Gdzie pułkownik Tucker? - spytał.

- Nie wiem. - Lawson wzruszył ramionami. - Powiedział, że przyjdzie.

- Sądziłem, że ma nam przedstawić plan lądowania tak, bym wiedział, na którą plażę mam zabrać moich niczego nie podejrzewających SEAL, żeby nam tam odstrzelono tyłki.

- Bo i ma, owszem.

- No więc, skąd mam wiedzieć, na której plaży odstrzelą mi tyłek, jeśli nie przyjdzie i nie uświadomi mnie grzecznie?

- Co się dzieje? Wstałeś lewą nogą?

- Gdzie tam, jestem po prostu wkurzony. Nie zachwyca mnie, że cała ta sprawa rozwija się w ten sposób.

- Co ci się nie podoba?

- Prezydent nie chce, żebyśmy atakowali. Na wypadek, gdybyś nie wiedział informuję cię, że jest naszym naczelnym dowódcą.

Lawson zeszywniał.

- Prezydent to fiut - powiedział. - To idiota nie mający pojęcia, co robi. Ci faceci pojawili się znikąd, zabili przeszło dwudziestu Amerykanów, zatopili amerykański statek, a on mówi, że nie chce kręgu przemocy? Co za bzdura! Krąg przemocy istnieje od dawna, a my jak na razie jesteśmy tą jego częścią, którą leją po pysku. Mdli mnie kiedy słucham tych cholernych polityków udających, że to coś w rodzaju gry: my będziemy mili dla wszystkich, to wszyscy będą mili dla nas. Pamiętam...

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł pułkownik Tucker, pochylając głowę. Pułkownik miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Ubrany był w mundur połowy marines z rękawami zawiniętymi powyżej łokci.

- Bardzo przepraszam za spóźnienie, panowie - powiedział.

- Nie szkodzi, panie pułkowniku - odpowiedzieli jednocześnie Armstrong i Lawson.

- Rozmawiałem z moimi ludźmi. Kończyliśmy przygotowywać plany ataku. Poruczniku Armstrong, czy poinformowano pana, że mamy lądować na południowej plaży?

- Tak jest, panie pułkowniku, otrzymałem taką wiadomość - odparł Armstrong, zerkając na Lawsona, który wiedział przecieź, że takiej wiadomości nikt mu nie przekazywał. - Przyglądałem się mapie, ale, jak pan wie, nie mamy żadnych bliższych danych i w ogóle nikt nic nie wie o tej wysepce. Przy okazji, panie pułkowniku, ilu ludzi zamierza pan zabrać na brzeg?

- Nie wiemy, ilu oni mają tam ludzi, prawda? Na razie planuję zabrać wszystkich. Armstrong był wyraźnie zaskoczony.

- Całe tysiąc pięćset?

Tucker oderwał wzrok od mapy i skinął głową.

- A jaki pan ma plan? - spytał.

Porucznik jeszcze raz przyjrzał się mapie.

- Przeprowadzimy podwodne badania hydrograficzne, a ich wyniki prześlemy wam - powiedział. - Nasze nowe CLAMS¹¹ wysyłają dźwięki i na podstawie ich odbicia rysują obrazki. W każdym razie, kiedy przeprowadzimy badania i rekonesans...

Prezydent Manchester siedział w swym ulubionym bujanym fotelu w wierzchołku trójkąta, którego dwa boki formowały zestawione pod kątem kanapy. Podczas tego spotkania zażądał obecności szefa personelu, przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów, przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa Narodowego, sekretarza obrony oraz prokuratora generalnego.

Prezydent spojrzął na admirała Harta.

- Kto jest dowódcą grupy bojowej? - spytał.

Przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów, mający na sobie galowy mundur, odpowiedział z wahaniem. Wiedział, do czego doprowadzić może ta rozmowa i wcale mu się to nie podobało.

- Nazywa się Ray Billings. - Zacisnął wargi, jakby nie potrafił zdecydować, czy ma mówić dalej. - Absolwent Akademii Marynarki, były pilot myśliwski F-14, dowódca 84. Dywizjonu Myśliwskiego, „Jolly Rogersów”, dowódca USS „Constitution”. Twardy zawodnik.

- Czy jest odpowiedzialny?

¹¹ *Clandestine Acoustic Mapping Devices* - akustyczne urządzenia kartograficzne działające na zasadzie sonaru [przyp. red.].

- Och, oczywiście, to jeden z najlepszych dowódców Marynarki. Być może odpowiedź zależy jednak od definicji słowa „odpowiedzialny”.

- Czy możemy na niego liczyć? - poprawił się prezydent.

- Liczyć, że zrobi co, panie prezydencie? - spytał Hart po chwili wahania.

- Liczyć na to, że nie podporządkuje się temu idiotycznemu listowi kaperskiemu.

- Trudno odpowiedzieć na tak zadane pytanie. Oficerowie Marynarki mają dobre pojęcie o historycznych walorach listu kaperskiego, którego zdecydowanie brak politykom. - Admirał rozejrzał się dookoła. - Szczerze mówiąc, nie wiem, jak zareaguje - przyznał.

Prezydent wstał, przesunął bujany fotel pod ścianę i rozpoczął swój zwyczajowy marsz po gabinecie.

- Czyżby próbował mi pan powiedzieć, że może zastosować się do wymagań listu?

- Powiedziałbym, że to możliwe.

- Jak możemy go powstrzymać?

- No cóż, moim zdaniem powinniśmy po prostu rozkazać mu, by nie stosował się do listu kaperskiego. Albo ja albo pan, panie prezydencie, albo obaj możemy wydać mu odpowiednie rozkazy.

- Czy się do nich dostosuje?

Admirał milczał, wpatrując się w ścianę. Oceniał wagę odpowiedzi na to pytanie.

- Panowie, pozwólcie, że was o coś spytam - powiedział w końcu. - Co wydaje się wam ważniejsze: bezpośredni rozkaz od wyższego rangą oficera czy też zlecenie Kongresu poparte autorytetem konstytucji?

- List kaperski nie jest poparty autorytetem konstytucji - prychnął Bosch. - To czysta fantazja!

- Pozwolę sobie się z panem nie zgodzić. Konstytucja z całą pewnością zawiera paragraf poświęcony listowi kaperskiemu. Podstawowe pytanie brzmi: czy to, co zrobił Kongres, mieści się w ramach owego paragrafu? Nie sądzę, byśmy mieli precedens umożliwiający jednoznaczna odpowiedź na to pytanie.

- Po czyjej jest pan stronie? - nie wytrzymał Bosch.

- Nie wiedziałem, że wybieramy strony - odparł admirał. - Myślałem, że staramy się rozwiązać problem.

W tym momencie wtrącił się prezydent. Mówił spokojnie, ale jego spokój sprawiał wrażenie wymuszonego.

- W porządku, admirale, co pańskim zdaniem powinniśmy w tym momencie zrobić?

- No cóż, jak rozumiem, już zakwestionowano prawną zasadność listu, prawda?

- Tak.

- Doskonale. - Hart uśmiechnął się pewnie i spojrzął na prokuratora generalnego.

- Skoro prawo jest zdecydowanie po naszej stronie, sprawa z pewnością potoczy się bardzo szybko. Mam rację? - zakończył, rozglądając się dookoła.

Prokurator generalny nie odpowiedział.

- Założywszy, że nie uda się nam otrzymać postanowienia o wstrzymaniu ważności listu, co pan nam poleca? - spytał Manchester.

- Panie prezydencie - admirał zawahał się - jedyne co możemy zrobić to odwołać go z regionu, powiedzmy do Pearl Harbor oraz zakazać przyjęcia listu kaperskiego, a zwłaszcza podejmowania działań przeciw komukolwiek bez naszej zgody.

- Kiedy możemy wysłać mu ten rozkaz?

- Jak rozumiem, przewodniczący Izby Reprezentantów wysłał jednego ze swoich pracowników, by ten osobiście dostarczył admirałowi Billingsowi list kaperski, nie myślę się?

- Nie. Musimy dotrzeć do niego wcześniej.

- Nie ma problemu, panie prezydencie. Możemy wysłać rozkaz drogą satelitarną choćby za pięć minut, jeśli na tym panu zależy.

- Właśnie na tym mi zależy. Co powinno się w nim znaleźć?

- Dokładnie to, o czym rozmawiamy. Czy rozkaz wyda pan, czy ma on pochodzić ode mnie?

Prezydent wahał się przez chwilę, a potem skinął głową.

- Od pana i ode mnie - zdecydował. - Moim zdaniem w ten sposób wzbudzi większy szacunek.

- Sformułuję go i wyślę natychmiast. Chce pan przeczytać go przed wysyłką?

- Nie. Proszę tylko dopilnować, by dotarł on na miejsce. Jak najszybciej, przed dostarczeniem listu.

- Oczywiście, panie prezydencie.

Manchester rozejrzał się po swych doradcach.

- Czy ktoś ma jeszcze coś do dodania? - spytał, a kiedy nikt nie odpowiedział, zwrócił się do Cary'ego Wagnera. - Mamy jakieś nowe informacje?

- Tylko te, które otrzymaliśmy od „Constitution” i od Indonezyjczyków - odparł dyrektor CIA.

- No i co?

- Indonezyjczycy nie kupują pomysłu, że ci ludzie to grupa islamskich terrorystów. Twierdzą, że doskonale znają wszystkie takie grupki. W tej naszej nie ma żadnego znanego im islamskiego fundamentalisty. Są przekonani, że chodzi tu o coś zupełnie innego.

- A „Constitution”?

- Śledzili statek-bazę terrorystów, który przyjął na pokład motorówki i zlokalizowali go na Bunaya.

- Gdzie to jest?

- Niedaleko cieśniny Malakka, na południe od Singapuru.

Wiadomość ta najwyraźniej bardzo wszystkich zaskoczyła.

- Dlaczego mieliby schronić się właśnie tam?

- Bunaya jest niezamieszka. Wydaje się dobrą bazą wypadową do ataków na statki kierujące się przez cieśninę Malakka na Ocean Indyjski.

- Jest jeszcze coś?

- Owszem. Na wyspie znajduje się około dwustu osób w jakiś sposób związanych z terrorystami. Istnieją dowody na to, że znajdują się tam rakiety ziemia-powietrze oraz zabezpieczone konstrukcje, być może bunkry.

- Rakiety ziemia-powietrze i bunkry? - Prezydent ze zdziwieniem spojrzął na dyrektora CIA. - Co to może znaczyć?

- Nie sposób powiedzieć, panie prezydencie. Praktycznie wszystko.

Prezydent pokręcił głową.

- Dobra, niech będzie. W każdym razie tym bardziej nie wolno nam ich zaatakować. Nie chcę, by Amerykanie ginęli atakując jakąś fortecę...

- Nie nazwałbym tej wyspy fortecą. Wiemy o zaledwie dwóch bunkrach...

- Czy ktoś się ze mną nie zgadza? - przerwał mu Manchester.

- Omawialiśmy już tę sprawę, w zasadzie nic się nie zmieniło - wtrącił Bosch, nim ktokolwiek miał szansę powiedzieć cokolwiek.

Zgromadzeni w Gabinetce Owalnym wymienili spojrzenia, nikt jednak nie ośmielił się wypowiedzieć ani słowa.

- Jest jeszcze jedna sprawa. - Szef personelu przerwał, jakby niezręcznie było mu o tym mówić, budząc tym zainteresowanie obecnych. - Ze sprawdzonego źródła dostałem informację, że członek personelu przewodniczącego wyleci z listem z lotniska National za niespełną godzinę. - Spojrzął na Manchestera. - Moim zdaniem

CIA albo może FBI powinny mieć kogoś w tym samolocie. Być może panu Dillonowi nie uda się dostarczyć listu. Może go nawet zgubi?

Manchester opuścił wzrok, siedział przez chwilę nieruchomo, a potem nagle wstał.

- Panowie, na dziś to wszystko - powiedział.

15.

Mimo iż dorastał w San Diego, Dillon nigdy nie zapuścił się na zachód od Kalifornii. Boeing 747-400 Singapore Airlines przed szesnastogodzinnym przelotem nad oceanem zatrzymał się na krótko w Los Angeles. Dillon wiedział, że przekroczy międzynarodową linię zmiany daty, po której znajdzie się nie dziś, lecz jutro. Długo próbował zrozumieć, jak to jest możliwe, ale w końcu dał sobie spokój.

Dopiero po wylądowaniu naprawdę zdał sobie sprawę z tego, że znajduje się po drugiej stronie świata w stosunku do Waszyngtonu. Od Waszyngtonu dzieli go 12 godzin i dwanaście tysięcy mil. Przeleciał z półkuli północnej niemal na południową. Z długości geograficznej wschodniej na długość geograficzną zachodnią. Z chłodu w upał, ze światła w ciemność.

Stał pośrodku wielkiego, nowoczesnego lotniska w Singapurze, zastanawiając się, co począć.

Chuck, jedyny członek personelu Stanbridge'a mający praktyczne doświadczenia militarne, uspokoił go informacją o tym, że numer jego lotu przesłano na „Constitution”, i że ktoś będzie na niego czekał. Nie poinformował go jednak, jak zostanie rozpoznany i jak odbędzie się spotkanie. Stwierdził po prostu, że nie ma się czym przejmować. Łatwo powiedzieć.

Dillon podniósł torbę i powędrował w kierunku głównego terminalu lotniska. Marynarkę i spodnie miał wygniecione i przepocone. Zdecydował się na tropikalny garnitur, a nie dzinsy i podkoszulek, i teraz bardzo tego żałował.

W drodze to terminalu minął go niewysoki, potężnie zbudowany Amerykanin Jim Dillon poczuł, że ktoś pociąga jego teczkę. Odwrócił się i dostrzegł, że zaplątała się w nią torba na kamerę wideo.

Mężczyzna powiedział „przepraszam”, wyplątał się jakoś i odszedł, a przed nim pojawiły się dwie dziewczyny. Dwie białe dziewczyny wyglądające jak siostry bliźniaczki. Wzrostu około metr siedemdziesiąt pięć, jasne włosy związane w kok, zielone kombinezony lotnicze Marynarki z indetyfikatorami oprawionymi w czarną skórę.

- Pan Dillon? - spytała jedna z nich.

- Owszem. A panie kim są?

- Porucznik Karen Morris i podporucznik Shana Westinghouse. - Po dokonaniu prezentacji i uściśnięciu dłoni dziewczyna dokończyła: - Jesteśmy pilotami DNO.

- Co to właściwie znaczy?

- Dostawy Na Okręt, proszę pana. Codziennie dostarczamy na okręt części zamienne i ludzi. Latamy z różnych lotnisk.

- Aha. I co teraz?

Morris spojrzała na zegarek.

- Za dwie godziny musimy znaleźć się nad lotniskowcem. Wystartujemy stąd za pół godziny. Będzie pan gotów?

- Już jestem gotów.

Dillon uśmiechnął się, starając się zrobić na nich dobre wrażenie, choć nie bardzo wiedział czemu właściwie się starał. Były ładne i próbował nie zwracać uwagi na ich urodę, ale to mu się, niestety, nie udało.

- Świetnie - usłyszał w odpowiedzi.

- Wezmę od pana torbę - powiedziała Westinghouse i niemal wyrwała mu ją z ręki.

Próbował zaprotestować, ale dał sobie spokój i posłusznie ruszył za pilotkami.

- Co pana do nas sprowadza, panie Dillon? - rzuciła przez ramię Morris.

- Nie wiecie?

- Nie, nie wiemy. To znaczy wiemy, że przyleciał pan z Waszyngtonu. Ale po co? Mówiąc te słowa zerknęła na koleżankę.

- Przywiozłem list od przewodniczącego Izby Reprezentantów dla admirała

Billingsa.

Obie dziewczyny wyraźnie się zdziwiły.

- To admirał nie ufa poczcie?

- To list kaperski. Słyszałyście kiedyś o liście kaperskim?

- Skąd! Co to takiego?

W oczach Westinghouse pojawiły się wesołe iskielki.

Dillon westchnął ciężko.

- To długa historia. Nie śledzicie wiadomości ze świata?

- Nie! - odpowiedziały obie jednocześnie.

- Ostatnio nie miałyśmy zbyt wiele wolnego czasu - dodała Westinghouse. - Od dwóch tygodni latamy z lotniskowca i na lotniskowiec co trzy do czterech godzin. Jeśli zdarzy się wolna chwila, śpimy. Były jakieś kłopoty z silnikami do F/A-18 i tylko my mogłyśmy dostarczyć części zapasowe. Co się właściwie stało? - spytała, przekładając torbę z ręki do ręki.

- Trochę trudno to wytłumaczyć. Kongres wystawił list kaperski dla waszej grupy bojowej, zlecającej jej załatwienie sprawy z grupą terrorystów, którzy zatopili amerykański statek

- Mnie się to bardzo podoba - stwierdziła Westinghouse. - Ktoś powinien załatwić tych kutasów. Na amen.

Dillon uniósł brwi. Niezbyt pasował mu ten język, komentarz zatrzymał jednak dla siebie.

- Jakim samolotem lecimy na okręt? - spytał tylko.

Morris spojrzała na niego niczym na małe, niezbyt inteligentne dziecko.

- DNO.

- Co to takiego ten DNO?

- No cóż, DNO to... DNO. Szary, brzydki, wręcz obrzydliwy.

Spojrzała na koleżankę, która natychmiast podjęła temat.

- Tak, jest brzydki, a poza tym powolny i często się psuje. Ostatnio mieliśmy z nimi mnóstwo kłopotów. Straciliśmy trzy w dwanaście tygodni.

Dillon szeroko otworzył oczy.

- Jak to „straciliśmy”?

- No... spadły do wody. Są naprawdę stare. Miały zostać wycofane pięć lat temu.

- Ale ludziom nic się nie stało?

Dziewczyny spojrzały na siebie, bardzo przekonywująco udając smutek.

- Niestety. Stało się.

- Niech pan się nie boi, panie Dillon - powiedziała ze współczuciem Westinghouse. - W naszym przeprowadzono już prawie wszystkie naprawy bieżące. Mechanicy obiecują, że lada chwila ustalą przyczynę katastrof.

Dillon milczał. W oczach dziewczyn igrały wesołe błyski. Żaden DNO nie uległ wypadkowi w ciągu ostatnich dwóch lat.

- A czy na lotniskowiec latają może helikoptery? - zainteresował się Jim Dillon.

- Nie, proszę pana. Mają za mały zasięg. Ma pan prosty wybór: albo my, albo nikt. Jeśli chce pan dostarczyć admirałowi ten swój wyjątkowy list, musi się pan zgodzić na DNO. Decyzja należy do pana. To co, lecimy?

Dillon niemal biegł za pilotkami. Umiały wyciągać nogi, nie ma co. Nie był przyzwyczajony do takiego tempa.

- Dobrze już, lecimy! - westchnął.

Przeszli przez nie oznakowane drzwi, zeszli po schodach i znaleźli się na betonowym pasie w pobliżu wieży. Ruszyli spacerkiem w kierunku samolotu Marynarki.

Dillon nagle uświadomił sobie natężenie panującego upału, wysysającego z niego wszystkie siły. Niczym młotem uderzyła go także wilgotność. Było to znacznie gorsze niż Waszyngton w środku lata, a przecież jeszcze przed chwilą uznaliby takie stwierdzenie za absurdalne. Owszem, temperatura wydała mu się przesadna już po wyjściu z samolotu, jednak dopiero teraz w całej pełni zdał sobie sprawę z tego, że przebywał wówczas w klimatyzowanym wnętrzu lotniskowego terminalu. Dopiero w tej chwili zetknął się z paraliżującą ciepłą i duszą rzeczywistością tropików.

Odetchnął głęboko, czując jak wilgoć osiada mu na włosach, i w płucach. Pełził po rozgrzanym asfalcie, ciągnąc za sobą nogi, a kiedy dostrzegł samolot, do którego zmierzali, omal nie zemdlął. Brzydszego samolotu nie widział w życiu.

Podszedł do nich wysoki młody marynarz w zielonym kombinezonie lotniczym z nomexu.

- Wszystko w porządku, macie Wilcox? - spytała go porucznik Westinghouse.

- Tak jest, pani porucznik. Trochę oleju wyciekło z silnika numer jeden, ale moim zdaniem to wina łąty, którą założyliśmy dwa tygodnie temu. - Przyjrzał się im zmrużonymi oczami. - Pewnie nie jest aż tak dobrze dopasowana. Ale wyciek trzyma się w granicach normy.

Porucznik Morris podeszła do Dillona.

- Proszę pana - powiedziała - zaraz startujemy, a nie załatwiliśmy jeszcze kilku spraw. Na przykład: czy przed opuszczeniem Waszyngtonu przekazano panu hasło?

- Jakie hasło?

Dillon był tak zmieszany, że już bardziej nie można.

- Hasło, upoważniające do wejścia na wyspę.

- Czy my lecimy na wyspę, czy na lotniskowiec?

- Właśnie o to mi chodzi: o wyspę, czyli pomost wyspowy ponad pokładem startowym. Żeby się do niego dostać trzeba znać hasło. Jeśli go pan nie zna, przez cały czas będzie pan musiał pozostać na pokładzie.

- Kpicie sobie ze mnie? - Dillon był bliski paniki. - Nikt nie dał mi żadnego hasła.

- Owszem, panie Dillon, kpimy - przyznała porucznik Westinghouse. - Żartujemy. Witamy w Singapurze.

Jim Dillon spojrział na porucznik Morris, która uśmiechnęła się do niego szeroko. Mat Wilcox nie wytrzymał i roześmiał się głośno.

- Wilcox - zwróciła się do niego Morris. - Zaprowadź gościa na miejsce. Zajmij się też jego bagażami. W południe mamy być nad lotniskowcem.

- Już się robi - odpart mat, wyciągając brudną rękę po torbę, a kiedy ją dostał, gestem zaprosił gościa do samolotu.

Fotel, który wskazał, nie sprawiał wrażenia wygodnego. Niemal całe wnętrze DNO zajmowały skrzynie i części samolotowe, pokryte grubą folią.

- Mam usiąść tyłem do przodu? - zdumiał się Dillon.

- Oczywiście, proszę pana - odpowiedział Wilcox. - Chociaż dla nas nie jest to „tyłem do przodu”. Wolimy mówić „twarzą do ogona”. To siedzenie jest znacznie praktyczniejsze w przypadku lądowania na linę, o którą zaczepia hak. Siła hamowania rzuca pasażera na oparcie. W innym przypadku pas przeciąłby go na pół.

Dillon przyjrzał mu się z niedowierzaniem.

- Będziemy lądowali na linę?

- Jeśli się uda.

Wilcox z nieukrywaną radością śledził wyraz twarzy gościa. Dillon usiadł w pokrytym płótnem fotelu i ciasno zapiął pas na wygniecionych spodniach. Wilcox podał mu kamizelkę ratunkową.

- Musi pan ją włożyć - tłumaczył, wsuwając ją pasażerowi przez głowę. - A teraz proszę się pochylić, żebym mógł zawiązać paski.

Następnie ukląkł przed Dillonem i spojrzał na niego, na odmianę śmiertelnie poważnie.

- Jeśli spadniemy do morza - tłumaczył - nie wolno panu nadmuchać tej kamizelki, póki nie znajdzie się pan poza maszyną.

- Dlaczego?

Dillon z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Jeśli ją pan nadmucha, nie wydobędzie się pan na zewnątrz. Nie będzie pan w stanie płynąć wystarczająco szybko, by wydostać się przez któreś z drzwi.

Jim Dillon przyglądał się Wilcoxowi przez chwilę, nie bardzo wiedząc, czy nie jest to przypadkiem kolejny żart.

- No dobrze - zgodził się z nadzieją, że cokolwiek by się stało nie „spadną do morza”.

Pozostało mu jeszcze nałożyć hełm z utwardzanego plastiku z ochroniaczami na uszy, przypominającymi grube słuchawki i ciasno zapiąć go pod brodą.

Słyszał, jak dwójka pilotów zajmuje miejsca w kabinie i jak zamykają się kolejne włazy. Był świadkiem wymiany gestów, nieznanymi mu słów i pozornie bezsensownych skrótów. W pewnym momencie maszyna zadrżała, to ruszyły pracujące przeraźliwie głośno silniki.

Dojechali do pasa i zatrzymali się. Silniki ryczały ogłuszająco na pełnej mocy. DNO trząsł się strasznie. Po krótkim rozpędzie maszyna wzleciała w powietrze.

Lot na „Constitution” nie dostarczył mu żadnych szczególnych przeżyć, choć hałas i wstrząsy były dość dokuczliwe. Po dziewięćdziesięciu minutach, nadal czując zawstydzające ściskanie w żołądku, Dillon zorientował się, że są już nad lotniskowcem i podchodzą do lądowania. Miał wielką ochotę wstać i wyjrzeć przez jedno z okien, by sprawdzić, jak lotniskowiec wygląda z góry. Jako mieszkaniec San Diego widział ich wiele, ale nigdy z samolotu, który właśnie podchodził do lądowania na jednym z nich.

Całym ciałem czuł, jak DNO powoli wytraca wysokość, co jakiś czas dokonując minimalnych korekt kursu. Nagle usłyszał przeraźliwy huk i odczuł wstrząs. Zaparł się nogami w siedzeniu oczekując, że maszyna zaraz spadnie z burty okrętu, a jego zaleją morskie fale. Zdał sobie sprawę, że raz za razem oddycha głęboko, napęliając płuca w oczekiwaniu katastrofy.

DNO nie spadł jednak z pokładu. Stał nieruchomo z ryczącymi, próbującymi znów poderwać go w powietrze silnikami. I one ucichły jednak w końcu, a maszyna odkołowała na miejsce postojowe. Dillon wypuścił powietrze z płuc i przybrał nonszalancki wyraz twarzy.

W wąskim korytarzyku pojawił się Wilcox. Wcisnął czarny przycisk, opuszczając rampę ogonową. Gestem nakazał pasażerowi rozpiąć pas i wstać. Dillon wstał posłusznie i wyrznął hełmem o niski dach kadłuba. Zgarbił się, czekając na opuszczenie schodków.

Wilcox sprowadził go rampą na pokład startowy lotniskowca. Wicher niemal go z niego zmiotł, choć eleganckie półbuty nieźle trzymały się specjalnej, przeciwpoślizgowej wykładziny. Zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby upadł na nią, zrujnowałby nie tylko tropikalny garnitur, lecz prawdopodobnie i ukrytą pod nim skórę.

Rozejrzał się dookoła, zdumiony i zafascynowany. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek przedtem znalazł się w miejscu tak hałaśliwym... i tak ruchliwym. Okręt, z powietrza sprawiający wrażenie niewielkiego, teraz wydał mu się przerażająco wielki. Samoloty kołowały we wszelkich możliwych kierunkach, mężczyźni w kaskach i goglach przemieszczali się, niemal biegnąc, pochyleni pod wiatr; wokół niego działo się tyle rzeczy zupełnie niezrozumiałych, że zamarł i tylko się gapił, bezskutecznie próbując jakoś ogarnąć to wszystko i uporządkować w wyobraźni.

Nagle ktoś klepnął go po ramieniu. To Wilcox sygnalizował mu, że ma pójść za nim. Skierowali się w stronę pomostu wyspowego. Przepuścili kogoś, kto zdążył przed nimi otworzyć wysokie stalowe drzwi i weszli do środka. Znaleźli się w niewielkiej salce, wypełnionej rozmawiającymi ze sobą ludźmi.

- Bardzo przepraszam, ale muszę wracać do samolotu - usłyszał od przewodnika Dillon. - Życzę szczęścia.

Jim Dillon tylko skinął głową, niezdolny wykrztusić ani słowa.

- Pan Dillon? - spytał go mężczyzna w białym mundurze.

- Tak, to ja.

- Oczekiwaliśmy pana. Adiutant admirała zaraz tu będzie. Proszono nas, żebyśmy się panem zajęli do jego przyjścia. Przekazał nam, że admirał chce się z panem spotkać najszybciej jak to będzie możliwe.

Kapitan Clay Bonham rozejrzał się po swej najnowszej „kwaterze”. Dziwił się, że przed wprowadzeniem go do niej nie zawiązano mu oczu; miła odmiana, tyle że mogło to świadczyć, iż terroryści zamierzają go wkrótce zabić.

Klimat na wyspie był zaiste tropikalny: upał, nieznośna wilgotność, gęste powietrze, którym nie sposób było oddychać. Jakże brakowało mu przyzwoitych dwudziestu dwóch stopni na mostku „Pacific Flyera”. Był zbyt pewny siebie. Kwestie bezpieczeństwa pozostawił innym: Fordowi, rządowi, Indonezji. Gdyby tylko zależały od niego... ale przecież nie zależały. On nie zadbał nawet o te środki ostrożności, które przecież mógł podjąć samodzielnie. A powinien zabezpieczyć się przeciw wszelkim możliwym zagrożeniom. Odetchnął głęboko, czuł mdłości, a bardzo nie chciał wymiotować. Od czasu, kiedy został wzięty do niewoli nie jadł nic. Tym ludziom rzeczywiście było chyba wszystko jedno czy żyje, czy nie. Dawali mu wodę, kiedy o nią poprosił i to było mniej więcej wszystko.

Spojrzał na trzech strażników, odprowadzających go do jednej z chat. Wraz z nimi szedł Waszyngton, osobiście pilnujący porządku przy przeprowadzce z jednej wyspy na drugą.

- Nasza Marynarka cię dorwie - syknął do niego Bonham przez zaciśnięte zęby.

Waszyngton krzyknął i prowadzący Bonhama mężczyźni zatrzymali się.

Następnie uderzył go w twarz.

- Nie mów mi co będzie - powiedział. - Nic nie wiesz.

- Wiem, że ciebie już nie ma.

- Kapitanie, wasz prezydent mówił całemu światu, że nie ma zamiaru zrobić w tej sprawie nic. Chce, żeby Indonezja załatwiła ją za niego.

- Nic takiego nie powiedział - zaprotestował Bonham, ale stracił nieco z pewności siebie.

- Słyszałem w CNN.

Waszyngton uśmiechnął się szeroko.

- Nie wierzę.

- Nie obchodzi mnie w co wierzysz. Dostosują się do naszych żądań. Prezydent już się do nich dostosował. Zobaczysz, że Marynarka zniknie z Morza Jawajskiego w ciągu dwóch dni.

- Nie sądzę.

Bonham pokręcił głową. Waszyngton spojrzał na niego, a potem zatoczył ręką koło.

- Nie ma znaczenia - stwierdził. - Jeśli przyjdą, będziemy gotowi.

- Bardzo dziękuję, że przyszedł pan o tak późnej godzinie, panie Pendelton.

David Pendelton majestatycznie skinął głową, nie burząc fryzury starannie zaczesanych, srebrzystych włosów. Twarz miał opaloną, lecz gładszą, niż można byłoby spodziewać się po sześćdziesięciolatku. Ubrany był w dwurzędowy garnitur w bardzo dyskretnej kratę, z brązowoczerwoną chusteczką w kieszeni na piersiach. Spod rękawów marynarki wysuwały się mankiety koszuli dokładnie na przepisowe ćwierć cala, a spinające je złote spinki były, jak należy, zaledwie widoczne.

David Pendelton pojawił się w Waszyngtonie kiedy jego firma zdecydowała, że musi mieć biuro w stolicy kraju, zwłaszcza że przewodniczący Izby Reprezentantów pochodził z San Diego. Dzięki Pendeltonowi waszyngtońskie biuro zaczęło odnosić sukcesy. Był on starszym wspólnikiem działu procesowego największej firmy prawniczej z San Diego: Blanchard, Bell i Martinez. Występował w przeszło dwustu procesach cywilnych, zdobył nagrodę najlepszego obrońcy sądowego w Kalifornii. W Waszyngtonie uczynił swą specjalnością reprezentowanie interesów Kalifornii wobec agencji prawnych Kongresu. Od pięciu lat ani razu nie występował przed sądem.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałem - powiedział przewodniczący. - A pan?

Pendelton tylko pokręcił głową. Cieszył się opinią człowieka spokojnego i małomównego, lecz równie inteligentnego co skutecznego.

- Ja też nie - przyznał po chwili.

- A co pan sądzi o wniesionym przeciw nam pozwie?

Przewodniczący jak zwykle nie owijał w bawelnę.

- Sądząc z tego, czego zdążyli dowiedzieć się moi ludzie i po przejrzeniu notatek pozostawionych przez pana Dillona, mogę powiedzieć, że jest to dość skomplikowany problem z zakresu prawa konstytucyjnego. Nie wydaje mi się, by tymczasowy zakaz sądowy był w tym przypadku właściwą odpowiedzią.

- Co powinniśmy teraz zrobić?

Adwokat siedział nieruchomo z nogą założoną na nogę. Twarz miał całkowicie obojętną. Po chwili milczenia wystarczająco długiej, by Stanbridge uznał ją za niezręczną, spytał:

- Co pan chce osiągnąć?

- Jak to, „co chcę osiągnąć”? - zdumiał się przewodniczący.

- Co pan chce osiągnąć - powtórzył spokojnie Stanbridge.

- Osiągnąć czym?

- Listem kaperskim. W jakim celu go pan wystawił?

Przewodniczący zajął miejsce dokładnie naprzeciw prawnika.

- Chcę by Marynarka i piechota morska Stanów Zjednoczonych wzięły się za tych terrorystów, kimkolwiek są, żeby nakopali im w tyłki i najlepiej wzięli ich do niewoli, a następnie powrócili do domu w zasłużonej glorii bohaterów. Dokładnie tego chcę.

- Czy pańskim zdaniem ten admirał... Billings... zaakceptuje list?

- Tak sądzę, ale nie mam stuprocentowej pewności.

- Nie kontaktował się pan z admirałem przed wystawieniem listu?

- Nie. - Stanbridge poczuł się naraz niepewnie. Rzeczywiście, powinien jako przygotować admirała, zamiast zwać go na barki całą tę sprawę bez uprzedzenia. - Być może rzeczywiście powinienem, ale się z nim nie kontaktowałem. Jedno jednak mogę powiedzieć panu z całą pewnością: sam służyłem w Marynarce i wiem, jak ci ludzie myślą. Nie marzą o niczym innym tylko o zmianie codziennej rutyny, o możliwości wypróbowania nowego sprzętu i nowej taktyki. Niezależnie od tego co mogliby powiedzieć, moim zdaniem wykorzystają nadarżającą się szansę.

Pendelton w żaden sposób nie zdradził, co o tym wszystkim myśli.

- Ma pan jakieś cele poboczne? - spytał.

- Po co te wszystkie pytania? - Stanbridge stracił wreszcie cierpliwość. - Sądziłem, że pana zadaniem jest reprezentowanie mnie i Kongresu w tej niesłychanej, założonej przez prezydenta sprawie. Że pan nas z niej wyciągnie.

- We właściwym czasie. - Prawnik patrzył na przewodniczącego Izby Reprezentantów, jak na niezbyt roztropnego świadka. - Czy zakładał pan sobie jakieś cele poboczne? - powtórzył pytanie. - Czy chce pan osiągnąć coś jeszcze, poza pokonaniem terrorystów?

- Na przykład co?

- Na przykład podważenie władzy prezydenta.

Stanbridge nie odpowiedział od razu.

- Właściwie nie - stwierdził po przedłużającej się chwili milczenia. - Rzucam wyzwanie urzędującemu prezydentowi, nie mam jednak zamiaru podważać autorytetu urzędu. Nie stawiam sobie tego za cel. Jeśli prezydent chce walczyć, nie mam nic przeciwko temu, podważenie czyjegoś autorytetu nie było jednak i nadal nie jest moim zamiarem.

- Doskonale - skinął głową Pendelton. - Mamy więc pełną jasność co do naszych celów. Dzięki temu wiemy, pod jakim kątem zaatakować pozew. - Wstał, podszedł do okna i z założonymi rękami przyglądał się pomnikowi Waszyngtona. - Czy zamierza pan udzielić mi jakiś szczegółowych instrukcji co do metod działania w tej sprawie? - spytał.

- Nie mam pojęcia, co należy zrobić i jak. Niech pan mi powie, co możemy osiągnąć, a czego nie możemy.

- Tak jak ja to widzę, panie przewodniczący, pan i Kongres stoicie przed alternatywą. Jeśli chcecie uczynić sprawę głośną, możemy dyskutować z przeciwnikami punkt po punkcie i próbować zwycięstwa przez udowodnienie, że mamy rację. Z drugiej strony możemy opóźnić sprawę jak długo się da, tak że kiedy zapadnie decyzja, wszystko będzie już rozstrzygnięte i sąd najprawdopodobniej oddali sprawę jako nieaktualną. Czy rozumie pan to, co powiedziałem?

- Oczywiście, że rozumiem.

- Czy któraś z zarysowanych przeze mnie możliwości bardziej panu odpowiada?

- Zdecydowanie pierwsza, dyskusja punkt po punkcie. Naprawdę wierzę, że Kongres użył wyłącznie należytą mu władzy, i że powinien używać jej częściej. - Stanbridge wyraźnie się ożywił. - Od pięćdziesięciu lat, od czasów Korei, prowadzimy wojny na całym świecie, lecz Kongres ani razu nie wypowiedział wojny. Po raz ostami zdobył się na to w czasie drugiej wojny światowej. Toż to skandal! To uzurpacja władzy przez prezydentów, a także dobrowolne oddanie władzy przez Kongres. Kongres przegłosował niedonoszoną Ustawę o Prowadzeniu Wojny, próbując ograniczyć prezydentom możliwość wysyłania żołnierzy za granicę. Wówczas właśnie powinniśmy rozwiązać podobne problemy. No, ale ich nie rozwiązaliśmy i teraz mamy za swoje. Przyszedł czas, by jednoznacznie określić, kto ma prawo prowadzić wojnę. Mianowicie Kongres, a nie prezydent, co wyraźnie określone zostało w konstytucji. List kaperski to kolejny krok. - Stanbridge podrapał się po głowie, a

potem potarł oczy. - Poza tym - przyznał, czując ogarniające go zmęczenie - bardzo nie lubię przegrywać. Chcę dorwać tych Indonezyjczyków i jeśli po to, by ich dorwać, musimy grać na czas, niech i tak będzie.

Pendelton wstał i podniósł teczkę.

- Rozumiem - powiedział. - O dziewiątej zjawię się osobiście na rozprawie wstępnej w Sądzie Okręgowym. Odradzam panu uczestnictwo w rozprawie, na sali nie powinni też pojawić się inni członkowie Izby Reprezentantów.

Stanbridge skinął głową.

- Zaraz po przesłuchaniu skontaktuję się z panem i przekażę jego wyniki.

Ruszył do wyjścia. Przewodniczący zatrzymał go, gdy kładł już dłoń na klamce.

- David, pozwól, że o coś cię zapytam - powiedział. - Mamy do czynienia z problemem prawa konstytucyjnego, prawda?

Pendelton skinął głową.

- Prezydent jest naczelnym dowódcą sił zbrojnych, prawda?

Pytanie sprawiało wrażenie retorycznego, prawnik nie pofatygował się więc, by udzielić na nie odpowiedź.

- A jeśli prezydent Stanów Zjednoczonych jest pacyfistą... co wtedy?

Pendelton czekał w milczeniu na sformułowanie bardziej zrozumiałego pytania, czujnie wpatrując się w rozmówcę zmrużonymi oczami.

Stanbridge wstał i podszedł do niego, odruchowo sprawdzając, czy koszula nie wyszła mu ze spodni.

- Jeśli naczelny dowódca sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych nie ma zamiaru, powtarzam: nie ma zamiaru użyć wojska oraz jądrowych sił obronnych w żadnych, ale to żadnych okolicznościach, nie jest zdolny do sprawowania urzędu prezydenta, nie myłę się?

Prawniki milczał, choć doskonale wiedział, do czego prowadzi ta przemowa.

- A w takim razie obowiązkiem Kongresu byłoby wszczęcie procedury o pozbawienie go urzędu, prawda? - zakończył wywód przewodniczący Izby Reprezentantów.

16.

Porucznik Rick Reynolds, adiutant admirała Billingsa, sprowadził Jima Dillona schodnią na pokład O3, znajdujący się pod pokładem startowym lotniskowca i nieco mniej od niego hałaśliwy. Znaleźli się w wyłożonym niebieskimi kafelkami korytarzu, po czym skręcili w prawo, w stronę dziobu. Przed drzwiami z napisem MESA ADMIRALSKA zatrzymał się, stanął na baczność i zapukał. Otworzył im wartownik z piechoty morskiej i bez słowa wpuścił ich do środka.

Reynolds zatrzymał się mniej więcej trzy metry od drzwi, obok stołu, przy którym siedzieli oficerowie. Dillon rozejrzał się dookoła. Wszystko tu wyglądało zupełnie inaczej, niż się spodziewał. Wiele słyszał o tym, jak ciasne i niewygodne są okręty wojenne i, choć lotniskowiec był z nich największy, zakładał, że poza tym nic go nie różni od reszty floty. Ta sala jednak wydała mu się po prostu wielka. Mieścił się i niej stół z dziesięcioma krzesłami, z których prawie każde było zajęte, wnęka z kanapą, fotelami i stolikiem do kawy oraz kuchnia. Na ścianach wisały obrazy, a nie instrukcje jak postępować na wypadek różnych nieszczęść, które widział wszędzie indziej. Przyjrzał się tęsknie pokrytej skórą kanapie, marząc, by móc się na niej wyciągnąć i spokojnie zasnąć. I nagle dostrzegł wśród obrazów oprawioną kopię pierwszej strony konstytucji Stanów Zjednoczonych, wielkości kartki pocztowej. „My,

Naród Amerykański...” Obok niej wisiał obraz przedstawiający pierwszy okręt o nazwie „Constitution”, niepokonaną fregatę, bohaterko zmagającą się z okrętami angielskimi, dziś wspaniale odnowioną, stacjonującą w porcie w Bostonie.

Następnie przyjrzał się zasiadającym przy stole oficerom. W ustach miał sucho, serce biło mu bardzo mocno. Zdążył się już przyzwyczaić do towarzystwa ludzi sprawujących władzę, nadal jednak czuł się nieswojo wobec wojskowych. Ich świat był dla niego światem nieznanym, obraz żołnierzy wyrobił sobie z drugiej ręki, a otoczenie go onieśmielało.

- Niech mi wolno będzie przedstawić pana Jamesa Dillona, asystenta przewodniczącego Izby Reprezentantów - powiedział adiutant. - Niech mi wolno będzie przedstawić admirała Raya Billingsa, dowódcę grupy bojowej lotniskowca „Constitution” oraz jego sztab.

Admirał Billings wstał, podszedł do gościa i serdecznie uściśnął mu dłoń.

- Dzień dobry, panie Dillon - powiedział. - Witam pana na moim okręcie.

- Dziękuję, panie admirale. To dla mnie zaszczyt.

- Mam nadzieję, że podróż nie była zbyt męcząca?

Dillon skrzywił się przeraźliwie.

- Nie miałem pojęcia, jaka wielka jest Ziemia, póki nie objechałem jej połowy w jeden dzień - przyznał.

Admirał roześmiał się.

- To niech pan sobie wyobrazi ile trwało dostarczenie poprzedniego listu kaperskiego. Podróż zabrałaby panu wówczas pół roku... jeśli w ogóle dotarłby pan do celu. - Dillon skinął głową, przyznając rację rozmówcy. - Proszę, niech pan siada. Właśnie rozmawialiśmy o tym, co zrobić z pańskim listem. Atak planujemy przeprowadzić za mniej więcej trzydzieści sześć godzin.

Dillona przeszył nagle zimny dreszcz.

- Kawy? - spytał admirał siadając.

Jim Dillon skinął na stewarda trzymającego dzbanek kawy.

- O jakim ataku mówimy, admirale? - spytał.

- Ależ oczywiście o ataku na terrorystów ukrytych na Bunaya.

Billings wskazał gościowi miejsce po przeciwnej stronie stołu.

- Zdaje się, że zgubiłem gdzieś torbę?

Do rozmowy wtrącił się adiutant.

- Ależ nie, proszę pana. Zajęliśmy się już pańskim bagażem - oznajmił. - Mat Johansen zaniósł go do pańskiej kabiny.

- Mojej kabiny?

A Tak jest, proszę pana. Jak zrozumiałem, pozostanie pan u nas dzień, może dwa. Znaleźliśmy dla pana kabinę na drugim pokładzie.

- Dwa dni? Ale dlaczego? - zdumiał się Dillon.

- Wszystko zależy od rozkładu lotów DNO. - Adiutant spojrzął na admirała niepewny, czy nie monopolizuje rozmowy. - Ma pan powrócić na ląd jutro wieczorem, lot jednak może przesunąć się o dobę, a jeśli dojdzie do ataku, nawet o dłużej niż dobę.

Dillon drgnął, wyobrażając sobie, że będzie obecny na lotniskowcu podczas ataku na terrorystów. Oczywiście, naoczne sprawdzenie jak w praktyce działa list kaperski byłoby interesujące, doskonale zdawał sobie jednak sprawę z konsekwencji takiego obrotu sytuacji. Usiadł powoli z nadzieją, że nikt nie dostrzegł jego rozterek. Usilnie starał się sprawiać wrażenie człowieka starszego i bardziej światowego, niż był w istocie.

- No cóż - powiedział admirał. - Przede wszystkim pozwoli pan, że przedstawię panu obecnych.

Byli wśród nich szef sztabu, oficer wywiadu i oficer operacyjny. Gościa zaskoczyła Beth Griffith, przez chwilę nie był w stanie oderwać od niej oczu.

- Panie Dillon - mówił dalej admirał, podczas gdy steward nalewał gościowi kawę do porcelanowej filiżanki ozdobionej znakiem niebieskiej kotwicy - nim przejdziemy dalej... jak rozumiem, przywiózł pan ze sobą list kaperski? - Spojrzał na leżącą na stole skórzaną teczkę. - Mam rację?

- Ależ oczywiście, panie admirale.

- Czy mógłby pan go przeczytać?

Dillon uniósł brwi, zdziwiony tym żądaniem, po czym otworzył teczkę.

W sali zapadła nagle martwa cisza. Ucichł brzęk filiżanek, szmer rozmów, skrzypienie krzeseł. Cała uwaga zgromadzonych skupiła się na nim.

Dillon odczytał wystawiony przez Kongres list kaperski sformułowany niemal identycznie jak ten z 1812 roku, wystawiony przez Kongres i podpisany przez Jamesa Madisona. Język uwspółcześniono nieco i pozbawiono wielu ozdobników, pozostał on jednak staroświecki, elegancki i ozdobny. Kiedy skończył, rozejrzał się dookoła.

Nikt nie odezwał się ani słowem.

- No cóż - przerwał milczenie admirał. - Otóż to. List bardzo przypomina rozkaz operacyjny, mamy podany czas, obiekt ataku oraz cel, który powinniśmy osiągnąć. Czy ktoś chciałby coś powiedzieć?

Kilku oficerów pokręciło głowami, kilku siedziało nieruchomo. Beth Griffith przesunęła palcem po krawędzi filiżanki.

- Mam wrażenie, panie Dillon, że pozostaje nam do rozstrzygnięcia tylko jeden problem, a mianowicie: czy powinniśmy przyjąć ten list? - zapytał admirał.

Dillon siedział przy stole, wsłuchując się w charakterystyczne dla lotniskowca odgłosy: huk silników samolotowych dobiegających z góry, szum maszynowni pochodzący z dohi, hałas klimatyzacji, rozmowy i pośpieszne kroki w korytarzu, od którego oddzielały ich wyłącznie cienkie metalowe drzwi. Zdawał sobie sprawę z tego, że się poci, choć w mesie było chłodno. Nie wiedział, czy admirał zadał pytanie retoryczne, czy też spodziewał się odpowiedzi. Czy czekał, aż on sam wypowie głośno to, co wydaje się oczywiste lub wtajemniczy ich w motywy kierujące nim i przewodniczącym?

- Owszem, powinniście - powiedział w końcu, z wahaniem.

Admirał dopił kawę i ostrożnie odstawił filiżankę.

- A dlaczego?

Dillon wyprostował się w krześle, świadom, że znajduje się w centrum uwagi wszystkich obecnych.

- Ponieważ list oparty jest bezpośrednio na konstytucji i został zgodnie z prawem przegłosowany w obu izbach Kongresu.

Billings skinął głową. Z leżącej obok niego teczki wyciągnął pojedynczą kartkę.

DEP 071500Z Luty 01

OD: Waszyngton DC //PKSS//

DO: GB SIEDEM SIEDEM PRZECINEK JEDEN

BIAŁY DOM, WASZYNGTON

SEKRETARZ OBRONY

TAJNE

ROZKAZ BOJOWY

1. Prezydent Stanów Zjednoczonych poprzez przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów rozkazuje niniejszym zaprzestanie obecnych i nie podejmowanie nowych działań prowadzących do wykrycia i obserwowania uczestników ataku na „Pacific Flyera”.

2. Rozkazuje niniejszym wycofanie się z Morza Jawajskiego i natychmiastowe przyjęcie kursu na Pearl Harbor.

3. Zakazuje, powtarzam, zakazuje podejmowania działań według wymagań lub rozkazów wystawionego przez Kongres listu kaperskiego oraz tropienia, angażowania i atakowania jakichkolwiek sił. Wszystkie działania podjęte przez grupę bojową pod pańską komendą lub przez kogoś z podległych panu oficerów traktowane będą jako bezpośrednie pogwałcenie niniejszego rozkazu.

4. Potwierdzić przyjęcie rozkazu i intencję podporządkowania się mu.

Prezydent USA

Przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów

Billings skończył czytać i rozejrzał się po twarzach obecnych. Niczego nie trzeba tu było nikomu tłumaczyć. Wyprostował się i oparł łokcie na stole.

- Kto wygra? - spytał. - Pański list czy rozkaz prezydenta i przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów?

Komandor Mike Caskey i „Messer” Schmidt sprawdzili położenie przełączników. Tomcat skręcił w kierunku wyspy. Caskey widział ją wyraźnie w promieniach popołudniowego słońca. Ich zadaniem było wykonanie zdjęć i pomiarów promieniowania elektromagnetycznego.

- Mam dobry obraz radarowy wyspy, szefie.

- Potwierdzam. Coś niezwykłego?

- Nic.

- Doskonale. Zaczynamy.

Caskey nakierował nos maszyny na horyzont i dał pełną prędkość bojową. Od wyspy dzieliło ich dwadzieścia osiem kilometrów. Ich celem było przelecenie nad wyspą z prędkością tysiąca stu kilometrów na godzinę, tuż poniżej prędkości dźwięku.

Caskey kochał pilotowanie F-14. Służył w Marynarce, by pilotować F-14, znalazł się na szczycie jako dowódca dywizjonu F-14B, stacjonującego na pokładzie najnowszego lotniskowca Marynarki i było to spełnieniem wszystkich jego marzeń.

- Odległość? - spytał Messera.

- Dziesięć kilometrów.

- Doskonale. To niewielka wyspa, powinniśmy wszystko załatwić za jednym przelotem.

Messer sprawdził ustawienie kamer.

- No i jak to wygląda w telewizji?

Messer ustawił kąt kamery, umieszczonej w zagłębieniu poniżej nosa maszyny. Umożliwiła mu ona dokonanie zbliżenia na wyspę i obserwację jej na wewnętrznym ekranie telewizyjnym.

- Nie widzę nic specjalnego, ale cała wyspa jest gęsto porośniętą dżunglą. Moim zdaniem niczego w ogóle nie zobaczymy.

- Włączam łączność bezpośrednią - powiedział Caskey, przerzucając przełącznik włączający mikrofony w maskach tlenowych hełmów.

Słyszeli teraz własne oddechy, mogli też porozumiewać się bez przyciskania guzików.

- Pamiętasz, gdzie miały być te bunkry?

- Po południowej stronie wyspy, kilka kilometrów od plaży.

- No to uważaj, co się tam dzieje.

- Załatwione.

- Kamera! - krzyknął Messer.

Caskey włączył dopalacze, przyspieszając już nad samą wyspą.

Nagle Messer usłyszał w słuchawkach świergot. Natychmiast sprawdził wskaźnik opromieniowania radarowego.

- Szefie! Namiar rakiety przeciwlotniczej na godzinie pierwszej!

Caskey spojrział we wskazanym kierunku, nie dostrzegł jednak żadnych śladów wystrzelenia rakiety.

- Pusto w powietrzu - zameldował, oddychając ciężko. Zaciskał dłoń na drążku, gotów wykonać unik, gdyby rzeczywiście wystrzelono w ich kierunku raketę. - Masz wskazania wystrzelenia rakiety?

- Nie, nie mam! - Messer niemal krzyczał. - Moim zdaniem nas sprawdzają.

- Miej oczy otwarte.

- Jasne.

Rakieta ziemia-powietrze uderzyła Tomcata pomiędzy silniki w tylnej części kadłuba. Kawałki silników i kadłuba spadły na ziemię. Samolot płonąc przeleciał nad wyspą i znalazł się nad otwartym oceanem. Pilot walczył o odzyskanie kontroli nad maszyną i ściągał drążek na siebie, poświęcając prędkość, by nabrać wysokości.

- Dasz radę? - krzyknął Messer, bliski paniki.

- Silniki się przegrzewają. Utrzymam je na obrotach, by odejść od wyspy tak daleko, jak tylko jest to możliwe - syknął Caskey przez zaciśnięte zęby. - Wszystko mi padło. Mam dwa ostrzeżenia pożarowe.

Messer złapał prawą dłońią wyrzutnik fotela, umieszczony pomiędzy nogami.

- Oba silniki moc minimalna, wyłącz dopływ powietrza. Sprawdź światła.

- Tracimy oba silniki... Musimy oddalić się od wyspy!

- Zamelduj gotowość. Wyrzucę nas...

W tym momencie siadło zasilanie i wszelka komunikacja pomiędzy załogą ustała. Tomcat przewrócił się na grzbiet przez lewe skrzydło i runął do oceanu.

- Dzień dobry, Wysoki Sądzie. - David Pendelton wypowiedział te słowa bardzo cicho i sędzia, by je usłyszeć, musiał wychylić się ze swego miejsca. Sala rozpraw Sądu Okręgowego Dystryktu Columbia wypełniona była do ostatniego miejsca.

- Dzień dobry, Wysoki Sądzie - powiedział Jackson Gray, jeden ze starszych prawników sądowych Departamentu Sprawiedliwości. - Występuję w imieniu Stanów Zjednoczonych.

Okulary w złotej oprawce nadawały czarnej twarzy Graya wyraz intelektualnego napięcia, podkreślony jeszcze czarną, krótko przyciętą brodą.

- Dzień dobry... - zdążył powiedzieć sędzia, kiedy mu przerwano.

- Bardzo przepraszam, Wysoki Sądzie - zaprotestował Pendelton - ale pan Gray chyba się przejęczył. Powiedział, że występuje w imieniu Stanów Zjednoczonych. Obawiam się jednak, że w tym wypadku reprezentuje on raczej prezydenta Manchesteru niż Stany Zjednoczone.

- Występuję w imieniu Stanów Zjednoczonych - powtórzył Gray.

- Dzień dobry panom - powiedział sędzia Lee, starszy sędzia Sądu Okręgowego. Zgłosił się na ochotnika do tej sprawy, której nikt nie chciał prowadzić. Rozejrzał się po sali rozpraw, w której nie było ani jednego wolnego miejsca. - Panie i panowie - mówił cicho, dzięki czemu nikt z publiczności nie ośmielił się nawet odetchnąć głębiej. - Sprawa ta cieszy się powszechnym zainteresowaniem. Jest bardzo ważna, podobnie jak każde wypowiedziane w niej słowo. Niestety, nie byłem w stanie usłyszeć tego, co już zostało powiedziane z powodu panującego wśród publiczność hałasu. - Sędzia poprawił okulary bez oprawki. - Jeśli ktokolwiek z państwa odezwie się choćby słowem, woźny sądowy wyprowadzi go na korytarz. - Groźnym wzrokiem obrzucił dziennikarzy i przedstawicieli świata polityki, po czym całą swą uwagę skupił na prawnikach. - Panie Gray, wniósł pan pozew do sądu. Zapoznałem się z wnioskiem i załącznikami wniosku o polecenie wstrzymania wykonania listu kaperskiego, oraz uznanie go za bezzasadny i nielegalny. Wniesiono go w imieniu prezydenta, jako

osoby prywatnej oraz prezydenta jako głowy państwa i zwierzchnika władzy wykonawczej. Mam rację?

- Oczywiście, Wysoki Sądzie. Jeśli wolno, pragnę dodać, że pozew wniesiony został we właściwym czasie, i że przewodniczący Izby Reprezentantów przyjął go w imieniu swoim i Kongresu...

- Jeśli wolno mi coś powiedzieć, Wysoki Sądzie - wtrącił Pendelton. - Przewodniczący Izby Reprezentantów nie przyjął wezwania w swoim i niczym innym imieniu. Doręczono mu je przez posłańca wczoraj rano. Wręczono mu także dwa egzemplarze wniosku. Na tym zamyka się jego udział w tej sprawie.

- Dziękuję za wyjaśnienie, mecenasie. Panie Gray, dlaczego podjęto tak niezwykle kroki? Dlaczego wniesiono o zawieszenie decyzji Kongresu w trybie natychmiastowym? Pozwany ma na ogół dwadzieścia dni na odpowiedź.

Pendelton siedział za wielkim stołem w pokrytej boazerią sali sądowej. Zamkniętą teczkę postawił obok na podłodze. Nie wyłożył na stół żadnych papierów. Jackson Gray korzystał z notatnika, wypełnionego opisanymi według hierarchii ważności sprawami. Ten wysoki, szczupły mężczyzna około pięćdziesiątki był wyraźnie zdenerwowany, ale panował nad sobą.

- Proszę, by sąd wziął pod uwagę - powiedział - materiały zawarte w gazetach wczorajszych i dzisiejszych, w których opisano, jak Kongres wystawił coś nazwanego „listem kaperskim” grupie bojowej Marynarki, znajdującej się na Morzu Jawajskim. Celem Kongresu jest nadużycie władzy, przypisanej w konstytucji prezydentowi jako naczelnemu dowódcy, przez wydanie Marynarce rozkazu zaatakowania wyznaczonej grupy ludzi znajdującej się na terytorium Indonezji, kraju, w którym nie jesteśmy w stanie wojny. Sytuacja ta jest z całą pewnością niedopuszczalna, niekonstytucyjna, i należy położyć jej kres jak najszybciej. Prezydent rozkazał grupie bojowej opuścić rejon, w tej chwili jednak nie jest jeszcze jasne, czy zastosuje się ona do jego rozkazu. Wydaje się to nieprawdopodobne, należy jednak dopuścić możliwość, że grupa bojowa lotniskowca zdecyduje się postępować raczej w myśl wskazań listu kaperskiego niż bezpośredniego rozkazu najwyższego dowódcy. Z tego powodu, oraz z powodu zdumiewającego nadużycia tej minimalnej władzy wykonawczej, którą daje Kongresowi konstytucja, prezydent uznał za konieczne zwrócić się do sądu o wydanie polecenia wstrzymania działań oraz wyroku o niezgodności ich z konstytucją. Sąd zapoznał się z naszymi materiałami, czekam więc teraz na jego pytania... jeśli ma pytania.

Sędzia Lee przerzucił kilka stron ze stosu leżących przed nim dokumentów, po czym spojrzął na Davida Pendeltona.

- Mecenasie?

Pendelton wstał. Poprawił marynarkę. Odczekał dłuższą chwilę, podczas gdy napięcie na sali rosło, a kiedy sięgnęło zenitu, przemówił:

- Wysoki Sądzie, sąd nie może rozważyć dziś przedstawionej mu sprawy, ponieważ strona niezbędna do jej wyjaśnienia pozostaje nieobecna przed sądem. - Przerwał. Siedzący za nim ludzie próbowali porozumieć się szeptem, umilkli jednak, gdy sędzia spojrzął na nich ostro. Zapadła cisza i Pendelton mógł kontynuować mowę. - Pan Gray, w imieniu Departamentu Sprawiedliwości i prokuratora generalnego pojawił się dziś przed sądem, przedstawiając wniosek o uchylenie wystawionego przez Kongres listu kaperskiego. Jest to, oczywiście, niemożliwe. List kaperski został już wystawiony. Wniósł też o uznanie go za niekonstytucyjny. Wolno mu wnieść taki wniosek, nie ma on jednak wartości procesowej. Nie może jej mieć. Jakakolwiek decyzja dotycząca konstytucyjności czegoś tak głęboko zakorzenionego w historii i obrosłego w precedensy może zostać podjęta tylko wówczas, gdy da się Kongresowi możliwość udzielenia odpowiedzi. Tej opinii nikt się chyba nie sprzeciwi. - Pendelton

przerwał na chwilę i mówił dalej: - Najważniejszą jednak kwestią, Wysoki Sądzie, jest fakt, że na sali brakuje strony, którą prokurator generalny i prezydent z pewnością chcieliby zobaczyć. Stroną ową jest w tym przypadku Marynarka Stanów Zjednoczonych. Pan Gray potwierdził, że to właśnie działania Marynarki mogą złamać prawo. To Marynarka, w postaci grupy bojowej lotniskowca, ma zareagować na działanie sprowadzające się do zamordowania Amerykanów. To Marynarka zastosuje się, lub nie zastosuje, do listu kaperskiego wystawionego w oparciu o konstytucję Stanów Zjednoczonych, Artykuł 1, Paragraf 8. Przed sąd należy więc wezwać Marynarkę.

Pendelton umilkł na chwilę. Obecni na sali wstrzymali oddech.

- O ile jestem w stanie stwierdzić, Marynarka Stanów Zjednoczonych nie jest reprezentowana przed sądem, nie została wymieniona w pozwie, nie otrzymała też wezwania. Co więcej, wskazuje to też na podstawowy konflikt interesów, przed jakim staje prokurator generalny, reprezentując jedną władzę wykonawczą przeciwko innej. - Spojrzał na Graya i patrzył na niego, choć jego słowa skierowane były bezpośrednio do sądu. - Prokurator generalny, Wysoki Sądzie, ni mniej ni więcej tylko oskarża Marynarkę, będącą z definicji częścią władzy wykonawczej rządu, podległą prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie władza wykonawcza wnosi pozew. By powstrzymać Marynarkę niepotrzebny jest wyrok sądu, wystarczy rozkaz prezydenta. Jak rozumiem, rozkaz taki został wydany. W takim razie Marynarka jako taka podejmie decyzję, czy podporządkuje się rozkazowi prezydenta, który nie chce reagować na atak na obywateli amerykańskich, czy też wykona rozkaz zawarty w konstytucyjnie wystawionym liście kaperskim, sformułowanym przez przedstawicieli narodu amerykańskiego.

Na sali powstało zamieszanie. Niektórzy dziennikarze wybiegli na korytarz, ściskając w ręku notesy.

Gray poderwał się na równe nogi.

- Wysoki Sądzie, pragnę odpowiedzieć...

Sędzia Lee uniósł dłoń.

- Panie Gray, miał pan okazję, by przedstawić swój punkt widzenia. W tej chwili przemawia pan Pendelton. Umożliwię panu ustosunkowanie się do jego argumentów.

Molly nie potrafiła opanować drżenia dłoni. Pendelton niszczył cały jej plan. Sędzia Lee musi wydać wyrok wstrzymujący akcję albo stanie się najgorsze. Musi wydać wyrok wstrzymujący akcję, nim zaczną ginąć ludzie.

Pendelton tymczasem nie spuszczał wzroku z twarzy sędziego, czekając, aż umilknie zamieszanie na sali.

- Wysoki Sądzie, dla każdego jest chyba jasne, że pan Gray znalazł się w sytuacji konfliktu interesów. Próbuje oto doprowadzić do postępowania sądowego w imieniu władzy wykonawczej przeciwko władzy wykonawczej. Wysoki Sądzie, dziękuję za uwagę.

Pendelton usiadł, splatając dłonie na stole. Gray poderwał się na równe nogi. Sędzia dopuścił go do głosu.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Zdumiewa mnie tak bezczelne podejście Kongresu do fundamentalnej kwestii konstytucyjnej. Kongres próbuje zwalić całą sprawę na Marynarkę, podczas gdy pozostaje faktem, że to on wystawił ten niekonstytucyjny list kaperski. Kongres próbuje ingerować pomiędzy naczelnego dowódcę i Marynarkę, rozkazując tejże Marynarce wykonanie działań, których w szczególności zakazano jej wykonać. Jeśli wolno mi tak się wyrazić, tego typu argumentacja ma za zadanie wpuścić nas w maliny. Sąd dysponuje władzą i musi działać w oparciu o tę władzę. Jeśli zaniecha działania, to, co ma zdarzyć się po wystawieniu listu kaperskiego, łatwo może wymknąć się spod kontroli. Konsekwencje tego dla Stanów Zjednoczonych, ich

polityki zagranicznej i autorytetu prezydenta są po prostu nieobliczalne. Podważona zostanie sama konstytucja Stanów Zjednoczonych. - Gray przerwał dla większego efektu. - Wysoki Sąd musi podjąć określone działania i musi je podjąć już, w tej chwili. Przygotowałem szkic rozkazu zakazującego Kongresowi wystawienia listu kaperskiego oraz uznającego go za niekonstytucyjny do czasu, kiedy przeprowadzone zostanie dalsze dochodzenie i dojdzie do wydania ostatecznego wyroku sądowego. Chciałbym przedstawić go sądowi w tej chwili - Gray podał kopię dokumentu Davidowi Pendeltonowi, który odłożył go bez czytania, oryginał zaś przekazał sędziemu przez woźnego sądowego.

- Coś jeszcze, panie mecenasie? - spytał sędzia.

- Wysoki Sądzie, mam jeszcze wiele do powiedzenia na ten temat i jestem gotów argumentować za uznaniem działalności Kongresu za nielegalną.

Pendelton powoli wstał:

- Wysoki Sądzie, nie jestem przygotowany do dyskusji na temat każdego punktu pozwu, jako że Kongres otrzymał wezwanie zaledwie wczoraj. Pobieźnie jednak zapoznałem się z przytoczonymi tam punktami. Jestem pewien, że Kongres wygra i że jego działania są w pełni konstytucyjne, choćby ze względu na jasny język odpowiednich sformułowań w dokumencie. Niemniej nie jestem gotów do omawiania tej bardzo skomplikowanej sprawy, mając na przygotowania zaledwie dwadzieścia cztery godziny.

- Panie Pendelton - powiedział spokojnie sędzia - czy utrzymuje pan, że Kongres wystawił list kaperski nie przeprowadzając ekspertyz prawnych koniecznych do określenia jego zgodności z konstytucją? Czy to możliwe, by wystawił list, a następnie pozwolił panu pojawić się przed sądem i twierdzić, że nie jest pan w stanie usprawiedliwić jego wystawienia? - Sędzia Lee zwrócił się do Graya. - Panie Gray, przeczytałem przedstawione przez pana dokumenty. Jak rozumiem, wyjaśniają one pańskie stanowisko w sposób wyczerpujący?

- Tak jest, Wysoki Sądzie. Dodatkowo zapoznałem się także z odpowiednimi sprawami, dzięki czemu mogę przytoczyć więcej argumentów, ale w pozwie zawarta jest istota sprawy.

- Doskonale. Dziękuję panom.

Sędzia wstał. Gray spojrział na niego, wyraźnie zdziwiony.

- Wysoki Sądzie, niech mi będzie wolno coś powiedzieć. Jest bardzo ważne, byśmy jak najszybciej dowiedzieli się, na czym stoimy. Nie zamierzam sugerować, że sąd preferuje którąś ze stron, lecz jeśli Wysoki Sąd nie wyda tymczasowego polecenia zaniechania działań, mam zamiar jeszcze dziś rano, na podstawie paragrafu 1292 artykułu 1 wystąpić z wnioskiem o apelację w trybie nagłym do Sądu Okręgowego Dystryktu Columbia, a także o zawieszenie zwyczajowych ograniczeń czasowych na podstawie paragrafu 2. Czy mogę prosić Wysoki Sąd o wydanie wyroku w ciągu godziny?

Sędzia Lee zerknął na Pendeltona, ten jednak milczał.

- Panie Gray, to bardzo poważna sprawa. Zdumiewa mnie, że spodziewa się pan po sędzim Sądu Okręgowego zapoznania się z obszernym materiałem, otrzymanym zaledwie wczoraj i rozpoznania stanowiska strony przeciwnej, przedstawionego dzisiaj oraz wydaniem wyroku w sprawie ogromnej wagi konstytucyjnej w tak krótkim czasie. Czy naprawdę tego pan po mnie oczekuje?

Gray odetchnął głęboko.

- Tak, Wysoki Sądzie. Jestem zmuszony nalegać.

Lee przyjrzał się obu prawnikom, a także publiczności, z zapartym tchem czekającej jego odpowiedzi. Następnie wstał.

- Proszę wstać! - krzyknął woźny.

Molly obserwowała twarz Graya, oczekując, że coś z niej wyczyta. Nabrała nadziei. Gray sprawiał wrażenie pewnego siebie. Stał obok Pendeltona, uśmiechając się lekko.

Admirał Billings popijał kawę, przyglądając się swoim podwładnym. Po przeciwnej stronie stołu siedział Dillon.

Admirał skinął głową na swego adiutanta.

- Drano, wezwij tu komandora Walkera. Panie Dillon, chcę jak najszybciej udzielić odpowiedzi na ten rozkaz. Chciałbym, żeby pan był świadkiem dyskusji, na wypadek gdyby miał pan coś do dodania.

- Oczywiście, proszę pana. - Dillon podniósł brwi.

Zadzwoił telefon. Adiutant podniósł słuchawkę.

- Admirale, to CAG. Twierdzi, że musi z panem rozmawiać. To pilne.

Admirał podszedł i wziął od niego słuchawkę. Słuchał przez dłuższą chwilę, zaś jego zwykle nieruchoma twarz przybrała najpierw wyraz troski, a następnie gniewu.

- Kiedy? - spytał admirał, nie podnosząc głosu. - Czy to całkiem pewne, skąd wystartowała? Kiedy mają wrócić? Macie dowódcę na miejscu? W porządku. Informujcie mnie na bieżąco.

Billings powrócił do stołu, nie usiadł jednak, tylko stojąc nalał sobie kawy do filiżanki. Niemal cisnął dzbankiem o stół.

- Właśnie straciliśmy F-14 - oznajmił.

Obecni spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

- Jak to się stało? - spytał szef sztabu, komandor Black.

- Podczas przelotu TARPS nad Bunaya. Zdaje się, że dostali rakieta przeciwlotniczą w tyłek. Nie...

Przerwał mu dzwonek telefonu. Znów odebrał go adiutant.

- Za chwilę - powiedział do słuchawki. - To znowu CAG - poinformował dowódcę.

- Co? - rzucił w słuchawkę Billings. - Co? - powtórzył z niedowierzaniem. - Jak to możliwe? Jesteście pewni? Dobrze. Przedstawcie dowody tak szybko, jak to tylko możliwe.

Odłożył słuchawkę.

- To była południowoafrykańska rakiet przeciwlotnicza - oznajmił.

Stwierdzenie to najbardziej zaskoczyło Beth Griffith.

- Co takiego? - spytała z niedowierzaniem. - Południowoafrykańska? Skąd ta wiadomość?

- EA-6B był w powietrzu w chwili ataku i odebrał impuls radaru kontroli ognia. Rozpoznali go jako sygnał SAHV-3. Potem już niczego w paśmie radarowym nie wyłapali.

- Panie admirale, Południowa Afryka ma wersję tej samej rakiety na podczerwień. SAHV-IR. - Komandor Griffith przygryzła wargi. Wywiad poniósł niewątpliwą klęskę, nie rejestrując dostarczenia tej broni terrorystom, czy kimkolwiek byli ludzie, którzy zatopili „Pacific Flyera”. - Być może zastosowali starą sztuczkę Wietnamczyków: oświetlili samolot od przodu radarem rakiety przeciwlotniczej, a od tyłu wystrzelili rakieta naprowadzaną na podczerwień. Załoga do samego końca nie wiedziała pewnie, że została zaatakowana.

Billings patrzył na nią w milczeniu.

- Co z załogą? - zapytała.

Admirał pokręcił głową.

- Nie wiadomo. Jedna z naszych maszyn zauważyła dwa spadochrony i w tej chwili dowodzi akcją ratunkową. Nie mamy jeszcze łączności z pilotami. Spadli niespełna pięćdziesiąt kilometrów na zachód od wyspy, czyli jakieś dwieście

osiemdziesiąt kilometrów stąd. Nie zauważyli, by ktoś z wyspy próbował się zbliżyć do rozbitków.

- Myślicie, że mogą próbować? - zapytał szef sztabu.

- Z całą pewnością należy uwzględnić taką możliwość. Będziemy mieli tam kogoś, żeby trzymał ich z daleka. CAG skieruje w pobliże uzbrojony samolot, którego zadaniem będzie dopilnować, by te ich łodzie nie zbliżyły się do naszych ludzi.

Otworzyły się drzwi mesy i do środka wszedł komandor porucznik Walker, który wspiął się tu przez pięć pokładów. Szedł wprost z sali JAG¹², gdzie sprawdzał status listu kaperskiego.

- Dzień dobry - pozdrowił admirała.

Billings gestem zaprosił go do stołu, nawet na niego nie patrząc.

- Proszę usiąść. Miał pan czas, by przemyśleć ten problem?

Oficer prawny ze sztabu admirała nie robił nic innego od chwili, gdy usłyszał o uchwale Kongresu. Wiedział, że prędzej czy później będzie musiał odpowiedzieć na kilka związanych z nim pytań. Resztką włosów na głowie zwichrzyła mu się, zupełnie tak, jakby przez jego dało przebiegał prąd elektryczny. W ustach miał sucho.

- Tak, panie admirale. Zapoznałem się z nim dość dokładnie.

Billings przerwał mu, unosząc dłoń.

- Chwileczkę, przepraszam. To pan James Dillon, specjalny doradca przewodniczącego Izby Reprezentantów. Zna on ten problem bardzo dokładnie... nie myślę się, panie Dillon, prawda? Przewodniczący Izby nie wystawiłby przecież listu kaperskiego, nie przeprowadzając wnikliwych badań tego zagadnienia?

Dillon poczuł się bardzo niepewnie.

- Oczywiście, panie admirale - wykrztusił. - Przeprowadziliśmy bardzo dokładne ekspertyzy.

- No i co? - zwrócił się do Walkera admirał.

- No cóż, panie admirale, niewiele mamy danych pozwalających na wydanie zdecydowanego wyroku. - Z twarzy dowódcy oficer prawny odczytał niezadowolenie, mówił więc coraz szybciej, starając się nie dopuścić do nieszczęścia. - W konstytucji nie znajdziemy materiału prawnego pozwalającego przesądzić sprawę. Konstytucja jasno zezwala na wystawienie listu kaperskiego, nie ma w niej jednak wzmianki o tym, komu wolno go wystawiać i pod jakimi warunkami. Należy przypuszczać, że jej twórcy zakładali powszechne rozumienie tego terminu, mieli na myśli historyczny list kaperski w formie, w jakiej wystawiany był on przez wiele krajów od co najmniej kilku wieków. W tym znaczeniu list kaperski wystawiano prywatnemu statkowi, nadając mu prawo występowania w wojnie prowadzonej z krajem trzecim. Zezwalał on na atakowanie jednostek przeciwnika, zapłatą był ich ładunek. Takie zalegalizowane piractwo.

- Czy wystawiono go kiedykolwiek jednostce Marynarki USA?

- Mamy powody przypuszczać, że taka praktyka istniała, była jednak wyjątkiem i nie stosowano jej od bardzo długiego czasu.

- Panie Dillon - admirał poprawił się w fotelu - czy zgadza się pan z tym twierdzeniem?

Dillon przełknął ślinę.

- Owszem, panie admirale, zgadzam się - potwierdził.

- Dlaczego Kongres wystawił list kaperski okrętowi Marynarki? - pytał dalej admirał.

Dillon wsparł się o stół. W ustach nadal miał sucho, teraz jednak czuł także gniew.

¹² *Judge Advocate General - służba prawna sił zbrojnych USA [przyp. red.].*

- Ponieważ chciał stworzyć Marynarce możliwość działania - powiedział. - Ponieważ przewodniczący wierzy głęboko, że Kongres ma prawo wystawić list kaperski każdemu, komu chce go wystawić. Ma obowiązek, nie prawo, lecz właśnie obowiązek bronić obywateli tego kraju przed działaniami wroga. - Pochylił się nieco, czując przyływ pewności siebie. - Co to byłby za kraj, budujący wielkie siły obronne, wielkie okręty z tysiącami ludzi załogi, wspinające samoloty, rakiety i bomby tylko po to, by nie reagować, stanąć z boku i przyglądać się, gdy morduje się jego obywateli i zatapia statki. Jeśli list kaperski może zapobiec tej sytuacji, czy wystawimy go na statek handlowy, mający na pokładzie choćby pełnych dobrej woli, ale cywilów albo agentów CIA? Uzbrojone statki handlowe przeszły do historii. Gdy istniały, można byłoby wysłać je do walki. Teraz ich nie mamy, więc sens ma wyłącznie wysłanie do walki okrętów Marynarki.

Billings z aprobatą skinął głową.

- Podzielim pańskie uczucia, w tym przypadku chodzi jednak przede wszystkim o kwestię władzy. Tutaj - podniósł leżący na stole dokument - mam rozkaz prezydenta Stanów Zjednoczonych zakazujący mi podejmowania jakichkolwiek działań bojowych. A tu - teraz podniósł skórzaną teczkę i spoczywa list kaperski podpisany przez przewodniczącego Izby Reprezentantów, przegłosowany przez Izbę i Senat, z prezydenckim wetem przegłosowanym również przez całość Kongresu, nakazujący mi coś wręcz przeciwnego.

Uważnym spojrzeniem obrzucił nieruchome twarze obecnych. Nikt nie chciał pierwszy zabrać głosu, nikt nie chciał przejść do historii jako ten, który Powiedział-Nie-To-Co-Należało-Powiedzieć. Jako pierwszy zaryzykował szef sztabu.

- Panie admirale, nie sądzi pan, że przy tej rozmowie powinien być obecny kapitan lotniskowca, dowódca skrzydła powietrznego oraz dowódca dywizjonów? Jeśli zdecydujemy się podjąć akcję, oni znajdą się na pierwszej linii. Sądzę, że powinni uczestniczyć w procesie podejmowania decyzji.

Billings pokręcił głową.

- Nie - stwierdził stanowczo. - To ja podejmę decyzję. Nie chcę nawet, by byli obecni podczas jej podejmowania. Jeśli się pomylę, to na własny rachunek. Ich nikt nie ma prawa za to ukarać. - Napił się kawy, rozważając. - Beth - powiedział w końcu - nadeszła pora, kiedy trzeba podjąć decyzję. Być może złą, ale zawsze jakąś. - Spojrzał na swych ludzi i na wiszący za nimi na ścianie szkic przedstawiający „Old Ironsides”.

- Panie admirale, czy mogę coś powiedzieć? - wtrącił Dillon.

- Ależ oczywiście!

Billings był wyraźnie zdziwiony.

Dillon podszedł do wiszącej na ścianie reprodukcji konstytucji.

- Stany Zjednoczone nie powstały dlatego, że wielcy ludzie nauczyli nas, co mamy robić - zaczął. - Powstały dlatego, że owi wielcy ludzie rozpoznali spajające nasze społeczeństwo zasady. Nie wiążą nas konkretni ludzie, lecz właśnie zasady. Równość, wolność w wyrażaniu własnych opinii, wolność religii... - zawahał się, spojrzał na admirała Billingsa. - Przed utratą tych wolności chronią nas nie konkretne osoby, lecz dokument. Dokument, którego nazwę nosi ten okręt. Bez niego jesteśmy tylko kolejnym krajem rozpoznającym zwycięzcę po tym, że zagarnął władzę. Czy to prezydent ma nam mówić, co powinniśmy zrobić? Oczywiście, jest naczelnym dowódcą sił zbrojnych. Czy ma to jednak znaczyć, że może zrobić z nami wszystko? - Pokręcił głową. - Nie. Konstytucja ogranicza go jak każdego z nas.

Dillon przerwał. To, co miał zamiar powiedzieć, mogło przecież zostać odebrane jako ordynarne rzucenie wyzwania, zwłaszcza w ustach młodego urzędnika państwowego. Postanowił zachować ostrożność.

- Panie admirale, kiedy badałem ten problem, znalazłem coś, co bardzo mnie zdziwiło. Znalazłem tekst przysięgi, którą prezydent składa obejmując urząd. Jej treść zawarta jest właśnie w konstytucji. Co do słowa. Przysięgi wiceprezydenta nie ma. Nie ma przysięgi członków rządu, ani pańskiej, ani przysięgi składanej przez oficerów. Tej, którą składali wszyscy tu obecni. - Wykonał szeroki gest. - Oni i przewodniczący Izby Reprezentantów składają identyczną przysięgę, wszyscy składają tę samą przysięgę - z wyjątkiem prezydenta. Obiecują wspierać i bronić konstytucji „wobec wszystkich nieprzyjaciół”. Prezydent przysięga tylko, że będzie wspierał, chronił i bronił konstytucji, ale w jego przysiędze nie ma mowy o „wszystkich nieprzyjaciółach”. Ale w waszej, owszem. - Dillon nagle uświadomił sobie, że mówi za głośno. Wziął głęboki oddech i uspokoił się. - „Przeciw wszystkim nieprzyjaciółom, wewnętrznym i zewnętrznym”, taką składał pan przysięgę, panie admirale i jej musi pan dotrzymać.

Billings rozejrzał się dookoła. Jego współpracownicy nie uchylali się przed tym spojrzeniem. Wyrecytował z pamięci przysięgę, którą składał jako podchorąży Marynarki. - Ja, Ray Billings, przysięgam uroczyście, że będę wspierał i bronił konstytucji Stanów Zjednoczonych przeciw wszelkim nieprzyjaciółom, zewnętrznym i wewnętrznym...

Admirał wstał.

- Panowie, Beth, naszym pierwszym zadaniem jest obrona konstytucji. Drugim zadaniem jest wykonywanie rozkazów zwierzchników, ale muszą to być rozkazy zgodne z prawem. Rozkaz bezpośrednio sprzeczny z konstytucją nigdy nie jest zgodny z prawem. Mam wrażenie - ciągnął, dając się ponieść słowom - że spełniamy nasze pierwsze zadanie, że bronimy konstytucji - spojrzał na zdjęcie przedstawiające fregatę - oraz USS „Constitution”. - Przerwał na chwilę i wrócił na miejsce. - Komandorze Black, proszę przygotować depezę. Do Kolegium Szefów Sztabów i Białego Domu: „Otrzymaliśmy waszą depezę. Po jej otrzymaniu F-14 Marynarki zestrzelony został przez terrorystów południowoafrykańską raketą ziemia-powietrze. Przystępuję do akcji przeciw nim za pomocą wszelkich dostępnych środków. Czuję się w obowiązku bronić konstytucji i dlatego przyjmuję wystawiony przez Kongres list kaperski...”

- Panie admirale - przerwał mu szef sztabu. - Czy mogę coś powiedzieć?

Billings zawahał się.

- Nie wiem - przyznał. - Jeśli...

- Moim zdaniem popełnia pan wielki błąd. Pomija pan sprawę najważniejszą. Rozkaz prezydenta także ma oparcie w konstytucji. Prezydent jest naczelnym dowódcą...

- Czy to znaczy, że każdy jego rozkaz jest automatycznie słuszny?

- Nie, oczywiście, nie każdy, są wy...

- Jak więc rozpoznaje pan słuszność rozkazu?

- Poprzez zasady walki, zasady prawa, które nas obowiązują...

- A co jeśli rozkaz jest jawnie sprzeczny z konstytucją?

- No... w takim przypadku... być może...

- A czy nie zdarzyło się właśnie tak? Od prezydenta otrzymaliśmy rozkaz sprzeczny z konstytucją. Słyszeliście, co powiedzieli ci dwaj panowie - wskazał Walkera i Dillona - w konstytucji nie ma nic co zmusiłoby nas do odrzucenia listu kaperskiego. - Szef sztabu opuścił wzrok. Admirał uspokoił się nieco. - A co się stanie, jeśli prezydent nie potrafi zachować zimnej krwi? Co jeśli będzie bierny, niezależnie od okoliczności? Co się stanie, jeśli nie spełnia obowiązków, które wziął na siebie jako prezydent? Czy Kongres nic nie może na to poradzić? - Pokręcił głową. - Otóż mnie wydaje się, że może. I nawet wie jak.

Pendelton wraz z przewodniczącym Izby Reprezentantów siedzieli w rogu gigantycznego gabinetu tego ostatniego.

Pendelton powoli pokręcił głową.

- To doprawdy nie moja specjalność - powiedział. - Nigdy nie zajmowałem się procedurą impeachmentu¹³. Wiem, że wszczęto ją wobec Johnsona, ale poza tym... - przerwał, bowiem drzwi do gabinetu otworzyły się i do środka wpadła Robin.

- Telefon do pana Pendeltona - oznajmiła. - Pilny.

Adwokat spojrział na rozmówcę, który tylko wzruszył ramionami, a potem podniósł słuchawkę aparatu.

- Tu Pendelton - powiedział. Przez chwilę słuchał uważnie. - I co? - spytał niecierpliwie.

Przewodniczący stanął obok niego. Oparł się pokusie przyłożenia ucha do słuchawki i przybrał nawet obojętny wyraz twarzy. Pendelton słuchał przez minutę, po czym powiedział:

- Dziękuję. Proszę przefaksować to jak najszybciej do mojego biura i biura przewodniczącego.

Odłożył słuchawkę. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Stanbridge nie wytrzymał.

- No i co? - spytał niecierpliwie.

- Dzwonił mój współpracownik, którego zostawiłem w sądzie. - Pendelton spojrział na zegarek. - Zaledwie czterdzieści pięć minut temu. Sędzia musiał podjąć decyzję, jeszcze nim zapoznał się ze stanowiskiem stron.

- Ale co powiedział?!

Oczy Pendeltona zabłyśły.

- Wygraliśmy pierwszą rundę - oznajmił.

- Co to znaczy?

- Udowadniałem, że przed sąd nie powołano strony, której obecność jest konieczna, dokładniej mówiąc Marynarki, a gdyby nasi przeciwnicy ją powołali, znaleźliby się w konflikcie interesów, ponieważ władza wykonawcza powołałaby przed sąd władzę wykonawczą. Sąd postanowił, że nie może wydać wyroku wstrzymującego list kaperski, ponieważ nie powołano koniecznej strony. Postanowił także, że kwestie konstytucyjne nie powinny być rozstrzygane z dwudziestoczworgodzinnym limitem czasowym, lecz stron należy wysłuchać w oparciu o przedstawione dokumenty, z których dyskusji podlegałyby każdy punkt. Sąd wyznaczył trzydziestodniowy termin, licząc od dnia dzisiejszego, celem rozstrzygnięcia zagadnień konstytucyjnych. - Adwokat uśmiechnął się lekko. - Jak rozumiem, trzydzieści dni wystarczy panu na osiągnięcie głównego celu.

- Och, oczywiście! - ucieszył się Stanbridge.

- No to doskonale. Teraz poczekamy. Prawnicy prezydenta zwrócą się do sądu apelacyjnego i mogą mieć tylko nadzieję, że nie będzie za późno.

¹³ Procedura odsunięcia od władzy głowy państwa (przyp. red.).

Admirał Billings wpatrywał się w trzy ogromne ekrany, pobłyskujące tajemniczo w ciemnym pokoju. Na jednym z nich widać było całość Oceanu Spokojnego, na drugim akwen operacyjny grupy bojowej, na trzecim zaś formację okrętów skupioną wokół USS „Constitution”. Dillon stał za admirałem, nie odrywając wzroku od ekranów. Kraje zaznaczone były różnymi kolorami, każdy statek i każdy samolot reprezentowała ikona, roilo się też od innych symboli, których znaczenia można się było tylko domyślać. Przypominało to trochę grafikę bardzo skomplikowanej - i bardzo interesującej - gry komputerowej. Na chwilę zapomniał, że znajduje się na wielkim okręcie wojennym.

- Widział pan kiedyś coś podobnego, panie Dillon?

- Nie, panie admirale.

Jim Dillon doskonale rozumiał intencje, jakie przyświecały Billingsowi, kiedy zadawał to pytanie. Od czasu, gdy wstąpił na pokład lotniskowca, chodził oszołomiony i zdezorientowany. Widział filmy, słyszał opowieści, mieszkał przecież w mieście, w którego porcie zawsze stacjonował jakiś lotniskowiec, nic nie przygotowało go jednak na ten szaleńczy atak na wszystkie zmysły. Wszystko, co się tu działo, działo się z prędkością dźwięku, zwłaszcza na pokładzie lotniczym. Widział starty i lądowania maszyn, następujące jedno po drugim praktycznie przez cały czas. Czuł się wyrwany ze swego świata. Jego światem był Waszyngton, w Waszyngtonie wiedział, kiedy zażartować, a kiedy kpiąco przewrócić oczami, tu jednak, kiedy ktoś popełnił jakiś błąd nie przewracano oczami, tylko pisano do rodziny list z zawiadomieniem, że ten ktoś był wspaniałym człowiekiem i dzielnym marynarzem.

- Dobrze się stało, że pana ludzie przysłali nam pozwolenie na dopuszczenie pana do tajnych materiałów, inaczej nie moglibyśmy tu pana wpuścić.

- Rzeczywiście, panie admirale. Ktoś wpadł na dobry pomysł, mnie to nawet do głowy nie przyszło.

Jim Dillon doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby wszystko pozostawiono na jego głowie, niczego nie udało by się załatwić.

- No więc tu przebywam podczas ważniejszych operacji - mówił dalej admirał. - Na mostku jestem bardziej obserwatorem, tutaj dowódcą.

Porucznik Reynolds wręczył Dillonowi filiżankę czarnej kawy. W przyćmionym świetle na jego ramieniu wyraźnie pobłyskiwał złoty wężyk, oznaka adiutanta admirała. Jak zawsze sprawiał wrażenie świeżego i energicznego, przez co Dillon jeszcze bardziej wydawał się sobie brudny, wymięty, zupełnie nie pasujący do otoczenia.

- A więc, panie Dillon - mówił dalej admirał - jak pan widzi, wiemy gdzie znajduje się każda jednostka w okolicy, a zwłaszcza nasza. Potrzebne informacje otrzymujemy z wielu różnych źródeł, zostają one zebrane, a następnie przefiltrowane, celem uzyskania obrazu, który widzi pan w tej chwili. Umożliwia nam on wielką elastyczność podczas procesu decyzyjnego. - Spojrzał na oficera operacyjnego. - Wiemy coś o tych dwóch zestrzelonych z F-14?

- Oczywiście, panie admirale. Helikopter jest w pół drogi do nich. Dowódca akcji widzi rozbłyski ich lamp stroboskopowych. Mamy z nimi dobrą łączność radiową. Siedzą sobie w pontonach tłuszczu i szczęśliwi, - Przerwał na chwilę, a potem uśmiechnął się złośliwie. - Pewnie wypatrują rekinów w ciemności.

- Miła perspektywa - prychnął admirał.

Zadzwoił telefon, szef sztabu podniósł słuchawkę.

- Tak słucham... Ile? - W jego głosie zabrzmiał niepokój. - Kiedy? Mamy kogoś nad nimi? W porządku, dziękuję. - Odłożył słuchawkę i zwrócił się do admirała. -

Panie admirale, „Los Angeles” złożył właśnie pilny meldunek. Jest na głębokości peryskopowej i właśnie dostrzegł trzy mijające go na dużej prędkości łodzie motorowe. Prędkość czterdzieści węzłów, przypuszczalny kurs na zestrzelonych lotników. Nie jest jasne, czy nasz helikopter dotrze na miejsce przed tymi łodziami.

- Kto jest SARCAP-em¹⁴? - spytał natychmiast Billings.

Dillon pochylił się ku Reynoldsowi.

- Co to jest SARCAP? - spytał.

- Uzbrojony samolot krążący nad rozbitkami - wyjaśnił Reynolds. - Jego zadaniem jest powstrzymanie tych, którzy mogą próbować do nich dotrzeć, nim wyłowi ich nasz helikopter.

- Powstrzymanie?

Reynolds spojrzał mu w oczy.

- Zabicie - wyjaśnił krótko.

- No, kto? - Admirał niecierpliwie poganiał komandora Blacka.

- „Pijany” Driver, dowódca dywizjonu F-18.

- Wie o tych łodziach?

- Właśnie przekazujemy mu wszystkie potrzebne informacje przez E-2, panie admirale.

- Mamy te łodzie na radarze?

- Jeszcze nie, panie admirale.

- Dlaczego nie?

- Nie dają odbicia radarowego. Kadłuby mają najprawdopodobniej z włókna szklanego.

- Płyną z Bunaya złapać naszych ludzi? - rzucił w powietrze admirał Billings.

Nikt nie odpowiedział mu na to pytanie.

- Czy wiemy coś o ich uzbrojeniu?

- Nie, panie admirale - przyznała Beth.

Przez dłuższą chwilę Billings milczał.

- Wyślijcie depezę do Waszyngtonu - polecił nagle. - Najwyższy priorytet.

„Łodzie przemytnicze, naszym zdaniem powiązane z atakiem na «Pacific Flyera», zmierzają w kierunku zestrzelonej załogi F-14. Proszę o pozwolenie otwarcia ognia”.

- Tak jest, panie admirale.

- Za ile dotrą do celu przy obecnej prędkości?

- Za około trzydzieści minut, panie admirale.

- A helikopter?

- Za około godzinę.

Znowu zadzwonił telefon. Black podniósł słuchawkę.

- Tak? - Zmarszczył czoło, najwyraźniej bardzo czymś zdziwiony. - Admirale, sieć komunikacyjna najwyraźniej padła. - Ile to potrwa? - spytał niecierpliwie. - Co? Co to znaczy? - Przykrył dłonią słuchawkę. - Panie admirale, im nie chodzi o sieć okrętową.

- Jak to? - zdumiał się admirał. Rysy twarzy Billingsa stężały w napięciu. - O co chodzi?

Black w milczeniu spojrzał na monitory, a potem powiedział cicho:

- Ich zdaniem Waszyngton odciął nam łączność.

- Co?

- Prezydent odciął nam wszystkie łącza komunikacyjne. Jesteśmy zdani sami na siebie.

¹⁴ *Search and Rescue Combat Air Patrol - powietrzny patrol bojowy poszukiwań i ratownictwa [przyp. red.].*

- Natychmiast ma się stawić u mnie prokurator generalny, w tej chwili - oznajmił prezydent Manchester, pocierając palcami skronie. Oczy miał zamknięte. - Admirale - zwrócił się do Harta. - Zdaje mi się, iż twierdził pan, że ten Billings usłucha naszych rozkazów.

Hart opanował się z największym wysiłkiem. Od dłuższego czasu czekał na to pytanie.

- Wtedy nie miałem wątpliwości, że tak właśnie będzie, panie prezydencie. Wygląda na to, że nie sposób przewidzieć ludzkich zachowań w każdej sytuacji, póki sytuacja ta nie nastąpi, ale rzeczywiście, oczekiwałem że admirał dostosuje się do rozkazów swego naczelnego dowódcy.

- No cóż, najwyraźniej nie ma zamiaru się do nich dostosować.

Do Gabinetu Ovalnego wszedł mocno zdyszany Greg McCormick, prokurator generalny.

- Dzień dobry, panie prezydencie - powiedział. Był prawnikiem wielkiej kancelarii z Massachusetts, a także koordynatorem kampanii prezydenckiej Manchesteru. - Przepraszam, nie wiedziałem, że na dziś wyznaczono to spotkanie.

Manchester spojrział na niego z niedowierzaniem.

- Greg, przecież ja też nie miałem o tym zielonego pojęcia. Nie wiedziałem, że przegramy sprawę nie do przegrania, wniesioną na podstawie pozwu nie do odrzucenia, którą za twoją zgodą wytoczyliśmy Kongresowi. Może mógłbyś mi wyjaśnić, co się właściwie stało?

McCormick zaczerwienił się lekko.

- Nie spodziewałem się przegrać w rozprawie wstępnej - przyznał. - Moim zdaniem mieliśmy sporą szansę na zwycięstwo, przydzieliłem też do sprawy jednego z moich najlepszych adwokatów. A także, jeśli pan pamięta, wszczęcie sprawy nie było moim pomysłem, wyszło z pańskiego biura doradców...

- O co chodzi w tym konflikcie interesów?

- Próbujemy jakoś poradzić sobie z tą kwestią, panie prezydencie. Szczerze mówiąc, zostaliśmy zaatakowani z flanki. Tego się nie spodziewaliśmy. Nie sądzę jednak, by musiał się pan o to martwić.

- Więc jaki jest plan? - spytał prezydent.

- W ciągu godziny do Apelacyjnego Sądu Okręgowego Dystryktu Columbia wniesiemy wniosek o apelację specjalną.

Prezydent spojrział na zegarek, który wskazywał już godzinę dziesiątą trzydzieści.

- Co z prasą? - spytał rzecznika prasowego Białego Domu, siedzącego w najdalszym kącie gabinetu.

- Obawiam się, że wśród dziennikarzy panuje zamieszanie - odparł rzecznik. - Najwyraźniej wszyscy zgadzają się, że należałoby odpowiedzieć terrorystom pięknym za nadobne, nikt za to nie pojmuje, na czym polega rozgrywka między panem i Kongresem. Opinie są mieszane, ale generalnie ludzie opowiadają się za podjęciem jakiejś akcji.

- Odnoszę nieodparte wrażenie, że zostaliśmy zepchnięci do bardzo głębokiej defensywy - stwierdził Manchester. - Przegraliśmy w głosowaniu, admirał dowodzący grupą bojową lotniskowca postępuje wbrew moim bezpośrednim rozkazom, nie mamy z nim bezpośredniej łączności, opinia publiczna zaś nie akceptuje moich decyzji. - Prezydent wyprostował się i wojowniczo wysunął szczękę. - Ale jedno wam powiem, nie zamierzam zmienić strategii. - Spojrział na przewodniczącego Kolegium Szefów Sztabów. - Admirale, o co właściwie chodzi z tymi łodziami próbującymi przechwycić naszych zestrzelonych pilotów?

- Wygląda mi na to, że to ci sami chłopcy, którzy porwali „Pacific Flyera”, panie prezydencie. W mojej opinii spróbują zrobić z nimi to samo, co zrobili z jego załogą. Billings poprosił o pozwolenie otwarcia do nich ognia i...

- Przecież wiem - przerwał mu Manchester. - Zlekceważyli nasze rozkazy całkowicie i pod każdym względem. Admirale, czy potrafi nam pan wyjaśnić, jakim cudem zestrzelono samolot, mimo iż nie pozwolono mu nawet zbliżyć się do indonezyjskiej przestrzeni powietrznej?

- Nie, panie prezydencie, nie potrafię tego wyjaśnić. Nie jestem nawet pewien, jakiego rodzaju rakiet przeciwlotniczych użyto. Nie znam zbyt dobrze południowoafrykańskich systemów. Większość rakiet przeciwlotniczych jest jednak w stanie osiągnąć międzynarodowej przestrzeni powietrznej.

Słyszając te słowa prezydent skrzywił się wyraźnie.

- Czy sugeruje pan, że w momencie zestrzelenia mogli znajdować się w międzynarodowej przestrzeni powietrznej? - spytał.

- Wydaje się to bardzo prawdopodobne, panie prezydencie. Manchester pokręcił głową.

- A czy teraz znajdują się na wodach międzynarodowych? Ci dwaj, którzy zostali zestrzeleni?

- Owszem, panie prezydencie, ale nie oznacza to, że strzelano do nich nad wodami międzynarodowymi.

- Więc po prostu nie wiemy, czy tak?

- Owszem, panie prezydencie, nie wiemy. Billings nie powiedział nam dokładnie, gdzie zestrzeleni zostali jego ludzie. Poinformował nas tylko, że zostali zestrzeleni. Możemy, oczywiście, odblokować kanały komunikacyjne i zapytać...

- No nie, to doprawdy wspaniałe. „Panie admirale, proszę nam podać dodatkowe informacje, dzięki którym wyjdziemy na głupców większych, niż do tej pory wyszliśmy”. Nie, niech nasz pan admirał sam sobie to wszystko poukłada. Zdaje się, że wychodzi mu to całkiem nieźle. - Prezydent Manchester wstał. - Sami się o to prosili, admirale - stwierdził. - Więc niech teraz radzą sobie sami. - Zmienił nagle temat. - Gdzie znajduje się najbliższy lotniskowiec nie będący pod komendą Billingsa?

Admirał Hart poczuł na sobie ciężar spojrzeń obecnych w Gabinetcie Ovalnym. W tym momencie szef personelu Białego Domu poderwał się na równe nogi.

- Panie prezydencie, czy wolno mi wyrazić prywatną opinię? - spytał.

- O co chodzi?

Prezydent spojrział na niego niechętnie.

- Panie prezydencie, w mojej opinii posunęliśmy się za daleko. Wbijamy klin między nas i wojsko, między nas i opinię publiczną, między nas i Kongres, między nas i sądy. I oni wszyscy zapędzają nas do narożnika. Wszystkie nasze decyzje sprzeciwiają się tradycyjnym normom...

- Tracisz głowę?

- Nie, panie prezydencie, nie tracę głowy. Próbuję znaleźć rozwiązanie najlepsze dla pana i dla kraju, w tej właśnie kolejności.

Prezydent Manchester tylko pokręcił głową.

- Nie, Arlan - powiedział. - I tu właśnie się mylisz. Tego właśnie nigdy nie pojąłeś. Czy ty doprawdy aż tak mnie nie rozumiesz? - Spojrział na starego przyjaciela z wyraźnie widocznym na twarzy rozczarowaniem. - Podejmę decyzję, kierując się tym, co najlepsze dla kraju, w ogóle nie biorąc pod uwagę osobistych politycznych korzyści, które mogłyby procentować w przyszłości. Odrzucam wyjście zakładające śmierć kilkudziesięciu osób, jeśli problem można rozwiązać w inny sposób. Jeśli Kongres rzeczywiście oszalał i chce trwać na tej zwiariowanej pozycji nie do utrzymania,

będziemy z nim walczyć. Nie mogę zgodzić się na to, że gwałt należy zwalczać większym gwałtem. - Spojrzał na admirała Harta. - A więc gdzie jest ta grupa?

Bosch nie zamierzał jednak zrezygnować.

- Panie prezydencie, skutki wykonania pańskich rozkazów mogą być przerażające.

Oczy prezydenta zapłonęły gniewem.

- Sądzisz, że nie zdaję sobie z tego sprawy? Uważasz, że potykam się o własne nogi i kręcę w kółko? Że nie zdaję sobie sprawy ze skutków własnych działań? Uważasz mnie za aż takiego głupca?

- Panie prezydencie, wcale nie uważam pana za głupca, o czym pan zresztą doskonale wie. Ale sytuacja może bardzo szybko wymknąć się spod kontroli.

- Sytuacja już wymknęła się spod kontroli! - Manchester niemal krzyczał. - Naszym zadaniem jest przywrócić porządek, powstrzymać rozprzestrzenianie się rządów chaosu!

- Moim zdaniem skierowanie na ten akwen drugiej grupy bojowej...

- Nie pytałem cię o zdanie. Spytałem za to admirała, gdzie znajduje się najbliższa „Constitution” grupa bojowa. I na to pytanie chcę teraz otrzymać odpowiedź. Siadaj!

Bosch usiadł. Na jego bladej zwykle twarzy pojawił się wyraźny rumieniec.

- Panie prezydencie, grupa o którą pan pytał operuje w rejonie Filipin - powiedział Hart.

- Ile czasu zajmie im dopłynięcie na miejsce?

- Jakie miejsce, panie prezydencie?

- To miejsce, w którym znajduje się obecnie grupa Billingsa.

Hart milczał. W panującej w gabinecie ciszy słychać było wyłącznie jego ciężki oddech.

- Panie prezydencie, musiałyby pokonać dystans około dwóch tysięcy sześciuset kilometrów...

- Ile czasu zabrałoby jej dotarcie do Billingsa?

- Wszystko zależy od tego, czy chce pan uwzględnić statki eskorty...

- Ile czasu potrzeba, by samoloty tamtego lotniskowca znalazły się nad „Constitution”?

Admirał szukał odpowiedzi na to pytanie, bawiąc się bezwiednie mosiężnym guzikiem dwurzędowego granatowego munduru.

- Około czterdziestu godzin, przy prędkości bojowej.

- Proszę wydać odpowiedni rozkaz - powiedział spokojnie prezydent.

- Jaki rozkaz, panie prezydencie?

Hart nie miał zamiaru podejmować samodzielnie decyzji.

- Rozkaz przechwycenia grupy bojowej lotniskowca „Constitution”.

Admirał Hart zaniemówił. Był w pełni świadom tego, co oznacza wydane mu w tej chwili polecenie.

- Panie prezydencie, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, jak będzie to wyglądało w oczach świata?

- A mianowicie jak, panie admirale?

- Otóż oznajmimy światu, że mamy problem ze zbuntowaną grupą bojową lotniskowca, który w swoich ładowniach ma Bóg wie ile pocisków manewrujących z głowicami atomowymi. I że musimy powstrzymać ją używając siły. Toż to wojna domowa, w której część wojska walczyć będzie po stronie Kongresu, a część po stronie prezydenta,

- Przecież tak jest w rzeczywistości - powiedział prezydent Manchester.

- Panie admirale, F-18 ma te łodzie na radarze. Zbliżają się szybko do Caskeya i jego RIO. Prosi o pozwolenie otwarcia ognia.

Admirał przyjrzał się ekranom, na których widać było trzy punkty zbliżające się do miejsca, w którym wodowali zestrzeleni lotnicy.

- Biały Dom zostawił nas, żebyśmy żeglowali z wiatrem - stwierdził. - Nie mają zamiaru udzielać nam porad. Wręcz przeciwnie, wszystko co zrobimy ocenią negatywnie. Niech i tak będzie. - Zwrócił się do oficera operacyjnego. - Czy E-2 ma łączność z F-18 i zestrzelonymi lotnikami?

- Tak jest, panie admirale.

- Łodzie bez względu na okoliczności, powtarzam, bez względu na okoliczności, nie mogą zbliżyć się do naszych pilotów. Poinstruuje pilota F-18, że jeśli się do nich zbliżą, ma je rozwalić. Załogi tych łodzi wykazały już wrogie intencje, w związku z czym należy je traktować jako wrogie. Czy E-2 ma dobry zamiar na pozycję lotników?

- Tak jest, panie admirale.

- Dobrze. Rozkażcie lotnikom wyłączyć lampy stroboskopowe i zaprzestać nadawania przez radio do chwili, gdy helikopter znajdzie się nad nimi.

- Hej, MC, jesteś tam? - spytał przez radio, na częstotliwości ratunkowej, „Pijany” Driver.

- Jestem. Co się dzieje?

- Trzy łodzie właśnie odbiły od wyspy. Wyłączcie stroboskopy, póki nie nadleci helikopter. Radia zostawcie włączone, ale nie nadawajcie, mogą mieć urządzenia do pelengacji.

Caskey oddychał szybko. Siedział w czarnym pontonie ratunkowym chwiejącym się na niewidocznej fali ciemnego morza i wyobrażał sobie, że widzi, lub przynajmniej słyszy, zbliżające się motorówki. Mimo że temperatura powietrza i wody przekraczała 20 stopni miał dreszcze. Lekki wiatr nieprzyjemnie chłodził mu ciało. W wodzie było gorzej, ale i na tratwie trząśł się z zimna.

- Dobrze, rozumiem - powiedział do trzymanego w rękę radia.

Podłączył słuchawki w hełmie do zewnętrznego gniazdka, dzięki czemu słyszał nadawane komunikaty. Odłożył wodoszczelne radio na kolana i sięgnął ręką do lampy stroboskopowej, przyczepionej do hełmu na rzepy.

Spojrzał na Messera, którego dzieliło od niego jakieś sześćset metrów. Kiedy wylądowali w wodzie i wspięli się do pontonów, próbowali początkowo podwiosłować do siebie i spaść się szybko jednak odkryli, że wymaga do zbyt wielkiego wysiłku w stosunku do spodziewanych zysków. Prądy utrzymywały ich stale w mniej więcej tej samej odległości, przez cały czas pozostawali w kontakcie wizualnym. Teraz jednak, gdy zapadła bezksiężycowa noc, a na niebie pojawiły się gwiazdy, obie błyskające lampy stroboskopowe, do tej pory dodające im odwagi, nagle zgasły. Messer odebrał komunikat od Drivera. Doskonale.

Caskey mógł obserwować krążącego nad nim na trzech tysiącach metrów F-18 dzięki jego wyraźnie do tej pory widocznym światłom pozycyjnym. Lecz i one przed chwilą zgasły. Oczywiście. Gdyby faceci z łodzi dysponowali przypadkiem ręcznymi wyrzutniami rakiet przeciwlotniczych, mogliby zestrzelić F-18. Po co ułatwiać im robotę?

Caskey położył się. Był coraz bardziej zmęczony. Bardzo pragnął złożyć głowę na burcie pontonu, nie mógł jednak sobie na to pozwolić, ponieważ wówczas natychmiast zasypiał. W tej chwili właśnie poderwał głowę, ochlapał sobie twarz morską wodą i otrząsnął się. Gdyby zasnął teraz, po wyłączeniu lampy, nikt nigdy by go nie odnalazł.

Miał wrażenie, że znalazł się w innym świecie, w świecie, w którym nie istniał upływ czasu. Gwiazdy pozostawały na niebie, nieruchome, jedynym zaś dźwiękiem, który słyszał, było rytmiczne bicie fal w burtę pontonu. Na horyzoncie nie widział żadnego statku, zaczęło mu się nawet wydawać, że helikopter, który miał ich wyłowić, nie istnieje. Wiedział, że zmierzający w ich kierunku CH-46 nie dysponuje systemem nawigacji inercyjnej i musi polegać na naprowadzaniu z E-2. Przy jego szczęściu prawdopodobnie sam się zgubi i będzie potrzebował ratunku.

Nagle usiadł sztywno, czując, jak serce próbuje wyrwać mu się z piersi. Słyszał dźwięk silników, lecz nie rytmiczny łopot wirników CH-46, lecz głęboki ryk charakterystyczny dla szybkich motorówek. Starał się przebić wzrokiem nocne ciemności. Miał wrażenie, że na horyzoncie, w odległości nieco większej niż dwie mile, dostrzega trzy ciemne, poruszające się szybko kształty. W kieszeni kamizelki miał dziewięciomilimetrową Berettę; nie był pewien, na ile może się przydać. Spojrzał w niebo. Ani śladu F-18. Nawet go nie słyszał. Zdecydował się na ryzyko i włączył radio.

- Hej, Pijany, masz ich? - wyszeptał, zupełnie jakby szeptu nie mogli usłyszeć inni dostrojeni do tej częstotliwości.

- Mam ich - odpowiedział pewnie Driver. - A teraz zamknij się i nie nadawaj! Caskey zignorował dobrą radę.

- Są trzy, może cztery kilometry ode mnie. Jeśli masz zamiar im dołożyć, lepiej zabierz się do tego już teraz.

- MC, właśnie się do tego zabieram. Nie masz się o co martwić.

Caskey spojrzał na płynące w jego kierunku łodzie. Wysoko, nieco po prawej, usłyszał ryk odrzutowego silnika. Z ciemnej dziury w niebie - potężny F-18 swą sylwetką przesłania gwiazdy - trysnął język ognia. Działko, pomyślał Caskey. Doskonale. Czekał, jednak żadna z mknących ku niemu łodzi nie została zniszczona. Tyle że ich silniki zawyły nieco wyższą nutą. Słyszał, jak F-18 podrywa się w powietrze, oczami wyobraźni widział smugi pary kondensującej się na krawędzi skrzydeł.

I znów rozbłysk. Tym razem jednak na horyzoncie odpowiedział mu huk i blask tak jasny, że musiał zasłonić oczy. W rozświetlonym nim powietrzu widać było fruujące szczątki. Caskey obserwował uważnie pozostałe dwie łodzie, czekając, jaką decyzję podejmą ich sternicy. W blasku pożaru widział je - zbliżały się z nieprawdopodobną wręcz szybkością.

F-18 wykonał kolejny przelot i chybił. Dwie przemytnicze łodzie dzieliła od tratw niespełna mila. Wyraźnie słyszał pracujące na wysokich obrotach silniki i szum, z jakim ich dzioby rozdzierały fale.

- Cel zaliczony, pozostały dwa - nadał przez radio.

- Roger - usłyszał w słuchawkach mocno zirytowany głos Drivera. - Wyłącz się wreszcie, MG. Kolejny F-18 leci w naszym kierunku, ale warto byłoby załatwić sprawę już teraz.

Ryknął odrzutowy silnik, to maszyna Drivera runęła w stronę oceanu. Jej cień powiększył się, zasłaniał teraz więcej gwiazd. Druga z przemytniczych motorówek rozpadła się na kawałki w oślepiającym blasku wybuchu.

- Nieźle strzelasz - nadał McCaskey.

Trzecia łódź wystrzeliła raketę.

- Rakietą w powietrzu! Rakietą w powietrzu! - krzyknął w nadajnik.

- Spoko - odparł flegmatycznie „Pijany” Driver. - Spudłowali o jakieś dziewięćdziesiąt stopni.

Łódź przemytnicza zatoczyła szeroki krąg. W powietrze uniosła się druga rakietą.

- Strzelają do was!

- Tylko trafić nie mogą.

W radiu odezwał się nowy głos.

- Caspar 903 jest od was o osiem kilometrów - poinformował operator na E-2.

- Niech trzymają się z daleka, aż skończę strzelanie - odparł natychmiast „Pijany” Driver.

F-18 po raz kolejny przeszedł w lot nurkowy. Z łodzi wystrzelono kolejną niecelną rakietę, nos Horneta rozbłysł ogniem wystrzałów i trzecia motorówka rozsypała się na kawałki. Caskey podniósł ręce nad głową niczym sędzieja w futbolu amerykańskim, sygnalizujący przyłożenie. - Tak! - krzyknął głośno, dając ulgę napięciu. Włączył lampę stroboskopową na hełmie, sygnalizując wszystkim zainteresowanym, że trzecia łódź została zniszczona... niespełna czterysta metrów od jego tratwy. Twarz oświetlały mu jej płonące szczątki; nie dostrzegł, by ktoś z załogi ocalał. Zza nich wyłonił się wirnik H-46, wyżej zabłyśły czerwone, pozycyjne światła Horneta wykonującego beczkę - znak zwycięstwa.

- Nieźle strzelałeś - nadał przez radio Caskey, niezdolny ukryć brzmiącej w jego głosie ulgi.

- Dzięki, MC. Widzisz helikopter?

- Jasne, widzę.

- MC, tu Casper, my też cię widzimy.

- No to chodźcie i wyjmijcie mnie z wody!

- Jasne.

CH-4 zawisł nad pontonem, oświetlony płomieniem dopalającej się łodzi. Czterysta metrów dalej w ich kierunku płynęła jakaś postać.

18.

Z okien gabinetu na ósmym piętrze budynku David Pendelton obserwował panoramę Waszyngtonu. Jedno z nich wychodziło na Kapitol, z drugiego widział pomnik Waszyngtona.

Zadzwoił telefon. Słuchawkę podniosła jego sekretarka.

- Czy mogę wiedzieć, kto dzwoni? A tak, chwileczkę. Panie Pendelton, dzwoni pan Gray.

Adwokat powoli podniósł słuchawkę do ucha.

- Tak?

- Panie Pendelton, mówi Jason Gray. Chciałem pana poinformować, że wniosłem o rozprawę przed Sądem Apelacyjnym Dystryktu Columbia w trybie wyjątkowym. Odbędzie się ona dziś po południu, o wpół do czwartej. Powiedziałem im, że poinformuję pana o tym.

Pendelton odczekał pięć sekund przed udzieleniem odpowiedzi.

- Kontaktował się pan z Sądem Apelacyjnym nie prosząc, bym uczestniczył w rozmowie telefonicznej?

Gray zawahał się na moment.

- Czy sugeruje pan, że w wyznaczeniu terminu rozprawy wstępnej było coś niewłaściwego?

- Zdałem panu pytanie. Na razie pan na nie nie odpowiedział.

Głos Pendeltona był teraz wyraźnie chłodniejszy.

- Zadzwoiłem z prośbą o wyznaczenie terminu rozprawy wstępnej. Nie rozmawialiśmy o treści pozwów. I pan o tym doskonale wie.

- O co ma pan zamiar prosić sąd?

- O to, by zmienić decyzję sędziego Lee. Przecież to bardzo proste.

- Doskonale.
- Do widzenia.

Gray odwiesił słuchawkę, nie czekając, czy jego przeciwnik ma jeszcze coś do powiedzenia.

Pendelton wezwał sekretarkę. Rozmawiał z nią głosem zaledwie lekko podniesionym w stosunku do tego, którego użył wobec Graya.

- Mario, bardzo proszę ściągnij tu natychmiast Jane.

Patrzył przez okno. W chwilę później w gabinecie pojawiła się Jane.

- Dzień dobry - przywitał ją.

- Dzień dobry, David - odpowiedziała, używając formy obowiązującej w firmie w San Diego, choć w Waszyngtonie tradycja nakazywała zwracanie się do partnerów „pan” i „pani”.

Pendelton miał ją za prawnika tak bystrego jak tylko może być prawnik. Jane miała lekką nadwagę, a jej pociągłej twarzy wiele brakowało do urody, była jednak nieprawdopodobnie inteligentna i, co więcej, lubiła rozwiązywać trudne problemy.

- Jak się spodziewaliśmy, biuro prokuratora generalnego wniosło sprawę w trybie natychmiastowym do Okręgowego Sądu Apelacyjnego. Przygotowałaś notatkę?

- Tak. - Jane spojrzała na niego pytająco. - Naprawdę sądzisz, że Sąd Okręgowy powstrzyma Kongres?

- I to jest właśnie sprawa, której biuro prokuratora generalnego usilnie próbuje nie zauważyć. Oni wcale nie muszą powstrzymać Kongresu. Natomiast z całą pewnością, skoro już kogoś chcą powstrzymać, muszą powstrzymać Marynarkę.

- Ale przecież sąd może uznać, że list kaperski jest niezgodny z konstytucją.

- Na jakiej podstawie?

Pendelton próbował zbadać jakość jej ekspertyz.

- No cóż - Jane pochyliła się lekko, trzymając papiery na kolanach - zawsze mogą powiedzieć, że list to uzurpacja władzy prezydenckiej, że odnosi się wyłącznie do historii i nie ma znaczenia we współczesnym świecie albo...

- Na jakiej podstawie?

- Mogą twierdzić, że nikt nigdy tak tego nie robił i...

- Naprawdę sądzisz, że Sąd Okręgowy uzna uchwałę Kongresu za niekonstytucyjną ponieważ „nikt nigdy tak tego nie robił”?

- Należy liczyć się z taką możliwością.

- Nie wykorzystując szansy wysłuchania stron? Prezydent podpisuje pozew, ogłasza go jako „pilny” i sąd staje na tylnych łapach, by go zadowolić?

- Mogą...

- I jak ma brzmieć wyrok? „Niniejszym uznajemy, że jest to niekonstytucyjne...?”

- Chyba w tym przede wszystkim rzecz.

- Słusznie.

Jane uśmiechnęła się szeroko. Podziwiała spokój Pendeltona. Adwokat tymczasem wziął od niej materiały, które przygotowała, dotyczące zarówno kwestii proceduralnych, jak i konstytucyjnych. Zabrał się za lekturę, nie zwracając już uwagi na współpracowniczkę. Klucze do kolejnych spraw znajdował zawsze między wierszami. Szczególnie interesowało go to, co nie zostało powiedziane przed sądem.

Jane wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

David Pendelton zapoznawał się z materiałami, łącznie z notatkami przygotowanymi przez asystentkę, nie robiąc sobie nawet przerwy na lunch. Miał fenomenalną pamięć. Zasada, którą zawsze stosował, polegała na skłonieniu sądu do wydania najprostszego wyroku, na jego korzyść rzecz jasna. O trzeciej sprawdził godzinę i zamknął komputer. Ustawił go pośrodku stołu, notatki schował do koperty, a kopertę do teczki. Personel jego biura czekał na korytarzu, nikt jednak nie odzywał

się i nie próbował mu przeszkadzać, Ci ludzie chcieli być z nim, chcieli uczestniczyć w wielkim procesie. Znajdowali się w pobliżu jakby przypadkiem, przechodzili z pokoju do pokoju, gawędzili z sekretarką, czekali pod windą, nawet nie udając, że ją wezwali. Minął ich wszystkich bez słowa, miał ważniejsze sprawy na głowie.

Biuro prokuratora okręgowego, oczywiście, zawiadomiło prasę. Schody prowadzące do wejścia zablokowane były przez ekipy telewizyjne i podekscytowanych komentatorów płci obojga, wyciągających mikrofony. Przeszedł między nimi nie mówiąc słowa, a oni rozstąpili się niczym fale Morza Czerwonego. Wykrzykiwali pytania, on jednak tylko podniósł rękę, uśmiechnął się lekko, pokręcił głową i nie wypowiedział ani słowa. Jeden z szeryfów federalnych otworzył przed nim drzwi. Pendelton położył teczkę na taśmie aparatury prześwietlającej, sam zaś przeszedł przez wykrywacz metali. Kiedy znalazł się w środku, dopadła go druga grupa dziennikarzy. Sala rozpraw była wypełniona po brzegi. Po ukradkowych, rzucanych na adwokata spojrzeniach widać było, że publiczność jest podniecona i zdenerwowana.

Jackson Gray siedział przy jednym stole, David Pendelton podszedł do drugiego.

- Dzień dobry - powitał uprzejmie przeciwnika.

Gray spojrział na niego zdumiony.

- Dzień dobry - odpowiedział szybko i natychmiast opuścił wzrok na papiery.

- Proszę wstać, sąd idzie! - zapowiedział woźny. Na salę weszli sędziowie sądu apelacyjnego. Obaj prawnicy wstali na ich powitanie. - Rozpoczyna się rozprawa przed Apelacyjnym Sądem Okręgowym Dystryktu Columbia. Proszę zająć miejsca i zachować spokój.

- Proszę strony o potwierdzenie stawiennictwa - powiedział przewodniczący składu sędziowskiego.

- Dzień dobry. Jackson Gray z biura prokuratora generalnego w imieniu Stanów Zjednoczonych, powód.

David Pendelton wstał.

- Dobry wieczór, Wysoki Sądzie. David Pendelton w imieniu przewodniczącego Izby Reprezentantów oraz w imieniu Kongresu Stanów Zjednoczonych.

Sędzia zwrócił się najpierw do Pendeltona.

- Panie Pendelton, czy miał pan okazję przejrzeć dokumenty złożone w sądzie przez kancelarię pana Graya?

- Tak, Wysoki Sądzie, miałem.

- Doskonale. Panie Gray, mamy do czynienia z procedurą odbiegającą od normy. Proszę wyjaśnić sądowi, dlaczego rozprawa musi koniecznie odbyć się dziś, a nie w ustawowym terminie.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Gray odetchnął głęboko i rozpoczął mowę, którą przedtem powtarzał sobie w pamięci co najmniej kilkanaście razy.

- Wysoki Sądzie, kwestia którą podnosimy dzisiaj jest być może najważniejszą, jaka trafiła przed Okręgowy Sąd Apelacyjny w tym stuleciu. - Wśród publiczności dał się słyszeć lekki szmer. - To, co zrobił Kongres równa się podarciu konstytucji. To, co zrobił Kongres, Wysoki Sądzie, to odebranie prezydentowi władzy nad siłami zbrojnymi i zawłaszczenie jej dla siebie. Kongres usiłuje obalić władzę wykonawczą. - Przerwał dla efektu, spojrział w twarze trzech sędziów. - Ta uzurpacja władzy i atak na samo istnienie rządu nie może ujść płazem nikomu. Sąd musi działać szybko, nim sprawa wymknie się spod kontroli i zniszczy demokratycznie wybrany rząd Stanów Zjednoczonych.

Gray przerwał znowu. Najwyraźniej dobrze przemyślał sobie te przerwy.

- Mamy obecnie do czynienia z grupą bojową Marynarki, która odebrała tak zwany „list kaperski”, wystawiony przez Kongres i udzielający jej sankcji ma atakowanie obywateli państw trzecich bez zezwolenia naczelnego dowódcy. W rzeczywistości list ten stoi w jawnej sprzeczności z rozkazami naczelnego dowódcy, którego władza wypływa bezpośrednio z konstytucji. Do tego nie wolno nam dopuścić. Zbuntowana amerykańska grupa bojowa z lotniskowcem o napędzie atomowym, statkami pomocniczymi, jednostką desantową piechoty morskiej oraz żołnierzami wsparcia, jednostkami specjalnymi, okrętami podwodnymi... sama myśl o tym jest przerażająca. Sąd Okręgowy nie chciał wydać wyroku. Uważam to za zrozumiałe - stwierdził uroczyście adwokat. - Sprawa jest wyjątkowo poważna, godna rozstrzygnięcia na najwyższych szczeblach systemu sądowego. Jeśli trzeba będzie wnieść ją przed Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych, uczynimy to.

I znów nad ławami publiczności poniósł się zdumiony szmer rozmów, tym razem głośniejszy. Przewodniczący składu nie wytrzymał.

- Proszę obecnych o powstrzymanie się od wyrażania swych opinii. Chcę wysłuchać przedstawianej prezentacji w spokoju. Panie Gray, może pan kontynuować.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Jak już powiedziałem, jeśli trzeba będzie wnieść sprawę przed Sąd Najwyższy, uczynimy to. Lecz im szybciej rozkaz wystawiony przez Kongres uznany zostanie za niekonstytucyjny, tym szybciej sytuacja wróci do normy i cały świat odetchnie z ulgą. Proszę więc o uchylenie decyzji wydanej dzisiaj przez Sąd Okręgowy, który odmówił tymczasowego zawieszenia listu i o jego zawieszenie. Dziękuję.

- Panie Pendelton? - spytał przewodniczący składu.

Pendelton siedział nieruchomo przez dziesięć sekund, jak zawsze skupiając w ten sposób na sobie uwagę sądu, po czym wstał.

- Dzień dobry, Wysoki Sądzie - powiedział, obrzucając przy tym Graya szybkim spojrzeniem. - Pan Gray przedstawił wiele interesujących argumentów i sąd z pewnością w pewnym momencie może uznać je za warte rozważenia. Kiedy sprawa rozpatrywana będzie punkt po punkcie, Kongres jest pewien, że odniesie zwycięstwo. Działał w oparciu o bezpośredni tekst konstytucji, w której władza przekazana jest bezpośrednio Kongresowi, i który nigdy nie został zmieniony poprzez poprawkę.

Uczył krótką przerwę.

- Lecz pełnomocnik prokuratora generalnego, który pojawia się przed tym sądem i wygłasza mowę o niekonstytucyjności czyichś działań, zachowuje się niewłaściwie. Sąd ten ma tylko rozstrzygnąć problem, czy Sąd Okręgowy nadużył władzy nie zawieszając działania listu. Nie potrzebuję chyba cytować tu zdania autorytetów, dotyczących kryteriów podjęcia takiej decyzji. Jednym z bardziej oczywistych i decydujących elementów jest wykazanie prawdopodobieństwa zwycięstwa prezydenta w rozprawie, a tego prezydent nie jest w stanie wykazać. List kaperski, o którym konstytucja mówi bardzo wyraźnie, przegłosowany został zarówno przez Izbę Reprezentantów, jak i Senat, zawetowany przez prezydenta, przy czym weto to zostało natychmiast odrzucone. Nie istnieje problem tego, czy był właściwie wystawiony i przegłosowany. Jedynym prawdziwym problemem konstytucyjnym może być udzielenie odpowiedzi na pytanie, czy list kaperski można wystawić jednostce Marynarki Stanów Zjednoczonych. Nie ma żadnego bezpośredniego orzeczenia, a już zwłaszcza precedensu, pozwalającego rozstrzygnąć tę sprawę. Dyskusja na ten temat będzie wyrwana z historycznego kontekstu i historycznej sytuacji, a w szczególności oparta na tym sposobie interpretacji konstytucji, który przeważa w ostatnich dwudziestu latach, a więc interpretowania jej jako „żywego dokumentu”.

Na sali zapadła cisza.

- Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych przychyliła się do stanowiska, że konstytucja musi przekształcać się i zmieniać, dopasowywać do nowych czasów. Niech i tak będzie. - Pendelton uczynił wymowną przerwę pragnąc, by jego słowa lepiej utkwiły w pamięci słuchaczy. - I według tej zasady postąpił Kongres. Pozostaje więc pytanie, kto będzie decydował o tym, czy działania Kongresu pasują do takiej a nie innej interpretacji konstytucji. To bardzo poważna sprawa, Kongres musi mieć czas i okazję, by ją przedstawić i przedyskutować. Uznanie ich za niekonstytucyjne przez Sąd Apelacyjny, po rozprawie o której jedna ze stron zawiadomiona była na pięć godzin przed jej terminem jest niemożliwe. Uniemożliwiłoby to Kongresowi sprawowanie właściwej mu władzy. Lecz nawet jeśli prezydent przekona sąd apelacyjny, że ma szansę zwycięstwa, nie udało mu się wezwać przed poprzedni i ten sąd strony w sprawie... a mianowicie Marynarki. Pragnie uzyskać od sądu zakaz wykonania pewnych działań przez Kongres. Jest to, oczywiście, niemożliwe, ponieważ Kongres już te działania wykonał. Nie można wstrzymać przeszłości.

Wśród publiczności rozległy się lekkie śmiechy.

- Prezydent ma władzę wydawania Marynarce dowolnych rozkazów, oczywiście w ścisłych ramach prawnych. Występując przed tym sądem i domagając się wstrzymania działań Marynarki, prezydent przyznał, że Marynarka, część sprawowanej przez niego władzy wykonawczej, nie zgadza się z jego interpretacją konstytucji. W innym przypadku dostosowałaby się ona do jego rozkazów. Tak więc tak naprawdę prezydent prosi sąd, by pomógł mu zmusić Marynarkę do słuchania jego rozkazów. - Pendelton znów przerwał na chwilę. - Można udowodnić, że Marynarka stoi przed sądem jako część władzy wykonawczej, lecz to wymagałoby od prezydenta wniesienia o powstrzymanie działań jego samego, a na to chyba nawet ten prezydent by się nie zgodził. - Żart ten wywołał wybuch śmiechu wśród publiczności. Rozległy się brawa. Pendelton czekał, aż umilkną pod ostrym spojrzeniem przewodniczącego składu. - Dziękuję za umożliwienie mi złożenia tych wyjaśnień - zakończył przemowę i usiadł.

Gray poderwał się na równe nogi.

- Mogę odpowiedzieć?

Sędzia skinął głową.

- Krótko - polecił.

- Wysoki Sądzie, pan Pendelton próbuje wpuścić nas w ślepią uliczkę. Nie wnosimy o powstrzymanie Marynarki, Wysoki Sądzie. Wnosimy o powstrzymanie Kongresu. Marynarka wcale nie musi stawać przed sądem. Jeśli sąd uzna list kaperski za niekonstytucyjny, choćby czasowym zakazem do momentu właściwej rozprawy, wówczas Marynarka będzie postępowała według jego wskazań na własne ryzyko. Prawdziwą kwestią do rozstrzygnięcia jest czy mamy szansę zwycięstwa i - czy jeśli Sąd nie podejmie działań i nastąpi poważna, nieodwracalna szkoda. Otóż z całą pewnością dojdzie do poważnej i nieodwracalnej szkody, jeśli Marynarka wypełni wymagania listu kaperskiego i wskutek jej akcji zginą ludzie.

Gray przerwał. Odetchnął głęboko.

- Tak naprawdę należy rozstrzygnąć kwestię następującą: czy Kongres ma prawo samodzielnie interpretować konstytucję? Czy Kongres może zadecydować na przykład, że listem kaperskim wystawionym jednostce Gwardii Narodowej Kalifornii może rozkazać zajęcie siedziby władz stanowych i obalenie gubernatora? Najoczywieściej w świecie nie. Czy Kongres ma prawo powiedzieć, że list kaperski oznacza... wszystko? Czy do niego i tylko do niego należy definiowanie jego treści? Zadaniem sądu jest ustalenie granic, do jakich Kongres może się posunąć na podstawie treści konstytucji. Tak więc czy sąd może zająć pozycję taką, jakiej najwyraźniej domaga się pan Pendelton - tu zerknął na przeciwnika - a mianowicie, że

Kongres może kształtować go według swego widzimisie, sąd zaś nie ma prawa położyć temu kresu przed rozprawą? Od której dzieli nas przecież miesiąc? Póki pan Pendelton i jego firma nie zyskają czasu umożliwiającego wyrządzenie prawdziwej szkody? Nie ma tradycji historycznej wystawiania listów kaperskich jednostkom Marynarki Stanów Zjednoczonych. Nic takiego nigdy się nie zdarzyło...

Przerwał mu sędzia.

- Proszę pana, nic nie świadczy przecież o tym, że tego zrobić nie wolno, prawda?

- Nie, Wysoki Sądzie, ale kontekst historyczny, sytuacje w których list kaperski był wystawiany...

- Czy nie musi pan udowodnić możliwości wygrania procesu przed sądem, nim choćby rozważymy możliwość wydania wyroku wstrzymującego?

- Sądzimy, że jest jasne, iż wygramy, co przedstawiliśmy w pozwie. Co więcej, ryzyko wyrządzenia szkód jest tak wielkie...

- Dziękuję, panie mecenasie. To wszystko - przerwał mu w pół słowa sędzia. Przez chwilę przekładał papiery, a potem spojrzął na prawnika. - Jak rozumiem, nalega pan na jak najszybsze wydanie wyroku?

- Tak, Wysoki Sądzie, tak szybkie jak to tylko możliwe. Minęła czwarta po południu, jest piątek; gdyby Sąd podjął decyzję dziś przed końcem dnia, byłibyśmy bardzo wdzięczni.

- Doskonale. Wyrok zostanie ogłoszony w ciągu godziny.

- Bardzo dziękuję.

- Proszę wstać! - krzyknął woźny i trzech sędziowie wyszli przez drzwi umieszczone pośrodku sali.

Gray podszedł do Pendeltona, który właśnie zebrał papiery i już miał wyjść.

- Zdaje się, że teraz pana przycisnąłem, panie Pendelton - powiedział.

Ponieważ byli równego wzrostu, mogli patrzeć sobie prosto w oczy.

- Doprawdy? To czemu pan tak się poci?

- Wie pan, co mnie w tym wszystkim doprowadza do furii? - Gray przysunął się bliżej, tak by jego głos nie docierał na ławy dla publiczności. - To, że Stanbridge wszczął całą tę sprawę tylko po to, by umocnić się w swoim okręgu wyborczym. „Pacific Flyera” wybudowano w jego stanie, a on ma wielu przyjaciół w przemyśle stoczniowym. Jeden z jego kumpli jest na przykład właścicielem Stewart Shipping Line. Nim został przewodniczącym Izby, Stanbridge wspierał ustawę prezydencką mówiącą, że pięćdziesiąt procent wszystkich towarów wwożonych bądź wywożonych ze Stanów Zjednoczonych musi być transportowane przez statki pływające pod amerykańską banderą.

- Pan chce coś udowodnić? - spytał nieporuszony Pendelton.

- No więc ustawa przechodzi, pięćdziesiąt procent transportu przejmują jednostki wybudowane w Stanach i pływające pod amerykańską banderą. Pewna stocznia nagle ma więcej zamówień na statki, niż jest w stanie zrealizować i nagle jeden z głównych sponsorów kampanii wyborczej Stanbridge'a, pan Jack Stewart, ma swoją własną linię żeglugową, zdolną wykorzystać najnowszą zmianę prawną. No i Stewart Shipping Line przekonuje Forda, żeby przesłał nowiutkie samochody do Dżakarty ich nowiutkim statkiem, pojawiają się terroryści i psują przyjęcie. I dlatego właśnie znaleźliśmy się w sądzie - zakończył z wyższością Gray.

Pendelton przyglądał mu się nieruchomym spojrzeniem.

- Gdzie pan chodził do szkoły? - spytał w końcu.

- A co to za różnica? - zdziwił się Gray.

- Uczyli tam pana podstaw logiki?

- Nie, dlaczego pan pyta?

- Czy słyszał pan kiedyś o łacińskiej sentencji *post hoc, ergo propter hoc*?

- Oczywiście - odparł z dumą Gray. - Jeśli B następuje po A, zostało spowodowane przez A.
- Właśnie. A teraz proszę mi wybaczyć, jestem bardzo zajęty.
Gray zmarszczył brwi, speszony.
- A wie pan, kim byli dwaj najwięksi sponsorzy ostatniej senackiej kampanii wyborczej Stanbridge'a? - zapytał.
- Nie, ale mam wrażenie, że zaraz się dowiem.
- No właśnie. Jack Stewart i Bryce Danaby. A wie pan, kim jest Bryce Danaby? Prezesem wspomnianej stoczni.
Pendelton bez słowa odwrócił się do wyjścia.
- A wie pan, kto jeszcze jest na liście sponsorów? - Pendelton nie zatrzymał się. - Pańska firma prawnicza
Nie wzruszyło go to najwyraźniej. Przecisnął się przez tłum reporterów i wyszedł z sali. Gray szedł za nim.
- Myślę, że porozmawiam teraz z dziennikarzami - oznajmił głośno. - Z pewnością będą bardziej zainteresowani.

19.

Oficer łączności zapukał do drzwi prywatnej kabiny admirała Billingsa.
- Wejść - rozkazał admirał.
Oficer stanął w drzwiach.
- No i co?
Billings zapinał koszulę khaki z dwiema gwiazdkami na kołnierzu. Spojrzał na niego pytająco.
- Nie ma żadnych wiadomości, panie admirale - odpowiedział. - Ani jednej. Sądziłem, że to może padł jeden z naszych systemów albo któreś z połączeń z satelitą. Ale satelity pracują doskonale. Ich sygnały lokacyjne pozostają nienaruszone. Słyszymy, jak je wysyłają. Admirale, z całą pewnością odcięto nam łączność. Moim zdaniem wprowadzili poprawkę do systemu kodów czasowych, której my nie znamy, a inni znają. Wysłali informacje do wszystkich oprócz nas. Sygnałów w eterze jest pełno, tyle że z nami nikt nie rozmawia i nikt nie potwierdza otrzymania naszych transmisji. Dotyczy to nawet sygnałów radiowych wysokiej częstotliwości... słyszymy rozmawiających ze sobą ludzi, ale nam nie odpowiada nikt.
Billings tylko na niego patrzył, wkładając koszulę w spodnie.
- Panie admirale, mam wrażenie, że wieść wreszcie się rozeszła. Jesteśmy pariasami. Nawet jeśli odbiorą nasze sygnały, nie wolno im na nie odpowiadać.
Admirał nagle podniósł głowę.
- A inne statki z naszej grupy? Odpowiadają?
- Tak jest, panie admirale. Mamy z nimi normalną komunikację, ale i one nie mogą wyjść na zewnątrz.
Billings spojrział na mosiężny zegar. Była czwarta rano.
- No cóż, dzień zapowiada się interesująco - stwierdził.
Oficer łączności odpowiedział mu słabym uśmiechem.
- Tak, panie admirale, mam wrażenie, że się pan nie myli.
- Dziękuję. Proszę trzymać linie komunikacyjne otwarte. Będziemy wysyłać raporty i wszelkie informacje, które wysyłałibyśmy w normalnej sytuacji. Jeśli nie potwierdzą ich i będą udawać, że nas nie ma, to ich sprawa. My będziemy robić to, co zawsze robiliśmy. Jeśli oni nie chcą uznać naszego istnienia, jeśli pragną udawać, że

nas nie ma, to ich sprawa. My robimy co do nas należy. Będą przynajmniej wiedzieli, co się dzieje, nawet jeśli my nie będziemy wiedzieli, co się dzieje.

- Tak jest, panie admirale.

- To wszystko.

- Tak jest.

Oficer łączności wykonał w tył zwrot i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Billings udał się do centrum wywiadu grupy lotniskowcowej. Beth Griffith przyglądała się mapom.

- No cóż, Beth, wygląda na to, że straciłaś robotę.

- Nigdy się nie poddam, panie admirale - odpowiedziała dziewczyna, uśmiechając się szeroko.

- Dostałaś jakieś informacje o tych południowoafrykańskich raketach, nim odcięto nam łączność?

- Nie, panie admirale. Opieramy się na tym, co mamy w komputerach.

- Gdzie się podział ten Dillon? Chciałem zapytać go o parę spraw.

- Chyba nadal śpi. Napodróżował się wczoraj.

- No, rzeczywiście.

- Przecież ledwie minęła czwarta - zauważyła Beth.

W tym momencie na miejscu pojawił się komandor Black.

- Dzień dobry, admirale. Dzień dobry, Beth - powiedział.

- Dzień dobry - odpowiedzieli mu oboje.

Admirał nalał sobie kawy z dzbanka, stojącego na szafce.

- Opanował pan już ten atak skrupułów z wczorajszego wieczoru, komandorze? - spytał admirał.

- Bardzo pana przepraszam - odparł Black. - Myślałem, że wolno nam mówić to, co myślimy. Mam nadzieję, że nie wychyliłem się przesadnie?

- Nie. Mówił pan po prostu to, co myśli i takie jest pańskie zadanie. - Oczy admirała lekko się zwęziły. - Muszę jednak wiedzieć, czy jest pan za mną, czy przeciw mnie?

- Moim zdaniem podjął pan złą decyzję, jest to jednak pańska decyzja. Miał pan prawo ją podjąć. Jestem z panem.

Billings wahał się przez chwilę.

- Co mamy zrobić między dzisiejszym a jutrzejszym rankiem?

- No cóż, panie admirale, właśnie kalkulowałem szybkość i kurs statku. -

Komandorowi Blackowi najwyraźniej spodobała się zmiana tematu. - Jak rozumiem z sesji planowania, która odbyła się wczoraj wieczorem, i z rozmowy z pułkownikiem Tuckerem, godzina „L” i godzina „H” mają być jutro o 05.40, piętnaście minut przed wschodem słońca - powiedział, mając na myśli lądowanie na wyspie amfibii i helikopterów. - Sądzą, że najprostszym sposobem osiągnięcia zaskoczenia jest zaatakowanie przeciwnika, nim ten się obudzi.

- Zgadza się. Gdzie w tej chwili jesteśmy?

- Niespełna dwieście kilometrów na wschód-południowy wschód od Bunaya.

Planujemy lekką aktywność lotniczą, około siedemdziesięciu pięciu procent rutynowych operacji cyklicznych. Amfibie są gotowe. Marines twierdzą, że mogliby startować już dziś, a jutro będą więcej niż gotowi.

- W porządku. Oficer operacyjny wstał?

- Tak jest, panie admirale. Widziałem go w mesie.

- Sprowadź go tutaj. Chcę przedyskutować z nim kilka spraw.

- Tak jest.

Szef sztabu podszedł do stojącego na admirałskim biurku telefonu.

- A więc co sądzisz, Beth? Dostaniemy jakieś dodatkowe wiadomości wywiadowcze? - zwrócił się Billings do swojego szefa wywiadu.

- Nie, panie admirale. - Dziewczyna pokręciła głową. - Dlatego takie ważne jest, byśmy wysadzili SEAL na brzeg jeszcze dzisiaj. Nasz TARPS został zestrzelony, od wczorajszego popołudnia nie dostaliśmy ani jednego satelitarnego obrazu z wyspy.

- Więc nie wiemy nawet, czy na wyspę nie przybywają przypadkiem okrętami desantowymi setki żołnierzy z całej Południowej Azji?

- Mniej więcej tak to właśnie wygląda, panie admirale. Ale bardzo wątpię, tu nikt nie ma takich sił oprócz Wietnamczyków, a nasi faceci niemal na pewno nie pracują dla żadnego kraju... zaraz, chwileczkę. - Jej twarz nagle się rozjaśniła. - A jednak możemy mieć jakiś wybór. Admirale, pamięta pan naszych specjalnych gości na ćwiczeniach „Złota Kobra”?

- Chłopców z Armii?

- Owszem. - pamięta pan, co mieli ze sobą?

Z twarzy Billingsa łatwo było domyślić się, że nie pamiętał.

- Predatora, panie admirale.

- Nie rozumiem - przyznał admirał.

- Admirale - Beth podeszła bliżej - to najnowszy zdalnie sterowany samolot zwiadowczy na wyposażeniu Armii. Jest bardzo niewielki, na wyspie ani go nie zobaczą, ani nie usłyszą. Pamięta pan testy, które robili? Leciał na czterech i pół kilometrach, i przesyłał na „Lincolna” obraz z kamery w czasie rzeczywistym. On naprawdę działa! - Beth z trudem powstrzymywała wybuch entuzjazmu. - Może być naszymi oczami.

Billings spojrzał na nią zdziwiony.

- Skonstruowany został z myślą o starcie z lądu, ale jestem pewna, że nasi chłopcy od katapult mogą go przygotować do startu z pokładu.

- Co właściwie może?

- Podcierwień, radar, obraz z kamery w czasie rzeczywistym. Wiele godzin lotu.

- I sądzisz, że potrafisz go obsłużyć?

- Jestem pewna, że sobie poradzimy.

- No to bierz się do roboty. - Admirał zareagował wręcz entuzjastycznie. - Ale... chwileczkę. Jeśli użyjemy go dziś wieczorem, czy będzie gotów do ponownego użytku jutro rano?

- Nie liczyłabym na to. Wyciśniemy z niego prawdopodobnie tylko jeden lot.

Billings milczał przez chwilę, rozważając dostępne mu opcje.

- SEAL wyślemy dziś - zdecydował wreszcie - a Predator niech startuje rano, przed atakiem.

- Tak jest, panie admirale.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do kajuty wbiegł oficer operacyjny.

- Dzień dobry, panie admirale - wydyszał.

- Dzień dobry. Co u pana?

- Szczerze mówiąc, panie admirale, niepokoi mnie trochę to odcięcie od Stanów Zjednoczonych, a zwłaszcza od Waszyngtonu. Jestem tak napięty, że nie wbiłby mi pan szpilki w tyłek nawet młotem pneumatycznym.

Admirał uśmiechnął się lekko i usiadł. Obrócił się od monitorów i przyjrzał trójce swoich oficerów. Widoczni nieco dalej dwaj marynarze, przyzwyczajeni do przesuwania plastikowych stateczków po planszecie, siedzieli nie mając nic do roboty. Bez dodatkowych danych wywiadowczych, nowych informacji o pozycji poszczególnych jednostek, nie mieli czego przesuwac.

- Pozwólcie, że o coś was spytam. Jak myślicie, o co chodzi prezydentowi? Co on waszym zdaniem planuje?

Odpowiedziało mu milczenie.

- Nie macie własnego zdania na ten temat?

Nikt nie odważył się odpowiedzieć. Jego oficerowie bali się pomylić. Admirał spojrział na szefa sztabu.

- Zadzwoń do Reynoldsa - rozkazał. - Niech obudzi Dillona i przyprowadzi go do nas. Ten facet jest najbliższej polityki ze wszystkich, których mamy w zasięgu. Jemu zadam to pytanie.

Dillon usiadł i uderzył głową w górną koję. Ktoś walił w drzwi. Przez chwilę na próżno szukał odpowiedzi na dwa podstawowe pytania: gdzie jest i co tu robi? Spojrzął na zegarek ze świecącym w ciemności cyferblatem. Czwarta piętnaście. Łup, łup, łup! Co jest, do diabła? Wstał powoli, pod stopami poczuł chłodną stal podłogi. Gdzie się podział dywan z sypialni? Zlokalizował źródło łomotu i poszedł w jego kierunku. Poczował ruch. Lotniskowiec. Jest na lotniskowcu. Potrząsnął głową, nadal niezbyt przytomny. Otworzył drzwi, za którymi był jaskrawo oświetlony korytarz.

- Dzień dobry, panie Dillon - powiedział porucznik Reynolds.

- Dzień dobry, co się dzieje?

Dillon nieco oprzytomniał.

- Admirał chce pana widzieć. Natychmiast, proszę pana.

- Co? Aha. Tylko... no tak... niech mi pan pozwoli się ubrać, bardzo proszę. Może pan wejdzie?

- Nie, dziękuję. Poczekam za drzwiami. Kiedy pan będzie gotowy, zaprowadzę pana na miejsce.

Dillon włączył światła w kajucie. Jeszcze nigdy w życiu nie był taki zmęczony. Miał też wrażenie, że wie o trzydzieści procent mniej niż przed dwoma dniami. Podszedł do stalowych drzwi szafki. Co się nosi podczas pobytu na okręcie? Miał ze sobą miękkie, przyczepne buty, które doskonale sprawdzały się na jachtach, ale właśnie odkrywał, że lotniskowiec ma z łodziami i statkami turystycznymi wspólne tylko tyle, że też pływa, natomiast jest od nich znacznie bardziej kanciasty, a kanty te są nieprzyjemnie twarde i ostre. Tylko ostrożność mogła zapobiec złamaniu kości stopy. Większość oficerów i marynarzy nosiła buty na twardych podszewkach.

Wyciągnął z szafki białą koszulę, nieco pogniecioną po podróży naokoło świata, włożył ją i szare spodnie od garnituru. Związał krawat w czerwone i niebieskie paski. Przyczesał włosy mokrymi dłońmi, szybko umył zęby.

- No dobrze, idziemy - powiedział czekającemu nań porucznikowi.

Porucznik skinął głową i poprowadził go korytarzami. W chwilę później weszli do centrum wywiadu. Dillon usilnie starał się przypomnieć sobie, czy kiedyś już tu był. Rozpoznał w każdym razie wielkie kolorowe monitory, no i oczywiście samego admirała.

- Dzień dobry, panie Dillon - powiedział admirał.

- Dzień dobry, panie admirał. - Jak pan się miewa?

- Doskonale, dziękuję.

Dillon stał naprzeciw Billingsa i jego oficerów, nie bardzo wiedząc, co powinien powiedzieć. Został wezwany... tylko po co?

- Mógłbym może dostać kawy? - spytał z wahaniem.

- Ależ oczywiście. Fowler? - Admirał podniósł głos. - Pan Dillon prosi o kawę.

- Tak jest.

Marynarz nalał gorącej kawy do porcelanowej filiżanki. Dillon z wdzięcznością pił gorący płyn.

- Proszę usiąść - zwrócił się do niego admirał, wskazując na sąsiednie krzesło. - Rozmawiałem właśnie z moimi ludźmi... próbowaliśmy przedyskutować polityczne

implikacje tego, co... tego co się dzieje. Naszym zdaniem zajmuje pan pozycję, dzięki której lepiej niż ktokolwiek z nas potrafi poradzić sobie z tym problemem.

- Spróbuję, panie admirale.

Jim Dillon wahał się przez chwilę, wsłuchany w cichy szum klimatyzacji. W tej sali było rzeczywiście chłodno. Miał dreszcze.

- Był pan kiedyś w Izraelu?

- Nie, panie admirale. Nigdy.

- Mówi pan może po hebrajsku?

- Ani słowa, panie admirale.

- Kiedy byłem dowódcą VF-84, Jolly Rogersów... może kiedyś ich pan widział, czaszka, piszczel i tak dalej... - Dillon pokręcił głową przecząco. - No nic, w każdym razie kiedy dowodziłem tym dywizjonem na „Nimitzu”, popłynęliśmy raz do Izraela. Do Hajfy. Wspaniałe miasto. Położone na wzgórzach, bardzo ładne. W każdym razie mieli tam powiedzenie, które bardzo mi się spodobało. Kiedy coś się naprawdę spieszyło, kiedy coś się zupełnie nie udało, mówili *balagan*. Kiedy coś się spieszyło nieodwracalnie, mówili *eza balagan*. Prawdziwe fiasko. Dobre słowo, co?

- Owszem, panie admirale.

- No więc to, co dał nam pana szef, ten list kaperski, może doprowadzić do bałaganu. Moim obowiązkiem jest dopilnować, by do tego nie doszło. Rozumie pan?

- Owszem, panie admirale.

- Jak pan zapewne wie, a może i nie wie, prezydent nas odciął.

Dillon zapastrył się w filiżankę kawy.

- Co pan przez to rozumie? - spytał.

- Odciął łącza komunikacyjne. Najprawdopodobniej może nadal odbierać nasze sygnały, my jednak nie otrzymujemy żadnych informacji. Prawdopodobnie zdjął też nasz identyfikator z transmisji oraz, jak sądzimy, zakazał pozostałym jednostkom dowódczym i wszystkim statkom nawiązywania z nami łączności w jakiegokolwiek formie. Jesteśmy zdani na siebie. - Odczekał aż ta wiadomość dotrze i utrwali się w niezbyt jeszcze przytomnym mózgu Dillona. - Co pan o tym sądzi?

- No cóż, zakładam, że próbuje was skłonić do zmiany zdania albo też stworzyć sytuację, w której nie będziecie w stanie przeprowadzić ataku, nawet jeśli tego chcecie.

- Musi wiedzieć, że jeśli zechcemy zaatakować to zaatakujemy i on nic nie może na to poradzić. - Admirał tylko pokręcił głową. - Proszę pana, czy pańskim zdaniem prezydent gotów jest na jakiś drastyczny postępek?

- Pan wybaczy, panie admirale, ale jest jeszcze bardzo wcześnie. Nie bardzo pana rozumiem.

- Czy sądzi pan, że wystarczy mu odwagi, by wysłać inną grupę bojową celem przechwycenia nas?

Dillon siedział oniemiały, tylko oczy robiły mu się coraz większe ze zdumienia.

- A jest jakaś w pobliżu? - spytał wreszcie.

- Jedna w rejonie Filipin, druga na Oceanie Indyjskim, w pobliżu Zatoki Perskiej. Jeśli prezydent zechce, może wysłać na nas jedną lub obie.

- Co mogą zrobić?

Dillon bardzo starał się powstrzymać mocno przyśpieszony oddech.

- Dobre pytanie. Zależy od rozkazów. Mogą pojawić się i wywierać na nas nacisk, a mogą też otrzymać rozkaz zaatakowania nas.

Dillon siedział oszołomiony. Dopiero teraz w pełni trafiło do niego to, co usłyszał.

- Myślicie, że prezydentowi starczy odwagi? - zwrócił się do wszystkich Billings. Potem mówił już nieco ciszej, a jego ludzie słuchali go z napiętą uwagą. - Czy zechce oznajmić całemu światu, że grupa bojowa Marynarki Stanów Zjednoczonych ze

statkami wsparcia, okrętami podwodnymi i grupą marines pozostaje poza jego kontrolą? Czy myślicie, że jest gotów nie tylko oznajmić to światu, lecz, wysyłając przeciw nam inną grupę bojową, także zasugerować, że Stany Zjednoczone stanęły na krawędzi wojny domowej?

Dillon przygryzł dolną wargę.

- Admirale - powiedział - to bardzo ważne pytania, a ja nie znam na nie odpowiedzi. Może zadzwonię do przewodniczącego i po prostu go zapytam?

- Zdaje się, że pan mnie nie zrozumiał, panie Dillon. Zostaliśmy odcięci. Nie mamy nawet zwykłej komunikacji radiowej na wysokiej częstotliwości. Nikt nie odpowiada.

- Mam przenośny telefon, panie admirale. Telefony satelitarne Iridium działają podobno na całym świecie.

Admirał spojrział na niego z entuzjazmem.

- To może być właśnie to, czego nam potrzeba. Ale skoro wydano rozkaz odcięcia nam komunikacji, nie ma sensu łączyć się z nimi na drodze służbowej.

Zadzwonił telefon. Adiutant admirała podniósł słuchawkę. Przez chwilę rozmawiał cicho, a potem powiedział nieco głośniej:

- Dobrze, powtórzę - i zwrócił się do Dillona. - Chyba zostanie pan z nami nieco dłużej, niż pan zamierzał - powiedział.

- Jak to? Dlaczego?

- DNO jest uziemiony w Singapurze. Ptak uszkodził mu prawy silnik.

Jim Dillon skrzywił się niechętnie.

- No cóż, dziękuję - powiedział, choć nie odczuwał żadnej wdzięczności. - No więc jak, mam dzwonić do przewodniczącego Kongresu?

Admirał rozmawiał chwilę przez inny telefon i skinął głową.

Dillon stał na galerijce mostka admirałskiego na poziomie 08. Admirał siedział na swym fotelu na mostku, obok niego zaś stała Beth Griffith. Dillon wyjął z kieszeni telefon Motorola Iridium, podłączony do sieci sześćdziesięciu sześciu satelitów Motoroli, co umożliwiało dzwonienie i przyjmowanie rozmów z każdego miejsca na świecie. Dysponował tym telefonem zaledwie od miesiąca i do tej pory ani razu nie wykorzystał go poza Waszyngtonem. Zadzwonił na bezpośredni numer biura przewodniczącego. Serce waliło mu mocno. W słuchawce słyszał trzaski, a potem normalny sygnał. Odetchnął głęboko, ciągle niepewny, z kim właściwie się połączył. Miał przecież do wyboru cały świat.

- Dzień dobry, biuro przewodniczącego Izby Reprezentantów, w czym mogę pomóc?

- Robin? - wykrztusił.

- Panie Dillon, to pan?

- Tak, to ja - odparł, zdumiony jakością połączenia. Zupełnie jakby rozmawiał z sekretarką przewodniczącego z korytarza. - Jest szef?

- Proszę chwilę poczekać.

Dillon czekał przez trzy sekundy.

- To ty? Gdzie jesteś? - usłyszał głos Stanbridge'a.

- Dzień dobry, panie przewodniczący - odpowiedział.

- Tutaj mamy już prawie wieczór. Dlaczego dzwonicz? - Stanbridge nagle się zaniepokoił. - Czy admirał dostał list?

- Tak, doręczyłem mu go wczoraj po południu, zaraz po przyjeździe

- I co powiedział?

Dillon obejrzał się przez ramię, sprawdzając, czy nikt nie słucha ich rozmowy. Był jednak sam na galerijce mostku „Constitution”. Płynęli na zachód w mroku

wczesnego poranka z szybkością dwudziestu pięciu węzłów. Wiatr niemal zrywał mu głowę, utrudniając rozmowę przez telefon. Skrył się za wielką stalową ścianą, gdzie było nieco spokojniej.

- Powinien pan to wiedzieć, panie przewodniczący. Admirał i jego szef sztabu pokłócili się o to, czy ważniejsza jest konstytucja, czy rozkaz prezydenta.

- Prezydent wydał im jakiś rozkaz?

- Oczywiście. Nie wiedział pan? Dostali bezpośredni rozkaz od Kolegium Szefów Sztabów i prezydenta, zakazujący stosowania się do wymogów listu kaperskiego i nakazujący natychmiastowy powrót do Pearl Harbor.

- Głupi sukinsyn - warknął w słuchawkę Stanbridge. - I co admirał zrobił z tym rozkazem?

- Wahał się bardzo długo. Szczerze powiedziawszy, odniosłem wrażenie, że opinia szefa sztabu przeważa i zignoruje list, a gdyby go zignorował, nie mielibyśmy w tej sprawie nic do powiedzenia.

- Nic na ten temat nie wiem, za to chętnie dowiedziałbym się, co postanowił.

- Przyjął list, panie przewodniczący. Godziny „H” i „L”, cokolwiek to oznacza, wyznaczono na jutro rano.

- To świetnie!

- A co z wytoczonym przez prezydenta procesem?

- David Pendelton okazał się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Zdążył mi się przysłużyć już dwukrotnie. Odbyła się rozprawa wstępna przed Sądem Okręgowym i pozew prezydenta został odrzucony, więc wnieśli apelację w trybie natychmiastowym. Właśnie czekamy na postanowienie. Jeśli i tu ich odrzucą, te błazny z pewnością odwołają się do Sądu Najwyższego. Poczekamy i zobaczymy, jak to się wszystko rozegra.

- Chciałem zapytać pana o jeszcze jedną sprawę. Czy wie pan, dlaczego prezydent nas odciął?

- Jak to „odciął”?

- Chodzi o łączność. Nie dostajemy informacji wywiadowczych, nie dostajemy zdjęć, nie możemy nawet przesłać rutynowych meldunków przez satelitę. Odcięto nam wszystkie kanały łącznościowe.

- Pieprzysz.

- Nie. Admirał twierdzi, że niczego nie dostajemy. Nasze informacje wysyłamy normalnie i być może ktoś je odbiera, ale z pewnością nikt nam niczego nie przesyła. Admirał sądzi też, że prezydent mógł wysłać inną grupę bojową, by nas przechwyciła. Czy pana zdaniem to możliwe?

- Ten maminsynek? - prychnął przewodniczący. - Miałby odwagę wysłać za wami inną grupę bojową. Mowy nie ma!

- Może i tak, ale czy dałoby się to sprawdzić?

- Jasna sprawa. Nie martw się, zaraz sprawdzę. - Stanbridge zamilkł na chwilę, rozważając trudności związane z odcięciem grupy bojowej od dowództwa i skutki tego czynu. - Jak mogę się z tobą kontaktować?

- Proszę dzwonić na numer telefonu komórkowego. Dokładnie tak, jakbym był w Waszyngtonie. Tylko że musimy chyba ustalić czas, bo nie sądzę, by telefon działał wewnątrz okrętu. No więc, powiedzmy, za godzinę, o wpół do szóstej czasu waszyngtońskiego. Albo pan zadzwoni do mnie, albo ja do pana... no, powiedzmy, że to ja będę dzwonił.

- Doskonale. Proszę też poinformować admirała, że będę chciał z nim wówczas rozmawiać.

- Oczywiście. Do widzenia.

Dillon przerwał rozmowę i włożył telefon do kieszeni. Spojrzał przed siebie. Widział tylko ocean i kilka najbliższych towarzyszących lotniskowcowi statków, płynących na zachód, w stronę Bunaya. Ze zdziwieniem stwierdził, że odczuwa dumę. Oddychał słonym powietrzem, a na jego oczach potęga wielkich okrętów, potęga Marynarki i potęga Waszyngtonu jednoczyły się, by zadać decydujący cios mordercom niewinnych Amerykanów, a wszystko to działo się dzięki niemu.

20.

Zadzwoił telefon i Maria natychmiast podniosła słuchawkę.

- To Jane! - krzyknęła. - Sąd Okręgowy ogłosił werdykt!

Pendelton błyskawicznie obrócił się w krzesło i wcisnął przycisk telefonu z głośnikiem.

- Tak? - rzucił w słuchawkę.

Jane zrezygnowała z uroczystego wstępu.

- Uzasadnienie ma pół strony, David - powiedziała. - Brzmi tak: „W sprawie prezydent Stanów Zjednoczonych przeciw Johnowi Stanbridge’owi, powód Edward Manchester jako prezydent Stanów Zjednoczonych i jako obywatel wniósł o wstrzymanie działania. Wysłuchawszy stron i zapoznawszy się z ich pisemnymi oraz ustnymi zeznaniami, które zostały należycie rozważone, wniosek powoda został oddalony. Apelacyjny Sąd Okręgowy Dystryktu Columbia”. To wszystko, David.

- Doskonale. Nie pozostawili Sądowi Najwyższemu najmniejszego tropu co do tego, co rzeczywiście zamierzają zrobić. No więc - dodał, bardzo zadowolony z siebie - czekamy teraz na wniesienie sprawy przed Sąd Najwyższy. Będę w biurze do wpół do szóstej, potem jadę do domu. Trzymaj kciuki, być może Sąd Najwyższy nie zechce akurat dzisiaj wieczorem rozbrajać największej konstytucyjnej bomby od dziesięcioleci. Może przyjechałabyś i wraz ze mną przejrzała procedury Sądu Najwyższego?

- Już jadę.

Pendelton rozsiadł się w fotelu i przetarł oczy. Nie otwierając oczu polecił sekretarce podniesionym głosem:

- Zadzwoń do przewodniczącego Izby, dobrze?

- Przewodniczący na linii - usłyszał po chwili.

- Panie przewodniczący, mam dla pana dobrą wiadomość - powiedział, podnosząc słuchawkę. - Sąd Apelacyjny odrzucił ich pozew.

- Świetnie - odparł przewodniczący nieco nieprzytomnie. - Panie Pendelton, chcę, żeby pan natychmiast do mnie przyjechał.

- Po co? - Adwokat wyprostował się nagle w fotelu. - Wolałbym zostać w biurze na wypadek, gdyby postanowili odwoływać się jeszcze dziś do Sądu Najwyższego.

- Proszę przyjechać. Może pan chyba posadzić kogoś przy telefonie, żeby zadzwonił do mnie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Doskonale, już jadę.

Pendelton wszedł do gabinetu przewodniczącego i dostrzegł nieznanym mu ludzi siedzących na fotelach i kanapach rozmieszczonych wokół niskiego stolika. Najwyraźniej wszyscy na niego czekali.

- Dobry wieczór, David, cieszę się, że mogłeś przyjechać. Zrobiłeś dobrą robotę w sprawie odwołania wniesionego przez prezydenta. Wygląda na to, że zdjąłeś im wiatr z żagli.

- Nie do końca, panie przewodniczący. Sąd Najwyższy może przyjąć ich wnioski o rozpatrzenie sprawy w trybie nagłym jeszcze dziś wieczorem. Musimy czekać. Rozważą tę sprawę prawdopodobnie w tym samym trybie, który stosuje się przy ułaskawieniach skazanych na karę śmierci.

- Miejmy nadzieję, że nie. - Stanbridge zaśmiał się sucho. - David, pozwól że przedstawię ci moich współpracowników. Poznałeś już Rhondę, historyka, Chucka, specjalistę od spraw wojskowych i Franka Grazio, mego osobistego asystenta. Ci dwaj panowie to główni doradcy prawni przewodniczącego większości Izby i mojego dobrego przyjaciela Barta Rutledge, kongresmana z Południowej Karoliny. Usiądźmy, dobrze?

Obecni zajęli miejsca.

- David, rozmawialiśmy właśnie o zasadności impeachmentu - powiedział spokojnie Stanbridge.

- Co?

Pendelton drgnął, choć na ogół udawało mu się nie zdradzać zaskoczenia.

- Chcę pozbawić prezydenta urzędu.

Tym razem adwokatowi udało się ukryć uczucia. Powoli sięgnął po kubek kawy i wypił łyk.

- Na jakiej podstawie? - spytał.

Przewodniczący patrzył mu prosto w oczy. Przez chwilę milczał, a potem spytał cicho, spokojnie.

- Czy wobec któregoś z prezydentów rozpoczęto kiedyś postępowanie o pozbawienie urzędu?

Pendelton rozejrzał się szybko, sprawdzając, kto chce odpowiedzieć na to pytanie, i nagle zdał sobie sprawę, że było ono skierowane do niego.

- Andrew Johnson. Wiceprezydent Abrahama Lincolna. Został prezydentem po tym, jak zastrzelono Lincolna.

- No właśnie. Był pan w Waszyngtonie w czasie Watergate?

Pendelton skinął głową.

- O ile dobre pamiętam, ustawa o impeachmentie przeszła przez komisję i miała być przegłosowana przez Izbę Reprezentantów kiedy Nixon zrezygnował w 1974 roku.

- Doskonale. Czy znamy jeszcze jakieś wielkie impeachmenty?

- Nie rozumiem.

- Czy wobec któregoś z sędziów Sądu Najwyższego wniesiono kiedyś o pozbawienie urzędu?

Pendelton zastanawiał się przez chwilę w milczeniu. Nie rozumiał, jaki sens ma to wypytywanie.

- Sądzę, że tak, ale nie pamiętam o kogo chodziło.

- Rhonda?

- Sędzia Chase - odpowiedziała natychmiast zapytana.

- Czy został on pozbawiony urzędu w Senacie?

- Nie. Uznano go niewinnym większością jednego głosu. Dokładnie tak, jak prezydenta Jacksona.

- No właśnie. A kiedy to wszystko miało miejsce?

- Przed przeszło wiekiem.

- Otóż to. - Stanbridge skinął głową, niczym nauczyciel dumny ze wzorowych odpowiedzi uczennicy. - Czy waszym zdaniem fakt, że od bardzo dawna nie próbowano pozbawić prezydenta urzędu oznacza, że nie można go urzędu pozbawić? - spytał retorycznie. - Oczywiście, że nie - odpowiedział sam sobie, spacerując po gabinecie; podniecony własnymi pomysłami. - I znów mamy tu do czynienia z władzą

właściwą wyłącznie Kongresowi. Dokładnie tak, jak w przypadku listu kaperskiego. Mam zamiar z tej władzy skorzystać.

W gabinecie panowała martwa cisza. Wszystkie oczy wpatrzone były w przewodniczącego.

- Na jakiej podstawie? - spytał w końcu Pendelton.

- Niekompetencji. - Stanbridge opadł ciężko na stojący obok adwokata stołek. - Niekompetencji i niezdolności do działania jako naczelny dowódca, czyli wypełniania obowiązków prezydenta.

Pendelton tylko pokręcił głową.

- To już polityka - stwierdził. - Nie wyobrażam sobie, by można było pozbawić urzędu kogoś za to, że wykonuje swą robotę gorzej niż ktoś inny wyobraża sobie, że powinna być zrobiona.

- Nie mówię o wykonywaniu roboty, dobrym lub złym. - Przewodniczący wstał, obszedł fotel i wsparł się na jego oparciu. Oczy mu płonęły. - Mówię o niezdolności w najbardziej podstawowym znaczeniu tego słowa, o... - przez chwilę szukał właściwego słowa - ...o fizycznej niemożności. Zupełnie jak w przypadku ławy przysięgłych w procesie o morderstwo. Jeśli oskarżenie zażąda kary śmierci, jako ławnik musisz być przygotowany na jej wymierzenie. Zdają ci pytanie, czy nie jesteś z zasady przeciwny karze śmierci, a jeśli jesteś, nie możesz zostać ławnikiem nawet w celu określenia, czy oskarżony jest winny zarzucanego mu czynu.

Stanbridge zamilkł i rozejrzał się po twarzach obecnych. Patrzyli na niego nic nie rozumiejącymi spojrzzeniami.

- I co to ma do rzeczy? - spytał w końcu Pendelton.

- Prezydent Stanów Zjednoczonych jest jednocześnie naczelnym dowódcą sił zbrojnych, prawda? - Słuchający go tylko skinęli głowami. - Co więc się stanie, jeśli okaże się, że prezydent jest pacyfistą? Prawdziwym, ideologicznym pacyfistą w głębi serca? - Przerwał na kilka chwil, by myśl ta w całej pełni dotarła do słuchaczy. - Co się stanie jeśli, bez względu na okoliczności, nie zechce użyć sił zbrojnych kraju, którego jest prezydentem? - Stanbridge ściszył głos. Rozejrzał się dookoła. - Czy nie dyskwalifikowałoby go to automatycznie jako prezydenta? Czy nie zlikwidowałoby całkowicie chroniącego nas parasola atomowego? Czy jednym gestem nie dokona tego, czego nie udało się dokonać Związkowi Radzieckiemu i całej reszcie świata?

- Czy rzeczywiście ma to coś wspólnego z Manchesterem? - spytał doradca prawny przewodniczącego większości.

- Ma, bowiem Manchester jest pacyfistą.

Na twarzach obecnych odmalowało się wyraźne zaskoczenie.

- Skąd to twierdzenie, panie przewodniczący? - spytał Pendelton.

- Moim zdaniem z tego właśnie powodu nie chce wykorzystać USS „Constitution” przeciw terrorystom. Zastanówcie się nad tym! - Przewodniczący wykonał szeroki gest ręką. - Skąd pochodzi Manchester?

- Z Connecticut - odparł natychmiast Pendelton.

- Nie, nie o to chodzi. Gdzie się wychował?

Po chwili milczenia Rhonda wygrzebała z pamięci właściwą informację.

- Harrisonburg w Wirginii.

- Doskonale. W jakiej wychował się religii?

- Menonitów. Co z tego?

- Wiesz coś o menonitach, Rhonda? - spytał przewodniczący.

- Niewiele. Dlaczego pan pyta?

- Jaki jest ich stosunek do wojska?

Rhonda skinęła głową.

- Są pacyfistami - przyznała.

- No właśnie. Jaką szkołę kończył?

- Goshen College w Indianie.

- Tak. Kto jest właścicielem i kto kieruje Goshen College?

Tym razem nikt nie odpowiedział.

- Menonici - oświecił ich Stanbridge. - A czy pamiętacie, co mówił Manchester w czasie kampanii wyborczej, gdy był gubernatorem Connecticut, kiedy pytano go o wiarę? Przyznawał, że „wyznaje zasady religii chrześcijańskiej”. - Zaznaczył gestem, że cytuje słowa prezydenta. - Pamiętacie?

I znów odpowiedziała mu Rhonda.

- Ale przecież mówił, że nie jest już członkiem Kościoła Menonitów, nie chodzi na ich nabożeństwa, i to od dłuższego czasu. Od kiedy wyjechał do szkoły. Twierdził, że nie jest menonitą. - Uśmiechnęła się lekko. - Zupełnie jak Nixon, który był za młodu kwakrem, a kwakrowie to w końcu pacyfiści...

- No właśnie! - przerwał jej Stanbridge. - Ale to porównanie w gruncie rzeczy nic nie znaczy. Nikt nie oskarżał Nixona o bycie pacy...

Pendelton energicznie pokręcił głową.

- Nie bardzo rozumiem, do czego pan zmierza, panie przewodniczący - przyznał. - Nawet gdyby prezydent był członkiem Kościoła Menonitów, z całą pewnością decydując się kandydować na stanowisko prezydenta rozumiał, że łączy się z nim stanowisko naczelnego dowódcy sił zbrojnych.

Stanbridge pochylił się i spojrzał mu w oczy.

- I o to właśnie mi chodzi. Kto skuteczniej może szerzyć doktrynę pacyfizmu niż prezydent Stanów Zjednoczonych? Manchester nigdy nie służył w wojsku, nie służył nawet w Gwardii Narodowej. Jako gubernator Connecticut nie odwołał się do Gwardii Narodowej nawet przed paroma laty, kiedy zdarzyła się im powódź. Gwardia Narodowa nie została użyta ani razu za czasów jego kadencji jako gubernatora, specjalnie to sprawdziłem. Także pod jego rządami jako prezydenta siły zbrojne Stanów Zjednoczonych nie zostały użyte nigdzie na świecie do prowadzenia wojny, choć był po temu szereg okazji. Oczywiście - przewodniczący rozgrzewał się w miarę przemowy - pod względem politycznym mógł decydować tak lub inaczej. Dziwne jednak, że ani razu nie zdecydował się na wysłanie wojska. No i mamy przecież dzisiejszą sytuację, tę, którą obecnie rozpatrujemy, sytuację w konsekwencji której zostaliśmy podani do sądu, a przecież był to najoczywistszy atak na obywateli amerykańskich od dziesięciu lat. I jak prezydent reaguje? Omija problem, twierdząc, że powinna się nim zająć indonezyjska policja! Policja! Przecież to jakieś żarty.

Zamilkł i rozejrzał się dookoła.

- Nie było was tutaj - powiedział, dramatycznie zniżając głos - tej nocy, kiedy wyszło szydło z worka, gdy oznajmił, że nie ma zamiaru nic zrobić w sprawie porwania. Poszedłem wówczas do Białego Domu i spotkałem się z prezydentem. Rozmawialiśmy bez świadków. Spytałem go wprost, czy jest pacyfistą. Wiecie, co odpowiedział? Nic nie odpowiedział! Nie zaprzeczył! Tak więc każdemu z was pragnę zadać pytanie: czy nie jest to wystarczający powód do impeachmentu, jeśli prezydent Stanów Zjednoczonych jest pacyfistą i nie zamierza użyć amerykańskich sił zbrojnych? Czy ktoś z was chciałby coś w tej sprawie powiedzieć? - Odczekał chwilę. - Co począć ze zwykłym, prostym zaniechaniem obrony zagrożonych obywateli Stanów Zjednoczonych, czyli, w przypadku naczelnego dowódcy, zwykłej niekompetencji?

Zamilkł. Milczeli także wszyscy zgromadzeni w jego gabinecie. Siedzieli oszołomieni, nie wierząc własnym uszom. Niektórzy byli wręcz przekonani, że przewodniczący oszalał. Patrzyli mu w oczy, szukając w nich iskierek humoru lub szklistego błysku oznaczającego brak jakiegokolwiek kontaktu z rzeczywistością.

Wszyscy z wyjątkiem Pendeltona, który w ostatniej chwili powstrzymał lekki uśmiech. Zdumiał go spryt Stanbridge'a. Niewykluczone, że może mu się udać...

Otworzyły się drzwi i do sali wpadła Robin.

- Panie przewodniczący, dzwoni Jane z biura pana Pendeltona. Chce z nim rozmawiać, natychmiast.

- Doskonale, David, możesz rozmawiać stąd.

Pendelton podniósł słuchawkę telefonu.

- Linia pierwsza, proszę pana - poinstruowała go sekretarka.

- Co się stało? - rzucił w słuchawkę adwokat. Patrzył przed siebie niewidzącymi oczami, słuchając rozmówcy. Skinął głową. - Doskonale, dziękuję.

Odłożył słuchawkę.

- Wnieśli odwołanie do Sądu Najwyższego - poinformował obecnych. - Żądają jej natychmiastowego rozpatrzenia. W ciągu godziny dowiemy się, czy Sąd Najwyższy postanowi rozpatrzyć ją jeszcze dziś wieczorem. Proszę o wybaczenie, panie przewodniczący, ale powinienem powrócić do biura i zająć się sprawą na wypadek, gdyby rozprawa miała się odbyć jeszcze dziś.

Przewodniczący podszedł i stanął naprzeciw niego. Patrzył mu w oczy, a w jego spojrzeniu nie było najmniejszych nawet wątpliwości.

- Jak myślisz, czy Sąd Najwyższy zgodzi się wydać wyrok dzisiaj?

- Nie wiem. Jeszcze nigdy nie byłem w podobnej sytuacji. Nie słyszałem, by kiedykolwiek przyjęto sprawę cywilną i rozpatrzono ją w tak krótkim czasie... może w którejś z tych rozpraw biomedycznych, kiedy zagrożone jest ludzkie życie... no cóż, za godzinę i tak się wszystkiego dowiemy. Pan tu zostanie?

Przewodniczący skinął głową.

- Zostanę - powiedział i patrząc na swoich współpracowników, dodał: - Prawdopodobnie do późnej nocy. Kongres będzie obradował w nocy, przygotowując się do głosowania nad impeachmentem.

- Panie przewodniczący - wtrącił nieśmiało doradca prawny z biura Rutledge'a.

- Tak?

Stanbridge spojrział na niego.

- Brakuje mi słów... to, co pan proponuje to przecież szaleństwo. Obalenie prezydenta... Najpierw list kaperski, teraz ta sprawa...

- To nie żadne szaleństwo! - zaprotestował Stanbridge. - Dlaczego wszyscy uważają, że powinniśmy bezwarunkowo wierzyć prezydentowi? Właśnie tego nam zrobić nie wolno! Musimy go wykurzyć! Doprawdy, nie chcę dowiedzieć się, że miałem rację dopiero gdy zostaniemy zaatakowani!

- Ośmieszmy się. Opinia publiczna uzna to za zemstę...

- Nie obchodzi mnie, czy się ośmieszmy i co uzna opinia publiczna! A jeśli uda się nam obalić prezydenta - dodał radośnie - no... to go obalimy. I może na jego miejsce przyjdzie ktoś, kto przynajmniej będzie wiedział, co robi!

Dillon stał na galerijce mostku ubrany w koszulę i spodnie od garnituru. Z krawata zrezygnował dawno temu, rękawy koszuli podwinął powyżej łokci, ale i tak było mu za gorąco. Pot ściekał mu z pleców wprost do spodni. Przez ostatnie dobre pięćdziesiąt minut raz za razem patrzył na zegarek i teraz też na niego spojrzął. Pięta dwadzieścia dziewięć. Odczekał jeszcze chwilę, po czym włączył telefon i zadzwonił na prywatny numer przewodniczącego. Jak poprzednio bez problemu uzyskał połączenie, a Robin podniosła słuchawkę niemal natychmiast.

- Masz pod ręką przewodniczącego?

- Oczywiście. Nie spuszczał wzroku z zegara, czekając na pański telefon. Zaraz pana do niego przełączę.

W chwilę później w słuchawce rozległ się głos samego Stanbridge'a.

- Dillon? Świetnie, że zadzwoniłeś. Wszystko w porządku?

- Oczywiście, panie przewodniczący. Co się dzieje w Waszyngtonie?

- Wszystko jak najlepiej. Ale jedno ci powiem, atmosfera zaczyna robić się nerwowa.

- Dlaczego?

- Jak już wspomniałem, prezydent przegrał w Apelacyjnym Sądzie Okręgowym. No więc wnieśli sprawę do Sądu Najwyższego. Wkrótce dowiemy się, czy Sąd Najwyższy wysłucha tej ich poronionej historyjki dzisiaj, w jakimś późniejszym terminie, czy też w ogóle odmówi jej wysłuchania.

Dillon przełknął ślinę.

- Wie pan, panie przewodniczący, mam wrażenie, że cała ta sprawa zaczyna żyć własnym życiem.

Poniósł głowę. Na tle nieba widział sieć kabli, lin, anten i masztów. Przyglądał się banderze, łopoczącej mu nad głową na silnym wietrze. Nie była to bynajmniej amerykańska bandera, lecz bandera Ameryki z czasów rewolucji w czerwone i białe pasy, z wizerunkiem grzechotnika i wypisanymi na czarno słowami: NIE PRÓBUJ NA MNIE NADEPNAĆ. Zadrżał. Był pewien, że nad amerykańskimi statkami powiewa zawsze amerykańska bandera, może to jakaś specjalna bandera grupy albo lotniskowca? Przerwał wątek rozmówcy.

- Nie uwierzy pan temu, co właśnie zauważyłem?

- Czemu?

- Ktoś zastąpił banderę amerykańską na maszcie „Constitution” amerykańską banderą z czasów rewolucji. Wie pan, tę w czerwono-białe pasy, z grzechotnikiem i napisem: „Nie próbuj na mnie nadepnąć”.

- Aha - odparł Stanbridge po chwili zaskoczonego milczenia. - Podoba mi się to. Czy admirał wie, pod jaką banderą płynie?

- Nie mam pojęcia.

- No cóż, tu u nas dzieje się jeszcze kilka rzeczy. Oznajmiłem Izbie, że będzie obradować także dziś w nocy.

- Po co? - spytał zdziwiony Dillon, patrząc na łopoczącą mu nad głową banderę.

- Będziemy głosować wszczęcie procedury impeachmentu prezydenta.

Jim Dillon aż otworzył usta ze zdziwienia.

- Co? Dlaczego? Co on zrobił?

- Nie jest godny pełnić tej funkcji. Jestem całkowicie przekonany, że nie użyje sił zbrojnych niezależnie od okoliczności, a już z pewnością nie w sytuacji, w której ktoś może zginąć lub zostać ranny. Jest pacyfistą. Z jego polecenia siły zbrojne mogą co najwyżej rozdawać dzieciom ryżowe ciasteczka...

- Skąd pan o tym wie?

- Wiem, zaufaj mi.
- Ma pan jakiś dowód, czy to sprawa czysto polityczna?
- Myślisz, że zrobiłbym coś takiego wyłącznie po to, by poprawić swoją pozycję w Waszyngtonie? - spytał spokojnie Stanbridge.

- Oczywiście, że nie. Ma pan jakiś dowód?
- Oszczędzę ci szczegółów, ale możesz być pewien, że nie chcę wyjść na idiotę. Takich oskarżeń nie rzuca się, ot tak sobie. Uwierz mi.

- Kiedy ma się odbyć głosowanie?
- Dzisiaj w nocy.
- Waszyngton chyba trzęsie się w posadach.
- W trakcie całej długiej kariery politycznej nie wiedziałem niczego podobnego. Ludzie są wytrąceni z równowagi, rzucają się sobie nawzajem do gardła i wszyscy wypowiadają się na każdy temat. - Stanbridge westchnął. - Chcę porozmawiać z admirałem.

- Proszę chwileczkę poczekać. - Dillon podszedł do prowadzących na mostek drzwi i wetknął głowę do środka. - Panie admirale, przewodniczący chce z panem rozmawiać.

Admirał wyszedł na galeryjkę mostku.

- Mówi admirał Billings - powiedział do słuchawki.
- Dzień dobry, panie admirale. Tu John Stanbridge, przewodniczący Izby Reprezentantów.

- Miło mi pana poznać.
- Mnie również, admirale. Co z pańską grupą bojową?
- Wszystko w porządku, tak jak powinno być - z jednym wyjątkiem, o którym z pewnością poinformował pana pan Dillon. Zestrzelono nam samolot.

- Co? Kiedy?
- Wczoraj późnym popołudniem. F-14 przeprowadzał ostatni lot rekonesansowy i wykonywał zdjęcia. Staramy się zdobyć jak najwięcej informacji o Bunaya, by wiedzieć, przeciwko komu występujemy. Strzelono do niego południowoafrykańską rakietą przeciwlotniczą. Maszyna została podświetlona z przodu radarem, podczas gdy z tyłu wystrzelono w jej kierunku rakietę naprowadzaną na podczerwień. Przynajmniej wydaje się nam, że tak właśnie było.

- Południowoafrykańską? A co tam robią obywatele Południowej Afryki?
- Nie, południowoafrykańską w tym sensie, że wyprodukowana została w Południowej Afryce. To ich system. Nadal nie wiemy, kto ją wystrzelił.

- Pilot przeżył?
- Przeżył i pilot, i jego RIO. Niedawno zostali wyłowieni z wody. Nie była to najłatwiejsza akcja. Te trzy szybkie łodzie przemytnicze, których użyli przeciw „Pacific Flyerowi” wypłynęły w morze i próbowały zdążyć przed nami.

- I co?
- Nasz F-18 ostrzelał je i zatopił.
- Nie do wiary! - ucieszył się Stanbridge. - Ci faceci do nas strzelali? Trzeba o tym natychmiast rozpowiedzieć!

- No tak, owszem, ale... - admirał wahał się przez chwilę - ten F-14 leciał chyba nad Bunaya, a nie powinien nad nią lecieć. Próbowaliśmy nie przekroczyć granicy wód międzynarodowych, miałem nadzieję, że TARPS pomoże nam nawet z boku, ale obawiam się, że w końcu jednak przeleciał nad wyspą.

- No tak... ale to przecież daje prawo Indonezyjczykom, żeby się za nas wzięli, a nie bandzie jakiś terrorystów.

- Owszem - zgodził się natychmiast admirał.

- Dlaczego w Waszyngtonie nikt nic o tym nie wie?

- No cóż, my poinformowaliśmy Waszyngton, panie przewodniczący. Wysyłamy raporty jak zwykle, problem jednak w tym, że odcięto nam łączność, o czym z pewnością wie pan od pana Dillona. Nie mamy żadnej możliwości komunikacji.

Stanbridge zastanawiał się nad czymś przez chwilę.

- A więc nikt nic o tym nie wie? - spytał. - Nikt nie wie, że jeden z naszych samolotów został zestrzelony?

- Ktoś wie, ale nie mam pojęcia, jak wykorzystano tę informację. W każdym razie nie zmieniło to nic w ich stosunku do nas.

- Dla pana informacji, admirale - pan Dillon wie już, że prezydent wytoczył Kongresowi proces o uznanie listu kaperskiego za niekonstytucyjny Sąd Okręgowy nie wydał wyroku, Sąd Apelacyjny także odmówił jego wydania i sprawa jest w tej chwili w Sądzie Najwyższym. Jeśli sytuacja się zmieni, natychmiast zostanie pan o tym poinformowany przez pana Dillona.

- Będę panu za to bardzo wdzięczny.

Przewodniczący znów się zawahał; nie wiedział, czy zadać kolejne pytanie, czy go nie zadawać, w końcu się jednak zdecydował.

- Co pan planuje, admirale?

- W jakiej sprawie?

Billings postanowił zabawić się kosztem rozmówcy.

- Oczywiście w sprawie tych... terrorystów. Co ma pan zamiar zrobić?

- Godziny „L” i „H” wyznaczono na jutro rano, panie przewodniczący. Dziś przeprowadzimy wstępne rozpoznanie i zgromadzimy dane wywiadowcze, a rano rozpoczniemy od uderzenia z powietrza. Piechota morska wylądjuje na wyspie pół godziny po wschodzie słońca.

- W jakiej sile?

- Półtora tysiąca.

- Nie sądzi pan, że to może trochę za wiele?

- Panie przewodniczący - odparł ostro Billings - może pan powiedzieć, ilu ludzi mają na tej wyspie nasi przeciwnicy? Może mi pan powiedzieć, jak są uzbrojeni? Skoro mają południowoafrykańskie rakiety ziemia-powietrze zdolne zestrzelić F-14 lecącego z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę, to co jeszcze mogą mieć? Wie pan? Bo my nie mamy danych wywiadowczych, nie mamy fotografii i obrazów wyspy, nie znamy brzegu, na którym będziemy lądować, nie wiemy kim są ci faceci, nie wiemy czym dysponują i nikt nie chce nam tego powiedzieć. Więc owszem, może rzeczywiście posyłam na brzeg zbyt wielu ludzi, ale nie widziałem jeszcze operacji bojowej, której dowódca żałowałby, że ma zbyt wielu żołnierzy.

- Spodziewa się pan strat?

- Tak - odparł natychmiast Billings. - I nie wątpię, że pan także się ich spodziewa. Jestem pewien, że Kongres, nim wystawił nam ten list kaperski z poleceniem, by dorwać terrorystów, rozważył ryzyko poniesienia strat i spodziewa się, że jakieś ponieśliśmy. Nie myślę się, prawda? I spodziewa się po nas podjęcia odpowiednich działań, mimo iż terroryści mają przecież kapitana „Pacific Flyera”.

- Oczywiście, spodziewaliśmy się pewnych strat. Oczekujemy jednak, że nie będą duże. Proszę zachować odpowiednią ostrożność. Nie wiem, gdzie jest kapitan, nie wiem nawet, czy jeszcze żyje.

- Panie przewodniczący, pan Dillon poinformował pana, jak sądzę, że istnieje niewielka możliwość, iż prezydent wysła tu inną grupę bojową. Wie pan coś na ten temat?

- Robię, co mogę, żeby się dowiedzieć. Będę pana informował na bieżąco. Teraz chciałbym jeszcze porozmawiać z panem Dillonem. I... admirale, życzę szczęścia.

- Do widzenia, panie przewodniczący. Do następnej rozmowy.

Admirał wręczył Dillonowi telefon i wrócił na mostek. Nagle przystanął i, zmrużywszy oczy, przyjrzał się powiewającej na maszcie banderze.

Molly sięgnęła do klawiatury telefonu i zawahała się. Sprawdziła nazwisko w notesie, spojrzała na telefon i wróciła do notesu. Potem powoli podniosła słuchawkę i wykręciła numer telefonu. Zerknęła na zegarek. Dla większości waszyngtońskich biurokratów dzień właśnie się kończył.

Bobby podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Cześć, tu Molly - powiedziała.

- Molly, to ty? Cześć.

- Dzwonię tak po prostu, żeby dowiedzieć się, co słyhać.

- Naprawdę? - Bobby nie był do końca pewien jej intencji. - O co chodzi?

- No... myślałam, że moglibyśmy się spotkać w weekend.

- Daj spokój, Molly. Dzwonisz, bo przewodniczący Sądu Najwyższego, mój szef, ma zdecydować, czy Sąd Najwyższy dziś jeszcze rozpatrzy sprawę tego całego listu kaperskiego, prawda?

- Skoro już o tym wspomniałeś, może wiesz, jak to wygląda, kiedy się czegoś dowiemy...

- Tylko mi nie mów, że nie po to dzwoniłaś! I tak bym ci nie uwierzył, a poza tym dodatkowo straciłabyś w moich oczach. - Bobby był wyraźnie zirytowany. - Czy twoje biuro ma coś wspólnego z tą sprawą?

- Prezydenta reprezentuje biuro prokuratora generalnego, nie moje.

- Jasne - stwierdził z obrzydzeniem Bobby. - Jesteś nie lepsza od Dillona.

- O czym ty gadasz?

- Mniejsza z tym. Słuchaj, muszę lecieć. Jeśli w weekend będę miał wolną chwilę, zadzwonię. Cześć.

- I to wszystko?

- Tak, to wszystko. Sprawa jest poważna, Molly, i ty o tym doskonale wiesz. Nie udawaj głupiej. - Zamilkł, czekając co powie, z nadzieją, że jakoś się wytłumaczy i dalej będzie mógł o niej myśleć tak dobrze jak dotychczas, dziewczyna jednak milczała. - Do widzenia - powiedział w końcu i odłożył słuchawkę.

Molly nadal trzymała słuchawkę przy uchu, choć nie miała pojęcia dlaczego. Wiedziała, że nie powinna do niego dzwonić, ale nie potrafiła się powstrzymać. Toczyła się najważniejsza batalia konstytucyjna w jej życiu. Sąd Najwyższy musiał podjąć właściwą decyzję i musiał podjąć ją dzisiaj. Gdyby jej nie podjął, rząd czekała prawdziwa katastrofa.

Zacisnęła wargi i odłożyła słuchawkę. Telefon zadzwonił niemal natychmiast. Uśmiechnęła się. Bobby zmienił zdanie!

- Słucham - powiedziała radośnie.

- Cześć, Molly.

- Jim? Co u ciebie? Gdzie jesteś?

- Stoję na galerijce mostka admiralskiego na USS „Constitution”. Jakies - Dillon zerknął w dół - trzydzieści metrów nad powierzchnią wody.

- Marynarka pozwoliła ci skorzystać z tych jej skomplikowanych telefonów i w ogóle?

- Dzwonię z telefonu satelitarnego - odparł Dillon bardzo poważnie. - Twój szef odciął nam łączność. Nie komunikuje się z grupą bojową i nikomu na to nie pozwala.

- Jak to? Nie rozumiem?

- Możemy wysyłać wiadomości, ale nie możemy ich odbierać.

- Tylko ty im zostałeś? Twój telefon to jedyny sposób, by połączyć się z kimś spoza statku?

- Właściwie tak.

- Dziwię się trochę, że do mnie dzwoniysz. - Molly zmieniła temat. - Nie spodziewałam się, że usłyszę cię przed zakończeniem całej tej sprawy.

Dillon pożałował nagle, że zadzwonił.

- No wiesz, po prostu chciałem... właściwie to sam nie wiem czego chciałem. Nie jestem pewien, dlaczego do ciebie zadzwoniłem. Chyba po to, żeby usłyszeć twój głos. Nie jestem pewien dlaczego, bo przecież kiedy słyszałem go po raz ostatni twój głos oznajmił, że chcesz wręczyć mi wezwanie. Nie dzwonię, żeby dyskutować o kwestiach prawnych. Bo wiesz, Molly, między nami tak naprawdę nic nigdy nie było. Nie jestem pewien, ale chyba miałem nadzieję, że pewnego dnia nam się uda. Jednak teraz... tyle się stało... nie chcę, żeby to, co było, skończyło się i...

- Rozumiem, Jim, ale nie wiem, jaki skutek to, co się dzieje, będzie miało dla nas... na dłuższą metę. Musimy poczekać, zobaczyć, co będzie.

- Zgoda. Zobaczymy.

- Admirał naprawdę ma zamiar zaatakować? - spytała.

- Owszem, Molly, ma zamiar i doskonale o tym wiesz. Wysłał prezydentowi depezę z informacją, że podporządkuje się listowi kaperskiemu i po tej właśnie depeży prezydent odciął nam łączność. Nie udawaj, że nic o tym nie wiedziałaś.

- Coś słyszałam, ale nie znałam konkretów. Nie oskarżaj mnie.

- Nie miałem zamiaru cię o nic oskarżać. Tyle że na naszym okręcie w tej chwili nie za bardzo dowierza się Waszyngtonowi.

- A w Waszyngtonie w tej chwili nie za bardzo dowierza się waszemu okrętowi. Admirał poinformował, że nie wykona rozkazów prezydenta!

- Za to podporządkuje się prawnie obowiązującym...

- Muszę kończyć - przerwała mu Molly. - Nie podoba mi się ta rozmowa.

- A przecież dzwoniłem właśnie dlatego, żebyś nie wykorzystała tego, co się dzieje, przeciwko mnie, żebyś nie spisała mnie na straty. Proszę, nie wykorzystaj tego co się dzieje przeciwko mnie. Zaczekajmy, póki wszystko się nie wyjaśni.

- To nie jest kwestia historii, tylko uczciwości i wierności własnym poglądom. W tej chwili nie wiem nawet, co jest właściwe, a co niewłaściwe. Mam poważne wątpliwości...

- Tak? A co z twoją uczciwością? Wszczęcie procesu zakłócającego prace Kongresu to przecież twój pomysł, prawda? Czy wobec samej siebie stosujesz te same kryteria oceny co wobec mnie?

Molly zawahała się. Nie potrafiła zapomnieć rozmowy z Bobbym. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- No i? - naciskał ją Jim.

- Wszystkich ludzi oceniam według tych samych kryteriów - powiedziała w końcu.

- Tak? I jak wypadła ocena twojej własnej osoby?

- No dobrze, zobaczymy, co będzie, a potem porozmawiamy. Kiedy wracasz?

Dillon odetchnął głęboko.

- Najwcześniej za kilka dni. Zepsuł się samolot, którym miałem wrócić z lotniskowca na ląd. W każdym razie wszystko zostanie załatwione przed moim powrotem.

- Jakie wszystko?

Z całą pewnością ta sprawa najbardziej ją interesowała. Jim Dillon w ostatniej chwili powstrzymał cisnącą mu się na usta uczciwą odpowiedź.

- Nie ma o czym mówić - powiedział tylko. - Przepraszam, że cię niepokoiłem. Do zobaczenia.

- A więc admirał ma zamiar przeprowadzić atak. - Molly zrezygnowała ze wszelkich pozorów. - Kiedy?

- Słuchaj, naprawdę muszę lecieć. Do zobaczenia.

Dillon wcisnął przycisk End i wrócił na mostek admirałski.

Jim Dillon wszedł do centrum wywiadu i rozejrzał się, szukając wzrokiem porucznika Reynoldsa. Jego oczy powoli przyzwyczajały się do panującego tu półmroku. Samodzielnie trafiał na lotniskowcu jedynie w trzy miejsca: do swej kajuty, do centrum wywiadu i na mostek admirałski. Niestety, po drodze z miejsca na miejsce musiał pokonywać osiem pięter i potwornie bolały go nogi. Oczy szczypały go tak, jakby do każdego wsypano po łyżce piasku. Włosy miał tłuste, przylegające do czaszki. Nowe szare spodnie od garnituru do złudzenia przypominały spodnie od pizamy; powiewały mu luźno wokół nóg, a po kantach nie pozostał nawet najmniejszy ślad. Dziękował Bogu za klimatyzację w centrum, ustawioną na dwadzieścia dwa stopnie.

Beth Griffith piła kawę z ciężkiego kubka, na którym wypisano jej nazwisko, pogrążona w lekturze wyglądającej bardzo oficjalnie żółtej księgi, grubej na dobre dziesięć centymetrów. Spojrzała na Dillona i uśmiechnęła się.

- Witam pana po raz wtóry - powiedziała. - Jak pan się miewa?

- Mam wrażenie, że nie najgorzej - Dillon przyjrzał się monitorom, rozpoznając Malezję, Indonezję i cieśninę Malakka. - No cóż - dodał, niby nadal wpatrując się w ekrany, lecz kątem oka śledząc Beth - przynajmniej nie ma wokół nas tylu statków, ile widziałem wczoraj.

- Prawdopodobnie jest ich więcej - usłyszał w odpowiedzi.

- Nie wydaje mi się... nie widać ich.

- No właśnie, nie widać. Mnóstwo informacji o statkach i zajmowanych przez nie pozycjach dostajemy z samolotów, innych okrętów, satelitów i tak dalej. Obraz przetwarzany jest na monitory automatycznie. I tych właśnie informacji już nie dostajemy. Komputer śledzi nowe jednostki, o ruchach których dostaje regularne dane, a jeśli ich nie dostaje, po określonym czasie przestaje je pokazywać. W tej chwili widzimy tylko to, co jesteśmy w stanie obserwować za pomocą naszych własnych radarów. Zupełnie jak za dawnych dobrych czasów.

- Ma to jakieś praktyczne znaczenie?

- Oczywiście. W każdej operacji Marynarki jedna sprawa jest kluczowa: otrzymać tak wiele informacji, jak to tylko możliwe. A my tych informacji nie otrzymujemy.

- Czy będzie to miało jakieś znaczenie praktyczne podczas operacji przeciw terrorystom?

Beth Griffith wzruszyła ramionami.

- To się dopiero okaże - odparła.

- A kiedy zacznie się nasza akcja?

- Jutro, o świcie.

- Myśli pani, że admirał rzeczywiście ma zamiar pójść na całość?

Beth przyglądała mu się przez chwilę z dziwnym wyrazem twarzy, najwyraźniej niepewna, czy Jim Dillon nie żartuje a kiedy upewniła się, że nie, odpowiedziała:

- Och, bez wątpienia.

Prośba o rozpatrzenie sprawy w trybie nagłym przedstawiona została Sądowi Najwyższemu przed przeszło godziną. Urzędnicy sądowi zazwyczaj kończyli pracę o piątej. Była już piąta trzydzieści, a Pendelton nadal nie otrzymał żadnej informacji. Jane, siedząca w gmachu sądu, poinformowała go, że biuro urzędników sądowych, choć zamknięte dla publiczności, nadal pracuje. Urzędnicy obradowali w towarzystwie sędziów. Miała wrażenie, że w tej właśnie chwili zapada decyzja o rozpatrzeniu sprawy. Jeśli ktokolwiek rozumiał wagę podejmowanej decyzji, to właśnie podejmujący ją ludzie.

Jane milczała jednak od przeszło dwudziestu minut. Wreszcie zadzwonił telefon. Pendelton w ostatniej chwili powstrzymał się przed natychmiastowym podniesieniem słuchawki. Podeszedł do telefonu, odczekał chwilę i podniósł słuchawkę dopiero po trzech sygnałach.

- David Pendelton - przedstawił się spokojnie.

- Panie Pendelton, mówi Earl Compton, urzędnik Sądu Najwyższego.

- Tak, panie Compton? Co mogę dla pana zrobić?

- Według posiadanych przeze mnie informacji Departament Sprawiedliwości poinformował pana o złożeniu wniosku o rozpatrzenie sprawy przed Sądem Najwyższym Stanów Zjednoczonych w ciągu dzisiejszego dnia. Nie mylę się?

- Nie. Mam kopię ich wniosku.

- Przewodniczący Sądu Najwyższego poinstruował mnie bym zadzwonił do pana z informacją, że wniosek ten został przyjęty.

- Czy odbędzie się rozprawa? - spytał Pendelton, któremu w tym momencie serce podeszło do gardła.

- Owszem, proszę pana.

- Czy wie pan kiedy, panie Compton?

- Proszę pana, decyzja nie została jeszcze podjęta. Uważam - sytuacja jest raczej niecodzienna w przypadku sprawy cywilnej, rozumie pan - że prezes Sądu Najwyższego ma zamiar przeprowadzić rozpoznanie wstępne bez rozprawy i dziś lub jutro skontaktuje się z panami, by poinformować, czy podjął decyzję bez rozprawy, czy też wyznaczył dokładną datę tejże. Proszę więc o numery telefonów, pod którymi znajdzie pana dziś wieczorem oraz w ciągu jutrzejszego dnia.

- Doskonale. - Pendelton z pamięci wyrecytował numery telefonów do domu, do biura, numer telefonu komórkowego oraz numer telefonu Jane. Jednocześnie już zaczął planować strategię, już szkicował w myśli streszczenie sprawy, którego miał nadzieję nigdy nie napisać. Miał szczerą nadzieję, że do tego nie dojdzie, że Sąd Najwyższy nie zechce rozpatrzyć sprawy, nim zostanie przedawniona. - Czekam na informacje od pana, panie Compton.

- Bardzo dziękuję, panie mecenasie. Pan Gray z Departamentu Sprawiedliwości został już o wszystkim poinformowany.

- Dziękuję za telefon. - Odkładając słuchawkę David Pendelton odetchnął głęboko. Obrócił się ku drzwiom gabinetu i powiedział do sekretarki: - Połączcie mnie z przewodniczącym. Natychmiast! - Następnie szybko wystukał numer, uzyskał jednak połączenie tylko z pocztą głosową Jane. Wcisnął klawisz, dzięki któremu mógł pominąć nagrany tekst i wyrecytował szybko: - Jane, zadzwoń do mnie najszybciej jak to tylko możliwe. Sąd Najwyższy zamierza rozważyć sprawę w gronie sędziów, a potem być może wyznaczy datę rozprawy. Jeszcze dziś w nocy musimy przeredagować streszczenie dla Sądu Apelacyjnego w streszczenie dla Sądu Najwyższego. Poinformuj o tym swoich współpracowników, aplikantów... tych wszystkich, których możesz potrzebować.

Uderzył przycisk innej linii, na której właśnie zapaliło się światelko.

- Pan przewodniczący? - spytał, zakładając, że sekretarce udało się od razu połączyć ze Stanbridge'em.

- Tak, David? Co się dzieje? - W głosie przewodniczącego Izby Reprezentantów brzmiało zmęczenie. - Muszę natychmiast wracać na salę. Rozeszła się plotka o tym, że mamy zamiar wszcząć procedurę impeachmentu. Prasa rozrabia na potęgę. - Stanbridge zachichotał wesoło. - Już rozrabiała, a teraz rozrabia na potęgę, rozumie pan, co to zna...

- Owszem, rozumiem co to znaczy, panie przewodniczący. Przed chwilą odebrałem telefon z Sądu Najwyższego, mają zamiar jeszcze dziś zająć się sprawą. Nie potrafię powiedzieć, czy tylko przyjrzą się jej z daleka, czy też rozważą punkt po punkcie. Urzędnik, który mnie o tym poinformował, sam nie bardzo wiedział, jak ma to wyglądać. Muszę przygotować streszczenie, z którym pojawię się przed Sądem Najwyższym jeszcze dziś lub jutro rano. - Zerknął na zegarek. - Zostaję w biurze, więc jeśli będzie pan czegoś potrzebował, proszę dzwonić pod numer biurowy. Czy będę mógł skontaktować się jakoś z panem, gdybym czegoś od pana potrzebował?

- Nie, właściwie to nie. Siedzę na sali, prawdopodobnie do późna, ale gdybyś rzeczywiście czegoś potrzebował, jakoś mnie złapiesz. Zawsze mogę ogłosić przerwę.

- Dobrze. Będę w kontakcie. - Pendelton już zamierzał przerwać rozmowę, kiedy olśniła go pewna myśl. - Panie przewodniczący?

- Tak?

- Czy... jakby to ująć... Czy ma pan możliwość wywarcia jakiegoś wpływu na Sąd Najwyższy? Nie mam bynajmniej na myśli niewłaściwego wpływu. Chodzi mi o to, że być może zna pan kogoś, kto zna kogoś tam u nich... kogoś kto mógłby przekazać nam swoje wrażenia i nie chodzi nawet o to, co zamierzają zrobić tylko jak i kiedy.

Adwokat porządkował swe myśli w trakcie rozmowy.

Stanbridge zastanawiał się przez chwilę.

- Nie - przyznał w końcu - właściwie to nie. Poznałem jednego z sędziów, przed wielu laty, ale z całą pewnością nie powinienem do niego dzwonić. Zostałoby to bardzo źle odebrane i prawdopodobnie przyniosło skutki odwrotne od zamierzonych.

- Nie to przecież miałem na myśli. Nie istnieje żadna inna możliwość?

Stanbridge zawahał się.

- No cóż, wiem, że Dillon przyjaźni się z jednym z urzędników Sądu Najwyższego. Nic innego nie przychodzi mi w tej chwili do głowy.

- Powinno wystarczyć - Pendelton myślał intensywnie. - Proszę skłonić pana Dillon, by zadzwonił do przyjaciela i dowiedział się, co się dzieje.

- To nie jest takie proste. Dillon jest w tej chwili na USS „Constitution”, a „Constitution” odcięto łączność ze światem zewnętrznym. Mam tylko numer jego telefonu komórkowego. Ma jeden z tych nowych telefonów satelitarnych. Mogę spróbować.

- Bardzo proszę. Niech pan użyje... wszelkich dostępnych środków.

- Rozumiem. Będziemy w kontakcie.

- Bardzo panu dziękuję.

Pendelton przerwał połączenie.

Dillon stał na poziomie 0-10, zwanym przez lotników morskich Lożą Sępów, wychodzącym na pokład startowy. Obserwował marynarzy zajętych przygotowywaniem maszyn do porannych lotów. Nadał uważał za swego rodzaju cud, że istnieją ludzie potrafiący wystartować z lotniskowca i na nim wylądować. Wprawdzie robiono to od bardzo dawna, a Stany Zjednoczone doprowadziły tę umiejętność niemal do perfekcji, ale i tak ich sztuka wywarła na nim wrażenie bliskie

zazdrości. Zazdrościł oficerom na pokładzie lotniskowca. Wielu z nich było w jego wieku, odebrało podobne jak on wykształcenie, dzieliło z nim wyznawane wartości oraz ideały. Ci ludzie mieli jednak poczucie misji, którego brakowało wielu urzędnikom na Kapitolu. Bardzo pragnął identyfikować się z pilotami, znaleźć się wśród nich, stać się częścią ich środowiska, czuć to, co czuli oni.

Wyobraził sobie samego siebie w swym małym pokoiku na Kapitolu i obraz ten nieoczekiwanie wydał mu się wyjątkowo nieatrakcyjny. Nie podobał mu się obraz samego siebie jako kropli w morzu urzędników Izby Reprezentantów, nie w porównaniu z tymi aktywnymi i przepelnionymi poczuciem misji młodymi oficerami USS „Constitution”, którzy rzeczywiście coś robili. Dillon nagle się zbuntował. Przecież ja też coś robię, pomyślał. Przecież to ja znalazłem w konstytucji zapis o liście kaperskim, ja przywożem ten list na statek, ja dałem tym ludziom coś do zrobienia. Wolałby jednak startować z lotniskowca, niż zajadać z Grazio na lunch grzanki. Ranek na Morzu Jawajskim był doprawdy wspaniały. Grupa bojowa lotniskowca i zespół desantowy - dopiero niedawno poznał to określenie i płynęły w kierunku Bunaya. Słońca zaledwie wzniosło się ponad horyzont, oświetlając amerykańskie okręty złotym blaskiem, padającym wprost z bezchmurnego nieba. Wiatr orzeźwiał i dodawał sił. Myśląc o tym, co go dzisiaj czeka, Dillon wcale nie czuł zmęczenia.

Poczuł wibrację w kieszeni; nie od razu zorientował się, że dzwoni telefon komórkowy.

- Słucham - rzucił w słuchawkę.

- Dillon? - odezwał się przewodniczący. - Dobrze mnie słyszysz?

- Jasne. O rany, cieszę się, że pan zadzwonił.

- A niby z czego tak się cieszysz? - zdumiał się Stanbridge zapominając na razie, co sam miał do powiedzenia.

Dillon próbował powstrzymać potok wymowy, niemniej nie miał wątpliwości co do jednego - w sytuacjach krytycznych zawsze mówił dokładnie to co myślał.

- Panie przewodniczący, przez te kilka minut od naszej poprzedniej rozmowy cały czas zastanawiałem się, co zrobić z impeachmentem.

- Mamy szansę, prawda? - ucieszył się Stanbridge. - Wreszcie uda się nam może sprowadzić naszego idealistycznego prezydenta z powrotem na ziemię.

- Właśnie tym się martwiłem. Wygląda to bardzo politycznie.

- O co ci chodzi? - spytał zniecierpliwiony Stanbridge.

- Sądzę, że popełnia pan poważny błąd, panie przewodniczący. Naprawdę, w tej sprawie mam przeczucie. Mówi mi, że nie powinien pan forsować kwestii impeachmentu.

- A to czemu, do diabła?

- Ponieważ sprawia to wrażenie zemsty. Można nawet odnieść wrażenie, że prześladuje pan prezydenta z przyczyn osobistych i dlatego chce pan pozbawić go pracy.

- Bo chcę.

- Ale z niewłaściwego powodu. Jeśli nie zrobimy tego, co chcemy zrobić z właściwego powodu, to już lepiej nic nie róbmy. Czy nie kierują panem przypadkiem motywy osobiste?

- Z całą pewnością nie. Prezydent nie zasługuje na to, by być prezydentem. Nie nadaje się na prezydenta.

- Tak naprawdę chodzi przecież o pańskie Fioletowe Serce*, prawda?

* Amerykańskie odznaczenie za odniesione podczas walki rany [przyp. red.].

- Mógłbyś mi to jakoś wyjaśnić? - spytał Stanbridge po chwili przerwy.

- Dowodził pan kutrami patrolowymi w delcie Mekongu, otrzymał postrzał. Został ranny. Fioletowe Serce. Jest pan z niego bardzo dumny.

- Owszem, jestem z niego bardzo dumny. Co w tym złego?

- Ależ nic. Manchesterowi udało się jednak wykręcić od służby w Wietnamie.

- A jakże. „Wykręcić się” to cholernie dobre słowo. 4F, fizycznie niezdolny do służby, płaskostopie. Pieprzenie w bambus. Biega pięć kilometrów dziennie.

- Panie przewodniczący, ja tylko próbuję wykazać, że dzielą was różnice osobiste. Myślę, że powinien pan rozstrzygnąć, czy impeachment to sprawa osobista, czy też nie.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Manchester jest niegodny sprawować urząd prezydenta.

Dillon przesunął ręką po włosach, szesując je z czoła.

- Panie przewodniczący, w ten sposób nie uda się panu udowodnić niczego. Wręcz przeciwnie, może pan narobić nieodwracalnych szkód. Może pan obrócić opinię publiczną przeciwko nam, może pan poddać w wątpliwość kwestię legalności listu kaperskiego, może pan ściągnąć nieszczęście na nasze głowy.

Stanbridge zawahał się. Na te słowa miał gotową odpowiedź, tym razem jednak wolał mówić niż słuchać.

- Skąd to przekonanie? - spytał.

- Politykę zna pan znacznie lepiej ode mnie - odparł Dillon. - Panie przewodniczący, w tej chwili prowadzimy wojnę na dwa fronty. Jednego nie potrzebujemy z całą pewnością: trzeciego frontu. Lada chwila ludzie zaczną myśleć, że wszystkim w Waszyngtonie brakuje siódmej klepki!

- Podjąłem odpowiednie działania. Szkic uchwały o impeachmentie został zapisany, komisja właśnie ją rozważa, nie wiem, czy...

- No cóż, pan podejmuje decyzje. Ja tylko doradzam - stwierdził Dillon.

- Przemyślę sobie to, co powiedziałeś, ale i ty musisz coś dla mnie zrobić - stwierdził złowrogo Stanbridge.

- Co takiego?

Przewodniczący natychmiast wykorzystał sytuację.

- Mógłbyś może zadzwonić do... nie pamiętam jego imienia... tego twojego przyjaciela w Sądzie Najwyższym?

- Bobby'ego?

- Sąd Najwyższy zdecydował się rozpatrzyć wniosek, który złożył prezydent... nie znam szczegółów... to co wiem, wiem od Pendeltona. W każdym razie ma się to rozstrzygnąć dzisiaj.

- Pan chyba żartuje. Na jakiej podstawie?

- Nie wiem. Nie mówią. Tyle że rozpatrzą dziś sprawę. Prawdopodobnie ustalą datę rozprawy wstępnej, ale tak naprawdę nie wiemy nic. Pendelton pilnuje sprawy.

- Więc co właściwie mam według pana zrobić?

- Zadzwoń do Bobby'ego, dowiedzieć się co planują... może przekonać ich, że lepiej byłoby odłożyć sprawę do, powiedzmy, czwartku...

- Nie mogę. - Dillon poczuł ucisk w żołądku.

- Co to znaczy „nie mogę”? - W głosie przewodniczącego pojawił się gniew. Dillon milczał, wsłuchując się w gwar szykującego się do akcji okrętu. - Nie chcesz? - przycisnął go przewodniczący. - Dowiedz się, o co chodzi. Na kiedy ustalą rozprawę.

- Doprawdy, panie przewodniczący...

Jim Dillon czuł zaciskającą mu się wokół szyi pętlę. Stanbridge milczał przez dłuższą chwilę, a potem przemówił:

- Dillon, nigdy nie prosiłem, byś zrobił dla mnie coś, co uważałbym za niewłaściwe. Zadzwoń do tego swojego przyjaciela, sprawdź, czy w najlepszym

interesie Sądu Najwyższego nie leży rozpatrzenie sprawy w przyszłym tygodniu, nie dziś... rozumiesz, o co mi chodzi?

- Owszem, panie przewodniczący, doskonale rozumiem, o co panu chodzi.

- Zadzwoń do mnie za godzinę.

- Dobrze, proszę pana.

Dillon wcisnął przycisk kończący rozmowę. Rozejrzał się dookoła. Zacisnął zęby, myśląc o prośbie przewodniczącego. Zerknął na zegarek.

Kryzys, który rozpoczął się atakiem na „Pacific Flyera”, zagrażał teraz zniszczeniem wszystkich jego przyjacieli. Gdyby prezydent zrobił to, do czego został przecież powołany, nic złego by się nie stało.

Sięgnął po telefon, wybrał numer. Bobby podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Co jest? - powiedział, wyraźnie podniecony.

- Bobby? - spytał Dillon tak serdecznie, jak tylko potrafił.

- Kto mówi?

- Dillon.

- Gdzie ty się, do cholery, podziewasz?

- Jestem na USS „Constitution”. Na Morzu Jawajskim. Tahitanki tańczą wokół mnie i namawiają, żebym zjadł ten słodziutki owoc...

- Nie mam czasu na takie głupoty. Czego chcesz?

- Dzwonię, żeby powiedzieć ci „cześć”. Żeby zaprezentować ci magię nowych technologii. Siedzę sobie oto pośrodku morza, na pokładzie okrętu naszej Marynarki i rozmawiam z tobą przez najnowszy model telefonu komórkowego. Nie wiem jak tobie, ale mnie wydaje się to w jakiś sposób ekscytujące.

- I pewnie nie masz pojęcia, co się u nas dzieje?

Dillon zawahał się.

- No... pojęcie mam - przyznał.

- Czy wiesz, że mam właśnie przed sobą materiały sprawy, w którą wplątany jest twój szef? I że właśnie w tej chwili, kiedy ty gadasz i przeszkadzasz mi w robocie, próbowałem zdecydować, czy ma stawić się przed sądem, czy nie?

- No cóż, zdawałem sobie z tego sprawę.

- Więc po jaką cholere w ogóle zadzwoniłeś? Może chcesz pogadać o koszykówce? Znowu użyjesz tej starej wymówki?

- To wcale nie była wymówka, Bobby. Przestań się wściekać.

- Człowieku, ja wcale się na ciebie nie wściekam. Natomiast mam cholernie mało czasu. Czego chcesz? Jeśli nie chodzi ci o tę sprawę, czego ode mnie chcesz?

- Chciałem się dowiedzieć, co słyhać. Wiesz może, kiedy to wszystko się skończy?

- Jim, przed chwilą powiedziałeś mi, że nie interesuje cię sprawa. A zaraz potem zadałeś najważniejsze pytanie. Przecież chodzi właśnie o to, kiedy ta sprawa się skończy. - Bobby nagle zmienił ton. - Powiedziałeś, że gdzie jesteś? Na USS „Constitution”?

- Owszem.

- Czy to nie okręt, wokół którego wszystko się obraca?

- Hura! Obudziłeś się.

- Co ty właściwie tam robisz?

- To ja dostarczyłem list kaperski admirałowi. Byłem posłańcem.

- Nieprawdopodobne. Jak dostałeś tę robotę?

- Zdaje się, że szefostwo nie chciało powierzyć go Pentagonowi. Naprawdę, nie mogę wdawać się w szczegóły.

Dillon ugryzł się w język. Miał wrażenie, że już powiedział za dużo.

- No to pewnie możesz odpowiedzieć mi na jedno pytanie. Ważne pytanie, twoja odpowiedź z pewnością ułatwiłaby mi robotę.

- Jakie?

- Kiedy ma nastąpić to ważne wydarzenie? No wiesz, to z lotniskowcem i piechotą morską.

- Jakie ważne wydarzenie?

- Atak, a cóż innego. Kiedy lotniskowiec ma zamiar uderzyć na tych terrorystów, jeśli oczywiście podjęto odpowiednią decyzję. Czy admirał zdecydował w ogóle, co zrobi z tym listem kaperskim?

- Owszem, zdecydował.

- I co? Co zamierza zrobić i kiedy zamierza zrobić to, co zamierza zrobić?

- Jeśli odpowiem ci na te pytania, wykorzystasz otrzymane przeze mnie informacje?

- Tego bym ci nie zrobił. Byłoby to przecież niewłaściwe. - Bobby umilkł na chwilę, podkreślając znaczenie swych słów. - Zgadzasz się ze mną?

Dillon milczał, słuchając szumu w słuchawce. Zastanawiał się, co powinien teraz zrobić. Wyobrażał sobie, że Bobby patrzy teraz na zdjęcie roześmianej grupy przyjaciół. Obaj mieli takie na biurkach.

- Hej, Bobby - powiedział w końcu.

- Tak?

- Stary, rób to, co uważasz za właściwe - powiedział.

- Masz rację. Ale jest jedna rzecz, którą powinienem wiedzieć...

- Co takiego?

Milczenie. Dillon czekał, ale Bobby się nie odzywał.

- Bobby? Bobby?

Cisza. Połączenie telefoniczne zostało przerwane.

23.

John Stanbridge podniósł dłoń, by powstrzymać lawinę pytań.

- Nie jestem tu, by rozmawiać na ten temat - powiedział. - Przyszedłem do was, bo chciałem wam powiedzieć o tym, co ukrywa prezydent.

Przedstawiciele mediów przepychali się bezwzględnie, by zająć najlepszą pozycję do zarejestrowania materiału, który dla nich wszystkich mógł być materiałem życia. Stanbridge znów uniósł dłoń i odsunął się od mikrofonu. Nie miał zamiaru zaczynać, nim dziennikarze jakoś się nie opamiętają. Czekał, póki hałas nieco się nie uciszy.

- Po pierwsze, prezydent odciął łączność grupie bojowej lotniskowca „Constitution”. Marynarka nie udziela jej żadnych informacji. Okręty wchodzące w skład tej grupy bojowej nadal wysyłają informacje, ale nasz naczelny dowódca doprowadził do zmiany kodów łączności oraz polecił wszystkim jednostkom wojskowym, by nie komunikowały się bezpośrednio z najpotężniejszą grupą bojową świata...

Dziennikarze rozwrzeszczeli się jak dzieci. Przewodniczący gestem nakazał im ciszę.

- A więc - mówił dalej - prezydent nie tylko nie dopełnił obowiązku ścigania terrorystów, lecz także podjął działania przeciwko Kongresowi, odcinając znajdującym się na miejscu siłom wojskowym dostęp między innymi do kluczowych dla niej w tej chwili danych wywiadu. Lecz i to, proszę państwa, to jeszcze nie wszystko. Jest znacznie gorzej! Terroryci nie tylko zamordowali niewinnych

Amerykanów i zatopili nasz statek handlowy z cennym ładunkiem, lecz także zaatakowali amerykańskie siły zbrojne. - Przerwał dla większego efektu. - Wczoraj, około piątej po południu czasu Dżakarty, wystrzelili raketę ziemia-powietrze w stronę jednego z naszych F-14B, lecącego w międzynarodowej przestrzeni powietrznej, trafili go i zestrzelili.

Na sali zapadła cisza.

- Fakt bezpośredniego ataku na nasze siły wojskowe doskonale znany jest prezydentowi i przewodniczącemu Kolegium Szefów Sztabów, ponieważ „Constitution” wysłała im depezę z tą informacją. Załoga samolotu zdążyła się katapultować i o zmroku znalazła się w morzu. - Stanbridge wyczuwał strach i zainteresowanie słuchających go dziennikarzy, reagujących jak dzieci, którym opowiada się historię o duchach. Mówił teraz nieco ciszej i bardzo spokojnie. - W nocnych ciemnościach lotnicy siedzieli w kołyszących się na falach pontonach i czekali na ratunek. W tym czasie od wyspy odbiły trzy szybkie łodzie przemytnicze, których zadaniem było najwyraźniej wyłowienie ich przed przybyciem helikoptera ratunkowego. Piloci podzieliliby bez wątplenia los załogi „Pacific Flyera”, na szczęście admirał Billings uznał za stosowne pozostawianie nad miejscem wypadku F-18, który ostrzelał i zatopił wszystkie trzy łodzie, nim zbliżyły się do naszych chłopców. Za co jesteśmy mu niezwykle...

- Panie przewodniczący! - krzyknął wysoki dziennikarz. - Czy rozmawiał pan z pre...?!

Stanbridge całkowicie go zignorował.

- Zatopione łodzie próbujące przechwycić naszych lotników były tymi samymi, w których uciekli ludzie winni śmierci amerykańskich marynarzy z „Pacific Flyera”.

- Skąd ta pewność? - krzyknął wysoki dziennikarz.

- Skąd ta pewność? Bowiem za pomocą okrętu podwodnego śledziliśmy je przenoszące się z wyspy na wyspę...

Nikt z obecnych nigdy jeszcze nie widział prezydenta Manchestera tak ponurego. Na jego czole pulsowała nabrzmiała żyła, pojawiająca się wyłącznie wówczas, gdy wpadał w prawdziwą furję.

- Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, jak to się właściwie stało? - spytał prezydent.

Odbywało się kolejne niezapowiedziane spotkanie, tym razem w Sali Sytuacyjnej, znajdującej się na parterze Zachodniego Skrzydła Białego Domu. Ściany sali pokrywały monitory komputerowe i mapy całego świata.

- Nie wiemy z całą pewnością - odparł dyrektor CIA Warner. - Zakładamy, że informacje przekazywał Dillon, nim jego też odcięliśmy. Na nieszczęście nie wiedzieliśmy, że posługuje się jednym z tych nowych telefonów satelitarnych, póki nie zadzwonił do obecnej tu pani Vaughan.

Molly siedziała w kącie. Była zażenowana i czuła się wyraźnie nie na miejscu.

- Nie pomyśleliście, że ktoś na pokładzie może mieć telefon satelitarny? Nawet wam to do głowy nie przyszło?

- Monitorowaliśmy łączność w pełnym paśmie, panie prezydencie. Właśnie dlatego zlokalizowaliśmy sygnał rozmowy do pani Vaughan.

- Najprawdopodobniej dobrze się stało, że zadzwonił - wtrąciła Molly, wyprostowując się w fotelu i zdejmując nogę założoną na nogę. - Potwierdził, że admirał rzeczywiście planuje przeprowadzenie ataku i nie ma zamiaru zastosować się do pańskich rozkazów.

- Proszę, proszę! Też mi niespodzianka.

- Potwierdził także, że na całym okręcie tylko on jest w stanie komunikować się ze światem zewnętrznym. Moim zdaniem przewodniczący Izby Reprezentantów wszystkie swe informacje czerpał od Jima Dillona, nie miał żadnego innego źródła.

- To pani przyjaciel? - spytał Bosch.

- Tak. Razem kończyliśmy studia prawnicze.

- Nie przekazywała mu pani informacji zdobytych podczas narad takich jak ta, prawda?

Molly zaczerwieniła się aż po dekolt sukienki.

- Dziwi mnie, że w ogóle zadał pan to pytanie - odparła z godnością.

- I jaka jest pani odpowiedź na to dziwne pytanie?

- Niczego mu nie powiedziałam. Byłoby to nieetyczne.

Bosch spojrzał na prezydenta.

- Gdzie jest ta druga grupa bojowa, ta z Filipin?

Manchester zwrócił się do admirała Harta. Admirał podszedł do wielkiej mapy Pacyfiku. Przyglądał się jej przez chwilę.

- Dokładnie tu - odparł wskazując punkt na południowy zachód od Manili.

Manchester spojrzał na prokuratora generalnego.

- Jak wygląda sprawa impeachmentu? - spytał.

Zmiana tematu najwyraźniej zaskoczyła prokuratora. Musiał się zastanowić, nim udzielił odpowiedzi.

- To oczywiście próba zaszkodzenia panu - powiedział w końcu. - Czysta polityka. Przewodniczący najwyraźniej osobiście pana nie znosi. List kaperski był tylko pierwszym krokiem, lecz teraz ujawnił, o co mu w rzeczywistości chodzi. By pana zniszczyć zastosuje wszystkie możliwe, w tym nawet nieuczciwe, środki:

- Wiem o tym od dawna. - Prezydent tylko machnął ręką. - Natomiast chciałbym zadać jedno pytanie: czy ten jego plan może mu się rzeczywiście powieść? - Manchester zacisnął wargi. Spojrzał na szefa personelu Białego Domu. - Arlan, tego faceta trzeba powstrzymać.

Szef personelu uważnie obserwował prezydenta. Rozejrzał się dookoła. Zebrani w sali sprawiali wrażenie zaniepokojonych.

- Co pan rozumie przez „trzeba powstrzymać”? - spytał.

- Próbuje mnie zniszczyć. Dlaczego?

Manchester patrzył w jeden punkt na ścianie. Bosch jeszcze raz rozejrzał się dookoła.

- Z powodów politycznych, to przecież oczywiste - stwierdził. - Chce pańskiego stanowiska.

Manchester pokręcił głową.

- Nie. Musi być w tym coś więcej. W Izbie i w Senacie nie ma nikogo, kto nie chciałby mojego stanowiska. Węszę tu jakieś motywy osobiste.

- No cóż, panie prezydencie, może chodzi o sprawę służby wojskowej? On służył w wojsku, pan - nie. Używał tego argumentu przeciw panu, od czasu kiedy spotkaliście się przed piętnastu laty.

Prezydent przetarł oczy.

- Być może. Nie sądzę jednak, by było to wystarczające wyjaśnienie. Moim zdaniem nadszedł czas, byśmy i my potraktowali tę sprawę osobiście. - Spojrzał na Boscha. - Jak możemy go powstrzymać?

Szef personelu Białego Domu odczekał chwilę i odpowiedział wyważonymi słowami:

- Panie prezydencie... mamy kilka możliwości. Czy miałby pan coś przeciwko użyciu prasy? - spytał sprawdzając, jak daleko pragnie posunąć się prezydent - Czy też może chodzi panu o rozwiązanie czysto poli...

Manchester patrzył na niego ciężkim, nieruchomym spojrzeniem.

- Każdy skuteczny środek będzie dobry - stwierdził. - Albo on, albo ja. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Bardzo proszę o chwilę zastanowienia - wtrącił się do rozmowy prokurator generalny. - Poczuję się w tej chwili doprawdy niezręcznie. Może lepiej nie rozmawiajmy jak gdyby nigdy nic o tym, co mogłoby przydarzyć się przewodniczącemu Izby Reprezentantów.

- Nie mówię przecież o niczym nielegalnym. - Prezydent skrzywił się z niesmakiem. - Chodzi mi wyłącznie o skuteczne rozwiązanie tej nieznośnej sytuacji. Do tej pory wszystko co zrobiliśmy zostało tak albo inaczej ośmieszone. Łącznie z procesem, za który odpowiedzialne jest pańskie biuro, panie prokuratorze generalny. Dwie rundy przegraliśmy, jeśli przegramy trzecią, możemy zebrać zabawki i wynieść się z podwórka. Jakie mamy możliwości, by nie tylko skończyć z całym tym szaleństwem, ale w dodatku raz na zawsze wykreślić z listy pana przewodniczącego?

- No cóż, możliwości polityczne mamy raczej ograniczone - stwierdził Bosch. - Mogę zwrócić się do przywódcy mniejszości z prośbą o utrudnienie życia przewodniczącemu, ale sytuacja mniejszości nie gwarantuje, by udało się mu dokonać jakichś cudów. Izba tak czy inaczej rządzi jej przewodniczący. Jeśli jednak chodzi panu o publiczne zdyskredytowanie przewodniczącego, od dłuższego czasu trzymamy w rękawie asa, którego możemy wykorzystać już dziś.

Manchester zrozumiał go doskonale.

- Spróbujcie - powiedział i zwrócił się do prokuratora generalnego. - Czy są jakieś szanse, by udało się im z tym impeachmentem?

Prokurator generalny omal się nie zakrztusił.

- No cóż, panie prezydencie, w gruncie rzeczy zależy to od pana. Czy prawdziwe jest oskarżenie pana o pacyfizm?

Nagle w sali zaiskrzyło, tak dalece atmosfera naładowana była elektrycznością. Obecni wpatrywali się w prezydenta, szukając na jego twarzy śladów gniewu lub innych oznak, że w tym szczególnym wypadku przyznaje się do winy. Oprócz Harta wszyscy obecni, w ten czy inny sposób, brali udział w kampanii wyborczej Manchester. Wszyscy zebrani czytali uważnie jego deklaracje programowe, mowy, obietnice składane w trakcie kampanii. I nagle zdali sobie sprawę, że nie wiedzą, czy w głębi serca Edward Manchester nie jest przypadkiem pacyfistą. Kiedy to sobie uświadomili, odczuli szok oraz przemożną potrzebę usłyszenia jego własnej odpowiedzi na tak sformułowany zarzut.

- Moim celem - odparł prezydent, starannie dobierając słowa - jest zapobieżenie niepotrzebnej śmierci amerykańskich żołnierzy. Kongres może próbować uchylić moją decyzję wszystkimi dostępnymi mu środkami, lecz decyzja ta będzie bronić się sama. - W tym momencie Manchester wkroczył w swój własny moralny wszechświat, do którego jego słuchacze nie mieli dostępu, którego nie byli wręcz w stanie pojąć. Mówił dalej tonem mądrego nauczyciela, przemawiającego do dzieci z wyżyn swej wiedzy. - Decyzja prezydenta, który postanowił nie ścigać terrorystów w ich ojczyźnie i przekazał to zadanie władzom suwerennego kraju, może być, oczywiście, rozpatrywana w kategoriach moralnych jako zła lub dobra...

- Jeśli chodzi o terrorystów - przerwał mu Warner, którego mowa ta najwyraźniej nie poruszyła - to obawiam się, że mamy nowe informacje.

Prezydent spojrział na nich, unosząc brwi.

- Jakie nowe informacje?

- Pamięta pan tę taśmę, którą wysłali wcześniej?

- Oczywiście..

- No cóż, panie prezydencie, to były same bzdury. Treść przemowy nie trzymała się kupy. Same zdjęcia jednak, lub raczej sama taśma, pomogły nam w końcu dojść, kim w rzeczywistości są ci ludzie. Powiedziałbym, że udało się nam ich zidentyfikować.

Prezydent patrzył na niego szeroko rozwartymi oczami.

- Mówi pan poważnie? - spytał.

- Owszem.

- Myślałem, że to już wiemy, że są członkami Frontu Islamskiej Indonezji. Ten kraj przeżywał trudne chwile, ludzie nienawidzą dyktatora wojskowego, wszystko chyba się zgadza... - w głosie prezydenta brzmiała jednak niepewność.

Warner sprawiał wrażenie wręcz pokornego, jakby rozumiał zmieszanie prezydenta.

- Owszem, panie prezydencie, wszystko wydaje się pasować. Chyba dlatego właśnie nikt tak naprawdę nie pofatygował się, by zbadać tę ich historijkę. Przyjęliśmy ich słowa za dobrą monetę, co nie zawsze jest postępowaniem mądrym, jeśli ma się do czynienia z terrorystami. Jedno muszę przyznać, Indonezyjczycy doskonale znają każde fundamentalistyczne islamskie ugrupowanie u siebie w kraju. Większość z nich udało się im zinfiltrować. Ludzie z ich wywiadu i służby bezpieczeństwa przejrzeni tę taśmę. Pokazali ją nawet swoim tajnym współpracownikom. Na próżno.

- I co? - spytał niecierpliwie prezydent.

- Jeden z ich oficerów wywiadu przyjrzał się dokładniej pierścieniowi na palcu terrorysty. - Warner wymierzył w niebo palec wskazujący. - Widać go było tylko przez chwilę, w rogu obrazu. Wówczas, gdy uderzył kapitana Bonhama. Zatrzymaliśmy ujęcie, powiększyliśmy je i oczyściliśmy. Pierścień wydał się nam całkiem zwyczajny, ale on zauważył coś jeszcze. Jeden z symboli, tajski. Tu i tam czasami się go spotyka, ale używany jest prawie wyłącznie w Tajlandii.

- No i...?

Dyrektora CIA wyraźnie cieszył ten moment chwały.

- Pierścień z Tajlandii, panie prezydencie. Dzięki niemu Indonezyjczyk z wywiadu zaczął szperać. - Rozejrzał się dookoła. Admirał Hart był szczególnie zainteresowany jego opowieścią i wściekły na to, że ją przerwał. - Panie prezydencie, ich zdaniem mamy do czynienia z Indonezyjczykami pracującymi ręką w rękę z Tajami, piratami pragnącymi w pełni kontrolować ruch statków przez cieśninę Malakka.

- Co? - Prezydentem najwyraźniej to wstrząsnęło. - Piraci?

- Na to wychodzi, panie prezydencie. Zatopili nasz statek, ponieważ chcieli, byśmy trzymali się jak najdalej od Indonezji, a przy okazji podali się za ten Front Islamski. Chcieli, żebyśmy trzymali się z dala od Morza Jawajskiego i cieśniny Malakka, bo zamierzali atakować pływające tam zagraniczne statki. Nie podoba im się obecność w regionie amerykańskiej Marynarki, ponieważ jesteśmy jedyną siłą na świecie, zdolną przeszkodzić im w ich planach.

Przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów siedział na krawędzi fotela, wpatrując się Warnerowi prosto w twarz. Prezydent potarł dłonią czoło.

- Jest pan tego pewien? - spytał.

- Indonezyjczycy wydają się bardzo pewni siebie, ale ja nie widziałem wystarczająco wiele, by im w tym dorównać.

- Wydaje się to panu sensowne?

- Oczywiście, panie prezydencie. Mamy także kopię depezy o zestrzeleniu F14. Jeśli mają tak nowoczesne systemy przeciwlotnicze, mogą spokojnie dysponować także pociskami przeciwookrętowymi. Najwyraźniej zajęli dla siebie tę wyspę, Bunaya, ulokowaną bardzo dogodnie pod względem strategicznym. W jej pobliżu nie ma

niczego wielkiego, za to większość ruchu przez cieśninę Malakka znajduje się w zasięgu pocisków raketowych.

Prezydent opanowywał się z wielkim wysiłkiem.

- Jakim cudem ci kretyni Indonezyjczycy nie wiedzieli, że ich ludzie pracują ręką w rękę z Tajami, budującymi wyrzutnie raket i próbującymi zamknąć cieśninę?

- No cóż, panie prezydencie, tak naprawdę oni wcale nie chcą zamknąć cieśniny, ale rozumiem, o co panu chodzi. Zadaliśmy im identyczne pytanie. Trochę się na nas wkurzyli, zauważyli, że mają u siebie siedemnaście tysięcy wysp, z czego połowa jest niezamieszkała i nie są w stanie sprawdzać codziennie każdej z nich. Już i tak mają kłopot ze sprawdzaniem tych zamieszkałych przez dwieście milionów ludzi. Mają kupę problemów i niezbyt wielką marynarkę. Właśnie zaczęli sprawdzać kontrolowane przez siebie wysepki, ale twierdzą, że samo dotarcie do wszystkich zajmie całe miesiące. I nie będą się z tym przesadnie śpieszyć. Boją się, że wpadną na jakieś inne gniazdo piratów i ich ludzie nie wrócą do domu. No więc będą je sprawdzali z użyciem okrętów i samolotów... w każdym razie będzie to długi, męczący proces. Myśleli nawet, żeby poprosić nas o pomoc, ale na razie niczego jeszcze nie postanowili.

- Nie do wiary. - Manchester spojrzał na Harta. - Panie admirale, co pan o tym sądzi?

- Panie prezydencie, od początku uważałem, że ten kawałek z terrorystami islamskimi jest odrobinę za trudny do przelknięcia. Próbę zamknięcia cieśniny muszą uznać za wręcz zdumiewającą. Na ogół piraci nie próbują zamykać cieśnin. Co mogą zrobić? No cóż, mogą zatrzymywać każdy statek na tym szlaku i wymuszać od niego okup. Dokładnie tak jak berberyjscy piraci za czasów Thomasa Jeffersona.

- Wspaniale! - Manchester opadł na oparcie fotela, zamknął oczy i potarł twarz. - Przewodniczący Izby Reprezentantów z całą pewnością radośnie wykorzysta tę historyjkę. Już go słyszę: Jak jak za dawnych lat, za czasów Thomasa Jeffersona, Kongres wystawił list kaperski przeciwko piratom..." - Przerwał, próbował opanować gniew i nie zdołał go opanować. - Nie wierzę własnym uszom! - krzyknął,

- Tak naprawdę to ostatni list kaperski wystawił James Madison....

- Nie obchodzi mnie, kto wystawił ostatni list kaperski, admirale. - Prezydent rozejrzał się dookoła. - Czy to coś zmienia?

Pierwszy do odpowiedzi wyrwał się Bosch.

- Oczywiście, że zmienia. Nie walczymy przecież z terrorystami, pragnącymi uzyskać wolność religii w ojczyźnie lub też bojownikami o czystość tejże religii. Walczymy z piratami! Wszyscy nienawidzą piratów, nasz kraj ma długą historię walki z piratami. Ich trzeba zgnieść. Jak pluskwy!

- Jak to w końcu jest? - zwrócił się do Warnera prezydent. - To Indonezyjczycy czy nie Indonezyjczycy?

- Na podstawie posiadanych przeze mnie informacji, nie możemy powiedzieć z całą pewnością, ale wydaje się...

- A ta wyspa Bunaya to terytorium Indonezji, prawda?

- Owszem.

Prezydent powoli zaczął się uspokajać.

- A więc mówimy o Indonezyjczykach prowadzących nielegalną działalność i wystrzeliwujących rakiety z terytorium Indonezji?

- Słusznie. Zgadza się - stwierdził Warner, dając do zrozumienia, że nie jest to szczególnie ważne.

- No cóż, muszę to sobie przemyśleć. Jak wygląda sprawa wniesiona do Sądu Najwyższego, panie prokuratorze generalny?

- Jest jeszcze coś - powiedział Warner.

- Co takiego?
- Nie sądzimy, żeby działali sami.
- Nie mogę się doczekać kolejnej rewelacji. No dobra, strzelaj. Powiedz nam wszystko.
- Kiedy dowiedzieliśmy się, że wystrzelono południowoafrykańskie rakiety, zaczęliśmy grzebać w międzynarodowym handlu bronią. Początkowo sądziliśmy, że jest w to jakoś wplątany Iran. Parias społeczności międzynarodowej. Początkowe dane i informacje wywiadu wszystkie wskazywały na Iran. Ich ulubioną rozrywką jest wspieranie fundamentalistów islamskich. Ładnie nam to pasowało do obrazka. Poza tym Iran jest bardzo aktywny w handlu bronią. Ta Południowa Afryka dała nam jednak do myślenia. Nie wiemy o żadnych związkach między nią a Iranem...
- A może by tak na temat... - mruknął prezydent.
Warner zamilkł, urażony.
- Chiny! - powiedział. - O to właśnie chodzi. Chiny!
- Nie rozumiem.
Dyrektor CIA wzruszył ramionami, niemal z wyższością.
- Nie chciał pan długich wyjaśnień, przedstawiam więc wniosek końcowy. Chiny.
- Stoją za tym Chiny?
- Być może to za mocne określenie, uważamy jednak, że Chiny co najmniej sprzyjają piratom, a prawdopodobnie także ich finansują. Od kilku lat Chiny usiłują wzmocnić armię. Próbują też stworzyć marynarkę z prawdziwego zdarzenia, ale nie idzie im to zbyt sprawnie. Ich głównym celem z całą pewnością jest chęć wypchnięcia nas z Południowo-Zachodniego Pacyfiku, ponieważ tylko my dysponujemy tam znaczącą siłą. Gdyby nas tam nie było - wzruszył ramionami, jakby mówił rzeczy oczywiste dla każdego - próżnię po nas wypełniłyby właśnie Chiny. A jednym ze sposobów wypchnięcia nas z tego akwenu jest zachęcanie piratów, by nas atakowali w nadziei, że sami się wyniesiemy. Taka mała powtórka z Wietnamu.
- Ale skąd pewność, że w tę sprawę bezpośrednio wplątane są Chiny?
- Ponieważ parę miesięcy temu Chiny wysłały statkiem skrzynie pocisków przeciwokrętowych Silkworm. Myśleliśmy, że płyną do Iranu. Śledziliśmy ich statek aż do cieśniny Malakka, a potem go zgubiliśmy. Oczekiwaliśmy, że rakiety pojawią się w Iranie, ale nie otrzymaliśmy żadnej informacji, że się pojawiły. Statek był jednym z tysięcy, wystarczyło go przemalować i nigdy byśmy go nie poznali. Ale w Iranie nie postawiono nowych wyrzutni Silkwormów, a na starych nie wymieniono rakiet. - Warner rozejrzał się po twarzach słuchających go ludzi. - Naszym zdaniem w skrzyniach znajdowały się południowoafrykańskie rakiety przeciwlotnicze i pewnie coś, o czym nie mamy pojęcia. Na przykład Silkwormy do zwalczania okrętów.
- Poinformowaliśmy o tym Indonezyjczyków? - spytał prezydent.
- Oczywiście, proszę pana. Rozmawiałem z nimi w tej sprawie osobiście. Właśnie wówczas cała ta sprawa ułożyła mi się w głowie.
- Nie rozumiem.
- Najbogatsi Indonezyjczycy to ci pochodzenia chińskiego. Większość z nich nie ma związków w kontynentalnymi Chinami i szczerze nienawidzi chińskiego komunizmu. Niektórzy, owszem, takie związki zachowali. Tajne związki, o których dowiedzieliśmy się niedawno. Dotyczy to przede wszystkim dwóch Indonezyjczyków, których pan dobrze zna, panie prezydencie. I którzy dobrze znają pana.
Manchester patrzył na niego zdziwiony.
- Ci dwaj otworzyli bank w pańskim rodzinnym mieście w Connecticut. Spotkał się pan z nimi.
- Czy to wszystko ma ze mną coś wspólnego? - prezydent był mocno zaniepokojony.

- Być może oni poinformowali Chińczyków, że w przypadku afery nie będzie pan reagował. Mogli powiedzieć im, że brak panu stanowczości i odwagi...

- Kto mówi, że brakuje mi stanowczości i odwagi?

- Nikt. To przecież tylko hipoteza, panie prezydencie. Ale taki zbieg okoliczności musi budzić ciekawość. Niektórzy już ustawiają się tak, by mieć dobrą opinię w Chinach, kiedy wpływy chińskie ogarną Indonezję, Malezję, Singapur i Tajlandię, co zdaniem niektórych może nastąpić w ciągu najbliższych pięciu lat...

- Domysły, domysły, domysły... - przerwał mu prezydent, lekceważąco machając ręką. - Proszę nas zawiadomić, kiedy będzie pan znał jakieś fakty.

Warner przerwał, urażony nie docenieniem tego, co uważał za wspaniałą robotę wywiadowczą.

- Jest jeszcze jedna rzecz, panie prezydencie - powiedział.

- Co takiego? - Manchester był wyraźnie wyprowadzony z równowagi. - Tylko szybko.

- Porwano rodzinę amerykańskich misjonarzy.

- Gdzie?

- Na Irian Jaya. - Warner przerwał, zorientował się, że nazwa ta nikomu się z niczym nie kojarzy i dodał: - To wyspa we Wschodniej Indonezji.

- Czy ma to coś wspólnego z naszą sprawą? - spytał prezydent, marszcząc brwi.

- Nie wiemy. Poinformowano nas, że znikli i to wszystko. Tubylcy twierdzą, że nic nie wiedzą. Ktoś przypłynął i ich porwał.

- Co możemy zrobić?

- Już robimy wszystko co w naszej mocy...

- W takim razie informujcie mnie na bieżąco. - Manchester znużył się już tym tematem i wrócił do rozmowy z prokuratorem generalnym. - Panie prokuratorze, pani Vaughan, jak wygląda sprawa naszego wniosku przed Sądem Najwyższym?

- No cóż, panie prezydencie - odparł McCormick - nasz wniosek został przyjęty do rozważenia przez Sąd Najwyższy w trybie natychmiastowym, okoliczności są jednak tak niezwykle, że nikt nie wie, co to właściwie znaczy. Sąd Najwyższy działa tak jak w przypadku egzekucji skazańca, adwokaci obu stron mają być cały czas pod telefonem, prowadzone są rozmowy ze wszystkimi zainteresowanymi stronami, ale nikt nie informuje nas, co Sąd Najwyższy rzeczywiście ma zamiar zrobić. Mogą przeprowadzić przesłuchanie jeszcze dziś, mogą wydać czasowe orzeczenie wstrzymujące, mogą oczekiwać ostatecznego wyjaśnienia, mogą tylko ustalić datę sprawy. Pływamy po nieznanym wodach.

- Podoba mi się to porównanie - stwierdził admirał.

Prezydent spojrział na niego, bynajmniej nie rozweselony i wrócił do rozmowy z prokuratorem.

- Kiedy możemy się czegoś dowiedzieć? - spytał.

McCormick wzruszył ramionami.

- Sprawą zajmuje się nasz najlepszy adwokat i w tej chwili nic już nie możemy zrobić. Czekamy na informacje z Sądu Najwyższego, nie mając zresztą pojęcia, kiedy informacje te mogą nadejść. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że powinniśmy dowiedzieć się czegoś w ciągu następnych kilku godzin, ale - prokurator pokręcił głową - nie wiem, jak dokładne są moje przypuszczenia.

Manchester spojrział na siedzącą cicho Molly.

- Nadal uważa pani, że musimy wygrać?

- Że zostanie wydane polecenie wstrzymania działań do czasu rozpatrzenia sprawy? - uściśliła Molly. - Owszem, jestem tego pewna. Rozwiązałyby to wszystkie problemy przez ich zamrożenie, status quo zostałoby utrzymane. A sąd mógłby wydać wyrok po rozprawie, w późniejszym terminie.

Prezydent przeniósł spojrzenie na szefa personelu.

- Arlan, istnieje jakiś sposób skończenia z tą kongresową bzdurą, z tym impeachmentem?

- Oczywiście, panie prezydencie. Może pan przywrócić łączność z „Constitution” i rozkazać jej, by rozprawiła się z piratami.

- Powiedziałem przecież, że tę sprawę muszę jeszcze rozważyć. Co dalej?

- Moim zdaniem powinien pan pozwolić, by zawałała się pod własnym ciężarem. - Bosch pochylił się w fotelu. Mówił tonem, którym zwierzchnicy przemawiają zwykle do podwładnych: - Chyba że chce pan wystąpić na konferencji prasowej i powiedzieć dziennikarzom, że nie jest pan pacyfistą, i że jeśli okaże się to konieczne, nie ma pan nic przeciwko użyciu sił wojskowych w sytuacjach kryzysowych. Zalecałbym takie właśnie rozwiązanie. Jeśli go pan nie przyjmie, doprowadziłbym do sytuacji, w której pana przyjaciele zaczną pana bronić, przewodniczący zaś wyjdzie na człowieka opętanego szaleńczą manią zemsty, marzącego wyłącznie o tym, by uciąć panu głowę.

- Czy mogę coś powiedzieć? - wtrącił admirał.

- Niech pan mówi - zgodził się niechętnie Manchester.

- Czy ktoś ma zamiar poinformować naszą grupę bojową, że ludzie, których ma zamiar zaatakować, to nie banda szaleńców? Że być może mają oni wsparcie Chin oraz skomplikowane systemy broni, w tym być może Silkwormy! I że ich zakładnikami może być rodzina misjonarzy?

- Mają odciętą łączność - przypomniał mu szef personelu.

- Właśnie o to mi chodzi. To nasze okręty, a my odcięliśmy im łączność. W tej chwili posiadamy także informacje, do których oni nie mają dostępu. Czy nie jesteśmy im winni choćby przekazania ważnych informacji?

- Admirale, oni nie dostali pozwolenia na podjęcie jakiegokolwiek akcji. Jeśli działa się wbrew rozkazom, podejmuje się też ryzyko takiego działania.

- Oczywiście, ale...

- W tej sprawie nie ma żadnego „ale” - przerwał mu brutalnie Manchester.

Admirał Hart siedział w fotelu, czerwony, walczący z ogarniającym go gniewem.

- Ryzykując, że to co powiem uznane zostanie za niesubordynację, panie prezydencie - powiedział spokojnie, z godnością - pragnę stwierdzić, że pańska decyzja może spowodować śmierć wielu ludzi. Marynarzy. Amerykanów.

- Nie doszłoby do tej sytuacji, gdyby wykonywali rozkazy - odparł natychmiast prezydent.

- Jest jeszcze jedna sprawa. W związku z rozprawą przed Sądem Najwyższym - wtrącił tajemniczo Warner.

Manchester spojrzał na niego, zaskoczony.

- Jaka?

- Wie pan, z kim rozmawiał Dillon, kiedy namierzyliśmy jego sygnał i wyłączyliśmy mu telefon? Z przyjacielem z biura prawnego przewodniczącego Sądu Najwyższego.

Na pokładzie USS „Wasp” pułkownik Brandon Tucker odwiedzał kolejne kompanie piechoty morskiej. Nie miał wątpliwości, że jest to najlepszy statek desantowy w całej amerykańskiej flocie. Na jego pokładzie znajdowały się Harriery, samoloty pionowego startu i lądowania, które marines kochali, a nikt inny nie chciał używać, helikoptery, którymi latali od lat: CH-E i CH-46 oraz miejsce dla tysiąca pięciuset żołnierzy.

Tucker spotkał się z dowódcą każdej kompanii i z każdym z nich przedyskutował robocze plany operacji. Robocze, ponieważ tak naprawdę marines nie wiedzieli, w co

mają wdepnąć. Ostateczny rozkaz miał zostać wydany niemal wyłącznie na podstawie raportów, które wieczorem mieli złożyć SEAL.

Po inspekcji każdej z kompanii Tucker wezwał ich dowódców na wieczorną odprawę. Siedzieli teraz przed nim, niecierpliwie czekając na to, co w ich zawodzie najważniejsze, czyli informacje. Wśród ludzi pułkownika znajdował się też porucznik Jody Armstrong.

- Czy wszyscy rozumieją założenia planu? - spytał poważnie Tucker. Tak? Doskonale, pozwólcie więc, że je dla was powtórzę. Za niespełna dwadzieścia cztery godziny staniemy na wyspie Bunaya. Jedno muszę wam powiedzieć, kilka razy brałem udział w desancie i jeszcze nigdy nie czułem się tak niepewnie. - Tucker zawahał się ma moment. - Tę całą operację powinniśmy sobie po prostu przetańczyć. Zapewne atakujemy bandę terrorystów o bardzo ograniczonym doświadczeniu, pozbawionych skomplikowanych systemów broni, choć najwyraźniej mają jakieś rakiety przeciwlotnicze. Nie wydaje się prawdopodobne, by mieli broń przeciwczołgową. Nie wydaje się prawdopodobne, by mieli działa przeciwpancerne, miny lądowe czy w ogóle środki uniemożliwiające nam lądowanie. Niemniej musimy założyć, że dysponują wszystkim, co tu przed chwilą wymieniłem. Planujemy naszą akcję tak, jakby naprzeciw nas stała Armia Radziecka i jakbyśmy dokonywali desantu w Pietropawłowsku. - Pułkownik oparł dłonie na biodrach. - Założymy, że ludzie ci bronią swojej ojczyzny, a my przybyliśmy, by porwać im żony. Założymy, że są to najlepsi, najlepiej wyćwiczeni żołnierze w całej historii wojen. Założymy, że mają broń bardziej zaawansowaną niż nasza, i że umieją z niej strzelać lepiej od nas. Założymy, że mają broń przeciwpancerną, wywiad satelitarny oraz możliwość odbierania przekazu wideo z naszego lądowania w czasie rzeczywistym. Założymy nawet, że CNN przekaże im nasze lądowanie na żywo!

Tu i tam rozległy się chichoty. Tucker uciszył je jednym spojrzeniem.

- Oczywiście to, co powiedziałem w większości wypadków okaże się nieprawdą, jednak jeśli założycie, że przeciwnik jest silniejszy niż rzeczywistość jest, podejmiecie dodatkowe środki ostrożności i być może dożyjecie późnej starości. Nie zrozumcie mnie źle. Nie twierdzą, że nie uderzymy mocno. Wręcz przeciwnie, uderzymy dwukrotnie mocniej niż normalnie. Szczerze mówiąc, panowie, ci faceci przeżyją najgorszy koszmar swego życia. Źle wybrali sobie przeciwników. A jeśli ktoś z was nie jest całkiem pewien, że powinniśmy aż tak im dołożyć, niech przypomni sobie dwudziestu pięciu marynarzy marynarki handlowej, którzy przywieźli Indonezyjczykom samochody, oraz sapera SEAL z naszego statku. - Pułkownik przerwał, zwiększając efekt swojej przemowy. - Ludzie, przeciw którym występujemy mogą nazywać się Islamskimi Fundamentalistami albo i Konwencją Klaunów, dla mnie nie ma to najmniejszego znaczenia. Porywali, zabijali i wysadzali w powietrze moich rodaków, więc niech lepiej zadzwonią pod 911, ponieważ w tej chwili najbardziej potrzebują pomocy. Pytania?

Pytań nie było. Plan analizowano wielokrotnie, obecni czekali na jakieś nowe informacje.

Tucker spojrzął na Armstronga.

- Twoi ludzie są gotowi, prawda? - spytał. - O której ruszacie?

Armstrong spojrzął na zegarek

- O osiemnastej zero zero.

- O której będziecie na brzegu?

- Dwudziesta trzecia zero zero.

- Macie wszystko, czego potrzebujecie?

- Tak, panie pułkowniku. Wolałbym co prawda dostać dobrą mapę miejsca lądowania, ale na to chyba nie ma co liczyć, prawda?

- Nie ma. Nie zaryzykujemy kolejnego przelotu TARPS wyłącznie dla kilku zdjęć. Nie kontrolujemy już satelitów, jesteście zdani sami na siebie. To wy macie zgromadzić informacje dla nas.

- Jasne, panie pułkowniku.

Tucker skrzyżował potężne ramiona, widoczne spod krótkich rękawów mundurowej koszuli.

- No, to nakopimy im po tyłkach - stwierdził.

24.

Dillon próbował obserwować jednocześnie CNN, admirała, jego adiutanta i morze. Cierpiał na lekkie mdłości. Wielokrotnie słyszał, że lotniskowce to okręty tak wielkie, że nie sposób wręcz wyczuć ich ruchu, nie miał jednak problemu z wycuciem ruchu tego lotniskowca. Zapewne ze względu na prędkość, z jaką się on poruszał: około dwudziestu pięciu węzłów, czuł, jak okręt przechyla się lekko z burty na burtę. Marynarze, na których właśnie patrzył, najwyraźniej jednak nie wyczuwali ruchu „Constitution” i z całą pewnością nie czuli najłżejszych nawet mdłości. Ciekawe, pomyślał, czy nie czuję się gorzej od nich dlatego, że list kaperski wyzwolił zasoby energii, o których istnieniu nie miałem nawet pojęcia. A przecież to mój list. To mój pomysł, mój entuzjazm, mój trud włożony w sprawdzenie, jak dziś może działać dawno zapomniana idea rodem wprost z konstytucji.

W telewizji jego szef, przewodniczący Izby Reprezentantów, odpowiadał na pytania zadawane przez dziennikarzy zgromadzonych przed drzwiami jego biura.

- Panie przewodniczący - spytał jeden z dziennikarzy - na Wzgórzu mówi się, że ma pan zamiar wnieść pod obrady Izby głosowanie nad listą zarzutów, które mogą doprowadzić do impeachmentu prezydenta za jego domniemany pacyfizm. Czy to prawda?

- Tego wieczoru, kiedy prezydent wygłosił mowę, w której oznajmił, że nie ma zamiaru ścigać terrorystów, udałem się do Białego Domu, o czym większość z was poinformowała zapewne opinię publiczną, i zapytałem prezydenta, czy jest pacyfistą. Prezydent nie odrzucił tego oskarżenia.

Stanbridge uważnie obserwował reakcję dziennikarzy.

- Czy ma pan zamiar doprowadzić do impeachmentu? - powtórzył pytanie inny dziennikarz.

- Jak wiecie, sprawę tę rozważają w tej chwili niektórzy członkowie Izby. Sam poważnie się nad nią zastanawiałem i uważam, że prezydent sam powinien rozwiązać ten problem, odpowiadając na pytanie. Najwyraźniej jednak nie jest skłonny na nie odpowiedzieć. To mnie zastanawia. Nie sposób obronić się przed wrażeniem, że w oskarżeniu tym jest jakaś część prawdy. Jednak po spotkaniu z kolegami doszliśmy wspólnie do wniosku, że nie czas teraz na dzielenie włosa na czworo. Prezydent bardzo dobitnie wykazał, że nie ma zamiaru bronić Amerykanów przed brutalnymi atakami, za co odpowie w przyszłości. Na razie za te ataki odpowiedzieć muszą terroryści na Południowym Pacyfiku.

W tym momencie Stanbridge podszedł do drzwi biura i obrócił się ku dziennikarzom.

- Tylko tyle mogę powiedzieć wam teraz - oznajmił. - Później być może znów się spotkamy, ale na razie musimy załatwić inne pilne sprawy.

Wszedł do gabinetu. Telewizyjne kamery pokazały zamykające się drzwi. Dillon tylko się uśmiechnął. Dobra robota, pomyślał.

Podszedł do niego porucznik Reynolds.

- Nie do wiary - powiedział, wskazując na wiszący u sufitu telewizor. - To chyba coś zupełnie nowego.

- Chyba tak - przytaknął Dillon.

- Myśli pan, że przewodniczący mówi serio? Że naprawdę ma zamiar nalegać na pozbawienie prezydenta urzędu?

- Z całą pewnością na to właśnie wygląda. Prasa toczy pianę z pyska. Dla nich to gratka stulecia, od wieków nie mieli takiego materiału. To dla nich lepsze niż wojna, ponieważ wszystko podsuwa się im pod nos. Mogą siedzieć w tych swoich małych pokojkach i pisać co im się żywnie podoba, a kiedy przyjdzie im chęć namieszać, wystarczy wyjść na podwórko, uzyskać wypowiedź jakiegoś polityka, wyostrzyć jego słowa i ukłuć nimi w tyłek innego polityka. Życie nie umierać.

- Podoba się panu praca w Waszyngtonie? - spytał cicho porucznik, nie chcąc przeszkadzać Billingsowi, który wpatrywał się w telewizor jak urzeczony.

Dillon ogarnął wzrokiem błyszczące w promieniach słońca fale morza. Odetchnął głęboko z nadzieją, że w ten sposób powstrzyma mdłości.

- Kiedyś mi się podobała - przyznał. - Czasami jest męcząca z wszystkimi tymi wewnętrznymi sporami, wbijaniem noży w plecy, wszechobecnym egoizmem... ten egoizm jest chyba najgorszy. Ludzi najbardziej obchodzi to, co dotyczy ich samych, a prawie nikt nie interesuje się tym, co rzeczywiście może się zdarzyć. Mimo wszystko, jeśli chce się zmienić cokolwiek w tym kraju, to ma się właściwie tylko jedno wyjście - politykę. Ale nie widzę samego siebie w roli polityka.

- No więc podoba się to panu, czy nie?

- Czasami tak, czasami nie. - Dillon tylko wzruszył ramionami. - A teraz ja mam pytanie: lubi pan długie rejsy? Podoba się panu rola oficera Marynarki?

Adiutant uśmiechnął się lekko.

- Czasami tak, czasami nie - odparł.

- Nie do wiary! - Admirał oderwał się od telewizora i wzruszył ramionami. - Waszyngton oszalał. Ludzie mogą sobie myśleć, że to ja wymknąłem się spod kontroli, ale wygląda na to, że tak naprawdę tylko ja zachowałem zdrowy rozsądek!

Adiutant i Dillon obserwowali debatę w Izbie, admirał tymczasem rozejrzał się dookoła i dostrzegł stojącego obok oficera operacyjnego.

- Gotowi do zejścia na ląd?

- Tak jest, panie admirale, gotowi. Godzina „L”: piąta czterdzieści.

- Znajdą się w wodzie w ciemności, przed wschodem słońca?

- Tak jest, panie admirale.

- Doskonale. Wszystko załatwione?

- Tak jest. Możemy zaczynać.

Admirał wstał i przeciągnął się.

- Przekaż wszystkim, że zatwierdzam misję - powiedział.

- Tak jest, panie admirale.

Adiutant wykonał w tył zwrot i zszedł z mostka.

Przewodniczący wkroczył radośnie do swojego biura. Po drodze zrzucił marynarkę od garnituru. Zamknął drzwi przed nosami szalejących dziennikarzy. Prawo wstępu do gabinetu mieli wyłącznie jego pracownicy.

Widząc wchodzącego szefa Robin podniosła głowę.

- Panie przewodniczący, czy muszę panu mówić, że telefon się urywa, i że ze dwa miliony ludzi chcą z panem rozmawiać?

- Nie. Dokładnie tego się spodziewałem. Jest coś, co nie może poczekać czterdziestu ośmiu godzin?

- Nie wiem, proszę pana. Ale... nim wejdzie pan do gabinetu, chciałam panu powiedzieć coś jeszcze.

- Co takiego?

Przewodniczący obrzucił ją zaintrygowanym spojrzeniem.

- Podczas gdy był pan w Izbie, przyszedł szef personelu Białego Domu. Czeka na pana w pańskim biurze.

- Prasa wie, że tu jest? - spytał zdziwiony Stanbridge.

- Nie, proszę pana, przyszedł, kiedy dziennikarze byli w Kongresie.

- Czego chce?

- Nie mam pojęcia. Zapytał, czy może poczekać w pańskim gabinecie, a ponieważ wydawało mi się, że to jedyne stosowne miejsce...

- Oczywiście. No cóż, trzeba przyznać, że coś się dzieje. - Wyprostował się. - Nudno nam w każdym razie nie będzie.

Wszedł do gabinetu i delikatnie zamknął za sobą drzwi. Bosch siedział na sofie przy niskim stoliku, popijając kawę z porcelanowej filiżanki. Sprawiał wrażenie odprężonego i pewnego siebie.

- Cześć, Arlan - powiedział Stanbridge, wyciągając rękę. - Dobry wieczór.

- Dobry wieczór, panie przewodniczący. - Bosch wstał. - Proszę mi wybaczyć, że pojawiłem się bez zapowiedzi, ale chciałem chwilę z panem porozmawiać.

- Nie ma sprawy.

Przewodniczący próbował wyczytać coś z twarzy przeciwnika. Nie dlatego, by nie lubił Boscha, wręcz przeciwnie, zawsze go szanował. Uważał go za jedynego doradcę prezydenta, który ma głowę tam, gdzie powinna być głowa. W każdym razie rozumiał, że w polityce międzynarodowej szanuje się siłę, a wykorzystuje słabość. Taką politykę zagraniczną Stany Zjednoczone, zdaniem przewodniczącego, powinny prowadzić, lecz rzadko w rzeczywistości prowadziły. Zbyt często ograniczały się do żalostnego myślenia życzeniowego, co kończyło się oczywiście podejmowaniem fatalnych decyzji i śmiercią bardzo wielu ludzi.

Bosch zdaje się doskonale to rozumiał. W pewnym sensie był jego sprzymierzeńcem wśród ludzi prezydenta. Prawdopodobnie dlatego właśnie tu jest, pomyślał przewodniczący. Wiedzieli, że tylko jego wysłucham... chociażby przez pięć sekund.

- Proszę, siadaj, Arlan. - Po raz drugi zwrócił się do prezydenckiego szefa personelu po imieniu, choć nie znał go zbyt dobrze. Sięgnął po srebrny dzbanek i nalał sobie kawy. - Co sprowadza cię w ten zakątek świata? - spytał.

- Panie przewodniczący, nadeszły ciężkie czasy - odparł poważnie Bosch.

- Mnie to mówisz?

- Mogę powiedzieć, że, choć polityką zajmuję się od trzydziestu lat, nigdy jeszcze nie widziałem niczego choćby w przybliżeniu przypominającego zdarzenia ostatnich kilku dni. Nigdy nie widziałem, by tak wiele sił działało w tak rozmaitych kierunkach, podczas gdy ludzie nie są w stanie przewidzieć skutków ich działania i formułować rozsądnych planów. Wiem, że wkraczamy na ziemię niczyją, jeśli nawet „Washington Post” nie wie, co się tak naprawdę dzieje. - Bosch przerwał na chwilę, by sprawdzić, czy jego rozmówca ma coś do powiedzenia, po czym podjął wątek. - Jak pan doskonale wie, nie zgadzamy się w sprawach podstawowych, przede wszystkim w sprawie tego listu kaperskiego. Wydaje mi się wręcz zdumiewającą opinia Kongresu, jakoby mógł dowolnie sterować grupą bojową Marynarki Stanów Zjednoczonych, skoro to prezydent jest z urzędu naczelnym dowódcą sił zbrojnych. W mojej opinii mamy tu do czynienia z przywłaszczeniem sobie...

Przewodniczący pochylił się w fotelu i spojrzał na Boscha zmrużonymi z gniewu oczami.

- Przyszedł pan do mnie, by wygłosić kazanie? - spytał spokojnie. - Wiem, jakie zajmuje pan stanowisko i wiem, jaki popełnia pan błąd. Mamy po swojej stronie historyczny precedens...

Bosch podniósł w górę dłoń.

- Nie. Nie przyszedłem do pana, żeby wygłaszać kazania. Nie zamierzałem nawet poruszyć tej sprawy. Pragnąłem tylko określić naszą sytuację wyjściową.

- Znam naszą sytuację wyjściową. Proszę mówić dalej.

- Jak rozumiem, list kaperski został dostarczony Marynarce?

- Owszem. I admirał go przyjął.

- Wie pan, co ma zamiar zrobić? - spytał wprost Bosch.

- No cóż - przewodniczący wyprostował się w fotelu - skoro prezydent jest naczelnym dowódcą, powinien zadać to pytanie bezpośrednio admirałowi, prawda? Biorąc pod uwagę wspianą technikę, którą dysponujemy, nie zabraloby mu to nawet dwóch sekund. Skorzystał z tej możliwości?

- Niestety, nie wolno mi omawiać problemów komunikacji między prezydentem a grupą bojową. Mogę tylko powiedzieć, że przynajmniej w tej chwili intencje pana admirała są dla nas niejasne.

- Dlaczego ja miałbym je znać?

- Panie przewodniczący, niczego nie jesteśmy pewni. Ale wygląda na to, że potrafi pan zdobywać potrzebne panu informacje.

- No cóż, z pewnością nie odwiedził mnie pan, by zadać pytanie o intencje admirała. Pozwoli pan, że ja go teraz o coś zapytam. Jakie są wasze intencje? Czy rzeczywiście wysyłacie drugą grupę bojową, by powstrzymała admirała Billingsa? Czy zamierzacie wszcząć wojnę domową?

Bosch przymknął na moment oczy, lecz niemal natychmiast odzyskał przytomność umysłu.

- Skąd pan o tym wie?

- A więc to prawda?

- No cóż, gdyby była to prawda, dowiedlibyśmy tylko, że prezydent nie jest pacyfistą.

Bosch uśmiechnął się lekko.

- Może tak, może nie. Dlaczego nie pokażecie prezydenta w ogólnonarodowej telewizji, nie pozwolicie mu poinformować opinii publicznej, że wysłał grupę bojową Marynarki celem zaatakowania innej grupy bojowej Marynarki, że ma zamiar doprowadzić do wspomnianego ataku, a więc z całą pewnością nie jest pacyfistą? Niech wystąpi przed narodem i wygłosi oświadczenie, z którego wynikać będzie, iż dowodem jego męskości jest wola zaatakowania i zabijania Amerykanów.

- Nie powiedziałem, że prezydent wysłał na miejsce inną grupę bojową - zaprotestował natychmiast Bosch.

- A więc pan temu zaprzecza?

- Nie zostałem upoważniony do omawiania zamiarów prezydenta w związku z admirałem Billingsem - stwierdził szef personelu Białego Domu tonem nie pozostawiającym wątpliwości, iż dyskusja na ten temat właśnie się zakończyła.

Stabridge'owi nie w smak był obrót, jaki przyjęła rozmowa.

- Więc po co pan do mnie przyszedł? - spytał. - Mam mnóstwo spraw do załatwienia

- Chciałem sprawdzić, czy nie dałoby się odrobinę obniżyć stawki. - Bosch odstawił filiżankę i spojrzał rozmówcy w oczy. - Doszło przecież do tego, że zamiast jednego kryzysu konstytucyjnego mamy na raz dwa lub nawet trzy. Nie jestem pewien, czy nasz kraj to wytrzyma. Nie jestem pewien, czy rząd to wytrzyma. To, co pan zrobił, panie przewodniczący, może wyrządzić poważne długoterminowe szkody

Stanom Zjednoczonym, nie tylko jeśli chodzi o ich reputację w świecie, lecz także w kwestii zaufania. Ludzie muszą wierzyć, że ich rząd będzie istniał nie tylko jutro, lecz także za rok. Zaatakował pan samą konstytucję.

- Gdyby nasz prezydent miał jaja i zrobił to, do czego zobowiązuje go urząd, nie doszłoby do tej sytuacji i bardzo proszę nie obwiniać za jej powstanie mnie.

- Nie potrafię znaleźć właściwych słów - przyznał Bosch, prostując się w fotelu. - Panie przewodniczący, nie przyszedłem tu, by oskarżać pana o cokolwiek. Nie przyszedłem tu, by udowadniać naszą rację w wielu podniesionych ostatnio sprawach. Sądzę, że mamy rację, i że zwyciężymy pod każdym względem. - Zauważył wyraz twarzy przewodniczącego i uspokajająco podniósł dłoń. - Nie jest jednak moim zadaniem udowodnienie tego panu - powiedział. - Przyszedłem, by sprawdzić, czy nie udałoby się nam obniżyć stawki.

- Co to właściwie znaczy? - spytał przewodniczący, niezbyt dyskretnie zerkając na zegarek.

- Groźba wniesienia pod obrady Izby uchwały o pozbawienie prezydenta prawa sprawowania urzędu była dla niego obrazą. Oskarżenia o pacyfizm pozbawione są wszelkich podstaw. Była to czysto polityczna zagrywka, z której bardzo mądrze postanowił pan zrezygnować.

- Naprawdę? - spytał gniewnie przewodniczący i wstał. - To niech prezydent wystąpi publicznie i powie ludziom, że jest gotów użyć siły wojskowej Stanów Zjednoczonych, jeśli zajdzie taka konieczność, że zastosuje rozciągnięty nad naszym krajem parasol atomowy, jeśli zaistnieje taka potrzeba. Niech wygłosi takie oświadczenie. Sądziś, że oskarżałem go z lekkim sercem? Sądziś, że nie odrobiłem pracy domowej? Sądziś, że nie wyciągnąłem wniosków z tego, co wiem i czego się dowiedziałem? Moi ludzie analizowali każdą jego mowę podczas kampanii prezydenckiej. Sprawdziłem, co mówił w dyskusjach, sprawdziłem każde zadane mu pisemnie pytanie, na które udzielił odpowiedzi, sprawdziłem każdą broszurę, wydaną w jego imieniu. Nigdy, ale to nigdy nie powiedział, że użyje broni jądrowej, jeśli zajdzie taka konieczność, i nigdy nie obiecał, że użyje amerykańskich sił zbrojnych do obrony naszych narodowych interesów, jeśli będzie musiał. Och, oczywiście, miał wiele do powiedzenia o budżecie obronnym i jego rosnącym procentowo udziale w produkcji narodowym brutto. Ale to była tylko taka polityczna gadanina.

- Nie jest pan powołany do wzywania prezydenta, by wykonywał pańskie polecenia niczym tresowany piesek.

- Doskonale. A więc o czym rozmawiamy?

Bosch odczekał chwilę w nadziei, że atmosfera nieco się oczyści.

- Oto moja propozycja - powiedział w końcu. - Jeśli wycofa pan list kaperski, prezydent wycofa pozew o jego wstrzymanie. - Przerwał sprawdzając, jaką reakcję wywołają jego słowa. - Bardzo to proste, coś za coś. W ten sposób nikt nie rzuci wyzwania konstytucji i żadna ze stron nie będzie mogła ogłosić się zwycięzcą.

Stanbridge patrzył na Boscha, nie kryjąc zdumienia.

- Pan naprawdę sądzi, że to sprawa czysto polityczna? - spytał.

Bosch uniósł brwi.

- Wszystko jest polityczne - stwierdził.

- Owszem, ale nie wszystko jest wyłącznie polityczne.

Szef personelu Białego Domu tylko wzruszył ramionami.

- Jest pan zainteresowany czy nie?

- Nie - odparł bez wahania Stanbridge. - I doprawdy dziwi mnie, że prezydent tu pana przysłał. Nie potrafię dojść, dlaczego to zrobił. Moim zdaniem dowodzi to, że czuje się przyparty do ściany. Z całą pewnością zdajecie sobie sprawę, że przegrywacie, więc robicie co się da, by zmniejszyć starty. Dwukrotnie przegraliście

przed sądem, trzecia próba jeszcze przed wami. Wiecie co będzie, jeśli przegracie raz jeszcze. Admirał bardzo przekonująco pokazał wam, że zastosuje się do listu kaperskiego. Prezydent wychodzi na głupca. I dlatego pan tu jest.

Bosch pokręcił głową, jakby zasmucił go ten komentarz.

- To, co się dzieje nie jest dobre dla kraju, panie przewodniczący. Nie musimy sprawdzać naszej gotowości bojowej, nie w ten sposób. Jeśli stanie się coś złego, pan będzie za to odpowiedzialny.

Stanbridge poderwał się z fotela.

- Bardzo przepraszam, ale naprawdę mam mnóstwo pracy - powiedział. - Tymczasem nasza rozmowa wydaje mi się wyjątkowo bezproduktywna.

- Proszę, niech pan usiądzie.

- Nie mam zamiaru usiąść i...

- Niech pan mi zaufa i siada!

Przewodniczący usiadł.

- O co chodzi?

- Chcemy, żeby wycofał pan list kaperski.

- Doprawdy? Tak po prostu wycofał? Niby dlaczego miałbym go wycofać?

- Dla własnego dobra.

- Własnego dobra? O czym pan mówi?

- Podejmował pan bardzo ryzykowne decyzje, by znaleźć się tu, gdzie się pan znalazł, panie przewodniczący. Szczególnie zainteresował mnie fakt, że ktoś taki jak pan, kto uważa wolny rynek za lekarstwo na wszystkie problemy ekonomiczne, wniósł projekt ustawy pańskiego autorstwa głoszący, że pięćdziesiąt procent importowanych do Stanów Zjednoczonych towarów musi być transportowanych przez statki pływające pod amerykańską banderą. Posunięcie to z definicji zaprzecza przecież idei wolnej konkurencji. Z całą pewnością także podnosi ceny tychże towarów na rynku amerykańskim. - Bosch wyprostował się w fotelu. - Zadałem więc sobie pytanie: dlaczego przewodniczący Izby Reprezentantów proponuje taką ustawę? Odpowiedź nasuwała się sama - skorzysta na niej wyłącznie amerykański przemysł stoczniowy.

- Ta fascynująca historia ma jakiś koniec?

- Oczywiście.

- Amerykański przemysł stoczniowy gonił ostatkiem sił. Udało mi się go uratować - powiedział Stanbridge.

- Zrobił pan to dla jednego przedstawiciela tego przemysłu, choć być może skorzystali i inni. - Bosch wstał i podszedł do okna, z którego widać było pomnik Waszyngtona. - Udało mi się stwierdzić, że pana dobry przyjaciel, i oczywiście wyborca, Jack Stewart, prezes Stewart Shipping Line, miał w ciągu miesiąca złożyć w sądzie wnioski o bankructwo. Znalazłem nawet adwokata, który przygotowywał odpowiednie dokumenty.

Stanbridge spojrział na niego zdumiony, lecz potrafił błyskawicznie ukryć to uczucie.

- I co z tego?

- To, że nie złożył wniosku o bankructwo. Za to, jak się wydaje, znalazł nowe hobby: wspieranie polityków. O ile wiem, nie przeznaczył na ten cel jednorazowo więcej niż pięćdziesiąt dolarów do momentu, gdy odwiedził w Waszyngtonie swego kongresmana, Johna Stanbridge'a. Czy coś to panu mówi?

- Do czego pan zmierza?

- Nie spodziewałem się, że pan się do tego przyzna. No cóż, panie przewodniczący, najwyraźniej zawarł pan z panem Stewartem bardzo lukratywny kontrakt. Pan wniósł projekt ustawy, która uratowała przemysł stoczniowy, on zaś postarał się, by został pan wybrany na kolejną kadencję.

- Dostałem sześćdziesiąt procent głosów. Nikt nie musiał starać się, bym został wybrany na nową kadencję.

- O ile pamiętam, Richard Nixon bronił się w identyczny sposób. Watergate w niczym nie mogło mu pomóc, bo i tak miał zdecydowaną przewagę nad McGovernem.

- Proszę pana...

- Proszę pozwolić mi skończyć. Nie zabiorę panu wiele czasu. Udało mi się prześledzić drogę, jaką przeszły dwa miliony dolarów, zanim trafiły od Stewarta i jego przyjaciół na pańskie konto wyborcze. Przekazywał pieniądze przez pracowników, rodzinę, przyjaciół, specjalnie założone firmy i na wiele innych sposobów. Panie przewodniczący, według posiadanych przeze mnie informacji, pogwałcił pan od pięciu do dwudziestu przepisów prawnych dotyczących finansowania kampanii wyborczych. Całkiem niedawno w moje ręce wpadł kolejny fragment tej skomplikowanej układanki. Ma pan bardzo sympatyczną sekretarkę.

- Co ma do rzeczy moja sekretarka?

- Nie miała nic, póki nie dowiedziałem się, że jej panięńskie nazwisko brzmi Stewart. Ma jakieś związki rodzinne ze Stewart Shipping Lines?

Stanbridge milczał.

- Moim skromnym zdaniem powinien pan polecić admirałowi, by powstrzymał się z podejmowaniem jakichkolwiek działań, póki sąd nie zdecyduje o zgodności listu kaperskiego z konstytucją. Mogę dopilnować, by dotarła do niego ta informacja. Mam nadzieję, że nie żądam za wiele?

Stanbridge nie odpowiedział.

- No cóż, naprawdę powinienem lecieć. - Bosch wstał i podeszedł do drzwi. - Proszę rozważyć to, co panu powiedziałem. To, co panu powiedziałem i parę faktów, o których nie wspominaliśmy w rozmowie, ująłem w formie notatki, w której wymienilem nazwiska, daty, kwoty i inne drobniejsze, lecz istotne informacje. Jeśli list kaperski nie zostanie odwołany, notatka ta dotrze anonimowym faksem do każdej gazety w tym kraju. - Spojrzał na przewodniczącego, ten zaś zacisnął dłonie w pięści. - Proszę bardzo dokładnie rozważyć swój kolejny ruch w tej rozgrywce. Jak rozumiem, musi pan teraz wrócić na salę obrad. Ja poczekam, a kiedy pan wyjdzie, a prasa za panem, wyniosę się stąd i nikt nie będzie wiedział, że tu w ogóle byłem.

Stanbridge odprowadził go do drzwi, ale zagroził wyjście. - Szanowałem pana - powiedział. - Sądziłem, że jest pan jedynym po drugiej stronie, który od czasu do czasu myśli. Myliłem się. Jak wszyscy inni, jest pan tylko pasożytem. Szkoda. W każdym razie może pan przekazać Manchesterowi wiadomość ode mnie. Proszę mu powiedzieć, że swoje rewelacje może sobie wsadzić w dupę. Mam nadzieję, że jest pan w stanie zapamiętać dokładnie, co powiedziałem. Może wsadzić je sobie w dupę! - powiedział powoli, jakby uczył dziecko w szkole. - I jest jeszcze jedna sprawa. Proszę powtórzyć prezydentowi, że go dorwę. Już niedługo będzie prezydentem.

Wypowiadając te słowa Stanbridge otworzył drzwi, wypchnął przez nie Boscha i zatrzasnął je z głośnym hukiem.

Jane oparła się o framugę drzwi.

- I co? - spytała.

Pendelton pokręcił głową.

- Właśnie miałem do nich dzwonić. Wejdz.

Włączył głośnik telefonu i wcisnął przycisk wybierający numer. Prywatny numer aplikanta Sądu Najwyższego. Odpowiedział mu kobiecy głos.

- Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych, biuro aplikantów.

- Dobry wieczór, mówi David Pendelton w imieniu przewodniczącego Izby Reprezentantów. Czy mógłbym rozmawiać z aplikantem panem Comptonem?

- Proszę czekać.

Znalezienie aplikanta zajęło sekretarce niespełna minutę.

- Dobry wieczór, panie Pendelton - odezwał się w słuchawce charakterystyczny głos.

- Dobry wieczór, panie Compton. Mam zamiar wyjść do domu. Mam nadzieję, że może mi pan poradzić, czy spędzić noc w biurze, czy też uznać, że skończyłem pracę na dziś. Nie mam zamiaru wywierać nacisków, ale...

- Nie wywiera pan nacisku, panie Pendelton Doskonale pana rozumiem. Pragnę poinformować pana, że prezes Sądu Najwyższego rozważa właśnie wniosek o przedłużenie sesji. Szczerze mówiąc, nie wiem, co ma zamiar zrobić.

Pendelton myślał przez chwilę.

- Dlaczego pozostaje pan na miejscu? - spytał.

- Ponieważ do momentu podjęcia decyzji muszę tu być, by zawiadomić strony przez telefon. Prawo zobowiązuje nas do poinformowania ich prawników w najszybszy możliwy sposób, czyli w tym przypadku przez telefon. Biuro informacyjnie powiadomi prasę i innych zainteresowanych w terminie późniejszym

- No cóż, ponieważ nic nie wiadomo, musimy chyba wszyscy po prostu czekać, prawda?

- Gdyby chodziło o mnie...

- Co pan by zrobił?

- Gdyby chodziło o mnie, wróciłbym do domu, panie Pendelton. Mam pana numer domowy i równie dobrze mogę zadzwonić tam. Uznaję za skrajnie nieprawdopodobne, by jeszcze dziś musiał pan podjąć jakieś działania. Po prostu poinformuję pana o decyzji sądu.

- Doskonale - zdecydował Pendelton. - Pójdę za pańską radą. Panie Compton, czy uważa pan za możliwe, że prezes Sądu Najwyższego przerwie rozważania i też wróci do domu?

- Uważam to za bardzo możliwe - odparł natychmiast Compton.

- Czy byłby pan tak uprzejmy i poinformował mnie, jeśli sesja sądu skończy się bez podjęcia decyzji? Mógłbym się trochę przespać.

Compton roześmiał się.

- Ależ oczywiście, panie Pendelton. Poinformuję pana o tym z domu.

- Będę panu bardzo wdzięczny. Czekam więc na pański telefon.

- Nie ma za co. Oczywiście, tę samą grzeczność wyświadczę także prokuratorowi generalnemu.

Pendelton uśmiechnął się.

- Niczego innego się po panu nie spodziewałem.

- Dobranoc, panie Pendelton

- Jeszcze raz dziękuję i dobranoc. - Pendelton odłożył słuchawkę i spojrzął na Jane. - Wiesz co, prezes Sądu Najwyższego cofa się w bardzo ciasny róg.

- Dlaczego? - zdziwiła się Jane.

Oczy Pendeltona zabłyśły.

- Jest też prezesem Sądu Okręgowego Dystryktu Columbia, prawda?

- No tak, ale co...

- Co oznacza, że decyzję o przedłużeniu sesji rozważa samodzielnie. Paragraf 38 umożliwia mu oczywiście odwołanie się do sądu, ale zwyczajowo sędziowie decydują o tej kwestii sami.

- No, tak - zgodziła się Jane.

Pendelton zerknął na telefon, a potem spojrzął jej w oczy.

- Czy zdecyduje się postanowić samodzielnie? W końcu został mianowany przez Manchestera.

- Teraz rozumiem, co pan ma na myśli.

- Sędziowie mają być apolityczni, lecz w rzeczywistości nie są.

- A więc odwoła się do sądu?

- Obstawiam, że tak.

Pendelton napił się wody ze stojącej na biurku szklanki.

- Chyba rzeczywiście nie może postąpić inaczej.

W jej głosie brakowało pewności.

- Ale co robi sąd? - spytał Pendelton - I kiedy?

Dowódca skrzydła lotniczego Zeke Bradford stał przed nimi, ubrany w kombinezon lotniczy. Na czarnej skórzanej plakietce z nazwiskiem widać było złote skrzydła Marynarki i trzy litery: CAG. Dowódca Skrzydła Lotniczego. To on decydował gdzie, kiedy i jak atakuje skrzydło.

Bradford spojrzął na swoich dowódców dywizjonów.

- No cóż - powiećtoał - jestem pewien, że już o tym panowie wiecie, ale potwierdzam: jest zgoda na operację. Jutro rano. Godziny „L” i „H”: piąta czterdzieści.

Dowódcy dywizjonów skinęli głowami.

- Jestem pewien, że, podobnie jak ja, uznajecie tę operację za co najmniej dziwną. Podczas całej mojej kariery w Marynarce nie brałem jeszcze udziału w czymś równie szalonym. Jestem pewien, że macie swoje zdanie co do tego, czy powinniśmy ją podejmować, czy nie. - Przerwał na chwilę, ale nikt mu nie odpowiedział. - Szczerze mówiąc, mam ogromną ochotę nakopać po tyłkach ludziom, którzy zabijają Amerykanów. Moim zdaniem powinniśmy odpowiedzieć im pięknym za nadobne. Żałuję tylko, że nie mają samolotów, i że nie będzie to równa walka. Na równą walkę nie mamy chyba co liczyć. Słyszałem jednak, że dysponują raketami ziemia-powietrze. Ktoś wie o tym więcej ode mnie? - Uśmiechnął się, spoglądając na Caskeya, który zakrył sobie twarz dłońmi. - U ciebie w porządku, MC?

- Owszem, tylko trochę się wstydę.

- Nie wyobrażam sobie, jakim cudem mógłbyś odgadnąć, że mają południowo-afykańskie rakiety przeciwlotnicze, że wiedzą, jak ich używać, i że podświetlą cię z przodu, a strzelą w ogon.

- Nadal mi wstyd.

- Nie przejmuj się za bardzo. Samolot kosztował zaledwie czterdzieści milionów dolarów. Jestem pewien, że podatnicy zrozumieją. O czym to mówiłem? Aha, spodziewam się, że wy, tak jak ja, czujecie się głupio w zaistniałej sytuacji. Po prostu nie wiem, co jeszcze moglibyśmy zrobić. Idziemy przecież tam, dokąd każe nam iść admirał.

Tym razem odpowiedział mu pomruk zgody.

- No to co, macie problem czy go nie macie?

Piloci energicznie pokręcili głowami.

- Doskonale. Jak wiecie, musimy zamknąć plan lotów, o szesnastej zero zero rozpoczynamy przegląd i uzbrojenie maszyn.

- Wie pan może coś o tym, jakie cele przyjdzie nam zaatakować? - spytał „Pijany” Driver. - Mówiło się coś o bunkrach ze zbrojonego betonu i dżungli. Mamy jakieś dodatkowe informacje?

- Żadnych. SEAL mają nam przekazać to i owo jeszcze dzisiejszej nocy, ale nie oczekiwałbym za wiele. Nie sądzę, by zdobyli dobre informacje o celach. Moim zdaniem zapewnimy bliską osłonę lotniczą i wsparcie. Nasz plan zakłada władowanie rakiet SLAM w bunkry, które uda się zidentyfikować i trzymanie pocisków HARM w gotowości na wypadek, gdyby pojawiły się radary. ESM¹⁵ ustawione są tak, by reagowały na te południowoafrykańskie rakiety przeciwlotnicze, ale oprócz nich możemy, jak sądzę, mówić wyłącznie o typowej strzelaninie. Nie wiemy o nich wystarczająco wiele, by walić czymś ciężkim. Walczyć będą przede wszystkim marines na ziemi, ich zadaniem będzie też znalezienie kapitana „Flyera”. I dobrze. Są jakieś pytania?

MC podniósł rękę.

- Co robi Indonezja? Bo to przecież wyspa indonezyjska, prawda?

- Formalnie tak, ale wydaje się, że oddali ją bez walki tym terrorystom. Jeśli pozwala się facetom na korzystanie ze statku-bazy, przycumowanie na brzegu szybkich motorówek, budowanie betonowych bunkrów i stanowisk rakiet ziemia-powietrze, rezygnuje się dobrowolnie z przywileju załatwienia ich samemu.

- Zaraz, sekundę, ale prezydent powiedział przecież, że mamy tylko powiedzieć Indonezyjczykom gdzie są ci faceci i pozwolić im załatwić sprawę we własnym gronie - zaprotestował „Pijany” Driver. - Poinformowaliśmy Indonezyjczyków czy nie poinformowaliśmy?

Bradford przyjrzał mu się dziwnie.

- A wiesz, Pijany, nie mam pojęcia. Od czasu, kiedy odcięli nam łączność, informujemy ich o wszystkim, co wiemy, ale z całą pewnością nie wiemy, czy przekazują dalej otrzymane od nas informacje.

- Więc Waszyngton mógł powiedzieć Indonezyjczykom, gdzie są nasi faceci, ale nam nie powiedział, że powiedział?

- Po prostu nie mam pojęcia - Bradford wzruszył ramionami. - Nie wiem, co kto mówi komu i kiedy. Wiem tyle, co powiedział mi admirał: że jutro rano będzie gorąco, że strzelamy do wszystkiego, co się rusza, i że nasi przeciwnicy mają rakiety przeciwlotnicze. I to jest mniej więcej cała moja wiedza. Proponuję, byśmy nie wdawali się w polityczne spekulacje kto, co, komu i kiedy. Zostałem dobrze zrozumiany?

- Jasne, oczywiście. Nie chcę wpaść na kogoś albo mieć kogoś na ogonie tylko dlatego, że będziemy robili coś, o czym nie wiem.

- Masz rację - potwierdził CAG. - W tej chwili niczego w tej sprawie nie załatwimy.

„Pijany” Driver nie sprawiał wrażenia usatysfakcjonowanego.

- No, nie wiem... Mam wrażenie, że admirał pcha nas w błoto i że lepiej byłoby, gdybyśmy w nie nie wdepnęli. - Dowódcy dywizjonów przyglądali mu się uważnie. Pijany brnął dalej. - Przysięgaliśmy, oczywiście, wykonywać rozkazy, ale tylko prawomocne rozkazy. Nie zabrania się nam ruszania głową.

CAG stracił wreszcie cierpliwość.

¹⁵ *ElectronicSupport/Surveillance Measures - elektroniczne środki wsparcia/dozoru [przyp. red.].*

- No więc, co według ciebie mamy zrobić, Pijany? Mamy powołać komitet, zorganizować jego sesję i podjąć obowiązującą decyzję co do prawomocności czy też nieprawomocności rozkazów wydanych przez admirała Billingsa? I co dalej? Dojdziemy do wniosku, że nie wypełnimy jego rozkazów i rozkażemy podległym nam żołnierzom, by też ich nie wykonywali? A potem może piloci i dowódcy oddziałów zaczną się zastanawiać, czy nasze rozkazy są prawomocne? I będzie się to tak ciągnęło aż do samego dołu? Czy na każdym szczeblu drogi służbowej ktoś będzie kwestionował rozkazy bezpośrednich przełożonych?

- Właśnie o to chodziło w Norymberdze, CAG.

Caskey zdecydował się na podjęcie interwencji.

- To co, jesteście teraz zbrodniarzami wojennymi? Wysyłamy Żydów do komór gazowych? Daj spokój.

- Nie, nie o to mi chodziło. - „Pijany” Driver wyprostował się w fotelu. - Twierdzą tylko, że każdy z nas ma obowiązek wykonywać wyłącznie prawomocne rozkazy.

- A jeśli sprawa nie jest tak jasna, jakbyśmy chcieli? - spytał zaniepokojony Caskey. - Rozumiem o czym mówisz, Pijany, nie jestem jednak pewny, czy to najważniejsza chwila na dyskusowanie o tego typu problemach. Nie mamy do czynienia z sytuacją jasną, w rodzaju „strzelajcie do jeńców”. Chodzi o autorytet i o to, czy admirał cieszy się autorytetem. Powiedziałbym, że to jego sprawa, nie nasza.

- No tak - odparł dowódca dywizjonu F-18 z pewną ulgą. - Nie twierdzą przecież, że nie powinniśmy atakować. Uważam jedynie, że powinniśmy pomyśleć o skutkach naszych działań. Wygląda na to, że o tym pomyśleliśmy. Wchodzę w to, CAG.

Twarz Bradforda rozjaśniła się.

- Dobra. To rozumiem. Czy ktoś ma jeszcze jakieś problemy, które chce zrzucić z serca? - Nikt nie odpowiedział. - No to w porządku. Macie przygotować samoloty do lotów bojowych, postawić ludzi w stan gotowości, przygotować amunicję, bomby i rakiety. Niech wszystkie załogi trochę odpoczną. Jutro wstajemy dość wcześnie.

Beth Griffith usłyszała szcęk zamka magnetycznego i pchnęła stalowe drzwi. Zaraz za nią próg przekroczył wysoki, chudy porucznik w kombinezonie lotniczym. Obejrzała się, a kiedy zobaczyła, że nie został gdzieś po drodze, ruszyła w kierunku admirała Billingsa.

Centrum wywiadu przypominało mrowisko. Billings i jego ludzie przygotowywali rozkazy operacyjne i plan lotu.

- Bardzo przepraszam, panie admirale - powiedziała.

Billings nawet jej nie usłyszał. Porucznik patrzył to na nią, to na admirała i najwyraźniej czuł się nieco niezręcznie.

- Bardzo przepraszam - podniosła głos Beth.

- Co? - spytał niecierpliwie admirał.

- Porucznik ma pewne informacje, których moim zdaniem powinien pan wysłuchać natychmiast.

- Dobry wieczór, poruczniku.

- Dobry wieczór, panie admirale.

- O co chodzi, Beth?

- Byłam w CVIC podczas odprawy po ostatniej akcji ratowniczej, panie admirale. Właśnie rozmawiano z załogą E-2. Z tym porucznikiem. Mówił, że słuchał radia na zakresie HF i podsłuchał pewną rozmowę. Niech sam panu powie.

- Tak?

- Porucznik nie był całkiem pewien, czego od niego chcą. I To właściwie nie jest chyba takie ważne - rozpoczął. - Jechałem po częstotliwościach HF i usłyszałem rozmowę między mężczyzną i, jak mi się wydaje, jego żoną. Jestem prawie zupełnie

pewien, że to był ktoś z E-2, oczywiście nie z naszego dywizjonu, bo my mieliśmy w powietrzu tylko jedną maszynę. Z całą pewnością połączył się przez HF z linią telefoniczną.

- Skąd wie pan, że był z E-2?

- Używał mikrofonu przy ustach, a nie mówił do maski tlenowej.

- No to może helikopter? - zasugerował Billings.

- W transmisjach z helikopterów słyszy się na ogół wibrację wirnika. Nie jestem zresztą całkiem pewien, czy H-60 ma HF.

- To celna uwaga.

- No, w każdym razie rozmawiał z żoną. Taka zwykła rozmowa, bardzo uważał, by nie przekazać jej niczego tajnego, ale kiedy go spytała, co się dzieje, odpowiedział: „Nie mogę ci powiedzieć, ale lecimy na południe jak burza”.

To wyraźnie zainteresowało Billingsa.

- Potrafi pan podać jego pozycję?

- Nie, panie admirale. Miałem zamiar na DF¹⁶, ale złapałem tylko pulsacje. Był na północny wschód od nas, ale nie sposób powiedzieć, czy o sto mil, czy o tysiąc.

- Jakie wyciąga pan stąd wnioski, poruczniku?

- Właściwie to nie wyciągam wniosków, panie admirale. Komandor Griffith wydaje się sądzić, że to bardzo ważne, ale ja nie wiem, dlaczego.

- Więc myśli pan, że to był E-2?

- Tak, panie admirale, jestem tego zupełnie pewny.

- Czyj?

- No cóż, z tego kierunku mógł być chyba ktoś z grupy bojowej „Trumana”, gdzieś na Filipinach. Ale to tylko moje przypuszczenie.

- Ma pan coś jeszcze do powiedzenia?

- Panie admirale, tego też nie jestem całkiem pewien, ale sądzę, że mówił oficer, którego znam.

- Co? - Billings uniósł brwi ze zdziwienia.

- Tak mi się wydaje, panie admirale. Nasza społeczność, załóg E-2, nie jest wielka i ja chyba odbywałem z nim kiedyś szkolenie. Nazywa się Erie Stone. Taki niewielki facecik z piskliwym głosikiem, bardzo charakterystycznym, zawsze go po nim poznawaliśmy. Mówiliśmy na niego „Ptaszek” i to przezwisko już przy nim zostało. Jestem prawie pewien, że to był właśnie Ptaszek.

- I co pan o tym sądzi?

Porucznik wzruszył ramionami.

- Właśnie nie wiem, co mam o tym sądzić. Moim zdaniem ta rozmowa nie miała żadnego znaczenia.

- Czy zdaniem pana mówiąc, że „leca jak burza” mógł mieć na myśli E-2?

Porucznik roześmiał się.

- Nie słyszałem jeszcze, by ktoś mówił o E-2 z tą jego wielką anteną radarową na grzbiecie, że „leci jak burza”. Z całą pewnością nie powiedziała by tak ktoś, kto nimi lata.

- No właśnie. - Billings też się uśmiechnął.

- Więc sądzi pan, że mówił o grupie bojowej „Trumana”?

Porucznik jeszcze raz wzruszył ramionami.

- No... chyba tak.

Billings spojrzał na Beth.

- Płyną za nami - stwierdził.

¹⁶ *Dinction Finding - namiernik radiowy [przyp. red.]*.

David Pendelton siedział w głębokim skórzanym fotelu w salonie swego domu. Miał na sobie spodnie od garnituru i białą koszulę. Rozluźnił krawat. Siedząc przy kominku czekał na telefon z Sądu Najwyższego.

Telefon zadzwonił o drugiej dziesiątej nad ranem.

- Tak?

- Dzień dobry panu - powiedział David Compton. - Obiecałem, że zadzwonię, kiedy będę wychodził z biura, czyli kiedy zakończą się rozważania nad pańską sprawą. No więc wychodzę do domu.

- A jak sprawa wygląda w tej chwili? - spytał ostrożnie adwokat

- Sędzia Ross postanowił, że powinien ją rozpatrzyć sąd w pełnym składzie. Stanie się to jutro, a właściwie dziś. W sobotę.

- Czyli do tej pory nic nowego nie nastąpi?

- Nie, proszę pana. Skład sędziowski zbiera się z samego rana. O siódmej.

- Doskonale. Dziękuję panu za telefon. Czy może mi pan powiedzieć, kiedy podana zostanie ostateczna decyzja?

- Nie, panie Pendelton. Nie posiadam takich informacji.

- A więc przekazał sprawę do rozstrzygnięcia sądowi w pełnym składzie?

- Tak, proszę pana. Dokładnie tak.

- Dziękuję panu. Dobranoc.

- Dobranoc, panie Pendelton.

Adwokat odłożył słuchawkę i uśmiechnął się. Dopił wodę ze szklanki, odczekał pięć minut i wybrał numer. Słuchawkę telefonu na bezpośredniej linii podniósł przewodniczący Izby Reprezentantów.

- Panie przewodniczący, mówi David Pendelton.

- Dowiedział się pan czegoś?

- Owszem, proszę pana. Prezes Sądu Najwyższego przekazał wniosek o rozpatrzenie sprawy na sesji nadzwyczajnej w pełnym składzie.

- Co to znaczy?

- Prezes Sądu Najwyższego Ross jest w Sądzie Okręgowym Dystryktu Columbia odpowiedzialny za sesje nadzwyczajne. Podanie w tej sprawie otrzymał z Dystryktu Columbia, mógł więc rozstrzygnąć ją jednoosobowo. Jednak zgodnie z paragrafem...

- Proszę oszczędzić mi paragrafów. Co to znaczy?

- Jeśli prezes rozpatrujący taką sprawę sobie tego życzy, może oddać ją pod rozpatrzenie sądowi w pełnym składzie. Z tej właśnie możliwości skorzystał prezes Ross. Aplikant sądowy poinformował mnie przez telefon, że wniosek zostanie rozpatrzony dziś rano, w sobotę.

- Aha... - Stanbridge nad czymś się zamyślił.

- Ile czasu potrzebujemy, panie przewodniczący? - zapytał Pendelton.

- Nie wiem. Zdaje się, że mają zamiar zaatakować o szóstej po południu naszego czasu.

Pendelton znów spojrzał na zegarek.

- Niewiele ponad piętnaście godzin od tej chwili?

- Tak.

- No cóż, panie przewodniczący, możemy mieć pewne kłopoty. Zawiadomię pana, kiedy tylko się czegoś dowiem.

- Doskonale. Ja wracam do domu, wyłączam radio i telewizor, i będę spał tak długo, jak to tylko możliwe.

- Doskonale. Tylko niech pan będzie pod telefonem.

- Ależ oczywiście. Ma pan mój numer domowy?

- Owszem, mam.

- Doskonale. Wiesz co, David, powiem ci, że to był zwariowany dzień. Nie wiem, czy coś takiego powtórzy się za naszego życia. Dziękuję za pomoc i z pewnością niedługo znów się spotkamy. Dobranoc.

- Dobranoc, panie przewodniczący.

Pendelton odłożył słuchawkę. Nie mógł się jeszcze odprężyć, Sąd Najwyższy nadal był w stanie pokrzyżować plany Kongresu, tymczasem jednak adwokat miał zamiar bawić się tak dobrze, jak to tylko możliwe. Wiedział, że jeśli mu się uda, zyska sobie miejsce w historii.

26.

Jim Dillon nadal nie był w stanie przyzwycząić się do myśli, że znajduje się na lotniskowcu. Wszystko, co widział i czego się uczył, zdumiewało go coraz bardziej. Porucznik Reynolds - niewątpliwie z poczucia obowiązku - oprowadzał go po okręcie i wyjaśniał mechanizmy jego funkcjonowania, Dillon nie był jednak w stanie zapamiętać niemal niczego z tych wyjaśnień. Porucznik używał słów i skrótów, które jemu były zupełnie nie znane. Kiwał tylko mądrze głową, żywiąc nadzieję, że udziela sensownych odpowiedzi, czuł się jednak imigrantem w obcym kraju.

Przy każdej okazji starał się choćby spojrzeć w któryś z telewizorów, pokazujących program CNN na żywo. Udawał, że całą swą uwagę skupia na Reynoldsie, ale wyteżał słuch, głodny nowości z Waszyngtonu.

Był na spotkaniach dowódców skrzydła lotniczego, na odprawach dywizjonów, widział, jak uzupełnia się amunicję w samolotach, uczestniczył w nagrywanych odprawach z oficerami wywiadu, którzy niezmiennie twierdzili, że na skutek odcięcia łączności nie mają żadnych nowych informacji.

W CATTC¹⁷ słuchał dwudziestopięcioletnich żołnierzy, którzy - niewątpliwie na prośbę Reynoldsa - tłumaczyli, jak porozumiewają się z samolotami w powietrzu i jak „sprowadzają je do gołębnika”. Niewątpliwie było to dla nich bardzo ważne, on jednak nad głową wyjaśniającego mu te sprawy marynarza wpatrywał się w ekran telewizora, nastawiony oczywiście na CNN. Prezydent brał udział w konferencji prasowej. Niestety, dźwięk był wyłączony. Widział, jak prezydent wstępuje nad podwyższenie.

Nagle Dillon pożałował, że nie jest w Waszyngtonie, czyli tam, gdzie wszystko się dzieje. Waszyngton był najbardziej atrakcyjny właśnie wówczas, gdy wybuchały tam polityczne bomby. Nie wytrzymał i uciszył marynarza, unosząc dłoń.

- Bardzo przepraszam - powiedział - nie chcę panu przerywać, ale czy nie sądzi pan, że powinniśmy wysłuchać, co ma do powiedzenia prezydent?

Porucznik i marynarz obaj spojrzeli w telewizor.

- Nie ma sprawy - stwierdził marynarz i do kolegi, który czyścił mosiężną pokrywę jakiegoś urządzenia elektrycznego krzyknął: - Green, włącz telewizor!

Dillon podszedł bliżej. Manchester miał najwyraźniej zamiar wygłosić przygotowane wystąpienie. Sprawiał wrażenie wyczerpanego. Miał na sobie granatowy garnitur z krawatem w czerwone i niebieskie paski.

- Biuro prokuratora generalnego poinformowało mnie właśnie, że Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych ma zdecydować, czy podtrzymać wniosek o czasowe wstrzymanie we wniesionej przez nas sprawie. Jak wiecie, jako obywatel, a także jako prezydent i głowa władzy wykonawczej wniosłem sprawę przeciwko Kongresowi,

¹⁷ Carrier Air Traffic Control Center - centrum kontroli obszaru powietrznego lotniskowca [przyp red.].

spodziewając się szybkiego, oczywistego rozstrzygnięcia: że list kaperski jest jawnym naruszeniem konstytucji Stanów Zjednoczonych. Jestem pewien, że Sąd Najwyższy się ze mną zgodzi i sprawia mi wielką przyjemność, że zdecydował się na wydanie decyzji w tej sprawie.

Manchester przerwał, dając dziennikarzom szansę, z której w pełni skorzystali, zrywając się na równe nogi i jak jeden mąż wykrzykując pytania. Dillon zadrżał. Gdyby Sąd Najwyższy uznał list za niekonstytucyjny, cały jego plan zawałiłby się jak domek z kart, a przewodniczący Izby Reprezentantów wyszedłby na idiotę. Manchester uniósł dłoń w uspokajającym geście.

- Spodziewałem się, że sprawa odbędzie się dzisiaj, mimo iż mamy sobotę, Sąd jednak poinformował mnie właśnie, że spotka się w najwcześniejszym możliwym terminie wynikającym z grafiku spraw, czyli we wtorek. Oczekiwałem, że będzie to miało miejsce w poniedziałek, ale poniedziałek to święto federalne. Tak więc rozprawa odbędzie się o siódmej trzydzieści rano we wtorek.

Wtorek? Dillon szeroko otworzył oczy. Biorąc pod uwagę różnicę czasów od wtorku dzieliły ich jeszcze dwa albo trzy dni. W Indonezji w każdym razie dwa i pół. A więc ataku nic nie mogło już powstrzymać. Aż trudno mu było w pełni rozważyć znaczenie tego, co powiedział prezydent. Tymczasem Manchester mówił dalej:

- Nie zgadzałem się z całą ideą listu kaperskiego. Powinniśmy zostawić sprawę Indonezyjczykom, niech sami walczą ze swoimi kryminalistami. I my, i Indonezyjczycy wiemy już, gdzie się w tej chwili znajdują i kim są. Indonezja jest gotowa podjąć odpowiednie działania. Szczerym sercem oczekuję, że Marynarka zdecyduje się powstrzymać od działań, aż do wydania obowiązującego wyroku przez Sąd Najwyższy. Podjęcie jakichkolwiek działań wcześniej dowodziłoby lekkomyślności, jestem jednak pewien, że oddziały wojskowe podporządkują się rozkazom ich naczelnego dowódcy.

Odprężył się wyraźnie, wziął głęboki oddech.

- To wszystko, co mam do powiedzenia w tej chwili. Ja przynajmniej jestem pewien, że naszemu krajowi uda się przeżyć bez szkód burzę, rozpetaną przez przewodniczącego Izby Reprezentantów i Kongres. Dziękuję państwu.

Prezydent obrócił się i zszedł z podwyższenia. Nagle, bez ostrzeżenia, z tylnych rzędów rozległ się jakiś przenikliwy głos.

- Czy jest pan pacyfistą?! - krzyknął.

W sali panowała cisza tak absolutna, że mogło się wydawać, iż echa pytania odbijają się w nieskończoność od ścian. Prezydent odwrócił się i westchnął ciężko.

- Nie odpowiem na oskarżenia przewodniczącego Izby Reprezentantów tylko dlatego, że podobało mu się rzucić jakieś oskarżenia. Nie jestem tresowanym psem i nie będę podawał łapy, żeby mi rzucono kość.

Prezydent odwrócił się błyskawicznie i nieomal wybiegł z sali. Dillon gapił się w telewizor z niedowierzaniem. Reynolds podszedł do niego i uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że Sąd Najwyższy nie zdoła nas powstrzymać - zauważył.

- Nic nas nie powstrzyma!

Adiutant admirała zerknął na zegarek.

- Zauważył pan, co naprawdę ciekawego powiedział prezydent? - spytał.

- Co takiego?

- Właśnie oznajmił całemu światu, w tym terrorystom, że wiadomo już, kim są i gdzie się ukrywają.

Dillon natychmiast pojął, jak wielkie ma to znaczenie, ale nie przerywał Reynoldsowi.

- Miło z jego strony, że ich o tym poinformował, prawda? Teraz będą już na nas czekać albo uciekną na jakąś inną wysepkę, w końcu mają w tym wprawę. Można było

jednak co najmniej spodziewać się, że prezydent nam wyświadczy podobną grzeczność i powie nam przynajmniej, czego powinniśmy oczekiwać. - Takiego Reynoldsa Jim Dillon jeszcze nie widział: cynicznego, twardego. - Bosmanie Meeham, możecie kontynuować - zwrócił się do kontrolera, który w skupieniu przysłuchiwał się ich rozmowie.

- Tak jest! - Meeham wskazał na ekran radaru. - Widzi ich pan? To ostatni lot z dzisiejszego grafiku. Potem zaczniemy przygotowywać się do ataku.

Caskey i Messer wystartowali z rufowej katapulty i natychmiast skręcili w prawo, mijając archipelag Riau, którego częścią była Bunaya. Była najgorętsza pora dnia, a wielkie słońce biło w nich przez grubą pleksiglas wiatrochronu. Lecieli po raz pierwszy od zestrzelenia i akcji ratunkowej. Caskey, jak większość dowódców dywizjonów, w całej pełni zgadzał się z „filozofią koniarzy”: jeśli spadłeś z konia, natychmiast na niego wsiadaj. Pilot, który miał wypadek lub czegoś się wystraszył, powinien lecieć jak najprędzej, nim straci zaufanie do własnego szczęścia i umiejętności. A tego zaufania, raz straconego, nie odzyskiwało się nigdy.

Wyrównali na wysokości półtora kilometra i zwolnili do pięciuset kilometrów na godzinę.

- Kolejna fascynująca misja zwiadowcza, szefie - zauważył Messer.

- Powinieneś mi podziękować za to, że wsadziłem nas do planu lotów.

- Oczywiście, szefie. - Messer udał głęboką skruchę. Włączył radar wyszukujący statki i samoloty. - Jestem czarnym niewdzięcznikiem.

- Widzisz coś?

- Jak zwykle, milion statków. I z pięćdziesiąt samolotów, większość na pułapie dziesięciu tysięcy. Prawdopodobnie pasażerskie.

- Przyjąłem. Skoro już lecimy, możemy równie dobrze przyjrzeć się paru statkom. Z pewnością widzisz, jak ustawiają się gęsiego do przejścia przez cieśninę.

Zeszli na sześćset metrów i skierowali się w stronę pierwszego większego widocznego na radarze statku.

- Naprawdę myślisz, że zaatakujemy jutro rano? - spytał Messer.

- Jasne.

- Jak możemy zaatakować, skoro prezydent wyraźnie nam tego zabronił?

- Rozumiem. Omal się o to nie pokłóciliśmy na odprawie dowódców dywizjonów.

- W prawo dziesięć.

Caskey zwolnił do czterystu kilometrów, leciał teraz równoległe do statku, któremu chcieli się przyjrzeć.

- Dlaczego musimy robić te wszystkie zwiady? Co się stało z przechwytywaniem? - burknął.

- Przechwytywaniem czego? Samolotów pasażerskich?

- Wszystkiego co lata. Od patrzenia na statki dostają choroby morskiej. Podlatują z góry od prawej.

- Przyjąłem. - Messer z uwagą przyglądał się statkowi pod nosem Tomcata.

- Masz zamiar go sfotografować?

- Jasne. Od kilku miesięcy nie wygrałem konkursu na fotografię tygodnia.

- Doskonale. No to zaczynamy.

Caskey łagodnie pochylił maszynę i zbliżył się do statku od lewej burty. Kiedy go mijali, Messer szybko wykonał trzy zdjęcia.

- Mam - zameldował. Caskey poderwał maszynę we wznoszenie z przeciążeniem trzech G. - Zaraz, chwila! - Messer obejrzał się. - Cholera jasna, czekaj!

- Na co?

Tomcat wyrównał na dwóch tysiącach metrów.

- Ten statek wygląda mi cholernie znajomo. Przelećmy nad nim jeszcze raz.

- Po co?

- Pamiętasz ich statek-bazę, który sfotografował nasz okręt podwodny? Ten, który śledzili do Bunaya?

- No i co?

- Wyglądał cholernie podobnie. Kształt kadłuba, dźwig pośrodku pokładu... - Messer szukał zdjęcia, które miał w kieszeni na udzie. - O, jest - powiedział w maskę tlenową. Tak, „Sumatran Star”. Może udało się nam trafić?

Caskey wykonał ostry skręt w lewo i wycelował nos maszyny w statek. Odkrycie Messera mocno go zainteresowało.

- Gdzie i jak daleko jest ta Bunaya?

- Jakieś sto trzydzieści kilometrów na zachód południowy-zachód stąd.

- „Los Angeles” chyba poinformowałby nas o kolejnym pojawieniu się „Sumatran Star”?

- Najprawdopodobniej tak... gdyby o nim wiedział.

- Dobra, sprawdzamy.

Tomcat wyrównał na stu pięćdziesięciu metrach, jakieś dziewięć kilometrów za statkiem. Błyskawicznie zbliżyli się na odległość kilometra. Caskey szukał nazwy i portu macierzystego na jego lekko zaokrąglonej rufie i nie mógł go znaleźć. Zwolnił.

- Lepiej zachowajmy dystans - poradził mu Messer, pamiętając o rakiecie wystrzelonej z luku „Pacific Flyera” i rakiecie przeciwlotniczej nad Bunaya.

- Jasne. - Caskey skręcił lekko w prawo, odchodząc od rufy podejrzanej jednostki.

- Nazwa i port macierzysty zamalowane. Widzę ślady farby, nie widzę za to bandery ani proporca armatora. Nieciekawie to wygląda. - Lecieli równoległe do statku w odległości niespełna kilometra.

Messer zrobił kolejne dziesięć zdjęć, a potem jeszcze raz porównał fotografię, którą miał przy sobie z doskonale widoczną jednostką.

- Albo to „Sumatran Star”, albo jej bliźniaczka - stwierdził. - Lepiej poinformujmy wszystkich o naszym znalezisku.

- Dobra. - Caskey poderwał maszynę. - Połącz się z E-2. Podaj im pozycję. Tam może być broń i żołnierze, choć z drugiej strony może też być pusty. W każdym razie warto byłoby sprawdzić. Ten statek płynie prosto na wyspę.

Dillon obił sobie kolana o ostatni próg, chyba setny, i otworzył metalowe drzwi mesy. Rozejrzał się po jej wnętrzu w poszukiwaniu kogoś znajomego. Spędził na statku jakiś czas i traktowany był niczym kongresman, dostrzegał więc subtelną hierarchię uporządkowaną w sposób najoczywistszy z możliwych - przez rangę - ale nie tylko. Na lotniskowcu działały i inne siły, z których istnienia dopiero zaczął zdawać sobie sprawę: piloci kontra marynarze, myśliwce przeciw samolotom szturmowym, Marynarka przeciw piechocie morskiej. Początkowo brał za wrogość coś, co było w istocie rodzinnymi sporami i rywalizacją. On nie należał do rodziny.

Nie pojmował, dlaczego jeszcze nie śpi - tłumaczył to sobie podnieceniem. Niedługo miał się rozpocząć atak, do którego przecież doprowadził on. Jako jednostka, a nie rząd czy komitet. Jedna osoba, która studiując konstytucję w małym gabinecie odkryła prawo, o którym wszyscy zapomnieli. Nie podejrzewał, że z jego pomysłu wyniknie coś aż tak wielkiego, wcale mu to jednak nie przeszkadzało. Nie spodziewał się, że wbije klin między prezydenta i Kongres, żałował, że do tego doszło, ale decydującego wyboru dokonał przecież prezydent Manchester, nie on. Gdyby Manchester rozpoznał potęgę listu kaperskiego, podpisałby go i w ten sposób przyłożyłby się do rozprawy z terrorystami.

- Późno kładzie się pan spać - stwierdziła Beth Griffith, widząc pogrążonego w myślach Dillona.

- Jestem trochę zdenerwowany. Czuję się jak wyjęta z wody ryba.

- Co pan woli?

- Bo ja wiem... chyba, by operacja była jawna i zaaprobowana przez prezydenta...

- Nie, chodzi mi o to, czy woli pan lody, czy hamburgera.

Dillon zawstydział się.

- Lody.

- Wie pan, gdzie jest nasz autopies, prawda?

- Maszyna do lodów? Oczywiście.

Wziął lody i usiadł przy długim metalowym stole. W mesie było paru lotników i mechaników. Nie spodziewał się ich tylu o tej porze, sporo po północy. Czuł zapach smażących się na grillu za załamaniem ściany cheeseburgerów. Ktoś przewidział, że tej nocy, podczas której nie odbywały się loty, „klientów” będzie znacznie więcej.

Niektórzy oficerowie rozmawiali cicho i żartowali, większość jednak zachowywała się wyjątkowo spokojnie.

- Sporo tu osób jak na pierwszą w nocy - zauważył Dillon.

- Więcej niż zazwyczaj.

- A pani dlaczego nie śpi?

- Próbuję uzupełnić jakoś dane wywiadowcze, które przekażę rano, przed rozpoczęciem misji.

- Skąd spodziewa się pani nowych informacji wywiadowczych, skoro mamy odciętą łączność?

- Mamy plan alternatywny i niedługo wcielimy go w życie.

- Jaki plan?

- Wkrótce wypuścimy Predatora.

- A co to takiego? Ten stwór z filmu ze Schwarzeneggerem? Racja, on poradzi sobie z terrorystami bez najmniejszego problemu. - Jim Dillon stwierdził nagle, że doskonale czuje się w obecności komandor, wręcz lepiej niż powinien. Była od niego o trzy czy cztery lata starsza, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Pomyślał o Molly i poczuł zaskakujące wyrzuty sumienia. - Co to takiego ten Predator?

- Samolot bezzałogowy. O bardzo wielkich możliwościach. Mamy tylko jeden problem: nigdy nie startował z lotniskowca. Sądziłam, że to dobry pomysł i powiedziałam, że powinniśmy spróbować. Admirał się ze mną zgodził i postanowił, że ja będę za wszystko odpowiedzialna. Próbowałam przekonać do tego pomysłu Armię, Predator jest ich własnością, ale chyba nie bardzo mi się udało. Chłopcy z Armii czują się niczym jeńcy wojenni na lotniskowcu, którego załoga oszalała. No, zobaczymy. Predator wkrótce startuje. Jeśli start się uda, w krótkim czasie będziemy mieli bardzo wiele do zrobienia. Jeśli spadnie do morza, będę miała przyjemność odwiedzić admirala w jego kabinie, w butach do stepowania, i wytłumaczyć mu, co się stało.

- Dlaczego „w butach do stepowania”?

- To takie powiedzenie. - Beth Griffith spojrzała mu w oczy. - Oznacza, że tkwisz po uszy w kłopotach i lepiej jak najszybciej znajdź sposób, by rozbawić swego dowódcę, bo w tej chwili jest w bardzo złym humorze.

- Zabawne. Mogę panią o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Ile ma pani lat?

- Po co panu ta wiadomość?

- Mamy z przyjacielem taką teorię, że naszym krajem rządzą ludzie około albo poniżej trzydziestki, którzy wpadają na dobre pomysły, wymyślają strategię, a potem przekazują wszystko starszkom.

Komandor roześmiała się.

- No cóż, nie chciałabym pana rozczarować, ale mam aż trzydzieści pięć lat.

- Naprawdę? Nie dałbym pani więcej niż trzydzieści.

Dillon odwrócił wzrok od Beth, obawiając się, że pani komandor może wyczytać zbyt wiele w jego oczach. Z wysiłkiem wrócił myślami do rzeczywistości.

- Wydaje się pani spokojna - powiedział. - Oczekiwałem, że wszyscy będą raczej zdenerwowani.

- Wcale nie jestem spokojna. Po prostu bardzo dobrze udaję, że jestem spokojna.

- Przydatna umiejętność.

- Jest pan gotów?

- Na jutro? Teraz już niewiele mogę zrobić.

- No, nie byłabym taka pewna. Znalazł się pan w dziwnej sytuacji, jak na polityka. Obejrzy pan sobie akcję wojskową z pierwszego rzędu. A jeśli Predator nie spadnie, obejrzy ją pan sobie w czasie rzeczywistym.

- Jak to „w czasie rzeczywistym”?

- Na żywo. Predator prześle nam obraz telewizyjny.

Dillon próbował to sobie wyobrazić i nagle przypomniał sobie, co powiedziała wcześniej.

- Tak naprawdę nie jestem politykiem... - zaczął.

- Ależ oczywiście, że tak! - Beth Griffith roześmiała się. - Jeśli nie politykiem, to kim?

- Po prostu urzędnikiem.

- Chodzi panu o to, że nie jest pan wybranym politykiem?

- Może...

- Więc ma pan zamiar zrobić to, co robią wszyscy politycy po podjęciu każdej decyzji? Usiąść i oglądać jej skutki w telewizji?

Dillon nie miał pewności, czy dziewczyna jest na niego autentycznie zła, czy tylko kpi.

- Dlaczego wyżywa się pani na politykach?

- Nie powiedziałabym, że się na nich wyżywam. Przecież mówię prawdę. Politycy wysyłają ludzi na wojnę, ale sami nie walczą. Wysyłają nas w rejsy trwające pół roku,

ale sami nie spędzają na okręcie pół roku. Wpadają na dzień, ale nie na kilka miesięcy.

Dillon poczuł, że się czerwieni.

- Wcale nie wiem, czy tak to właśnie wygląda - próbował się bronić. - Mają różne obowiązki. No i oczywiście udają się czasami za granicę.

Beth Griffith zachichotała tylko i pokręciła głową.

- Tak, oczywiście - przyznała. Zerknęła na zegarek. - No cóż, muszę lecieć. I niech pan nie przejmuj się tak bardzo tym pańskim liścikiem kaperskim. Teraz wszystko jest w naszych rękach. - Spojrzała na pogrążonego w myślach Dillona. - Predator startuje za piętnaście minut. Chce pan przyjść na pokład lotniczy i przyjrzeć się startowi?

- Przecież jest ciemno.

Oczami wyobraźni Dillon widział samego siebie, jak spada z pokładu i ląduje w czarnym morzu, w którym nikt go już nigdy nie znajdzie.

- Nie ma pan nawet pojęcia, jak jest ciemno. Będzie pan musiał włożyć białą nadmuchiwaną kamizelkę ratunkową, hełm i gogle. Ale proszę się nie obawiać, będę pana pilnowała. To co, decyduje się pan?

- Jasne! - potwierdził radośnie Dillon.

Dwa ciemne RHIB mknęły po czarnych falach Morza Jawajskiego, spory kawałek na południe od Bunaya. W obu znajdowali się SEAL. Armstrong z uwagą przyglądał się sternikowi wpatrzonemu w odbiornik GPS, kierującemu łódź w stronę punktu spotkania. Nadrobili sporo czasu. Rozejrzał się dookoła, nie dostrzegł jednak nic oprócz fal oświetlonych słabym blaskiem księżyca, przesłanianego od czasu do czasu cienką warstwą chmur.

Sternik zmniejszył nagle obroty silników i łagodnie skręcił w lewo.

- Jesteśmy na miejscu, panie poruczniku - zameldował. - Piętnaście minut przed czasem.

- Masz dobry odczyt na GPS?

- Tak jest, panie poruczniku.

Porucznik porównał pozycję na własnym odbiorniku GPS. Zgadzały się idealnie.

- Wygląda nieźle - ocenił. - Dobra, trzymaj łódź w łagodnym skręcie, żeby nas nie przewróciło.

- Tak jest.

Druga RHIB płynęła piętnaście metrów za nimi. Wykonywała właśnie zgrabny skręt na łagodnych falach szklatego morza.

Armstrong odetchnął głęboko. Jaka piękna noc, pomyślał. W tej samej chwili dostrzegł coś dokładnie przed ich dziobem.

- Peryskop - powiedział.

- Tak jest, panie poruczniku. Zauważyłem.

Sternik wyszedł ze skrętu i zwolnił jeszcze bardziej.

Peryskop powoli przesunął się w ich kierunku. Armstrong widział jego soczewki i szklaną kopułkę. Czuł, że ktoś przygląda się im z odległości niespełna trzydziestu metrów. Nagle peryskop znikł pod powierzchnią i w kilka sekund później pojawił się kiosk okrętu podwodnego. Z głębin tuż przed nim wynurzał się USS „Los Angeles”.

Spojrzał na stojącego obok niego Lee.

- Mógłby nawet nas przestraszyć, gdybyśmy się go nie spodziewali - zauważył.

- Albo gdyby nie był nasz - odparł bosman.

Obserwowali wynurzający się okręt podwodny. Obaj sternicy zwiększyli obroty silników i ich łodzie zbliżyły się do kiosku. Na jego wierzchołku pojawili się czterej marynarze w kamizelkach ratunkowych. Zeszli na pokład i stanęli na dziobie. Złapali

rzucane im liny i przyciągnęły łodzie. Kapitan przyglądał im się ponuro z kiosku, nieszczęśliwy jak zawsze, kiedy musiał wynurzyć atomowy okręt podwodny z jakiegokolwiek powodu. Spojrzał na bosmanmata.

- Pośpieszcie się - burknął.

- Tak jest, panie kapitanie. - Bosmanmat nawet nie odwrócił głowy. - No, panowie, ruszać się - pogonił wchodzących po drabinie na kiosk SEAL.

Gdy tylko znaleźli się na miejscu, odrzucił liny i sam zszedł pod pokład.

- Zanurzenie! - rzucił kapitan, schodząc z kiosku.

„Los Angeles” zanurzył się natychmiast i skierował w stronę Bunaya.

Po kilku zaledwie godzinach „Los Angeles” zawisł pod powierzchnią w bezpośredniej bliskości wyspy. Powoli opuścił się na piaszczyste dno w miejscu, gdzie nie groził mu przechył ani prądy. W ciemnych wodach Morza Jawajskiego pojawiły się nagle bąbelki powietrza - to otworzył się luk śluzy. Czterech SEAL w kombinezonach nurków napełniło boję, która natychmiast ruszyła ku odległej o dwadzieścia metrów powierzchni, ciągnąc za sobą linę. Dwaj nurkowie podążyli za nią, wynurzając się szybko dzięki torbom, które stopniowo napełniały się powietrzem.

Za pierwszą dwójką ruszyli jeszcze czterej, z torbami zawierającymi sprzęt: broń maszynową, karabin snajperski, materiały wybuchowe i MGUR¹⁸. Armstrong i Lee pozostali na pokładzie „Los Angeles”, obserwując SEAL wypływających po kolei na powierzchnię i gromadzących się przy boi. Oczekali, aż wypłynęli wszyscy zabierając cały sprzęt, pokazali sobie podniesione kciuki i podążyli za nimi. Rozdzielili sprzęt przy boi, pluton podzielił się na dwójki połączone linami i popłynął w kierunku Bunaya. Armstrong cały czas kontrolował ich pozycje za pomocą MUGR. Urządzenie holowało na powierzchni antenę, odbierającą informacje z satelity nawigacyjnego.

Doskonale zdając sobie sprawę z tego, że najważniejszym ich zadaniem było opracowanie mapy brzegu według własnej pozycji, Lee operował CLAMS, który bardzo niedawno znalazł się w wyposażeniu plutonu. Wysyłając akustyczne sygnały i odczytując ich odbicia, urządzenie to tworzyło komputerowo generowany wykres dna, coś w rodzaju mapy samochodowej, dzięki której piechota morska wiedziała, gdzie ma wylądować. Bez niej lądowanie marines mogłoby zmienić się w klęskę: wyrzucenie na brzeg lub utknięcie na rafach koralowych, jak to miało miejsce na Tarawa¹⁹. SEAL nie mieli zamiaru do tego dopuścić.

Płynęli w stronę brzegu pod wodą, w absolutnej ciszy. Zajęli ustalone na odprawie pozycje w dwustumetrowej szerokości korytarzu do wyjścia na brzeg. SEAL zaopatrzeni w CLAMS jako pierwsi przepłynęli go zgodnie z ustalonym na odprawie wzorem od głębokości metr osiemdziesiąt do samego brzegu, szukając przeszkód, mogących utrudnić lądowanie płaskodennych łodzi desantowych, którymi za kilka godzin przyplłynąć mieli marines.

Po godzinie ciężkiej pracy spotkali się w środkowym punkcie korytarza. Armstrong wypili ustnik i podniósł maskę.

- Znaleźliście coś? - spytał. Lee skinął głową.

- Rafa koralowa, panie poruczniku, jakieś pięćdziesiąt metrów od lewej granicy.

- Może nam przeszkodzić?

Armstrong oddychał nieco ciężiej niżby chciał.

- Tak, panie poruczniku, musimy ją wysadzić.

- Czterech ludzi sobie z tym poradzi?

¹⁸ *Miniature Underwater GPS Receiver - miniaturowe podwodne odbiorniki nawigacji satelitarnej [przyp. red.].*

¹⁹ *Wyspa w atolu Kiribati, na której lądowała piechota morska w listopadzie 1943 roku [przyp. red.].*

- Tak jest, panie poruczniku.
- Weź jeszcze dwóch, załóżcie ładunki i ustawcie zapalniki.
- Tak jest.

Lee skinął głową na dwóch komandosów, którzy natychmiast popłynęli za nim w stronę rafy. Reszta SEAL leżała w płytkiej wodzie, uważnie obserwując plażę w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów życia. W dziesięć minut później powrócił Lee.

- Wszystko gotowe, panie poruczniku - zameldował.

SEAL przesunęli się w stronę plaży i zamarli. Armstrong podciągnął się wyżej. Zdjął maskę i założył na oko pojedynczy okular noktowizyjny. Włączył go i trzykrotnie przejrzał brzeg. Zasygnalizował „brzeg czysty”. Czterech komandosów zdjęło płetwy. Powoli wyczołgali się na plażę, szukając najmniejszych choćby śladów przeciwników.

Weszli w dżunglę i zdjęli kombinezony płetwonurków. Armstrong spojrzął po kolei na swych ludzi. Odpowiadali na jego spojrzenie skinieniem głowy. Podszedł do Lee, który podłączył wyjętego z wodoodpornej torby laptopa do CLAMS.

- Załadowałeś informację? - spytał.

- Tak jest, panie poruczniku.

- To przekaz je teraz na „Wasp”.

- Załatwione, panie poruczniku. - Bosman podłączył radio satelitarne, dzięki któremu mógł przekazać odpowiednie informacje.

- Waż - rozkazał Armstrong - razem z Rodrigezem zajmiecie pozycje snajperskie pięćset metrów od bunkrów. Macie zamiary na punkty ewakuacji?

- Tak jest, panie poruczniku.

- Jeśli was wykryją, kierujcie się jak najszybciej do punktu Echo i zażądajcie natychmiastowej ewakuacji.

- Jasne.

Waż nie miał jednak najmniejszego zamiaru dać się złapać.

- Spotkanie na pozycji snajperskiej o godzinie szóstej zero zero. - Spojrzął na Lee.

- No i jak? - spytał. - Udało się?

Lee składał antenę radarową.

- Koniec transmisji, panie poruczniku - powiedział.

- No to do roboty.

Armstrong poprawił gogle i ruszył w kierunku dżungli.

Oficer startowy odsunął się o krok od grupy skupionej wokół maszyny. Szaleńcza aktywność na pokładzie uspokajała się powoli. Długi, ciemny Predator podłączony był do katapulty numer dwa. Oficer startowy od początku sprzeciwiał się temu pomysłowi. Mechanicy pracowali na pokładzie, szykując samoloty do porannego ataku. Wywołane tym faktem podniecenie zwiększała tajemnicza dla większości załogi obecność Predatora.

Żołnierze Armii, odpowiedzialni za dostarczenie Predatora do Tajlandii na zbliżające się manewry „Złota Kobra”, wpadli w szal. Nie chcieli mieć nic wspólnego ze startem swej zabawki z lotniskowca, zwłaszcza z wystrzeleniem jej z katapulty. Przecież czegoś takiego nigdy nie próbowano! Byli pewni, że Marynarka zepsuje ich zabawkę, a odpowiedzialnością za to obciąży oczywiście ich. Kapitan dowodzący zespołem Armii uznał interwencję za swój obowiązek. Interweniował, protestując u Beth Griffith.

Beth nie zważała na jego protesty, ponieważ grupa bojowa nie miała oczu, nie miała żadnego sposobu, by monitorować to, co dzieje się na wyspie, by wykryć pojawiające się zagrożenia. Nie dysponowała satelitami, nie dysponowała zwykłymi źródłami danych wywiadowczych, nie miała komunikacji ze światem wewnętrznym. Zadbał o to prezydent.

Beth stała za deflektorem płomieni silników odrzutowych. Miała na sobie białą kamizelkę ratunkową. Obserwowała to, co działo się wokół katapulty. Nieczęsto pojawiała się na pokładzie startowym i niezbyt dobrze się na nim czuła. Zwłaszcza nocą. Ludzie, którzy ciągle tu pracowali doskonale wiedzieli, jakie grożą im niebezpieczeństwa. Ci, którzy nie przebywali tu często, nie wiedzieli. Cały czas rozglądała się dookoła w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby ją zmiążyć albo wessać. Dillon trzymał się blisko niej i czuł się jeszcze gorzej.

Jeden z marynarzy odsunął się szybko od Predatora. Potrząsał ręką, oparzoną od dotknięcia gorącego silnika, po czym podbiegł ku środkowi pokładu, pokazując uniesiony kciuk.

Oficer startowy upewnił się, że dziób jest czysty i spojrzął na Predatora, którego śmigło obracało się w rytm pełnej mocy silnika, napinając linę. Miała ona puścić w dokładnie przewidzianym momencie, by umożliwić mu start z pokładu. Ciemny samolot bezzałogowy czekał na swą pierwszą misję bojową. Dzięki nieproporcjonalnie wielkiej części przedniej sprawiał wrażenie statku kosmicznego UFO.

Oficer katapulty pochylił się, opierając dłoń na pokładzie. Podoficer na galerijce sprawdził, czy droga jest wolna i wcisnął przycisk startowy.

Predator został wypchnięty z katapulty, lina puściła we właściwym momencie i samolot bezzałogowy ruszył w kierunku dziobu. Beth wstrzymała oddech. Niewielki samolocik runął z pokładu startowego ku morzu. Nagle poderwał nos, zaczął nabierać wysokości, ale zbyt szybko. Omal nie przeciągnął, lecz komputerowi pokładowemu udało się wyrównać. W nocnej ciemności ruszył w kierunku Bunaya.

Dillon przetarł oczy. Przespał pół godziny, mniej więcej tyle samo co oficerowie, w których towarzystwie się znajdował. Siedział w CVIC, przysłuchując się porannej odprawie, nadawanej na żywo przez wewnętrzny system telewizyjny dla skrzydła lotniczego. Stał obok kamerzysty, starając się nie wchodzić nikomu w drogę.

Zapaliło się światło, oświetlając salę odpraw jaskrawym blaskiem. Kamerzysta odczekał chwilę i skierował kamerę na oficera wywiadu skrzydła lotniczego. Pinkie stał za podwyższeniem, mając za sobą mapę. Sprawiał wrażenie pełnego werwy, mimo iż była godzina druga nad ranem.

- Dzień dobry, Bunaya - powiedział, doskonale imitując Robina Williamsa. - Oczywiście, wcale nie mówię do nich. Mówię do was, ale właśnie tam się udajecie. Ci z was, którzy nie za dobrze wiedzą, co to jest i gdzie się znajduje, mam dobrą nowinę: nic nie różni was od reszty świata. Nikt nigdy nie słyszał o tej wyspie, bowiem jest niezamieszkała i najzupełniej nieważna. Jest jeszcze jeden powód - a mianowicie to jedna z miliona wysepek, które składają się na Indonezję.

- Zawsze jest taki wesoły? - spytał Dillon stojącego obok niego Reynoldsa.

- Jasne. Z tego słynie. Prowadzi najlepsze odprawy w skrzydle, przekazuje najlepiej informacje i wszyscy je zapamiętują ze względu na formę, w jakiej zostały przekazane.

- Dla mnie brzmi to tak, jakby żartował.

- Niech pan popatrzy mu w oczy. Nie żartuje.

- Mamy oto odprawę przed Zdarzeniem Numer Jeden. W ramach niego mamy zamiar nakopać po dupach facetów, którzy zabili Amerykanów strzałami w głowę, zatopili statek i wykończyli sapersa z SEAL. Jak wiecie, w Waszyngtonie uważają nas w tej chwili za zbuntowaną grupę bojową. Nie wiem jak wy, panowie, ale mnie całkiem się to podoba. No i jeszcze jedno: może nie wszyscy zauważyli, że mamy nową banderę grupy. - Usunął arkusz papieru pakowego ze ściany obok tablicy ogłoszeń. Obrócił go, pokazując ręcznie wymalowaną banderę w czerwone i niebieskie pasy. - Dziękuję matowi Alvarezowi za przypomnienie tej starej bandery bojowej Marynarki z

czasów rewolucji. Dla przypomnienia tym z was, którzy kończyli szkołę w ciągu ostatnich dziesięciu lat: rewolucja była wówczas, kiedy walczyliśmy z Anglikami o niepodległość i im nakopaliśmy po tyłkach. Ta bandera mówi o tym, co czuliśmy wówczas i, jak sądzę - przypiął ją do tablicy za plecami - o tym, co czujemy dziś. Myślałem nawet, że jako zbuntowana grupa bojowa powinniśmy popłynąć jeszcze w kilka miejsc, ale one będą niestety musiały poczekać. Zdarzenie Numer Jeden odbędzie się jak następuje: dwa F-14B z dywizjonu VF-143 odbędą lot nad grupą desantową, która znajduje się w tej chwili - przerwał wskazując mapę - jakieś pięćdziesiąt kilometrów od brzegu. Pierwszy start godzina piąta zero zero. Wystartujecie przed godziną „L”. Dwa F/A-18C z VH-131 posłużą za bezpośrednią osłonę lotniczą. Będą miały pięć stufuntówek. Dwa inne F/A-18C z VF-136 polecą z HARM, a pozostałe dwa FV/A-18Sz VH-131 walną SLAM-ami w bunkry, które zlokalizujemy. ES-3A z VQ-6 krążyć będzie na wschód od wyspy, a EA-6B z VAQ-140...

Dillon przestał słuchać. Nagle zdał sobie sprawę, że nie pojmuje nic, a męczyło go już ciągłe prośzenie adiutanta o tłumaczenie. Spojrzał na kamerę, wycelowaną w pokład startowy. Oświetlony był on jak każdej nocy czerwonym światłem, mechanicy i specjaliści od uzbrojenia pracowali przy samolotach, czyniąc ostatnie poprawki przed startem. W upiornym świetle odblaskowe paski na ich kamizelkach były wyraźnie widoczne. Widział, jak marynarze biegną tu i tam, wchodzą i wychodzą z samolotów, przemykają pod kadłubami, sprawdzając mocowanie rakiet i bomb.

- Nie sądzi pan, że przed rozpoczęciem ataku powinniśmy jeszcze raz połączyć się z Waszyngtonem? - spytał Reynoldsa. - Mógłbym spróbować zadzwonić z mojego telefonu.

Reynolds tylko pokręcił głową.

- I tak szybko się dowiedzą.

Dillon zadrżał, widząc jak nagle nieruchomieje jego twarz.

- Poruczniku - powiedział.

- Tak? - spytał Reynolds.

- Muszę zobaczyć się z admirałem.

- Nie wiem, czy to jest właściwy moment - odparł niepewnie Reynolds.

- Muszę go zobaczyć.

- Czy wolno mi spytać dlaczego?

- Muszę się dostać na ląd.

Adiutant z trudem powstrzymał uśmiech.

- Jak mi się zdaje, admirał poinformował już pana, że DNO został uszkodzony. Nie jesteśmy w stanie odesłać pana z lotniskowca aż do jutra wieczorem, być może nawet do pojutra. Jeśli nie chce pan obserwować, co robimy...

- Nie, to nie tak Chcę wyjść na ląd z żołnierzami.

- Jak to?

- Chcę się przyłączyć do marines.

Dillon i Reynolds stali przed admirałem Billingssem w centrum dowodzenia. Admirał był najwyraźniej bardzo zajęty przygotowaniem do ataku. Dillon miał wręcz ochotę odwrócić się i uciec.

- Panie admirale... - powiedział Reynolds.

- Nie teraz.

Billings podniósł rękę. Rozmawiał z kimś przez telefon. Reynolds gestem powstrzymał Dillona. Stali obaj w milczeniu, czując się niezręcznie. Billings wreszcie odłożył słuchawkę.

- O co chodzi? - spytał.

- Bardzo pana przepraszam, panie admirale, ale pan Dillon chciałby pana o coś zapytać.

Wydać było wyraźnie, że admirał nie jest w najlepszym humorze.

- Tak?

- Bardzo przepraszam, że panu przeszkadzam, panie admirale - wyjąkał Dillon - ale chciałbym uzyskać od pana pozwolenie na osobiste uczestnictwo w ataku piechoty morskiej.

Ich rozmowie, mniej lub bardziej dyskretnie, przysługiwali się wszyscy obecni i teraz jak jeden mąż wszyscy spojrzeli na niego. Admirał wstał z fotela i usiadł na krawędzi biurka. Patrzył spod oka, jakby miał do czynienia z szaleńcem.

- Co pan powiedział?

- Pozwalacie przecież dziennikarzom uczestniczyć w waszych akcjach bojowych, prawda?

- Czasami, owszem.

- Fotoreporterom też?

- Czasami.

- Nie chcę być tylko kolejnym politykiem, oglądającym skutki swych działań w telewizji.

Billings przeszył go wściekłym spojrzeniem.

- Ma pan pojęcie, o co mnie pan prosi? - spytał.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że narażam się na niebezpieczeństwo, jestem jednak skłonny zaakceptować je i...

- To nie są jakieś cholerne ćwiczenia. Nie bawimy się w organizowanie demonstracji na użytek polityków.

Dillon przymknął oczy; nie był w stanie znieść przenikliwego wzroku admirała.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, panie admirale. Nie traktuję waszego ataku jak ćwiczeń. Proszę tylko o pozwolenie na wzięcie w nim udziału. Proszę pana o przysługę.

- Przysługę? Asystent przewodniczącego Izby Reprezentantów do specjalnych poruczeń ma wziąć udział w ataku piechoty morskiej i dać sobie odstrzelić tyłek? Panie Dillon, tam w powietrzu latać będą prawdziwe kule. Kule zabijające ludzi. Dziś rano nasi żołnierze będą ginąć! To mogę panu obiecać. Nie chcę, żeby jedną z ofiar był pan.

- Ja również wcale o tym nie marzę, panie admirale, ale jeśli dołączę do marines i będę się trzymał z tyłu, powinienem uniknąć niebezpieczeństwa.

- Panie Dillon, podczas desantu nie ma czegoś takiego jak „tyły”. - Admirał spojrział na swego adiutanta i pokręcił głową. - To ty podsunąłeś mu ten pomysł?

- Nie, panie admirale. Powiedział mi o co chodzi, a ja uznałem, że decyzja należy do pana.

Billings stał z rękami opartymi na biodrach, rozważając skutki udzielenia Dillonowi zezwolenia na wzięcie udziału w akcji... i skutki odmowy udzielenia zezwolenia.

- Oficer operacyjny! - krzyknął w końcu.

- Tak jest, panie admirale?

- Czy na „Waspa” latają jakieś helikoptery?

- Nie, panie admirale. Musielibyśmy załatwić lot specjalny.

- Da się to zrobić?

- No cóż, moim zdaniem marines uwijają się jak jednoręki tapeciarsz, ale przypuszczam, że gdyby musieli, daliby radę przyjąć i helikopter.

- Podtrzymuje pan swą decyzję, panie Dillon?

- Tak jest, panie admirale, podtrzymuję.

- Zdaje pan sobie sprawę, że może pan zginąć?
- Oczywiście, panie admirale.

Billings spojrzał na oficera operacyjnego.

- Proszę zorganizować transport i zawiadomić pułkownika Tuckera, że pan Dillon jest już w drodze i dołączy do jego oddziału w charakterze obserwatora.

Admirał Jack Blazer wpatrywał się w trzy wielkie ekrany identyczne z tymi, w jakie w tej samej chwili patrzył admirał Billings, tyle że miał dostęp do pełnych informacji. Blazer był krępej budowy, ale nie gruby. Mówił basem i był zazwyczaj szalenie energiczny, teraz sprawiał jednak wrażenie przygaszonego. Jakiś czas temu martwił się, że nie doścignie grupy „Constitution” na czas, teraz martwił się tym, że może ją doścignąć.

- Ile mamy czasu do wschodu słońca? - rzucił w powietrze.
- Trzy i pół godziny - odparł jeden z marynarzy.

Blazer sprawdził godzinę na wiszącym na ścianie okrągłym zegarze.

- Oficer operacyjny!
- Tak, panie admirale?

Komandor Hugh Morrison podniósł głowę znad mapy.

Admirał wskazał ekrany gestem głowy.

- Proszę przyjrzeć się tej formacji.

Morrison dokładnie przyjrzał się elektronicznym symbolom. Niebieskie półokręgi oznaczały zaprzyjaźnione jednostki nawodne.

- No i proszę... A mówił dalej Blazer. - Amfibie odłączyły od grupy. Zajęły pozycję. Ruszają o świcie.

Zerknął na oficera operacyjnego, sprawdzając, czy jest on tego samego zdania.

Morrison spojrzał najpierw na monitory, a potem na szefa.

- Zgadzam się, panie admirale. Tak to właśnie wygląda.
- I nadal są za daleko, by F-18 dotarły do nich przed świtem?
- Dolecieć może by i mogły, ale nie wrócą. Musiałyby uzupełnić paliwo. Możemy wysłać S-3 z...

- Nie, tego się nie da zrobić.

Admirał Blazer przyglądał się symbolowi przedstawiającemu grupę bojową USS „Harry S. Truman”, która płynęła z prędkością bojową z Filipin, gdzie otrzymała rozkaz prezydenta. Nakazano jej „przechwycić” grupę bojową USS „Constitution”. Poprosił o wyjaśnienie rozkazu, ale żadnego wyjaśnienia się nie doczekał. Przechwycenie mogłoby się nawet udać, ale co potem?

- Nadal mamy F-14 w stanie gotowości?
 - Tak jest, panie kapitanie.
 - Wszystkie mają dodatkowe zbiorniki?
 - Tak jest.
 - Jeśli wyślemy te F-14 teraz i polecą w kierunku „Constitution” z prędkością bojową, czy zdążymy wysłać im na spotkanie tankowiec, żeby nie wpadli do morza?
- Morrison przyjrzał się symbolom. Oszacował odległość na podstawie południków.
- Ryzykowane to będzie, ale chyba tak. W najgorszym razie, jeśli zabraknie im paliwa, zawsze mogą przecież lądować na „Constitution”.
 - Nie, nie mogą.

Blazer pokręcił głową. Myślał o swym przyjacielu z jednej grupy w Akademii Marynarki, Rayu Billingsie, jednym z jego najlepszych przyjaciół. Kariery układały się im podobnie: latali w tym samym dywizjonie myśliwskim, stacjonowali na tych samych lotniskowcach, zakochali się w tej samej dziewczynie. Szanował Raya jak nikogo na świecie. Otrzymał jednak rozkazy i musiał je wypełnić.

Uniósł głowę na moment, a potem spojrzął na Morrisona.

- Niech natychmiast startują F-14. Przygotujcie do startu drugi klucz F-14. Skierujcie je na „Constitution”.

- Tak jest, panie admirale.

- A kiedy doleczą nad cel, mają tylko dokonać przechwycenia. Nie wolno im interweniować. Jeśli nie otrzymamy rozkazu, nie będziemy przecież ingerować w nie swoją operację wojskową, prawda?

28.

Dillona wyprowadzono z mostku lotniskowca do czekającego nań helikoptera SH-60F z dywizjonu HS-5. Ubrano go w białą kamizelkę ratunkową oraz hełm identyczny z tym, jaki miał na głowie podczas lotu DNO. Na pokładzie startowym nadal było ciemno jak w piekle. Dwóch ludzi wzięło go pod ręce i szybkim krokiem poprowadziło do helikoptera. Poczul, że towarzyszący mu ludzie unoszą go lekko i znalazł się w ładowni helikoptera.

Gdy tylko usiadł, skrepowany skomplikowanymi, przytrzymującymi całe ciało pasami, pięć łopat wirnika nośnego natychmiast zaczęło się kręcić. Podszedł do niego jakiś podoficer piechoty morskiej, sprawdził mu hełm i jego zapięcie pod brodą, kamizelkę ratunkową, ładunki dwutlenku węgla do kamizelki, pasy naramienne i pas brzuszny, spojrzął mu w oczy, uśmiechnął się i pokazał uniesiony w górę kciuk. Dillon bardzo chciał odpowiedzieć mu podobnym gestem, nie był jednak w stanie unieść dłoni; zamarł w siedzeniu i czekał, co będzie. W chwilę później schował głowę w ramiona - helikopter uniósł się z pokładu startowego, przesunął nad czarne morze i zaczął oddalać się od lotniskowca. Czerwone światła pozostały daleko w tyle. Dillon zdołał przełknąć przez zaciśnięte gardło. Nie miał tu do dyspozycji lampki do czytania oraz regulowanej wentylacji, nie miał przycisku, którym mógłby wezwać stewardesę. Zapomniał sprawdzić, jaka odległość dzieli „Wasp” od „Constitution”, nie wiedział więc, jak długo może potrwać lot. Po raz ostatni odwiedził toaletę jeszcze przed rozmową z Beth Griffith i nagle poczul straszny strach, że zmoczy żalosse, do złudzenia przypominające piżamę spodnie kombinezonu. I te spodnie wydały mu się nagle krótsze. Zawinęły się pod pas brzuszny i uwierały go w kroku, zaś na odsłoniętych łydkach czuł podmuch powietrza. Zamknął oczy i usilnie próbował nie czuć wibracji. Miał tylko rozpaczliwą nadzieję, że podjął właściwą decyzję i jego matka nie otrzyma listu, w podniosłych słowach opisującego głupotę syna.

Nagle, bez ostrzeżenia, helikopter zatrząsł się i gwałtownie poderwał nos. Katastrofa! - przeraził się Dillon. Założył, że na pokładzie helikoptera obowiązują te same zasady co na pokładzie DNO: kamizelkę nadmucha się po ucieczce z maszyny. Oczami widział samego siebie rozpaczliwie wdychającego powietrze, utrzymujące się cudem w jakimś zakątku osuwającego się w głąbiny helikoptera.

W tym momencie dostrzegł czerwony blask i maszyna osiadła na pokładzie „Wasp”. Odetchnął z ulgą, czując uginające się lekko podwozie i słysząc coraz wolniejsze „klap, klap” wirnika. W ładowni pojawili się dwaj marines, odpięli mu pasy, złapali go pod pachy, podprowadzili do drzwi, unieśli i postawili na pokładzie. Następnie szybko poprowadzili gościa w kierunku nadbudówki. Ktoś otworzył drzwi, a pomocne dłonie przeniosły go przez próg. Natychmiast potem zamknięto drzwi, opuszczając dużą rączkę.

Ściągnięto z niego kamizelkę i gestem pokazano mu, że może zdjąć hełm, Dillon zdjął go więc i wręczył stojącemu obok marynarzowi.

Mężczyźni, którzy przynieśli go z helikoptera mieli na sobie mundury polowe w zielone i brązowe plamy. Koszule o wielkich kieszeniach zwisały im na pasy spodni, rękawy podwinęli powyżej łokci. Ostrzyżeni byli na centymetrowego jeża, twarze mieli poważne.

- Dzień dobry, panie Dillon - powiedział jeden z nich. - Jestem kapral Luther, a to kapral Gordon. Witamy na pokładzie „Wasp”.

- Dziękuję...

- Rozkazano nam bezzwłocznie zaprowadzić pana do pułkownika Tuckera. Proszę iść za nami.

Jeden z żołnierzy otwierał pochód, a drugi go zamykał. Zeszli po drabince na niższy pokład, skrzyżowali w prawo i ruszyli korytarzem.

Luther otworzył szare drzwi i gestem zaprosił Dillona do wejścia. Wraz z Gordonem wszedł do środka za nim. Donośnym głosem dokonał prezentacji.

- Panie pułkowniku, to pan Dillon. Panie Dillon, to pułkownik Tucker.

Jim Dillon podszedł do siedzącego u szczytu stołu pułkownika z wyciągniętą ręką. Przy stole zasiadało jeszcze ośmiu lub dziesięciu mężczyzn w polowych mundurach. Tucker spojrzał mu w oczy.

- Witamy na pokładzie „Wasp”, panie Dillon - powiedział. - Muszę przyznać, że wcale nie jestem rad z tego, iż pana widzę.

Dillon próbował ukryć zaskoczenie i niepokój.

- Rozumiem pana troskę, pułkowniku, ale będę się starał nie wchodzić w drogę.

- Nie obchodzą mnie pańskie intencje, lecz wyłącznie bezpieczeństwo pańskiej osoby.

- Jestem gotów podjąć ryzyko.

Dillon patrzył pułkownikowi w oczy.

- Nie ma pan pojęcia, o czym pan mówi. Słyszał pan kiedyś wystrzał karabinowy?

- Nie, panie pułkowniku.

- Czy słyszał pan kiedyś salwę stu karabinów?

- Nie.

- Czy słyszał pan kiedyś salwę stu karabinów wymierzonych w pana?

- To chyba jasne, że nie słyszałem.

- Proszę mi więc wytłumaczyć, dlaczego chce pan ją usłyszeć dzisiaj?

Siedzący przy stole przypatrywali się gościowi ze zniecierpliwieniem. Jego pojawienie się przerwało najwyraźniej ostatnią odprawę przed atakiem.

- Czuję się odpowiedzialny za całą tę sprawę.

- Jaką całą sprawę?

Oczy Tuckera zwięzły się nagle.

- List kaperski był moim pomysłem... Oraz wystawienie go grupie bojowej, by miała podstawy do ścigania terrorystów.

- Wpadł pan na doskonały pomysł. Proszę pozwolić, byśmy mogli doprowadzić do końca jego realizację.

- Nie mam zamiaru wam przeszkadzać. Chcę być tylko obserwatorem.

- To nie mecz koszykówki.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, panie pułkowniku. Uważam jednak, że powinienem się z wami zabrać. Nie chcę wysłuchiwać oskarżeń o to, że, jak każdy polityk, skutki moich decyzji obserwuję wyłącznie w telewizji.

- Panie Dillon, przy stole siedzą moi ludzie. Nie będę ich panu przedstawiał, szkoda czasu. Nie mamy go za wiele na przygotowania do akcji. Pan też ma się do niej przygotować. Gdyby to ode mnie zależało, pozostałby pan na pokładzie, ale niestety w tej sprawie nie ja decyduję. A więc zabieram pana na wyspę ze sobą. Proszę teraz słuchać mnie bardzo uważnie. Przez cały czas pozostanie pan przy mnie. Będzie pan

dokładnie wykonywał moje polecenia. Będzie pan szedł tam, gdzie każę panu iść, będzie pan robił to, co każę panu robić; moje polecenia będzie pan wykonywał dokładnie, bez wahania i bez zadawania pytań. Czy pan mnie rozumie?

- Tak, oczywiście.

- Może to wcale nie być takie proste, jak się panu w tej chwili wydaje. Czy obiecuje pan robić dokładnie to, co panu rozkażę?

- Obiecuje, panie pułkowniku.

Tucker odetchnął głęboko i spojrzął na stojącego za Dillonem żołnierza.

- Luther?

- Tak, panie pułkowniku?

- Znajdź jakiś mundur, który będzie pasował na pana Dillona. Jaki numer butów pan nosi?

- Jedenastkę.

- Znajdź mu też buty, komplet wyposażenia, hełm, kamizelkę przeciwodłamkową, pas z dwiema manierkami i w ogóle wszystko, co potrzebne. Panie Dillon, teraz pójdzie pan z Lutherem, a kiedy dostanie pan to wszystko, proszę się przebrać.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Luther, zaprowadźcie naszego gościa do najbliższej łazienki oficerskiej. Po przebraniu się ma się tutaj stawić.

- Tak jest.

Dillon obrócił się do wyjścia.

- Jeszcze jedno, kapralu.

- Tak, panie pułkowniku?

- Znajdźcie kawałek taśmy samoprzylepnej. Jak pan ma na imię, panie Dillon?

- Jim. James.

- Dobrze. Naklejcie mu tę taśmę na tył hełmu i wypiszcie na niej „Jimmy”, bo inaczej któryś z naszych odstrzeli mu tyłek. Panie Dillon - pułkownik westchnął ciężko - nie mogę panu założyć obroży i smyczy, nie mogę też nikogo nad panem postawić. O swoje bezpieczeństwo dba pan w tym samym stopniu co ja. Czy to dla pana jasne?

- Jasne, panie pułkowniku.

- To niech się pan przebiera.

W panujących na zewnątrz ciemnościach komandor Mike Caskey nie widział pokładu i jego granicy, za którą było morze. Podwójne koła przednie jego samolotu stały okrakiem na katapultcie numer jeden, znajdującej się na dziobie „Constitution”. Tomcat jego i Messera miał startować jako pierwszy. Stojący przed nimi oficer startowy powoli złączył trzymane w rękach świecące pałki. Caskey obserwował go uważnie, przyciskając stopą pedały hamulca znajdujące się nad pedałami orczyka. Nos samolotu był lekki, co ułatwiało skręcenie przedniego podwozia, za mocno skręcone koła mogły jednak spowodować, że maszyna zaczęłaby ślizgać się po mokrym pokładzie.

Tomcat powoli ruszył przed siebie i podkołował do katapulty. Caskey czuł, jak dźwignia startowa unosi katapultę i układa się w pozycji przedniej. Oficer startowy skrzyżował sygnalizatory. Pilot natychmiast nadepnął na hamulce. Startowy spojrzął na marynarza zakładającego urządzenie powrotne. Marynarz wybiegł spod F14 i uniósł w górę kciuk. Oficer startowy zakręcił trzymanym w dłoni sygnalizatorem, nakazując pilotowi doprowadzenie obrotów do mocy bojowej. Caskey przesunął dźwignie ciągu do przodu lewą ręką i obrzucił wzrokiem tablicę przyrządów.

- Wygląda na to, że wszystko w porządku, Messer - powiedział szybko.

- Stery.

Pilot zakręcił drażkiem

- Lewe.

Messer obejrzał lewe skrzydło, oświetlając latarką klapy.

- W porządku.

To samo powtórzyło się w przypadku prawego skrzydła.

- Dół.

Messer obrócił się i spojrzął na uniesione równo stery wysokości.

- W porządku.

- Nos.

Tym razem również wszystko wyglądało dobrze.

- Stery kierunkowe.

Caskey wcisnął pedały orczyka do oporu, najpierw jeden, a potem drugi.

- W porządku.

- Brak świateł ostrzegawczych i awaryjnych. Wskaźniki silników w porządku.

Messer sprawdził swoją tablicę ostrzegawczą, jednym spojrzeniem obrzucił setki bezpieczników.

- U mnie w porządku.

Caskey przerzucił wyłącznik na dźwigniach ciągu i włączył światła zewnętrzne, sygnalizując w ten sposób gotowość do startu. Oficer startowy zaszutował, spojrzął na pokład startowy, a następnie na deflektory, których zadaniem było odbicie płomieni dopalaczy potężnych silników F-14B prosto w niebo. Pochylił się i dotknął dłonią pokładu. Stojący obok podoficer wcisnął przycisk startowy. Tomcat osiadł nisko, a następnie ruszył w stronę dziobu, przyspieszając w oszałamiającym tempie: od zera do dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę w czasie trzech sekund. Samolot został wyrzucony z pokładu w ciemną noc na wysokości dwudziestu dwóch metrów nad poziomem morza. Słabe światła pokładowe znikły niemal natychmiast. Pięli się w niebo. Caskey schował podwozie. Messer połączył się z kontrolą operacji.

- Kontrola. Ławka 104 w powietrzu.

- Zrozumiałem, Ławka, leć na pozycję i melduj. Włącz przycisk 9.

- Roger, włączam 9.

Messer spojrzął na wskaźnik TACAN i na monitor danych taktycznych, by obrać odpowiedni kierunek na przydzieloną im pozycję.

- Skręt w prawo na dwa-sześć-trzy - powiedział do Caskeya.

Pilot łagodnie zakręcił na podany kurs. Lecieli teraz niemal dokładnie na zachód, wspinając się na pułap trzech kilometrów. Za nimi, w ciemności, startowały kolejne maszyny biorące udział w Zdarzeniu Numer Jeden.

Samoloty z „Constitution” zajmowały przypisane sobie miejsca równie płynnie, jak tancerze baletu znajdują właściwe miejsca na scenie. Nie wyłączały świateł pozycyjnych, by zapobiec kolizjom; miało się to zmienić dopiero nad samą wyspą. Prawie wszyscy dowódcy dywizjonów zgłosili się do akcji; nikt nie chciał przegapić takiej szansy. Piloci odzywali się przez radio nieco głośniejszym głosem niż zazwyczaj, manewry wykonywali bardziej precyzyjnie, procedury sprawdzali z większą niż zwykle starannością.

W ciągu trzydziestu minut maszyny zajęły przypisane im pozycje. Caskey wraz ze skrzydłowym krążyli nad grupą łodzi desantowych, kierujących się w stronę plaży. Dwa kolejne F-14 znajdowały się na północny wschód od nich. Oprócz tego w akcji brały udział F/A-18S: dwa na zachód od wyspy, dwa na wschód i dwa na południe. Samolot zwiadu elektronicznego ES-3A krążył na południowy wschód od wyspy, poza zasięgiem wzroku, szukając jakichkolwiek oznak wystrzelenia rakiety ziemia-powietrze i innych niecodziennych sygnałów elektronicznych. ES-3A krążący na południe od wyspy, monitorował korespondencję radiową. Na razie operator zwiadu elektronicznego nie usłyszał niczego interesującego.

Noc była cicha, spokojna. Księżyc wisiał nisko nad zachodnim horyzontem, nadal jednak świecił wystarczająco jasno, by rozjaśniać ciemności srebrzystym blaskiem. Caskey wraz ze skrzydłowym krążyli nad grupą desantową. Znajdowali się naprzeciw siebie na okręgu, radary skierowane mieli w przeciwnych kierunkach. E-2C Hawkeye znajdował się na wschód od grupy, przykrywając elektroniczną emisją wyspę, lotniskowiec i krąg wokół o średnicy ponad czterystu kilometrów. Na niebie nie wykryto wrogich samolotów. Radary wykazywały obecność na morzu kilku statków, jednak wszystkie zostały wstępnie zidentyfikowane jako jednostki handlowe. S-3B obserwował je bezustannie.

Caskey przyjrzał się „Waspowi”, którego pokład oświetlony był blaskiem startujących Harrierów i helikopterów. Okręt ten wyposażony był w zatapialny dok na rufie, dzięki któremu mógł wysłać bezpośrednio na przeciwnika łodzie desantowe LGJ²⁰ i LCAC²¹ wraz z piechotą morską. Właśnie ładowano ostatnie LCU, krążyły wokół jednostki. Z trudnością obserwował je w świetle promieni wschodzącego słońca. Łodzie, a było ich wiele, jedna za drugą czekały na ładunek i rozkaz kierowania się w stronę plaży.

Caskey i Messer zatoczyli kolejny krąg nad grupą z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę, na wysokości ponad trzech tysięcy metrów. Zwykły przelot. W miarę upływu czasu rosło jednak napięcie, co dotyczyło zresztą wszystkich uczestników operacji. Wkrótce ktoś miał zginąć. Pozostawało tylko pytanie kto?

Piechota morska nie miała czasu na przeprowadzenie próby, koniecznej przy planowaniu misji desantowej. Polegała ona na znalezieniu podobnego miejsca i wielokrotnym przećwiczeniu całej operacji. Piechota morska miała rozlokować się na łodziach, helikoptery wystartować, oddziały skierować się na ląd i wylądować. Tego rodzaju procedura umożliwiała eliminację najdrobniejszych nawet wad planu. Tym razem jednak miało to wyglądać inaczej.

Caskey zerknął na północ. Wyspa kąpała się w promieniach wschodzącego słońca.

- Piętnaście minut do godziny „L” - poinformował go Messer tonem dowodzącym bezgranicznego wręcz podziwu. - Ach, ci marines. Załedwie tysiąc pięciuset przeciw paru tępałym terrorystom.

- Spokojnie. Oni pewnie uważają, że nie ma nic łatwiejszego od dokonania przelotu TARPS nad wyspą.

- *Touche!* - przyznał Messer.

- Trzymamy się poza zasięgiem rakiet przeciwlotniczych? - upewnił się Caskey, patrząc na mapę w przezroczystej kieszeni na udzie spodni.

- Jasne - zapewnił go Messer. - Nie mam zamiaru zbliżyć się do fajerwerków z RPA.

- Jaki mają maksymalny zasięg?

- Dwanaście i pół kilometra.

- Mamy przeprowadzić atak na cele naziemne? - spytał z nadzieją Messer.

- Tylko jeśli będą nas potrzebowali, a my nie będziemy mieli nic lepszego do roboty.

- Fajnie.

Messer czuł suchość w gardle, jednak gotów był odgrywać bohatera aż do końca.

Znajdujące się pod nimi jednostki desantowe nagle przestały krążyć i ruszyły w kierunku wyspy. LCAC, na którym znajdowali się Tucker i Dillon, prowadził stawkę. Umieszczone z tyłu wielkiego poduszkowca śmigło nadawało mu prędkość dwukrotnie wyższą od LCU.

²⁰ *Landing Craft Unit - pojazd desantowy [przyp. red.].*

²¹ *Landing Craft Air Cushion - poduszkowiec desantowy [przyp. red.].*

Helikoptery leciały nieco z tyłu, nisko, utrzymując się tuż ponad widzianym z wyspy horyzontem. Gotowe do uderzenia Harriery zajęły miejsce za helikopterami.

F-18 przygotowały się do lotu koszącego nad plażą. Dwa niszczyciele klasy Spruance zaczęły ostrzalać z pięciocalowych dział. Na plaży raz za razem pojawiały się pomarańczowe błyski eksplodujących pocisków.

Podczas rekonesansu SEAL znaleźli tylko jedną przeszkodę przed piękną, wychodzącą na południe plażą i wysadzili ją w powietrze. Operacja na razie rozwijała się zgodnie z planem.

Z południowego wschodu nadleciały dwa F-18 i ostro skręciły w prawo. Jeden po drugim zrzuciły bomby na linię drzew tuż za plażą. Caskey widział pojawiające się wśród drzew łysiny oraz czarny dym. Każda bomba pozostawiła po sobie trzydziestometrowy ślad.

Po F-18 przysłała pora na Harriery, które przemknęły pod Tomcatem Caskeya, prowadząc własne wsparcie powietrzne z niskiej wysokości, bombardując i ostrzeliwując plażę. Z ziemi nie odpowiedziano ogniem.

- Ciekawe, czy zbombardowali coś poza krabami piaskowymi - zastanawiał się Caskey.

- Moim zdaniem tam w dole nikt się nie odezwał - odparł Messer.

- Moim też. Wiesz, zeszłej nocy omal cię nie zastrzeliłem.

- Chciałeś mnie zaskoczyć w łóżku? - zakpił Messer, nie przerywając poszukiwania radarowego.

- Nie, kiedy płynąłeś do mnie po tym, jak Pijany załatwił te trzy łodzie.

- Serdeczne dzięki. Nigdy więcej nie mam zamiaru prosić cię o pomoc. Odłamek rozdarł mi tratwę. Moim zdaniem Pijany w ogóle mnie nie widział. Kiedy trafił ostatnią łódź, była najwyżej pięćdziesiąt metrów ode mnie. Poczulem wybuch, a potem nagle zorientowałem się, że siedzę tyłkiem w wodzie. Popłynąłem do ciebie, bo ktoś przecież musiał mnie uratować.

- No i uratował, tylko nie powiedziałem ci, że czekałem na ciebie z pistoletem w ręku. Byłem pewien, że to któryś z terrorystów.

Nagle odezwało się radio. Caskey rozpoznał głos oficera kontroli powietrznej z E-Z.

- Ławka 104, zbliżają się bogeye²² kurs dwieście sześćdziesiąt, odległość czterdzieści pięć mil.

Caskey ożywił się natychmiast.

- Słyszałeś, Messer?

- Owszem. - Messer włączył mikrofon. - Potwierdzam czterdzieści pięć mil, podaj wysokość. - Do pilota zaś powiedział: - Skręć w lewo na dwieście sześćdziesiąt.

Caskey przesunął drążek w lewo, kierując Tomcata na podany kurs. Instynktownie przyśpieszył do niemal siedmiuset kilometrów na godzinę.

- Wysokość nieznana, wydają się lecieć nisko.

- Potwierdzam, nisko. Skąd się wzięli?

- Nie wiemy.

- Nadają?

- Potwierdzam. Nadają na zakresie trzecim.

Messer przełączył radio.

- Mario, szyk bojowy - powiedział do skrzydłowego.

- Zrozumiałem.

Skrzydłowy zajął miejsce dwa kilometry od nich po lewej i nieco nad nimi.

Messer natychmiast znalazł przeciwnika na radarze.

²² (dosł. goblin) żargonowe określenie nieznanymi celów lotniczych [przyp. red.].

- Kontakt dwieście sześćdziesiąt, trzydzieści pięć mil, pułap jeden-dwa - zameldował.

Zbliżające się maszyny leciały na wysokości tysiąca dwustu metrów i nadal się wznosiły.

- To właśnie twoje bogeye - usłyszał w radio.

- Jesteś pewien, że to nie F-18? - spytał.

- Jestem pewien - odpowiedział E-2.

- Jakież zmiany w zasadach wejścia do walki?

- Zasady wejścia do walki na okres pokoju - rozległa się natychmiastowa odpowiedź.

- O cholera! - stęknął Messer przez interkom.

- Procedura - rzucił Caskey.

Sprawdzili listę czynności; pilot pozytywnie odpowiedział na każde pytanie.

Doszli do ostatniego punktu.

- Uzbrojenie?

- Zaczekamy - zdecydował Caskey. - Wolałbym nie postrzelić nikogo tam, w dole, przez pomyłkę.

- Potwierdzam, ale jeśli te bogeye zamierzają zapolować na nas, nie chcę strzelać do nich ślepakami.

- Zgadzam się.

Kątem oka Messer dostrzegł dym silników dwóch rakiet SLAM, wystrzelonych przez F-18 do betonowych bunkrów. Bardzo chciał obserwować skutki trafienia, ale miał inne obowiązki. Przełączył radio i wezwał dowódcę drugiego Tomcata.

- Masz tych facetów? - spytał.

- Mam. Którego wolisz?

- Wezmę tego z prawej.

- Zrozumiałem.

- Mam ich - poinformował pilota Messer. - Robią dziewięćset na godzinę, nadal się wspinają. Jezu, kim są ci faceci?

Osiągnęli osiemset kilometrów na godzinę.

- Pełne przyśpieszenie - powiedział Messer, zalecając Caskeyowi osiągnięcie pełnej prędkości bojowej bez włączania dopalaczy. - Dwadzieścia kilometrów, cztery stopnie niżej, prędkość zbliżenia tysiąc osiemset.

- Dwieście pięćdziesiąt osiem, osiemnaście kilometrów... - rozległ się głos oficera kontroli powietrznej z E-2.

- Jestem na swoim - przerwał mu Messer, sygnalizując przejście kontroli nad przechwyceniem.

- Ludzie, kim jesteście? - rzucił w powietrze Caskey, wyęzając wzrok, by dostrzec nadlatujące samoloty.

- Mam zamiar go namierzyć. Nie widzę żadnych innych maszyn.

Przełączył radar na tryb wyszukiwania celów pojedynczych i natychmiast namierzył nim cofniętego bogeya, lecącego nieco za prowadzącym. Podłączył TVSU do radaru i przełączył monitor tak, by móc obserwować obraz telewizyjny. Mimo kiepskiego światła natychmiast dostrzegł cel.

- Myśliwiec - powiedział do Caskeya. - Na razie nie rozpoznaję typu.

- Im szybciej go rozpoznasz, tym lepiej.

- Piętnaście kilometrów, prędkość zbliżania dwa tysiące kilometrów na godzinę.

- Zidentyfikuj je wreszcie!

Messer przełączał się z radaru na obraz telewizyjny i z powrotem, jednocześnie prowadząc przechwycenie i starając się zidentyfikować nadlatujące samoloty.

- Ci faceci nadlatują cholernie szybko - nadał przez radio. - Dajcie pozwolenie na otwarcie ognia.

- Czekaście - odpowiedział E-2.

- Nie mam czasu na czekanie. To myśliwce! Robią już tysiąc dwieście na godzinę!

- Czekaście.

- To F-16 - poinformował pilota Messer. - Z całą pewnością F-16. Potwierdzić F-16 - nadał przez radio.

- Zrozumiałem Fox Jeden Sześć - odpowiedział E-2.

- Jakie instrukcje?

- Czekaj.

- Cholera, odstrzelą nam dupy! - denerwował się Messer.

- Jeśli zobaczę w powietrzu rakietę, załatwię go. Uzbrajam AMRAAM - zdecydował Caskey.

- AMRAAM gotów do otwarcia ognia - powiedział Messer.

- Odbieram namiar Sidewindera, czysto. Co się...? - zdziwił się Caskey. Z powierzchni wyspy, po prawej, wystartowały nagle dwie rakiety. - Messer!

Messer także zauważył mknące w ich kierunku pociski.

- Tylko nie to!

Nos Tomcata powędrował ku powierzchni morza.

- To nie do nas strzelano! - krzyknął Messer. - Zwolnij! - Obaj obserwowali niktą do celu rakiety. - Zwolnij!

Caskey natychmiast zredukował ciąg. Nieznane F-16 szybko zbliżały się do nich w locie wznoszącym.

- *Tallyho!*²³ - krzyknął Caskey. Dziesięć kilometrów przed sobą dostrzegł zbliżające się F-16. - Nie widzą ich - zwrócił się do Messera; w jego głosie brzmiała niepewność. Rakiety trafiły zbliżające się maszyny z lewej, niemal jednocześnie. Dostrzegł dwa pomarańczowe rozbłyski światła idealnie przed nosem Tomcata. Dwa mniejsze błyski w dalszej odległości oznaczały wystrzelenie rakiet, które wspięły się w niebo i znikły. - HARM-y - powiedział. - F-18 namierzyły wyrzutnie, kiedy te podświetliły F-16. Nie do wiary.

- Dwa F-16 zestrzelone - zameldował E-2 Messer.

Przełączył się na obraz telewizyjny i na monitorze zobaczył szczątki myśliwców spadające do morza. Radar stracił kontakt, ale kamera nadal przekazywała obraz dzięki kontrastowi światła.

Oficer kontroli z E-2 zgłosił się natychmiast, bliski paniki.

- Nie dostaliście pozwolenia na otwarcie ognia!

- Nie my je zestrzeliliśmy.

- Powtórz.

- Nie my je zestrzeliliśmy!

- A kto?

- Rakiety przeciwlotnicze.

- Z wyspy?

- Potwierdzam.

- Jesteście pewni, że nie był to jeden z naszych okrętów z systemem Aegis?

- Jesteśmy pewni.

- Przyjąłem. Nie widzę innych bogeyów.

- Skąd właściwie przylecieli ci chłopcy? - spytał Messera Caskey.

- Nie mam pojęcia. Singapur ma F-16, to wiem. A może Malezja?

²³ *Tallyho* - okrzyk myśliwski sygnalizujący dostrzeżenie lisa podczas tradycyjnego polowania [przyp. tłum.].

- Singapur? Sądzisz, że włączyli się w rozgrywkę?
 - Bo ja wiem? Ale idę o zakład, że w końcu wszystkiego się dowiemy.
 - Indonezyjczycy mają F-16?
 - Chyba tak.
 - Fajnie. To bardzo zawęża krąg podejrzanych.
- Zawrócili w stronę grupy desantowej. Omiotli niebo radarem.
- E-2, widzicie kogoś obcego?
 - Nie widzimy.

Pułkownik Tucker stał przed Dillonem w mknącym ku plaży LCAC. Omiotł wzrokiem linię ataku. Ku brzegowi kierowało się tysiąc pięćuset marines. To mu się bardzo podobało, wiedział jednak aż za dobrze, jak łatwo spieprzyć tego rodzaju sprawy. Właśnie dlatego wybrał sobie miejsce w LCAC, ponieważ widział, jak wygląda fiasko operacji. Mayaquez, próba odbicia zakładników w Iranie, Grenada, Panama, Bejrut, Somalia... był tam i widział, jak giną ludzie. Niewielkie polityczne misje... to one były najtrudniejsze, a nie prawdziwe wojny, w których używało się czołgów i żołnierzy tak, jak powinni oni zostać użyci. Marines byli zawsze pierwsi na miejscu i pierwsi ginęli... za to orderzy dostawali ostatni.

Tym razem miało być inaczej. Miał zamiar zejść na ląd wraz ze swymi żołnierzami i dopilnować wszystkiego osobiście. Po raz pierwszy to on dowodził lądowaniem. Zadbął o to, by postawiono kropkę nad każdym „i”. Cieszyło go to, że na razie nie napotkali oporu. Z wyspy nie oddano w ich kierunku żadnego wystrzału, z wyjątkiem wystrzelenia dwóch rakiet przeciwlotniczych, które kogoś trafiły. Nie wiedział kogo, ale założył, że zniszczyły F-18. Ci faceci grali na serio. Niezbyt go to zmartwiło. Jego marines też przecież nie żartowali.

Drgnął nagle i przewrócił Dillona na pokład. W czołowy pancerz LCAC, z charakterystycznym „ping”, które zdarzyło mu się słyszeć wcześniej, uderzyły pociski. Broń maszynowa, pomyślał. Prawdopodobnie Kałasznikow. Przebój czarnego rynku. Jeśli kupisz pełną ciężarówkę, dostajesz rabat. Widział jak jego żołnierze pochyłają się i wymieniają spojrzenia. Żaden z nich nie sprawiał wrażenia wystraszonego, on jednak wiedział, że nikt nie lekceważy ostrzału. Kula wystrzelona nawet przez najgłupszego terrorystę może zabić człowieka. Opuścił głowę, sprawdzając zapięcie przebiegającego pod brodą paska. Harriery i F-18 przemknęły nad jednostkami desantowymi, ostrzeliwując linię drzew rosnących przy wyznaczonej do lądowania plaży.

Nagle LCAC wynurzył się z wody i wypelźł na brzeg. Na poduszce powietrznej przejechał po piachu do linii dżungli, przy której się zatrzymał. Marines wyskoczyli z pojazdu i rozwinęli tyralierę w lewo i w prawo. Za nimi lądowały kolejne LCU, wyskakiwały z nich kolejne dziesiątki żołnierzy. Nikt nie krzyczał triumfalnie, nikt nie robił hałasu; doskonale wyćwiczeni żołnierze wykonywali swoją pracę najlepiej jak potrafili.

Dillon pochylił głowę i pobiegł niezdarnie za Tuckerem. Hełm podskakiwał mu na głowie, znacznie cięższy niż można było oczekiwać. Gdy tylko znalazł się na plaży, jego osobisty stróż, kapral Luther, natychmiast obalił go na piasek.

- Nie stój, kiedy do ciebie strzelają! - krzyknął.

Ci, którzy pierwsi znaleźli się na plaży, odpowiedzieli ogniem. Kula ugodziła marynarza prowadzącego najbliższy LCU. Kierowca miał na sobie kamizelkę kuloodporną, został jednak trafiony nad nią, w szyję. Trysnęła krew, chłopak przewrócił się. Stojący obok niego podoficer złapał kierownicę i utrzymał nacisk na pedał gazu, tak że pojazd nie zatrzymał się. Sanitariusz szybko opatrzył ranę. Gdy

marines wyskoczyli na plażę, podoficer cofnął LCU w morze i odpłynął nim w kierunku okrętu desantowego.

Pierwsi żołnierze na brzegu przydusili ogniem obronę, tylko gdzieniegdzie odpowiadał im słaby ogień. Terrorysty najprawdopodobniej wycofywali się w gęściejszą dżunglę. Tucker klęczał na piasku, przysłuchując się raportom żołnierzy znajdujących się na przeciwległych krańcach linii natarcia. Wszyscy informowali o tym samym - słabym oporze i wycofywaniu się przeciwnika.

- Zabezpieczcie plażę i czekajcie na dalsze rozkazy! - polecił.

Ich głównym zadaniem było dotarcie do punktu dowodzenia wroga, znajdującego się najprawdopodobniej w sąsiedztwie betonowych bunkrów, nim zdoła on zorganizować linię obrony.

Na plaży pojawiła się druga fala LCU. Z ramp zbiegali marines. Zupełnie jak w Normandii, pomyślał pułkownik. Desanty od pięćdziesięciu lat wyglądały podobnie. Kolejne dwie fale desantu sprawiły, że na plaży zaroilo się od marines. Widział rozciągnięte na plaży dwa ciała, innych strat najwyraźniej nie ponieśli.

Z góry dobiegł go odgłos potężnych silników CH-53E, zmierzających na miejsce lądowania. Spóźniły się, pomyślał Tucker. Leciały wprost na wzgórze określone jako strefa lądowania. Sam wybrał je do tego celu. Było nagie, niewysokie, a znajdowało się niespełna trzy kilometry w głębi lądu, dokładnie po drugiej stronie głównego celu ataku. Na plaży wylądowało tysiąc dwustu marines, na wzgórzu wylądować ich miało dwustu; Cel miał zostać zaatakowany ze wszystkich stron jednocześnie, Tucker zabrał radio łącznościowcowi i wezwał wszystkich dowódców kompanii. Kiedy się zgłosili, wydał im rozkaz wymarszu w głąb dżungli.

29.

Ogromny trzysilnikowy CH-53E opadał szybko ku strefie lądowania. Kapitan piechoty morskiej, który pilotował gigantyczny śmigłowiec, obrzucił wzrokiem otaczającą ich dżunglę, szukając jakiegoś śladu życia. Nie miał jednak czasu, by obejrzeć ją sobie tak dokładnie jakby chciał, całą uwagę musiał poświęcić lądowaniu i posadzeniu maszyny na wzgórzu, ku któremu szybko się zbliżali.

Drugi pilot, zajmujący lewy fotel i siedzący z tyłu szef załogi obserwowali ziemię znacznie uważniej od niego. Oczy przeskakiwały im z punktu na punkt, serca biły mocno. Żaden z nich nie brał jeszcze udziału w walce, obaj byli więc zdenerwowani i podnieceni.

Mimo to nie zauważyli, kiedy ich helikopter dostał się pod ostrzał. Wylądowali na wzgórzu; transportowani przez nich marines pochyliłi się, by stanowiąc jak najmniejszy cel, byli jednak skrzępowani pasami bezpieczeństwa. Uwalniali się z nich po kolei i kierowali do bocznego oraz tylnego wejścia.

Dostrzegli wśród drzew białe błyski płomieni wylotowych i szybko odpowiedzieli ogniem. Kilku żołnierzy w podnieceni zaczęło nawet strzelać ze środka maszyny i starszy sierżant musiał ich powstrzymać uderzeniami w hełm. Kiedy wszyscy wyskoczyli z maszyny, sformowali naokoło helikoptera krąg i odpowiedzieli ogniem mniej więcej w kierunku, z którego do nich strzelano. Maszyna uniosła się i oddaliła szybko, natychmiast kryjąc się za garbem wzgórza. Wracła na „Waspę”, lecąc tuż nad wierzchołkami drzew.

Kolejny CH-53E pojawił się nad lądowiskiem, gdy tylko się ono zwolniło. Załoga wiedziała już, że ląduje pod ogniem i że to nie powtórka zwykłych ćwiczeń. Helikopter podleciał szybciej i ostrzej, żołnierze w ładowni poczuli, jak siła bezwładności unosi

ich w siedzeniach. Ten manewr zmniejszał niebezpieczeństwo celnego trafienia z ziemi, ale i tak o burty maszyny uderzyły kule. Transportowani żołnierze czuli się bezradni, nie mogąc odpowiedzieć na ogień. Większość pochyliła się, bezradnie osłaniając chronione hełmami głowy dłońmi.

Pilot poderwał nos helikoptera, zwalniając tuż przed lądowaniem.

Nagle z dżungli wyleciały trzy wystrzelone z ręcznych wyrzutni rakiety naprowadzane na podczerwień. Celowały bezbłędnie w najgorętszy punkt: turbiny tuż pod łopatami wirnika. Helikopter w autorotacji spadł ostatnie osiem metrów i rozbił się. Ogień z silników niemal natychmiast przeniósł się na kadłub. Żołnierzom z pierwszego helikoptera nie udało się powstrzymać pożaru. Kilku marines wypełzło z płonącego wraka, część zginęła.

Porucznik dowodzący drugim plutonem jako pierwszy zanurzył się w dżunglę, za nim poszli inni. Ogień osłabł wkrótce, a potem zapadła cisza.

Admirał Billings siedział wtulony w fotel, nie odrywając wzroku od wielkiego ekranu, na którym na żywo obserwował lądowanie dzięki telewizyjnemu połączeniu z Predatorem, krążącym na wysokości pięciu kilometrów nad wyspą. W tej chwili pokazywał on na zbliżeniu dymiące szczątki helikoptera. Predator dobrze wykonał swą robotę, obraz był doskonałej jakości. Oficer wywiadu piechoty morskiej mógł dzięki niemu przekazywać odpowiednie informacje Tuckerowi, przez którego na czas docierały one do lądujących na wyspie żołnierzy. Billings nie miał jednak pojęcia, że widok śmierci jego ludzi wywrze na nim tak ogromne wrażenie.

Na ekranie nadał widać było rozbity helikopter. Admirał obrócił się do komandora Blacka.

- Chcę dostać raport o stratach tak szybko, jak tylko będzie to możliwe - powiedział.

- Tak jest.

Komandor Black połączył się przez radio z „Waspem”.

Tucker i Dillon obserwowali pracę w głąb dżungli tyralierę marines, kryjących się za drzewami i od czasu do czasu strzelających do wszystkiego, co się ruszało. Na ogół panowała jednak cisza, choć po ich lewej, na zachodnim krańcu plaży, rozległy się dwa głuchoe wybuchy. Marines z Tuckerem i Dillonem powoli, lecz nieprzerwanie zagłębiali się w dżunglę. Ziemia była tu mokra i śliska. Kiedy zorientowali się, że podszycie nie jest bardzo gęste, ruszyli nieco szybciej.

Tucker sprawdził ich pozycję na GPS i porównał ze szkicową mapą wysepki. Dillon zaglądał mu przez ramię, nie mając zielonego pojęcia co się właściwie dzieje i tylko starając się nie wchodzić nikomu w drogę. Nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarło na nim postrzelenie młodego sternika LCU. Próbował zracjonalizować jakoś to przeżycie, ale oczami wyobraźni ciągle widział padające ciało i tryskającą z przebitej aorty krew.

Dillon był w niezłej formie, biegał niemal codziennie, jednak samo wyjście na ląd i przejście kilkuset metrów kompletnie go wyczerpało.

Tucker zwolnił, natężył słuch. Gestem kazał mu się zatrzymać, podczas gdy marines sprawdzali drzewa w poszukiwaniu snajperów i grunt w poszukiwaniu min. Przed sobą widzieli unoszącą się w górę smugę czarnego dymu, szli w jej kierunku, miał nadzieję, że najkrótszą drogą.

Nagle liście drzew zdrząły pod nawałą ognia z broni maszynowej. Marines padli na wilgotną ziemię, odpowiadając ogniem. Kule i pociski smugowe krzyżowały się w powietrzu.

Tucker był już świadkiem takiej nawały ogniowej. Nie strzelało do nich dwudziestu ludzi, lecz stu, a zapewne nawet dwustu. Kanonada nie ustawała ani na chwilę. Dowódca kompanii zajmującej miejsce pośrodku tyraliery znajdował się tuż obok niego.

- Wezwij Harriery - krzyknął do niego Tucker. - Niech strzelają w dym!

Dowódca kompanii chwycił radio. Tucker nakazał plutonom na lewej i prawej flance ostrożne okrążenie bunkrów.

Łącznościowiec wręczył mu słuchawkę.

- To Krzesło Siedem - powiedział.

- Tu szef Krzesła i powiedział do słuchawki pułkownik.

Dowódca helikoptera mówił głośno, wyraźnie.

- Jesteśmy pod ciężkim ostrzałem z północnej strony linii obronnej. Widzimy dym, naszym zdaniem nad bunkrem. Straciliśmy helikopter i około piętnastu ludzi, odbiór. Za sobą mamy dym z rozbitej maszyny.

Tucker skrzywił się.

- Zrozumiałem - powiedział. - Jesteśmy po drugiej stronie tego dymu. Wzywam Harriery. Nie ruszajcie się, póki nie dam wam sygnału. Po wejściu Harrierów będzie gorąco.

- Krzesło Siedem, bez odbioru.

Tucker oddał słuchawkę łącznościowcowi i spojrzał w niebo. Harriery krążyły w odległości niemal czterech kilometrów. Słyszał ryk silników, kiedy się zbliżały. Nadleciały tuż nad ziemią z jego lewej i wspięły się na pułap tysiąca metrów. Dopiero kiedy rozpoczęły nalot zorientował się, z jaką wielką szybkością lecą - co najmniej osiemset na godzinę. Ich działka słychać było wyraźnie, mimo wszechobecnej strzelaniny. Pierwszy samolot poderwał się ostro i pułkownik najpierw usłyszał, a potem poczuł całym ciałem głuchy huk i wstrząs po wybuchu dwóch pięćsetfuntowych bomb. Nadleciał drugi Harrier, a po nich jeszcze dwa. Siła ognia przeciwnika wyraźnie osłabła. Tucker wstał i dał sygnał. Marines przyśpieszyli kroku, niemal biegli. Ogarnęła ich gorączka walki. Niektórzy strzelali w biegu, inni zatrzymywali się, podnosząc broń do ramienia. Nagle pluton czołowy, któremu Tucker deptał po piętach, wypadł na polanę. Dillon śpieszył za nim, próbując dotrzymać mu kroku. Żołnierze rzucili się na ziemię w oczekiwaniu ciężkiego ostrzału. Część marines zatrzymała się na granicy drzew i zaczęła okrążyć teren. Nagle odgłos strzałów zakłócił ryk silnika raketowego. Ze zbocza wzgórze wystrzeliła w niebo wielka rakietka, przelatując im nad głowami. Nabierała prędkości i najwyraźniej kierowała się w stronę floty.

Samolot walki elektronicznej EA-B Prowler odebrał elektroniczne sygnały namiarowe rakietki ziemia-woda Silkworm mniej więcej w tej samej chwili, w której Tucker dostrzegł jej start.

- Silkworm w powietrzu! - ostrzegł operator Prowlera na alarmowej częstotliwości radiowej.

Pilot dostrzegł ślad dymu nad wyspą.

- Namiary dla HARM - zażądał.

- Prawo dziesięć.

Gdy tylko EA6-6B ustawił się nosem w stronę wznoszącej się rakietki, wystrzelił rakietkę przeciwradarową HARM.

- Ławka 4, tu Łuk - nadał E-2 do Tomcata.

- Mów - odpowiedział Messer.

- Wampir w powietrzu, namiar trzy-trzy-osiem.

- Potwierdzam trzy-trzy-osiem, podaj wysokość.

- Wysokość nieznana, prawdopodobnie niska.

- Przyjąłem, szukam. - Messer zwrócił się do Caskeya. - MC, miej oczy otwarte. Rakieta przeciwokrętowa. Powinna być na dwadzieścia pięć w lewo. Nisko. Mamy około minuty, żeby ją znaleźć i zestrzelić. Cholera! - Messer poszukiwał rakiety radarem. - Dlaczego nie może się nią zająć ten kretyński Aegis?

- Ponieważ nasz jedyny Aegis został przy lotniskowcu i my zasłaniamy mu cel - odparł spokojnie Caskey. - Spokojnie.

- Jasne. Przepraszam. - Messer pochylił się nad ekranem, napinając pasy. - Mam ją! Leci wprost na „Wasp”! Szybko, ale poniżej prędkości dźwięku. Skręć w lewo na dwa-dziewięć-jeden.

Caskey szarpnął drążek w lewo, kierując nos F-14 na raketę wielkości małego samolotu.

- Broń uzbrojona?

- Uzbrojona. - Caskey patrzył na mały, szybki punkcik celu przesuwany się od prawej. - Powinniśmy strzelać w przednią część?

- Tak. Pełne przyspieszenie.

Tomcat przyspieszył, ale nie wystarczająco.

- Dopalacze - powiedział Messer. - W lewo! Najostrzej jak się da.

MC wykonał skręt o dziewięćdziesiąt stopni w kolejnej próbie przechwycenia rakiety.

- Zejdź na siedemset metrów - polecił Messer, kiedy maszyna wyrównała lot. - Będziemy strzelali w poziomie. - Sięgnął po przycisk startowy przy lewym kolanie.

- Ławka, drugi Silkworm w powietrzu, trzy-cztery-zero - zameldował E-2.

- Zrozumiałem.

Messer energicznie wcisnął podświetlony na czerwono przycisk startowy, włączając raketowy silnik AMRAAM-a. Rakieta popędziła w stronę Silkworma. Zarówno on, jak i Caskey, trenowali przechwytywanie z AM-7 Sparrow. Gdyby odpalili Sparrowa, musieliby trzymać cel na radarze aż do jego trafienia, AMRAAM był jednak raketą typu „wystrzel i zapomnij”, więc gdy tylko oderwała się od samolotu, Messer krzyknął:

- W prawo na trzysta czterdzieści, MO

Caskey wykonał ostry zwrot na północ, w kierunku wyspy, z której powierzchni w kilku miejscach unosiły się chmury dymu.

- Mam ją - powiedział Messer. - Wyłącz dopalacze.

- Mam zamiar sprawdzić pierwszą. - Caskey opuścił lewe skrzydło. Widział, jak wystrzelony przed chwilą AMRAAM zbliża się do Silkworma, ale nie trafia go i spada do wody.

- Łuk - nadał do E-2 Caskey. - Rakieta nie trafiła w cel. Ostrzeżcie „Wasp”, że wampir jest nadal w powietrzu.

- Zrozumiałem. Macie drugiego?

- Pracuję nad tym - Messer zirytował się lekko.

- *Tallyho!* - krzyknął Caskey, widząc raketę z przodu i nadal nieco pod nimi.

- Dobrze ustawienie celu. - Messer wpatrywał się w ekran radaru. Czekał. - Pięć stopni w lewo.

Tomcat mknął w stronę pokrytej dymami wyspy z prędkością ośmiuset kilometrów na godzinę, na wysokości siedmiuset metrów.

- Messer, masz jakieś ślady aktywności radarów przeciwlotniczych?

- Nie. Uwaga... - AMRAAM wyskoczył z prowadnicy. Obaj widzieli, jak rakieta mknie wprost na wampira i uderza go w nos. Silkworm wybuchł w wielkiej kuli ognia siedem kilometrów od Tomcata i zwałił się do morza.

- Wampir zniszczony - zameldował Messer, rozglądając się po niebie w poszukiwaniu innych wrogich rakiet lub samolotów. - Zawróć na południe, MC - poradził.

Polecieli na wschód, wspinając się jednocześnie na bezpieczniejszą wysokość.

- Kim są ci goście? - zastanowił się Messer. - Mają drogie łodzie, rakiety przeciwlotnicze, posługują się całkiem przyzwoitą taktyką, a teraz jeszcze rakiety przeciwokrętowe? Co tu się, do cholery, dzieje?

- To nie są zwykli terroryści - orzekł Caskey. - Może nie są szczególnie sprytni, ale jedno trzeba im przyznać: umieli załatwić sobie kupę forsy. Mam tylko nadzieję, że ten pierwszy Silkworm nie załatwi „Wasp”.

Tymczasem pierwszy Silkworm usilnie próbował załatwić „Wasp”. Między nim a okrętem nie było już linii obrony z powietrza. Zupełnym przypadkiem leciał całkowicie niebronionym korytarzem.

Ostrzeżony przed atakiem „Wasp” usuwał helikoptery znajdujące się w jego bezpośredniej bliskości. Jego ostatnim środkiem obrony był Phalam, czyli działko w systemie Gatlinga sprzężone z radarem, umieszczone na burcie i mające w założeniu zestrzeliwać rakietę strumieniem pocisków. Działko było identyczne z działkami pokładowymi F-14 i F-18, radar za to inny. Ten szukał metalu i walił w każdy jego kawałek, na który się namierzył. Nie myślał, nie kombinował, tylko namierzał i strzelał. Obsługujący system musieli więc przede wszystkim usunąć z jego zasięgu każdy kawałek metalu. I właśnie tego próbowali dokonać.

Ostatni helikopter uniósł się z pokładu „Wasp” i odleciał na południe. System przełączono na automatyczne sterowanie. Wyglądem przypominał on pomalowanego na biało R2D2²⁴, umieszczonego na burcie. Radar bezbłędnie namierzył Silkworma i skierował w jego stronę sześć luf obrotowego działka. Lufy drgnęły, uniosły się lekko i plunęły ogniem. Działko strzelało nieprzerwanie i z ogona Silkworma, oddalonego o niespełna dwa kilometry, zaczęły odpadać kawałki poszycia. W kilka sekund później kule rozerwały nieprzyjacielską raketę na strzępy, które spadły do morza w bezpiecznej odległości od okrętu.

Trzy minuty po starcie Silkworma żołnierze piechoty morskiej na wyspie nadal posuwali się ostrożnie w kierunku celu. Mieli nadzieję, że zbliżają się do polanki, na którą prowadził ich Tucker. Wkroczyli na nią bardzo ostrożnie. Niektórzy przyklekli na granicy drzew, pozostali szli dalej. Dwa dymiące bunkry o grubych żelbetowych stropach, znacznie większe niż się spodziewali, stały nieco po lewej.

Przed sobą mieli wioskę, składającą się z kilkudziesięciu szałasów. Panowała niesamowita cisza. Widzieli rozrzucone tu i tam ciała, nie napotkali jednak żadnego oporu. A przecież jeszcze przed chwilą strzelano do nich właśnie stąd.

- Muszą być w chatach - powiedział Tucker do idącego po lewej żołnierza. - Wcale mi się to nie podoba. - Rozejrzał się dookoła z ostrożnością człowieka doskonale zdającego sobie sprawę z tego, że nieostrożni giną pierwsi. - Sprawdźcie chaty, jedną po drugiej - rozkazał. - I uważajcie, czy nie są zaminowane.

Marines ruszyli przed siebie powoli, omiatając teren lufami karabinów. Dillon stał wśród drzew, rozpaczliwie starając się ukryć strach.

²⁴ Robot z „Wojen gwiazdnych” [przyp. red.].

Tucker wpatrywał się w mapę. Nie za dobrze wiedział, co się właściwie dzieje i bardzo mu się to nie podobało. Terrorysty nie mieli gdzie zniknąć, a przecież zniknęli. Przed chwilą dosłownie zasypano ich ogniem z broni maszynowej, a po chwili wszędzie było cicho i pusto. Wioska była szczelnie otoczona, terrorysty nie mieli szansy na przeniknięcie linii jego żołnierzy. Kompania, która na miejsce doleciała helikopterami, pojawiła się o czasie z informacją, że nie napotkała ani śladu oporu.

Nagle podniósł głowę. Widział otaczających go ludzi czekających na jego rozkazy. Mądre rozkazy. Oddychał nieco szybciej niż normalnie, starając się pojąć dlaczego nagle opanowało go poczucie niebezpieczeństwa. Coś było nie tak. Wiedział, że zna rozwiązanie zagadki, nie potrafił go sobie jednak uświadomić. Nagle przypomniały mu się opowieści marines, którzy walczyli w Wietnamie.

- Tunele! - krzyknął. - Sprawdźcie podłogi w chatach.

Sam ruszył w stronę największej. Dillon pobiegł za nim.

Żołnierze bardzo ostrożnie zbliżali się do największej z chat, celując z karabinów w drzwi. Jeden z nich otworzył bambusowe drzwi i cofnął się natychmiast.

Tucker nie miał zamiaru czekać dłużej. Wszedł do środka trzymając w dłoni pistolet kalibru 9 mm. Natychmiast zauważył leżącą na ubitej ziemi dużą bambusową matę. Dillon cofnął się instynktownie, gdy Tucker delikatnie pociągnął bambusową matę, próbując wyczuć opór: przewody elektryczne, linki, zapalniki ładunków wybuchowych. Odsunął matę na bok, nie czując oporu. Skrzywił się widząc, co się pod nią kryje: ginące w ciemnościach schody. Sprawdził ich drewniany szalunek. Dostrzegł przecinające tunel kable elektryczne. Praktycznie każdy stopień został zaminowany.

- Nie warto ich nawet czyścić - powiedział głośno, ku uldze obecnych, którym najwyraźniej nie odpowiadała praca saperów.

Pochylił się i przyjrzał czemuś co umieszczono na trzecim stopniu, jakimś dziwnemu urządzeniu. Jeszcze nigdy nie widział niczego podobnego. Płaski walec, bez żadnych oznaczeń, grubość około dziesięciu centymetrów. Do złudzenia przypominał miniaturę latającego spodka.

Pułkownik Tucker coś nagle sobie przypomniał. Podobne urządzenie wspomniane było w raportach z ataku na „Pacific Flyera”.

- Wynoście się stąd! - krzyknął. - Już!

Żołnierze piechoty morskiej zareagowali bardziej na ton głosu, niż na treść słów. Pobiegli w stronę ściany dżungli. Ci, którzy pozostali na polanie zrozumieli, że coś się dzieje i też zaczęli uciekać. Najwolniej zareagował Dillon. Udało mu się zaledwie wyprzedzić Tuckera i Luthera. Za ich plecami w kuli ognia wybuchła chata. Ziemia i szczątki konstrukcji wyleciały na trzydzieści metrów w niebo; tych marines, którym nie udało się uciec z polany, eksplozja cisnęła na ziemię. Dillon, kapral Luther i pułkownik Tucker upadli, przysypani resztkami chaty i ziemią. Kiedy wszystko ucichło, nadal leżeli nieruchomo.

- Komandor Griffith... - przerwał milczenie admirał Billings.

Kiedy mówił tym tonem, jego podwładni mimowolnie się kurczyli.

Przerwał. Na ekranie zobaczył wybuch, wysadzający w powietrze chatę, z której właśnie wybiegł Tucker.

- Co, do diabła...? - syknął, prostując się w fotelu.

Siedzący w kącie oficer sił lądowych zmniejszył ogniskową przekazywanego z Predatora obrazu tak, że widoczna była większa część wyspy. Na ekranie pojawili się marines przyglądający się swemu pułkownikowi i kilkudziesięciu innym żołnierzom,

leżących bezwładnie na polanie. Pozostali na statkach z przerażeniem zrozumieli sytuację. Terroryci znikli, największa chata w wiosce została zaminowana, żołnierze ze środka linii piechoty morskiej byli ranni lub zginęli.

- Wezwijcie pułkownika przez radio - warknął Billings, kierując te słowa do komandora Blacka. - Mam nadzieję, że nie ma tam Dillona. Tylko tego by nam brakowało.

Beth Griffith patrzyła na ekran w zdumieniu. Operacja, pozornie nie trudniejsza od zwykłego spaceru, zmieniła się w katastrofę. Patrzyła na zwłoki zabitych na polanie marines i czuła, jak w ustach robiło się jej coraz bardziej sucho.

Pułkownik Tucker poruszył się i z największym trudem dźwignął na nogi. Przyklęknął przy kapralu Lutherze, który po chwili również stanął na własnych nogach. Obok nich leżał na brzuchu żołnierz, do którego hełmu przylepiono kawałek taśmy. Była przybrudzona i poczerniała, jednak rozpoznali wypisane na niej słowo: "Jimmy".

- O, cholera! - Tucker opadł na jedno kolano. - Sanitariusz! - krzyknął.

Pochylił się nad ciałem. Tłem tej sceny była płonąca chata.

Dillon otworzył oczy i nieprzytomnie rozejrzał się dookoła. Nagle dostrzegł Tuckera. Poderwał lewą rękę, jakby osłaniał się przed ciosem; pułkownik powstrzymał ją w żelaznym uścisku.

- Dillon! - krzyknął. - Nic ci się nie stało? Słyszysz mnie?

- Jasne, słyszę.

- Dasz radę wstać?

- Tak... chyba tak. Co się stało?

- Chata wybuchła. Uciekliśmy z niej w ostatniej chwili.

Pułkownik i kapral Luther bez wysiłku poderwali prawnika na równe nogi. Kolana ugięły się pod Dillonem, jednak szybko odzyskał równowagę. Wziął głęboki oddech. Próbował oczyścić twarz, lecz pot na rękach sprawił, że tylko rozmazał na niej smugi wilgotnego kurzu.

Tucker schował pistolet do kabury.

- Wygląda mi na to, że tu wszystko czyste - powiedział, nie zwracając się bezpośrednio do nikogo. - Gdzie się wynieśli i teraz musimy ich znaleźć. To mała wyspa. - Ruszył w kierunku oficera łączności, zatrzymał się jednak i spojrzał Dillonowi w oczy. - Naprawdę nic panu nie jest?

- Nic mi nie jest.

Dillon na próżno szukał na ciele śladu rany. Pułkownik Tucker uśmiechnął się lekko.

- Wreszcie wygląda pan jak prawdziwy marine - stwierdził. - Niezbyt lubimy tu ładnych chłopców, paradujących w odprasowanych mundurach. Dobra, Luther. Zajmijcie się panem Dillonem i do roboty.

Podszedł do nich łącznościowiec. Tucker niemal wyrwał mu mikrofon.

- Beth - dopytywał się admirał Billings i mogłabyś wyjaśnić mi, skąd ci terroryści mają Silkwormy, o których nic nie wiedzieliśmy? Jakim cudem udało się im wystrzelić dwa, omal nie trafiając w jeden z moich okrętów? Może potrafiłabyś wyjaśnić to...

- Mamy łączność z pułkownikiem Tuckerem - odezwał się komandor Black, wręczając mu słuchawkę.

- Brandon, co się tam u ciebie dzieje?

- Panie admirale, mamy pełną kontrolę nad wyznaczonym terenem, nad wyrzutniami plot i wyrzutniami Silkwormów.

- Doskonale. Gdzie są terroryści?

- Część zginęła, ale część najwyraźniej uciekła przez tunel. Nie wiemy, dokąd prowadzi. Został zaminowany, co chyba wyraźnie widzicie. - Obejrzał się przez ramię na tłące się resztki chaty. - Znajdziemy ich. To niewielka wyspa.

Griffith wpatrywała się w przekaz telewizyjny, obejmujący w tej chwili mniej więcej jedną trzecią powierzchni wyspy. Wydawało jej się, że dostrzegła jakiś ruch w górnym lewym rogu obrazu, nie była jednak całkiem pewna. Pochyliła się, skupiając na nim uwagę. Istotnie, coś się tam poruszało. Rozejrzała się po sali. Nikt nie zwracał uwagi na transmisję, może z wyjątkiem tych, których uwaga skupiona była na rozmawiającym z admirałem Tuckerze.

Powróciła do obserwacji terenu, na którym dostrzegła ruch. Zwróciła nań uwagę oficera Armii. Obserwowała przesunięcie obrazu, po którym Tucker znalazł się w jego dolnym prawym rogu, zaś teren, na którym dostrzegła ruch, bliżej środka. Oficer powiększył nieco obraz. Teraz można już było rozpoznać mężczyzn, idących gęsiego ścieżką u stóp wzgórza.

- Mamy ich - powiedziała Beth i poniewczasie dodała: - panie admirale. - W sali zrobiło się naraz bardzo cicho. - Tu, pośrodku, nieco z lewej. - Wskazała miejsce palcem.

- Brandon, wychodzą z tunelu na północny zachód od was - poinformował Tuckera Billings.

Beth szepnęła coś oficerowi Armii. Obraz przesunął się w lewo; wychodzący z tunelu ludzie znajdowali się teraz w prawym rogu. Długi ich szereg poruszał się szybkim krokiem w stronę brzegu. Prowadziły ich dwie mniejsze postaci w jaśniejszych ubraniach.

Dlaczego zmierzają w kierunku morza? - zastanawiała się Beth Griffith. Sami zapędzają się w ślepy róg. Postanowiła dokładniej przyjrzeć się plaży. Podeszła bliżej ekranu i wówczas dostrzegła coś, czego zapewne nie widzieli inni. Owalny kształt, regularny w stopniu, jakiego nie spotyka się w naturze. Tkwił w ocienionej drzewami zatoczce, wrzynającej się w głąb wyspy.

- „Sumatran Star”! - krzyknęła. - Admirale, oni uciekają na pokład swego statku! Wprowadzili go do zatoki, jest praktycznie niewidoczny. O, tu!

Billings przyjrzał się ekranowi i skinął ręką na oficera wywiadu, który natychmiast połączył się z pułkownikiem Tuckerem.

W niespełną minutę później cztery szturmowe helikoptery Cobra zaatakowały idących gęsiego ludzi. Działko prowadzącej maszyny strzelało nieprzerwanie z wysokości niespełna dwudziestu metrów. Trzy następne powtórzyły atak. Idący ścieżką ludzie odpowiedzieli ogniem i rozbiegli się w poszukiwaniu schronienia.

Nagle rozległo się wycie silników Harrierów. Pierwszy zrzucił dwie pięćsetfuntowe bomby i poderwał się; widać było wyraźnie kondensację pary za końcówkami jego skrzydeł. Obie bomby wybuchły za burtą. Drugi naleciał nieco niżej i trafił statek w dziób.

Zza wzgórza wyleciał CH-53E i osiadł na plaży na południe od tonącego statku. Marines, których przetransportował, odcięli drogę ucieczki piratom. W momencie, kiedy startował, za nimi także pojawili się żołnierze piechoty morskiej. Doszło do wymiany ognia. Dowódca nieprzyjaciół szybko zorientował się, że przeciwnicy mają znaczną przewagę liczebną. Przekrzykując hałas walki nakazał swym ludziom się poddać. Natychmiast zaprzestali walki.

Na grzbiecie wzgórza pojawił się biegnący pułkownik Tucker, za którym usiłowali nadążyć Luther i Dillon.

- Wstrzymać ogień! - krzyknął, po czym zwrócił się do łącznościowca. - Rozkaż wszystkim, by wstrzymali ogień. Pan ma tutaj zostać - zwrócił się do Dillona.

Spojrzał na niego tak, jakby wzrokiem chciał go przyszpilić do miejsca i pośpieszył przed front marines.

Ciężko dyszący Dillon rozejrzał się dookoła, próbując zorientować się w sytuacji. Luther trzymał swego M-16 swobodnie, w sposób wskazujący na wielkie doświadczenie, uważnie przyglądając się dżungli w poszukiwaniu jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Znajdowali się po zachodniej stronie bazy na wzgórzu, przy granicy ścieżki, którą odszedł Tucker. Za plecami mieli wąwóz, sugerujący obecność wody, najprawdopodobniej strumienia. Podszedł do nich Gordon, także uzbrojony w M-16.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- U nas tak - odparł Luther, gestem głowy wskazując stojącego przed linią żołnierzy pułkownika. - Wygląda na to, że tu wszystko się powoli układa. Chyba ich odcięliśmy.

- Mam szczerą nadzieję, że tak.

Gordon poprawił za ciasną zapinkę hełmu pod brodą.

Luther spojrzął na Dillona.

- Dobrze się pan czuje? - spytał. - Całkiem niedawno omal nie odstrzelili panu tyłka.

- Nic się nie stało. Po prostu mnie zaskoczyli - bronił się Dillon.

- Zaskoczyli? - Luther omal się nie roześmiał. - Stracił pan przytomność!

- Nie, nie straciłem. - Dillon racjonalizował sytuację bardziej dla siebie, niż dla towarzyszących mu żołnierzy. - Mogło mnie co najwyżej oszołomić.

Luther uśmiechnął się kpiąco.

- Moim zdaniem powinniśmy pozostać tu, panie Dillon. Nie widzę w pobliżu żadnych złych facetów, a gdyby strzelanina miała zacząć się na nowo, z pewnością tu nam będzie najlepiej.

- Wolałbym podejść bliżej... zobaczyć, co się dzieje...

- Panie Dillon, doskonale pamiętam, co powiedział pułkownik. Powiedział: „Ma pan tutaj zostać!”. „Tutaj” - demonstracyjnie rozejrzał się dookoła - oznacza po prostu tutaj. A poza tym wszystko zaraz powinno się skończyć - dodał.

Pułkownik Tucker był dokładnie tego samego zdania. Mimo iż grupa nieprzyjaciół znajdowała się, jak na jego gust, zdecydowanie za blisko. Nadal uzbrojeni i nadal groźni, stłoczyli się na pobliskiej polance. Za ich przywódcą, niewysokim, mocno zbudowanym mężczyzną, stała dziewczynka i biała kobieta, którą trzymał mocno za ramię. Pułkownik powoli podszedł do niego.

- Rozkaż swoim ludziom, aby złożyli broń - powiedział.

- Nie - odparł natychmiast pirat. - Wy opuście wyspę. Zostawcie nas albo zginą.

- Kim pani jest? - spytał kobietę Tucker.

- Misjonarką. Oni... - przerwała, uderzona w twarz przez trzymającego ją mężczyznę.

- Nie mówić. - Terrorysta obrócił wzrok na Tuckera. - Wynosić się z wyspy albo umrą.

Pułkownik z trudem opanowywał wściekłość.

- Uspokój się - powiedział i spojrzął na swego porucznika. - Sprowadź mi tu natychmiast porucznika Armstronga. Niech przyśle tu Węża. Możemy potrzebować tłumacza.

Porucznik sięgnął po radio.

- Złóżcie broń, bo inaczej zginie was więcej - powiedział pułkownik do przywódcy piratów.

- Zaatakowaliście nas.

- Jeśli odłożycie broń, nic wam nie zrobimy.

- Wynoście się z wyspy!

Niski mężczyzna rozpaczliwie rozejrzał się dookoła. W tym momencie Tucker zawahał się. Uczono go, jak dokonywać ataków z morza na ląd, a nie jak negocjować z terrorystami przetrzymującymi zakładników.

- Admirale, śledzi pan sytuację? - spytał przez radio.

- Tak.

- Widzi pan, co się dzieje?

- Aż za dobrze, lepiej nie trzeba.

- Mam zamiar zatrudnić Węża. Czy pan się zgadza?

- Oczywiście, panie pułkowniku.

W tym momencie pojawił się porucznik Andersen z SEAL Marynarki. Podbieg do Tuckera i natychmiast zorientował się w sytuacji.

- Co mamy robić? - spytał.

- Wąż na miejscu?

- Tak jest.

- Mam wrażenie, że potrzebny byłby nam tłumacz w rozmowie z tym panem, który trzyma kobietę. Jeśli jego przekonamy, inni pójdą z nami. Zgoda?

- Tak jest, panie pułkowniku. Nie mamy chyba innego wyjścia. Nie możemy przecież przerwać operacji ze względu na dwójkę zakładników. - Spojrzeli sobie w oczy, porozumiewając się bez słów. Armstrong jednym rzutem oka ocenił słabość pozycji przeciwnika. Wiedział już, że pokonanie go jest tylko kwestią czasu. - Czy wiadomo coś o kapitanie „Pacific Flyera”?

- Nie. Słuchaj, kiedy zdejmę hełm, Wąż powinien zacząć tłumaczyć.

- Tak jest.

Armstrong odwrócił się i pobiegł na wzgórze.

Tucker odwrócił się ku terrorystom.

- Wypuść ją - powtórzył, a potem spojrzał na kobietę. - Jak pani na imię? - spytał. Kobieta potrząsnęła głową, zbyt przerażona, by mu odpowiedzieć.

Tucker powoli ruszył w ich kierunku. Terrorysty mierzyli prosto w niego. Dłonie trzymał uniesione, pokazując, że nie ukrywa broni.

- Wypuście je - zażądał.

- Nie. Wynoście się z wyspy!

- Chyba potrzebny nam tłumacz. Nie potrafię pana zrozumieć.

- Rozumieć dobrze. Zyskuje czas.

- Nie. Potrzebujemy tłumacza. Zaraz go wezwę.

Tucker zatrzymał się niespełna dwadzieścia metrów od terrorystów. Przykłęknął, zdejmując jednocześnie hełm, powoli, by nie wzbudzić niepokoju, cały czas trzymając ręce na wierzchu. Zdjął hełm i sięgnął po radio.

W tym momencie przemówił karabin snajperski Węża, Remington 700. Kula trafiła trzymającego kobietę terrorystę w pierś, odrzucając go o kilka kroków. Kobieta krzyknęła. Tucker kilkoma susami dopadł ją i przygniótł wraz z dzieckiem do ziemi. Wywiązała się krótka walka ogniowa. Piraci nie byli jednak w stanie stawić czoła marines, którzy mieli czas ocenić odległość i pozycję celów, i teraz trafiali w nie z M-161 przerażającą wręcz dokładnością.

- Padnij! - krzyknął do Dillona Luther.

Obaj rzucili się na ziemię w bok od ścieżki.

Niespełna dwadzieścia metrów dalej rozległ się huk wybuchu. Ziemia trysnęła w powietrze przy następnym, pięć metrów bliższym. Luther ostrożnie podniósł głowę.

- Moździerz! - krzyknął. - Uciekać ze ścieżki!

Kapral Gordon pojawił się obok nich. Wraz z Lutherem złapał Dillona pod pachy; obaj znieśli go do stóp wzgórza. Moździerz tymczasem strzelał nieprzerwanie. Wbiegli

na zbocze tak wysoko, jak tylko się dało i przypadli do ziemi. Wszędzie wokół nich wybuchały pociski. Słyszeli żołnierzy piechoty morskiej biegających ni i tam, wykrzykujących rozkazy.

- Cholera! - zaklął Luther. - Nie mamy gdzie uciekać!

Kolejny pocisk z moździerza wbił się w ziemię i wybuchł niemal pod nimi. Nagle miękki grunt poddał się i Dillon poczuł, że spada. W wielką dziurę w zboczu wzgórza wpadli także Gordon i Luther.

Spadli trzy metry w lawinie ziemi, błota, kurzu i odłamków drzew.

Zatrzymali się na dnie. Dillon leżał na wznak, patrząc w niebo. Odgłosy walki ucichły.

- Luther! - krzyknął.

- Co? - Kapral wstał powoli. - O, cholera! - skomentował sytuację.

- Co, do diabła...?

Gordon przewrócił się na bok i jęknął.

Pozbierali się jakoś i zdołali wstać. Znajdowali się w naturalnej jaskini wielkości dużego pokoju. Jedyнным śladem działalności człowieka był tunel, którego wyloty widzieli po lewej i prawej ręce.

- Nic panu nie jest? - spytał Luther.

- Nic - odparł Dillon. - Gdzie my właściwie jesteśmy?

Luther rozejrzał się, szukając jakiejś drogi wyjścia.

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Możemy spróbować któregoś z tych tuneli, ale jeden diabeł wie, gdzie prowadzą.

- A może lepiej zostać, gdzie jesteśmy - odpowiedział mu Dillon. - Możemy przeczekać tu do końca.

- Niezły pomysł - przyznał Luther.

W tunelu po ich lewej rozległy się jakieś głosy.

- Cofnij się.

Luther wepchnął Dillona w najciemniejszy kąt. Pięciu indonezyjskich terrorystów-piratów pojawiło się w grocie i zatrzymało na chwilę. Nieśli paczkę i prowadzili białego mężczyznę z opaską na oczach, w brudnym, podartym ubraniu.

Dillon, Luther i Gordon zamarli pod ścianami w nadziei, że ich mundury maskujące spełnią swoje zadanie. Przywódca Indonezyjczyków spojrział na wyjście z jaskini. Jego ludzie zaczęli dłubać w zasypującej je ziemi i odłamkach skał, a kiedy obrócili się, dostrzegli Amerykanów. Skierowali na nich broń. Marines mierzyli w nich od początku, nikt jednak nie wystrzelił.

- Rzucić broń! - krzyknął przywódca terrorystów, przykładając pistolet maszynowy Wzór 64 z tłumikiem do głowy białego mężczyzny. Wyglądało to dokładnie jak na zdjęciu z Polaroidu, pozostawionym na mostku „Pacific Flyera”. Obaj stali dokładnie pod dziurą w ziemi. Padało na nich jasne światło. Dillon widział pasemka zaschłej krwi, która wyciekła spod opaski na oczy.

- Rzucić broń - powtórzył terrorysta.

- A niby dlaczego? - spytał Luther doskonale kontrolowanym, silnym głosem.

- Będę strzelał!

- Kim jest ten facet? - zainteresował się marine.

- Kapitanem statku.

- A tym kim jesteś? - spytał Dillon ku własnemu zaskoczeniu.

Kapral Luther spojrział na niego, zdziwiony.

- Jestem Jerzy Waszyngton. Jak on, walczę o wolność mojego kraju.

- Przeciw komu?

- Przeciw wam i zachodniemu imperializmowi. Rzućcie broń.

- Puśćcie go.

Dillon powoli ruszył w stronę Waszyngtona.

- Zastrzelę najpierw jego, potem ciebie.

Terrorysta zachowywał podziwu godną cierpliwość.

- Nie mam broni. - Dillon wyciągnął przed siebie puste ręce.

- Tym lepiej - stwierdził Waszyngton nieco bardziej piskliwie niż dotychczas.

Reszta terrorystów stała za jego plecami z bronią wymierzoną w Amerykanów.

Dillon przesunął się jeszcze krok do przodu.

- Ostrożnie - szepnął Luther.

- Dość - stwierdził chłodno Waszyngton.

W tej chwili ośrodkiem zainteresowania stał się tunel po lewej. Wyraźnie słychać było głosy Amerykanów. Ktoś krzyknął:

- Uważajcie na ładunki wybuchowe! Sprawdźcie rozgałęzienia!

Słychać było kroki wielu ludzi.

- Oczyszczają tunel - powiedział Dillon. - Nie uda się wam z niego uciec.

- Ależ oczywiście, że się uda. - Waszyngton spojrział w stronę wyjścia. - Idźcie z nami. Im więcej zakładników tym lepiej. - Indonezyjczycy poszli za nim. - Idziemy! - krzyknął ich przywódca.

Gordon, Luther i Dillon nie ruszyli się nawet krokiem.

W jaskini pojawili się marines trzymając przed sobą broń.

- Stać! - krzyknął ich dowódca na widok Indonezyjczyków.

Waszyngton odsunął lufę broni od głowy kapitana Claya Bonhama i strzelił do niego. Trzej marines padli na ziemię i odpowiedzieli ogniem. Dillon doskoczył do Waszyngtona i złapał go za koszulę.

- Na ziemię! - krzyknął do Bonhama.

Waszyngton puścił kapitana „Pacific Flyera” i pobiegł w kierunku wyjścia z tunelu. Jednocześnie wymierzył broń w Dillona. Wystrzelił. Pierwsza kula trafiła w pierś i rzuciła go w ramiona Luthera. Inny Indonezyjczyk strzelił do Gordona trafiając go w udo. Luther położył go krótką serią. Waszyngton zdołał wystrzelić jeszcze raz, trafiając w hełm Dillona, niemal idealnie między dwoma „m” w „Jimmy”. Dillon upadł.

W jaskini pojawiło się jeszcze sześciu strzelających do wszystkiego co się rusza marines. Terrorysty znikli w tunelu. Amerykanie ruszyli za nimi, ale powstrzymał ich donośny wybuch. Jaskinię wypełnił kurz.

Luther poderwał się na równe nogi. Wylot tunelu został całkowicie zasypany.

- O, cholera! - powiedział z podziwem.

Marines znajdujący się u wylotu jaskini nie zostali nawet ranni. Wstawali powoli i otrzępywali się.

- Wygląda na to, że wpadli we własną pułapkę - zażartował jeden z nich.

Luther podbiegł do Dillona i obrócił go ostrożnie.

- Nic się panu nie stało? - spytał.

Dillon próbował usiąść.

- Został pan postrzelony. Wszystko w porządku?

- Nie wiem.

- Obejrzę pana.

Luther przyjrzał się hełmowi. W jego tylnej części znalazł wgłębienie, ale nie dziurę na wylot. Pomacał potylicę Dillona. Rósł na niej całkiem niezły guz.

- Oooch! - jęknął Dillon.

- Ani śladu krwi - ucieszył się marine.

Teraz przyszła kolej na sprawdzenie kamizelki kuloodpornej. Widać było na niej wyraźne wgłębienie.

- Jest pan winien panu Kevlarowi skrzynkę szkockiej - zachichotał Luther.

Wymiana ognia na ścieżce wkrótce się zakończyła. Ocaleli Indonezyjczycy rzucili broń na ziemię i założyli ręce na głowę. Tucker wstał.

- Przerwać ogień! - rozkazał.

Odgłosy walki ucichły; Indonezyjczyków, którym udało się przeżyć, rzucano na ziemię i wiązano. Pułkownik wziął radio od łącznościowca.

- Bravo, szef Krzesła, wyspa zabezpieczona. Mamy ich wszystkich. Około stu pięćdziesięciu zabitych, pięćdziesięciu jeńców. Ponieśliśmy niewielkie straty...

Tucker podszedł do kobiety i dziewczynki, pomógł im usiąść. Kobieta miała około trzydziestki i jasne włosy, była szczupła, opalona. Miała na sobie ubranie khaki w zachodnim stylu. Dziewczynka, nie więcej niż dziewięcioletnia, ubrana była w dżinsowe ogrodniczki i podkoszulek. Kobieta siedziała spokojnie, krótkie włosy spadały jej na oczy. Mała tuliła się do matki.

Pułkownik delikatnie dotknął ramienia kobiety i przedstawił się jej.

- Czy mówi pani po angielsku? - spytał. - Jak się pani nazywa?

Kobieta spojrzała na niego. Płakała, nie zdołała wykrztusić ani słowa. Tucker przyklęknął przy niej.

- Jak się pani nazywa? - spytał bardzo łagodnie.

Kobieta odetchnęła głęboko.

- Jesteście Amerykanami? - spytała z amerykańskim akcentem.

- Tak. Nazywam się Tucker, jestem pułkownikiem Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych.

- Co wy tu robicie?

- O to samo miałem właśnie spytać panią. Jak pani na imię?

- Mary Carson - odpowiedziała niemal niesłyszalnym tonem kobieta.

- Co pani tutaj robi?

Tucker pytał bardzo łagodnie, nie spuszczał wzroku z kobiety.

- Oni nas tu sprowadzili.

- Kto?

- Oni.

Kobieta dopiero teraz zorientowała się, że nie jest pod ciągłą obserwacją terrorystów.

- Jak długo panią przetrzymywali?

- Dwa dni.

- Gdzie was złapali?

- Na Irian Jaya.

- Gdzie to jest?

Kobieta wstała. Otarła oczy.

- W Indonezji. To jedna ze wschodnich wysp Indonezji.

- Jak się pani tu dostała?

- Samolotem. Wodnopłatem. - Zacisnęła powieki, jakby broniła się przed straszliwymi wspomnieniami. - Byliśmy misjonarzami. Mój mąż, córka i ja. Przebywaliśmy na Irian Java od pięciu lat... należymy do Tłumaczy Biblii Wycliffe'a. Żyjemy wśród krajowców, uczymy się ich języka, który nigdy nie był nawet zapisany, a potem tłumaczymy na ten język Biblię, by mogli ją czytać. Mój mąż jest tłumaczem Biblii.

- Który to? - Tucker rozejrzał się dookoła.

- Był w jednym z tych betonowych budynków. - Głos kobiety załamał się. - Nie żyje.

- Co się stało?

- Właśnie wstaliśmy - opowiadała z wahaniem kobieta. - Na śniadanie. Powiedzieli, że mamy wychodzić, ale on wrócił jeszcze po Biblię, żebyśmy mogli odprawić poranne modły. Spadła bomba... - przerwała, rozpaczliwie szukając czegoś, czegokolwiek, co oderwałoby ją od tych przerażających obrazów. - Skąd się tu wzięliście?

- Ci ludzie zaatakowali amerykański statek, wymordowali jego załogę i zatopili go na północ od Dżakarty. Chcieliśmy ich dorwać. Dlaczego was tu ściągnęli?

Kobieta tylko pokręciła głową.

- W ogóle nic nam nie powiedzieli. Kazali tylko robić, co każą.

- Czy skrzywdzili panią? A może... córkę?

Mary Carson zaprzeczyła, obróciła się do córki i pogładziła ją po głowie.

Dillon, idąc ścieżką na czele oddziału w poszukiwaniu pułkownika Tuckera, usilnie próbował zignorować ból w piersi. Luther szedł tuż za nim. Gordon został z sanitariuszami, opatrującymi mu nogę.

- Pan pułkownik tu jest - powiedział Luther.

Dillon spojrzał na Bonhama.

- Da pan radę? - spytał. - Czy może powinniśmy sprowadzić pułkownika Tuckera?

- Dam radę - odpowiedział krótko kapitan Pacific Flyera", robiąc wszystko, by nie opóźniać im marszu.

Dillon pozdrowił pułkownika gdy tylko go zobaczył, z odległości dobrych dziesięciu metrów. Większość marines gapiała się na podchodzące do nich trio.

- Dillon! - ucieszył się Tucker, wstając na ich powitanie. - Gdzie, do diabła, się pan podziewał?

- Pocisk z moździerza wybuchł tuż obok nas i rozwalił całe zbocze wzgórza.

Odsłonił wielką jaskinię, do której wpadliśmy.

- Co? - Pułkownik spojrzał na Luthera, oczekując potwierdzenia tej fantastycznej opowieści. - Co mi pan tu próbuje...?

Dillon uniósł dłoń w uspokajającym geście.

- Pułkowniku Tucker - powiedział - to kapitan Bonham z Pacific Flyera".

Tucker wyciągnął rękę.

- Pan jest kapitanem tego statku, który został zaatakowany?

Bonham obrzucił wzrokiem jego i zgromadzonych wokół niego marines.

Najwyraźniej nie orientował się jeszcze, o co chodzi.

- Co tu się dzieje? - spytał.

- Przyplłynęliśmy, by pana wydostać i dać im do wiwatu. Nic się panu nie stało?

- Prawie nic - westchnął Bonham.

- To ci ludzie porwali pański statek?

Tucker wskazał na leżących na ziemi, skrzepowanych Indonezyjczyków.

- Owszem, oni. Ich szef kazał się nazywać Waszyngtonem. Był w tunelu.

- Ujęliście go? - spytał Luthera Tucker.

- Nie, panie pułkowniku - odparł Luther. - Próbował uciec tunelem, który wybuchł mu pod nogami.

- Jaka szkoda - Tucker przejmująco udał współczucie. - No cóż, kapitanie Bonham, zdaje się, że tu już skończyliśmy ze wszystkim. Zabierzemy pana na „Waspą” i dopilnujemy, żeby się pan ogarnął. Potem opisz pan to, co się z panem działo. Jestem pewien, że mnóstwo ludzi będzie chciało się o tym dowiedzieć. - Nagle przypomniał sobie o Mary Carson. - Wiedział pan, że oprócz pana uwięzili także rodzinę misjonarzy?

- Nie. Cały czas miałem opaskę na oczach. Wiedziałem, że coś się dzieje, ale nie wiedziałem co.

Podeszli razem do Mary Carson.

- Panie Bonham, to pani Carson i jej córka.

- Dzień dobry - powiedział Bonham, bardzo niepewnie.

Mary milczała jak zakłeta. Tucker, wyczuwając niezręczność sytuacji, spojrzał na kaprala Luthera.

- Kapralu, nie musicie dłużej opiekować się panem Dillonem - oznajmił. -

Zajmiecie się teraz panem Bonhamem i dopilnujecie, by najszybciej jak to możliwe znalazł się na „Waspie”.

- Tak jest!

Luther wyprężył się słuźbiście. Tucker spojrzał na Bonhama.

- Złapię pana na „Waspie” - powiedział. - Chciałbym usłyszeć całą tę historię.

Bonham podrapał się po głowie. Rozejrzał się dookoła. Wobec setek marines i martwych Indonezyjczyków nie bardzo wiedział, co powinien powiedzieć.

Dillon pobiegł wzrokiem za jego spojrzeniem i po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że w promieniu kilku kilometrów leżą ciała martwych mężczyzn, że wokół ich głów krążą muchy, a same ciała już zaczynają puchnąć. Z trudem powstrzymał atak mdłości.

Luther poprowadził Bonhama do czekającego na nich CH-53E. Tucker pograżony był w dyskusji z kapitanem marines. Dillon podszedł do Mary Carson, dumny z siebie, przekonany o własnej wyższości, pełen jeszcze euforii walki.

- Jestem Jim Dillon - powiedział, wyciągając rękę.

- Dzień dobry.

Kobieta ujęła ją i zaraz puściła. W jej uścisku nie było siły.

- Jakim cudem znalazła się pani na tej wyspie?

- Byliśmy misjonarzami. Porwano nas z innej wyspy. - Na jej twarzy malował się przeraźliwy ból.

- Bardzo przykro mi to słyszeć. Mam tylko nadzieję, że rozprawiliśmy się z porywaczami. Nigdy już nikogo nie porwą.

Kobieta przyglądała mu się, nie mówiąc nic:

- Powiedziała pani „byliśmy”. Pani i pani córka?

- Ja, moja córka i mój mąż.

- Co się stało z pani mężem?

- Zginął podczas ataku. Zabiła go chyba jedna z waszych rakiet.

Dillon pobladł wyraźnie.

- Przykro mi to słyszeć - wykrztusił. - Nie wiedziałem.

Córeczka podeszła do Mary Carson. Kobieta przytuliła ją mocno.

- Jestem asystentem do spraw specjalnych przewodniczącego Izby Reprezentantów.

Dillon dopiero w tej chwili pomyślał o prezentacji.

- Jak do tego doszło? - spytała Mary.

- Do czego?

- Do ataku. Prezydent wypowiedział wojnę Indonezji?

- Nie. - Dillon przyglądał się jej uważnie. Nie wiedział, czy ta kobieta szuka kogoś, komu mogłaby pogratulować czy też kogoś, kogo mogłaby obciążyć winą za swą osobistą tragedię. - To był rozkaz Kongresu. Przystudiowałem konstytucję i znalazłem w niej przepis, na mocy którego Kongres zlecił dokonanie ataku.

- To przez pana?

Po policzkach Mary ściekały łzy. Dillon ugiął się pod niemal fizycznym ciężarem winy.

- Chyba tak - przyznał niepewnie.

Mary odwróciła się, wzięła córeczkę za rączkę i bez słowa poszła w stronę helikoptera.

Admirał Billings nie spuszczał wzroku z monitorów. Predator przekazywał wyraźny obraz kobiety i dziewczynki rozmawiających z Tuckerem i Dillonem. Tucker właśnie przekazał przez radio to, co Mary Carson powiedziała mu o mężu. Spojrzał na Beth. W jej wzroku odczytał współczucie dla żony misjonarza.

- Te rzeczy nigdy nie odbywają się zgodnie z oczekiwaniami, prawda? - powiedział.

- Nie, nigdy - przyznała Beth.

- Rozwaliliśmy misjonarza. Już widzę te nagłówki w gazetach.

- Przecież nie wiedzieliśmy o nim, panie admirale.

- A powinniśmy. - Billings był wyraźnie wściekły. - Wiedzielibyśmy, gdybyśmy mieli łączność z Waszyngtonem. Założę się, że tam o nim wiedzieli.

- A ja się założę, że wszystkiego się wkrótce dowiemy. Jeśli wiedzieli i nie przekazali nam tej informacji, będą musieli odpowiedzieć na kilka pytań.

- W ciągu najbliższych miesięcy wielu ludzi będzie musiało odpowiedzieć na wiele pytań - zakończył rozmowę Billings.

Helikoptery przewoziły ludzi partiami z polanki w dżungli na pokład „Wasp”. Jako pierwsi na okręt wrócili ranni marines, potem ranni Indonezyjczycy, na końcu zaś żołnierze eskortujący indonezyjskich jeńców.

Dillon obserwował ewakuację stojąc na uboczu. Nie miał ochoty z nikim rozmawiać. Po kilku minutach usiadł na przewróconym drzewie. Liście miało zielone, pień zdrowy, przewrócił je wybuch. Było martwe, choć jeszcze o tym nie wiedziało.

Zdjął hełm. Po raz nie wiadomo który dotknął nadal rosnącego guza na potylicy. Sanitariusz uznał go za zdrowego, poradził mu jednak, by na „Waspie” dał się przebadać i zrobił sobie prześwietlenie. Podbiegł do niego sierżant marines.

- Leci pan następnym helikopterem - powiedział. Dillon pochylił się, by wstać i poczuł ostry ból w piersi. Odetchnął głęboko. Nagle zdał sobie sprawę, że czuje silny, nieprzyjemny zapach i że jest to zapach jego ciała, ostrzejszy i bardziej intensywny od zwykłego zapachu potu i zmęczenia. Uświadomił sobie, że w życiu nie był taki brudny. Odwrócił głowę, odetchnął głęboko świeżym powietrzem i poszedł do helikoptera.

Wartownik otworzył mu drzwi do centrum dowodzenia. Admirał Billings już na niego czekał. Dillon nadal miał na sobie mundur marine z napisem na kieszonce USMC. Nie umył nawet twarzy, lecz prosto z „Wasp” wrócił helikopterem na lotniskowiec. Tego lotu nie było w rozkładzie, co mocno zirytowało parę osób, Dillon był jednak zbyt zmęczony, by zastanawiać się, jakim jest ciężarem i dla kogo. Obchodziło go tylko to, że żyje.

Wartownik cicho zamknął za nim drzwi.

- No i udało się panu, panie Dillon - stwierdził admirał, odrywając się od lunchu.

- Tak jest, panie admirale.

Dillon z jękiem zdjął hełm.

Beth Griffith, która jadła wraz z admirałem, spojrzała na niego zaskoczona.

- Dobrze się pan czuje? - zapytała

- Nieźle.

- Pułkownik Tucker powiedział mi przez radio, że omal nie odstrzelili panu głowy.

W głosie admirała brzmiało rozbawienie. Dillon pokazał mu hełm, wgnieciony wystrzeloną przez Waszyngtona kulą pomiędzy dwoma „m” w imieniu Jimmy.

- Trafili właśnie tu.

- Postrzelili pana? - zdumiała się Beth Griffith. - Widzę, że krwawi pan z rany koło ucha

Dillon dotknął palcem strużki zakrzepłej krwi.

- To tylko skaleczenie - zaprotestował.

- Czy cywile mogą dostać Fioletowe Serce?

Billings uśmiechnął się.

- Nie wiem. Proszę się dowiedzieć. Pani napisze wniosek, a ja go podpiszę.

Dillon opadł ciężko na skórzany fotel.

- Jeszcze nigdy nikt do mnie nie strzelał - wyznał.

- Co się właściwie stało? - powtórzyła pytanie Beth Griffith.

- Później pani odpowiem.

Dillon był zbyt zmęczony, by rozmawiać.

- No cóż, panie Dillon, sądzi pan, że postąpił właściwie? - spytał admirał Billings.

Dillon wyprostował się w fotelu.

- Chyba nie mnie o tym decydować.

Admirał spojrzał mu w oczy.

- Moim zdaniem tylko pan może o tym zdecydować. Jeśli nie odpowie pan na to pytanie teraz, pozostanie ono bez odpowiedzi na zawsze. Czy ma pan zamiar odgrywać polityka i czekać, co wyniknie z pańskich decyzji, nim oceni je pan jako „dobre” lub „złe”? My tutaj nie mamy tego luksusu. Musimy działać. - Zamilkł na chwilę, czekając na odpowiedź. - Nie jestem pana dowódcą - dodał jeszcze. - Chętnie wysłucham, co ma pan do powiedzenia.

Dillon przetarł oczy.

- Właściwie nie wiem, jak odpowiedzieć na pańskie pytanie, panie admirale. Na początku uważałem, że tym facetom należy dokopać. Teraz im dokopaliśmy. Chyba trochę dziwię się, że nie czuję ulgi, której się spodziewałem i...

- Panie Dillon, wiele się na ten temat mówi, ale zabijanie to zabijanie.

- I kiedy powiedziano mi, że zginął niewinny amerykański misjonarz, kiedy na własne oczy widziałem, jak giną ludzie... muszę zastanowić się, czy było warto.

- Nad tym zawsze się pan powinien zastanawiać, panie Dillon. My patrzemy na wszystko co robimy dokładnie tak, jak pan. Na wszystko. A teraz, kiedy obejrzał pan sobie to, co chciał pan obejrzeć, jakie są pańskie wnioski?

- Nawet wiedząc to co wiem uważam, że postąpiłem słusznie. Gdyby zaszła taka konieczność, zrobiłbym to jeszcze raz.

Billings spojrzał na monitory.

- A przy okazji, panie Dillon... mam dla pana złą wiadomość.

- Tak?

- Naprawili DNO. Powinien przylecieć za parę godzin i wówczas zabierze pana na ląd.

- To nie jest zła wiadomość.

Jim Dillon poczuł wielką ulgę.

- Doprawdy? A już myślałem, że po odstawieniu tego numeru a la John Wayne zechce pan zostać z nami do końca rejsu.

- Panie admirale, gdybym był marynarzem pragnąłbym tylko tego, ale, szczerze mówiąc, wolę wrócić do Waszyngtonu. Jestem ciekaw, jak zakończy się cała ta sprawa.

- Ja też. Najpierw jednak powinien pan dać się zbadać naszemu lekarzowi okrętowemu. - Billings rozejrzał się po sali. - Kapralu Knight, odprowadźcie pana Dillona do izby chorych.

- Tak jest, panie admirale.

- Komandorze Black, czy do Kolegium Szefów Sztabów wysłano informacje o dzisiejszej akcji?

- Tak jest, admirale, już dawno.

- Admirale, chyba powinien pan to sobie obejrzeć. - Beth Griffith przyglądała się obrazowi na największym monitorze.

- O co chodzi?

- Statki w formacji, około ośmiu, zbliżają się do nas od północnego wschodu.

- W okolicy pływają dziesiątki statków.

- Oczywiście, panie admirale, ale te płyną z dużą szybkością.

- Co to znaczy „z dużą szybkością”? Czy to szybkie łodzie patrolowe?

- Na E-2 są innego zdania, panie admirale. Ci robią powyżej trzydziestu węzłów.

- Trzydzieści węzłów? W formacji?

- Tak jest, panie admirale.

- Niech ktoś bliżej się im przyjrzy.

- Tak jest, panie admirale. Już wysłaliśmy samolot, ale na razie nie mamy żadnych bezpośrednich informacji.

Billings przysłuchiwał się rozmowom z E-2. Kiedy spojrzął na monitor, w pobliżu formacji dostrzegł liczne kontakty w powietrzu.

- Co tu robią te samoloty? - spytał.

- Nie wiemy na pewno. W tej chwili startują nasze myśliwce, które mają to sprawdzić.

- Jak szybko lecą?

- Powyżej tysiąca na godzinę, panie admirale.

Dillon spoglądał to na admirała, to na Blacka. Obaj słuchali kontrolera z pokładu E-2 kierującego część F-14 na kurs spotkaniowy nadlatujących maszyn. Było ich sześć, oddalonych o mniej więcej dwieście pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód.

- Kody transponderów IFF prawidłowe? - spytał Billings.

- Nie wiemy, panie admirale. Wypadliśmy z sekwencji.

- To cudownie.

Patrzyli na zbliżające się do siebie cele. Szybkość zbliżenia wzrosła do dwóch tysięcy kilometrów na godzinę.

- Tylko jeden kraj jest w stanie operować myśliwcami tak daleko od lądu - powiedział admirał Billings. - To nasi przyjaciele z „Trumana”. Sprawdzimy, jakie asy chowają w rękawach.

Na mostku admiralskim lotniskowca USS „Harry S. Truman” admirał Blazer przeczytał depeszę i zwrócił się do swojego łącznościowca:

- Kiedy została nadana?

- Przechwyciliśmy ją mniej więcej dwie minuty temu.

Admirał spojrzął na monitor pokazujący wszystkie samoloty w promieniu pięciuset kilometrów.

- Jak blisko „Constitution” znajdują się nasze myśliwce? - spytał.

Oficer operacyjny przyjrzał się wyświetlanym na monitorze cyfrom.

- Poniżej trzystu pięćdziesięciu kilometrów.

- Widział pan to? - Blazer pokazał mu depeszę.

- Tak jest, panie admirale, dostałem kopię.

- Wygląda na to, że się spóźniliśmy.

Admirał nie wiedział czy powinien odczuwać gniew, czy ulgę.

- Tak jest, panie admirale. Z depeszy wynika, że akcja została zakończona. Reszta to jej opis, ale rezultaty znamy.

- Myśli pan, że wysłali ją z myślą o nas?

Oficer operacyjny wzruszył ramionami. Nie spuszczał wzroku z twarzy admirała.
- Nie wiem, panie admirałe, ale to możliwe. Admirał Billings prawdopodobnie wie, że jesteśmy w pobliżu.

- Nasze myśliwce znajdują się w odległości trzystu pięćdziesięciu kilometrów od „Constitution” - zameldował oficer wywiadu, wpatrzony w monitor przekazujący obraz identyczny z tym, jaki właśnie oglądał Blazer. - E-2 melduje, że F-14 z „Constitution” wystartowały celem przechwycenia naszych maszyn.

Admirał Blazer uśmiechnął się lekko, doceniając ironię zaistniałej sytuacji.

- Niech spotkają się z tymi Tomcatami - rozkazał. - Powiedźcie im, żeby się szeroko uśmiechali i pomachali skrzydłami. Wojna skończona. Tak jak ja to widzę, zakończyła się również nasza misja. - Rozejrzył się dookoła, - Ktoś się ze mną nie zgadza?

Odpowiedziało mu milczenie.

- Kurs na spotkanie z grupą bojową „Constitution”. Wyślijcie depezę do Waszyngtonu z informacją o naszych zamiarach i prośbą o dalsze instrukcje.

- Tak jest, panie admirałe.

31.

Dillon stanął przed drzwiami mieszkania na stercie czekających na niego egzemplarzy „Washington Post”, wyjął z kieszeni klucz, przekręcił go w zamku i wszedł do środka. Rzucił torbę w korytarzu i kopniakiem zamknął drzwi. Światelko automatycznej sekretarki mrugało nagłaco. Wyłączył ją z kontaktu. Płaszcz rzucił na krzesło w kuchni i padł na kanapę w dużym pokoju, krzywiąc się, bo zabolął go guz na głowie. Powoli przekręcił się na bok. Leżał bez ruchu może pięć minut. Próbował przypomnieć sobie zdarzenia z ostatnich kilku dni, ale był na to zbyt zmęczony. Widział tylko oderwane obrazy, niczym pasażer samochodu, który brał udział w wypadku.

Usiadł na kanapie, pocierając dłońmi twarz. Wiedział, że powinien się przespać, był bardzo zmęczony, ale nie potrafił przestać myśleć. Wyjął przenośny telefon i zadzwonił do domu przewodniczącego Izby Reprezentantów. Telefon odebrała jego żona.

- Pani Stanbridge, mówi Jim Dillon.

- Jak się masz, Jim? Gdzie jesteś?

Głos pani Stanbridge był miły i przyjazny w każdej sytuacji, byłby taki nawet gdyby przyszło jej oznajmić trzęsienie ziemi.

- Wróciłem. Jestem w domu.

- Poczekaj chwilę. John z pewnością będzie chciał z tobą porozmawiać.

Z pewnością tylko o tym marzy, pomyślał Dillon. Zwłaszcza że wie, ilu Amerykanów zginęło...

- Jim, wróciłeś!

- Tak, panie przewodniczący. Przepraszam, trwało to dłużej niż się spodziewałem, ale samolot...

- Nie szkodzi, nie szkodzi. Niczego nie przegapiłeś.

Bardzo śmieszne.

- No cóż, panie przewodniczący, z tamtej perspektywy wyglądało to jak... jak cyrk...

Stanbridge prychnął.

- Wyglądało jak cyrk, bo to był cyrk.

- Tak, proszę pana, oczywiście. Na Morzu Jawajskim też działy się dziwne rzeczy.
- Owszem, wiem. Ktoś w Pentagonie puścił przeciek do prasy, głównie informacje, że zabiliśmy amerykańskiego misjonarza, trochę terrorystów i trochę amerykańskich żołnierzy. Nie było to dla nas zbyt miłe.

- Jak pan myśli, jak się to wszystko skończy?

- Trudno powiedzieć. Ale musimy jak najszybciej wypuścić naszą wersję tej historii z dokładną informacją co się stało i jak to nasi dzielni żołnierze uratowali kapitana „Pacific Flyera” oraz rodzinę misjonarza, i załatwili terrorystów, inaczej prezydent wygra tę rundę. - Stanbridge zawahał się, nie bardzo wiedząc jak powiedzieć to, co przecież jakoś powiedzieć musiał. - Chcę zwołać na jutro po południu konferencję prasową, żebyś mógł przekazać dziennikarzom naszą wersję wydarzeń.

- Jak to „naszą wersję”?

Dillon poczuł, że nagle robi mu się zimno.

- Wersję udowadniającą, że podjęliśmy właściwą decyzję. Przecież wiesz, jak to jest, Jim. Wszystko można przedstawić tak, żeby wyglądało albo dobrze, albo źle. Oni przedstawili swoją wersję, według której Marynarka wyszła na bandę idiotów, a ja przy okazji na durnia, a teraz ty powiesz im, co się naprawdę zdarzyło.

- No... nie wiem. To mogą być tajne informacje.

Dillon nie wiedział czy powinien przyznać się przewodniczącemu, że brał bezpośredni udział w akcji.

- Nonsens. Kiedy tylko dowiedziałem się, że wracasz, zwołałem konferencję prasową. Na jutro, na czwartą po południu. Zdażysz się przygotować?

Dillon skrzywił się przeraźliwie. Trudno uciec przed czymś, do czego przewodniczący Izby Reprezentantów zobowiązał się w twoim imieniu.

- Dobrze, proszę pana, ale jutro mamy przecież wtorek. Chciałem zjawić się na rozprawie przed Sądem Najwyższym.

- No przecież musisz się na niej pojawić! Grazio obiecał, że będzie siedział pod drzwiami przez całą noc, byle tylko zdobyć miejsce i obiecał, że zarezerwuje jedno dla ciebie. Rozprawa ma się odbyć o siódmej rano. Chcę, żebyś na niej był. Być może dobrze się zabawisz.

- Oczywiście, proszę pana. Za nic nie przegapiłbym takiej okazji.

Dillon nie przyzwyczał się jeszcze do różnicy czasów, nie do końca potrafił także rozpoznać, kiedy jest brudny, a kiedy czysty. Podczas krótkiej podróży na Południowy Pacyfik stracił na wadze, jednak nadal nie był głodny. Włożył swój najlepszy garnitur, wykrochmaloną na sztywno białą koszulę i granatowy krawat ze wzorem w złote romby. Od czasu, gdy przeprowadził się do Georgetown, właściwie po raz pierwszy wyszedł z domu bez teczki pełnej papierów.

Otworzył drzwi i dostrzegł na progu stos egzemplarzy „Washington Post”. Wniósł je do środka. Zdjął z kupki najnowsze wydanie. Wyjątkowo pogrubione i wyjątkowo wielkie litery nagłówka na pierwszej stronie głośiły: **CZY BUNT KONGRESU? SĄD NAJWYŻSZY PODEJMIE DECYZJĘ NA PORANNEJ ROZPRAWIE.** Przejrzał szybko inne artykuły na pierwszej stronie. Rozprawiano w nich w nieskończoność o liście kaperskim, działaniach grupy bojowej „Constitution”, admirałe Billingsie i indonezyjskich terrorystach-piratach. Odłożył dzisiejszy egzemplarz i sięgnął do poprzednich. **F-14 ZE ZBUNTOWANEGO LOTNISKOWCA ZESTRZELIŁY DWA NASZE F-16 - TWIERDZĄ INDONEZYJCZYCY. PIECHOTA MORSKA ATAKUJE WBREW ROZKAZOM NA INDONEZYJSKIEJ ZIEMI. DZIEWIĘTNASTU MARINES GINIE W ATAKU NA PRYWATNĄ WYSPĘ INDONEZYJSKICH FUNDAMENTALISTÓW.** Zbuntowana grupa bojowa, zbuntowany admirał,

zbuntowany Kongres... słowo „zbuntowany” robiło najwyraźniej karierę, choć od czasu do czasu zastępowały je słowa „renegat” i „renegacki”. „Washington Post” nie był najwyraźniej entuzjastą tej akcji, inaczej używałby słów „bohaterski” lub przynajmniej „dzielny”. Dillon zauważył także, że w każdym z artykułów powoływano się na autorytet prezydenta. Złożył gazety i rzucił je na podłogę.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Metrem dojechał do stacji najbliższej Sądowi Najwyższemu. Resztę drogi przeszedł piechotą. Świt dopiero nadchodził. Szósta rano, lecz na schodach gmachu Sądu Najwyższego kłębił się tłum. Ekipy telewizyjne także zdążyły już przyjechać, dziennikarze oczekiwali na kogoś o znanej im twarzy.

Dillon podniósł kołnierzyk niebieskiego wełnianego płaszcza, zasłaniając nim twarz, starał się jednak nie wyglądać tak, jakby się ukrywał. Do sali sądowej dotarł bez poważniejszych kłopotów, zdumiało go jednak, że prawie wszystkie miejsca są zajęte. Woźny otworzył drzwi o wpół do szóstej, wpuszczając dziennikarzy i publiczność. Grazia dostrzegł w środkowym rzędzie, nieco po lewej. Niemal w tej samej chwili Grazio dostrzegł jego. Uśmiechnął się i pomachał ręką.

Usiedli obok siebie.

- Udało ci się - powiedział Grazio.

- Musiało udać. Nie przegapiłbym czegoś takiego za żadną cenę.

- Nie, chodzi mi o to, że udało ci się wrócić z wojenki.

- Też mi wojenka. Tysiąc pięciuset marines w pogoni za dwustoma terrorystami.

- Może i tak, ale to byli groźni terroryści. No i, co znacznie ważniejsze,

nakopaliśmy im po tyłkach.

Dillon nie miał szczególnej ochoty opowiadać o operacji właśnie w tej chwili. Zauważył, że paru dziennikarzy go rozpoznało. Szybko odwrócił od nich wzrok, nie chciał ich zachęcać.

Grazio niemal przestępował z nogi na nogę.

- Jak to właściwie wyglądało? - spytał.

- Jak co właściwie wyglądało?

- Lotniskowiec... wojna... no, w ogóle.

- Przede wszystkim bardzo dziwnie. - Dillon wzruszył ramionami, próbując pomniejszyć znaczenie ataku. - Widziałem rzeczy, których nie spodziewałem się zobaczyć.

- Z pewnością było fajnie.

- No, może i tak, ale kiedy człowiek widzi, jak giną ludzie to wówczas...

- Owszem, lecz oni przecież zasłużyli na śmierć.

- No, może... ale pamiętaj, że zginęło też dziewiętnastu marines.

- Tak, słyszałem. Co się właściwie stało? Zestrzelono ich helikopter?

- Tak. Z ręcznej wyrzutni rakiet ziemia-powietrze.

- Skąd ci ludzie zdobyli taką broń? Południowoafrykańskie rakiety ziemia-powietrze? Pociski przeciwokrętowe Silkworm? Co się tam działo?

- Nie uwierzysz, ale jednym z zabitych był Chińczyk. Kupował dla nich broń gdzie się dało. Najwyraźniej znał wszystkich handlarzy na świecie.

- Pewnie tak - zgodził się Grazio. - O co im właściwie chodziło?

Dillon nie od razu odpowiedział na to pytanie.

- Myślę, że mieliśmy do czynienia z nowym rodzajem terrorystów - odparł w końcu. - Takimi, którym nie chodzi o korzyści polityczne, tylko o pieniądze i władzę.

- Dlaczego zaatakowali amerykański statek? To było chyba raczej głupie.

- Może tak, a może nie? Gdyby wyszedł im ten numer z rzekomymi islamskimi terrorystami, mogliby poruszyć mahometan w Indonezji i wypchnąć stamtąd Stany Zjednoczone. Byliśmy jedynymi, którzy mogli się tam pojawić i spróbować wykurzyć

terrorystów, czy w ogóle coś zrobić. Więc wymierzili nam policzek i próbowali odesłać nas do domu.

- Nie wydaje mi się, żeby dobrze to sobie przemyśleli.

- Udałoby im się, gdyby nie...

- Hej, coś mi się przypomniało. Kiedy stąd wyjdziemy, wpadnij na Kapitol.

- O co ci chodzi?

- Po prostu wpadnij. Nie ograniczaj się w marzeniach - dodał tajemniczo Grazio, obserwując widownię w poszukiwaniu znajomych. - Zobacz, oto sam wielki człowiek.

Dillon obrócił się i dostrzegł przewodniczącego Izby Reprezentantów wraz z żoną, wchodzących na salę sądową. Jeden z urzędników doprowadził ich do miejsc w pierwszym rzędzie, tuż przy barierce, przy środkowym przejściu.

- Co oni tu robią? - zdziwił się Dillon.

- A dlaczego mieliby nie przyjść?

Dillon niepewnie wzruszył ramionami.

- No... nie wiem. Rozmawiałem z nim wieczorem, powiedziałem, że będę w sądzie, a on ani słowem nie wspomniał, że się tu spotkamy.

- A wiesz, kto jeszcze...?

Na salę sądową wszedł pewnym krokiem prezydent Manchester w towarzystwie żony, otoczony przez agentów Tajnej Służby. Inny urzędnik wskazał im miejsce po prawej.

- Prezydent - westchnął Dillon.

- O kurcze, będzie zabawa! - ucieszył się Grazio. - Idę o zakład, że nic takiego nigdy się nie zdarzyło. Założę się, że prezydent Stanów Zjednoczonych i przewodniczący Izby Reprezentantów nie uczestniczyli jeszcze w żadnej rozprawie przed Sądem Najwyższym.

- Widzisz, jak nasz przewodniczący obraca się w jedną stronę, a Manchester w drugą? - spytał Grazio z wyraźną kpina w głosie. - Jesteś przyjacielem pana młodego albo jesteś przyjacielem panny młodej. Mogę ci nawet powiedzieć, który z nich nosi suknię. Nie odwracaj się... właśnie weszła Molly, szuka sobie miejsca....

- Niech szuka. Może się gdzie jej się żywnie podoba.

- Przecież nie ma żadnego wolnego miejsca. Może zechce usiąść mi na kolanach?

Grazio spojrzął spod oka na przyjaciela. Dillon patrzył przed siebie, nie mówiąc nic.

- Molly, tu jesteśmy!

Molly ruszyła w ich kierunku, lecz kiedy zobaczyła Jima Dillona, zatrzymała się. Grazio zaprosił ją gestem.

- Nie mamy wolnego miejsca - powiedział cicho Dillon.

- Może się między nami. Zmieścimy się we trójkę na dwóch siedzeniach - zapewnił go Grazio.

Dillon patrzył przed siebie nie wiedząc, co robić i jak się zachować. Molly precyzyjnie się przed nim, poczuł jak ociera się udami o jego kolana. Podniósł głowę, by się jej przyjrzeć i od razu zdał sobie sprawę z tego, że popełnił błąd, choć dostrzegł tylko spadające na plecy włosy, a także poczuł zapach jej perfum. Grazio posunął się, robiąc jej miejsce, więc on też musiał się przesunąć, czym zarobił sobie na mordercze spojrzenie sąsiada. Dziewczynie udało się jakoś wcisnąć między nich.

- Co u ciebie, Frank? - spytała.

- Wszystko w porządku - odparł Grazio. Dillon nie mógł już milczeć.

- Cześć, Molly.

- Dzień dobry, Jim.

Siedzieli w milczeniu, wpatrując się na skórzane fotele sędziów Sądu Najwyższego. Jak długo jednak można się gapić na fotele? Musieli znaleźć sobie w

końcu jakiś inny obiekt zainteresowania. Dziewczyna spojrzała na niego, a on nie mógł nie zauważyć, że na niego patrzy. Odpowiedział spojrzeniem. W jej wzroku nie wyczytał ani gniewu, ani wrogości.

Przez boczne drzwi ramię w ramię weszli Jackson Gray i David Pendelton. Przez chwilę grzecznie spierali się, kto pierwszy ma przejść za barierkę, w końcu zaszczyt ten przypadł Grayowi, któremu Pendelton uprzejmie przytrzymał furtkę. Sprawiał wrażenie spokojnego, Gray był zaś na odmianę gniewny i nieco zaniepokojony, ale też pełen nadziei. Dillona dziwiło, że Pendelton nie miał przy boku współpracownika; nie miał zresztą także papierów i notatek, nie niósł nawet teczek. Dla niego to pewnie też pierwszy raz, pomyślał.

Gray tymczasem położył na stole dwa grube skoroszyty oraz czarny notes, zawierający najprawdopodobniej notatki do mowy, którą ćwiczył przez całą noc.

Pendelton siedział na brzeżku krzesła, wyprostowany jak struna. Nie oglądał się ani w lewo, ani w prawo. Przyglądając mu się, Dillon delikatnie dotknął nogą nogi Molly.

Wskazówka minutowa poruszała się powoli. Rozmowy publiczności cichły. Dokładnie o siódmej zero zero rozsunała się zasłona za fotelem przewodniczącego składu i na salę weszło dziewięciu sędziów Sądu Najwyższego poprzedzanych przez woźnego.

- Proszę wstać, sąd idzie! - powiedział woźny.

32.

Admirał Ray Billings siedział na mostku admirałskim, obserwując rozciągający się poniżej pokład lotniczy. Dwa F/A-18C czekały w katapultach dziobowych, personel pokładowy przygotowywał zaś liny do lądowania ostatnich maszyn po długim, ciężkim dniu zaplanowanych lotów. Samoloty krążyły nad lotniskowcem w grupach, na przydzielonych im pułapach. Billings przyglądał się maszynom, z zazdrością wspominając czasy, kiedy sam krążył tak, przygotowując się do lądowania. Mimo wysokiej wilgotności powietrze było czyste, widoczność doskonała, fale na błękitnym oceanie pobłyskiwały srebrem.

Oficer łączności wręczył mu stos depeesz. Komandor Beth Griffith, stojąca za admirałem, czytała mu je przez ramię.

- Miło mieć ponownie łączność - stwierdziła.

- Owszem - zgodził się Billings - tylko teraz trzeba to wszystko przeczytać.

- Taki jest ciężar władzy, panie admirale.

- Czy przesłuchano jeńców?

- Przecież my ich wcale nie przesłuchujemy! My z nimi rozmawiamy. Jeden z naszych kryptologów mówi po indonezyjsku, tajsku i malajsku.

- Świetnie. Dowiedział się czegoś?

Oczy Beth zwięzły się; była to najlepsza wskazówka, że zaczyna myśleć intensywniej.

- To bardzo interesujące, panie admirale. Bardzo pragnę podtrzymać tę historię jakoby byli islamskimi fundamentalistami, ale raczej nie wyznają islamu, a już z całą pewnością nie są bardzo religijni. Znaleźliśmy przy nich kupę narkotyków i mnóstwo alkoholu, za to żadnego egzemplarza Koranu.

- Co jeszcze?

Oczy admirała błyszczały wesoło.

- Mieli chyba bardzo wysokie mniemanie o sobie. Jeden z ich żołnierzy zaczął gadać. Przywódcy nie odzywają się, ale ten facet, któremu obiecaliśmy nietykalność - spojrzała na dowódcę pytająco, nie doczekała się jednak żadnej reakcji - zaczął śpiewać. Zajęli tę wyspę i mieli nadzieję przemienić ją w fortecę. Z raketami przeciwlotniczymi i przeciwokrętowymi z każdego kraju, jaki można sobie tylko wyobrazić. Zamierzali używać łodzi przemytniczych w cieśninie Malakka, by atakować przepływające przez nią statki. Statki, które zgodziłyby się zapłacić okup, mieli zamiar puszcząć, inne porywać albo zatapiać raketami.

- To rozumiem, ale nie pojmuję, dlaczego zaczęli od amerykańskiego statku. Czyżby rzeczywiście sądzili, że nie zareagujemy?

- Zakładali, że kiedy ogłoszą, że są islamskimi fundamentalistami, Marynarka Stanów Zjednoczonych będzie zmuszona wynieść się z Morza Jawajskiego. Nie wracalibyśmy na nie za często, ponieważ Indonezja by nas zniechęcała, nie pragnąc zadrażnień z fundamentalistami. W gruncie rzeczy był to całkiem niezły plan.

- Można chyba powiedzieć o nich, że się przeliczyli, prawda?

- Bo ja wiem? - zastanowiła się Beth. - Chyba znali naszego prezydenta lepiej od nas samych. - Admirał zerknął na nią spod oka. - Gdyby Kongres nie przegłosował listu kaperskiego, udałoby im się. Nie sądzę, by Indonezjczycy dali radę ich ruszyć.

- Pewnie, że daliby radę. Mają odpowiednie środki wojskowe.

- Tylko musieliby ich najpierw znaleźć. A i nam to by się nie udało, gdyby nie śledził ich okręt podwodny.

- Co prawda, to prawda.

- Admirale - powiedział stojący z boku mostku porucznik Reynolds - admirał Blazer skontaktował się z nami przez radio. Chce z panem rozmawiać.

Billings podszedł do radia.

- To bezpieczny kanał? - spytał adiutanta.

- Tak.

- Tu admirał Billings.

- Ray - rozległ się głęboki, dudniący głos, którzy przez głośniki słyszeli wszyscy na mostku.

- Blazer, ty stary wariacie, co słyszać?

Billings uśmiechnął się lekko.

- Przeczytałeś dzisiejsze depesze?

- Właśnie nad tym pracuję. Przez kilka dni miałem odciętą łączność, więc mam teraz sporo pracy.

- Chyba nie wiedziałeś, że przysłano mnie tu, żebym cię przechwycił?

- A co to niby miało znaczyć?

- Nikt mi nie wyjaśnił. Niestety, nim zdążyliśmy cię przechylić było już po zabawie. Cholera, nie wiem, czy bym do ciebie nie dołączył. Znasz najnowszą depeszę z Białego domu?

- Nie. Co w niej jest?

- Wraz z grupą masz jak najszybciej zameldować się w Pearl Harbor.

- Dobrze. Diabli wiedzą, co mnie tam czeka, nagana czy pochwała. Połączyłeś się z nami, żeby mi to powiedzieć?

- Nie. Najciekawsze w tym wszystkim jest jedno: kazali mi cię eskortować.

Kark Billingsa poczerwieniał.

- Eskortować? Dlaczego?

- Nie wiem. Mam cię po prostu eskortować.

Z tonu Blazera nic nie dawało się odczytać. Billings zdawał sobie sprawę z tego, że wszyscy na mostku go słyszą.

- No to co zrobimy z tą eskortą? - spytał.

- Po prostu uznaj, że cię eskortuję - odparł Blazer nieco raźniej.
- Dobrze, eskortujesz mnie. Co mam w związku z tym zrobić?
- Możesz wziąć helikopter - przylecieć dziś na obiad? Pogralibyśmy sobie w kości.
- Żaden problem.
- Osiemnasta zero zero, dobrze?
- Doskonale.
- No to do zobaczenia.

Billings odłożył mikrofon i wrócił na fotel. Patrzył przed dziób okrętu, prując fale oceanu na południowy wschód od Hawajów. Zerknął na Beth, która unikała jego spojrzenia.

- Wygląda mi to na pułapkę - powiedział. - Mam wrażenie, że nie mówią nam wszystkiego.

- Trudno ocenić, panie admirale - zdecydował się przerwać niezręczną ciszę Reynolds. - Może przedstawią pana do medalu? - dodał bez przekonania.

- Zobaczymy.

- Chodzi mi o to - adiutant próbował pocieszyć swego dowódcę - że... - nie bardzo wiedział, jak dokończyć zdanie.

- Podjął pan słuszną decyzję, admirale. - Beth Griffith jasno postawiła sprawę.

Billings spojrzał na nią ciepło.

- Cokolwiek się stanie warto było, prawda, Beth?

- Tak, admirale. Z całą pewnością było warto.

- Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych, przewodniczący Sądu Najwyższego David Ross, rozpoczyna rozprawę. Niech Bóg chroni Stany Zjednoczone i ten sąd.

W sali sądowej panowała cisza jak makiem zasiał. Słysząc było szuranie kołek foteli po podłodze i skrzypienie skóry; to sędziowie zajmowali miejsca. Aplikanci Sądu Najwyższego siedzieli po prawej, przy wielkiej marmurowej kolumnie. Bobby zajął miejsce w ich pierwszym rzędzie. Dostrzegł Dillona i Molly, którzy uśmiechnęli się do niego, ale nie odpowiedział im uśmiechem.

Prezes Sądu Najwyższego nie tracił czasu. Ponad okularami do czytania spojrzał na obu prawników.

- Co mamy na wokandzie? - spytał aplikanta.

David Compton, którego Pendelton widział po raz pierwszy w życiu, choć znali się z rozmów telefonicznych, odczytał donośnym głosem:

- Edward Manchester jako obywatel Stanów Zjednoczonych, jako prezydent i zwierzchnik władzy wykonawczej Stanów Zjednoczonych przeciw Johnowi Stanbridge'owi jako obywatelowi i przewodniczącemu Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych. Proszę o zgłoszenie obecności.

- Dzień dobry, Wysoki Sądzie. Jackson Gray w imieniu Stanów Zjednoczonych...

- Obawiam się, że musi pan określić to dokładniej - przerwał mu sędzia Ross.

Twarz miał śmiertelnie poważną.

Gray spojrzał na niego, zdziwiony.

- Dobrze, Wysoki Sądzie. Jackson Gray w imieniu Departamentu Sprawiedliwości.

- David Pendelton w imieniu pana Stanbridge'a i Kongresu, Wysoki Sądzie - przedstawił się.

- Dziękuję. Proszę usiąść.

Sędzia Ross przekładał przez chwilę leżące przed nim papiery, a potem spojrzał na Graya.

- Pozew, jak mi się zdaje, wniósł pan, prawda? - spytał.

- Tak, Wysoki Sądzie. - Spojrzał na Pendeltona i wziął głęboki oddech. - Nadeszła chwila, w której Sąd Najwyższy musi działać, bowiem alternatywą jest upadek rządu. - Wśród widzów rozległ się szmer. Dillon, który zachował kamienny spokój nie wiedział, czy publiczność zareagowała w ten sposób na rzeczywistą powagę sytuacji, czy też na bezczelność Graya. - Kongres dysponuje grupą bojową, która stwarza poważne zagrożenie wobec obywateli krajów trzecich - oraz, nawiasem mówiąc, wobec naszych obywateli - bez zgody prezydenta i władzy wykonawczej. A wszystko dlatego, że Izba Reprezentantów i Senat uznały za stosowne przegłosować tak zwany „list kaperski” oraz użyły go w sposób, w jaki nigdy nie był on używany, użyły go jako swego narzędzia. Wysunęły przy tym nieuczciwe argumenty o podłożu historycznym...

- Panie Gray - przerwał mu sędzia Ross - czy mam rację zauważając, a niniejszym oceniam sytuację prawną, że atak, któremu próbował pan przeszkodzić, doprowadzając do tej rozprawy, i do którego odnosi się pan w swoim pozwie, miał już miejsce?

Gray zachwiał się, jakby otrzymał fizyczny cios.

- Wysoki Sądzie, tak jest, jeden atak miał już miejsce.

- Wnosząc z przedstawionych przez pana dokumentów, był to atak, któremu próbował pan zapobiec. Mam rację, czy jej nie mam?

- Oczywiście, Wysoki Sądzie. - Gray przemawiał teraz jakby miał do czynienia z kimś, kto nie bardzo zdaje sobie sprawę z sytuacji. - Próbowaliśmy zapobiec temu atakowi, ale próbujemy też zapobiec możliwym późniejszym atakom. Próbujemy zapobiec sytuacji, w której grupa bojowa amerykańskiego lotniskowca będzie sobie szaleć po Południowym Pacyfiku zgodnie z byle kaprysem Kongresu.

Ze swego miejsca Dillon widział, jak czerwienieje kark siedzącego przed nim przewodniczącego.

Sędzia Ross skrzywił się kwaśno.

- Na czym opiera pan przekonanie, że grupa bojowa ma zamiar dokonać czegoś więcej niż to, czego już dokonała? Sąd nie ma dowodów na to, że może zdarzyć się coś jeszcze.

- Opieram je na jej poprzednich działaniach, Wysoki Sądzie. Grupa odmówiła wykonania bezpośrednich rozkazów prezydenta. Nic nie wskazuje na to, że nie odmówi wykonania kolejnych.

- Owszem, być może, rzecz jednak w tym, czy spodziewa się pan dalszej odmowy wykonywania rozkazów opartych na podstawie listu kaperskiego, który jest podstawą pańskiego pozwu? Czy zamierza pan pozwać wszystkie grupy bojowe, czy tylko tę, na którą wystawiono list?

Dillon uśmiechnął się. Uważał zawsze Rossa za maskotkę Manchestera, mianowanego przewodniczącym Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych po karierze w charakterze prezesa Sądu Stanowego Connecticut, gdzie spotkał go Manchester. Jego nominacja zaskoczyła specjalistów i dziennikarzy. Uważano go za umiarkowanego demokratę, widziano, że skończył studia w Amherst, a potem Bostońską Szkołę Prawniczą, nikt jednak nie wiedział, jakie ma poglądy. W Connecticut wydawał niewiele znaczące wyroki, uważano go więc za „człowieka Manchestera”, najwyraźniej niesłusznie, co odczytać można było z napięcia pomiędzy nim i Grayem.

- List jest ważnym czynnikiem - powiedział w końcu Gray - który pragniemy usunąć jako podstawę lub usprawiedliwienie dla podjęcia jakiegokolwiek akcji

- Panie Gray, nim podejmiemy dalszą dyskusję, chciałbym w tej chwili wysłuchać drugiej strony. Panie Pendelton?

Pendelton wstał.

- Wysoki Sądzie - powiedział - dyskusję na temat, czy w normalnej sytuacji prezydent dowodzi Marynarką możemy spokojnie podjąć dowolnego dnia. Dlaczego żołnierze słuchają prezydenta? - Przerwał dla efektu. - Po prostu dlatego, że władza prezydenta zapisana jest w konstytucji. Pozew dotyczy tego, czy Sąd ma natychmiast powstrzymać działania, które zapisane zostały w liście kaperskim. - Pokręcił głową. Twarz miał bardzo poważną. - Podjęcie tej decyzji było niemożliwe w momencie, kiedy tę nieszczęsną sprawę skierowano przed Sąd Okręgowy, ponieważ list kaperski został przegłosowany przez Kongres. Sądy mogły powstrzymać wyłącznie Marynarkę, a Marynarka nie została przecież pozwana. Co ważniejsze jednak - i na to Wysoki Sąd słusznie zwrócił uwagę - działania prawne zostały przedawnione. Jedyna akcja, którą prezydent próbował powstrzymać, już nastąpiła. Jeśli Sąd Najwyższy wyda w tej chwili wyrok wstrzymujący, będzie to tylko pusty gest Sądu tego nie powołano, by wydawał wyroki, których nie sposób wprowadzić w życie.

Pendelton zakończył efektowną pauzą, po czym dodał jeszcze „dziękuję”.

Gray, który przez cały czas stał, najwyraźniej miał jeszcze wiele do powiedzenia.

- Pan Pendelton przez cały czas próbuje odwrócić uwagę Wysokiego Sądu... - zaczął.

Prezes Sądu Najwyższego powstrzymał go podnosząc rękę.

- Panie Gray, byliśmy skłonni wysłuchać tę sprawę o tak wczesnej godzinie, ponieważ wydawało nam się, że jest to sprawa wyjątkowej wagi. Teraz jednak jest ona całkowicie poza naszym zasięgiem. Działania, które próbował pan powstrzymać, miały już miejsce. Pozew o wydanie nakazu wstrzymania zostaje oddalony jako dotyczący zdarzeń zaszłych. Sprawa wraca do Sądu Okręgowego do ponownego rozpatrzenia.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Pendelton wyszedł zza stołu. Gray stał, sprawiając wrażenie oszołomionego takim obrotem sytuacji. Rozpaczliwie próbował nie protestować. Cały aż się gotował z wściekłości na system, który uniemożliwił mu przedstawienie sprawy we właściwym czasie, po czym orzekł, że została ona przedstawiona za późno. Zmusił się nawet do tego, by skinąć głową wstającym z miejsc sędziom, Ale w końcu jednak nie wytrzymał.

- Przecież to wy zdecydowaliście, że wysłuchacie mnie dopiero dziś! - krzyknął. - Dostaliście pozew w piątek wieczorem. Winą tego sądu jest, że sprawa się przedawniła.

- Posiedzenie skończone - oznajmił sędzia Ross, całkowicie go ignorując.

- Proszę wstać! - powiedział woźny.

Sędziowie oddalili się do swego pokoju.

Gray stał nieruchomo, czekając aż wyjdą, po czym spakował segregatory i wyszedł z sali. Nawet nie spojrzął na Manchastera, odmówił rozmowy z dziennikarzami, po prostu wyszedł z budynku. Pendelton pozostał na miejscu, przyglądając się sali sądowej, w której zapanowało pandemonium. Niektórzy dziennikarze szturmowali drzwi, inni wręcz przeciwnie, starali się dostać do środka, by mieć jakiś udział w tej historycznej chwili.

Dillonowi udało się przedrzeć do przejścia. Podeszedł do Pendeltona. Molly szła za nim, ale skręciła w kierunku drzwi. Grazio postanowił zaczekać.

- Dzień dobry panu, nie wiem, czy pan mnie pamięta. Jestem Jim Dillon.

- Oczywiście, że pamiętam. - Pendelton potrząsnął wyciągniętą dłonią. - Od pana to się wszystko zaczęło.

- Myśli pan, że się pomyliłem?

Dillon nie był całkiem pewien, co powinien powiedzieć.

Adwokat wzruszył ramionami.

- Akrobacja na linie bez siatki zabezpieczającej - powiedział, patrząc poważnie na rozmówcę. - Nasz rząd sprawia być może wrażenie silnego, ale tak naprawdę wcale nie jest silny. Jego trwałość zależy wyłącznie od ludzkiego szacunku. Kongres, prezydent, sądy są jak banki. Jeśli ludzie stracą zaufanie do banku, bank upada. - Oczy Pendeltona płonęły. - Tylko że wkłady w rząd nie są ubezpieczone od bankructwa. Nie ma mechanizmu gwarantującego istnienie rządu w momencie, kiedy ludzie stracą do niego zaufanie. Ktoś, kto - nawet mając rację - posunie się za daleko w jej udowadnianiu, może spowodować rozpad tej struktury. Ale mimo wszystko doskonale się bawiłem i cieszę się, że mogłem pomóc Johnowi Stanbridge'owi.

I znów Dillon nie bardzo wiedział, co powinien powiedzieć.

- Pana zdaniem przewodniczący nie powinien był zrobić tego, co zrobił? - spytał w końcu.

- A co pan o tym sądzi? - odpowiedział pytaniem Pendelton. - Teraz, kiedy wie pan już wszystko, kiedy widział pan skutki swoich działań, co pan o tym sądzi?

Dillon rozejrzał się po pustoszejącej sali sądowej. Spojrzał na przewodniczącego, któremu gratulowano i na samotnego prezydenta, otoczonego przez agentów ochrony. Przypomniawszy sobie admirała Billingsa, Reynoldsa, Caskeya i Drivera, pułkownika Tuckera i porucznika Armstronga... tych wszystkich, którzy położyli swe życie na szali. Najlepiej jednak pamiętał spuchniętą twarz kapitana Bonhama, żołnierzy piechoty morskiej, którzy zginęli w trafionym przez terrorystów helikopterze, Mary, jej córeczkę i to, co mówiła o nieżyjącym już mężu.

- Po raz drugi postąpiłbym identycznie - stwierdził bardziej stanowczo, niż było to w jego zwyczaju. - I myślę, że myli się pan w ocenie naszego rządu. Nasz rząd wcale nie jest kruchy, bowiem zbudowano go na wiecznych zasadach. Delikatni i słabi są tylko ludzie.

Pendelton wysłuchał go z uwagą.

- Być może ma pan rację - przyznał.

Dillon przeszedł za barierkę. Nie było za nią wielkiego tłoku. Spotkał czekającego nań Franka Grazio.

- No i co? - spytał Grazio. - Fajnie jest potrząsnąć dłonią wielkiego człowieka?

Dillon nie odpowiedział.

- O co ci chodzi? Przez cały czas dziwnie się zachowywałeś.

- Nic się nie stało. Tylko myślałem, że ucieszy go to wielkie zwycięstwo. A tym czasem mam wrażenie, że w ogóle go nie obeszło.

- Nie obeszło? Przecież to chyba najciekawsza rozprawa w historii Sądu Najwyższego!

- Bo ja wiem. - Zajęli miejsce w kolejce śpieszących do wyjścia. - Nie było w nim... ognia. A gdzie Molly?

- Nie wiem. Ty poszedłeś do Pendeltona, a ona uciekła z sali.

- Muszę z nią porozmawiać.

- Nie wracasz do biura?

- Wrócę, kiedy z nią porozmawiam.

- No to lepiej się pośpiesz.

Kilku dziennikarzy rozpoznało Dillona, ale on ominął ich zbyt szybko, by choćby zdążyli poprosić go o wywiad. Hol był zatłoczony niemal nie do przebycia. Dziennikarze prasowi dyktowali do telefonów komórkowych, na kamerach telewizyjnych świeciły się czerwone światełka. Dillon wyrwał się wreszcie z gmachu sądu prosto w słoneczny, chłodny, lutowy poranek. Dostrzegł Molly, która zdążyła już zejść ze schodów, postawiła kołnierz płaszcza i właśnie skręcała w lewo, w stronę stacji metra. Zbiegł po schodach, wykrzykując jej imię.

Sala sądowa opustoszała wreszcie. Pozostali w niej jednak zarówno Stanbridge, jak i Manchester.

Prezydent podszedł do przewodniczącego Izby Reprezentantów.

- Możemy porozmawiać? - spytał.

John Stanbridge odwrócił się i spojrzał mu w oczy.

- Oczywiście. Gdzie?

- Tutaj. - Manchester spojrzał na agenta Tajnej Służby. - Chcę porozmawiać z panem przewodniczącym i powiedział. - Proszę oczyścić salę.

Agent, donośnym, spokojnym, lecz rozkazującym głosem polecił wszystkim opuścić salę sądową. Zwlekających jego koledzy wyprowadzili z niej grzecznie, lecz stanowczo. Następnie zajęli odpowiednie miejsca, pilnując wielkich dwuskrzydłowych drzwi i innych wejść, stali jednak wystarczająco daleko, by nie podsłuchiwać rozmowy.

Manchester i Stanbridge patrzyli sobie w oczy z odległości kilkudziesięciu centymetrów.

- To, co się stało, nie było korzystne... dla naszego kraju - rozpoczął rozmowę prezydent. Przerwał czekając, czy Stanbridge ma na ten temat coś do powiedzenia, ale ten milczał. - I pan, i ja mamy obowiązek robić to, co dla kraju najlepsze. Czy pan się ze mną zgadza?

- Oczywiście.

- Mam nadzieję że zauważył pan, iż Sąd Najwyższy nie rozstrzygnął sprawy. Nadal domaga się ona rozstrzygnięcia. Wróciła do Sądu Okręgowego, który może przecież rozstrzygnąć, że list kaperski jest niezgodny z konstytucją.

- Panie prezydencie - Stanbridge był wyjątkowo pewien siebie - jestem pewien, że zapoznał się pan z precedensami. Że wie pan, jak rozstrzyga się tego rodzaju sprawy. Sądy robią wszystko co w ich mocy, by nie podejmować decyzji w sprawach politycznych, zwłaszcza w sprawach, w których zagrożona jest równowaga sił między prezydentem i Kongresem. Tej sprawy sąd nawet nie dotknie. Sąd Najwyższy już orzekł o jej przedawnieniu, Sąd Okręgowy z całą pewnością podtrzyma jego decyzję. Pan Pendelton przekonał mnie, że decyzja podjęte przez sędziego Sądu Najwyższego - którego pan mianował - kończy sprawę. - Stanbridge'a najwyraźniej cieszył fakt, że to właśnie sędzia Ross oddalił pozew prezydenta. - Wniesienie tej sprawy do sądu nie było najlepszym pomysłem.

- Ja zaś jestem zdania, że wystawienie listu kaperskiego nie było najlepszym pomysłem, panie przewodniczący. Moim zdaniem wystawił pan na wielkie ryzyko trwałość struktury naszego rządu, być może spowodował nieodwracalne szkody...

- Nie, panie prezydencie, to pan zaszkodził reputacji prezydentury i zmusił władzę ustawodawczą do podjęcia kroków, których nie podjęłaby, gdyby wykonywał pan swoją robotę. - Stanbridge wymierzył palec w prezydenta. - Dawno, dawno temu założył pan, że by pana powstrzymać odwołam się do Ustawy o Prowadzeniu Wojny. Trudno byłoby znaleźć cokolwiek dalszego od prawdy. Musiał się pan jej podporządkować, to oczywiste, ale mnie chodziło tylko o to, żeby pan się jej podporządkował i załatwił sprawę, panie prezydencie. Kiedy pan odmówił, musiałem zacząć pracować za pana. Konstytucja dostarczyła mi właściwych narzędzi, których użyłem. Nie miałby pan ze mną żadnych problemów, gdyby wykonywał pan swoją robotę. Wczoraj wieczorem dostałem faks, który pan powinien odebrać. Prezydent Indonezji podziękował mi za podjęte przeze mnie działania.

- Wykonywałem swoje obowiązki, panie przewodniczący. Ale wykonywałem je inaczej, niż panu się wydawało, że powinienem je wykonywać. Jest pan groźny właśnie wówczas, kiedy próbuje mnie pan zastąpić. A to dlatego, że nie umie pan ocenić sytuacji, nie umie pan umieścić jej w kontekście, a przede wszystkim dlatego,

że kieruje panem wyłącznie ambicja. Podejmując decyzje nie kieruje się pan tym, co dobre i złe. Nie, pan po prostu pragnie mojego urzędu!

- Wszyscy politycy chcą być na wierzchu - zauważył Stanbridge.

- Ale na wierzchu jestem ja, nie pan.

- Na razie. Jeszcze coś?

- Owszem, jest. Powiem panu, dlaczego pana zatrzymałem. - W głosie prezydenta pojawiło się teraz wyraźnie słyszalne napięcie. - Opinia publiczna jest przeciw panu. Pańskie szalone pomysły zabiły zbyt wielu ludzi. Utrata zaufania publicznego może się okazać dla pana fatalna. - Manchester uniósł dłoń widząc, że Stanbridge chce mu przerwać. - Proszę poczekać, niech dokończę. - Dalej mówił już znacznie spokojniej. - Jestem gotów przyznać, że obaj ponieśliśmy polityczne straty... jakie, niech każdy określi je dla siebie. Teraz jednak kraj potrzebuje jednego: równowagi między władzą ustawodawczą a wykonawczą. - Prezydent spojrzał w oczy Stanbridge'a. - Czy teraz, w tej chwili, możemy wyjść z tego budynku ramię w ramię i powiedzieć ludziom, że będziemy ze sobą współpracowali? Mimo iż się między sobą różnimy, będziemy współpracowali w ramach struktury rządu, by rozwiązać dzielące nas sprawy?

Stanbridge uśmiechnął się z przekąsem.

- Ależ panie prezydencie, przecież przez cały czas chodziło mi tylko o to.

- A więc zgadzamy się, że to nie jest dla nas przeszkodą. - Manchester uśmiechnął się zwycięsko. - Podamy sobie ręce przed tymi wszystkimi ludźmi?

- Nadal mam ochotę na pański urząd.

- Doskonale, niech pan próbuje.

- Jest jeszcze jedna sprawa.

- Tak?

- Pański szef personelu wspomniał coś o jakimś faksie. W sprawach finansowych. Manchester wzruszył ramionami.

- Ten faks nigdy nie wyszedł z mojego biura. Jakoś nie wydawało mi się to w porządku.

Stanbridge rozejrzał się po sali.

- Dobrze, proszę bardzo - powiedział - niech pan przeprowadzi tę swoją konferencję prasową. Może im pan powiedzieć, że będziemy współpracowali. Ale - uczynił wymowną przerwę - proszę pamiętać, że dziś po południu ja będę miał swoją konferencję prasową. Jeśli nie spodoba mi się coś, co pan powiedział, dziennikarze z pewnością się o tym dowiedzą.

Wyszedł z sali. Agent Tajnej Służby uprzejmie otworzył mu drzwi.

- Molly! - krzyknął Dillon tak głośno, że aż sam się przestraszył. - Molly! - krzyczał, zbiegając po schodach gmachu Sądu Najwyższego.

Dziewczyna jednak udawała, że nie słyszy jego okrzyków, tylko przyśpieszała kroku. Dillon pobiegł chodnikiem. Biegł w rozpiętym, powiewającym płaszczu i dogonił ją wreszcie przy stacji metra.

- Molly! - wydyszał, łapiąc ją za ramię.

Dziewczyna odwróciła się. Spojrzała mu w oczy.

- No cóż - powiedziała - sąd rozsądził sprawę po twojej myśli.

- No tak... powiedziałbym, że wydał słuszny wyrok.

- Teraz sprawa wraca do Sądu Okręgowego. Być może uzna on list kaperski za sprzeczny z konstytucją.

Dillon omal się nie uśmiechnął.

- Owszem, zawsze istnieje taka możliwość - przyznał poważnie.

Molly odsunęła się od niego o krok.

- Poczekaj, chcę z tobą porozmawiać.

- O czym?

- Mam zamiar ułatwić ci sytuację. Jeśli nie chcesz mnie widzieć dlatego, że pracując dla przewodniczącego jakimś cudem stałem się złym człowiekiem, powiedz to teraz. Masz szansę. Jeśli chcesz, żebym się od ciebie odczepił, to mi to powiedz.

Dziewczyna unikała jego wzroku.

- Ta cała... ta cała sprawa, Kongres nakazujący Marynarce zaatakowanie tych ludzi... to mi pachnie zemstą. Wydaje się takie... wyrachowane. A sposób, w jaki udowadniałeś wszystkie te prawne wygibasy, dla mnie był nieuczciwy.

- Nie był nieuczciwy. Czy każdy, kto mówi coś innego niż ty i ten twój prezydent musi zaraz być nieuczciwy?

- Zginęło wielu ludzi, Jim.

- Manchester był temu krajowi coś winien, a nie zrobił nic. Kongres zrobił coś, ale nie oznacza to, że nie miał racji.

- To nie takie proste.

Dillon obejrzał się przez ramię na budynek Kapitolu i nad jego kopułą dostrzegł tę samą flagę, która powiewała na maszcie lotniskowca. Z wysiłkiem odwrócił od niej wzrok.

- Twoim zdaniem Kongres może postępować tak ilekroć przyjdzie mu na to ochota? - spytała Molly.

- Jedno ci powiem: powinien postępować tak znacznie częściej niż postępuje. Moim zdaniem sposób, w jaki prowadzimy pomniejszych wojny, przez Contras, CIA i inne środki zastępcze, to właśnie jest nieuczciwe. Nasz kraj uczestniczy w walce, zabija ludzi, ale udaje, że nic się nie dzieje, a Kongres może zawsze umyć ręce i powiedzieć światu: „wszystko przez prezydenta”; to właśnie jest nieuczciwe. Kongres ma władzę zadeklarowania uczestnictwa w wojnie. Kongres, nie prezydent. Sam pomyślał, że prezydent może wysłać żołnierzy za granicę bez zgody Kongresu, a potem klócić się ze wszystkimi o głupią Ustawę o Prowadzeniu Wojny... to właśnie jest nieuczciwe.

- Ale ten atak... nie wyglądał dobrze - powiedziała cicho Molly.

- Tylko dlatego, że listu kaperskiego nigdy nie wystawiono w ten sposób. Jak myślisz, jak czuł się Kongres, kiedy Truman wysłał żołnierzy do Korei pod flagą Narodów Zjednoczonych? Jak myślisz, jak czuł się Kongres, kiedy Kennedy, a potem Johnson wysyłali żołnierzy do Wietnamu bez wypowiedzenia wojny? Zginęły tysiące Amerykanów. Gdzie był wówczas Kongres?

Molly odprężyła się nieco. Spojrzała przyjacielowi w oczy.

- Nie mam zamiaru dyskutować więcej na ten temat - powiedziała. - Ale jedno muszę wiedzieć.

- Co takiego?

- Byłeś na lotniskowcu. - Jej uwagi nie umknął fakt, że słysząc te słowa Jim Dillon skrzywił się. - Możemy się nie zgadzać, czy wówczas było to dobre, a teraz jest legalne, ale czy czułeś się tam dobrze? Czy byłeś zadowolony?

Dillon przymknął oczy.

- Ciekawe, że admirał Billings spytał mnie o to samo - powiedział. - Prawie o to samo. Udało mu się mnie zaskoczyć. Nie była to żadna wielka wojna, ale te wrażenia... Widziałem wszystko na własne oczy, Molly. Łądowałem na tej wyspie z marines. Widziałem, jak giną ludzie. Widziałem terrorystę, strzelił do mnie dwa razy. - Molly zdumiała się wyraźnie. - Trafił w hełm i kamizelkę kuloodporną. Nabił mi siniaka i rozciął skórę. - Podniósł dłoń do skroni pod uchem, gdzie miał małą bliznę. - A kiedy wróciłem na lotniskowiec, myślałem, że będzie tam jak po wygranej meczu, kiedy wszyscy podskakują, krzyczą, klaszczą. W rzeczywistości wygląda to jednak zupełnie inaczej. To nie sport. I nie, nie byłem „zadowolony”. Nie byłem też szczęśliwy. Ale

chyba mocno się zmieniłem. Stałem się znacznie poważniejszy, niż byłem kiedykolwiek przedtem. - Obejrzał się. Spod sądu ruszała właśnie kawalkada pojazdów prezydenckich. - I uważam, że postąpiłem słusznie.

Molly przysunęła się do niego. Niemal się dotykali. Czuł jej ciepło, widział jej jasne czoło z ledwo dostrzegalnymi piegami.

- Nadal chcę wiedzieć, czy mam szansę być z tobą - powiedział.

Molly poprawiła zwichrzone przez wiatr włosy.

- Będziemy musieli nad tym popracować.

- Jestem gotów.

Uśmiechnęła się ciepło; tak ciepło nie uśmiechała się do niego od wielu dni.

- Zawsze jesteś gotów.

- To prawda. Więc?

Zawahała się.

- Niech to się wszystko uspokoi - powiedziała w końcu. Już miała odejść, ale zatrzymała się w ostatniej chwili. - A kiedy się uspokoi, zadzwonię do ciebie.

Patrzył za nią, schodzącą do stacji metra, a kiedy znikła mu z oczu, zawrócił na Kapitol.

Przewodniczący Izby Reprezentantów stał na schodach gmachu sądu, obserwując prezydenta Manchestera mówiącego do dziennikarzy na zaimprovizowanej konferencji prasowej. Dillon podszedł i stanął obok niego. Stanbridge uśmiechnął się do niego, chuchając w zziębnięte dłonie.

- Właśnie tłumaczy im, że rząd Stanów Zjednoczonych ma się dobrze i że wszyscy jesteśmy gotowi do współpracy - powiedział.

- A nie jesteśmy?

Dillon nie potrafił oderwać wzroku od Manchestera.

- Oczywiście, że tak. - Stanbridge uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Jak zawsze.

KONIEC